

1 miejsce na liście bestsellerów „New York Timesa”

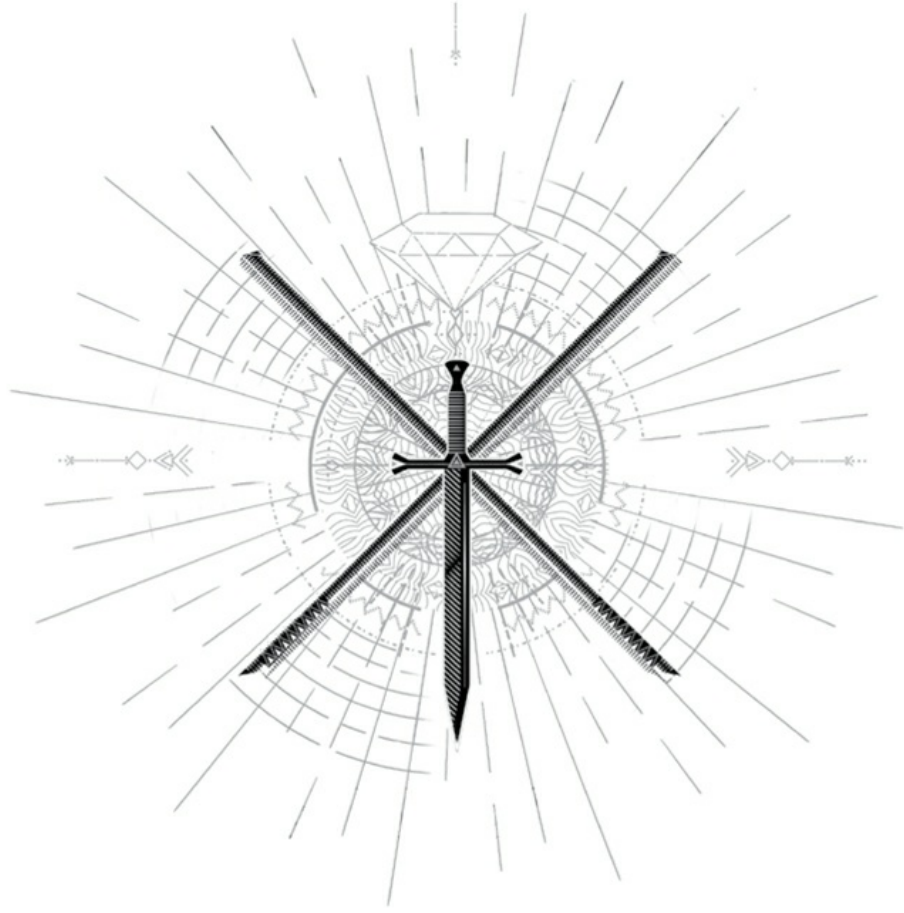
TOMI ADEYEMI

DZIECI

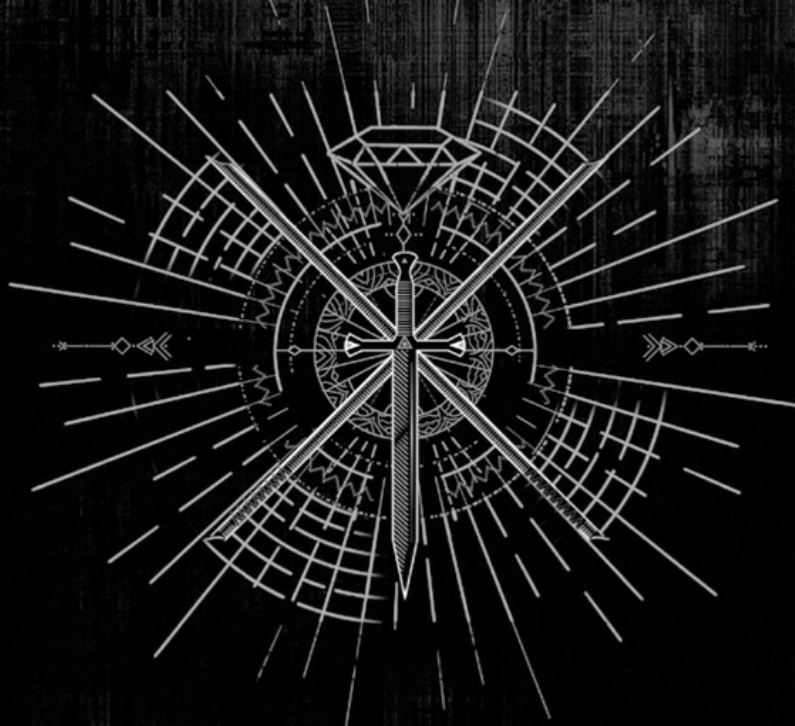
KRWI

I KOŚCI





TOMI ADEYEMI



DZIECI
KRWI I KOŚCI

Przełożył z angielskiego

Łukasz Witczak



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Tytuł oryginału
Children of Blood and Bone

Projekt okładki i typografii
RICH DEAS

Fotografia na okładce
© PeopleImages/E+/Getty Images

Projekt mapy
KEITH THOMPSON

Koordinacja projektu
SYLWIA MAZURKIEWICZ-PETEK

Redakcja
ANNA JACKOWSKA

Korekta
IWONA HUCHLA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © 2018 by Tomi Adeyemi Books Inc.
All rights reserved.

Polish translation © Łukasz Witczak MMXIX

Polish edition © Publicat S.A. MMXIX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-5906-9

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Strona redakcyjna

Dedykacja

Klany magów

Wstęp

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Rozdział 82

Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

Epilog

Od autorki

Podziękowania

*Mamie i Tacie,
którzy poświęcili wszystko, żeby dać mi tę szansę,
oraz
Jacksonowi,
który uwierzył we mnie i w tę opowieść
na długo przede mną*

KLANY MAGÓW

IKÚ

MAGOWIE ŻYCIA I ŚMIERCI

TYTUŁ: ŻNIWIARZ, ŻNIWIARKA

BÓSTWO: OJA

ÈMÍ

MAGOWIE UMYSŁU, DUCHA I SNÓW

TYTUŁ: KONEKTOR, KONEKTORKA

BÓSTWO: ORÍ

OMI

MAGOWIE WODY

TYTUŁ: FALUN, FALUNKA

BÓSTWO: JEMODŻA

INÁ

MAGOWIE OGNIA

TYTUŁ: OGNIARZ, OGNIARKA

BÓSTWO: SÀNGÓ

AFÉFÉ

MAGOWIE POWIETRZA

TYTUŁ: TAJFUN, TAJFUNKA

BÓSTWO: AJAO

AIJE

MAGOWIE ZIEMI I ŻELAZA

TYTUŁ: ZIEMIOWIEC, ZIEMIARKA + SPAJACZ, SPAJACZKA

BÓSTWO: ÒGÚN

ÌMÓLÈ

MAGOWIE ŚWIATŁA I CIEMNOŚCI

TYTUŁ: ŚWIETLARZ, ŚWIETLARKA

BÓSTWO: OSZUMARE

ÌWÒSÀN

MAGOWIE ZDROWIA I CHOROBY

TYTUŁ: UZDROWICIEL, UZDROWICIELKA + KANCER, KANCERKA

BÓSTWO: BABALÚAJÉ

ARÍRAN

MAGOWIE CZASU

TYTUŁ: JASNOWIDZ, JASNOWIDZKA

BÓSTWO: ORÚNMILA

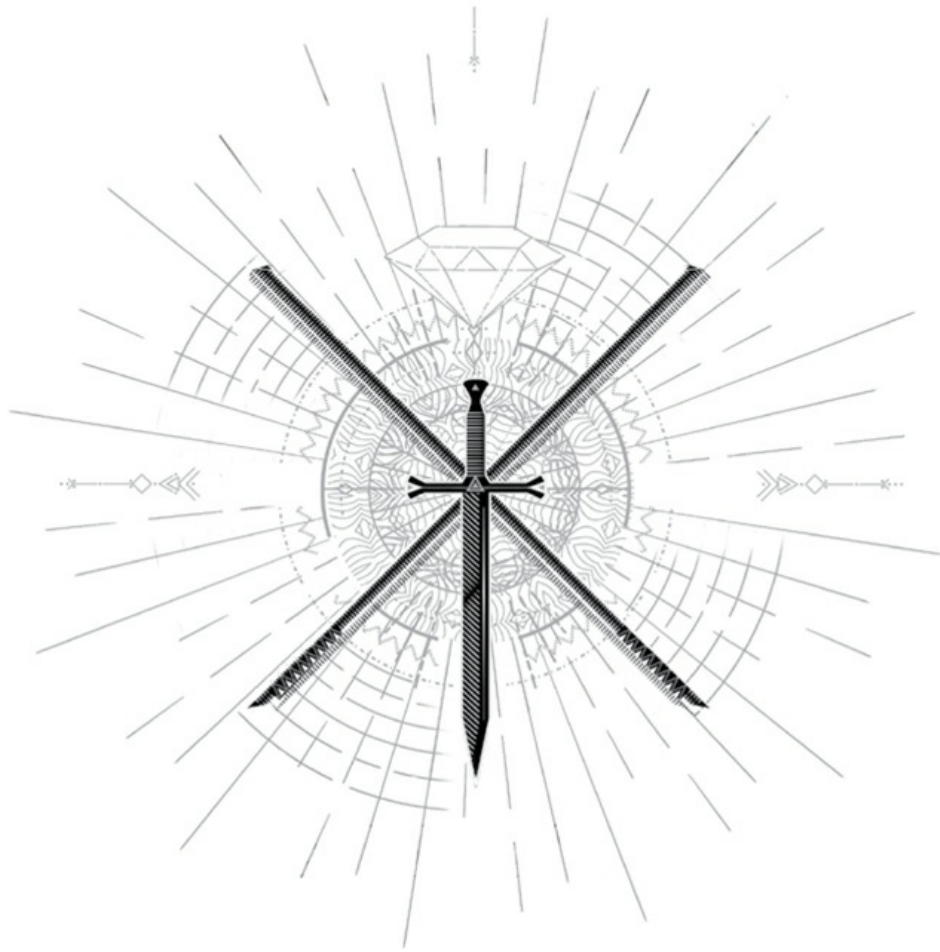
ẸRANKO

MAGOWIE ZWIERZĄT

TYTUŁ: POSKRAMIACZ, POSKRAMIACZKA

BÓSTWO: OXOSI







Staram się o niej nie myśleć.

Ale gdy mi się nie udaje, myślę o ryżu.

Kiedy Mama była z nami, w chacie zawsze pachniało dżolofem.

Myślę o jej ciemnej skórze, pełnej blasku jak letnie słońce, o uśmiechu, który ożywił Babę. O kręconych białych włosach, tej dumnej koronie żyjącej własnym życiem.

Słyszę legendy, które opowiadała mi przed snem. Śmiech Tzaina, kiedy grali razem w agböna.

Krzyki Baby, kiedy żołnierze zarzucili jej łańcuch na szyję. Jej własne krzyki, kiedy wywlekali ją w noc.

Zaklęcia, które z siebie wyrzucała, tak jak wulkan wyrzuca lawę. Magię śmierci, która okazała się jej zgubą.

Myślę o tym, jak zwisła martwo z drzewa.

Myślę o królu, który nam ją zabrał.



ROZDZIAŁ 1



ZÉLIE

Mnie wybierz.

Muszę się powstrzymywać, żeby nie krzyknąć. Wbijam paznokcie w drewniany kij, ściskam go mocno, żeby usiedzieć w miejscu. Krople potu ściekają mi po plecach, nie wiem, czy to od porannego upału, czy dlatego, że serce tłucze mi się o żebra. Miesiąc w miesiąc byłam pomijana.

Dziś musi wreszcie być inaczej.

Odgarniam śnieżnobiały kędzior za ucho i staram się nie ruszać. Mama Agba jak zwykle nie ma zmiłowania, długo przygląda się każdej z nas, aż nie wiemy, gdzie podziać wzrok.

Jej brwi ściągają się w skupieniu, pogłębiając zmarszczki na огоłonej głowie. Z ciemnobrązową skórą i w niepozornym kaftanie Mama Agba niewiele się różni od reszty wioskowych starszych. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że kobieta w tym wieku może być tak niebezpieczna.

– Ekhm... – chrząka z przodu Jemi, w mało subtelny sposób przypominając, że ona już przeszła tę próbę. Posyła nam uśmiezek i obraca w dłoni ręcznie rzeźbiony kij, jakby nie mogła się doczekać, aż się dowie, którą z nas pokona w czasie dzisiejszego egzaminu.

Większość dziewczyn boi się pojedynku z Jemi, ale ja nie czuję strachu. Ćwiczyłam i jestem gotowa.

Wiem, że stać mnie na zwycięstwo.

– Zélie.

Chropawy głos Mamy Agby przerywa ciszę. Słysząc zbiorowe westchnienie piętnastu dziewczyn, które nie zostały wybrane. Imię odbija się od plecionych

ścian trzciny aheré, aż w końcu zdaję sobie sprawę, że chodzi o mnie.

– Naprawdę? – pytam.

Mama Agba mlaska zniecierpliwiona.

– Mogę wybrać kogoś innego...

– Nie! – Zrywam się na równe nogi i natychmiast posyłam jej ukłon. –
Dziękuję, Mamo. Jestem gotowa.

Morze brązowych twarzy rozstępuje się przede mną. Idąc, skupiam się na moich bosych stopach ocierających się o trzciny podłogę, sprawdzam jej przyczepność, żeby zwiększyć swoje szanse na wygranie pojedynku i zdanie egzaminu.

Na czarnej macie do walki Jemi pierwsza mi się kłania. Czeka, aż uczynię to samo, ale jej wzrok tylko wznieca we mnie ogień złości. Stoi w nonszalanckiej pozie, świadczącej o braku szacunku, jakbym nie była godną przeciwniczką. Jakby uważała, że jako ibawitka jestem od niej gorsza.

Myśli, że nie mam z nią szans.

– Ukłoń się, Zélie.

Choć w głosie Mamy Agby pobrzmiwa wyraźna reprimenda, nie potrafię się przemóc. Stojąc tak blisko Jemi, widzę tylko jej bujne czarne włosy i kokosowy brąz skóry znacznie jaśniejszej niż moja. To karnacja tych spośród Oriszan, którzy nie wiedzą, czym jest praca w słońcu. Jemi zawdzięcza to uprzywilejowanie cichemu wsparciu ojca, którego nawet nie zna. Arystokraty, który pozbył się nieprawej córki, umieszczając ją w naszej wiosce.

Odchylam barki do tyłu i zamiast się ukłonić, dumnie wypinam pierś. Jemi odstaje wyglądem od ibawitek o śnieżnobiałych włosach. Od ibawitek bezustannie zmuszanych do kłaniania się takim jak ona.

– Zélie, nie każ mi się powtarzać.

– Ale Mamo...

– Ukłoń się albo zejdz z ringu! Nie marnuj naszego czasu.

Nie mając wyboru, zaciskam zęby i pochylam głowę. Na ustach Jemi rozkwita nieznośny uśmiezek.

– Czy to takie trudne? – Kłania się znowu, choć nie musi. – Lepiej przegrać z honorem.

Wśród dziewczyn rozlegają się tłumione chichoty. Mama Agba ucisza je stanowczym gestem. Rzucam im złowrogie spojrzenie, po czym koncentruję się znowu na przeciwniczce.

Zobaczmy, komu będzie do śmiechu, gdy wygram.

– Na miejsca.

Obie cofamy się do krawędzi maty i unosimy swoje kije. Drwiący uśmieszek spełza z ust Jemi, a jej oczy zwięzają się w szparki. To instynkt zabójczyni.

Patrzemy na siebie i czekamy na znak. Mama Agba przeciąga tę chwilę w nieskończoność, wreszcie woła:

– Do boju!

I od razu muszę się bronić.

Nawet nie zdążyłam pomyśleć o wyprowadzeniu ataku, a Jemi już doskakuje do mnie z prędkością gepardona. Bierze zamach kijem, mierząc w moją szyję. Ale choć za plecami słyszę stłumione okrzyki dziewcząt, ani na moment nie tracę zimnej krwi.

Jemi jest szybka, lecz ja potrafię być jeszcze szybsza.

Unikam ciosu, wyginając się mocno do tyłu. Jemi nie czeka, aż się wyprostuję – wyprowadza kolejny atak, tym razem tnąc kijem z góry na dół z siłą dziewczyny dwa razy większej od siebie.

Rzucam się w bok i przetaczam po macie, a kij z trzaskiem uderza o trzciny. Jemi już bierze następny zamach.

– Zélie! – ostrzega mnie Mama Agba, lecz nie potrzebuję jej pomocy.

Jednym płynnym ruchem przechodzę w kucki i wyciągam kij do góry, parując uderzenie Jemi.

Trzciniowe ściany aż się zatrzęsły od głośnego trzasku. Moja broń też jeszcze drży, kiedy Jemi zamachuje się znowu, tym razem za cel obierając moje kolana.

Odbijam się z wysuniętej do przodu nogi, robię koziołka w powietrzu ponad jej wyciągniętym kijem. Oto moja pierwsza szansa, by przejść do ataku. Wykorzystując pęd, wyprowadzam pierwszy cios. Z mojego gardła dobywa się stęknienie.

Jemi kontruje, przerywając mój atak, zanim na dobre się zaczął.

– Cierpliwości, Zélie! – woła Mama Agba. – Nie spiesz się. Obserwuj i reaguj. Czekaj na atak.

Tłumię wzbierający w piersi jęk i kiwam głową. *Cierpliwości*, powtarzam sobie. *Poczekaj na lepszą okazję...*

– Właśnie, Zél – odzywa się Jemi cicho, żeby nikt poza mną nie usłyszał. – Słuchaj się Mamy Agby. Bądź grzeczną glistą.

No tak, mogłam się tego spodziewać.

To słowo.

Ta wstrętna obelga.

Wypowiedziana niby od niechcienia. Zawinięta w arogancki uśmieszek.

Bez namysłu wyrzucam kij przed siebie. Mija brzuch Jemi o włos. Czeka mnie za to straszliwe lanie od Mamy Agby, ale i tak było warto. Nagrodą jest wystraszone spojrzenie mojej przeciwniczki.

– Ej! – Jemi spogląda w stronę Mamy, oczekując od niej interwencji, ale nie ma czasu się poskarżyć. Wielkimi oczami patrzy, jak obracam kij do kolejnego ataku. – To nie jest trening! – woła, uskakując przed ciosem w kolana. – Mamo...

– Sama sobie nie poradzisz? – pytam ze śmiechem. – No dalej, Jem. Lepiej przegrać z honorem!

W oczach Jemi pojawiają się gniewne błyski. Wygląda jak lworożec gotowy do skoku. Wściekle zaciska dłoń na kiju.

Zaczyna się prawdziwa walka.

Ściany chaty Mamy Agby szeleszczą, gdy nasze kije uderzają o siebie. Wymieniamy cios za cios, wypatrując szansy na kontrę, która przesądzi o wszystkim. Dostrzegam okazję i wtedy...

– Uch!

Kuląc ramiona, zataczam się do tyłu, fala mdłości podchodzi mi do gardła. Przez chwilę martwię się, że Jemi połamała mi żebra, lecz ból w brzuchu rozwiewa tę obawę.

– Stop!

– Nie! – przerywam Mamie Agbie zachrypniętym głosem. Z wysiłkiem wciągam powietrze do płuc i wspierając się kijem, prostuję plecy. – Nic mi nie jest.

Jeszcze nie skończyłam.

– Zélie... – zaczyna Mama, lecz Jemi nie pozwala wybrzmieć jej słowom.

Już mknie w moją stronę z ogniem w oczach, jej wyciągnięty kij prawie muska mi głowę. Gdy bierze nim zamach, uskakuję na bezpieczną odległość, a potem, łapiąc Jem na wyroku, dźgam ją z całej siły w mostek.

– Uch! – Jemi zatacza się do tyłu z twarzą wykrzywioną bólem. Jeszcze nigdy podczas walki w chacie Mamy Agby nie została przez nikogo trafiona. Nie zna tego uczucia.

Nie czekając, aż dojdzie do siebie, okręcam się i uderzam ją w brzuch. Już mam zadać ostateczny cios, gdy rudawe płachty u wejścia do chaty rozchylają się i do środka wpada zdyszana Bisi z rozwianą białą grzywą. Szuka wzrokiem Mamy Agby.

– Co się stało?

Bisi ma łzy w oczach.

– Przepraszam – kwili cicho. – Zasnęłam. Ja... ja...

– Wyduś to z siebie, dziecko!

– Nadchodzą! – wykrzykuje wreszcie. – Są już blisko!

Groza tej chwili na moment wysysa mi całe powietrze z płuc. Zresztą nie tylko mnie. Wszystkie jesteśmy sparaliżowane strachem.

Instykt przetrwania bierze jednak górę.

– Prędko! – rzuca Mama Agba. – Nie ma czasu!

Podnoszę Jemi z podłogi. Oddycha ciężko, ze świstem, ale musi wziąć się

w garść. Chwytam jej kij i zbieram pozostałe.

W chacie panuje wielkie zamieszanie. Wszyscy zacierają ślady. W powietrzu fruwią metry jasnej tkaniny. Powstaje armia trzciniowych manekinów. Czy zdążymy? Trudno powiedzieć w tym rozgardiaszu. Ja robię swoje: chowam kije pod matą ringu, żeby nikt ich nie zobaczył.

Ledwie skończyłam, Jemi wpycha mi do rąk drewnianą igłę. Biegnę na swoje stanowisko, gdy płachty znów się rozwierają.

– Zélie! – woła ostro Mama Agba.

Zastygam w bezruchu. Wszystkie oczy patrzą teraz na mnie. Nie czekając, aż się odezwę, Mama daje mi po głowie, aż czuję gorące mrówki na plecach.

– Wracaj na swoje miejsce! – rzuca surowo. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć.

– Mamo Agbo, ja...

Nachyla się bliżej z błyskiem prawdy w oczach.

Odwrócenie uwagi...

Próbuje zyskać dla nas więcej czasu.

– Przepraszam, Mamo Agbo. Wybacz mi.

– Wracaj na swoje miejsce.

Zagryzam wargę, żeby się nie uśmiechnąć, i zwieszam przepaszająco głowę, zerkając kątem oka na strażników, którzy weszli do chaty. Niższy, jak większość oriszańskich żołnierzy, wyglądem przypomina Jemi: kokosowy brąz zwieńczony czarną czupryną. Mimo że otaczają go same młode dziewczyny, trzyma dłoń na rękojeści miecza. Zaciska na niej palce, jakby spodziewał się, że któraś z nas go zaatakuje.

Drugi strażnik, wysoki i poważny, jest od niego dużo ciemniejszy. Stoi blisko wejścia, ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Widocznie ma w sobie choć odrobinę wstydu.

Obaj na żelaznych pancerzach noszą dumnie znak króla Sarana. Samo spojrzenie na ozdobnego białego lampartusa, symbol monarchy, który ich tu przysłał, przyprawia mnie o ścisk żołądka.

Z ostentacyjnym nadęśaniem wracam do swojego trzciniowego manekina. Czuję tak wielką ulgę, że nogi prawie się pode mną uginają. Miejsce, które jeszcze przed chwilą było ringiem, teraz całkiem przekonująco udaje warsztat krawiecki. Manekiny przy każdej z dziewczyn ozdobione są jasnymi materiałami w charakterystyczne wzory Mamy Agby. Od lat w milczeniu obszywamy brzegi tych samych koszul, czekając, aż strażnicy odejdą.

Mama Agba przechadza się między rzędami uczennic i przygląda się ich pracy. Mimo nerwów uśmiecham się, widząc, jak ignoruje nieproszonych gości.

– W czym mogę pomóc? – pyta w końcu.

– Zbieramy podatek – odbąkuje ciemniejszy strażnik.

Mamie Agbie wydłuża się twarz.

– Zapłaciłam w zeszłym tygodniu.

– Nie chodzi o podatek od handlu. – Drugi strażnik toczy wzrokiem po białowłosych ibawitkach. – Wzrosły opłaty za glisty. Wy ich macie dużo, więc będzie was to kosztować.

No tak. Ściskam koszulę manekina z taką siłą, że aż bolą mnie palce. Królowi nie wystarczy pogięć ibawitów. Musi jeszcze ukarać każdego, kto próbuje nam pomagać.

Zaciskam zęby, starając się nie myśleć o strażniku, o bólu, jaki mi sprawiło tamto słowo. G l i s t y. Nieważne, że nigdy nie będzie nam dane stać się magami. W ich oczach wciąż jesteśmy glistami.

I nie będziemy niczym więcej.

Usta Mamy Agby zmieniają się w cienką kreskę. Przecież nie wytrzaśnie tych pieniędzy spod ziemi.

– Podwyższyliście już podatek od ibawitów w zeszłym miesiącu. I dwa miesiące temu.

Jaśniejszy strażnik robi krok do przodu i sięga po miecz, jakby chciał pokazać, że nie będzie się z nikim patyczkował.

– Może byłoby mądrzej nie zadawać się z glistami.

– Może byłoby mądrzej nas nie okradać.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Nie zdążyłam się ugryźć w język. Wszyscy w chacie wstrzymują oddech. Mama Agba sztywnieje, jej ciemne oczy błagają mnie, bym zamilkła.

– Nie możecie bez końca podnosić podatków – oznajmiam. – I bawici nie zarabiają więcej niż do tej pory. Skąd mamy wziąć tyle pieniędzy?

Strażnik zbliża się niespiesznym krokiem. Korci mnie, żeby sięgnąć po kij. Mogłabym zwalić mężczyznę z nóg jednym precyzyjnym uderzeniem; jednym celnym pchnięciem zmiażdżyłabym mu gardło.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że miecz tego strażnika nie jest zwykłym mieczem. W pochwie pobłyskuje czarne ostrze, metal droższy niż złoto.

Majacyt.

Stop przygotowany przez króla Sarana przed Obławą. Broń stworzona po to, by osłabić naszą magię i wypalać dziury w naszych ciałach.

Tak jak czarny łańcuch, który zawiesili na szyi Mamy.

Potężny mag lub magiczka mogą przewyciężyć jego moc, ale większość z nas jest bezsilna wobec tego rzadkiego metalu. Choć sama nie władam żadną magią, i tak dostaję gęziej skórki, gdy strażnik zbliża się do mnie z majacytowym ostrzem.

– Na twoim miejscu trzymałbym język za zębami, dziewczynko.

Ma rację. Powinnam milczeć. Schować urażoną dumę do kieszeni. Dożyć jutra.

Ale gdy tak stoimy twarzą w twarz, muszę walczyć ze sobą, żeby mu nie wbić drewnianej igły w to błyszczące piwne oko.

Może ja powinnam być cicho.

A może on powinien umrzeć.

– Sam trzymaj...

Mama Agba odpycha mnie tak mocno, że się przewracam.

– Proszę. – Wręcza mu garść monet.

– Mamo, nie... – odzywam się, ale zamieram pod jej groźnym spojrzeniem.

Zamykam usta, podnoszę się i chwytam wzorzystej koszuli manekina.

Strażnik przelicza brzęczące brązowe monety w dłoni. W końcu odchrząkuje.

– Za mało.

– Musi wystarczyć – odpowiada Mama Agba z nutą desperacji. – To wszystko, co mam.

Nienawiść aż we mnie kipi, parzy mnie od wewnątrz. To nie w porządku, że Mama Agba musi błagać o litość. Unoszę wzrok i natrafiam na spojrzenie strażnika. Błąd. Nie zdążyłam się odwrócić i ukryć obrzydzenia. Mężczyzna chwytam mnie za włosy.

– Au! – krzyczę z bólu.

Strażnik rzuca mnie na twarz i przygniata kolanem do ziemi. Na chwilę tracę dech.

– Może i nie macie pieniędzy – mówi – ale za to glist jest pod dostatkiem. – Chwyta mnie brutalnie za udo. – Zacznę od tej.

Robi mi się gorąco, łapię powietrze ustami, zaciskam dłonie w pięści, żeby nie było widać, że się trzęsę. Chcę krzyżeć, chcę mu połamać wszystkie kości, ale słabnę z każdą sekundą. Jego dotyk upokarza mnie i unicestwia. Na chwilę znów staję się małą dziewczynką, bezsilną jak wtedy, gdy żołnierz wywlekał jej matkę z domu.

– Dość! – Mama Agba odsuwa strażnika i przygarnia mnie do piersi, warcząc jak lworożka broniąca młodych. – Dałam wam pieniądze, na więcej nie liczcie. Precz stąd.

Podrażniony jej zuchwałością strażnik sięga po miecz, ale ciemniejszy towarzysz chwytam go za ramię.

– Chodź. Musimy obejść całą wieś przed zmierzchem. – Wypowiada te słowa spokojnie, ale jakby zaciskając przy tym szczękę. Może ujrzał w naszych twarzach własną matkę albo siostrę, może przypominamy mu kogoś, kogo chciałby chronić.

Jego towarzysz na chwilę zastyga w złowieszczym bezruchu. Wreszcie zdejmuję rękę z miecza i tylko tnie nas wzrokiem.

– Nauczcie te czaraluchy pokory albo ja to zrobię – ostrzega Mamę Agbę.

Potem kieruje spojrzenie w moją stronę. I choć leje się ze mnie pot, w środku czuję mróz. Strażnik mierzy mnie wyzywającym wzrokiem.

Tylko spróbuj, mam ochotę odszczeknąć, ale język wysechł mi na wiór. W milczeniu patrzymy, jak mężczyźni wychodzą, słuchamy, jak odgłosy podkutych butów nikną w oddali.

Siła opuszcza Mamę Agbę; przypomina teraz płomień świecy zdmuchnięty przez wiatr. Podpiera się na manekinie, żeby nie upaść. Już nie jest śmiertelnie groźną wojowniczką, którą znam, lecz starą, niepozorną kobietą.

– Mamo...

Chcę jej pomóc, lecz dostaję od niej po łapach.

– Òdè!

Głupia. Tak mnie nazwała w joruba, języku magów zakazanym od czasu Obławy. Tak dawno nie słyszałam naszej mowy, że upływa chwila, zanim sobie przypominam, co to słowo znaczy.

– Na bogów, co w ciebie wstąpiło?

Znowu wszystkie oczy w ahéré zwracają się na mnie. Nawet mała Bisi spogląda z wyrzutem. Ale jak Mama Agba może na mnie krzyżeć? Czy to moja wina, że strażnicy są złodziejami?

– Próbowałam cię bronić.

– Bronić mnie? – powtarza z niedowierzaniem Mama Agba. – Wiedziałaś, że nic nie wskórasz swoim gadaniem. Za to niewiele brakowało, a wszystkie byśmy przez ciebie zginęły!

Robię krok w tył, zaskoczona surową oceną. Nigdy wcześniej nie widziałam w oczach Mamy Agby tak głębokiego rozczarowania.

– Skoro nie wolno mi się im przeciwstawić, co my tu w ogóle robimy? – Głos mi się łamie, ale powstrzymuję łzy. – Po co nam trening, jeśli nie możemy się bronić?

– Na litość boską, Zélie, pomyśl trochę! O innych, a nie tylko o sobie. Gdybyś zrobiła krzywdę tym ludziom, kto by obronił twojego ojca? Kto uratuje Tzaina, gdy strażnicy przyjdą szukać krwawej pomsty?

Otwieram usta, lecz nie wiem, co odpowiedzieć. Ona ma rację. Nawet gdybym zdołała pokonać kilku strażników, nie poradzę sobie z armią. Prędeż czy później mnie znajdą.

Prędeż czy później złamię ludzi, których kocham.

– Mamo Agbo? – odzywa się cienkim głosem Bisi. Stoi ze łzami w oczach, uczepiona luźnych spodni Jemi. – Dlaczego oni nas nienawidzą?

Mama zgina się pod niewidzialnym ciężarem. Wyciąga ramiona w stronę Bisi.

– To nie tak, moje dziecko. Oni nienawidzą tego, kim miałaś się stać.

Bisi wtula się w Mamę, szata tłumy jej łkanie. Mama Agba rozgląda się po izbie, patrzy w oczy innym dziewczynom, które powstrzymują płacz.

– Zélie spytała, co my tu robimy. To ważne pytanie. Często rozmawiamy o tym, jak walczyć, a nigdy o tym dlaczego. – Mama sadza Bisi na podłodze i kiwa dłonią na Jemi, żeby przyniosła jej stołek. – Musicie pamiętać, że świat nie zawsze tak wyglądał. Był czas, kiedy wszyscy stali po jednej stronie.

Mama Agba sadowi się na siedzisku, a zaciekawione dziewczyny zbierają się wokół niej. Codziennie Mama kończy zajęcia opowieścią lub baśnią, nauką z dawnych czasów. Zwykle siadam z przodu i chłonę każde słowo. Dziś trzymam się z boku, bo jest mi wstyd.

Mama Agba miarowo pociera dłonie. Mimo tego, co się wydarzyło, na jej ustach migocze niewyraźny uśmiech, uśmiech, który potrafi wywołać tylko jedna opowieść. Nie mogę się oprzeć, podchodzę bliżej, przeciskam się między dziewczynami. To nasza historia. Opowieść o nas.

Prawda, którą król usiłował pogrzebać razem z naszymi zmarłymi.

– Na początku Orisza była szczęśliwą krainą uświęconych magów. Każdy z dziesięciu klanów został obdarzony przez bogów inną mocą. Jedni władali wodą, inni panowali nad ogniem. Jeszcze inni czytali w myślach, a nawet sięgali wzrokiem poza czas!

Choć wszystkie dobrze znamy tę opowieść – od Mamy Agby, od rodziców, których straciłyśmy – nie przestaje robić na nas wrażenia. Z wypiekami na twarzy słuchamy o magach posiadających dar uzdrawiania i wywoływania

chorób. Nachylamy się bliżej, kiedy Mama Agba opowiada o poskromicielach dzikich zwierząt, o magach trzymających w dłoniach światło i mrok.

– Wszyscy magowie rodzili się z białymi włosami – to był znak, że dotknął ich palec bogów. Używali swoich darów, by służyć ludowi Oriszy, a w zamian otaczano ich szacunkiem. Ale nie każdy przychodził na świat z darem. – Mama Agba zatacza dłonią koło. – I dlatego świętowano narodziny nowego maga, cieszą się na widok białych loków. Ci mali wybrańcy do ukończenia trzynastego roku nie byli w stanie używać magii. Dopóki ich moce się nie objawiły, nazywano ich *ibawi*, czyli boskimi.

Bisi z uśmiechem unosi brodę: przypomniła sobie, dlaczego jesteście *ibawitkami*. Mama Agba chwyta między palce pasmo jej białych włosów, znak szczególny, który nauczono nas ukrywać przed światem.

– Magowie i magiczki stali się pierwszymi królami i królowymi Oriszy. To były czasy bez wojen... Pokój jednak nie trwał wiecznie. Gdy rządzący zaczęli nadużywać magii, bogowie za karę pozbawili ich mocy. Razem z magią zniknęły białe włosy... W kolejnych pokoleniach podziw dla magów stopniowo przeradzał się w strach przed nimi, a strach w nienawiść. Nienawiść zaś w przemoc, w pragnienie wytępienia magów.

W izbie zrobiło się teraz jakby ciemniej. Wszystkie wiemy, co było dalej. Noc, której nigdy nie wspominamy i której nigdy nie zapomnimy.

– Dopóki magowie mieli swoje moce, byli w stanie się bronić i trwać. Ale jedenaście lat temu magia zniknęła. Tylko bogowie wiedzą dlaczego. – Mama Agba zamyka oczy i wydaje z siebie ciężkie westchnienie. – Jednego dnia magia żyła, następnego umarła.

Tylko bogowie wiedzą dlaczego?

Z szacunku dla Mamy Agby gryzę się w język. Mówi tak, jak wszyscy dorośli, którzy widzieli Obławę na własne oczy. Z rezygnacją. Jak gdyby bogowie odebrali nam moc, żeby nas ukarać, a może pod wpływem kaprysu.

W głębi duszy znam prawdę. Domyśliłam się jej, kiedy zobaczyłam magów Ibadanu w kajdanach.

Bogowie umarli razem z naszą magią.

Już nie wróca.

– Tamtego nieszczęsnego dnia król Saran nie wahał się ani chwili – ciągnie Mama Agba. – Wykorzystał moment słabości magów i zaatakował.

Zamykam oczy, stawiam tamę łzom. Widzę łańcuch, który zarzucili na szyję Mamie. Krople krwi lądujące w piasku.

Wspomnienie Obławy przepelnia trzcinową chatę, nasycza powietrze smutkiem.

Tamtej nocy wszystkie straciłyśmy bliskich, którzy byli magami.

Mama Agba wstaje z westchnieniem, znów nabiera siły, z której jest znana. Patrzy po kolei na wszystkie dziewczyny w izbie – jak generał przeglądający swoje wojsko.

– Uczę sztuki kija każdą dziewczynę chętną do nauki, bo zawsze znajdą się na tym świecie ludzie, którzy będą chcieli zrobić wam krzywdę. Ale tutaj szkolę ibawitki, córki poległych magów. Choć nie macie już w sobie mocy, aby w przyszłości stać się magiczkami, nadal cierpicie z powodu nienawiści i przemocy. Oto dlaczego tu jesteśmy. Oto dlaczego trenujemy.

Mama gwałtownym ruchem dobywa własny rozkładany kij i uderza nim o trzcinową podłogę.

– Wasi przeciwnicy noszą miecze. Dlaczego uczę was władania kijem?

Powtarzamy chórem mantrę, którą nam wpoila:

– Uderza zamiast ranić, rani zamiast okaleczać, okalecza zamiast zabijać. Kij nie unicestwia.

– Uczę was walki w ogrodzie, abyście na polu walki nie były jak ogrodniczki. Daję wam siłę do walki, ale umiar także jest siłą, którą musicie posiadać. – Mama zwraca się do mnie: – Macie bronić tych, którzy sami się nie obronią. Oto prawda kija.

Dziewczyny kiwają głowami, a ja wbijam wzrok w ziemię. Znowu prawie doprowadziłam do tragedii. Znowu wszystkich zawiodłam.

– No dobrze... – wzdycha Mama Agba. – Wystarczy na dziś. Pozbierajcie swoje rzeczy. Ciąg dalszy jutro.

Dziewczyny z ulgą wychodzą jedna po drugiej. Chcę pójść w ich ślady, lecz

pomarszczona ręka Mamy Agby chwyta mnie za ramię.

– Mamo...

– Milcz – ucina.

Ostatnie ibawitki rzucają mi współczujące spojrzenia. Łapią się odruchowo za pupy, jakby w myślach liczyły, ile dostanę batów.

Dwadzieścia za nieposłuszeństwo... Pięćdziesiąt za odzywianie się bez pytania... Sto za to, że prawie nas wszystkie zabiłam...

Nie. Sto batów byłoby zbyt pobłażliwą karą.

Wstrzymuję oddech i szykuję się na ból.

To nie potrwa długo, mówię sobie. Skończy się, zanim...

– Usiądź, Zélie.

Mama Agba podaje mi kubek z herbatą, po czym nalewa sobie. Ciepłe naczynie ogrzewa mi dłonie, słodka woń napoju wypełnia nozdrza.

Marszczę brwi.

– Dodałaś trucizny?

Kąciki jej ust drgnęły, ale ukrywa rozbawienie pod surową miną. Ja ukrywam swoje w kubku z herbatą, upijam łyk i rozkoszuję się smakiem miodu. Obracam kubek w dłoniach, wodzę palcami po lawendowych koralikach wzdłuż brzegu. Mama też miała taki kubek, tylko ze srebrnymi paciorkami – na cześć Oi, bogini życia i śmierci.

Wspomnienia na chwilę pozwalają mi zapomnieć o rozczarowaniu Mamy Agby, lecz gdy smak herbaty zanika, znów ogarnia mnie gorzkie poczucie winy. Mama Agba nie powinna musieć znosić takich szykan. Nie z mojego powodu.

– Przepraszam. – Skubię koraliki na krawędzi kubka, żeby nie podnosić wzroku. – Wiem... Wiem, że tylko przysparzam ci kłopotów.

Mama Agba, tak jak Jemi, jest kosidanką. Oriszanką, w której nie drzemią żadne magiczne moce. Przed Obławą myśleliśmy, że bogowie decydują o tym, kto się rodzi ibawitą, a kto nie; teraz, gdy magia zniknęła, nie rozumiem, czemu właściwie służy to rozróżnienie.

Mama Agba nie ma białych włosów jak my, mogłaby się wtopić w resztę Oriszian i uniknąć prześladowań. Gdyby się z nami nie zadawała, strażnicy pewnie daliby jej spokój.

Jakaś częśćka mojej duszy chciałaby, żeby Mama Agba nas porzuciła i oszczędziła sobie tych cierpień. Jako dobra krawcowa pewnie mogłaby sprzedawać ubrania i nieźle z tego żyć.

– Zaczynasz coraz bardziej ją przypominać, wiesz? – Mama Agba upija łyżeczkę herbaty i się uśmiecha. – Zwłaszcza gdy krzyczysz, podobieństwo jest zatrważające. Odziedziczyłaś jej gniew.

Nie wierzę własnym uszom. Mama Agba nie lubi rozmawiać o tych, których straciliśmy.

Żadna z nas tego nie lubi.

Aby ukryć zaskoczenie, upijam kolejny łyk herbaty. Potem kiwam głową.

– Wiem.

Nie pamiętam, kiedy dokładnie się to stało, ale zmiana w zachowaniu Baby była nie do przeczenia. Przestał patrzeć mi w oczy, bo widział we mnie swoją zamordowaną żonę.

– To dobrze. – Z twarzy Mamy Agby znika uśmiech, a pojawia się na niej wyraz troski. – W czasie Obławy byłeś jeszcze dzieckiem. Bałam się, że zapomnisz.

– Nie potrafiłabym, nawet gdybym chciała.

Jak mogłabym zapomnieć tę twarz niczym słońce?

Właśnie tę twarz staram się pamiętać.

Samą twarz, a nie zwłoki ze strużką krwi na szyi.

– Wiem, że walczysz dla niej. – Mama Agba przesuwa dłonią po moich białych włosach. – Ale król jest bezwzględny, Zélie. Prędzej wymorduje wszystkich poddanych, niż przymknie oko na bunt ibawitów. Kiedy przeciwnik nie ma honoru, trzeba obrać inne, mądrzejsze metody walki.

– Takie jak okładanie tych drani kijem?

Mama Agba się śmieje, aż marszczy jej się skóra wokół mahoniowych

oczu.

– Obiecuj mi tylko, że będziesz ostrożna. Że poczekaś na odpowiedni moment do walki.

Chwytam Mamę Agbę za dłonie i chylę przed nią nisko głowę na znak szacunku.

– Obiecuję, Mamo. Więcej cię nie zawiodę.

– To dobrze, bo jest coś, co mam zamiar ci pokazać, a nie chciałabym potem tego żałować.

Mama Agba sięga za pazuchę i wydobywa spod szaty krótki czarny pręt. Wstrząsa nadgarstkiem, a pręt wydłuża się i zmienia w lśniący metalowy kij do walki. Odskakuję odruchowo.

– O bogowie! – wyrywa mi się. Muszę ze sobą walczyć, żeby nie chwycić tego arcydzieła.

Czarny metal pokrywają prastare symbole, każdy z nich przypomina o jednej z lekcji udzielonych nam przez Mamę Agbę. Moje oczy, niczym pszczoły zwabione przez nektar, zatrzymują się najpierw na akofenie: dwa skrzyżowane ostrza, miecze wojny. „Odwaga nie musi grzmieć” – wspominam jej słowa. „Męstwo nie musi oślepiać”. Obok mieczy widnieje *akoma*, serce cierpliwości i tolerancji. Tamtego dnia... Dałabym głowę, że tamtego dnia dostałam od niej lanie.

Każdy kolejny symbol odsyła mnie do innej nauki, innej opowieści, innej mądrości. Spoglądam wyczekująco na Mamę. To prezent czy raczej narzędzie, którym wymierzy mi karę?

– Proszę. – Kładzie gładki pręt na mojej dłoni.

Natychmiast wyczuwam jego moc. I ten ciężar żelaza... Oto broń stworzona do gruchotania czaszek.

– Czy to się dzieje naprawdę?

Mama twierdząco kiwa głową.

– Walczyłaś dziś jak wojowniczką. Zdałaś egzamin.

Wstaję, żeby zakręcić kijem, ponapawać się jego siłą. Metal tnie powietrze jak nóż. Żaden wystrugany przeze mnie drewniany kij nie był tak zabójczy.

– Pamiętasz, co ci powiedziałam, kiedy zaczynałyśmy treningi?

Potwierdzam skinieniem głowy i przedrzeźniam zmęczony głos Mamy Agby:

– Jeśli zamierzasz się bić ze strażnikami, lepiej naucz się wygrywać.

Dostaję od niej po głowie, ale trzcinowe ściany izby rozbrzmiewają jej serdecznym śmiechem. Oddaję kij, a Mama Agba uderza końcem o ziemię i broń składa się z powrotem w krótki pręt.

– Ty już wiesz, jak wygrywać – mówi. – Mam tylko nadzieję, że będziesz wiedziała, kiedy się bić.

Gdy znowu wręcza mi kij, duma miesza się we mnie z bólem. Bojąc się otworzyć usta, obejmuję ją w pasie, wciągam nosem znajomy zapach świeżo upranej tkaniny i słodkiej herbaty.

Mama Agba na moment sztywnieje, ale przytula mnie mocno, kojąco. Potem się odsuwa, żeby coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili płachty u wejścia znów się rozchylają.

Odruchowo chwytam czarny pręt i dopiero po sekundzie rozpoznaję mojego starszego brata Tzaina. Wysoki, potężnie zbudowany, w jego obecności trzcinowa chatka wydaje się nagle dużo mniejsza. Mięśnie ma napięte, ścięgna rysują się wyraźnie pod ciemną skórą. Spomiędzy czarnych włosów obficie ścieka mu na czoło pot. Gdy napotykam jego wzrok, ostry niepokój przesywa mi serce.

– Baba.

ROZDZIAŁ 2



ZÉLIE

Baba.

To samotne „Baba” nie może oznaczać nic dobrego.

Oznacza, że Babie stała się jakaś krzywda. Że jest ranny albo nawet gorzej...

Nie. Odpycham te myśli, biegnąc z Tzainem po chodniku z desek przez kupiecką część osady. *Nic mu nie jest*, wmawiam sobie. *Cokolwiek się stało, na pewno będzie żył.*

Ilorin wstaje razem ze słońcem. Nasza wioska na oceanie budzi się do życia. Fale tłuką o drewniane słupy, morską mgiełka skrapia nam stopy. Osada jest niczym pająk na ośmiu drewnianych nogach, które spotykają się pośrodku. Biegniemy teraz do tego środka, bo tamtędy prowadzi droga do Baby.

– Ejże! – woła kosidanka, której prawie strąciłam z głowy kosz rajskich bananów. Może gdyby wiedziała, że mój świat właśnie się rozpada, byłaby dla mnie wyrozumialsza.

– Co się stało? – pytam zdyszana.

– Nie wiem – odpowiada Tzain. – Ndulu przyszedł do mnie na trening agböna. Powiedział, że Baba ma kłopoty. Wracając do domu, spotkałem Jemi. Mówiła, że miałaś scysję ze strażnikami.

Bogowie, a jeśli to ten człowiek, który był u Mamy Agby? Czuję, jak wzbiera we mnie zimny strach. Chodnik jest zatłoczony, przedzieramy się między handlarkami i rzemieślnikami. Strażnik, który mnie zaatakował, mógł pójść po Babę. A wkrótce pójdzie po...

– Zélie! – woła Tzain zniecierpliwionym tonem kogoś, kto nie może się

doprosić o uwagę. – Dlaczego zostawiłaś go samego? Dziś była twoja kolej!

– Miałam egzamin końcowy! Gdybym się nie stawiła...

– Cholera, Zél! – Tzain tak się na mnie wydiera, że ludzie obracają głowy.

– Mówisz poważnie? Zostawiłaś Babę dla swojego głupiego kija?

– To nie jest zwykły kij, to broń! – odparowuję. – Poza tym Baba spał do późna. Potrzebował odpoczynku. A ja byłam z nim w domu cały tydzień...

– Bo ja byłem z nim cały zeszły tydzień! – Tzain przeskakuje nad raczkującym dzieckiem.

Jakaś młoda kosidanka uśmiecha się do niego, macha zalotnie, pewnie licząc, że go w ten sposób zatrzyma. Wioskowi jak zwykle lgną do mojego brata jak muchy do miodu. Ja nie muszę się martwić, że ktoś mi zagrozi drogę – za sprawą moich białych włosów ludzie unikają mnie jak zarazy.

Tzain peroruje dalej:

– Do igrzysk zostały dwa miesiące. Wiesz, co by to dla nas oznaczało, gdybym wygrał tyle pieniędzy? Kiedy ja trenuję, ty musisz opiekować się Babą. Naprawdę tak trudno to zrozumieć? Do licha.

Tzain zatrzymuje się przed pływającym targowiskiem w samym środku Ilorinu. Na tym otoczonym pomostami kawałku oceanu roi się od wieśniaków w okrągłych łodziach z drewna kokosowego. Zanim rozpocznie się handel, można przebiec po kładce nocnej do naszego domu w części rybackiej. Dziś jednak targ otworzył się wcześniej i kładka zniknęła. Musimy biec naokoło.

Tzain, jak przystało na sportowca, już mknie pomostem. Zaczynam biec za nim, ale przystaję i spoglądam na okrągłe łódki.

Kupcy i rybacy wymieniają świeże owoce na dorodne ryby z ранnego połowu. W lepszych czasach ludzie są dla siebie życzliwsi, bardziej skorzy do ustępstw. Dziś jednak strasznie się wyklócają, w zamian za obietnice i ryby żądają srebra i brązu.

Podatki...

Obmierzła twarz strażnika znów staje mi przed oczami, a jego niewidzialny uścisk parzy mi udo. Wspomnienie tamtego nienawistnego spojrzenia popycha mnie naprzód. Wskakuję do pierwszej z brzegu łódki.

– Zélie, uważaj! – krzyczy Kana, nasza wioskowa ogrodniczka, tuląc do siebie swoje cenne owoce. Poprawia chustę na głowie i patrzy za mną surowo, gdy przeskakuję do krypy pełnej niebiesko połyskujących ryb księżycowych.

– Przepraszam! – wołam raz po raz, skacząc z łodzi do łodzi.

Wreszcie docieram na pomost po drugiej stronie i puszczam się biegiem, dudniąc stopami po twardych deskach. Nie czekam na Tzaina, który został w tyle. Chcę być pierwsza na miejscu, żeby móc go ostrzec w razie niebezpieczeństwa.

W razie gdyby Baba już nie żył...

Na samą myśl miękną mi nogi. Nie, Babie nie wolno umrzeć. Jest ranek, musimy załadować łódź i wypłynąć na morze. Zanim zarzucimy sieci, będzie już po najlepszych rybach. Kto mnie za to zgani, jeśli Baba zniknie?

Przypominam sobie, jak wyglądał, kiedy wychodziłam z naszej pustej chaty. Nawet we śnie sprawiał wrażenie zmęczonego, jak gdyby żaden odpoczynek nie był dla niego wystarczający. Miałam nadzieję, że nie zbudzi się do mojego powrotu, ale powinnam być mądrzejsza. Leżąc nieruchomo, musi się mierzyć ze swoim bólem, z wyrzutami sumienia.

I ze mną.

Z moimi głupimi błędami.

Zwalniam, by nie wpaść na zbiegowisko przed naszą ahéré. Ludzie zasłaniają mi ocean, krzyczą i pokazują coś palcami. Tzain dogania mnie i pierwszy przedziera się przez tłum. Spoglądam za nim w prześwit – i serce we mnie zamiera.

Daleko na morzu, jakieś pół kilometra od nas, ktoś rozpaczliwie wymachuje rękoma. Potężne fale walą w biedaka, wpychają go pod wodę. Mężczyzna woła o pomoc słabym, rwącym się głosem, który jednak rozpoznałabym wszędzie.

To głos mojego ojca.

Dwóch rybaków w łodziach z drewna kokosowego wiosłuje gorączkowo w jego kierunku, lecz fale ich odpychają. Trudno im będzie dotrzeć do niego w porę.

– Nie! – wołam przerażona, widząc, jak prąd wciąga Babę pod wodę.
Na próżno czekam, aż się wynurzy spod wściekłych fal. Spóźniliśmy się.
Baba utonął.

Ta myśl uderza mnie jak cios kijem w pierś. W głowę. W serce.

Nagle brakuje mi powietrza, jakbym zapomniała, jak się oddycha.

Ale podczas gdy ja ledwie stoję na nogach, Tzain rusza do akcji. Krzyczę za nim, kiedy wskakuje do wody i przecina fale z impetem dwupłetwego rekina.

Jeszcze nigdy nie widziałam go płynącego w takim tempie. Wnet wyprzedza łódzie, a kilka sekund później dociera do miejsca, w którym zniknął Baba, i daje nura pod wodę.

Czuję taki ucisk w piersiach, jakby strach miał mi zaraz połamać żebra. Wreszcie Tzain się wynurza – z pustymi rękoma. Bez ciała.

Bez Baby.

Zdyszany nabiera powietrza i nurkuje ponownie, jeszcze mocniej kopiąc nogami. Każda sekunda wydaje się teraz wiecznością. *Bogowie...*

A jeśli stracę ich obu?

– No dalej! – szepczę wpatrzona w falujące morze. – Wracaj.

Kiedyś już szeptałam te słowa.

Raz w dzieciństwie patrzyłam, jak Baba wyciąga Tzaina z odmętów jeziora, z wodorostów, w które się zaplątał. Potem Baba uciskał jego delikatną klatkę piersiową, lecz dopiero Mama swoją magią przywróciła mu oddech. Wiele ryzykowała, naruszając prawo magów, przywołując na ratunek zakazaną moc krwi. Jej zaklęcia wniknęły w Tzaina jak nić. Przywróciła go do żywych magią umarłych.

Codziennie żałuję, że nie ma jej z nami, ale dziś bardziej niż kiedykolwiek. Żałuję, że magia, która krążyła w jej żyłach, nie krąży w moich.

Żałuję, że nie mogę uratować Tzaina ani Baby.

– Błagam. – Mimo wszystko zamykam oczy i się modlę, tak jak tamtego dnia. Jeżeli wciąż istnieje choć jeden bóg, niech mnie teraz usłyszy. – Błagam!

– Łzy przeciekają mi przez rzęsy. Nadzieja się we mnie kurczy. – Oju,

błagam cię, nie zabieraj ich. Pozwól im wrócić...

– Uch!

Otwieram oczy: Tzain wyłonił się spod wody, jednym ramieniem obejmuje Babę powyżej pasa. Baba kaszle, wylewa się z niego chyba z litr wody – ale żyje.

Żyje.

Padam na kolana, prawie się przewracam na drewniany pomost.

Bogowie...

Nie ma jeszcze południa, a już naraziłam dwie osoby na śmierć.

Sześć minut.

Tyle czasu Baba walczył z falami.

Tyle czasu siłował się z prądem, dusił się z braku powietrza.

Siedzimy w milczeniu w naszej ahéré i nie mogę przestać myśleć o tej liczbie. Widząc, jak Baba się trzęsie, nie mam wątpliwości, że te sześć minut skróciło mu życie o dziesięć lat.

To nie powinno było się wydarzyć. Mimo wczesnej pory dzień można już spisać na straty. Powinnam teraz być na dworze i oczyszczać z Babą poranny połów. Tzain właśnie wracałby z treningu agböna, żeby nam pomóc.

Zamiast tego Tzain ze skrzyżowanymi rękoma przygląda się Babie, zbyt wściekły, by choć zerknąć w moją stronę. W tej chwili mam tylko jednego przyjaciela: Najlę, wierną lworożkę, którą się opiekuję od szczenięcia, odkąd znalazłam ją ranną. Dawno już mnie przerosła; gdy stoi na czterech łapach, sięga Tzainowi do szyi. Dwa postrzępione rogi sterczą jej zza uszu, niebezpiecznie blisko naszych trzciniowych ścian. Podnoszę rękę i Najla instynktownie opuszcza ogromny łeb, ostrożnie manewrując zakrzywionymi kłami wystającymi z pyska. Mruczy, gdy ją po nim drapię. Przynajmniej ona nie jest na mnie zła.

– Co się stało, Babo? – Szorstki głos Tzaina rozdziera ciszę.

Czekamy na odpowiedź, lecz Baba wciąż patrzy tępo w podłogę. Serce mi się kraje na widok tej pustki w jego oczach.

– Babo? – Tzain pochyla się, by w nie spojrzeć. – Pamiętasz, co się stało?
Baba szczerzej opatula się kocem.

– Musiałem wypłynąć na połów.

– Przecież nie wolno ci samemu! – wołam.

Baba krzywi się, a Tzain strofuje mnie wzrokiem.

– Masz coraz gorsze zaniki świadomości – próbuję łagodniej. – Nie mogłeś poczekać, aż wrócę?

Baba kręci głową.

– Nie miałem czasu. Przyszli strażnicy. Chcieli zapłaty.

– Co? – Tzainowi ściągnęły się brwi. – Jak to? Zapłaciłem im w zeszłym tygodniu.

Na wspomnienie dotyku strażnika łapię się odruchowo za fałdę spodni.

– Chodzi o podatek od ibawitów – tłumaczę. – U Mamy Agby też byli. Pewnie odwiedzili wszystkie domy ibawitów w Ilorinie.

Tzain przyciska pięści do czoła. Chciałby wierzyć, że dopóki przestrzegamy reguł narzuconych przez monarchię, dopóty jesteśmy bezpieczni. Zapomina jednak, że to reguły zrodzone z nienawiści do nas.

To samo co wcześniej poczucie winy uciska mi serce jak ciężki kamień. Gdybym nie była ibawitką, nie cierpieliby przeze mnie. Gdyby Mama nie była magiczką, nadal by żyła.

Zaczynam szarpać włosy i niechcący wyrywam sobie parę kosmyków. Nieraz myślę, że powinnam je całkiem zgolić, ale nawet bez tych białych włosów i tak byłabym obciążeniem dla rodziny. To takimi jak my król zapełnia swoje więzienia, takich jak my używa do pracy. Oriszanie chcą się od nas jak najbardziej odróżnić, jak gdyby białe włosy i martwa magia stanowiły wstydliwą zmazę.

Mama mawiała, że dawno temu białe włosy symbolizowały moce nieba i ziemi. Utożsamiano je z pięknem, cnotą i miłością, były oznaką błogosławieństwa bogów. Potem wszystko się zmieniło i magia zaczęła budzić niechęć. Nasze dziedzictwo stało się obiektem nienawiści.

Musiałam się pogodzić z tym okrucieństwem, ale gdy widzę, jak przeze mnie cierpią Tzain i Baba, czuję dojmujący ból. Baba jeszcze nie wykaślał całej słonej wody, a już musimy się zastanowić, jak zwiążemy koniec z końcem.

– A żaglica? – pyta Tzain. – Możemy im oddać żaglicę.

Przechodzę w głąb izby i otwieram naszą żelazną lodówkę. W zimnej morskiej wodzie moczy się wyłowiona przez nas wczoraj żaglica z czerwonym ogonem. Lśniące łuski obiecują pyszne mięso. To rzadki okaz na tych wodach, zbyt cenny, żebyśmy sami go zjedli. Ale gdyby strażnicy się skusili...

– Nie chcą zapłaty w rybach – rzuca ponuro Baba. – Tylko brąz i srebro. – Rozmasowuje palcami skronie, jakby mógł w ten sposób sprawić, że cały świat zniknie. – Kazali mi zdobyć monety, inaczej wezmą Zélie w dyby.

Jego słowa ścinają mi krew w żyłach. Obracam się prędko, nie mogąc ukryć strachu. Dyby to zarządzana przez królewskie wojsko niewolnicza siła robocza Oriszy. Gdy kogoś nie stać na opłacenie podatków, musi odpracować swój dług wobec króla. Tacy nieszczęśnicy pracują bez wytchnienia przy wznoszeniu pałaców, budowie dróg, wydobywaniu węgla.

Kiedyś ten system dobrze służył Oriszy, ale od czasu Oblawy to tylko śmierć zadawana w majestacie prawa. Pretekst do niewolenia moich sióstr i braci – jak gdyby monarchia potrzebowała pretekstu. To głównie sierot nie stać na wysokie daniny do królewskiego skarbcza. Każda podwyżka podatków jest tak naprawdę wymierzona w nasz lud.

Cholera. Walczę ze sobą, by nie okazać strachu. Jeśli wezmą mnie w dyby, nigdy się już nie wydostanę. Stamtąd nie ma ucieczki. Teoretycznie pracuje się tylko do czasu spłaty długu, ale gdy rosną podatki, rośnie i zadłużenie. Ibawici są głodzeni, bici, przewozi się ich jak bydło. Pracują aż do kresu wytrzymałości.

Zanurzam ręce w schłodzonej morskiej wodzie, by ukoić nerwy. Baba i Tzain nie mogą się dowiedzieć, jak bardzo się boję. To tylko pogorszy sprawę. Palce zaczynają mi się trząść i sama już nie wiem, czy to ze strachu, czy z zimna. Jak do tego w ogóle doszło? Kiedy nasza sytuacja stała się aż tak dramatyczna?

– Nie – szepczę sama do siebie.

Źle zadane pytanie.

Nie powinnam się zastanawiać, kiedy sytuacja stała się dramatyczna, tylko dlaczego w ogóle sądziłam, że będzie lepiej.

Spoglądam na samotną czarną kalie wplecioną w siatkowe okno naszej chaty. Tylko tyle zostało mi po Mamie. Kiedy mieszkaliśmy w Ibadanie, wieszala kalie w oknie naszego starego domu, aby uczcić pamięć własnej matki, zgodnie ze zwyczajem panującym wśród magów.

Zwykle patrząc na ten kwiat, przypominam sobie szeroki uśmiech na ustach Mamy, kiedy wdychała jego cynamonowy aromat. Dziś w zwiędłych liściach widzę tylko czarny majacytowy łańcuch, który zastąpił noszony przez nią na szyi złoty amulet.

Choć minęło jedenaście lat, widzę go wyraźnie, jakbym go miała przed sobą.

To tamtej nocy zaczął się nasz dramat. To wtedy król Saran powiesił moich braci i siostry, wydał wojnę obecnym i przyszłym magom. To wtedy magia umarła.

Tamtej nocy straciliśmy wszystko.

Baba się trzęsie. Podbiegam do niego, kładę mu rękę na plecach, żeby miał podparcie. W jego oczach nie widać złości, tylko rezygnację. Tuli w dłoniach wytarty koc, a ja żałuję, że nie jest już tym wojownikiem co dawniej. Przed Obławą potrafił zwykłym nożem odeprzeć trzech uzbrojonych napastników. Ale po tym, co mu zrobiono tamtego wieczoru, musiało minąć pięć długich miesięcy, zanim w ogóle odzyskał mowę.

Złamali go wtedy, sponiewierali jego serce i duszę. Może jakoś doszedłby do siebie, gdyby po przebudzeniu nie ujrzał martwej Mamy oplecionej czarnym łańcuchem.

Od tamtej pory był już innym człowiekiem.

– No dobrze – wzdycha Tzain, który zawsze szuka w popielisku choćby isierki nadziei. – Wy płynimy teraz. Jeśli się pospieszymy...

– Nic z tego – wchodzi mu w słowo. – Widziałeś, co się dzieje na targu.

Wszyscy stają na głowie, żeby mieć na podatek. Nawet jeśli coś złowimy, ludzie zdążą do tego czasu wszystko wydać.

– Poza tym nie mamy łodzi – mamrocze Baba. – Straciłem ją rano.

– Co? – Nie zwróciłam uwagi, że nie ma jej obok chaty.

Spoglądam na Tzaina. Jaki plan teraz wymyśli? Ale Tzain osuwa się na trzciniową podłogę.

To koniec... Przywieram plecami do ściany i zamykam oczy.

Nie mamy łodzi, nie mamy pieniędzy.

Nie uniknę dybów.

Ciężka cisza zalega w izbie, przypieczętowując mój wyrok. *Może dostanę przydział do służby pałacowej.* Zawsze lepiej usługiwać zepsutym możnowładcom, niż dusić się pyłem węglowym w kopalniach Kalabraru, nie mówiąc o innych szemranych zajęciach, do jakich dybiarze potrafią zmusić ibawitów. Z tego, co słyszałam, podziemne burdele wcale nie są najgorszą rzeczą, jaka może mnie spotkać, gdy wpadnę w ich ręce.

Tzain poruszył się w kącie. Znam go. Zaraz powie, że pójdzie do niewoli za mnie. Już szykuję się, żeby protestować, kiedy nagle myśl o królewskim pałacu podsuwa mi pewne rozwiązanie.

– A Lagos? – mówię.

– Uciekanie nic nie da.

Kręcę głową.

– Nie o to mi chodzi. Tam na targ przychodzą bogacze. Mogę im sprzedać żaglicę. – Nie czekając, aż pochwalą mój genialny plan, chwytam papier i biegnę po rybę. – Przywiozę tyle pieniędzy, że wystarczy na trzy miesiące płacenia podatków. I na nową łódź.

Tzain będzie mógł się skupić na swoich meczach. Baba wreszcie odpocznie. *Mogę im pomóc.* Uśmiecham się do siebie. W końcu mam szansę zrobić coś jak trzeba.

– Nie pojedziesz tam – odzywa się Baba zmęczonym głosem. – Dla ibawitów to zbyt niebezpieczne.

– Bardziej niż dyby? – pytam retorycznie. – Bo tylko taki mam wybór.

– Ja pojedę do Lagos – wtrąca się Tzain.

– Nie ma mowy. – Chowam zawiniętą w papier żaglicę do swojej sakwy. – Ty nie masz smykałki do handlu. W ogóle nie umiesz się targować.

– Może przywiozę mniej monet, ale za to potrafię się obronić.

– Ja też. – Macham kijem od Mamy Agby, po czym wrzucam go do worka. Tzain robi w moją stronę zniecierpliwiony gest.

– Babo, błagam – zwraca się do ojca. – Zél na pewno zrobi coś głupiego.

– Przywiozę więcej monet, niż kiedykolwiek widzieliście na oczy. Baba w zamyśleniu marszczy brwi.

– Zélie sprzeda rybę...

– Dziękuję!

– ...ale ty, Tzain, będziesz jej pilnował.

– Nie. – Tzain krzyżuje ramiona na piersi. – Nie możemy cię tu zostawić samego. Co, jeśli strażnicy wrócą?

– Zaprowadźcie mnie do Mamy Agby. Będę się tam ukrywał do waszego powrotu.

– Ale Babo...

– Ruszajcie czym prędzej, bo nie wrócicie przed zmrokiem.

Tzain zamyka oczy, zaciska zęby. Po chwili jednak zabiera się do nakładania siodła na potężny grzbiet Najli. Ja pomagam Babie wstać.

– Ufam ci – mówi Baba cicho, tylko do mnie.

– Wiem. – Owijam jego chude ciało wytartym kocem. – Tym razem was nie zawiodę.

ROZDZIAŁ 3



AMARI

– Amari, usiądź prosto!

– Na bogów w niebiosach...

– Wystarczy już tego deseru!

Opuszczam widelec z ciastem kokosowym i odchylam ramiona do tyłu. To, ile razy w ciągu minuty matka potrafi mnie skrytykować, jest na swój sposób imponujące. Siedzi u szczytu mosiężnego stołu, a złoty zawój, ciasno opasający jej głowę, zbiera światło z całego pomieszczenia i odcina się jasnym migotaniem od jej miedzianej cery.

Poprawiam własny zawój, granatowy, i staram się wyglądać dostojnie, choć wolałabym, żeby służąca nie wiązała go tak ciasno. Matka bursztynowymi oczami przygląda się olojom wystrojonym w najlepsze szaty, jakby szukała hienotrów ukrywających się w stadzie. Nasze arystokratki mają przyklejone uśmiechy, ale wiem, że obmawiają nas za plecami.

„Podobno musiała się przenieść do zachodniego skrzydła...”

„Jest za ciemna jak na królewską...”

„Moje służące zaklinają się, że Keja urodzi dziecko Sarana...”

Noszą te sekrety jak migotliwe brylanty, którymi wyszyte są ich szykowne bluzki i zawijane spódnice. Otaczające je chmury kłamstw i liliowych perfum zagłuszają słodki zapach ciastek, których więcej mi nie wolno.

– A jakie jest wasze zdanie, księżniczko Amari?

Podrywam głowę znad niebiańskiego ciasta i napotykam badawczy wzrok oloi Ronke. Jej szmaragdowa suknia, odpowiednio dobrana do wnętrza sali

herbacianej, mieni się jasno wśród białych gipsowych ścian.

– Słucham?

– Na temat wizyty w Zarii.

Oloja Ronke pochyła się i okazały rubin wiszący u jej szyi dotyka stołu. Ten rzucający się w oczy klejnot nieustannie przypomina, że miejsce przy naszym stole nie przypadło jej z urodzenia. Musiała je sobie kupić.

– Bylibyśmy zaszczyceni, gdybyś zechciała u nas gościć. – Oloja Ronke bierze wielki czerwony kamień w palce; widząc, że się na niego zapatrzyłam, delikatnie się uśmiecha. – Na pewno znaleźlibyśmy dla ciebie podobny klejnot.

– To bardzo miło z waszej strony – odpowiadam ostrożnie. W wyobraźni przebywam drogę z Lagos do Zarii na północnym krańcu Oriszy, nad morzem Adetundzi. Jeszcze dalej niż góry Olasimbo. Na samą myśl o podróży, oglądaniu świata z dala od pałacowych murów, tętno bije mi szybciej. – Dziękuję – mówię w końcu. – Byłabym zaszczycona...

– Niestety, Amari nie może – wcina się moja matka. Na jej zmarszczonym obliczu nie widać ani śladu żalu. – Jest zajęta nauką, musi nadrobić zaległości z arytmetyki. Przerwa mogłaby jej bardzo zaszkodzić.

Wzbierające w moim sercu podniecenie gwałtownie opada. Rozgrzebuję widelczykiem niedojedzone ciasto. Matka rzadko pozwala mi opuszczać pałac. Niepotrzebnie robiłam sobie nadzieję.

– Może kiedy indziej – mówię cicho, modląc się w duchu, aby pozostawienie sobie otwartej furtki nie ściągnęło na mnie gniewu matki. – Pewnie wspaniale się tam żyje. U stóp macie morze, a za plecami góry.

– To tylko woda i skały. – Samara, najstarsza córka Ronke, marszczy szeroki nos. – Nie to co ten cudowny pałac. – Uśmiecha się przelotnie do mojej matki, a gdy zwraca się ponownie w moją stronę, twarz jej tężeje. – Poza tym w Zarii dosłownie roi się od ibawitów. Czaraluchy z Lagos przynajmniej siedzą grzecznie w swoich slumsach.

Aż się cała napinam na dźwięk tych okrutnych słów, które jakby zawisły w powietrzu między nami. Zerkam przez ramię, czy Binta to słyszała, lecz

wygląda na to, że mojej pokojówki i najstarszej przyjaciółki nie ma w pobliżu. Jako jedyna ibawitka w górnym pałacu odstaje od reszty służby i zawsze chodzi za mną jak cień. Mimo że chowa białe włosy pod czepkiem, inne służące nie chcą mieć z nią nic wspólnego.

– Czy mogę w czymś pomóc, pani?

Obracam się i widzę służącą, której twarz nic mi nie mówi: dziewczynę o kasztanowej cerze i dużych okrągłych oczach. Zabiera moją w połowie pustą filiżankę i stawia przede mną świeżą. Spoglądam na złocistożółtą herbatę; Binta, gdyby tu była, w tajemnicy przed matką przemyciłaby do niej łyżeczkę cukru.

– Nie widziałaś Binty?

Dziewczyna jakby się zdrygnęła. Zaciska usta w kreskę.

– Co się stało? – Chcę wiedzieć.

Służąca zerka gorączkowo na kobiety przy stole, po chwili jednak otwiera usta.

– Binte wezwano do sali tronowej, pani. Na chwilę przed obiadem.

Marszczę czoło i przekrzywiam głowę. Czego ojciec mógł od niej chcieć? Nigdy jej do siebie nie wzywał. W ogóle rzadko wzywa służących.

– Mówiła, w jakiej sprawie?

Dziewczyna kręci głową. Zniża głos i ostrożnie dobiera słowa.

– Ale odprowadzili ją strażnicy.

Kwaśna gorycz rozlewa mi się po języku i schodzi do gardła. W tym pałacu strażnicy nie odprowadzają. Raczej doprowadzają.

Dziewczyna jakby chciała coś dodać, lecz matka łypie na nią surowo, a mnie pod stołem chwyta zimną dłonią za kolano.

– Nie rozmawiaj ze służbą.

Odwracam głowę, uciekając przed jej srogim wzrokiem. Zwęża oczy w szparki jak ogniostrząb w trakcie polowania, tylko czekając, aż znów przysporzę jej wstydu. Nie mogę jednak przestać myśleć o Bincie. Ojciec dobrze wie, jak jestem z nią zżyta. Skoro czegoś od niej chciał, dlaczego nie

załatwił tego przeze mnie?

Zapatrzona w królewskie ogrody za oknem zadaje sobie coraz więcej pytań. Rozbrzmiewający wkoło pusty śmiech oloi prawie do mnie nie dociera. Na dole otwierają się pałacowe wrota i wychodzi z nich mój brat Inan.

Jest wysoki, dobrze mu w mundurze. Wyrusza właśnie na swój pierwszy patrol po Lagos. Promienieje wśród innych strażników, ozdobny hełm zaświadcza o jego niedawnym awansie na kapitana. Uśmiecham się mimo woli. Szkoda, że nie mogę mu towarzyszyć w tym szczególnym dla niego dniu. Wreszcie spełnia się jego marzenie.

– Piękny jest, nieprawdaż? – Samara topi w moim bracie niepokojąco chciwe spojrzenie brązowych oczu. – Najmłodszy kapitan w historii. Będzie z niego wspaniały król.

– Owszem – podchwytuje matka, wyraźnie zadowolona. Nachyla się ku wymarzonej córce. – Choć wolałabym, żeby ten awans nie wystawiał go na kontakt z przemocą. Nigdy nie wiadomo, co strzeli do głowy jakiemuś zdesperowanemu czaraluchowi na widok następcy tronu.

Oloje kiwają głowami i wymieniają bezużyteczne opinie, a ja w milczeniu popijam herbatę. Mówią o naszych poddanych z taką beztroską, jakby rozmowa dotyczyła nie ludzi, a modnych teraz w Lagos zawojów obszywanych diamentami. Spoglądam w stronę służącej, która powiedziała mi o Bincie. Choć stoi daleko od mojego stołu, ręce wciąż jej się trzęsą...

– Samaro. – Głos matki wyrywa mnie z rozmyślań, przywołuje do rzeczywistości. – Czy już ci mówiłam, że wyglądasz dziś iście królewsko?

Gryzę się w język i dopijam resztę herbaty. Kiedy matka mówi „królewsko”, tak naprawdę chodzi jej o jasny odcień skóry. Jak u tych spośród oloi, które szczycą się pochodzeniem od pierwszych królewskich rodów Oriszy.

Królewsko, a więc nie pospolicie, jak rolnicy na polach Minny albo kupcy z Lagos handlujący w słońcu. I nie jak ja, księżniczka, której matka się wstydzi.

Zerkając znad filizanki, stwierdzam, że istotnie Samarze rozjaśniła się cera.

Jeszcze kilka obiadów temu matka i córka miały skórę w takim samym odcieniu mahoni.

– Jesteś zbyt łaskawa, pani. – Samara z fałszywą skromnością opuszcza wzrok i wygląda na sukni zmarszczki, których tam nie ma.

– Musisz koniecznie opowiedzieć Amari, jak to robisz. – Matka kładzie mi zimną dłoń na ramieniu, jej palce lekko dotykają mojej ciemnej miedzianej skóry. – Ona tyle wysiaduje w ogrodzie, że wygląda, jakby pracowała w polu – dodaje ze śmiechem.

Jak gdyby tabun służących nie osłaniał mnie parasolkami za każdym razem, kiedy wychodzę na słońce. Jak gdyby nie wypudrowała mnie tuż przed obiadem, utyskując, że z powodu mojej karnacji chodzą plotki, iż miała romans ze służącym.

– Nie ma takiej potrzeby, matko. – Aż się wzdrygam na wspomnienie jej ostatniej żrącej i cuchnącej mikstury kosmetycznej.

– Och, z największą przyjemnością – oświadcza promiennie Samara.

– Ale...

– Amari! – przerywa mi matka z uśmiechem tak napiętym, jakby zaraz miała jej pęknąć skóra. – Samaro, myślę, że będzie zachwycona. Tym bardziej że wkrótce zaczną się zaloty.

Przełykam duszącą gulę w gardle. Już czuję ten smród octu i piekący ból na twarzy.

– Nie martw się. – Samara chwyta mnie za dłoń, błędnie odczytując mój grymas. – Spodobają ci się zaloty. W gruncie rzeczy to pyszna zabawa.

Zmuszam się do uśmiechu i próbuję zabrać rękę, ale Samara zaciska na niej palce. Jej złote pierścionki, każdy z innym klejnotem, wpijają mi się w ciało. Jeden jest połączony cienkim łańcuszkiem z bransoletką z godłem naszej monarchii: wysadzany brylantami śnieżnym lampartusem.

Samara nosi tę bransoletkę z dumą. Na pewno dostała ją od mojej matki. Mimo woli podziwiam piękno biżuterii. Ma jeszcze więcej brylantów niż moja...

O bogowie...

Nie moja. Już nie.

Ogarnia mnie fala paniki, bo przypominam sobie, co się stało z moją bransoletką. Tą, którą podarowałam Bincie.

Nie chciała jej przyjąć; bała się ceny, jaką zapłaci za przyjęcie daru. Ale ojciec podniósł podatki dla ibawitów. Gdyby nie sprzedała mojej bransoletki, jej rodzina straciłaby dom.

Ojciec musiał się dowiedzieć, dociera do mnie. Musiał pomyśleć, że Binta jest złodziejką. Dlatego przyzwano ją do sali tronowej. I dlatego przyszli po nią strażnicy.

Zrywam się z miejsca. Nogi krzesła zgrzytają o posadzkę. Oczyma duszy widzę, jak strażnicy wyciągają delikatne ręce Binty do przodu.

Widzę, jak ojciec opuszcza ostrze swojego miecza.

– Przepraszam – mówię.

– Amari, usiądź.

– Matko, ja...

– Amari...

– Matko, błagam!

Za głośno.

Dociera to do mnie już w chwili, kiedy wypowiadam te słowa. Mój przenikliwy głos odbija się od ścian sali herbacianej, ucina rozmowy przy stole.

– Prze... przepraszam. Źle się czuję.

Palona spojrzeniami wszystkich obecnych uciekam w stronę drzwi. Na myśl o gniewie matki robi mi się gorąco, ale później będę się tym martwiła. Ledwie drzwi się za mną zamykają, ruszam pędem z podkasaną szatą. Kamienne korytarze brzmią stukotem moich obcasów.

Jak mogłam być tak głupia? – besztam się w myślach, omal nie zderzając się z wychodzącą z za rogu służącą. Powinnam była wyjść, gdy tylko tamta dziewczyna powiedziała mi o wezwaniu Binty. W odwrotnej sytuacji Binta nie zawahałaby się ani chwili.

O nieba! – zaklinam rzeczywistość, mijając w biegu smukłe wazy z czerwonymi różami pustyni oraz portrety moich królewskich przodków spoglądających surowo z dalekiej przeszłości. *Błagam, bądź cała i zdrowa.*

Uczepiona tej wątej nadziei wpadam do głównego holu. Panujący tu zaduch jeszcze bardziej utrudnia mi oddychanie. Kiedy zwalniam przed wejściem do sali tronowej, serce podskakuje mi do gardła. Żadnego miejsca w pałacu tak się nie boję. To tutaj ojciec po raz pierwszy kazał mi potykać się na miecze z Inanem.

To tutaj nabawiłam się wielu blizn.

Rozsuwam aksamitne zasłony przed czarnymi dębowymi drzwiami. Pot z moich dłoni wsiąka w drogą tkaninę. *Może nie posłuchać. Pozbyłam się bransoletki. Może mnie ukarać.*

Dreszcz strachu przebiega mi po kręgosłupie, aż drętwieją mi palce.

Zrób to dla Binty.

– Dla Binty – szepczę głośno.

Mojej najstarszej przyjaciółki. Jedynej przyjaciółki.

Nie mogę pozwolić, żeby spotkała ją krzywda.

Biorę głęboki oddech, wycieram spocone dłonie, napawam się swoimi ostatnimi sekundami. Sięgam palcami do lśniącej gałki i...

– Co?!

Głos ojca zza drzwi przypomina ryk dzikiego goryliona. Serce znowu wali mi jak młotem. Słyszałam wiele razy, jak ojciec krzyczy, ale nigdy tak głośno. *Czyżbym się spóźniła?*

Drzwi się otwierają. Uskakuję na bok, strażnicy i wachlarzowi wybiegają z sali niczym banda złodziei. Odciągają kręcących się w holu arystokratów i służących, zostawiając mnie samą.

Wejść. Nogi mam jak z waty, kiedy drzwi zaczynają się zamykać. Ojciec musi być w podłym humorze. Ale nie mam wyjścia. Trzeba ratować Bintę. Kto wie, czy jej tam nie ma.

Nie wolno mi jej zostawić sam na sam z ojcem.

W ostatniej chwili dopadam do zamykających się drzwi. Wtykam palce w szparę, uchylam skrzydło trochę szerzej i zaglądam do środka.

– Jak to?! – grzmi ojciec, opluwając sobie brodę. Pod jego mahoniową skórą, mocno kontrastującą z czerwoną suknią, pulsują nabrzmiałe żyły.

Otwieram jeszcze odrobinę szerzej, bojąc się, że lada moment ujrzę szczupłą postać Binty. Ale moim oczom ukazuje się skurczony przed tronem admirał Ebele. Z kropelkami potu na łysej głowie spogląda wszędzie, tylko nie na ojca. Obok niego, z włosami spiętymi w ciasny, lśniący warkocz, stoi dumnie generał Keja.

– Morze wyrzuciło artefakty na brzeg koło Warri, małej wioski na wybrzeżu – wyjaśnia. – Ich bliskość obudziła uśpione moce w kilku miejscowych ibawitach.

– Uśpione moce?

Keja przetyka ślinę, napięte mięśnie rysują się wyraźnie pod jej jasnobrązową skórą. Daje możliwość odpowiedzi admirałowi Ebelemu, ten jednak milczy.

– Ibawici zostali przeobrażeni – przyznaje Keja z grymasem, jakby te słowa sprawiały jej fizyczny ból. – Pod wpływem artefaktów przemienili się w magów.

Zakrywam usta, by stłumić wrywający mi się z gardła okrzyk. *Magowie? W Oriszy? Po tylu latach?*

Fala grozy zapiera mi dech. Otwieram drzwi jeszcze trochę szerzej, żeby lepiej widzieć. Czekam, aż ojciec powie, że to nie może być prawda. Że to by oznaczało...

– Niemożliwe – odzywa się w końcu, tym razem prawie szeptem. Widzę, jak bieleją mu kłykcie dłoni zaciśniętej na rękojeści czarnego majacytowego miecza.

– A jednak, Wasza Wysokość. Widziałam na własne oczy. To była słaba magia, ale jednak magia.

O nieba... Co to dla nas oznacza? Co będzie z monarchią? Czy magowie już planują atak? Czy zdołamy się przed nimi obronić?

Przypominam sobie ojca sprzed Obławy, siwiejącego z nerwów paranoika o zaciśniętych zębach. Człowieka, który zabrał Inana i mnie do podziemi pałacu i dał nam po mieczu, choć byliśmy za mali i za słabi, żeby je udźwignąć.

„Magowie po was przyjdą”, powtarzał za każdym razem, kiedy zmuszał nas do szermierki. „Musicie być przygotowani”.

Gdy teraz przyglądam się jego nagle pobladłej twarzy, przesywa mnie wspomnienie tamtego bólu. Kiedy milczy, potrafi być jeszcze straszniejszy, niż gdy się złości. Admirał Ebele prawie się trzęsie.

– Gdzie są teraz ci magowie?

– Pozbyliśmy się ich.

Czuję ściśnięcie w dołku. Nabieram powietrza, żeby wypita przy obiedzie herbata nie podeszła mi do gardła. Ci magowie nie żyją. Zamordowano ich.

Rzucono na dno morza.

– A artefakty? – dopytuje się ojciec, na którym śmierć magów nie zrobiła najmniejszego wrażenia. Pewnie najchętniej pozbyłby się od razu wszystkich.

– Mam pergamin. – Keja sięga za pancerz i wyjmuje zniszczony zwój. – Gdy tylko to odkryłam, pozbyłam się świadków i przyjechałam prosto do pałacu.

– A kamień słoneczny?

Keja rzuca admirałowi spojrzenie ostre jak nóż. Ebele odchrząkuje, jakby chciał zyskać jeszcze parę sekund.

– Kamień ukradziono, zanim zjawiliśmy się na miejscu, Wasza Wysokość. Ale tropimy złodziei. Wyznaczyliśmy do tego zadania naszych najlepszych ludzi. Nie mam żadnych wątpliwości, że niebawem odzyskamy zgubę.

Gniew ojca wzbiera jak fala gorącego powietrza.

– Mieliście je zniszczyć! – syczy. – Jak mogliście do tego dopuścić?

– Próbowałem, Wasza Wysokość! Po Obławie przez wiele miesięcy usiłowałem je zniszczyć. Robiłem, co w mojej mocy, ale chroniły je czary. – Ebele zerka na Keję, ale ona patrzy przed siebie. W fałdach podbródka admirała zbiera się pot. Kolejne chrząknięcie. – Podarłem zwój – opowiada –

ale sam się naprawił. Spaliłem go na popiół, a chwilę później znów był cały. Mój najsilniejszy strażnik próbował rozbić kamień słoneczny maczugą – i nawet go nie zadrasnął! Nie mogąc zniszczyć tych przeklętych artefaktów, zamknąłem je w skrzyni okutej żelazem i zatopiłem na środku morza Bandzoko. Niemożliwe, żeby trafiły stamtąd na brzeg! To musi być jakaś ma... – Ebele w porę ugryzł się w język. – Przysięgam, panie, że uczyniłem wszystko, co się dało, ale widocznie bogowie mają inne plany.

Bogowie? Nadstawiam uszu. Czy Ebele postradał rozum? Bogowie nie istnieją. Wszyscy w pałacu to wiedzą.

Czekam na reakcję ojca na te brednie, lecz jego twarz zachowuje kamienny wyraz. Ojciec podnosi się z tronu, chłodno coś rozważając. Potem znienacka, jak atakująca żmija, chwyta Ebelego za gardło.

– Powiedz mi coś, admirale – mówi, unosząc go w powietrze. – Czyich planów bardziej się obawiasz? Boskich czy moich?

Widząc, jak Ebele się dusi, cofam się przerażona. Tego oblicza ojca nie znoszę i staram się go nie dostrzegać.

– Z-znajdę je – charczy admirał. – O-obiecuję!

Ojciec rzuca go na podłogę jak zgniły owoc. Ebele, ciężko dysząc, rozmasowuje szyję; na miedzianej skórze ciemnieją już sińce. Ojciec ponownie spogląda na zwój w ręku Kei.

– Pokaż mi – rozkazuje.

Keja daje komuś znak. Słyszę stukot butów o posadzkę. I nagle ją widzę.

Binta.

Międląc w dłoni górę sukni, patrzę, jak wloką moją przyjaciółkę przed tron. W jej dużych srebrnych oczach połyskują łzy. Czepek, który tak starannie zawiązuje każdego dnia, przekrzywił się, odsłaniając kosmyki długich białych włosów. Zakneblowano ją chustą, lecz nawet gdyby mogła krzyczeć, kto by jej przyszedł z pomocą?

Zrób coś, rozkazuję sobie. Teraz. Nie mogę się jednak ruszyć z miejsca. Nie czuję nawet rąk.

Keja rozwija pergamin i podchodzi ostrożnie, jak do dzikiego zwierzęcia.

Nie jak do serdecznej dziewczyny, która przez lata ocierała mi łzy. Ani jak do służącej, która cały swój pałacowy przydział jedzenia odkłada dla biedującej rodziny.

– Unieście jej rękę.

Gdy strażnik pociąga ją za nadgarstek, Binta potrząsa głową. Knebel tłumi jej krzyki. Keja wpycha jej zwój do ręki.

Z dłoni Binty wystrzeliwuje światło.

Zalewa salę tronową olśniewającym blaskiem, w którym złoto miesza się z fioletem i błękitem. Kaskady jasności mieniają się i toczą dookoła niczym strumienie fontanny.

– O nieba... – szepczę sama do siebie, rozdarta między grozą a zachwytem.

Magia.

A więc jednak. Po tylu latach...

W głowie rozbrzmiewają mi przestrogi ojca, opowieści o wojnie i pożodze, o mroku i zarazie. „Magia to źródło wszelkiego zła”, powtarzał. „Będzie początkiem końca Oriszy”.

Ojciec zawsze uczył Inana i mnie, że magia oznacza dla nas śmierć. Że to niebezpieczna broń zagrażająca dalszemu trwaniu Oriszy. Dopóki istnieje, dopóty królestwo będzie rozdarte wojną.

W mrocznych dniach po Obławie magia zawładnęła moją wyobraźnią, była jak potwór bez twarzy. Ale w rękach Binty okazała się czymś oszałamiająco pięknym. Niczym topniejące wieczorne słońce w pełni lata. Tchnienie czystego życia...

Ojciec uderza szybko jak błyskawica.

W jednej chwili Binta stoi przed nim.

W następnej – przeszywa ją miecz.

Nie!

Zakrywam usta dłońmi, prawie się przewracając do tyłu. Ogarnia mnie fala mdłości. Oczy pieką od łez.

To się nie dzieje naprawdę. Świat zaczyna wirować. To nie może być

prawda. Binta jest bezpieczna. Czeka w moim pokoju z bochenkiem słodkiego chleba.

Ale zaklinanie rzeczywistości niczego nie zmieni. Nie przywróci jej życia.

Knebel w ustach Binty nasiąka szkarłatem.

Na niebieskiej sukni wykwitają purpurowe kwiaty.

Gdy jej ciało z hukiem, ciężko jak ołów, upada na ziemię, dławie w sobie jeszcze jeden okrzyk.

Krew zbiera się w kałużę wokół niewinnej twarzy Binty, barwi na czerwono jej białe włosy. Miedziana woń dolatuje do mnie przez szparę w drzwiach. Walczę z torsjami.

Ojciec zrywa z Binty fartuch i wyciera w niego miecz. Jak gdyby nigdy nic. Nie dba o to, że uwalnia sobie jej krwią królewskie szaty.

Nie wie, że ja też mam krew Binty na rękach.

Cofam się, potykając o brzeg sukni. Wbiegam czym prędzej na schody w rogu holu. Nogi się pode mną uginają, wzrok mi się rozmazuje. Chcę wrócić do swojej komnaty, ale najpierw muszę podbiec do jednej z waz. Ledwie chwytam jej brzeg, zawartość żołądka podchodzi mi do gardła.

Kwaśna żółć ma posmak gorzkiej herbaty. Wreszcie z gardła wydiera mi się pierwszy głośny szloch i osuwam się na podłogę. Chwytam się za klatkę piersiową.

Gdyby Binta tu była, przybiegłaby mi na ratunek. Wzięłaby mnie za rękę i zaprowadziła do komnaty, posadziła na łóżku, otarła łzy. Pozbierałaby kawałki mojego strzaskanego serca i złożyła jakoś z powrotem w jedną całość.

Zakrywam usta, dusząc w sobie płacz, słone łzy ciekną mi przez palce. Woń krwi wypełnia mi nozdrza. Znów przesywa mnie obraz mknącego ostrza...

Drzwi do sali tronowej otwierają się z hukiem. Zrywam się na równe nogi w obawie, że to ojciec. Ale to tylko jeden ze strażników, którzy trzymali Bintę.

W ręku niesie zwój.

Patrzę na ten stary pergamin, kiedy mężczyzna zbliża się do mnie po

schodach, i przypominam sobie, jak za jednym dotknięciem eksplodował światłem. Światłem zamkniętym w duszy mojej drogiej przyjaciółki, niewiarygodnie pięknej i dzielnej.

Odwracam się, by ukryć przed żołnierzem zapłakaną twarz.

– Przepraszam, źle się czuję – mamroczę. – Chyba coś zjadłam...

Strażnik, pogrążony we własnych myślach, ledwie kiwa głową i dalej wspina się po schodach. Ścisną zwój w garści tak mocno, że aż mu ciemnieją kłykcie, jakby nie ufał temu magicznemu pergaminowi. Patrzę za nim. Wszedł na trzecie piętro i otwiera drzwi pomalowane na czarno. Już wiem, dokąd idzie.

Do komnat Kei.

Przez kilka sekund w bolesnym napięciu spoglądam w stronę drzwi, sama nie wiem po co. Przecież cokolwiek zrobię, Binta nie zmartwychwstanie. Jej melodyjny śmiech już nigdy nie będzie cieszył moich uszu. Mimo to czekam, a gdy drzwi ponownie się otwierają, zamieram. Znów stoję twarzą do wazy i pozwalam, by targwały mną torsje, dopóki strażnik mnie nie minie. Ze stukotem podkutych butów zmierza na dół, z powrotem do sali tronowej. Tym razem już bez pergaminu.

Trzęsącymi się rękoma ocieram łzy, z pewnością rozmazując tusz i puder nałożony przez matkę. Wierzchem dłoni zbieram z ust resztki wymiocin. Z głową pełną pytań wstaję i kieruję się ku drzwiom komnat Kei. Powinnam je minąć i udać się do siebie.

Ale zamiast tak zrobić – wchodzę do środka.

Drzwi zamykają się za mną głośno. Podskakuję przestraszona – ktoś pewnie zaraz przyjdzie sprawdzić, co to za hałas. Nigdy przedtem nie byłam w komnatach generała Kei. Wydaje mi się, że nawet służący nie mają do nich wstępu.

Przeczesałem wzrokiem bordowe ściany, tak różne od lawendowych w mojej komnacie. U stóp łóżka leży królewski płaszcz. *Płaszcz ojca*. Musiał go tu zostawić. Musiał tu być.

W każdy inny dzień to odkrycie podziałałoby na mnie piorunująco, ale

teraz nie czuję prawie nic. O wiele bardziej niż ten płaszcz zaprzęta mnie zwój leżący na sekretarzyku Kei.

Podchodzę do niego na nogach z waty, jakbym zbliżała się do krawędzi przepaści. Spodziewam się poczuć jakąś aurę otaczającą rękopis, ale powietrze wokół niego jest całkiem nieruchome. Wyciągam rękę, lecz zatrzymuję ją w pół drogi. Biję się z myślami, ze strachem, który we mnie wzbiera. Przypominam sobie tamtą eksplozję światła w dłoniach Binty.

I miecz, który ją przebił.

Sięgam po zwój czubkami palców, a kiedy dotykają pergaminu, zamykam oczy.

Nic się nie dzieje. Żadnej magii.

Wydecham powietrze, które bezwiednie wstrzymywałam. Podnoszę rękopis i wodzę palcem po dziwnych znakach, na próżno starając się cokolwiek z nich wyczytać. Są do niczego niepodobne, nie mają nic wspólnego z językami, których mnie uczono. Ale to właśnie za te znaki umierali magowie.

W pewnym sensie są to znaki zapisane krwią Binty.

Kosmyki włosów, które wydostały mi się spod poluzowanego zawoju, poruszają się na wietrze z otwartego okna. Pod wzdętymi zasłonami dostrzegam bojowy rynsztunek Kei: naostrzone miecze, cugle do jazdy na panteroźcu, mosiężne napierśniki. Mój wzrok zatrzymuje się na linach nawiniętych na szpule. Zrywam z głowy zawój i rzucam go na podłogę.

Bez namysłu sięgam po płaszcz ojca.

ROZDZIAŁ 4



ZÉLIE

– Naprawdę nie zamierzasz się w ogóle odzywać?

Wychyłam się z siodła na grzbiecie Najli, żeby lepiej się przyjrzeć kamiennej twarzy Tzaina. To, że milczał przez pierwszą godzinę jazdy, nie było dla mnie zaskoczeniem, ale trzy godziny?

Próbuję inaczej:

– Jak trening? – Temat jego ulubionego sportu zawsze rozwiązuje mu język. – M'ballu wyleczyła kostkę? Będzie mogła wystąpić na igrzyskach? Jak myślisz?

Tzain już otwiera usta, lecz w ostatniej chwili się powstrzymuje. Trzaska wodzami, poganiając Najlę do szybszego biegu wśród wysokich hebanowców.

– Tzain, daj spokój – mówię mu. – Nie możesz mnie ignorować przez resztę życia.

– Mogę przynajmniej spróbować.

– Bogowie. – Wznoszę oczy ku niebu. – Czego ty ode mnie chcesz?

– Na przykład przeprosin? – rzuca przez ramię. – Baba prawie zginął! A ty udajesz, że nic się nie stało.

– Już przeprosiłam – bronię się. – Ciebie i Babę.

– Ale nie cofniesz tego, co się stało.

– W takim razie przepraszam, że nie potrafię cofnąć tego, co się stało!

Mój krzyk niesie się wśród drzew, potem znów zapada cisza. Zdenerwowana przesuwam palcem po splekanej skórze wysłużonego siodła.

Na litość boską, Zélie, odzywa się w moich myślach głos Mamy Agby.

Gdybyś zrobiła krzywdę tym ludziom, kto by obronił twojego ojca? Kto uratuje Tzaina, gdy strażnicy przyjdą szukać krwawej pomsty?

– Tzain, przepraszam – mówię cicho. – Naprawdę. Nawet nie wiesz, jak okropnie się czuję, ale...

Tzain wzdycha z irytacją.

– No tak. Zawsze musi być jakieś „ale”.

– Ale to nie tylko moja wina! – wyrzucam z siebie w przystępie złości. – To przez strażników Baba wypłynął na morze.

– A przez ciebie omal się nie utopił! – odparowuje Tzain. – Zostawiłaś go samego.

Gryzę się w język. Nie ma sensu się kłócić. Tzain, silny i przystojny kosidanin, nie rozumie, dlaczego trening u Mamy Agby jest dla mnie taki ważny. Chłopcy w Ilorinie zabiegają o jego przyjaźń, dziewczyny próbują go w sobie rozkochać. Nawet strażnicy podziwiają go za grę w agböna.

Nie rozumie, jak to jest być mną, trudno mu się wczuć w skórę ibawitki. On się nie wzdryga nerwowo na widok strażników, nie musi się bać każdego spotkania z nimi.

Zacznę od tej...

Żołądek skręca mi się w supeł na wspomnienie strażnika, jego brutalnego dotyku. Czy Tzain by mnie skrzyczał, gdyby się dowiedział? Czy krzyczałby, gdyby wiedział, ile mnie kosztowało, żeby się nie rozplakać?

Jedziemy w milczeniu, drzewa zaczynają się przeredzać i wreszcie naszym oczom ukazuje się Lagos. Stolica, otoczona bramami z twardego hebanowca, to zaprzeczenie wszystkiego, czym jest Ilorin. Zamiast kojącego oceanu zalewa ją nieskończona horda ludzi. Widać ich nawet z daleka; patrząc na te nieprzebrane tłumy, ma się wrażenie, że miasto dosłownie pęka w szwach.

Przyglądając się stolicy z grzbietu Najli, odnotowuję błyskające tu i ówdzie białe włosy ibawitów. Jest ich w Lagos trzy razy mniej niż kosidan, za to rzucają się w oczy. Choć przestrzeń w obrębie murów miejskich jest rozległa, moi bracia i siostry skupiają się na jej obskurnych obrzeżach. Tylko tam pozwala im się mieszkać.

Spuszczam głowę. Na widok tych slumsów uszło ze mnie trochę powietrza. Przed wiekami dziesięć klanów magów było rozsianych po całej Oriszy. Kosidanie żyli w miastach, klany zaludniały obrzeża gór, oceanów i równin. Z czasem jednak magowie, pchani ciekawością i poszukiwaniem nowych szans, rozprzestrzenili się na cały kraj.

Z biegiem lat magowie i kosidanie zaczęli się ze sobą mieszać, zakładali rodziny takie jak moja, w których przychodzili na świat i ibawici, i kosidanie. Im więcej było takich rodzin, tym bardziej zwiększała się liczebność magów. Przed Obławą Lagos stanowiło największe ich skupisko w całej Oriszy.

Teraz zostali po nich już tylko ci ibawici.

U drewnianej bramy Tzain pociąga za cugle.

– Ja tu z nią poczekam. – Wskazuje ruchem brody Najlę. – Zwariowałaby tam.

Kiwam głową i zeskakuję z siodła. Całuję lworóżkę w ciemny, wilgotny nos i uśmiecham się, gdy jej szorstki język oblizuje mi policzki. Ale kiedy napotykam wzrok Tzaina, od razu poważnieję. Jakieś niewypowiedziane słowa wiszą w powietrzu między nami. Odwracam się jednak i ruszam ku bramie.

– Poczekaj.

Tzain zeskakuje z grzbietu Najli, dogania mnie jednym susem. Wkłada mi do ręki zardzewiały sztylet.

– Mam przecież kij.

– Wiem – odpowiada. – To tak na wszelki wypadek.

Wsuwam broń do wytartej kieszeni.

– Dzięki.

Przez chwilę w milczeniu wpatrujemy się w ziemię. Tzain kopie kamyk. Kto pierwszy zmięknie, ja czy on? W końcu przemawia:

– Nie jestem ślepy, Zél. Wiem, że to, co się stało rano, nie było wyłącznie twoją winą, ale powinnaś się bardziej postarać. – Dostrzegam błysk w jego oczach, jakby z trudem gryzł się w język, żeby nie powiedzieć wszystkiego. – Baba ma się coraz gorzej, a strażnicy depczą ci po piętach. Nie możesz sobie teraz pozwolić na potknięcie. Następny błąd może być twoim ostatnim.

Kiwam opuszczoną głową. Wiele potrafię znieść, ale rozczarowanie Tzaina przeszywa mnie dojmującym bólem.

– Po prostu się postaraj – wzdycha. – Proszę cię. Jeśli Baba cię straci, nie przeżyje tego... I ja też nie.

– Przepraszam – szepczę mimo dławienia w gardle. – Postaram się bardziej. Obiecuję.

– To dobrze. – Tzain przywołuje uśmiech na usta i targa mi włosy. – No, wystarczy tego. Idź, sprzedaj tę cholerną rybę.

Ze śmiechem zarzucam sakwę na ramię.

– Jak myślisz, ile uda mi się wyciągnąć?

– Dwieście.

– Tylko tyle? – Przekrzywiam głowę. – Naprawdę masz o mnie tak niskie mniemanie?

– To kupa pieniędzy, Zél!

– Wytarguję więcej. Chcesz się założyć?

Tzain uśmiecha się szeroko.

– Jeśli przyniesiesz więcej niż dwieście, zostanę w przyszłym tygodniu w domu z Babą.

– Ha, tylko się nie zdziw. – Już się cieszę na powtórny pojedynek z Jemi. Zobaczymy, jak sobie poradzi z moim nowym kijem.

Idę rażno przed siebie, ale na widok królewskich strażników przy posterunku z nerwów wywracają mi się wnętrzności. Z trudem powstrzymując drżenie rąk, chowam złożony kij do bufiastych spodni.

– Imię? – rzuca opryskliwie wysoki strażnik, nie odrywając oczu od księgi. Ciemne kędziory ma całe mokre od potu, który ścieka mu po twarzy.

– Zélie Adebola – odpowiadam z nieszczerym szacunkiem, który wiele mnie kosztuje. *Żadnych głupich błędów*, mówię sobie. *Przynajmniej nie dzisiaj.*

Strażnik tylko prześlizguje się po mnie wzrokiem.

– Skąd?

– Z Ilorinu.

– Z Ilorinu?

Chwiejnym krokiem, podpierając się o wysoką palisadę, zbliża się do nas inny strażnik, krępy i wionący alkoholem.

– Czego taka glista szuka tak daleko od domu?

Mówi tak, że ledwie można go zrozumieć, słowa wyciekają z niego ciurkiem jak ślina. Gdy się do mnie zbliża, robi mi się duszno. W mętym pijanym spojrzeniu dostrzegam groźny błysk.

– Cel wizyty? – pyta wysoki i na szczęście trzeźwy strażnik.

– Handel.

Na to słowo twarz pijanego wykrzywia się w lubieżnym uśmiechu. Sięga po mój nadgarstek, ale cofam się i unoszę swoje zawiniątko.

– Rybami – uściślam, lecz pijak mimo to rzuca się na mnie z pulchnymi łapskami.

Chwyta mnie nimi za szyję i przyciska do drewnianego muru. Twarz mężczyzny jest tak blisko mojej, że mogłabym policzyć wszystkie czarne i żółte plamy na jego zębach.

– Nie dziwię się, że sprzedajesz ryby – mówi z rechem. – Ile się teraz płaci glistom, Kaj? Dwie brązowe monety?

Oblązą mnie ciarki. Muszę się powstrzymać, żeby nie sięgnąć po ukryty w spodniach kij. Po Oblawie ibawitom nie wolno nawet pocałować kosidanina i na odwrót, lecz strażnicy nic sobie nie robią z tego zakazu; są jak zwierzęta.

Moja złość przemienia się w czarną wściekłość – ten sam mrok wyczuwałam w Mamie, kiedy strażnicy stawali na jej drodze. Najchętniej odepchnęłabym tego zbereźnika i połamała mu te jego tłuste paluchy. Mam jednak w pamięci przestrożę Tzaina, cierpienie Baby, pretensje Mamy Agby.

Tak, Zélie. Pomyśl o Babie. Pomyśl o Tzainie. Obiecałam, że się postaram. Nie mogę ich zawieść.

Powtarzam to sobie kilka razy, aż w końcu żołnierz mnie puszcza. Śmieje się, zadowolony z siebie, i pociąga łyk z butelki.

Zwracam się do jego towarzysza, z trudem kryjąc przy tym nienawiść. Nie wiem, którym gardzę bardziej: pijanym, że mnie dotykał, czy trzeźwym, że mu pozwolił.

– Coś jeszcze? – pytam przez zęby.

Strażnik kręci przecząco głową.

Przechodzę przez bramę z prędkością gepardona, nie czekając, aż się rozmyślą. Inna sprawa, że już po kilku krokach mam ochotę zawrócić i uciec jak najdalej od tego miasta.

– Bogowie – wzdycham pod nosem, przytłoczona ilością ludzi na szerokich, zakurzonych ulicach Lagos.

Mieszkańcy, kupcy, strażnicy, arystokraci, każdy spieszonym krokiem zmierza do jakiegoś miejsca.

W oddali majaczy wielka bryła pałacu: nieskazitelnie białe mury i złoczone łuki lśnią w słońcu. Trudno o większy kontrast ze slumsami na obrzeżach stolicy.

Nie mogę się nadziwić, jak wysoko piętrzą się tutejsze chałupy. Budowane jedna na drugiej tworzą wielowarstwowy labirynt. Jedne są bure i wyblakłe, inne błyszczą jasną farbą i kolorowymi malowidłami, jakby w proteście przeciwko określeniu „slumsy”. Dużo tu piękna, którego monarchia nie chce widzieć.

Ruszam nieśmiało w głąb miasta. Mijając slumsy, zauważam, że ogromna większość ibawitów na ulicach nie jest ode mnie dużo starsza. W Lagos dzieci magów, które przetrwały Obławę, zwykle trafiają do więzienia lub w dyby.

– Błagam. Nie chciałem... Aaa! – rozlega się okrzyk bólu.

Odskakuję na bok przed opadającym kijem, który rani do krwi młodego ibawitę. Plama czerwieni zalewa mu ubranie, zapewne ostatnie czyste w jego życiu. Chłopak ląduje na stercie potłuczonych kafli, których nie zdołał utrzymać w chudych rękach. Dybiarz znów zamierza się laską i tym razem dostrzegam czarny błysk majacytu.

Bogowie. Dybiarz wciska chłopcu kij w plecy, a mnie uderza swąd palonego ciała. Skóra ibawity zaczyna dymić. Od tego strasznego widoku drętwieję aż

po czubki palców – oto co mnie czeka w niewoli.

Nie zatrzymuj się, mówię sobie z ciężkim sercem. Idź dalej, inaczej skończysz tak samo.

Ruszam do śródmieścia Lagos, starając się ignorować fetor nieczystości płynących ulicami slumsów. Gdy wkraczam pomiędzy pastelowe budynki dzielnicy kupieckiej, smród ustępuje miejsca woni słodkich bułeczek i cynamonu, a mnie zaczyna burczeć w brzuchu. Na głównym placu targowym aż huczy od rozmów i negocjacji cenowych. Na widok tego miejsca zawsze staję jak wryta.

Bez względu na to, ile razy bym tu przyjeżdżała, gorączkowa atmosfera głównego targu nigdy nie przestaje mnie zadziwiać. Harmider w tym miejscu jest jeszcze większy niż na ulicach. Na bazarze można kupić dosłownie wszystko. W jednej tylko alejce zboża z bezkresnych pól Minny sąsiadują z cenionymi wyrobami żelaznymi z fabryk w Gombe. Mijam oblegane budki, napawając się słodkim zapachem smażonych rajskich bananów.

Strzygę uszami, próbując się zorientować, jak ludzie się targują, jak szybko dochodzą do porozumienia. To istne pole walki, tylko że walczy się na słowa, nie na noże. Ludzie negocjują tutaj zacieklej niż na targu w Ilorinie, są bezkompromisowi, liczy się tylko interes.

Mijając drewniane stragany z młodymi gepardonami, uśmiecham się do malutkich rogów na czołach szczeniąt. Obchodzę wózki, na których piętrzą się wzorzyste tkaniny, i wreszcie docieram na targ rybny.

- Czterdzieści brązowych...
- Za rybę tygrysią?
- Dam trzydzieści i ani monety więcej!

Krzyki handlarzy i kupujących rozbrzmiewają tak głośno, że prawie nie słyszę własnych myśli. To nie jest pływający targ w Ilorinie. Tutaj trzeba się targować inaczej. Zagryzam policzek, wodzę wzrokiem po tłumie. Potrzebuję ofiary. Frajera, kogoś, kto...

– Pstrąg! – woła piskliwie jakiś mężczyzna. – Czy ja wyglądam, jakbym jadał pstrągi?

Kieruję oczy na pulchnego szlachcica w ciemnofioletowej tunice, patrzącego na kupca spod przymrużonych powiek, jakby tamten śmiertelnie go obraził.

– Mam skorpeny – proponuje handlarz. – Flądry, okonie...

– Powiedziałem, że szukam miecznika! – ucina bogacz. – Mój służący twierdzi, że nie chcecie ich sprzedawać.

– To nie sezon na mieczniki.

– A mimo to jakimś cudem król jada je codziennie na kolację!

Kupiec drapie się po karku.

– Wszystkie złowione mieczniki trafiają do pałacu. Takie jest prawo.

Szlachcic purpurowieje na twarzy. Wyciąga aksamitną sakiewkę.

– Ile płaci król? – Podzwania monetami. – Zapłacę podwójnie.

Kupiec spogląda tęsknie na sakiewkę, ale jest nieugięty.

– Nie mogę ryzykować.

– Ja mogę! – wołam.

Szlachcic obraca się, podejrzliwie mruży oczy. Daję mu znak, żeby do mnie podszedł, odciągam go od straganu.

– Masz miecznika? – pyta.

– Mam coś lepszego, panie. Rybę, której nie ma nikt inny.

Bogacz rozdziawia usta. Czuję ten sam przyływ euforii co wtedy, gdy ryba krąży wokół mojej przynęty. Ostrożnie odwijam żaglicę i unoszę ją do światła, by łuski zaśniły w promieniach słońca.

– Wielkie nieba! – woła szlachcic. – Wspaniała.

– A jak smakuje! Żaglica czerwonoogonowa, prosto z wód wokół Ilorinu. Nie ma na nie sezonu, więc możesz być pewien, panie, że król dzisiaj takiej nie zje.

Uśmiech zakwita na twarzy mężczyzny. Wiem, że mam go już na haczyku. Sięga po sakiewkę.

– Pięćdziesiąt srebrników – oznajmia.

Czuję, że oczy robią mi się okrągłe jak spodki, ale zaciskam zęby.

Pięćdziesiąt...

Pięćdziesiąt wystarczy na podatek, może i na łódź. Ale jeśli strażnicy za tydzień znów podniosą daninę, nie zdołam się wykupić z niewoli.

Wybucham głośnym śmiechem i zaczynam zawijać rybę w papier.

Szlachcic marszczy czoło.

– Co robisz?

– Chowam to cudo dla kogoś, kogo na nie stać.

– Jak śmiesz...

– Wybacz, panie – wchodzę mu w słowo – ale szkoda mi czasu na rozmowę z kimś, kto proponuje pięćdziesiąt srebrników za rybę wartą dziesięć razy więcej.

Szlachcic burczy coś pod nosem, lecz po chwili sięga do kieszeni i wyjmuje drugą aksamitną sakiewkę.

– Trzysta, moje ostatnie słowo.

Bogowie! Zapieram się mocno nogami, żeby się nie zachwiać. W życiu nie widzieliśmy na oczy takich pieniędzy. Co najmniej przez sześć miesięcy nie musielibyśmy się w ogóle martwić o podatki, nawet gdyby je podwyższono!

Już otwieram usta, żeby się zgodzić, ale coś w spojrzeniu mężczyzny każe mi się wstrzymać. Skoro tak łatwo nakłoniłam go do sypnięcia groszem, może uda mi się po raz drugi.

Bierz to, co daje, słyszę w myślach głos Tzaina. *Wystarczy na długo.*

Ale pokusa jest zbyt wielka.

– Przykro mi – mówię ze wzruszeniem ramion i kończę zawijać rybę. – Nie sprzedam królewskiego przysmaku komuś, kogo na niego nie stać.

Szlachcic rozdyma nozdrza. *Bogowie.* Czy przeszarżowałam? Czekam, aż się ugnie, ale nic tego nie zapowiada. Pozostaje mi się odwrócić i odejść.

Każda sekunda wydaje się teraz wiecznością, z każdą chwilą zginam się coraz bardziej pod ciężarem swojego błędu. *Znajdziesz innego,* pocieszam się. *Mało jest szlachciców, którzy muszą sobie coś udowodnić?* Stać mnie na więcej niż trzysta. Ryba jest przecież warta więcej... Prawda?

– Cholera – rzucam pod nosem, bo prawie przydzwoniłam głową w kram z krewetkami. Co ja teraz pocznę? Jaki głupiec zaoferuje mi...

– Czekaj!

Odwracam się, a pulchny szlachcic w tej samej chwili wpycha mi do rąk trzy brzęczące sakiewki.

– Niech będzie – mamrocze pokonany. – Pięćset.

Patrzę na niego z niedowierzaniem, które on bierze za podejrzliwość.

– Jak chcesz, to policz.

Otwieram jedną z sakiewek i muszę walczyć ze sobą, żeby się nie popłakać ze szczęścia. Co za piękny widok. Srebro lśni jak łuski żaglicy, jego przyjemny ciężar obiecuje lepszą przyszłość. *Pięćset!* Nawet po zakupie nowej łodzi zostanie tyle, że Baba będzie mógł przez rok odpoczywać. *Nareszcie.*

W końcu zrobiłam coś dobrze.

Wręczając szlachcicowi rybę, mimowolnie się uśmiecham.

– Smacznego, panie. Dziś zjesz lepiej niż król.

Mężczyzna prycha lekceważąco, ale widzę, że kąciki jego ust lekko się uniosły. Chowam aksamitne sakiewki do sakwy i ruszam z powrotem. Rozpierająca mnie radosna energia dorównuje gorączce targowego dnia. Lecz nagle jakiś wrzask rozdziera powietrze. Staję jak wryta. To nie był głos targującego się kupca. *Co u licha...?*

Wtem jeden ze straganów z owocami eksploduje rozniesiony przez grupę żołnierzy królewskiej straży. Wkraczają na targowisko w deszczu mango i brzoskwiń. Strażników przybywa z każdą sekundą, ewidentnie czegoś szukają. Czegoś lub kogoś.

Patrzę w osłupieniu na całe to wielkie zamieszanie i dopiero po chwili uprzytamniam sobie, że nic tu po mnie. Na dnie mojej sakwy spoczywa pięćset srebrników. Pierwszy raz od bardzo dawna mam do stracenia coś więcej niż tylko życie.

W desperackim ferworze przeciskam się przez tłum. Gdy mijam stragany z tkaninami, ktoś chwyta mnie za nadgarstek.

Co na bogów?

Jednym zwinnym ruchem dobywam rozkładany kij, spodziewając się, że ręka, która mnie złapała, należy do królewskiego strażnika lub jakiegoś złodziejaska. Lecz jej właściciel nie jest ani jednym, ani drugim.

To spowita płaszczem dziewczyna o bursztynowych oczach.

Nie czekając, aż jej się wyrwę, wciąga mnie w szparę między dwoma straganami.

– Błagam – mówi – musisz mnie stąd wydostać!

ROZDZIAŁ 5



ZÉLIE

Przez chwilę brak mi tchu.

Miedzianoskóra dziewczyna jest tak roztrzęsiona, że jej strach wnika we mnie.

Okrzyki żołnierzy rozbrzmiewają coraz głośniejsze, coraz bliżej. Nie mogę dać się złapać z tą dziewczyną.

To byłby mój koniec.

– Puść mnie – żądam z determinacją w głosie.

– Nie! Proszę! – Chwyta mnie jeszcze mocniej, a do jej bursztynowych oczu napływają łzy. – Pomóż mi! Zrobiłam coś niewybaczalnego. Jeśli mnie złapią...

Dobrze znam ten strach, który z niej wyziera. Jeśli ją złapią, niechybnie zginie. Można się tylko zastanawiać, kiedy to się stanie. Czy zabiją ją od razu? Zagłodzą w lochu? A może strażnicy na zmianę będą się nad nią pastwić? Zniszczą ją od środka, a potem wykończą ją własna rozpacz?

Przychodzą mi na myśl poranne słowa Mamy Agby. *Macie bronić tych, którzy sami się nie obronią.* I jej surowe spojrzenie. *Oto prawda kija.*

– Nie mogę – odpowiadam szeptem, ale tak naprawdę już szykuję się do walki. *Cholera.*

Nieważne, czy zdołam jej pomóc.

Jeśli nie spróbuję, nie będę umiała z tym żyć.

– Chodź.

Łapię dziewczynę za ramię i wbiegam z nią do wyjątkowo dużego kramu

z ubraniami. Dopadam handlarkę, zakrywam jej usta i przytykam sztylet Tzaina do szyi.

– C-co ty robisz?! – pyta mnie dziewczyna w płaszczu.

Przyglądam się temu płaszczowi. Jakim cudem w ogóle zdołała uciec tak daleko? Jej miedziana skóra i aksamitne szaty pobłyskujące złotem nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do szlchetnego urodzenia.

– Włóż tę brązową opończę – rzucam do niej, po czym zwracam się ku handlarce.

Po twarzy spływają jej krople potu; jest zdana na łaskę ibawickiej złodziejki, jeden fałszywy ruch może się okazać jej ostatnim.

– Nie zrobię ci krzywdy – obiecuję. – Muszę tylko coś przehandlować.

Dziewczyna przebiera się w niepozorną opończę, ja tymczasem wyglądam ostrożnie na zewnątrz i ściskam handlarkę mocniej, gdy z jej gardła wyrывa się stłumiony pisk. Na targowisku jest tylu żołnierzy, że można by z nich utworzyć małą armię. Wystraszeni mieszkańcy i kupcy płaczą się między nimi, potęgując wrażenie chaosu. Bacznie się rozglądam, ale nie widzę żadnej drogi ucieczki z tego piekła. Nie mamy wyboru.

Będziemy musiały zdać się na szczęście.

Chowam się z powrotem do kramu. Dziewczyna nasuwa na czoło kaptur opończy. Biorę wytworną szatę, którą z siebie zdjęła, i wpycham ją do rąk handlarce. Dotyk miękkiego aksamitu wyraźnie ją uspokaja.

Cofam sztylet, biorę drugą opończę dla siebie i ukrywam białe włosy pod ciemnym kapturem.

– Gotowa? – pytam.

Dziewczyna kiwa głową. Choć nadal paraliżuje ją strach, dostrzegam w jej oczach błysk determinacji.

– Idź za mną.

Opuszczamy kram i po chwili jesteśmy w samym środku zamętu. Parę razy stajemy oko w oko ze strażnikami, którzy jednak szukają młodej arystokratki, a nie dziewczyn w skromnych opończach. *Dzięki bogom.*

Może nie jesteśmy na straconej pozycji.

– Idź szybko! – poganiam ją ostrym szeptem, mijając kolejne stragany kupców bławatnych. – Ale nie biegnij. – Przytrzymuję ją za opończę. – Zwrócisz na siebie uwagę. Musimy wtopić się w tłum.

Dziewczyna kiwa głową, próbuje coś powiedzieć, ale nie jest w stanie wydobyć głosu. Podąża za mną niczym szczenię za lworożką, nie odstępuje mnie na krok.

Przeciskając się przez tłum, docieramy na skraj placu targowego. Strażnicy obstawili główne wejście, ale z boku jest furtka, przy której stoi tylko jeden. Podchodzi do jakiegoś szlachcica i o coś go pyta. To nasza szansa.

– Prędko.

Przemykam za ostatnim straganem i chwilę później wychodzę na brukowaną ulicę dzielnicy kupieckiej. Oglądam się na dziewczynę i oddycham z ulgą, lecz kiedy się odwracamy, wyrasta przed nami dwóch roślących strażników.

O bogowie. Zatrzymuję się, żeby na nich nie wpaść. Srebrne monety pobrzękują mi w sakwie. Zerkam na dziewczynę; jej brązowa skóra mocno zbladła.

– Nie możemy przejść? – pytam niewinnie.

Jeden ze strażników krzyżuje wielgachne ramiona.

– Szukamy zbiega. Dopóki go nie złapiemy, nikt stąd nie wychodzi.

– Rozumiem – odpowiadam z przeproszającym ukłonem. – Poczekamy wewnątrz.

Cholera. Ruszam z powrotem ku straganom, tocząc wzrokiem po oszalałym targowisku. Jeżeli obstawili wszystkie wyjścia, trzeba zmienić plan. Potrzebujemy innego sposobu, żeby...

Zaraz.

Gdzie się podziała dziewczyna? Już prawie wróciłam na targ, a jej nie ma przy mnie. Odwracam się i widzę, że wciąż stoi przed strażnikami, a jej dziwnie ułożone ręce lekko drżą.

Na litość boską!

Otwieram usta, żeby ją przywołać, ale nawet nie znam jej imienia.

Zaryzykowałam życie dla obcej osoby i zaraz będę tego żałowała.

Próbuję odwrócić od niej uwagę strażników, lecz jeden z nich już wyciąga rękę, by ściągnąć jej kaptur. Nie mam czasu do stracenia. Sięgam po metalowy kij i błyskawicznie go rozkładam.

– Schyl się!

Dziewczyna pada na ziemię. Zamierzam się kijem i walę z całej siły w głowę strażnika. Słyszę straszliwy trzask pękającej czaszki i mężczyzna się osuwa. Nie dając drugiemu czasu na dobyte miecza, zadaję mu cios prosto w mostek.

– Uch!

Poprawiam kopniakiem w szczękę i żołnierz upada bez czucia w rudy piach.

– Nieba! – Dziewczyna klnie po szlachecku.

I ma rację, bo właśnie zaatakowałam strażników. Chowam kij.

Teraz już naprawdę po nas.

Puszczając się biegiem przez dzielnicę kupiecką, myślę o Tzainie, o furii, w jaką niechybnie wpadnie, kiedy się dowie.

Nie schrzań tego. Zrób swoje i spadaj. Gdzie w tym planie była mowa o pomaganiu uciekinierce?

Ulicami wśród pastelowych budynków ścigają nas dwa oddziały królewskiej straży. Słyszę coraz głośniejsze okrzyki, a jeszcze głośniej dudnią kroki. Zbliżają się z mieczami w rękę, są dosłownie kilka metrów za nami.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – rzucam.

– Z grubsza – odpowiada dziewczyna z paniką w szeroko otwartych oczach.

– Wiem, którą do slumsów, ale...

– Prowadź!

Długimi susami wysuwa się naprzód. Podążam za nią po kamiennych ulicach, kątem oka widzę zdziwione twarze mijanych kupców. Czuję, jak krąży we mnie adrenalina, fala gorąca rozlewa się pod skórą. To się nie uda. Nie mamy szans.

Spokojnie, słyszę głos Mamy Agby. Nabieram głęboko powietrza. Bądź sprytna. Wykorzystaj otoczenie.

Rozglądam się rozpaczliwie po ciasnych uliczkach dzielnicy kupieckiej. Skręcam za róg i dostrzegam wysoki stos drewnianych beczek. *O, te będą w sam raz.*

Wysuwam kij i zamierzam się z rozmachem na jedną z beczek na samym dole. Gdy stacza się na bruk, mam pewność, że pozostałe podążą jej śladem.

Chwilę potem dobiegają nas okrzyki strażników przewracanych przez toczące się beczki. Zyskałyśmy dość czasu, by dobiec do slumsów i chwilę odsapnąć.

– Co teraz? – pyta zdyszana dziewczyna.

– Nie wiesz przypadkiem, jak się stąd wydostać?

Kręci przecząco głową, pot spływa jej strużkami po twarzy.

– Nie znam tej części miasta.

Slumsy z daleka wyglądały jak labirynt, ale od wewnątrz przypominają raczej pajęczynę chatek i bud. Wąskie ścieżki i brudne uliczki płaczą nam się przed oczyma. Końca nie widać.

– Tędy. – Wskazuję uliczkę odchodzącą od dzielnicy kupieckiej. – Skoro tam się idzie do miasta, w przeciwną stronę musi być wyjście.

Biegniemy ile sił w nogach, wzbijając tumany kurzu. Wkrótce jednak drogę zagraża nam grupka strażników. Nie mamy wyboru, musimy odbić w innym kierunku.

– Nieba! – rzuca dziewczyna.

Pędzimy wąskim zaułkiem, ku niezadowoleniu grupki bezdomnych kosidan. Właściwie jestem pod wrażeniem, że udało jej się uciec tak daleko. Nie sądzę, żeby w pałacach uczono trudnej sztuki wymykania się własnym żołnierzom.

Znowu skręcamy za róg, strażnicy depczą nam po piętach. Zmuszam się do jeszcze szybszego biegu, gdy nagle dziewczyna pociąga mnie od tyłu.

– Co jest...?

Zakrywa mi usta i przyciska mnie do ściany lichej chatynki. Dopiero teraz spostrzegam, że stoimy w ciasnym bocznym przejściu.

Błagam, niech nas tu nie znajdą. Po raz drugi od kilkunastu lat modłę się do bogów, o ile jacyś tam jeszcze są. *Proszę. Ukryjcie nas.*

Serce chyba zaraz wyskoczy mi z piersi. Wali o żebra z taką siłą, że strażnicy mogą je usłyszeć. W końcu jednak przewalają się ulicą jak stado nosorogów w pogoni za ofiarą.

Zadzieram głowę i mrużąc oczy, spoglądam na płynące po niebie chmury. Spomiędzy nich prześwitują promienie słońca. Jak gdyby bogowie wstali z martwych, opuścili cmentarz, który powstał po rzezi Obławy. Ktokolwiek siedzi tam, na górze, uśmiecha się do mnie.

Oby tylko nie zmienił zdania.

Wychodzimy z ciasnej kryjówki i ruszamy biegiem w inną stronę. Przypadkiem wpadamy na parę zaciekawionych ibawitów. Jeden z nich upuszcza butelkę rumu; ostry, wręcz palący zapach trunku uderza mnie w nozdrza. Przypominam sobie kolejną cenną lekcję z chaty Mamy Agby.

Podnoszę butelkę z ziemi i rozglądam się za brakującym składnikiem. Dostrzegam go w odległości paru metrów za głową dziewczyny.

– Weź pochodnię!

– Co?

– Pochodnię! – krzyczę. – Tę, którą masz przed sobą!

Wydobycie metalowej pochodni z uchwytu chwilę jej zajmuje, wreszcie ruszamy dalej. Dobiegamy do końca slumsów. Oddzieram sobie kawałek opończy i wpycham strzęp do butelki z rumem.

– Co to jest?

– Zaraz zobaczysz.

Zostawiamy slumsy w tyle i przed nami rysuje się już drewniana brama miejska. Nasza droga ucieczki.

Zagrodzona przez królewską straż.

Czuję, jak gaśnie we mnie nadzieja. Zatrzymujemy się przed bezkresnym

szeregiem uzbrojonych żołnierzy na panterozcach z obnażonymi kłami. Czarna sierść tych bestii, mieniąca się tęczę kolorów, lśni w słońcu niczym warstewka oliwy. Nawet przykucnięte, jakby do skoku, wyraźnie nas przewyższają.

– Jesteście otoczeni! – Kapitan straży świdruje mnie bursztynowymi oczami. – W imieniu króla Sarana nakazuję wam stać!

W odróżnieniu od swoich podwładnych kapitan siedzi na śnieżnym lampartusie, prawie tak wielkim jak moja chata. Z grzbietu zwierzęcia sterczy osiem grubych rogów, ostrych i czarno błyszczących. Bestia oblizuje długie ząbkowane kły i warczy, nie mogąc się doczekać, aż ozdobi białe futro naszą krwią.

Kapitan ma taką samą miedzianą karnację jak dziewczyna. Na jego skórze nie widać zmarszczek ani żołnierskich blizn. Dziewczyna, widząc go, chwyta za swój kaptur, a nogi jej drżą.

Choć kapitan jest młody, strażnicy się go słuchają. Jeden po drugim dobywają miecze z pochwy i wyciągają je w naszą stronę.

– To koniec – wzdycha dziewczyna. Z twarzą zalaną łzami klęka na ziemi. Upuszcza pochodnię w geście rezygnacji, po czym wyciąga zwój pomarszczonego pergaminu.

Udaję, że robię to samo, przykucam, lecz jednocześnie podtykam strzęp materiału w butelce do płomienia pochodni. Gryzący swąd dymu wdiera mi się do nosa. Podnoszę wzrok na zbliżającego się kapitana i ciskam butelkę w szereg żołnierzy na panterozcach.

Dawaj! Odprowadzam swój pocisk wzrokiem. Boję się, że zgaśnie.

Chwilę później wszystko staje w ogniu.

Świetlista pożoga połyka żołnierzy oraz ich panterozce. Bestie wyją, zrzucają jeźdźców, próbując ratować się ucieczką.

Dziewczyna patrzy przerażona. Chwytam ją za ramię i pociągam do przodu. Od bramy, od wolności dzieli nas już tylko kilka metrów.

– Zamknąć bramę! – woła kapitan, kiedy go mijamy.

Dziewczyna zderza się z nim, ale udaje jej się wysmyknąć.

Metalowe koła skrzypią i drewniana krata zaczyna opadać. Wartownicy pełniący przy niej straż dobywają miecze. Są ostatnią przeszkodą na naszej drodze.

– Nie uda nam się! – krzyczy dziewczyna bez tchu.

– Nie mamy wyjścia!

Chyba jeszcze nigdy nie biegłam tak szybko. Pijany strażnik, który wcześniej się do mnie przystawiał, unosi miecz do cięcia. Jego powolne ruchy budzą więcej rozbawienia niż strachu. Zasuвам mu z całej siły w głowę, a potem jeszcze znajduję chwilę, by uderzyć go kolaniem w krocze.

Inny strażnik bierze zamach mieczem, ale bez trudu paruję jego cios kijem, po czym wytrącam mu broń z ręki. Robi wielkie oczy, a ja zaraz częstuję go kopniakiem w twarz. Z półobrotu. Osuwa się na drewnianą kratę, a ja przemykam pod nią i jestem wolna.

Udało się! – mam ochotę krzyknąć. Biegnę skryć się wśród hebanowców, lecz gdy spoglądam przez ramię, by uśmiechnąć się do dziewczyny, okazuje się, że jej tam nie ma. Patrzą w stronę bramy i serce mi zamiera: dziewczyna przewróciła się tuż przed kratą i leży w kłębie kurzu.

– Nie! – krzyczę.

Krata domknie się lada moment.

Była już tak blisko, a teraz umrze.

Uciekaj, nakazuję sobie. Masz Tzaina, Babę. Zrobiłaś, co mogłaś.

Ale rozpacz w oczach dziewczyny każe mi po nią wrócić. I choć wiem, że moje szczęście już się wyczerpało, a ciało protestuje, rzucam się do przodu i przetaczam pod kratą na sekundę przed tym, zanim się zamyka.

– Mam was – oznajmia zakrwawiony kapitan. – Rzuć broń! Teraz!

Czuję się tak, jakbyśmy miały przed sobą wszystkich strażników z Lagos. Otaczają nas tłumnie, odcinając kolejne drogi ucieczki.

Pomagam dziewczynie wstać i unoszę wysoko kij. *To koniec.* Żywej mnie nie dostaną. Zginę z bronią w ręku.

Serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe. Strażnicy podchodzą bliżej. Cieszę się ostatnimi chwilami życia, wyobrażam sobie łagodne oczy Mamy, jej

hebanową skórę.

Idę do ciebie, zwracam się w myślach do jej ducha. Wędruje teraz pewnie po aláfii, unosi się w harmonii zaświatów. Wyobrażam sobie, że stoję u jej boku. *Będę z tobą już...*

I wtedy powietrzem wstrząsa potężny ryk. Strażnicy zamierają w pół kroku. Ryk narasta, jest ogłuszający. Chwytam dziewczynę i odciągam ją na bok. Chwilę później ogromne cielsko Najli przeskakuje nad bramą.

Strażnicy cofają się w przestachu. Moja lworozka ląduje na ścieżce, jej masywne kły ociekają śliną. W pierwszej chwili jestem przekonana, że to tylko halucynacja – dopóki nie rozlega się znajomy głos.

– Na co czekasz? – krzyczy Tzain. – Wsiadaj!

Nie tracąc ani chwili, wskakuję na grzbiet Najli, a potem wciągam dziewczynę. Najla wyrywa do przodu, skacze po dachach, które zawalają się pod jej ciężarem, wreszcie daje susa w kierunku bramy.

Jesteśmy już prawie na zewnątrz, gdy nagle przeszywa mnie wstrząs, coś jak piorun.

Czuję to we wszystkich porach skóry, jakby moja najgłębsza istota zapłonęła ogniem. Oddech więźnie mi w płucach, spoglądam w dół i napotykam spojrzenie kapitana. Czas stanął w miejscu.

Bursztynowe oczy jaśnieją jakąś tajemniczą i nieprzepartą siłą. Nie mogę się uwolnić, jakby jego duch trzymał mojego w szponach. A potem Najla przelatuje nad bramą i nasze połączenie zostaje zerwane.

Lądujemy z ciężkim tupnięciem i już mkniemy między hebanowce.

– Bogowie – szepczę. Bola mnie wszystkie mięśnie. Nie mogę uwierzyć, że nam się udało.

Nie mogę uwierzyć, że nadal żyję.

ROZDZIAŁ 6



INAN

Porażka.

Rozczarowanie.

Hańba.

Jaką obelgę usłyszę dziś z ust ojca?

Wchodząc do pałacu po białych marmurowych schodach, rozważam po kolei wszystkie możliwości. Słowo „porażka” byłoby na miejscu. Wracam z pustymi rękoma, zbieg uszedł. Ale wcale nie jest powiedziane, że ojcu będzie się chciało strzepić język.

Może najpierw użyje pięści.

Tym razem nie mogę mieć do niego żalu.

Skoro nie potrafię obronić Lagos przed samotnym złodziejem, jak mam zostać następnym królem Oriszy?

Nieba. Przystaję na chwilę z ręką na poręczu z alabastru. Dzisiejszy dzień miał być dniem mojego triumfu.

I byłby nim, gdyby nie ta łachudra o srebrnych oczach.

Twarz ibawitki staje mi przed oczami po raz dziesiąty, odkąd patrzyłem, jak przeskakuje bramę miejską. Ciemna skóra, długie białe włosy. Nie mogę się uwolnić od jej obrazu.

– Kapitanie.

Nie odpowiadam salutującym strażnikom przy wejściu do głównego holu. Mój tytuł ma w sobie teraz coś z okrutnej drwiny. Kapitan z prawdziwego zdarzenia przeszyłby zbiega strzałą.

– Gdzie jest książę? – Skrzekliwy głos odbija się od pałacowych ścian.

Niech to. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję.

Matka z przekrzywionym zawojem przepycha się przez strażników blokujących jej przejście.

– Gdzie on jest? – woła. – Gdzie jest... Inan?

Na mój widok jakby odetchnęła z ulgą. W jej oczach pojawiają się łzy. Podchodzi blisko i dotyka mojego skaleczonego policzka.

– Mówili mi coś o skrytobójcach.

Odsuwam się i potrząsam głową. Skrytobójcy mieliby bardziej oczywisty cel. Łatwiej byłoby ich wytropić. Zbieg był po prostu zbiegiem. A ja go nie złapałem.

Ale matka nie dba o tożsamość napastników. O moją porażkę. O stracony czas. Splata nerwowo dłonie, powstrzymuje się od płaczu.

– Inanie, musimy... – Głos jej się załamuje i dopiero wtedy zauważa, że wszyscy się patrzą. Poprawia zawój na głowie i robi krok w tył. Gdyby miała szpony, na pewno by je teraz wysunęła.

– Nasze miasto zaatakowała glista – rzuca gniewnie w stronę zebranych. – Nie macie co robić? Idźcie na plac targowy, przetrząśnijcie slumsy. Dopilnujcie, żeby to się nigdy nie powtórzyło!

Żołnierze, szlachcice i służący w pośpiechu opuszczają hol, potykając się jeden o drugiego. Matka czeka, aż znikną, po czym łapie mnie za nadgarstek i ciągnie ku sali tronowej.

– Nie – protestuję, bo nie jestem gotowy na gniew ojca. – Nie mam żadnych wieści...

– I już nie będziesz miał.

Matka otwiera wielkie drewniane drzwi i wlecze mnie do środka.

– Wszyscy wynocha! – woła.

Strażnicy i wachlarzowi pierzchają jak myszy.

Tylko Keja ośmieliła się zostać. W czarnym napierśniku nowej zbroi wyjątkowo jej do twarzy.

Admirał? Wpatruję się w ozdobne godło, symbol jej nowej rangi. Tak, bez dwóch zdań awansowała. *Ale w takim razie co się stało z Ebelem?*

Przed tronem uderza mnie w nozdrza ostra woń mięty. *No tak*, myślę, spoglądając pod nogi. Na kafelkach widnieją dwie plamy świeżej krwi.

Nieba.

Ojciec już jest w złym humorze.

– Ty też, admirałko – rzuca gniewnie matka, krzyżując ramiona.

Twarz Kei tężeje, jak zawsze, gdy matka traktuje ją lodowato. Spogląda na ojca, który z ociąganiem daje znak głową.

– Wybacz, pani. – Keja posyła matce ukłon, ale jej ton jest daleki od przepraszającego.

Matka ponurym wzrokiem odprowadza ją do wyjścia.

– Spójrz – zwraca się do ojca, pociągając mnie do przodu. – Spójrz, co glisty zrobiły twojemu synowi. Tak się kończy robienie z niego wojaka. Tak się kończy zabawa w kapitana straży!

– Już ich miałem! – Wyrywam się matce. – Dwa razy. Nie moja wina, że żołnierze po wybuchu nie potrafili utrzymać szyku.

– Nie mówię, że to twoja wina, kochanie. – Matka próbuje dotknąć mojego policzka, lecz wymykam się dłoni spowitej różaną mgiełką. – Mówię tylko, że to zbyt niebezpieczne dla księcia.

– Matko, właśnie dlatego, że jestem księciem, muszę bronić Oriszy przed zagrożeniem – upieram się. – To mój obowiązek. Jak mam chronić swój lud, chowając się w pałacu?

Matka macha lekceważąco, po czym zwraca się do ojca:

– To następca tronu Oriszy, na litość niebieską. Weź sobie jakiegoś wieśniaka i jego narażaj!

Na twarzy ojca nie widać żadnej reakcji. Jakby w ogóle nie słuchał. Przez cały czas patrzy w okno i obraca na palcu królewski rubin.

Obok na złotym stojaku wisi majacytowy miecz z wyrytym na rękojeści śnieżnym lampartusem. To czarne ostrze jest przedłużeniem ojca, on nigdy się

z nim nie rozstaje.

– Ich, czyli kogo? – odzywa się w końcu. – Z kim był zbieg? Z pałacu wyszła sama.

Ciężko przetykam ślinę, robię krok do przodu i zmuszam się, by spojrzeć ojcu w oczy.

– Jeszcze nie ustaliliśmy tożsamości tej drugiej osoby. Wiemy tylko, że nie jest z Lagos. *Ale ma oczy jak księżyc. I niewielką bliznę na brwi.*

Twarz ibawitki znów staje mi przed oczami z taką wyrazistością, jakby to był portret wiszący na ścianie pałacu. Pełne usta rozchylone w bojowej złości, napięte mięśnie na chudych policzkach.

Znów to czuję pod skórą, coś jakby pulsującą energię. Ostrą i palącą niczym alkohol wylewany na otwartą ranę. Otrząsam się nerwowo.

– Królewski medyk ocuca strażników, którzy pełnili wartę przy bramie – mówię dalej. – Kiedy dojdą do siebie, dowiem się, kim była i skąd przyszła. Jeszcze ich wytropię...

– Nie ma mowy – wtrąca się matka. – Mogłeś dziś zginąć! I co wtedy? Następcą tronu zostałaby Amari? – Zbliżyła się do ojca, zaciskając pięści i zadzierając brodę. – Musisz położyć temu kres, Saranie! Natychmiast!

Z niedowierzaniem unoszę głowę. Zwróciła się do ojca po imieniu...

Jej głos odbija się echem od czerwonych ścian sali tronowej.

Oboje spoglądamy na króla. Nie mam pojęcia, co zrobi. Zaczynam sądzić, że matka postawi na swoim, lecz wtedy ojciec przemawia.

– Wyjdź.

Matka robi wielkie oczy. Cała zuchwałość w jednej chwili spływa z niej jak pot. – Mój panie...

– Wyjdź – powtarza z chłodnym spokojem. – Chcę pomówić z synem na osobności.

Matka chwyta mnie za nadgarstek; oboje wiemy, jak takie rozmowy na osobności się kończą. Nie może jednak nic zrobić, jeśli nie chce sama narazić się na gniew ojca.

Żegna się ukłonem, sztywna jak świeca. Odchodząc, zerka na mnie przelotnie. Róż na jej policzkach znaczą strużki łez.

Przez dłuższą chwilę ogromną salę tronową wypełniają tylko dźwięki jej kroków. Potem drzwi zamykają się głucho.

Jesteśmy z ojcem sami.

– Wiesz, kim jest zbieg?

Waham się przez sekundę. Białe kłamstwo mogłoby mnie uchronić przed okrutną karą. Lecz ojciec wyczuwa kłamstwa jak polujący hienotr.

Kłamstwo tylko by mnie pograżyło.

– Nie – odpowiadam. – Ale do wieczora znajdziemy trop. A wtedy wezmę oddział...

– Odwołaj swoich ludzi.

Sztywnieję. Nie chce nawet dać mi szansy.

Myśli, że to zadanie mnie przerasta. Odbierze mi stanowisko dowódcy straży.

– Ojczy – mówię pomału. – Proszę cię. Nie doceniłem tego zbiega, ale teraz jestem przygotowany. Pozwól mi naprawić mój błąd.

Ojciec wstaje z tronu. Powoli, ale stanowczo. Choć na jego twarzy maluje się spokój, dobrze wiem, ile złości potrafi skrywać to obojętne spojrzenie.

Spuszczam oczy. Już słyszę jego krzyki. *Obowiązek nade wszystko.*

Orisza nad siebie.

Zawiodłem go dzisiaj. Jego i moje królestwo. Pozwoliłem ibawitce zburzyć spokój w Lagos. Oczywiście, że spotka mnie za to kara.

Zwieszam głowę i wstrzymuję oddech. Jak bardzo będzie bolało tym razem? Skoro ojciec nie każe mi zdjąć zbroi, pewnie dostanę w twarz.

Znowu wszyscy będą się gapić na moje siniaki.

Ojciec unosi rękę, a ja zamykam oczy. Szykuję się na cios. Ale zamiast uderzyć mnie pięścią w twarz, kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Wiem, że dasz sobie radę, Inanie. Tylko ty możesz się tego podjąć.

Mrugam zdezorientowany. Ojciec nigdy wcześniej nie patrzył na mnie

w taki sposób.

– To nie jest zwykły zbieg – mówi przez zęby. – To Amari.

ROZDZIAŁ 7



ZÉLIE

Tzain dopiero w połowie drogi do Ilorinu skraca cugle Najli. Stajemy wśród wysokich drzew i cykających świerszczy. Mój brat przez dłuższą chwilę siedzi nieruchomo. Musi być na mnie wściekły jeszcze bardziej niż zwykle.

Ześlizguję się z siodła i ściskam wielki łeb Najli, masuję jej ulubione miejsce między rogami a uszami.

– Dziękuję – szepczę w jej sierść. – Jak wrócimy do domu, dostaniesz ode mnie coś pysznego.

Najla mruczy zadowolona i ociera się pyskiem o mój nos, jakbym była jej szczenięciem. Uśmiecham się, ale gdy Tzain zeskakuje na ziemię i zbliża się wolnym krokiem, już wiem, że nawet Najla mnie przed nim nie obroni.

– Tzain...

– Co ci znowu strzeliło do głowy!?! – wydziera się z taką furją, że rodzina żołn podrywa się spłoszona z pobliskiej gałęzi.

– Nie miałam wyboru! Oni by ją zabili...

– A tobie co by zrobili, jak myślisz? – Tzain wali pięścią w drzewo, aż obrywa się kora. – Dlaczego ty nigdy nie pomyślisz, Zél? Dlaczego nie robisz tego, co masz do zrobienia?

– Nieprawda! – Sięgam do sakwy i rzucam w Tzaina aksamitną sakiewkę. Srebrne monety rozsypują się po ziemi. – Dostałam za tę żaglicę pięćset srebrników!

– Żadne pieniądze nas teraz nie uratują. – Tzain zakrywa oczy dłońmi, rozmazując sobie łzy na policzkach. – Zabiją nas. Ciebie zabiją, Zél!

– Nie, proszę – odzywa się piskliwym głosikiem uciekinierka. Dziewczyna ma talent do wtapiania się w otoczenie: na śmierć o niej zapomniałam. – Ja...
– Robi się blada. W cieniu kaptura ledwie widać jej bursztynowe oczy. – To wszystko moja wina.

– Dziękuję. – Przewracam oczami, lekceważąc gniewne spojrzenie Tzaina. Gdyby nie ona, byłby cały w skowronkach. Nasza rodzina byłaby wreszcie bezpieczna. – Co zrobiłaś? – pytam ją. – Dlaczego cię ścigali?

– Nie mów nam. – Tzain potrząsa głową i wskazuje palcem w kierunku Lagos. – Wracaj. Oddaj się w ręce straży. To nasza jedyna szansa na... – Urywa, gdy dziewczyna zdejmuje kaptur. Nie może oderwać wzroku od jej królewskiej twarzy. Od złotego diademu na włosach splecionych w warkocz. Błyszczące łańcuszki i listki opadają jej na czoło, a pośrodku lśni pieczęć wysadzana brylantami. To śnieżny lampartus. Tylko jedna rodzina może go nosić.

– O bogowie – szepczę.

Księżniczka.

Amari.

Porwałam księżniczkę Oriszy.

– Wszystko wyjaśnię – mówi prędko.

Teraz słyszę jej królewski akcent, od którego bołą mnie zęby.

– Wiem, co sobie myślicie, ale naprawdę groziła mi śmierć.

– Śmierć? – powtarzam. – Tobie?

Robi mi się czerwono przed oczami. Chwytam ją bezceremonialnie, przypieram do pnia drzewa i zaciskam palce na jej szyi. Dusi się, próbuje krzyczeć, przerażone oczy wychodzą jej z orbit.

– Co ty wyprawiasz? – woła Tzain.

– Pokazuję księżniczce, jak to jest naprawdę bać się o swoje życie.

Brat chwytam mnie za ramiona i odciąga.

– Odebrało ci rozum?

– Okłamała mnie! – krzyczę. – Powiedziała, że chcą ją zabić. Mówiła, że

potrzebuje pomocy!

– Nie kłamałam! – zapewnia Amari chrypiącym głosem, łapiąc się przy tym za gardło. – Ojciec skazywał już na śmierć członków rodziny królewskiej tylko za to, że wyrażali współczucie ibawitom. Ze mną postąpiłby tak samo! – Sięga w głąb szaty i wyciąga zwój pergaminu. Ścisza go tak mocno, że ręka jej drży. – Królowi zależy na tym. – Amari wpatruje się w zwój z dziwną intensywnością. – Ten pergamin może wszystko odmienić. Może wskrzesić magię.

Spoglądamy na nią w osłupieniu. *Kłamie*. Magia nie wróci. Magia umarła przed jedenastu laty.

– Ja też myślałam, że to niemożliwe – dodaje Amari, wyczuwając nasze powątpiewanie. – Ale widziałam na własne oczy, jak ibawitka dotknęła tego pergaminu i stała się magiczką... – Jej głos łagodnieje. – Przyzwała światło.

Świetlarka?

Podchodzę bliżej, przyglądam się rękopisowi. Niedowierzenie Tzaina wisi nade mną jak upalne powietrze, lecz im dłużej Amari mówi, tym śmielej popuszczam wodze fantazji. Tam, w Lagos, była autentycznie przerażona. To, co widziałam w jej oczach, to był prawdziwy strach o siebie. Gdyby jej ucieczka nie groziła poważnymi konsekwencjami, po co wysyłano by za nią połowę królewskiej armii?

– Gdzie ona teraz jest? – pytam. – Ta magiczka.

– Nie żyje. – Do oczu Amari nabiegają łzy. – Mój ojciec ją zabił. Zamordował tylko z powodu jej mocy. – Amari obejmuje się ramionami, zaciska powieki, żeby nie płakać. Wydaje się teraz mniejsza. Zatopiona w żalu.

Tzain wyraźnie zmiękł, ale mnie jej łzy nie obchodzą. W myślach rozbrzmiewają mi tylko słowa: *Stała się magiczką. Przyzwała światło*.

– Daj mi to – mówię, wskazując na zwój. Dotykam go – i przepływa przeze mnie dziwny prąd. Odskakuję do tyłu i upuszczam pergamin, żeby przytrzymać się pnia hebanowca.

– Co się stało? – pyta Tzain.

Kręcę głową. Nie wiem, co powiedzieć. Doznaję dziwnego uczucia pod skórą, jednocześnie obcego i znajomego. Przenika do głębi mojej istoty, ogrzewa mnie od wewnątrz. Tętni jak drugie serce, drży jak...

Jak aszê?

Na myśl o tym oddech zamiera mi w piersi. Odsłania się we mnie ziejąca dziura. Nie sądziłam, że jeszcze istnieje. Kiedy byłam dzieckiem, pragnęłam aszê jak niczego innego. Nie mogłam się doczekać dnia, w którym poczuję w swoich żyłach to ciepło.

To właśnie obecność aszê, boskiej mocy we krwi, odróżnia magów od ibawitów. To dzięki niej możemy korzystać z naszych świętych darów. Bez aszê nie ma magii.

Oglądam swoje dłonie, czy nie ma na nich cieni śmierci, które Mama potrafiła wyczarować nawet we śnie. Razem z aszê budzi się w nas moc. Ale czy właśnie to się teraz dzieje?

Nie.

Tłamszę iskierkę nadziei, nie pozwalając, żeby powstał z niej płomień. Gdyby magia wróciła, to by wszystko zmieniło. Jeżeli naprawdę wróciła... Sama nie wiem, co myśleć.

Powrót magii to również powrót bogów – w sam środek mojego życia po jedenastu latach nieobecności. Właśnie teraz, gdy w końcu się pozbierałam po tragedii Obławy.

Jeżeli porzucą mnie po raz drugi, już się nie podniosę.

Amari robi krok do tyłu i zniża głos:

– Czujesz to? Keja powiedziała, że ten rękopis przemienia ibawitów w magów. Kiedy Binta go dotknęła, z jej rąk wytrysnęło kolorowe światło.

Obracam dłoń, szukając lawendowego blasku magii Żniwiarzy. Przed Obławą ibawita podczas przemiany nie mógł być pewien, jakim stanie się magiem. Ibawici często dziedziczyli magię rodziców, prawie zawsze po matce. Mając za ojca kosidanina, zakładałam z dużym prawdopodobieństwem, że będę Żniwiarką jak Mama. Niecierpliwie wyczekiwałam dnia, kiedy poczuję w kościach magię tych, którzy umarli. Teraz jednak czuję tylko irytujące

łaskotanie w żyłach.

Ostrożnie podnoszę zwój, obawiając się, żeby znów czegoś we mnie nie wzbudził. Na pomarszczonym pergaminie dostrzegam żółty rysunek słońca, lecz reszta znaków jest nieczytelna. Sprawiają wrażenie bardzo, bardzo starych, jakby pamiętały zaranie świata.

– Nie mów, że w to wierzysz – odzywa się cicho Tzain. – Magia zniknęła, Zél. I już nie wróci.

Wiem, że stara się tylko mnie chronić. Zawsze to powtarzał, ocierając mi łzy i powstrzymując własne. A ja zawsze wierzyłam, ale teraz...

– A inni, którzy tego dotknęli? – pytam Amari. – Stali się magami? Odzyskali swoje dary?

– Tak – odpowiada z entuzjazmem, który po chwili jednak przygasa. – Odzyskali magię, ale ludzie mojego ojca ich dopadli.

Mróz ścina moje kości. Przez głowę przemyka wspomnienie martwego ciała Mamy, ale to nie jej twarz wyobrażam sobie zakrwawioną i zbitą.

Tylko swoją.

Ale ona nie miała magii, przypomina mi jakiś wewnętrzny głosik. Nie miała jak się bronić.

Nagle znów mam sześć lat i leżę zwinięta w kłębek przy ogniu w naszym domu w Ibadanie. Tzain obejmuje mnie i odwraca twarzą do ściany, jak zwykle próbując chronić przed cierpieniem tego świata.

Strażnik raz po raz zadaje ciosy Babie, aż tryska krew. Mama krzyczy, żeby przestał. Dwaj żołnierze zaciskają jej łańcuch na szyi tak ciasno, że majacytowe ogniwa tną skórę.

Wywlekana z chaty jak zwierzę, dusi się i rzuca, wierzga nogami.

Tylko że teraz miałyby swoją magię.

Teraz mogłaby wyjść obronną ręką.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie, jaki byłby finał.

– Gbó ariwo ikú! – Ożywiona siłą mojej wyobraźni Mama recytuje zaklęcia. – Pa ipò dà. Jáde nínú èjè ara!

Duszący ją strażnicy najpierw nieruchomieją, a potem zaczynają się gwałtownie trząść. Wrzeszczą wniebogłosy, gdy Mama wydziera im duchy z ciał, zabija ich gniewem Żniwiarki w pełni panującej nad swoim darem. Jej magia żywi się furią. Z wijącymi się wokół cieniami wygląda jak sama Oja, bogini życia i śmierci.

Mama z gardłowym krzykiem zrywa z szyi czarny łańcuch, po czym zaciska go na krtani ostatniego strażnika. Dzięki magii ratuje Babę.

Dzięki magii wychodzi z opresji cało.

– Jeśli mówisz prawdę – rozgniewany głos Tzaina wybija mnie z tych fantazji – nie możesz tu zostać. Dla nich to jest powód do zabijania ludzi. Jeśli znajdą Zél z tym czymś... – Głos mu się załamuje, a moje serce pęka na tysiąc kawałków.

Choćbym do końca jego dni sprawiała mu same rozczarowania, Tzain i tak oddałby za mnie życie.

Muszę go chronić. Teraz to jego trzeba ratować.

– Musimy jechać. – Zwijam pergamin i chowam go do worka. Robię wszystko tak szybko, że o mały włos zapomniałabym o leżącej na ziemi sakiewce ze srebrnikami. – Cokolwiek to jest, musimy wracać do Baby. Uciekać, dopóki możemy.

Tzain powściąga irytację i dosiada Najli. Ja wdrapuję się z tyłu. Wtedy odzywa się księżniczka, nieśmiało jak dziecko:

– A... a co ze mną?

– Co z tobą? – pytam. Rozpiera mnie nienawiść do jej rodziny. Teraz, gdy mamy rękopis, najchętniej zostawiłabym ją samą w lesie, niech umrze z głodu albo rozszarpana przez hienotry.

– Skoro bierzesz ten głupi pergamin, ją też musimy zabrać. – Tzain wzdycha. – Inaczej pomoże strażnikom nas odnaleźć.

Spoglądam na Amari. Jest blada na twarzy.

Jakby to mnie musiała się obawiać.

– Wskakuj prędko – rzucam do niej i przesuвам się do przodu na siodle.

Choć wołałabym nie mieć z nią więcej do czynienia, chwilowo jesteśmy na

siebie skazane.

ROZDZIAŁ 8



INAN

– Nie rozumiem.

Tysiąc myśli kotłuje mi się w głowie. Staram się wyłowić fakty: magia w Oriszy, prastary manuskrypt, zdrada służącej Amari?

Nie, to niemożliwe. Choćbym uwierzył w magię, nie uwierzę w udział mojej siostry. Amari nawet na przyjęciach siedzi cicho jak mysz pod miotłą. Pozwala matce, żeby ją ubierała. Nie spędziła ani dnia poza murami tego miasta, a teraz miałyby uciec z Lagos z jedyną rzeczą, która może zniszczyć nasze królestwo?

Przypominam sobie tamten moment, kiedy uciekiniarka zderzyła się ze mną przy bramie. Poczułem wtedy coś dziwnego w kościach, jakby fale gorąca. Na moment straciłem głowę i nie zajrzałem pod kaptur tej dziewczyny. Ale gdybym to zrobił, czy naprawdę ujrzalbym bursztynowe oczy mojej siostry?

– Nie – odpowiadam sobie szeptem.

To absurdalne. Mam ochotę wysłać ojca do nadwornego medyka. Choć trudno dyskutować z jego spojrzeniem, trochę szalonym, a trochę wyrachowanym. Niejedno już widziałem w tych oczach przez osiemnaście lat. Ale nigdy strach. Nigdy trwogę.

– Zanim się urodziłeś, magowie zachłysłeni się swoją mocą. Wciąż knuli przeciwko naszej dynastii, chcieli ją obalić – tłumaczy. – Mój ojciec mimo wszystko starał się być wyrozumiały dla tych zdrajców, ale przyplacił to życiem.

On i twój starszy brat, dodaję w duchu. Twoja pierwsza żona i twój

pierworodny syn. Każdy oriszański szlachcic wie o rzezi, której dopuścili się magowie. O zbrodni pomszczonej Obławą.

Odruchowo wymacuję w kieszeni wytarty pionek, ukradzony „prezent” od ojca. Jedyne ocalały z zestawu do sêneta, w którego ze mną grał, kiedy byłem młodszy.

Chłodny metal pionka zwykle mnie uspokaja, lecz dziś wydaje się ciepły. Prawie mnie parzy, niczym zapowiedź prawdy, którą ojciec zamierza przede mną odkryć.

– Wstępując na tron, wiedziałem, że magia jest źródłem wszelkiego cierpienia. To przez nią upadały dawne imperia – i dopóki istnieje, będą upadać kolejne.

Kiwam głową, przypominając sobie tyrady, jakie ojciec wygłaszał na długo przed Obławą. Brotańczycy, Porltogoni, imperium Heszpunów – wszystkie te cywilizacje legły w gruzach, bo ci, którzy posługiwali się magią, zapragnęli władzy, a rządzący uczynili za mało, żeby ich powstrzymać.

– Kiedy odkryłem stop używany przez Brotańczyków do poskramiania magii, myślałem, że to wystarczy. Budowali z majacytu więzienia, robili z niego broń i łańcuchy. Wziąłem z nich przykład. Ale nawet to nie wystarczyło, żeby okiełznać te perfidne glisty. Zrozumiałem, że jeśli nasze królestwo ma przetrwać, trzeba unicestwić magię.

Co? Mimo woli unoszę brwi, bo nie wierzę własnym uszom. Magia jest czymś poza nami. Jak można wydać wojnę takiemu wrogowi?

– Magia jest darem od bogów – ciągnie – duchowym połączeniem między bogami a ludźmi. Uznałem, że skoro bogowie wieki temu zerwali to połączenie z dynastią królewską, ich więź z magami także nie jest wieczna.

Słucham go i kręci mi się w głowie. Jeśli on nie potrzebuje lekarza, to ja chyba tak. Tylko raz odważyłem się zadać mu pytanie o bogów Oriszy i odpowiedział mi wtedy krótko: „Bez głupców, którzy w nich wierzą, bogowie są niczym”.

Wziąłem sobie jego słowa do serca i na tym niezachwianym poglądzie zbudowałem swój świat. A teraz ojciec mówi mi, że bogowie istnieją. I że

toczył z nimi wojnę.

Nieba. Patrzę na ślady krwi w szczelinach posadzki. Zawsze wiedziałem, że ojciec jest potężny. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, jak daleko sięga jego moc.

– Po koronacji zacząłem szukać sposobu na przerwanie tej duchowej łączności. Zajęło mi to lata. W końcu odkryłem jej źródło i nakazałem je zniszczyć. Aż do dziś byłem pewien, że udało mi się zmieść magię z powierzchni ziemi. Ale ten przeklęty pergamin grozi jej odrodzeniem.

Chłonę jego słowa, układam je sobie w głowie, aż poszczególne elementy, również te najbardziej niewiarygodne, same wskakują na swoje miejsca. Trzeba zniszczyć połączenie, aby zniszczyć magię.

Aby zniszczyć wrogów tronu.

– Ale skoro magia zniknęła... – Żołądek skręca mi się z nerwów, lecz muszę poznać odpowiedź. – Po co w takim razie była Obława? Czy trzeba było... zabijać tych wszystkich ludzi?

Ojciec przesuwa kciukiem po krawędzi majacytowej klingi. Podchodzi do okien podzielonych listwami. Stoi teraz w miejscu, z którego jako dziecko patrzyłem, jak palono magów z Lagos. Choć od tamtego czasu minęło jedenaście lat, swąd płonących ciał wciąż mnie prześladowuje. Jest równie namacalny jak upał.

– Wszyscy magowie musieli zginąć, żeby magia zniknęła na dobre. Raz posmakowawszy tej mocy, nigdy nie przestaliby walczyć o jej odzyskanie.

Wszyscy magowie...

To dlatego oszczędził dzieci. Ibawici nie przejawiają żadnych zdolności do ukończenia trzynastego roku życia. Bezbronne dzieci, które nigdy nie władały magią, nie stanowiły zagrożenia.

Ojciec odpowiada z wielkim spokojem. Tak rzeczowo, że trudno mi wątpić w słuszność jego wyborów. Znów jednak czuję na języku popiół, gryzący i gorzki. I mimo wszystko zadaję sobie pytanie: czy tamtego dnia ojciec też czuł ucisk w żołądku?

I jeszcze: czy mam w sobie dość siły, aby pójść w jego ślady?

– Magia to zaraza. – Przerzywa moje rozmyślenia. – Groźna choroba. Jeśli ogarnie nasze królestwo, tak jak ogarnęła inne, nikt tego nie przeżyje.

– Jak ją powstrzymać?

– Kluczem jest rękopis. Tyle wiem na pewno. On ma w sobie moc, z której może się odrodzić magia. Jeżeli go nie zniszczymy, on zniszczy nas.

– A co z Amari? – pytam ciszej. – Czy będziemy musieli... czy będę musiał... – Nie potrafię wypowiedzieć na głos tej strasznej myśli.

Obowiązek nade wszystko. Tak mi odpowie. Te słowa wykrzyknął do mnie w owym pamiętnym dniu.

Ale na samą myśl, że miałbym podnieść miecz na Amari, robi mi się sucho w gardle. Nie mogę być królem, jakim ojciec chce, żebym był.

Nie mogę zabić siostry.

– Twoja siostra dopuściła się zdrady – mówi bez pośpiechu. – Ale nie ma w tym jej winy. Pozwoliłem jej zbliżyć się do tej glisty. Powinienem był przewidzieć, jak to wpłynie na jej proste usposobienie.

– A więc Amari nie musi zginąć?

Ojciec zaprzecza ruchem głowy.

– O ile znajdziemy ją, zanim ktokolwiek się dowie, co zrobiła. I dlatego nie możesz wziąć ze sobą żołnierzy. Ty i admirał Keja musicie sami odzyskać pergamin.

Ulga spada na mnie z siłą ojcowskiej pięści. Nie mógłbym zabić siostry, ale mogę ją sprowadzić do Lagos.

Rozlega się ostre pukanie do drzwi; admirał Keja wsuwa głowę do środka. Ojciec przyzywa ją gestem.

Za drzwiami błyska mi twarz matki wykrzywiona grymasem złości. Czuję nowy ciężar na barkach. *Nieba.*

A przecież matka jeszcze nie wie, gdzie jest Amari.

– Znaleźliśmy szlachcica, który twierdzi, że widział glistę pomagającą zbiegowi – oznajmia Keja. – Sprzedała mu rzadką rybę z Ilorinu.

– Sprawdziliście księgi przy bramie?

Keja kiwa twierdząco.

– Dziś przybyła do miasta tylko jedna ibawitka z Ilorinu. Zélie Adebola, lat siedemnaście.

Zélie...

Mój umysł dopasowuje ten brakujący element do portretu dziewczyny. W ustach Kei jej imię brzmi srebrzyście. Zbyt łagodnie jak na kogoś, kto zaatakował moje miasto.

– Pozwól mi pojechać do Ilorinu – rzucam bez namysłu. Mówiąc, obmyślam naprędce plan. Widziałem mapę tej wioski. Cztery kwartały domów na wodzie. Kilkuset mieszkańców, głównie prostych rybaków. Do opanowania tego miejsca wystarczy... – Dziesięciu ludzi. Tylko tylu nam trzeba. Znajdę pergamin i przywiozę Amari. Tylko daj mi szansę.

Ojciec w zamyśleniu obraca pierścień na palcu. Już słyszę odmowę, którą ma na końcu języka.

– Jeżeli ci ludzie czegokolwiek się dowiedzą...

– Zabiję ich – wtrącam. To kłamstwo przychodzi mi z łatwością. Jeśli bowiem naprawię dotychczasowe błędy, nikt nie będzie musiał zginąć.

Ale ojciec nie może tego wiedzieć. I tak ledwie mi ufa. Oczekuje ode mnie stanowczej i jednoznacznej deklaracji. Jako kapitan muszę spełnić to oczekiwanie.

– Dobrze – mówi. – Wyruszajcie jak najszybciej.

Niebu dzięki. Poprawiam hełm i kłaniam się uniżenie. Wychodząc, słyszę jeszcze głos ojca.

– Inanie.

W jego tonie pobrzmiwa jakaś nowa nuta. Coś mrocznego.

Złowieszczego.

– Kiedy zdobędziesz to, czego szukasz, spalcie tę wioskę.

ROZDZIAŁ 9



ZÉLIE

W Ilorinie jest aż za spokojnie.

Takie przynajmniej mam wrażenie po dzisiejszym emocjonującym dniu. Łodzie z drewna kokosowego kołyszą się na kotwicach, płachty materiału powiewają w drzwiach trzcinowych domów. Wioska szykuje się do nocnego spoczynku wraz ze słońcem.

Gdy na grzbiecie Najli płyniemy w stronę chaty Mamy Agby, Amari rozgląda się zafascynowana. Chłonie wzrokiem każdy skrawek wioski na wodzie niczym głodny niewolnik posadzony przy suto zastawionym stole.

– Pierwszy raz widzę coś takiego – szepcze. – Niesamowite.

Zamykam oczy i wdycham zapach bryzy, która dmucha nam w twarze morską mgiełką. Smak soli na języku przypomina mi, jak wyglądałby ten wieczór bez Amari; świeży bochenek słodkiego chleba, kawał mięsa obtoczony w przyprawach. Nareszcie poszlibyśmy spać z pełnymi brzuchami. To byłaby uczta na moją cześć.

Na myśl o błogiej nieświadomości Amari znowu wzbiera we mnie irytacja. Ta wychuchana księżniczka pewnie ani razu w swoim życiu nie była naprawdę głodna.

– Daj mi swój diadem – rzucam, gdy Najla dopływa do części kupieckiej.

Z twarzy Amari znika podziw. Spina się.

– Ale Binta... – Urywa, szukając odpowiednich słów. – Mam ten diadem dzięki mojej służącej... To jedyna pamiątka, jaka mi po niej została.

– Choćbyś to miała nawet od samych bogów, nic mnie to nie obchodzi. Nie chcemy, żeby ludzie się domyślili, kim jesteś.

– Nie bój się – dodaje łagodnie Tzain. – Ona to tylko schowa, nie wyrzuci do morza.

Posyłam bratu zirytowane spojrzenie, ale trzeba przyznać, że jego słowa pociechy odnoszą skutek. Amari rozpina sprzączkę i wrzuca migotliwe klejnoty do mojej sakwy. Zaglądając do środka, mam ochotę się roześmiać. Jeszcze rano nie miałam złamanego grosza przy duszy. Teraz uginam się pod ciężarem królewskich skarbów.

Zsuwam się z grzbietu Najli na drewniany pomost. Zaglądam przez zasłonę w drzwiach Mamy Agby. Nasz Baba śpi w kącie, skulony jak żbik przy palenisku. Jego skóra odzyskała kolor, twarz jest mniej wychudzona. To pewnie zasługa opiekuńczej Mamy Agby. Przypuszczam, że postawiłaby na nogi nawet trupa.

Wchodzę i Mama Agba wygląda zza manekina w cudownym fioletowym kaftanie. Sądząc po szwach, zgaduję, że jest przeznaczony dla szlachcica. Pieniądze, które Mama Agba za niego dostanie, powinny wystarczyć na pokrycie kolejnej raty podatku.

– Jak ci poszło? – szepcze, przerywając nić zębami. Poprawia zielono-żółty zawój na głowie, a następnie wiąże sznurki kaftana.

Już otwieram usta, żeby jej odpowiedzieć, gdy do środka wchodzi Tzain, a po nim, nieśmiało, Amari. Rozgląda się po wnętrzu chaty z niewinnością, jaka mogła się zrodzić tylko w pałacowych luksusach. Przesuwa palcami po trzcinowej pleciance.

Tzain pozdrawia Mamę Agbę uprzejmym ukłonem. Bierze mój worek i podaje Amari pergamin. Potem z łatwością podnosi twardo śpiącego Babę.

– Pójdę po nasze rzeczy – oznajmia. – Zdecydujcie, co robimy z tym zwojem. Jeśli mamy ruszać w drogę... – zaczyna, lecz urywa.

Wyrzuty sumienia ściskają mi żołądek. Nie ma żadnego „jeśli”. Przeze mnie już nie mamy wyboru.

– Tylko się pospiesz.

Tzain wychodzi. Patrę, jak tłumię emocje, i boli mnie, że to ja jestem przyczyną jego cierpienia.

– Ruszać w drogę? – zainteresowała się Mama Agba. – Dlaczego mielibyście ruszać w drogę? I kto to jest? – Obrzuca Amari spojrzeniem przymrużonych oczu.

– Yyy... – Amari zaciska rękę na zwoju i zwraca się w moją stronę. – Jestem... – Nawet w niepozornej opończy jej nienaganna postura i uniesiony podbródek zdradzają królewskie wychowanie.

– Na imię jej Amari – mówię z westchnieniem. – To księżniczka Oriszy.

Mama Agba wybucha serdecznym śmiechem.

– To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość – oznajmia kpiąco i zgina się w prześmiewczym ukłonie.

Dopiero widząc, że Amari i ja się nie uśmiechamy, robi wielkie oczy. Podchodzi bliżej i rozsuwa jej opończy, odsłaniając granatową suknię. Nawet w mętym świetle chaty dekolt pobłyskuje szlachetnymi kamieniami.

– Bogowie... – Mama zwraca się do mnie z ręką na sercu. – Zélie, coś ty znowu zbroiła, na litość boską?

Nakłaniam ją, żeby usiadła, i opowiadam po kolei, co się wydarzyło. Słuchając o naszej ucieczce, Mama Agba miota się między gniewem a dumą, za to gdy zaczynam się rozwodzić nad tajemnymi mocami pergaminu, zamiera w bezruchu.

– Myślisz, że jest prawdziwy? – pytam w końcu.

Mama, wpatrzona w zwój w rękę Amari, przez dłuższą chwilę milczy. Jej ciemne oczy są teraz nieodgadnione, ukrywają odpowiedź, którą próbuje z nich wyczytać.

– Daj mi to.

Gdy tylko pergamin dotyka jej dłoni, Mama Agba bierze gwałtowny wdech. Targana potężnym dreszczem spada z krzesła.

– Mamo Agbo! – Kucam przy niej, chwytam ją za ręce i trzymam, dopóki dreszcze nie ustają.

W końcu atak mija i Mama Agba leży nieruchomo, jakby była jednym z manekinów.

– Mamo, nic ci nie jest?

Łzy zapełniają jej oczy i wylewają się na zmarszczki w ciemnej skórze.

– Tyle lat – szepcze. – Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś poczuję ciepło magii.

Rozchyłam usta w zdumieniu i cofam się z niedowierzaniem. Czy to możliwe? Myślałam, że wszyscy magowie co do jednego zginęli w Obławie...

– Jesteś magiczką? – pyta Amari. – Ale przecież twoje włosy...

Mama Agba zdejmuje zawój i przesuwa dłonią po gładkiej skórze głowy.

– Jedenaście lat temu miałam wizję, w której odwiedziłam Kancerkę. Poprosiłam ją, żeby pomogła mi się pozbyć białych włosów, a ona mocą swej magii zesłała na mnie chorobę, która to sprawiła.

– Jesteś Jasnowidzką? – wykrztuszam.

Mama Agba kiwa głową.

– Byłam. Straciłam włosy w dniu Obławy, na kilka godzin przed nadejściem strażników.

Niesamowite. Kiedy byłam mała, w Ibadanie żyło kilku Jasnowidzów i wszyscy byli bardzo poważani. Ich magiczna władza nad czasem pomogła przetrwać pozostałym klanom magów. Uśmiecham się. Właściwie powinnam była się domyślić. Mama Agba zawsze miała w sobie mądrość osoby, która sięga wzrokiem dalej niż inni.

– Przed Obławą – ciągnie – poczułam, że coś wysysa magię z naszego świata. Próbowałam wejrzeć w przyszłość, ale wizja nie chciała mi się ukazać, mimo że potrzebowałam jej wtedy bardziej niż kiedykolwiek. – Na jej twarzy pojawia się grymas bólu, jakby przeżywała tamten dzień od nowa.

Mogę się tylko domyślać okropnych obrazów, jakie przesuwiają się w jej umyśle.

Mama podchodzi do zasiatkowanych okien i zaciąga zasłony. Patrzy na swoje spracowane ręce, na których lata krawieckiej roboty odcisnęły się mnóstwem zmarszczek.

– Orúnmila – przyzywa szeptem boga czasu. – Bá mi sòrò. Bá mi sòrò.

– Co ona robi? – Amari cofa się o krok, jakby słowa Mamy Agby mogły jej wyrządzić krzywdę.

Nie jestem w stanie jej odpowiedzieć; osłupiałam na dźwięk prawdziwej mowy Jorubów, której nie słyszałam od przeszło dekady.

Od czasu Obławy otaczają mnie tylko suche i gardłowe dźwięki narzuconego nam siłą języka oriszańskiego. Dawno już nie słuchałam inkantacji, dawno język mojego ludu nie był dla mnie czymś więcej niż tylko czułym wspomnieniem.

– Orúnmilo – tłumaczę zaklęcia Mamy Agby. – Mów do mnie. Mów do mnie. Ona przyzywa swojego boga – wyjaśniam. – Próbuje czarów.

Choć odpowiadam jej bez namysłu, sama nie dowierzam własnym oczom. Monotonny śpiew Mamy Agby to wyznanie ślepej wiary, ufnej i cierplivej, charakterystycznej dla czcicieli boga czasu.

Słuchając tej modlitwy do Orúnmili, czuję ukłucie tęsknoty. Ja nigdy nie miałam w sobie dość wiary, by zwrócić się w taki sposób do Oi.

– Czy to bezpieczne? – Amari przywiera plecami do trzcinowej ściany, widząc, jak na szyję Mamy Agby występują nabrzmiące żyły.

– To zawsze tak wygląda – uspokajam ją. – To cena za korzystanie z naszej aszê.

Aby posługiwać się magią, musimy za pomocą języka bogów kielznać i formować aszê krążącą w naszych żyłach. Dla doświadczonego Jasnowidza to zaklęcie nie byłoby niczym trudnym, ale po tylu latach przerwy Mama Agba musi na nie zużyć niemal całą swoją energię. Pod tym względem aszê przypomina mięśnie naszych ciał: im więcej się jej używa, tym łatwiej nad nią zapanować, tym silniejsza staje się nasza magia.

– Orúnmila, bá mi sòrò. Orúnmila, bá mi sòrò... – Oddech Mamy Agby z każdym słowem staje się coraz bardziej nierówny. Zmarszczki na jej twarzy napinają się od wysiłku. Okielznanie aszê wyczerpuje człowieka fizycznie. W skrajnych przypadkach prowadzi nawet do śmierci. – Orúnmila... – Głos Mamy Agby przybiera na sile. W jej dłoniach pojawia się i rośnie srebrzysty ogień. – Orúnmila, bá mi sòrò. Orúnmila, bá mi sòrò...

Kosmos w rękach Mamy Agby eksploduje z taką mocą, że Amari i ja przewracamy się na ziemię. Amari krzyczy, ale mój krzyk więźnie w gardle

pod wpływem wzruszenia. Między dłońmi Mamy Agby mrugają błękity i fiolety wieczornego nieba. Ten piękny widok chwyta mnie za serce. *Magia wróciła...*

Po tych wszystkich latach znów tu jest.

Czuję się tak, jakby w moim sercu otworzyła się jakaś tama. Potężna fala wzruszenia zalewa całą moją istotę. Bogowie wrócili. Żyją. Znowu są z nami.

Migoczące gwiazdy w dłoniach Mamy Agby wirują i tańczą. Powoli wyłania się z nich obraz, nabiera kształtów niczym rzeźba. Dostrzegam trzy sylwetki na górskim zboczu. Pną się zawzięcie przez gęste zarośla.

– Nieba! – woła Amari. Robi ostrożnie krok naprzód. – Czy to ja?

Prycham pod nosem na jej próżność, lecz chwilę później spostrzegam własną tunikę. Amari ma rację – to my i Tzain wspinamy się wśród dzikiej zieleni. Mój brat prowadzi Najłę za cugle w stronę skalnej półki. Idziemy coraz wyżej, aż docieramy do...

Lecz wizja nagle znika – w mgnieniu oka rozwiewa się bez śladu.

Wpatrujemy się obie w puste ręce Mamy Agby, w ręce, które właśnie wywróciły mój świat do góry nogami.

Jej palce drżą z wysiłku, jaki włożyła w wywołanie tych obrazów. Łzy ciekną po twarzy.

– Czuję... czuję się... – mówi z przerwami, cicho szlochając – jakbym znów mogła oddychać.

Kiwam głową, choć sama nie umiem opisać uczucia, które mnie dławi. Nie sądziłam, że po Obławie kiedykolwiek zobaczę prawdziwą magię.

Mama Agba opanowała drżenie rąk i chwyta pergamin. Jej ruchy zdradzają niecierpliwość. Ze sposobu, w jaki rusza oczami, domyślam się, że naprawdę czyta te znaki.

– To rytuał – odzywa się w końcu. – Tyle jestem w stanie powiedzieć. Coś bardzo starego, co umożliwia kontakt z bogami.

– Potrafiłabyś go odprawić? – pyta Amari z błyskiem w bursztynowych oczach. W tym błysku jest podziw, ale i niepokój. Patrzy na Mamę Agbę, jakby była cała z diamentów, ale boi się do niej zbliżyć.

– To nie zostało napisane z myślą o mnie, dziecko. – Mama składa pergamin w moich dłoniach. – Same widziałyście, co mi się ukazało.

– Ch-chyba nie mówisz poważnie – jąka się Amari.

Wyjątkowo muszę się z nią zgodzić.

– Nie ma o czym dyskutować – stwierdza Mama. – Wędrowaliście we trójkę. To była wyprawa do źródeł magii!

– A to, co przed chwilą zrobiłaś, to nie była magia?

– To było nic w porównaniu z tym, co potrafiłam dawniej. Ten zwój budzi magię, ale do jej całkowitego odrodzenia potrzeba czegoś więcej.

Kręcę głową.

– Na pewno jest ktoś, kto lepiej się do tego nadaje. Ktoś bardziej doświadczony. Niemożliwe, żebyś była jedyną magiczką, która uratowała się z Obławy. Możemy użyć twojej mocy do znalezienia kogoś odpowiedniejszego.

– Dziewczeta...

– My temu nie podołamy! – przerywam jej. – Ja nie podołam! Baba...

– Ja się zajmę twoim ojcem.

– Ale strażnicy!

– Nie zapominaj, kto cię nauczył walczyć.

– Nawet nie wiemy, co tu jest napisane – wtrąca się Amari.

Wzrok Mamy Agby staje się nieobecny, jakby coś jej nagle zaświtało w głowie. Prędko podchodzi do kufra z różnymi swoimi rzeczami i wydobywa z niego wyblakłą mapę.

– Tutaj. – Wskazuje miejsce w dżungli Funmilajo, kilka dni drogi na wschód od Ilorinu. – W mojej wizji wędrowaliście do tego miejsca. To tam musi się znajdować Chândomblé.

– Chândomblé? – pyta Amari.

– Legendarna świątynia – wyjaśnia Mama Agba. – Siedziba świętych sêntaro, obrońców magii i duchowej harmonii. Przed Obławą pielgrzymowali do tego miejsca jedynie nowo wybrani przywódcy dziesięciu klanów, ale skoro

wędrowaliście tam w mojej wizji, widocznie przyszła kolej na was. Chândomblé może być rozwiązaniem waszej zagadki.

Słucham tego wszystkiego i czuję, jak słabną mi ręce i nogi. „Naprawdę nie rozumiesz?” – mam ochotę krzyknąć.

To zadanie ponad moje siły.

Spoglądam na Amari i na moment zapominam, że jest księżniczką. W blasku świec wydaje się mała i zagubiona.

Mama Agba kładzie pomarszczoną dłoń na mojej twarzy, a drugą ręką łapie Amari za nadgarstek.

– Wiem, że się boicie, ale wiem też, że możecie tego dokonać. Pomyśl, że akurat dzisiaj pojechałaś na targ do Lagos. A ty akurat ją poprosiłaś o pomoc. Bogowie się w to włączyli. Po tych wszystkich latach znów nas obdarowują. Musicie uwierzyć, że nie robiliby tego dla igraszki. Musicie uwierzyć w siebie.

Wzdycham głęboko i wbijam wzrok w plecioną podłogę. Bogowie, którzy jeszcze niedawno wydawali się tacy odlegli, teraz są niewiarygodnie blisko. I pomyśleć, że chciałam dziś tylko zdać egzamin.

Chciałam tylko sprzedać rybę.

– Mamo...

– Ratunku!

Czyjś krzyk maści wieczorną ciszę. Natychmiast się zrywamy. Ja sięgam po kij, Mama podbiega do okna. Gdy rozsuwa zasłonę, nogi się pode mną uginają.

W kupieckiej części naszej wioski goreje. Huczący ogień pożera chaty jedna po drugiej. Kłęby czarnego dymu wznoszą się pod niebo razem z okrzykami mieszkańców, wołaniami o pomoc. Cały nasz świat staje w płomieniach.

Sznur płonących strzał przecina ciemności; po wylądowaniu na trzciniowych dachach każda z nich wybucha ogniem.

Proch ogniowy...

Potężny materiał, którym dysponuje tylko królewska straż.

Ty ich tu ściągnęłaś, odzywa się z wyrzutem głos w mojej głowie. *To twoja wina.*

Teraz strażnicy nie tylko zabijają moich bliskich, ale na dodatek spalą całą wioskę.

Nie zwlekając ani chwili dłużej, wybiegam na zewnątrz. Mama Agba woła mnie po imieniu, ale nie zwalniam. Muszę znaleźć rodzinę. Dopilnować, żeby nic jej się nie stało.

Biegnę po sypiącym się pomoście, a mój dom zmienia się w piekło. Woń palonego mięsa gryzie w gardle. Pożar w parę minut ogarnął cały Ilorin.

– Ratunku!

Poznaję ten głos. Mała Bisi. Jej rozpaczliwe krzyki niosą się w ciemnościach. Zdyszana mijam w biegu jej chatę. Czy Bisi uda się przeżyć?

Pędząc w stronę domu, widzę, jak zdesperowani mieszkańcy ratują się skokiem do oceanu. Ich wrzaski przeszywają wieczorne powietrze. Kaszląc, chwytają się dryfującego drewna, próbują utrzymać się na powierzchni wody.

Jakieś dziwne uczucie rozlewa mi się po żyłach i zapiera dech. Mrowiące ciepło łaskocze skórę od spodu. *Śmierć...*

Duch.

Magia. Wszystko łączy się w logiczną całość. *Moja magia.*

Magia, której wciąż nie rozumiem. Magia, która zgotowała nam to piekło.

Ale mimo żaru pod skórą wyobrażam sobie Falunów wzywających potoki wody do walki z pożogą. Ogniarzy kielznających wściekle płomienie.

Gdyby tu było więcej magów, mogliby przerwać ten koszmar.

Gdyby nas wyszkolono i uzbrojono w zaklęcia, ugaszenie pożaru byłoby dziecinnie łatwe.

W powietrzu rozlega się głośny trzask. Deski pod moimi nogami ze skrzypieniem osuwają się do wody. Biegnę co tchu, dopóki mam po czym; w ostatniej chwili odbijam się jak najdalej.

Łąduję wśród gryzącego dymu na chybotałej platformie, na której stoi nasza chata. Niewiele widzę przez ogień, lecz wbrew temu zmuszam się do

działania.

– Babo! – wołam, krztusząc się dymem, a moje okrzyki potęgują ogólny harmider. – Tzain!

Wszystkie chaty w naszej części wioski stoją w płomieniach. Mimo to biegnę przed siebie w nadziei, że moja nie podzieli ich losu.

Kładka kołysze się pod ciężarem moich kroków, płuca rozpaczliwie domagają się tlenu. Spieczona buchającym zewsząd żarem padam na deski przed moją ahéré.

– Babo! – wołam z trwogą, wypatrując wśród płomieni jakichkolwiek oznak życia. – Tzain! Najla!

Zdzieram sobie gardło, lecz nikt nie odpowiada. Nie wiem, czy zdołali uciec, czy są uwięzieni w środku.

Nie wiem nawet, czy w ogóle jeszcze żyją.

Wstaję z kolan, wysuwam przed siebie kij i otwieram nim drzwi. Już mam wbiec do środka, gdy nagle ktoś chwyta mnie za ramię i odciąga z taką siłą, że upadam.

Ledwie widzę przez łzy. Długo przyglądam się twarzy napastnika, miedzianej w blasku ognia. *Amari*.

– Nie możesz tam wejść! – krzyczy między kasznięciami. – Zaraz się zawali!

Przewracam ją na pomost i przez chwilę korci mnie, żeby ją utopić. Kiedy mnie puszcza, zaczynam się czołgać w kierunku chaty.

– Nie!

Trzcinowe ściany, które budowaliśmy przez cały miesiąc, wałają się z trzaskiem. Chwilę później przepalają kładkę i wpadają do wody.

Czekam, aż na powierzchni pojawi się głowa Tzaina, nasłuchuję ryków Najli. Ale widzę tylko czerni.

W jednej chwili, ot tak, straciłam całą rodzinę.

– Zélie... – Amari znów chwyta mnie za ramię.

Od tego dotyku krew się we mnie gotuje. Łapię ją za rękę i ciągnę przed

siebie; rozpacz i wściekłość dodają mi sił.

Zabiję cię, postanawiam. Umrzesz razem z nami.

Niech jej ojciec pozna ten ból.

Niech król się dowie, jakie to uczucie.

– Nie! – krzyczy Amari, widząc, że ciągnę ją w stronę płomieni.

Krew jednak tak głośno huczy mi w skroniach, że prawie tego nie słyszę. Gdy spoglądam na dziewczynę, widzę twarz jej ojca. Nienawiść wykręca mi wnętrzności.

– Błagam...

– Zélie, stój!

Puszczam ją i odwracam się ku morzu. Najla płynie wśród fal z Tzainem na grzbiecie. Ciągną łódź z drewna kokosowego, w której siedzą bezpiecznie Baba i Mama Agba. Jestem w szoku. Dopiero po chwili dociera do mnie, że oni naprawdę żyją.

– Tzain...

Cała podstawa rybackiej części wioski gwałtownie się przechyla. Zaskoczony wpadamy razem z nią do lodowatej wody. To jak zimny kompres na oparzenia, o których zdążyłam już zapomnieć.

Zanurzam się na chwilę wśród kawałków drewna i zniszczonych domów. Ciemność oczyszcza mnie z bólu, ostudza mój gniew.

Możesz tu zostać, odzywa się cicho myśl w mojej głowie. Nie musisz dalej walczyć...

Na moment chwytam się tych słów, mojej jedynej szansy na ucieczkę. Gdy jednak zaczyna mi brakować powietrza, odpycham się nogami i wracam do swojego ułomnego świata.

Choćbym nie wiem jak bardzo pragnęła spokoju, bogowie mają inne plany.

ROZDZIAŁ 10



ZÉLIE

Do zatoczki naprzeciwko północnego brzegu płyniemy w milczeniu, wciąż przytłoczeni grozą tragedii, która rozegrała się na naszych oczach. Fale roztrzaskują się z hukiem, ale nie są w stanie zagłuszyć krzyków Bisi, które nadal mam w uszach.

Cztery ofiary śmiertelne. Cztery osoby nie zdołały uciec z pożaru.

To ja sprowadziłam ten ogień do Ilorinu.

Mam krew na rękach.

Kulę ramiona, zamykając emocje w sobie. Mama Agba opatruje nasze rany strzępami udartymi z własnej spódnicy. Udało nam się przedrzeć przez płomienie za cenę licznych oparzeń i pęcherzy. Ale ból jest pożądany, a może nawet zasłużony. Piekące miejsca na skórze i tak nie mogą się równać z wyrzutami sumienia, które palą mi serce.

Na wspomnienie zwęglonych zwłok doznaję nagłego ściśnięcia w dołku. Poczerniała, odchodząca skóra i ten smród spalonego mięsa, który wciąż na sobie czuję.

Przenieśli się w lepsze miejsce, próbuję się pocieszać. Jeśli ich duchy wstąpiły do alâfii, śmierć była wręcz darem. Ale jeśli wcześniej zbyt dużo wycierpieli...

Zamykam oczy i staram się odepchnąć tę myśl. Jeżeli śmierć była zbyt straszna, ich duchy nie przeniosą się do życia wiecznego. Pozostaną w apâdi, gdzie już zawsze będą wciąż od nowa przeżywać swój ból.

Przybijamy łodzią do kamienistej plaży, Tzain pomaga Amari, a ja Babie. Obiecałam, że tym razem go nie zawiodę. A teraz cała nasza wioska stoi

w ogniu.

Patrzę na poszarpane skały, unikając wzroku ojca. Baba powinien był mnie sprzedać dybiarzom. Miałby wreszcie spokój. Jego milczenie tylko pogłębia moją rozpacz. Kiedy jednak pochyła się, by zajrzeć mi w oczy, nie widzę w jego wzroku wyrzutu, jedynie łzy.

– Nie możesz przed tym uciekać, Zélie. Nie po tym, co się stało. – Bierze moją dłoń w swoją. – Te potwory już drugi raz pozbawiły nas domu. Niech to będzie ostatni raz.

– Babo? – Spoglądam na niego z niedowierzaniem. Od czasu Obławy nie wyrzekł ani słowa przeciwko monarchii. Sądziłam, że się poddał.

– Dopóki nie mamy magii, dopóty nie będą nas szanować. Muszą poczuć, że nie mogą atakować nas bezkarnie. Jeżeli będą palić nasze domy, my im odpłacimy tym samym.

Tzain spogląda na mnie z rozdziawionymi ustami. Od jedenastu lat nie widzieliśmy tego człowieka. Nie sądziliśmy, że jeszcze żyje.

– Babo...

– Weź Najłę – rozkazuje mi. – Strażnicy są blisko. Nie ma czasu do stracenia.

Wskazuje na północny brzeg, na którym pięć postaci w królewskich zbrojach spędza ocalałych w jedno miejsce. W migotliwym blasku płomieni dostrzegam pieczęć na jednym z hełmów. *Kapitan...* Ten sam, który ścigał mnie i Amari.

To on spalił mój dom.

– Chodź z nami – upiera się Tzain. – Nie możemy cię tu zostawić.

– Nie dam rady. Tylko bym was spowalniał.

– Ale Babo...

– Nie – ucina ojciec i kładzie Tzainowi rękę na ramieniu. – Mama Agba opowiedziała mi o swojej wizji. To zadanie dla waszej trójki. Musicie udać się do Chândomblé i znaleźć sposób na wskrzeszenie magii.

Czuję ucisk w krtani. Chwytam Babę za dłoń.

– Raz już nas znaleźli. A skoro ścigają nas, po ciebie też przyjdą.

– Będziemy wtedy daleko stąd – uspokaja mnie Mama Agba. – Kto jak kto, ale Jasnowidzka potrafi się wymykać strażnikom.

Tzain patrzy to na nią, to na Babę. Stara się zachować spokój, ale widzę, jak nerwowo zaciska pięści. Nie wiem, czy będzie umiał zostawić Babę na pastwę losu. Przyzwyczał się, że jego zadaniem jest chronić innych.

– Jak was znajdziemy? – pytam cicho.

– Przywróćcie magię – mówi Mama Agba. – Jeśli odzyskam swoją moc, będę wiedziała, dokąd pójść.

– Musicie się pospieszyć – naciska Baba, gdy zza wody dobiega echo krzyków.

Jeden ze strażników chwycił starszą kobietę za włosy i przystawia jej miecz do gardła.

– Babo, nie!

Próbuję go pociągnąć do przodu, ale przewraca mnie na ziemię i obejmuje, kłęcząc. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ścisnął mnie tak mocno.

– Twoja matka... – Głos mu się łamie, a mnie wyrywa się z gardła cichy szloch. – Kochała cię wielką miłością. Byłaby z ciebie bardzo dumna.

Przywieram do niego z całej siły, wpijam się palcami w jego skórę. Ścisną mnie ostatni raz, po czym wstaje, by przytulić Tzaina. Choć mój brat przewyższa go wzrostem i krzepą, nie powstydziliby się mocy uścisku Baby. Przez długą chwilę stoją w objęciach, jakby wcale nie musieli się rozstać.

– Jestem z ciebie dumny, synu. Cokolwiek się wydarzy, zawsze będę z ciebie dumny.

Tzain pospiesznie ociera łzy. Nie lubi okazywać uczuć. Woli przeżywać wszystko w samotności przed zaśnięciem.

– Kocham was – szepcze Baba.

– My ciebie też – odpowiadam drżącym głosem.

Baba daje znak Tzainowi, żeby dosiadł Najli. Po nim wsiada Amari, milcząca, ze łzami na policzkach. Ukłucie gniewu przebija się przez mój

smutek. Dlaczego ona płacze? To jej rodzina skazała moją na rozłąkę, a nie na odwrót.

Mama Agba całuje mnie w czoło i mocno przytula.

– Bądź ostrożna, lecz silna.

Pociągam nosem i kiwam głową, choć w tej chwili wcale się taka nie czuję. Raczej słaba i wystraszona.

Srogo się na mnie zawiodą.

– Opiekuj się siostrą – mówi Baba do Tzaina, gdy wspinam się na siodło. – A ty, Najlo, bądź dobra. Strzeż ich.

Najla liże Babę po twarzy i trąca go czule pyskiem, jakby chciała mu powiedzieć, że może być spokojny. Kiedy rusza z miejsca, robi mi się ciężko na sercu. Oddalam się od mojego domu. Spoglądając przez ramię, dostrzegam rzadki uśmiech Baby.

Modłę się, żeby dane nam było jeszcze kiedyś ten uśmiech oglądać.

ROZDZIAŁ 11



INAN

– Policz do dziesięciu – szepczę sam do siebie. – Policz. Do. Dziesięciu.

Bo kiedy skończę liczyć, ten koszmar się skończy.

Krew niewinnych ludzi nie będzie już plamić moich rąk.

– Jeden... dwa... – Tak mocno ściskam w drżącej dłoni ojcowy pionek do sênetu, że metal wrzyna mi się boleśnie w skórę. Ale choć wypowiadam kolejne liczby, nic się nie zmienia.

Cały mój plan obraca się w dymiące zgliszcza, tak samo jak Ilorin.

Patrzę ze ściśniętym gardłem, jak wściekły ogień ogarnia wioskę, trawiąc setki domów. Moi żołnierze wloką po piasku ciała ofiar, zwęglone nie do poznania. Wrzaski żywych i rannych dzwonią mi w uszach. Powietrze smakuje popiołem. Wszędzie śmierć i zniszczenie.

Nie taki był mój plan.

Miałem schwytać Amari oraz ibawitkę złodziejkę. Keja miała odzyskać pergamin. Zamierzałem spalić tylko jedną chatę.

Gdybym wrócił z pergaminem, ojciec by zrozumiał. Podziękowałby mi za rozwagę, pochwalił za chłodny rachunek i oszczędzenie Ilorinu. Nasz targ rybny nie byłby stratny. Jedyne zagrożenie dla monarchii zostałyby zażegnane.

Ale zawiodłem. Znowu. Po tym, jak błagałem ojca, by dał mi jeszcze jedną szansę. Pergamin przepadł bez śladu. Mojej siostrze wciąż grozi niebezpieczeństwo. Cała wioska rybacka zniknęła z powierzchni. A ja nie uzyskałem nic w zamian.

Lud Oriszy nie jest bezpieczny...

– Baba!

Chwytam za miecz. Jakieś małe dziecko rzuca się na ziemię, płacz rozdziera nocne powietrze. Dopiero po chwili spostrzegam u jego stóp ciało przysypane piaskiem.

– Baba! – Chłopiec potrząsa zwłokami, jakby chciał je zbudzić. Drobne brązowe rączki pokrywają się ojcowską krwią.

– Abeni! – woła za nim kobieta, brnąc przez mokry piasek. Na widok zbliżających się strażników wydaje stłumiony okrzyk. – Abeni, cicho! Baba chce, żebyś był cicho!

Odwracam się i zaciskam powieki. Walczę z narastającymi mdłościami. *Obowiązek nade wszystko.* Znów słyszę głos ojca. Bezpieczeństwo Oriszy nad spokój sumienia. Tylko że ci wieśniacy to właśnie Orisza. To przecież ich przysięgałem bronić.

– Niezła jatka. – Admirał Keja przystaje u mojego boku, na kłykciach ma krew żołnierza, który przedwcześnie podłożył ogień, a teraz leży w mokrym piasku i jęczy.

Korci mnie, żeby samemu do niego podejść i go pobić.

– Wstawaj i zwiąż im ręce! – rzuca ostro w jego stronę Keja, po czym zniża głos: – Nie wiemy, czy zbiegowie żyją. Nie wiadomo, czy w ogóle tu wrócili.

– Trzeba zgromadzić wszystkich ocalałych – stwierdzam z ciężkim westchnieniem. – Może któryś z nich... – Urywam, bo znów doznaję dziwnego i nieprzyjemnego uczucia, jak wtedy na targowisku. Gorące mrowienie rozlewa mi się po skórze aż po czubek głowy. Spoza czarnego dymu nadlatuje smuga, coś jakby turkusowy obłoczek. – Widzisz to? – pytam Keję. Wskazuje zbliżający się obłok i robię krok do tyłu.

Obłok niesie ze sobą zapach morza, który zagłusza gryzącą woń popiołu.

– Co takiego? – pyta Keja, lecz nie mam czasu jej odpowiedzieć, bo turkusowa chmura przepływa przez moje palce, a przed oczami staje mi zniecała obraz ibawitki.

Wszystko wokół cichnie, jakby zakryte całunem. Blask ognia i księżycy przygasa. Obmywa mnie zimne morze. Widzę dziewczynę, o której bez

przerwy myślę; tonie wśród zwłok i połamanych desek, zapada się w czarną morską otchłań. Nie próbuje walczyć z prądem, który wciąga ją pod wodę. Jakby się poddała. Zanurza się w śmierć.

Po chwili widzenie znika i znów otaczają mnie krzyki wieśniaków i ruchome piaski. Coś mnie piecze pod skórą, tak jak wtedy, kiedy ostatni raz ujrzałem twarz tej ibawitki.

Nagle wszystko układa się w logiczną całość. Ból. Widzenie.

Powinienem być już dawno się domyślić.

Magia...

Czuję skurcz w żołądku. Zaczynam się drapać po świerzbiącym ramieniu. Muszę jakoś usunąć tego wirusa ze swojego organizmu. Pozbyć się tego wstrętnego uczucia...

Inanie, skup się.

Ściskam pionek tak mocno, aż palce mi strzelają. Zapewniałem ojca, że jestem gotowy. Ale jak miałem się przygotować na coś takiego?

– Policz do dziesięciu – szepczę raz jeszcze i układam wszystkie elementy jak pionki na planszy. Przy „pięć” doznaję strasznego olśnienia: pergamin jest w rękach ibawitki.

Ta iskra, którą poczułem, kiedy mnie dotknęła. Jakby w moich żyłach popłynął jakiś prąd. A kiedy nasze spojrzenia się spotkały...

Nieba.

Musiła mnie zarazić.

Ogarnia mnie fala mdłości. Pieczona ryba ze śniadania momentalnie podchodzi mi do gardła. Zginam się wół i piekące wymiociny lądują w piachu. Zanoszę się kaszlem.

– Inan! – Keja marszczy nos. Obrzydzenie zagłusza nutę troski w jej głosie. Pewnie myśli, że jestem słaby. Ale lepsze to, niż gdyby miała odkryć prawdę.

Zaciskam dłoń w pięść. Jestem prawie pewien, że atakuje mnie magia – że wdziera mi się do krwi. Jeśli magowie są już w stanie nas zarażać, jak mamy ich pokonać?

– Ona tu była. – Ocieram usta wierzchem dłoni. – Ibawitka z pergaminem. Musimy ją odnaleźć, zanim znowu zrobi komuś krzywdę.

– Co? – Keja marszczy cienkie brwi. – Skąd wiesz?

Kiedy otwieram usta, żeby odpowiedzieć, znów odzywa się to straszne pieczenie pod czaszką. Gdy się odwracam, jeszcze przybiera na sile. Najbardziej, kiedy patrzę w kierunku południowego lasu.

Choć w powietrzu unosi się ciężki smród czarnego dymu i spalonych ciał, znowu wyczuwam ulotną woń morza. *To ona*. To musi być ona. Chowa się w tym lesie...

– Inanie, co próbujesz powiedzieć? – ponagla mnie zniecierpliwiona Keja.
– Skąd wiesz, że ona tu była?

Magia.

Zaciskam palce wokół wytartego pionka. Dłoń mnie od niego świerzbi. Słowo „magia” wydaje mi się w tej chwili brudniejsze niż „glista”. Skoro nawet mnie to przyprawia o mdłości, jak zareaguje Keja?

– Od wieśniaka – kłamię. – Powiedział, że udali się na południe.

– Gdzie on teraz jest?

Wskazuję na oślep trupa, lecz mój palec niechcący zatrzymuje się na zwęglonych zwłokach dziecka. Kolejny turkusowy obłok sunie w moją stronę. Pachnie popiołem i rozmarynem.

Chmura mnie owiewa, nie mam jak przed nią uciec. Gdy przenika mi przez dłoń, ogarnia mnie nieznośne ciepło. Cały świat znika za ścianą ognia. Czyjeś krzyki zalewają mi uszy.

– *Pomocy!...*

– Inanie!

Wracam do rzeczywistości. Zimna fala obmywa mi buty.

Plaża. Ściskam pionek. Cały czas jesteś na plaży.

– Co się stało? – pyta Keja. – Stękałeś...

Rozglądam się za dziewczyną. To musi być jej robota. Te odgłosy w mojej głowie – to na pewno jej czary.

– Inanie...

– Trzeba ich przesłuchać – oznajmiam, ignorując niepokój w oczach Kei. – Skoro jeden z wieśniaków widział, dokąd poszli, może dowiemy się czegoś jeszcze.

Keja sznuruje wargi. Prawdopodobnie zżera ją ciekawość. Jak zwykle jednak stawia swoje obowiązki na pierwszym miejscu.

Podchodzimy do wieśniaków ocalałych z pożogi. Skupiam się na falach, żeby nie słyszeć ich krzyków, ale w miarę jak się zbliżamy, rozbrzmiewają coraz głośniej.

Siedem, liczę w myślach. Osiem... dziewięć...

Jestem synem władcy Oriszy.

Ich przyszłym królem.

– Cisza!

Mój głos rozlega się z taką siłą, jakby wcale nie był mój. Nawet Keja wydaje się zaskoczona. Krzyki zamierają.

– Szukamy Zélie Adeboli. Ukradła coś bardzo cennego, co należy do korony. Powiedziano nam, że kieruje się na południe. Chcemy wiedzieć dlaczego.

Przesuwam wzrokiem po ciemnych twarzach, które unikają moich oczu, szukam w nich jakiegoś okrucieństwa. Ich strach przesycił powietrze niczym wilgoć. Ja sam nim przesiąkam.

...bogowie, błagam...

...jeśli mnie zabije...

...na boską litość, czy naprawdę skradła...

Ten zalew ich głosów, strzępów myśli, jest przytłaczający. Serce wali mi jak oszalałe. Kolejne turkusowe obłoki wlatują w powietrze. Mkną w moim kierunku jak osy. Zaczynam się cofać w mroczną czeluść własnego umysłu...

– Odpowiedzcie!

Niebu dzięki. Ostry głos Kei przywołuje mnie znad przepaści.

Mrugam i opieram dłoń na rękojeści miecza. Dotyk gładkiego metalu

osadza mnie twardo w realnym świecie. Strach tych ludzi zaczyna się rozwiewać. Wciąż jednak dręczy mnie to uporczywe uczucie...

– Powiedziałam: odpowiedzcie! – grzmi Keja. – Nie każcie mi się powtarzać.

Wieśniacy stoją ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Keja rzuca się na nich. Wśród okrzyków protestu chwyta starszą kobietę za siwe włosy i wlecze ją po piasku.

– Admiralko... – Głos grzęźnie mi w gardle, gdy Keja sięga po miecz i przystawia ostrze do pomarszczonej szyi staruszki. Na ziemię skapuje pojedyncza kropla krwi.

– Chcecie milczeć? – pyta wściekle Keja. – W takim razie czeka was śmierć!

– My nic nie wiemy! – woła młoda dziewczyna.

Wszyscy na plaży truchleją.

Dziewczynie trzęsą się ręce. Chowa je w piasek.

– Możemy wam powiedzieć o jej bracie i ojcu. Możemy wam powiedzieć, jak włada kijem. Ale nikt z naszej wioski nie wie, dokąd się udała ani dlaczego.

Rzucam Kei surowe spojrzenie. Upuszcza starszą kobietę jak szmacianą lalkę. Brnąc przez mokry piasek, zbliżam się do dziewczyny, która się odezwała.

Trzęsie się teraz jeszcze bardziej niż przedtem, ale nie wiem, czy ze strachu, czy od zimnych fal, które liżą jej kolana. Dziewczyna ma na sobie jedynie postrzępioną i rozdartą mokrą koszulę do spania.

– Jak ci na imię? – pytam.

Z bliska widzę, że jej jasnobrązowa cera różni się od kasztanowej i mahoniowej karnacji wieśniaków. Może w jej żyłach płynie odrobina szlachetnej krwi. Ojciec miał pewnie słabość do czekolady.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, nachylam się ku niej i mówię spokojnie:

– Im szybciej odpowiesz, tym prędzej sobie pójdziemy.

– Jemi – oznajmia z wysiłkiem. Ściskając w garści piasek, mówi dalej: – Powiem wam wszystko, co chcecie wiedzieć, ale tylko jeśli dacie nam spokój.

Zgadzam się skinieniem głowy. To ustępstwo przychodzi mi bez trudu. Obowiązek obowiązkiem, ale wcale nie mam ochoty oglądać kolejnych trupów.

Nie zniosę kolejnych wrzasków.

Schylam się i rozwiązuję jej dłonie. Na mój dotyk reaguje wzdrygnięciem.

– Udziel nam informacji, których szukamy, a ty i twoi ludzie będziecie bezpieczni.

– Bezpieczni? – Jemi spogląda mi w oczy z nienawiścią, która przeszywa jak miecz. Choć jej usta w ogóle się nie poruszają, słyszę, jak mówi: „Bezpieczne czasy dawno się skończyły”.

ROZDZIAŁ 12



ZÉLIE

Kiedy w końcu zatrzymujemy się na postój, oczy mnie bolą od wielogodzinnego płaczu. Najla i Tzain momentalnie zasypiają na dywanie z mchu – uciekają z tej połamanej rzeczywistości w bezpieczne objęcia snu.

Zmarznięta Amari nieufnie przygląda się leśnej ściółce, wreszcie rozkłada opończę i kładzie się na niej, jakby ziemia nie zasługiwała na kontakt z jej królewską głową. Patrząc na nią, przypominam sobie, że prawie wepchnęłam ją w ogień.

Tamta chwila wydaje się teraz odległa, jak gdyby odczuwana wtedy nienawiść nie była moją nienawiścią.

Teraz tli się we mnie już tylko chłodny gniew, całkiem zresztą niepotrzebny. Założyłabym się o pięćset srebrników, że ta dziewczyna długo nie wytrzyma.

Owijam się szczelnie opończę i wtulam w bok Najli, w jej przyjemnie miękką sierść. Rozgwieżdżone niebo nad ciemnymi liśćmi na nowo roznieca w moim umyśle wizję Mamy Agby.

– Magia wróciła – powtarzam sobie szeptem. Po tym szalonym dniu wciąż nie mogę w to uwierzyć. A więc jest dla nas nadzieja.

Jeszcze nie wszystko stracone.

– Oju...

Szeptuję imię bogini życia i śmierci, mojego siostrzanego bóstwa, któremu zawdzięczam dar magii. Jako dziecko wymawiałam w nocy jej imię tak często... Ktoś mógłby pomyśleć, że śpimy razem w jednym łóżku. Teraz szukam słów modlitwy, lecz nie wiem, jak zacząć.

– Bá mi sòrò – próbuję, ale nie ma w tych słowach mocy ani przekonania, z jakimi intonowała zaklęcie Mama Agba. Ona tak bardzo wierzyła w swoją łączność z Orúnmilą, że udało jej się wyczarować widzenie.

Staram się uwierzyć, że tam na górze istotnie ktoś jest.

– Ràn mí lówó – modlę się. *Pomóż mi.* Te słowa brzmią o wiele prawdziwiej, są bardziej moje. – Mama Agba mówi, że mnie wybrałaś. Baba też tak uważa, ale ja... ja się boję. To zbyt ważna misja. Nie chcę znów czegoś zepsuć.

Gdy mówię to na głos, mój strach staje się bardziej namacalny, jakby wisiał w powietrzu tuż nade mną. Nawet Baby nie umiałam uchronić przed niebezpieczeństwem. Jak mam uratować magów?

Lecz po chwili doznaję lekkiego ukojenia. Pokrzepia mnie myśl, że Oja może być tutaj, obok mnie. Bez jej pomocy na pewno sobie nie poradzę.

– Pomóż mi – powtarzam. – Ràn mí lówó. Proszę. I chroń Babę. Cokolwiek się zdarzy, nie pozwól, żeby jemu i Mamie Agbie stała się krzywda.

Nie wiem, co jeszcze powiedzieć, więc tylko schylam głowę w ukłonie. Wydaje mi się, że prawie widzę, jak moje modlitwy unoszą się pod niebo. Chwytam się mocno tej satysfakcji, która na moment zagłusza we mnie ból, strach, żal. Pozwalam się jej ukołysać do snu.

Budzę się i czuję, że coś jest nie tak.

Siadam, szukając wzrokiem śpiącej Najli, ale nigdzie jej nie ma. Las zniknął, nie ma drzew ani mchu. Otaczają mnie za to wybujałe trzciny szumiące na wietrze. Jest jasno.

– Co się dzieje? – szepczę zdezorientowana. Spoglądam na swoje ręce i aż cofam głowę z wrażenia. Na mojej skórze nie ma śladów blizn ani oparzeń. Jest nieskazitelna, jakbym niedawno się urodziła.

Wstaję. Trzcinowe pole rozciąga się jak okiem sięgnąć. Nawet gdy stoję, łodygi i liście mnie przewyższają.

W oddali rośliny są słabo widoczne, zlewają się z bielą horyzontu. Jakbym znalazła się w niedokończonym obrazie, uwieczona wśród trzcin na szerokim

plótnie. Ani to sen, ani jawa. Unoszę się gdzieś między jednym a drugim.

Kiedy brnę przez trzciny, piasek przesuwa się pod moimi stopami. Minuty wloką się jak godziny, ale w ogóle nie przejmuję się upływającym czasem. Powietrze jest chłodne i rześkie, jak w górach Ibadanu, gdzie się wychowałam. *Może to azyl*, przychodzi mi do głowy. Dar odpoczynku od bogów.

Ledwie to jednak pomyślałam, wyczuwam nagle czyjaś obecność. Odwracam się, serce mi zamiera. Wszystko na moment nieruchomieje.

Najpierw rozpoznaję płomień w jego bursztynowych oczach, to spojrzenie, które wracało do mnie przez cały dzień. Teraz, gdy stoi bez miecza, gdy wokół nie szaleje pożar, przyglądam się na spokojnie wyraźnie zarysowanym mięśniom i miedzianej skórze o jasnym odcieniu, zwracam uwagę na dziwną białą smugę we włosach. Kiedy się nie rusza, podobieństwo do Amari jest uderzające. *To ktoś więcej niż kapitan...*

To książę.

Wpatruje się we mnie długo, jakbym powstała ze zmarłych. Wreszcie zaciska pięści.

– Natychmiast mnie stąd wypuść!

– Co? – Unoszę brwi w zdumieniu. – Ja nie mam z tym nic wspólnego!

– Mam w to uwierzyć? Po tym, jak przez cały dzień ukazujesz mi się w myślach? – Sięga po miecz, ale jego ręka napotyka tylko powietrze.

Dopiero teraz spostrzegam, że oboje mamy na sobie proste białe ubranie i jesteśmy nieuzbrojeni.

– Ja ci się ukazuję? – pytam powoli.

– Nie udawaj niewiniątka – oburza się. – Myślisz, że nie poczułem, co mi zrobiłaś w Lagos? I jeszcze te głosy. Natychmiast przestań mnie nękać albo za to zapłacisz!

Jest naprawdę wściekły, ale moją uwagę przykuwa co innego. On myśli, że to ja go tu sprowadziłam.

Że to ja doprowadziłam do tego spotkania.

To niemożliwe. Choć byłam zbyt mała, by Mama uczyła mnie magii

śmierci, widziałam, jak ona działa. Jej domeną były zimne duchy, ostre strzały i tańczące cienie, ale nie sny. Zresztą pierwszy raz dotknęłam pergaminu dopiero po ucieczce z Lagos, a więc już po tym, jak nasze spojrzenia się skrzyżowały i poczułam tamten dziwny prąd pod skórą. Jeżeli przywiodła nas tutaj magia, to na pewno nie moja. A skoro nie moja, to...

– To ty.

Nagle olśnienie zapiera mi dech. *Ale jak to możliwe?* Ród królewski utracił magię wiele pokoleń temu. Od niepamiętnych czasów żaden mag nie zasiadał na tronie.

– Co ja?

Znów spoglądam na smugę bieli w jego włosach. Biegnie od skroni do karku.

– Ty sprawiłeś, że tu jestem.

Widzę, jak sztywnieją mu wszystkie mięśnie; złość w jego spojrzeniu przeradza się w trwogę. Między nami zrywa się podmuch zimnego wiatru. Trzciny się kołyszą.

– Kłamiesz – stwierdza w końcu. – Próbujesz tylko wejść mi do głowy.

– Nie, książę. To ty wszedłeś do mojej.

Przypominają mi się stare opowieści Mamy, historie o dziesięciu klanach, o dziesięciu różnych rodzajach magii. Jako dziecko interesowali mnie tylko Żniwiarze, bo Mama była jedną z nich, ona jednak upierała się, że powinnam mieć jak najgłębszą wiedzę o wszystkich klanach. Zawsze mnie przestrzegała przed magią Konektorów, którzy panowali nad umysłem, duchem i snami. *Trzeba na nich szczególnie uważać, moja mała Zél. Używają magii, żeby wkradać się do cudzych umysłów.*

Wspomnienie tamtej przestrogi ścina mi krew w żyłach. Lecz książę jest tak dezorientowany, że trudno mi się go bać. Sądząc po tym, jak się gapi na własne roztrzęsione ręce, jestem pewna, że prędzej sam odebrałby sobie życie, niż wykorzystał swoją moc przeciwko mnie.

Ale jak to w ogóle możliwe? Ibawici są wybierani przez bogów przy narodzinach. Książę nie urodził się ibawitą, a kosidanin nie może rozwinąć

w sobie magii. Co się stało, że nagle stał się magiem?

Rozglądam się po miejscu, które bezwiednie wyczarował mocą swej konektorskiej magii. Czarodziejskie trzciny kołyszą się na wietrze, nie przejmując się tym, że nic tutaj nie istnieje naprawdę.

Coś takiego wymaga niesamowitej mocy. Nawet doświadczony Konektor potrzebowałby specjalnej inkantacji. Czy to możliwe, aby ten chłopak okiełznał swoją aszê i stworzył to wszystko, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest magiem? Co tu się wyprawia, na bogów?

Znów przyglądam się poszarpanej smudze bieli w książących włosach. To jedyna cecha szczególna magów: nasze włosy są zawsze białe jak śnieg na szczytach Ibadanu. Najczarniejsza farba nie zdoła zatuszować tej bieli na dłużej niż parę godzin.

Choć nigdy nie widziałam podobnej smugi u żadnego maga ani ibawity, jest ona bezdyskusyjnym faktem. Jej biel niczym się nie różni od bieli moich włosów.

Ale co to oznacza? Spoglądam ku niebu. W co grają z nami bogowie? A jeśli książę nie jest jedyny? Jeśli panująca dynastia odzyskuje magię...

Nie.

Nie mogę dać się ponieść wyobraźni pod wpływem strachu.

Gdyby królewska dynastia odzyskiwała magię, już byśmy o tym wiedzieli.

Wciągam powietrze głęboko do płuc i spowalням bieg swoich myśli. Amari miała pergamin przy sobie w Lagos. Podczas ucieczki zderzyła się z bratem. To się musiało stać wtedy. Moc Inana została rozbudzona podobnie jak moja – za dotknięciem tego przeklętego zwoju.

Król też go dotknął, przypominam sobie. I Amari. Admiralka pewnie też. W nich nic się nie przebudziło. Tylko w Inanie drzemią zdolności magiczne.

– Czy twój ojciec wie?

Błysk w jego oczach wystarcza mi za odpowiedź.

– Oczywiście, że nie wie – stwierdzam z uśmiechem. – Gdyby król wiedział, już byś nie żył.

Krew odpływa mu z twarzy. Mam ochotę się roześmiać: co za pyszna ironia

losu! Ilu ibawitów zginęło z jego rąk? Ilu przez niego cierpiało? Ile ludzkich istnień unicestwił w imię walki z magią, która krąży w jego żyłach?

– Mam dla ciebie propozycję. – Podchodzę bliżej. – Zostaw mnie w spokoju, a nikomu nie zdradzę twojego sekreciku. Nikt nie musi się dowiedzieć, że jesteś małą brudną gli...

Księżę rzuca się na mnie.

Chwyta mnie oburącz za gardło i...

Otwieram oczy. Wokół rozlega się znajome cykanie świerszczy i szum rozkołysanych liści. Tzain chrapie donośnie, a Najla poprawia się przy moim boku.

Podrywam się i chwytam za kij, by stawić czoło przeciwnikowi, którego nie ma. Mimo to przez dłuższą chwilę przeczesuję wzrokiem pobliskie drzewa, spodziewając się tam księcia.

Staram się uspokoić nerwy, oddycham głęboko wilgotnym powietrzem. W końcu znów się kładę i zamykam oczy, ale sen nie przychodzi. Kto wie, czy w ogóle jeszcze przyjdzie. Teraz, kiedy znam sekret księcia.

Zrobi wszystko, żeby mnie zabić.

ROZDZIAŁ 13



ZÉLIE

Rano budzę się bardziej wyczerpana niż przed zaśnięciem.

Czuję się okradziona, jak gdyby złodziej zabrał moje sny i uciekł. Sen zwykle oznacza ucieczkę, przerwę w cierpieniu doznawanym na jawie. Ale sny, w których księżę usiłuje mnie udusić, to nie odpoczynek, lecz koszmar gorszy nawet niż rzeczywistość.

– Do licha – mamroczę.

To tylko sny. Nie ma się czego bać. Nawet jeśli magia księcia jest potężna, nie odważy się jej użyć. Jest zbyt przerażony.

Z drugiego końca polanki dolatują postękiwania Tzaina: ćwiczy zapamiętane brzuszki, jakby to był jego codzienny trening. Tyle że będzie musiał na długo zapomnieć o treningach. Przeze mnie może już nigdy nie zagrać w agböna.

Przygnieciona zmęczeniem i wyrzutami sumienia kładę się z powrotem na ziemi. Mogłabym przepraszać do końca swych dni, a i tak by nie starczyło. Nie mam jednak czasu zadrećcać się poczuciem winy, bo kątem oka dostrzegam jakiś ruch. To Amari budzi się z królewskiego snu pod wielką brązową opończę. Na jej widok przypomina mi się twarz Inana.

Aż dziwne, że nie poderżnęła nam gardeł we śnie, zważywszy na to, z jakiej rodziny pochodzi.

Przyglądam się jej włosom, szukając smugi bieli jak u jej brata. Nic podobnego nie znalazłszy, trochę się rozluźniam. Gdyby ona też potrafiła zamknąć mnie w swojej głowie, byłibyśmy w jeszcze gorszej sytuacji.

Nagle rozpoznaję opończę, którą się przykryła. Wstaję i podchodzę do Tzaina.

– Co ci odbiło? – pytam.

Ignoruje mnie i ćwicz dalej. Worki pod jego oczami ostrzegają, żebym dała mu spokój, ale jestem zbyt rozgniewana.

– Twoja opończa – warczę przez zęby. – Dlaczego jej oddałeś?

Tzain robi jeszcze dwa brzuszki, po czym odpowiada:

– Trzęśła się z zimna.

– No i?

– No i co? Nie wiemy, ile to wszystko potrwa. Ostatnie, czego nam trzeba, to żeby się rozchorowała.

– Wiesz, że ona jest do tego przyzwyczajona, prawda? Do tego, że ludzie tacy jak ty skaczą wokół niej.

– Zél, ona marzła, a mnie ta opończa nie była potrzebna. To wszystko.

Spoglądam w stronę Amari. Może i faktycznie przesadzam. Ale w tych oczach widzę spojrzenie jej brata. Znow czuję na szyi ucisk jego dłoni.

– Chcę jej zaufać...

– Nieprawda.

– Chcę, ale nie potrafię. Obławy dokonano z rozkazu jej ojca. Jej brat spalił naszą wioskę. Dlaczego ona miałaby być inna?

– Zél... – Tzain urywa na widok Amari, która jak zwykle zbliża się cicho i nieśmiało.

Nie mam pojęcia, czy nas słyszała. Zresztą wszystko mi jedno.

– To chyba twoje? – Amari podaje Tzainowi opończę. – Dziękuję.

– Nie ma za co. – Mój brat zwija okrycie i chowa je do sakwy. – W dżungli będzie cieplej, ale gdybyś jeszcze potrzebowała, daj znać.

Amari uśmiecha się po raz pierwszy, odkąd ją poznałam. Ku mojemu poirytowaniu Tzain odwzajemnia uśmiech. Jak szybko zapomniał, że ta ładna buzia należy do córki potwora!

– Coś jeszcze? – pytam.

– Yy... no więc... – Amari zniża głos. – Zastanawiałam się... czy zamierzamy coś...

Rozlega się głośne burczenie. To z jej żołądka. Amari się rumieni, łapie się za szczupły brzuch, ale nie jest w stanie powstrzymać kolejnego pomruku.

– Przepraszam. Wczoraj zjadłam tylko bochenek chleba.

– Cały bochenek? – Na samą myśl ślina cieknie mi do ust. Nie pamiętam, kiedy ostatnio zjadłam całą kromkę. Nie mówiąc o tym, że czerstwe cegły, które kupujemy na targu, raczej nie mogą się równać ze świeżymi bochenkami z pałacowej kuchni.

Korci mnie, aby przypomnieć Amari, że jest szczęściarą, lecz mój żołądek też skręca się z głodu. Wczoraj przez cały dzień nie miałam nic w ustach. Jeżeli czegoś nie zjem, mój brzuch także zacznie groźnie powarkiwać.

Tzain sięga do kieszeni czarnych spodni i wyciąga poobcieraną mapę Mamy Agby. Patrzymy, jak przesuwa palcem wzdłuż wybrzeża i zatrzymuje go na kropce oznaczającej osadę Sokoto.

– To jakaś godzina drogi – mówi. – Najlepiej będzie tam się zatrzymać, zanim ruszymy na wschód w kierunku Chândomblé. Nie wiem tylko, za co kupimy jedzenie. Potrzebujemy czegoś na handel.

– A srebrniki, które dostałam za żaglicę? Co się z nimi stało?

Tzain wytrząsa zawartość mojej sakwy. Wypada z niej raptem kilka srebrnych monet i diadem Amari.

– Większość przepadła w pożarze – wzdycha mój brat, a mnie wrywa się z piersi żaloszny jęk.

– Co możemy przehandlować? – pyta Amari.

Tzain patrzy na jej kosztowny strój. Jedwabny, z podszewką, nawet brudny i przypalony zachwyca eleganckim krojem i jakością wykonania.

Amari spogląda po sobie i marszczy brwi.

– Żartujesz, prawda?

– Jest sporo wart – wtrącam. – Poza tym... naprawdę zamierzasz się przedzierać przez dżunglę w czymś takim? Litości.

Amari spogląda na moje bufiaste spodnie i krótką tunikę. Ścisła w palcach materiał swojej sukni. Jej się chyba zdaje, że ma jakiś wybór. Jakbym nie mogła z łatwością zdjąć z niej ubrania, gdybym zechciała.

– Ale w takim razie w co się ubiorę?

– W swoją opończę. – Wskazuję palcem zgrzebne brązowe okrycie. – Wymienimy suknię na jedzenie, a potem kupimy ci jakieś rzeczy.

Amari wbija wzrok w ziemię i robi krok do tyłu.

– Uciekłaś królewskiej straży, żeby ratować pergamin, a teraz boisz się zdjąć głupią suknię?

– Nie ryzykowałam śmierci dla pergaminu – odpowiada łamiącym się głosem. Jej oczy przez chwilę szklą się łzami. – Mój ojciec zabił moją najbliższą przyjaciółkę...

– Twoją przyjaciółkę czy niewolnicę?

– Zél – powściąga mnie Tzain.

– No co? – Odwracam się do niego. – Czy twoi przyjaciele za darmo prasują ci ubrania i przyrządzają posiłki?

Amari czerwienieją uszy.

– Binta nie pracowała za darmo.

– Mhm, na pewno zarabiała krocie.

– Próbuję wam pomóc. – Amari zaciska palce na sukni. – Zrezygnowałam ze wszystkiego, żeby wam pomóc. Możemy uratować ibawitów.

– Chcesz ratować ibawitów, a nie sprzedasz nawet swojej głupiej sukni?

– Dobrze! – Amari unosi dłonie. – Nieba, zgadzam się. Nie powiedziałam, że tego nie zrobię.

– Och, dziękujemy ci, łaskawa księżniczko, wybawicielko magów!

– Przestań już – mityguje mnie Tzain.

Amari chowa się za Najlą, żeby się przebrać. Jej delikatne palce sięgają do guzików na plecach, lecz waha się, zerka przez ramię. Przewracam oczami i razem z Tzainem odwracamy głowy.

Księżniczka.

– Nie bądź taka cięta – mówi do mnie półgłosem Tzain.

Patrzymy na rozpościerające się przed nami mahoniowe lasy Sokoto. Gromadka pawianów o niebieskich zadkach huśta się wśród drzew, gałęzie

z mnóstwem lśniących liści uginają się pod nimi, a potem odskakują z powrotem na miejsce.

– Jeżeli nie potrafi wytrzymać z ibawitką, która nie jest niewolnicą jej ojca, zawsze może wrócić do swojego pałacu, droga wolna.

– Nie zrobiła nic złego.

– Ani nic dobrego. – Szturcham brata w plecy.

Dlaczego tak się za nią ujmuje? Jakby naprawdę uważał, że ta dziewczyna zasługuje na litość. Jakby to ona była ofiarą.

– Zél, jestem ostatnią osobą, która ufałaby szlachcom, ale spójrz na nią. Właśnie straciła najbliższą przyjaciółkę i zamiast ją oplakiwać, ryzykuje życie, żeby pomóc magom i ibawitom.

– Mam się nad nią uzalać, bo ojciec zabił jej ulubioną służącą? Przedtem jakoś nie oburzała jej ludzka krzywda. Gdzie była, kiedy jej ojciec organizował Obławę?

– Miała wtedy sześć lat – zauważa spokojnie Tzain. – Była dzieckiem, jak ty.

– Różnica polega na tym, że ona tamtego wieczoru dostała od matki całusa na dobranoc. A my nie.

Przekonana, że Amari miała dość czasu na przebranie się, ruszam w stronę Najli. Gdy jednak zerkam ponad jej grzbietem, ukazują mi się nagie plecy księżniczki.

– O bogowie...

Serce podskakuje mi w piersi na widok strasznej blizny wzdłuż jej kręgosłupa, tak makabrycznej, że sama czuję na plecach bolesny dreszcz.

Amari się obraca, lecz Tzain także zdążył dostrzec jej zagojoną ranę – słyszę, jak wciąga powietrze przez zęby. Blizny na plecach Baby nie są nawet w połowie tak okropne.

– Jak śmiecie! – Amari prędko zakrywa się opończą.

– Nie chciałam podglądać – wyjaśniam pospiesznie. – Naprawdę. Ale... Amari, na bogów. Co ci się stało?

– Nic. W-wypadek. Ja i mój brat byliśmy wtedy mali.

Tzain rozdziawia usta.

– Twój brat ci to zrobił?

– Nie! Nienaumyślnie. To nie tak... on nie... – Amari urywa targana jakimś nieokreślonym uczuciem. – Chcieliście moją suknię, to macie. Wymieńmy ją na jedzenie i ruszajmy w drogę.

Otulając się ciasno opończą, dosiada Najli. Odwraca głowę, żebyśmy nie widzieli jej twarzy. Pozostaje nam wziąć z niej przykład.

Tzain mamrocze przeprosiny i daje znak lworóżce, żeby ruszała. Ja też próbuję przeprosić, ale gdy patrzę na zakryte plecy Amari, słowa więzną mi w gardle.

Bogowie.

Boję się myśleć, jakie jeszcze blizny przed nami chowa.

Osada Sokoto znajduje się na leśnej polanie. Kiedy do niej docieramy, robi się cieplej. Nad brzegiem krystalicznie czystego jeziora biegają mali kosidanie; piszczą z radości, gdy jedna z dziewczyn wpada do wody. Wędrowcy rozbijają namioty wśród drzew i błotnych kałuż; wzdłuż kamienistego brzegu ciągną się kupieckie wozy i wózki z towarami. Od jednego z nich dolatuje zapach przyprawionego mięsa z antyloparda i od razu burczy mi w brzuchu.

Nieraz słyszałam, że przed Obławą Sokoto było siedzibą najlepszych Uzdrawicieli. Dla ich magicznego dotyku ludzie przybywali tu z całej Oriszy. Przyglądam się wędrowcom i próbuję sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Babie pewnie spodobałoby się tutaj. Chwila wytchnienia po utracie domu.

– Jak tu spokojnie – wzdycha Amari, kurczowo ściskając opończę, kiedy zeskakujemy z grzbietu Najli.

– Nigdy wcześniej tu nie byłaś? – dziwi się Tzain.

Amari kręci głową.

– Prawie nie opuszczałam pałacu.

Choć powietrze jest rześkie, widok budzi we mnie wspomnienia pożaru

i swądu palonych ciał. Jezioro nasuwa skojarzenie ze spokojnymi falami pływającego targowiska, przypomina o łodzi z drewna kokosowego, w której powinnam się teraz targować z Kaną o kiść rajskich bananów. Ale tamtego targowiska już nie ma, podobnie jak reszty Ilorinu, zostały tylko zgliszcza na dnie morza.

Kolejna część mojego życia zniszczona przez monarchię.

– Wy sprzedajcie suknię – mówi Tzain – a ja pójdę napoić Najlę. Aha, rozejrzyjcie się za bukłakami.

Wolałabym załatwić to sama, lecz wiem, że Amari nie odstąpi mnie na krok, dopóki nie zdobędzie nowego ubrania. Rozstajemy się z Tzainem i ruszamy wśród namiotów ku wozom kupieckim.

– Możesz się rozluźnić – rzucam z uniesioną brwią, widząc, że Amari reaguje nerwowo na każde spojrzenie. – Oni nie wiedzą, kim jesteś, i nie obchodzi ich, co masz na sobie.

– Wiem – odpowiada prędko, ale trochę się uspokaja. – Po prostu nigdy nie przebywałam wśród takich ludzi.

– Och, jakie to straszne – ironizuję. – Oriszanie, którzy nie żyją wyłącznie po to, żeby ci usługiwać.

Amari wzdycha zirytowana, lecz powstrzymuje się od riposty, a mnie prawie robi się jej żal. Wolałabym, prawdę mówiąc, żeby nie pozostawała mi dłużna.

– Nieba, patrz na to! – Amari zwalnia na widok pary budującej szałas. Mężczyzna ustawia długie cienkie gałęzie w stożek i splata je winoroślami, a kobieta uszczelnia je mchem. – Ludzie naprawdę w tym śpią?

Mam ochotę zamilczeć jej pytanie, lecz Amari wpatruje się w ten prosty szałas jak w budowlę ze złota.

– Kiedy byłam mała, bez przerwy takie stawialiśmy – wyjaśniam. – Porządny szałas chroni nawet przed śniegiem.

– W Ilorinie macie śnieg? – Oczy znów jej się iskrzą, jakby śnieg był jakąś prastarą legendą o bogach. Zabawne, że urodziła się, by rządzić królestwem, którego w ogóle nie zna.

– W Ibadanie – wyjaśniam. – Mieszkaliśmy tam przed Obławą.

Na dźwięk tego słowa Amari cichnie. Z jej oczu znika ciekawość. Otula się szczerzej opończę i patrzy pod nogi.

– To wtedy straciłaś matkę?

Szttywnieję. Jak to możliwe, że ośmieliła się zadać to pytanie, skoro boi się nawet poprosić o jedzenie?

– Przepraszam, jeśli to nie moja sprawa... Po prostu słyszałam wczoraj, jak twój ojciec o niej wspominał.

Przed oczami staje mi twarz Mamy. Jej ciemna skóra świeciła nam zamiast słońca. *Kochała cię wielką miłością.* Tak powiedział Baba. *Byłaby z ciebie bardzo dumna.*

– Była magiczką – odpowiadam w końcu. – I to potężną. Twój ojciec miał szczęście, że wtedy, podczas Obławy, nie mogła użyć swojej magii.

Znów pozwalam sobie na chwilę fantazji: co by się stało, gdyby tamtego dnia Mama nie była dla strażników bezbronną ofiarą, lecz śmiertelnie groźnym przeciwnikiem. Pomściłaby zabitych magów, pomaszerowała na Lagos z armią umarłych. Owinęłaby szyję Sarana czarnym cieniem.

– Wiem, że to nic nie zmienia, ale przykro mi – szepcze Amari tak cicho, że ledwie ją słyszę. – Stracić kogoś, kogo się kochało... – Zaciska powieki. – Wiem, że nienawidzisz mojego ojca. I rozumiem twoją nienawiść do mnie.

Patrzę w jej oczy pełne żalu i czuję, jak ta nienawiść, o której mówi, we mnie stygnie. Wciąż jest dla mnie czymś niepojętym, że jej służka mogła być dla niej kimś więcej niż tylko jedną z niewolnic, ale jej smutek mówi sam za siebie.

Nie. Potrząsam głową. Nawet jeśli ta dziewczyna cierpi naprawdę, nie zasługuje na moją litość. A skoro ona może być wścibska, to ja też.

– Czy twój brat zawsze był bezdusznym mordercą?

Amari unosi brwi w zdumieniu.

– Nie myśl, że możesz mnie pytać o matkę, a sama ukrywać prawdę o tej strasznej bliźnie na plecach.

Amari utkwiała wzrok w kupieckich wozach, ale widzę w jej oczach, że

myślami jest gdzie indziej, w przeszłości.

– To nie była jego wina – oznajmia w końcu. – Ojciec kazał nam walczyć.

– Na prawdziwe miecze? – Z niedowierzaniem cofam głowę. U Mamy Agby najpierw przez kilka lat trenowałyśmy bez kijów.

– Pierwsza rodzina ojca była słaba – odzywa się w zamyśleniu. – Wydelikacona. Twierdził, że dlatego wszyscy zginęli. Nie chciał, żeby nas spotkało to samo.

Mówi tak, jakby to było normalne. Jakby wszyscy kochający ojcowie przelewali krew swoich dzieci. Do tej pory zawsze wyobrażałam sobie pałac jako najbezpieczniejsze miejsce pod słońcem. Na bogów, a więc tak wyglądało jej życie?

– Tzain nigdy by czegoś takiego nie zrobił. – Zaciskam usta. – Nie skrzywdziłby mnie.

– Inan nie miał wyboru. – Amari twardnieją rysy. – Ma dobre serce, ale dał się sprowadzić na złą drogę.

Kręcę głowę. Skąd w niej tyle lojalności? Dotąd myślałam, że ludzie szlacheckiej krwi są bezpieczni. Nie przypuszczałam, że król potrafi być tak okrutny wobec własnej rodziny.

– Ludzie o dobrym sercu nie zostawiają takich blizn. Nie palą wiosek.

Nie próbują mnie udusić we śnie.

Amari nie odpowiada. Wiem, że to koniec rozmowy o jej bracie. Dobrze. Skoro nie chce mi powiedzieć prawdy o Inanie, ja też zachowam dla siebie to, czego się o nim dowiedziałam.

Spuszczam na jego sekret zasłonę i skupiam się na pieczonym mięsie antyloparda. Zbliżamy się do obficie zaopatrzonego starszego handlarza, gdy Amari pociąga mnie za sakwę.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za uratowanie mi życia wczoraj w Lagos. – Opuszcza oczy. – Ale potem dwa razy próbowałaś mnie zabić... Więc może to się wyrównuje?

Dopiero po sekundzie dociera do mnie, że to żart. Uśmiecham się trochę wbrew sobie. Amari też się uśmiecha i zaczynam rozumieć, dlaczego

Tzainowi tak trudno było zignorować ten uśmiech.

– Ach, dwie miłe panie. – Kosidanin w podeszłym wieku zaprasza nas gestem. Jego siwe włosy lśnią w promieniach słońca. – Proszę. – Szeroki uśmiech żłobi głębokimi zmarszczkami stwardniałą skórę jego twarzy. – Na pewno znajdziecie coś dla siebie.

Stajemy u schodków jego wozu zaprzężonego w dwa ogromne gepardony. Głaszczę jednego po cętkowanej sierści, macam rowki w grubym rogu na jego czole. Wierzchacz mruczy i liże mnie ząbkowanym językiem po dłoni. Wchodzimy z Amari do środka.

W zatłoczonym wnętrzu wozu uderza mnie ciężki zapach starych tkanin. Amari na jednym końcu przebiera stare ubrania, ja oglądam bukłaki ze skóry mangurów.

– Czego miłe panie szukają? – pyta kupiec z naręczem błyszczących naszyjników. Nachyla się ku mnie, rozszerzając głęboko osadzone oczy wyróżniające mieszkańców północnej Oriszy. – Te perły pochodzą z wybrzeża koło Dzimety, a te małe cacuszka z kopalni Kalabraru. Oczarują każdego mężczyznę, choć ty, złotko, pewnie obchodzisz się bez ozdób.

Uśmiecham się.

– Chcemy się zaopatrzyć na podróż. Szukamy bukłaków i czegoś do polowania, może procy.

– Ile możecie zapłacić?

– A ile dostaniemy za to?

Podaję mu suknię Amari. Rozwija ją i unosi do światła. Ruchem człowieka, który zna się na rzeczy, przesuwa palcami po szwach, dokładnie ogląda przypalony rąbek.

– Ładna, nie powiem. Droga tkanina, doskonale skrojona. Szkoda, że przypalona, ale zawsze można obrębić od nowa.

– A więc? – naciskam.

– Osiemdziesiąt srebrników.

– Nie sprzedamy jej za mniej niż...

– Nie zamierzam się targować, skarbie. Mam uczciwe ceny i uczciwie

płacę. Osiemdziesiąt i koniec.

Zaciskam zęby, ale wiem, że nic więcej nie wskóram. Kupiec, który zjechał całą Oriszę, to nie oderwany od życia szlachcic, któremu można wmówić wszystko.

– A co dostaniemy za osiemdziesiąt? – pyta Amari, trzymając w rękach żółte bufiaste spodnie i czarny bezrękawnik.

– Te ubrania... bukłaki... nóż myśliwski... krzemienie... – Kupiec powoli wypełnia pleciony koszyk towarem.

– Wystarczy? – pyta szeptem Amari.

Kiwam twierdząco głową.

– Na razie tak. Jeśli dorzuci ten łuk...

– Nie stać was na niego – wtrąca kupiec.

– A jeśli to się nie skończy w Chên... w tej świątyni? – Amari zniża głos. – Nie będziemy potrzebować więcej pieniędzy? Zapasów?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Zobaczymy.

Już się odwracam, lecz Amari marszczy czoło i sięga do mojej sakwy.

– Ile dostaniemy za to? – pyta, wyciągając swój diadem z klejnotami.

Kupiec wytrzeszcza oczy.

– Bogowie. Skąd wy to macie?

– To nieistotne – upiera się Amari. – Ile?

Mężczyzna obraca diadem w dłoniach. Na widok wysadzanego brylantami śnieżnego lampartusa rozdziawia szeroko usta. Patrzy głęboko w oczy Amari, potem spogląda na mnie, lecz wytrzymuję to spojrzenie bez mrugnięcia.

– Nie mogę tego wziąć.

– Dlaczego? – Amari wpycha mu diadem z powrotem do rąk. – Skoro możesz suknię, dlaczego nie diadem?

– Nie mogę – powtarza kupiec, kręcąc głową, lecz teraz, gdy trzyma złoto w ręku, widać, że bije się z myślami. – Nawet gdybym chciał, nie mam czym zapłacić. To jest warte więcej niż cały mój towar.

– W takim razie co możesz nam dać?

Kupiec się waha, strach walczy w nim o lepsze z chciwością. Raz jeszcze obrzuca wzrokiem Amari, znowu wpatruje się w lśniący w jego rękach diadem. Wyciąga z kieszeni pęk kluczy i odsuwa jedną ze skrzyń, odsłaniając żelazną szkatułę. Otwiera ją i naszym oczom ukazuje się sterta złota.

– Trzysta dukatów.

Aż podskakuję z wrażenia. Mając tyle złotych monet, Tzain, Baba i ja nigdy więcej nie musielibyśmy się martwić o pieniądze. Spoglądam z entuzjazmem w stronę Amari, lecz wyraz jej oczu sprowadza mnie na ziemię.

Mam ten diadem dzięki mojej służącej... To jedyna pamiątka, jaka mi po niej została.

Poznaję ten ból. Znam go z własnego dzieciństwa. Przypomina mi się dzień, kiedy po raz pierwszy nie mieliśmy czym opłacić królewskiego podatku.

Tzain i Baba miesiącami łowili od świtu do zmierzchu, a nocą brali dodatkowe zajęcia od strażników. Stawali na głowie, żeby mnie chronić, lecz w końcu musieli dać za wygraną. Tamtego dnia poszłam na pływający targ, ściskając w ręku złoty amulet Mamy. To była jedyna rzecz, która nam po niej została; znaleźliśmy go na ziemi, kiedy Mamę zabrali strażnicy.

Po śmierci Mamy pilnowałam tego amuletu jak oka w głowie, jak ocalałego fragmentu jej duszy. Czasem jeszcze w roztargnieniu dotykam tego miejsca pod szyją, w którym wisiał.

– Nie musisz – zwracam się do Amari, choć przychodzi mi to z wielkim trudem, zważywszy na ilość złota, jaką mogłybyśmy dostać. Pamiętam jednak, że sprzedając amulet Mamy, czułam się, jakbym oddawała komuś jej serce; strasznie wtedy cierpiałam i nie chcę, żeby Amari przeżywała to samo.

Lecz Amari uśmiecha się do mnie łagodnie.

– Śmiałaś się ze mnie, że nie chcę się rozstać z suknią, i miałaś rację. Trzymałam się kurczowo tego, co już straciłam. Zresztą po tym, co zrobił mój ojciec, żadna moja ofiara nie będzie wystarczająca. – Amari skinieniem głowy daje znać handlarzowi, że podjęła ostateczną decyzję. – Nie udało mi

się uratować Binty. Ale mając tyle złota...

Możemy uratować ibawitów.

Patrzę, jak kupiec bierze od niej diadem i zaczyna pakować dukaty do aksamitnych mieszkań.

– Łuk jest wasz – oznajmia, promieniejąc. – Weźcie sobie, co tylko chcecie!

Rozglądam się po wnętrzu wozu. Mój wzrok zatrzymuje się na solidnej skórzanej sakwie ozdobionej kółkami i liniami. Pochyliam się, by jej dotknąć, i zamieram, uprzytomniwszy sobie, że ozdobny wzór składa się w całości z kropkowanych krzyży. Przesuwam dłońią po ukrytym znaku klanu, tajemnym symbolu Oi, mojej siostrzanej bogini. Gdyby dostrzegli go strażnicy, skonfiskowaliby całą zawartość kupieckiego wozu. Może nawet obciąliby handlarzowi dłonie.

– Ostrożnie z tym! – woła.

Cofam prędko rękę, lecz okazuje się, że kupiec mówi do Amari, która obraca w dłoniach pustą rękojeść.

– Co to? – pyta. – Nie ma ostrza?

– Skieruj na zewnątrz i potrząśnij.

Amari spełnia polecenie i miecz rozkłada się jak mój kij. Długa klinga o zakrzywionym czubku tnie powietrze ze śmiercionośną gracją. Zaskakuje mnie zwinność, z jaką drobne ręce Amari władają tym mieczem.

– Wezmę.

– Jeżeli nie umiesz się nim posługiwać... – przestrzega ją kupiec.

– Skąd to przypuszczenie?

Unoszę brew i przypominam sobie, co mówiła o wypadku podczas treningu. Choć domyśliłam się, że brat zranił ją ostrzem, jakoś nie przyszło mi do głowy, że ona też miała w ręku miecz. Nawet po tym, jak uciekła z Lagos, trudno mi ją sobie wyobrazić walczącą.

Kupiec kończy pakować nasze dukaty i zakupy. Mamy teraz wszystko, co będzie nam potrzebne w drodze do Chândomblé. Na spotkanie z Tzainem idziemy w milczeniu, lecz w głowie mam rejwach. Co się stało z tą

rozpieszczoną królowną, którą chciałam udusić? Czy naprawdę włada mieczem?

Zatrzymuję się na moment przy wysokiej papai i strząsam z niej żółty melon. Umyślnie zostaję kilka kroków w tyle za Amari, po czym biorę zamach i rzucam dojrzałym owocem w jej głowę.

Przez ułamek sekundy Amari wygląda, jakby niczego się nie spodziewała. *Jak się z tego wytłumaczę?* – przemyka mi przez myśl. Potem jednak w okamgnieniu obraca się na pięcie, upuszczając koszyk i wysuwając ostrze z kupionego przed chwilą miecza.

Patrzę z niedowierzaniem, jak dojrzały melon upada na ziemię, rozcięty równo na pół. Amari się uśmiecha, podnosi cząstkę i wgryza się triumfalnie w słodki miąższ.

– Następnym razem musisz się bardziej postarać.

ROZDZIAŁ 14



INAN

Zabić ją.

Unicestwić magię.

Mój plan jest wszystkim, co mam.

Bez niego świat wymyka mi się z rąk. Magiczna klątwa chce mnie rozsadzić od środka.

Mam dla ciebie propozycję, słyszę w myślach szept dziewczyny, widzę jej usta wykrzywione uśmiechem. Nikt nie musi się dowiedzieć, że jesteś małą brudną gli...

– Cholera.

Zaciskam zęby, ale nie jestem w stanie zatrzymać potoku jej wstrętnych słów. Wspomnienie jej głosu budzi mojego wirusa. Czuję pieczenie pod skórą. Znów słyszę pourywane słowa, rozbrzmiewają coraz głośniejsze, coraz ostrzej.

Duszę w sobie magię, jakbym przełykał cegłę.

Raz... dwa...

Dookoła się ochładza. Na czoło występuje mi pot. Zepchnąwszy magię w głąb siebie, nabieram gwałtownie powietrza. Dyszę ciężko, ale zagrożenie minęło. Przynajmniej na chwilę...

– Inanie.

Wzdrygam się. Sprawdzam, czy hełm trzyma się mocno mojej głowy. Po raz piętnasty dzisiaj przesuwam palcem po zapięciu. Mógłbym przysiąc, że czuję, jak ta nowa biała smuga rośnie.

Keja rusza przed siebie i daje mi znak, żebym podążył za nią. Na pewno już się zorientowała, że przez cały dzień jeżdżę za nią, chowam się przed jej wzrokiem. Parę godzin temu prawie zobaczyła. Dałem się zaskoczyć, kiedy oglądałem swoje odbicie w strumieniu. Gdyby zjawiała się chwilę wcześniej... gdybym został chwilę dłużej...

Skup się!

Co ja robię? Gdybanie do niczego nie prowadzi.

Zabić dziewczynę. Unicestwić magię. Oto co muszę zrobić.

Spinam nogami Lulę, mojego śnieżnego lampartusa, i ruszamy śladem Kei. Muszę uważać na sterzące na grzbiecie rogi. Gdybym trącił któryś za mocno, mój wierzchacz zrzuciłby mnie z siodła.

– No, dalej! – Trzępię Lulę cugłami. – Nie leń się tak.

Lula błyska nierównymi kłami, ale przyspiesza. Chwilami jedziemy wśród rozłożystych marul, w górze pawiany przemykają po gałęziach obwieszonych owocami.

Kiedy doganiamy Keję, z wdzięcznością głaszczę mojego lampartusa po cętkowanej sierści. Lula wydaje groźny pomruk, lecz ociera się pyskiem o moją dłoń.

– Powiedz mi – odzywa się Keja. – Co ci powiedział ten wieśniak?

Znowu? Nieba, ależ ona potrafi wiercić dziurę w brzuchu.

– Muszę to usłyszeć jeszcze raz, bo coś mi nie gra. – Keja sięga za plecy i wypuszcza z klatki swojego ogniostrzębia.

Ptak ląduje na łąku siodła i Keja przyczepia mu do nogi wiadomość. Pewnie dla ojca. *Podążamy śladem pergaminu na południe. A poza tym podejrzewam, że Inan jest m...*

– Twierdził, że robi mapy – zmyślam. – Złodziejka i Amari odwiedziły go po ucieczce z Lagos.

Keja unosi przedramię, a ogniostrząb rozpościera skrzydła i wzbija się w powietrze.

– Skąd wiedział, że udają się na południe?

– Widział, jak wytyczają sobie szlak.

Keja odwraca głowę, ale zdążyłem dostrzec w jej oczach błysk niedowierzania.

– Nie powinieneś nikogo przesłuchiwać beze mnie.

– A wioska nie powinna była spłonąć! – odparowuję. – Stało się. Darujmy sobie dyskusję o tym, co mogło być, a czego nie było.

Spokojnie, Inanie. To nie na Keję jestem wściekły.

Ale już widzę, że wydyma wargi. Przesadziłem.

– Przepraszam – mówię z westchnieniem. – Nie chciałem być niemiły.

– Inanie, jeśli to cię przerasta...

– Nie martw się o mnie.

– Na pewno? – Świdruje mnie wzrokiem. – Jeśli sądzisz, że zapomniałam o tamtym epizodzie na plaży, to bardzo się mylisz.

Niech to szlag.

Keja była przy tym, jak na wybrzeżu koło Ilorinu pierwszy raz zaatakowała mnie magia. Tamtego wieczoru, gdy w mojej głowie pojawiły się głosy.

Napinam mięśnie brzucha, próbując zepchnąć to zło jak najgłębiej.

– Nie mogę dopuścić, żeby pod moim okiem zginął królewicz. Jeżeli tamto się powtórzy, wrócisz do pałacu.

Serce zabiło mi tak mocno, jakby chciało się wyrwać z piersi. Przecież Keja nie może mnie tak po prostu odesłać z powrotem.

Wrócę dopiero, kiedy dziewczyna zginie.

Mam dla ciebie propozycję. Jej głos znów wdziera się do mojej głowy. Słyszę go tak wyraźnie, jakby szeptała mi prosto do ucha. *Zostaw mnie w spokoju, a nikomu nie zdradzę twojego sekreciku. Nikt nie musi się dowiedzieć, że jesteś małą brudną gli...*

– Nie! – protestuję głośno. – To nie był żaden epizod. Ja tylko...

Weź głęboki oddech. Odpreź się.

– Wydawało mi się, że widzę ciało Amari.

Otóż to.

– Było mi wstyd, że tak mocno mną to wstrząsnęło.

– Och, Inanie... – Keja mięknie. Przechyliła się i łapie mnie za rękę. – Wybacz. Mogę się tylko domyślać, jakie to musiało być okropne.

Kiwam głową i odwzajemniam jej uścisk. Za mocno. *Puść*. Lecz serce znów mi przyspiesza. Turkusowa chmura wydobywa się z mojej piersi niczym dym z fajki. Powraca zapach rozmarynu i popiołu. Wrzaski płonącej dziewczyny...

Żar płomieni liże mi twarz. Piekący dym wypełnia płuca. Ogień przybliża się z każdą sekundą, odcina mi drogę ucieczki.

– *Pomocy!*

Padam na ziemię. Moje płuca wyrzucają kwaśne powietrze, a stopy są już w ogniu...

– *POMOCY!*

Szarpię za cugle. Lula z groźnym rykiem staje jak wryta.

Keja się odwraca.

– Co się dzieje?

Ukrywam drżące dłonie w sierści Luli. Mam coraz mniej czasu. Magia przybiera na sile.

Jest jak pasożyt żerujący na mojej krwi.

– Amari – wyrzucam z siebie. Gardło mnie pali, jakby wciąż był w nim dym. – Martwię się o nią. Spędziła całe życie w pałacu. Może jej się stać krzywda.

– Wiem. – Keja nadaje głosowi pocieszający ton. Ciekawe, czy w taki sam sposób rozmawia z ojcem, kiedy jemu puszczają nerwy. – Ale nie jest całkiem bezbronna. Król nie bez powodu zadbał, abyście oboje władali mieczem.

Zmuszam się do skinienia głową, udaję, że jej słucham. Znów spycham swoją klątwę w najdalszy zakamarek duszy. Ale choć magia słabnie, serce nadal wali jak młotem.

Moc żarzy się we mnie i drwi ze mnie.

Zabij ją, powtarzam sobie.

Zabiję dziewczynę. Zniszczę klątwę.

W przeciwnym razie...

Biorę głęboki wdech.

W przeciwnym razie jestem martwy.

ROZDZIAŁ 15



AMARI

Dawniej marzyłam o wspinaniu się.

Późnym wieczorem, kiedy wszyscy w pałacu leżeli już w łóżkach, biegłyśmy z Bintą korytarzami w blasku pochodni, ślizgając się po kafelkach, do komnaty wojennej ojca. Pochylałyśmy się z pochodnią nad ręcznie utkaną mapą Oriszy, która naszym młodym oczom wydawała się czymś bezkresnym. Myślałam, że kiedyś razem zwiedzimy ten świat.

Że tam, poza pałacem, znajdziemy szczęście.

Teraz, uczepiona stromego zbocza trzeciej od rana góry, nie rozumiem, jak mogłam chcieć wspinąć się wyżej niż na szczyt pałacowych schodów. Cała się lepę od potu, który przesiąka mój zgrzebny czarny bezrękawnik. Na moich plecach chmara brzęczących komarów urządza sobie prawdziwą ucztę, korzystając z tego, że brakuje mi wolnej ręki, aby się od nich opędzać.

Mamy za sobą kolejny dzień wędrówki, jak również, niebu dzięki, noc błogiego odpoczynku. Choć w głębi dżungli zrobiło się cieplej niż w Sokoto, Tzain i tak przykrył mnie swoją opończę, kiedy zasypiałam. Jesteśmy dobrze wyposażeni, więc nie musimy się martwić o jedzenie. Mięso lisielców i mleko kokosowe smakują prawie jak kura w przyprawach i herbata z pałacowej kuchni. Już myślałam, że będzie tylko lepiej, teraz jednak ledwie zipię.

Od rana wspięliśmy się tysiące metrów i widok na dżunglę w dole zapiera dech w piersiach. U naszych stóp korony drzew w różnych odcieniach zieleni rozciągają się aż po horyzont. Wśród tropikalnych zarośli wije się węzowato bystra rzeka, jedyne źródło wody w zasięgu wzroku. W miarę wspinaczki staje się coraz mniejsza i teraz widzimy już tylko cienką niebieską linię.

– Jak w ogóle cokolwiek może tutaj istnieć? – pytam między jednym a drugim głośnym oddechem. Nabieram powietrza, chwytam skałę nad głową i sprawdzam, czy nie jest obluzowana. Zanim się tego nauczyłam, kilka razy pozdzierałam sobie skórę na kolanach.

Podciągam się do góry i wsuwam bosą stopę w szczelinę. Mam ochotę się rozplakać, ale nie pozwalam sobie na słabość. Już dwa razy ukrywałam łzy przed resztą. Nie chcę znowu się wstydzić.

– Ona ma rację! – woła z tyłu Tzain. Szuka odpowiednio szerokiej półki dla Najli.

Lworożka jest nerwowa po tym, jak omal się nie ześlizgnęła z poprzedniej góry. Teraz wspina się ostrożnie szlakiem przetartym przez Tzaina.

– Przestańcie jęczeć! – krzyczy z góry Zélie. – To musi być gdzieś tutaj.

– Skąd wiesz? Widziałas to miejsce?

Przypominam sobie, jak w chacie Mamy Agby na chwilę ujrzeliśmy przyszłość. Tamta wizja miała w sobie coś magicznego. Kradzież pergaminu przez moment wydawała się dobrym pomysłem.

– Widzieliśmy, jak się wspinamy... – zaczynam.

– Ale czy ta legendarna świątynia też tam była? – draży Tzain. – To, że Mama Agba zobaczyła, jak wchodzimy pod górę, jeszcze nie oznacza, że Chândomblé naprawdę istnieje.

– Przestań mleć jęzorem i się wspinaj! – woła Zélie. – Zaufaj mi. Wiem, że istnieje.

Powtarza to z uporem od rana i tylko dlatego weszliśmy tak wysoko. Rzeczywistość i zdrowy rozsądek nie mają dla niej znaczenia. Tak bardzo chce wierzyć w istnienie tego miejsca, że w ogóle nie dopuszcza do siebie innej możliwości.

Spoglądam w dół, by odpowiedzieć Tzainowi, ale na widok rozpostartej trzy tysiące metrów niżej dżungli robi mi się słabo. Przywieram całym ciałem do stromej góry i zaciskam palce na sterczących z niej kamieniach.

– Hej! – woła Tzain. – Nie patrz w dół. Świetnie ci idzie.

– Kłamiesz.

Prawie się uśmiecha.

– Nie zatrzymuj się.

Kieruję wzrok do góry. Widzę już kolejną półkę skalną. Choć trzęsą mi się nogi, a krew huczy w skroniach, wdrapuję się wyżej. *Słodkie nieba, gdyby Binta mnie teraz widziała.*

Jej piękna twarz staje mi przed oczami w całej krasie. Po raz pierwszy od chwili jej śmierci wyobrażam ją sobie żywą i uśmiechniętą. Raz pewnego wieczoru w sali wojennej rozwiązała czepek i białe włosy spłynęły w dół jedwabistymi kaskadami.

„Co na siebie włożysz, kiedy przeprawimy się przez góry Olasimbo?” – spytała mnie żartem, gdy rozsunęłam przed nią plan wspólnej ucieczki nad morze Adetundzi. „Nawet gdybyś uciekła, królowa prędzej by padła trupem, niż pozwoliła ci nosić spodnie”. Złapała się za głowę i udała, że krzyczy, naśladowując piskliwy ton matki. Prawie się wtedy zmoczyłam ze śmiechu.

Teraz też się uśmiecham pomimo wszystko. Nie było takiego mieszkańca pałacu, którego Binta nie umiałaby sparodiować. Mój uśmiech gaśnie dopiero na myśl o naszych nieziszczonych marzeniach i planach. Myślałam, że uda nam się uciec tunelami w podziemiach pałacu. Miałyśmy się wymknąć i już nigdy nie wrócić. Wtedy to się wydawało takie proste, ale czy Binta od początku wiedziała, że to mrzonka?

Zadaję sobie to pytanie, gramoląc się na kolejną półkę. Jest płaska i na tyle szeroka, że można się na chwilę położyć wśród wysokiej trawy.

Opadam na kolana. Zélie też się kładzie, miażdżąc rosnące tutaj obficie czerwone i fioletowe opląty. Pochylam się i wdycham ich słodką woń. Bincie by się podobało.

– Możemy tu zostać? – pytam uspokojona korzennym zapachem tych kwiatów. Nie wyobrażam sobie dalszej wspinaczki. Wizja Chândomblé musi w końcu prysnąć.

Unoszę głowę i patrzę, jak Najla wdrapuje się na półkę, na której jestem. Chwilę później ukazuje się zlany potem Tzain. Gdy ściąga lepiący się do skóry bezrękawnik, odruchowo spuszczam wzrok. Ostatni raz oglądałam nagie

ciało chłopca, kiedy niańki kapały mnie i Inana.

Z wypiekami na policzkach uzmysławiam sobie, jak bardzo, dosłownie i w przenośni, oddaliłam się od pałacu. Choć prawo nie zabrania członkom rodziny królewskiej wiązać się z kosidanami – tak jak zabrania tego magom – matka wtrąciłaby Tzaina do więzienia za to, co przed chwilą zrobił.

Cofam się na siedząco, aby zwiększyć odległość między moimi czerwonymi policzkami a nagim ciałem Tzaina. I wtedy natrafiam ręką na coś twardego i pustego w środku.

Odwracam głowę i mój wzrok pada na pękniętą czaszkę.

– Nieba! – wołam. Zimny dreszcz podnosi mi włosy na karku.

Odsuwam się prędko, a Zélie podrywa się i błyskawicznie wysuwa kij.

– Co się stało?

Wskazuję palcem czaszkę na stercie połamanych kości. Dziura ziejąca nad jednym z oczodołów każe przypuszczać, że nikt tu nie zginął śmiercią naturalną.

– Myślicie, że on też próbował dotrzeć do Chândomblé? – pytam.

– Nie – odpowiada Zélie dziwnie stanowczym tonem. – Bardzo wątpię.

Spogląda z ukosa, po czym schyla się, żeby obejrzeć znalezisko z bliska. Wiatr robi się nagle zimniejszy. Zélie wyciąga rękę w stronę pękniętej czaszki. Ledwie muska ją palcami...

Wzdrygam się gwałtownie, bo tropikalny upał w jednej chwili ustąpił miejsca lodowatemu chładowi. Ziąb przenika mnie aż do szpiku kości, lecz trwa to jedynie sekundę. Zimno znika równie szybko, jak nastąpiło. Patrzymy po sobie osłupiałym wzrokiem.

– Yyy! – Zélie nabiera powietrza, jakby przywrócono jej życie. Chwyta się kurczowo kwiatów, zgniatając je w dłoniach.

– Na bogów, co to było? – pyta Tzain.

Zélie kręci głową, oczy ma wielkie jak spodki.

– Poczulałam go. To był jego duch... jego życie!

– Magia – myślę na głos. Ilekroć ją oglądam, czuję się rozdarta. Z jednej

strony przypominam sobie przestrogi ojca z dzieciństwa, z drugiej – ogarnia mnie podziw.

– Ruszajmy dalej! – Zélie już pędzi ku następnej stromiźnie. – Nigdy w życiu nie czułam czegoś tak silnego! Świątynia musi być blisko!

Podążam za nią, odrzucając strach, skupiając się na pragnieniu, by dotrzeć na samą górę. Podciągam się na ostatnią półkę – i nie wierzę własnym oczom. Chândomblé.

To naprawdę tutaj.

Cała wyżyna jest usiana stertami omszałych kamiennych bloków. Z oriszańskich świątyń i kaplic pozostały tylko gruzy. Tutaj, inaczej niż na dole, w dżungli i na wzgórzach, nie słychać świerszczy, ptaków ani komarów. Jediną oznaką, że dawniej istniało tu życie, są walające się pod naszymi nogami potrzaskane czaszki.

Zélie staje nad jedną z nich i choć tym razem nic się nie dzieje, marszczy brwi.

– Co się stało? – pytam.

– Ten duch... – Pochyla się. – On się budzi.

– Budzi? Gdzie? – Robię krok do tyłu i potykam się o kamień. Powiew zimna przeszywa mnie strachem, ale nie jestem pewna, czy naprawdę zrobiło się chłodniej, czy tylko mi się wydaje.

– Nie wiem. – Zélie drapie się po karku. – To miejsce wzmacnia moją aszê. Dosłownie czuję swoją magię.

Chcę spytać o coś jeszcze, lecz Zélie już się schyla i dotyka kolejnej czaszki.

Łapię się za serce; tym razem nie otacza nas lodowate zimno, lecz obraz nasycony złotym kolorem. Dookoła wyrastają wspaniałe świątynie i wieże, imponujące budowle upiększone schludnymi wodospadami. Wśród nich przechadzają się ciemnoskórzy mężczyźni, kobiety i dzieci w pięknych zamszowych szatach; ich skórę zdobią kunsztowne białe zawijasy oraz tajemnicze symbole.

I choć obraz trwa tylko przez jedno mgnienie, odciska się w mojej pamięci

i nakłada się na rumowisko dawnego miasta. Kiedyś Chândomblé tętniło życiem.

Dziś jest wymarłe.

– Jak myślisz, co się tutaj stało? – pytam Zélie, choć boję się, że znam odpowiedź. Ojciec zabił magię obecną w moim życiu. Dlaczego nie miałby uczynić tego samego reszcie świata?

Zélie nie odpowiada. Jej twarz tężeje z sekundy na sekundę – widzi coś więcej, czego ja nie widzę.

Z jej palców zaczyna się wydobywać łagodne fioletowe światło. Patrząc z narastającym zaciekawieniem, jak dziewczyna po raz pierwszy odkrywa swoje moce. Co jeszcze widzi? Choć myśl o magii wciąż przyprawia mnie o gęsią skórkę, trochę zazdroścę Zélie tego doświadczenia. Znowu staje mi przed oczyma tęcza, która wystrzeliła z rąk Binty.

– Patrzcie na to! – dobiega nas wołanie Tzaina.

Idąc za jego głosem, docieramy do jedynej ocalałej budowli na szczycie góry. Świątynia wznosi się wysoko ku niebu. Wybudowano ją nie z kamiennych bloków, ale z poczerniałego metalu, a żółte i różowe plamy pozwalają się domyślać, że kiedyś lśniła złotem. Boki porosły winoroślą i mchem, który częściowo zakrył wyryte na świątynnym fryzie niekończące się rzędy prastarych run.

Zélie podchodzi do wejścia bez drzwi, lecz Najla przestrzega ją cichym warknięciem.

– Spokojnie, mała. – Zélie całuje ją w nos. – Poczekaj tutaj, dobrze?

Najla chrząka i rozsiada się za stertą połamanych skalnych bloków, a my wchodzimy do środka. Aura magii jest tak gęsta, że nawet ja to czuję. Tzain przybliżyła się do Zélie. Gdy przesuwam ręką w powietrzu, magiczna energia przemyka mi przez palce jak ziarenka piasku.

Promienie wpadające przez pęknięty okrągły świetlik rozjaśniają wzory na kopule. Wzory te schodzą w dół ku rzędom kolumn ozdobionych kolorowym szkłem i błyszczącymi kryształami.

Czemu tego też nie zniszczyli? – zastanawiam się, wodząc palcem po

rzeźbieniach. Dziwne, że świątynia przetrwała. Niczym samotne drzewo pośrodku wypalonego lasu.

– Widzicie jakieś drzwi? – woła Tzain z drugiego końca.

– Nie – odpowiada mu Zélie.

Na dole w oczy rzuca się tylko dosunięty do tylnej ściany wielki posąg porośnięty kurzem i winoroślą. Podchodzimy do niego, a Tzain przesuwa dłońią po wytartym kamieniu. Posąg zdaje się przedstawiać starszą kobietę odzianą w bogate szaty. Na rzeźbionych białych włosach spoczywa złota korona – jedyny widoczny kawałek metalu bez jakiegokolwiek skazy.

– Czy to bogini? – pytam, przyglądając się statui z bliska. Przez całe swoje życie nie widziałam ani jednej podobizny bóstwa. Nikt by się nie ośmielił umieścić jej w pałacu. Prawdę mówiąc, spodziewałam się raczej czegoś w rodzaju królewskich portretów z pałacowych korytarzy. Ale choć posąg zmatowiał, roztacza królewską aurę, jakiej nie mają nawet najwspanialsze obrazy.

– Co to? – Tzain wskazuje palcem przedmiot w ręku kobiety.

– Wygląda jak róg. – Zélie podnosi rękę, żeby dotknąć zardzewiałego metalu. – Dziwne... Prawie go słyszę w mojej głowie.

– Co mówi? – pytam.

– To róg, Amari. Rogi nie mówią.

Oblewam się rumieńcem.

– A rzeźby nie wydają dźwięków – zauważam.

– Nie gadaj – ucisza mnie Zélie i chwyta róg oburącz. – Chyba próbuje mi coś przekazać.

Wstrzymuję oddech. Zélie marszczy brwi, a po kilku chwilach jej dłonie zaczynają świecić migotliwym srebrnym światłem. Róg też jaśnieje, karmi się jej aszê, wysysa z niej energię.

– Uważaj – ostrzega siostrę Tzain.

– Uważam – odpowiada mu, ale widzę, że drży. – Już niewiele brakuje. Prawie to mam...

U naszych stóp rozlega się przeciągły chrobot. Odwracam się z piskiem. To jedna z płyt w posadzce odsuwa się, odsłaniając otwór. W głębi widać kręte schody tonące w gęstych ciemnościach.

– Czy to bezpieczne? – pytam szeptem. Mroczne zejście przyprawia mnie o gęsią skórkę. Nachylam się i zaglądam do środka, lecz nie widzę tam żadnego światła.

Zélie wzrusza ramionami.

– To jedyna droga, jaką mamy.

Tzain wybiega na zewnątrz i wraca po chwili z osmaloną piszczelą owiniętą udartym kawałkiem opończy. Zélie i ja cofamy się odruchowo. Tzain mija nas i podpala strzęp tkaniny krzemieniem. Mamy pochodnię.

– Za mną! – odzywa się stanowczym głosem, który trochę mnie uspokaja.

Ruszamy po schodach w dół. Tzain idzie przodem. Blask płomienia oświetla nam stopnie, ale dalej nie sięga. Trzymam się ręką nierównej ściany i liczę oddechy. Wreszcie schodzę z ostatniego stopnia i w tej samej chwili otwór na górze zamyka się z ogłuszającym hukiem.

– Nieba!

Mój krzyk dźwięczy w ciemnościach. Rzucam się w stronę Zélie.

– Co teraz? – pytam roztrzęsiona. – Jak stąd wyjdziemy?

Tzain zaczyna wbiegać z powrotem po schodach, ale po chwili zastyga w bezruchu i nasłuchuje. Powietrze wypełnia się dziwnym sykiem. Parę sekund później gaśnie nam pochodnia. Tonimy w smolistej ciemności.

– Tzain! – woła Zélie.

Syk narasta. Uderza mnie ciepły podmuch. Nabieram powietrza i czuję, jak mięśnie mi słabną, a umysł zasnuwa się mgłą.

– Trucizna – dolatuje mnie zachrypły głos Tzaina. Chwilę później słyszę, jak upada z hukiem na ziemię.

Nie mam nawet czasu na strach, bo zaraz tracę przytomność.

ROZDZIAŁ 16



INAN

Gdy mój legion wkracza do Sokoto, osada pogrąża się w ciszy. Łatwo się domyślić przyczyny.

Jesteśmy jedynymi strażnikami w promieniu wielu kilometrów.

– Gdzie są patrole? – pytam Keję.

Tutejsza cisza jest ogłuszająca. Można by pomyśleć, że ci ludzie pierwszy raz widzą pieczęć Oriszy. Ojciec raczej nie puściłby im płazem takiego braku szacunku.

Zsiadamy z wierzchaczy na brzegu jeziora tak czystego, że odbija pobliskie drzewa jak zwierciadło. Lula zgrzyta zębami na gromadkę dzieci – pierzchają wystraszone – i podchodzi do wody, żeby się napić.

– Nie zakładamy posterunków przy takich osadach. To nie ma sensu, skoro mieszkańcy cały czas się zmieniają. – Keja odpina hełm, wiatr rozwiewa jej włosy.

Mam ochotę uczynić to samo, ale nie mogę odsłonić białej plamy.

Znajdź dziewczynę. Wdycham czyste, rześkie powietrze i próbuję choć na moment zapomnieć o białych włosach. W tej małej osadzie, z dala od skwaru i smogu Lagos, naprawdę można odetchnąć. Ożywczy powiew studzi uczucie gorąca, jakim wypełnia mnie od środka moja klątwa. Mimo to z bijącym sercem zerkam na tutejszych ibawitów.

Za bardzo się skupiłem na tym, jak skończyć z tą dziewczyną, a nie pomyślałem o tym, jak ona może skończyć ze mną.

Zaciskając palce na rękojeści miecza, przenoszę wzrok z ibawity na ibawitę. Magia tej dziewczyny wciąż pozostaje dla mnie zagadką. Jak się

obronię przed jej atakiem?

A jeśli ona walczy słowami? Ukłucie strachu przeszywa mnie na wskroś i znów czuję, jak wzbiera we mnie magia. Wystarczyłoby, że wskaże mój hełm i głośno nazwie przekleństwo, które pod nim ukrywam. Keja ujrzałaby białą smugę. Mój sekret wyszedłby na jaw...

Skup się, Inanie. Zamykam oczy, ściskam w dłoni ciepły pionek do sênetu. Muszę stanąć mocno na ziemi. Mam obowiązek do spełnienia. Oriszy wciąż grozi niebezpieczeństwo.

Liczę do dwudziestu, aby uporządkować rozbiegane myśli. Opieram dłoń na trzonku noża. Jeden celny rzut i żadna magia jej nie uratuje. Ostatecznie to przecież dziewczyna z krwi i kości.

Moje knowania są jednak bezcelowe, ponieważ dziewczyny tu nie ma. Choć napotykam wiele nieprzyjaznych spojrzeń ibawitów, nigdzie nie widzę jej srebrnych oczu.

Zdejmuję rękę z noża. Coś we mnie przygasa, ale sam nie wiem co.

Ulga miesza się z rozczarowaniem.

– Weźcie te portrety – instruuje żołnierzy Keja. Każdemu z dziesięciu strażników wręcza zwinięty pergamin z namalowanym wizerunkiem dziewczyny. – Dowiedzcie się, czy ktoś widział ją albo chociaż lworożca. One są rzadkością tak blisko wybrzeża. – Potem odwraca się do mnie. Jej zaciśnięte usta świadczą o determinacji. – My zajmiemy się kupcami. To pierwsze miejsce, w którym nasi uciekinierzy mogli się zaopatrzyć, o ile faktycznie wyruszyli na południe.

Kiwam twierdząco głową i próbuję się odprężyć, ale przy Kei nie jestem w stanie. Nic nie uchodzi jej uwagi; chwyta wzrokiem każdy ruch, łowi uchem każdy dźwięk.

Podążam za nią, coraz bardziej wyczerpany duszeniem w sobie magii. Żelazna zbroja ciąży mi jak ołów. Choć Keja idzie wolno, nie mogę dotrzymać jej kroku. Zostaję w tyle. Pochylam się, rękę opieram na kolanach. *Muszę tylko chwilę odsapnąć...*

– Co robisz?

Podrywam się nerwowo. Odcień złości w głosie Kei pobudza moją klątwę.

– Sz-szałasy. Przyglądałem się im. – Wskazuję gestem schronienia wędrowców, jakże różne od naszych namiotów, które wznosimy z prętów i skór.

Jest coś zaskakująco praktycznego w tych prostych budowlach z gałęzi obtykanych mchem. Można by je z powodzeniem zastosować w armii.

Keja mruży oczy.

– Teraz nie czas na to. Skup się na zadaniu.

Odwraca się i rusza jeszcze szybciej, jakby chciała nadrobić kilka straconych sekund. Znów podążam za nią, lecz gdy zbliżamy się do wozów, moją uwagę przykuwa krępa kobieta. W odróżnieniu od innych koczowników nie łapie w naszą stronę. Jakby w ogóle nas nie dostrzegała. Cała jej uwaga skupia się na zawiniątku, które tuli w ramionach.

Moja klątwa wyrywa się na zewnątrz niczym tłumione kichnięcie. Uczucia tej matki – płomień gniewu, przebłyski strachu – uderzają mnie jak siarczyste policzki. Przede wszystkim jednak wyczuwam w niej drapieżną opiekuńczość, jak u samicy lampartusa strzegącej małego. Wszystko staje się jasne, gdy zawiniątko zaczyna płakać.

Dziecko...

Przenoszę wzrok z kasztanowej skóry na ostry kamień w zaciśniętej dłoni kobiety. Jej strach przenika mnie na wskroś, ale jeszcze mocniej odczuwam jej determinację.

– Inanie!

Ruszam szybko za Keją. Dopiero przy wozach oglądam się w stronę kobiety – dusząc w sobie klątwę, która pali mnie od wewnątrz. Czego ta kobieta się lęka? Dlaczego miałbym się zainteresować jej dzieckiem?

– Poczekaj. – Zatrzymuję Keję przy wozie zaprzężonym w jednorogie gepardony.

Cętkowane bestie przypatrują mi się pomarańczowymi ślepiami. Z ich czarnych pysków wyglądają ostre kły.

– Co?

Nad wejściem wisi turkusowa chmura, większa od tych, które widziałem wcześniej.

– Tu jest szeroki asortyment – zauważam niby od niechcienia.

I słony morski zapach duszy tej dziewczyny.

Choć opieram się swojej magii, nie potrafię zagłuszyć woni ibawitki. Gdy wchodzę po schodkach do wnętrza wozu, ukazuje mi się przed oczami cała jej postać; w słońcu Sokoto jej ciemna skóra promienieje blaskiem.

Widzenie trwa tylko chwilę, ale to wystarcza, żeby przyprawić mnie o skurcz w żołądku. Magia pasie się moją krwią niczym pasożyt. Poprawiam hełm.

– Witam, witam!

Szeroki uśmiech spływa z ciemnej twarzy starego handlarza jak mokra farba. Opiera się rękoma o ściany wozu.

Keja podtyka mu przed nos pergamin z podobizną.

– Widziałeś tę dziewczynę?

Kupiec mruży oczy, przeciera okulary brzegiem koszuli. Bez pośpiechu.

Gra na zwłokę.

– Nie przypominam sobie.

Na jego czole pojawiają się kropelki potu. Zerkam na Keję; ona też to spostrzegła.

Nie trzeba magii, by poznać, że ten głupiec kłamie.

Rozglądam się po sklepie, umyślnie przewracając towary. Chowam do kieszeni flakonik czarnej farby w kształcie łyży.

Kupiec stoi nieruchomo. Zbyt nieruchomo jak na kogoś, kto nie ma nic do ukrycia. Gdy podchodzę do jednej z drewnianych skrzyń, cały się spina. Mocnym kopniakiem rozwalam skrzynię, odsłaniając żelazną szkatułę.

– Nie...

Keja przypiera handlarza do ściany i dokładnie go przeszukuje. Rzuca mi pęk kluczy. Sprawdzam, czy któryś z nich pasuje do zamka szkatuły. *Jak śmiał mnie okłamać!*

W końcu zamek ustępuje i podnoszę wieko. Spodziewam się jakiegoś dowodu winy handlarza, lecz na pewno nie... diademu Amari.

Serce mi zamiera.

Na chwilę wracam pamięcią do czasów naszego dzieciństwa. Przypominam sobie dzień, w którym pierwszy raz miała go na głowie. I moment, kiedy ją okaleczyłem...

Owijam się zastoną w pałacowym szpitalu. Z najwyższym wysiłkiem tłumię szloch. W tym czasie lekarze obnażają plecy Amari. Głęboka, czerwona, obficie krwawiąca rana przecina plecy na ukos. Aż mnie skręca na ten widok.

– Przepraszam – szlocham w zastonę, krzywiąc się od krzyków Amari, gdy lekarze wbijają jej igły. – Przepraszam – chcę jej powiedzieć. – Obiecuję, że nigdy więcej cię nie skrzywdzę!

Ale żadne słowo nie wychodzi z moich ust.

Moja siostra leży na łóżku. Krzyczy wniebogłosy.

Modli się o koniec swoich cierpień.

Parę godzin później leży otepiata. Nie ma nawet siły mówić. Gdy jęczy, jej służąca Binta kładzie się obok i szepcze jej coś do ucha – i Amari jakimś cudem się uśmiecha.

Patrzę i nasłuchuję. Binta potrafi się nią zaopiekować jak nikt inny. Uśpiwszy ją melodyjnym śpiewem, bierze stary, wyszczerbiony diadem naszej matki i umieszcza go na głowie Amari...

Amari nie rozstawała się z tym diademem. W tej jednej sprawie odniosła nad matką zwycięstwo. Trzeba by gorylioną, żeby jej go zerwać z głowy.

Skoro ten diadem jest tutaj, musi to oznaczać, że Amari nie żyje.

Odpycham Keję i przystawiam kupcowi miecz do szyi.

– Inanie...

Uciszam ją gestem. To nie czas na służbistość.

– Skąd to masz? – pytam.

– O-od dziewczyny! – charczy kupiec. – Sprzedała mi to wczoraj!

Chwytam pergamin z portretem.

– Ona?

– Nie. – Mężczyzna potrząsa głową. – Była z nią inna. Miała miedzianą cerę. Jasne oczy... jak twoje, panie!

Amari.

A więc żyje.

– Co kupiły? – wtrąca się Keja.

– Miecz, bukłaki... Chyba planowały jakąś wyprawę... Może do dżungli.

Keja robi wielkie oczy. Wrywa mi pergamin z ręki.

– Pewnie do świątyni. Chândomblé.

– Czy to daleko stąd?

– Cały dzień jazdy, ale...

– Ruszajmy. – Biorę diadem i kieruję się do wyjścia. – Może je dogonimy. Musimy się pospieszyć.

– Poczekaj! – woła Keja. – Co z nim?

– Błagam – mówi drżącym głosem kupiec. – Nie wiedziałem, że to kradzione! Płacę wszystkie podatki. Jestem lojalnym poddanym króla!

Patrzę na tego żalosnego człowieczka i nie mogę się zdecydować.

Wiem, co powinienem rzec.

Wiem, co by zrobił ojciec.

– Inanie? – Keja kładzie rękę na mieczu, ale to ja muszę wydać rozkaz. Nie mogę okazać słabości. *Obowiązek nade wszystko.*

– Błagam! – Kupiec chwyta się mojego wahania jak tonący deski. – Weźcie mój wóz. Weźcie, co tylko chcecie...

– Za dużo widział... – stwierdza Keja.

– Chwila – rzucam przez zęby. Krew tętni mi w skroniach. W pamięci stają spalone trupy z Ilorinu. Swąd ciała. Płacz dziecka.

Zrób to, mówię sobie w duchu. Nasze królestwo więcej jest warte niż jedno życie.

Ale zbyt wiele przelano już krwi. Zbyt wiele krwi rozlano przeze mnie...

Nagle kupiec rzuca się do wyjścia. Jedną ręką chwyta się już framugi.
A potem – eksplozja czerwieni.

Krew bryzga na mój pancerz.

Handlarz osuwa się z hukiem.

W jego karku tkwi nóż Kei.

Drżącymi ustami po raz ostatni nabiera powietrza i wykrwawia się w ciszy.
Keja schyla się i wyciąga nóż ruchem ogrodnika zrywającego idealną różę.
Staje nad trupem i wyciera ostrze.

– Nie możesz pobłażać tym, którzy wchodzą ci w drogę, Inanie. Zwłaszcza tym, którzy za dużo wiedzą.

ROZDZIAŁ 17



AMARI

Uchylam powieki. Mgła spowijająca mi umysł powoli się unosi. W mojej wyobraźni teraźniejszość miesza się z przeszłością. Przez chwilę mam przed sobą srebrny połysk oczu Binty.

Lecz zaraz widzę już tylko migotliwy blask świec na kamiennych ścianach. Obok mojej stopy przebiega jakiś gryzoń. Podskakuję w popłochu i dopiero teraz spostrzegam, że jestem skrepowana – przywiązana do Tzaina i Zélie mocnym sznurem.

– Amari? Tzain? – odzywa się półprzytomnym głosem Zélie. Wierci się, szarpie, ale sznur nie chce ustąpić.

– Co się stało? – mamrocze Tzain. Próbuje zerwać więzy, lecz nawet jego siła okazuje się niewystarczająca.

Przez moment w grocie słyhać tylko jego postękiwania. Potem dobiega nas inny odgłos. Ktoś się zbliża.

– Twój miecz – szepcze Zélie. – Dosięgniesz go?

Sięgam za siebie, szukając palcami rękojeści, ale jej tam nie ma.

– Ktoś mi go zabrał – odpowiadam cicho. – Wszystko zniknęło!

Rozglądamy się w ciemności, wypatrując mosiężnej rękojeści mojego miecza, błysku kija Zélie. Ktoś nam wszystko zabrał. Nie mamy nawet...

– Pergaminu? – rozlega się niski głos.

Cała sztywnieję. W blasku świec pojawia się mężczyzna w średnim wieku w zamszowym okryciu bez rękawów. Jego ciemną skórę znaczą zawile białe wzory.

Zélie wciąga powietrze.

– Sêntaro...

– Co to znaczy? – pytam.

– Kto tam? – rzuca groźnie Tzain. Wyteża wzrok, wychyla się do przodu i błyska złowrogo zębami, napinając więzy.

Ale tajemniczy mężczyzna nawet nie mrugnie.

Opiera się na lasce wyciosanej z kamienia, z uchwytem w kształcie ludzkiej twarzy. W jego złotych oczach płonie jakiś gniew. Długo stoi nieruchomo, by nagle w jednej chwili doskoczyć do nas. Zélie wzdryga się, gdy sięga po kosmyk jej włosów.

– Proste – stwierdza cicho, jakby z nutą rozczarowania. – Dlaczego?

– Zabieraj od niej łapy! – krzyczy Tzain.

I choć nie jest w stanie w żaden sposób zagrozić mężczyźnie, ten zostawia Zélie w spokoju. Wyciąga pergamin zza wstęgi, która opasuje mu szatę, i mruży złote oczy.

– Ten zwój lata temu odebrano mojemu ludowi – przemawia z ciężkim akcentem, niepodobnym do żadnych znanych mi oriszańskich dialektów.

Wpatruję się w rozwinięty pergamin i rozpoznaję na nim kilka spośród symboli wytatuowanych na jego skórze.

– Został nam skradziony. – W tonie mężczyzny pobrzmiwa złość. – Nie uda wam się ukraść go znowu.

– To pomyłka – wyrywam się. – Nie po to przyszlismy!

– Tamci mówili to samo. – Patrzy na mnie i marszczy nos. – Śmierdzisz ich krwią.

Instynktownie się cofam, przywieram do ramion Tzaina. Widzę w spojrzeniu tego człowieka nienawiść, wobec której czuję się bezbronna.

– Ona mówi prawdę – odzywa się stanowczo Zélie. – My jesteśmy inni. Przysłali nas bogowie. Drogę wskazała nam Jasnowidzka!

Mama Agba... Przypominam sobie jej pożegnalne słowa. Mam ochotę zawołać: „Zostaliśmy wybrani!”. Choć zarazem, o paradoksie, wołałabym nie

mieć z tym pergaminem nic wspólnego.

Sêntaro rozdyma nozdrza. Unosi ręce i powietrze gęstnieje od groźnej magii. *Chce nas zabić...* Moje serce tłucze się o żebra. Oto smutny koniec naszej wyprawy.

W uszach dźwięczy mi ojcowska przestroga sprzed lat: „Nie mamy szans w konfrontacji z magią”. W starciu z nią jesteśmy bezbronni.

W starciu z magią jesteśmy martwi.

– Widziałam, jak to miejsce wyglądało dawniej – wyrzuca z siebie prędko Zélie. – Widziałam wieże i świątynie, i sêntaro podobnych do ciebie.

Mężczyzna powoli opuszcza ręce. Zélie udało się go zainteresować. Proszę nieba, by znalazła właściwe słowa.

– Wiem, że przyszli tutaj i wszystko zniszczyli. To samo spotkało mnie. I tysiące ludzi, którzy wyglądają jak ja – mówi łamiącym się głosem.

Czuję, jak Tzain sztywnieje za moimi plecami. Zamykam oczy. Wiem, o czym mówi Zélie. Na samą myśl robi mi się sucho w gardle. Miałam rację.

Ojciec zburzył to miejsce.

Przypominam sobie rumowiska, popękane czaszki, surowy wyraz twarzy Zélie. Spokojną wioskę Ilorin trawioną przez ogień. Łzy na policzkach Tzaina.

Kaskada światła z dłoni Binty, piękniejsza nawet niż promienie słońca, wypełnia mój umysł. Gdzie bym teraz była, gdyby ojciec pozwolił jej żyć? Jak wyglądałaby Orisza, gdyby dał szansę tym magom?

Przytłoczona ciężarem hańby mam ochotę schować się w sobie. Mężczyzna znów unosi ręce.

Zaciskam oczy, szykując się na ból...

I wtedy sznury znikają. Zamiast nich pojawiają się nasze rzeczy.

Wciąż jeszcze nie mogę dojść do siebie, a tymczasem tajemniczy człowiek odchodzi, podpierając się laską. Gdy wstajemy, wypowiada prosty rozkaz:

– Idźcie za mną.

ROZDZIAŁ 18



ZÉLIE

Kamienne ściany ociekają strużkami wody. Złote świece łagodnym blaskiem rozświetlają ciemność. Wędrujemy w głąb wielkiej góry wśród miarowego stukotu laski naszego przewodnika. Stąpając po chłodnej skale, przyglądam się temu człowiekowi, wciąż nie mogąc uwierzyć, że mam przed sobą prawdziwego sêntaro. Przed Obławą tylko przywódcy dziesięciu klanów dostępowali zaszczytu spotkania z nimi w tym życiu. Mama Agba spadnie z krzesła, kiedy jej opowiem.

Wpycham się przed Amari, żeby iść bliżej sêntaro i móc się lepiej przyjrzeć znakom na jego karku. Poruszają się przy każdym kroku, tańczą z cieniami rzucanymi przez świece.

– Nazywają się sênbaría – informuje mnie mężczyzna, jakby wyczuł moje zaciekawione spojrzenie. – To język bogów, stary jak sam czas.

A więc tak to wygląda. Pochyliam się nieco, podziwiam symbole, z których w końcu zrodził się język joruba, język naszych zaklęć.

– Są piękne.

Mężczyzna kiwa głową.

– Jak wszystko stworzone przez Niebiańską Matkę.

Amari otwiera usta i zaraz je zamyka, jakby się zreflektowała. Coś się we mnie buntuje, kiedy patrzę, jak idzie tym korytarzem, podziwiając rzeczy dostępne jedynie najpotężniejszym magom w dziejach.

Po chwili chrząka i jednak się odzywa:

– Przepraszam... Czy masz imię?

Sêntaro odwraca się i marszczy nos.

– Każdy ma imię, dziecko.

– Oj, nie chciałam...

– Lekan – przerywa jej. – Olamilekan.

Te pięć sylab pobudza najdalsze zakamarki mojego mózgu.

– Olamilekan – powtarzam. – „Moje bogactwo... się pomnaża”?

Lekan patrzy na mnie tak, jakby zaglądał mi w głąb duszy.

– Pamiętasz naszą mowę?

Kiwam głową.

– Troszeczkę. Mama mnie uczyła, jak byłam mała.

– Matka była Żniwiarką?

Z wrażenia rozdziawiam usta. Nie da się rozpoznać mocy maga na podstawie samego wyglądu.

– Skąd wiesz?

– Czuję – odpowiada Lekan. – W twoich żyłach płynie krew Żniwiarki.

– Czy potrafisz wyczuć magię w ludziach, którzy nie są magami ani ibawitami? – To pytanie samo wymyka mi się z ust. Myślę o Inanie. – Czy kosidanie też mogą mieć magię we krwi?

– My, sêntaro, nie czynimy takich rozróżnień. W świecie bogów nie ma rzeczy niemożliwych. Liczy się jedynie wola Niebiańskiej Matki.

Odwraca się, zostawiając mnie bez odpowiedzi, za to z kolejnymi pytaniami. Dlaczego wolą Niebiańskiej Matki było, aby Inan próbował mnie udusić?

Staram się o nim zapomnieć. Wreszcie – mam wrażenie, że przeszliśmy tunelami już co najmniej kilometr – Lekan wprowadza nas do wydrążonej w górskim szczycie rozległej i ciemnej kopuły. Unosi dłonie z takim samym namaszczeniem jak wcześniej i powietrze zaczyna wibrować duchową energią.

– Ìmòlè àwòn òrìshà. – Inkantacja w języku joruba płynie z jego warg jak woda. – Tàn sí mi ní kíá báàyí. Tàn ìmòlè sí ìpàsè awòn omò rẹ!

Wszystkie płomienie na ścianach gasną w jednej chwili, podobnie jak wcześniej pochodnia Tzaina. Zaraz jednak rozbłyskują z wielokrotnie większą siłą, rozjaśniając każdy skrawek kamiennej sali.

– Och...

– Ach...

– Bogowie...

Kopułę zdobi malowidło tak cudowne, że brak mi słów. Każdy metr kamienia pokrywają kolorowe freski przedstawiające dziesięciu bogów, dziesięć klanów i wszystko, co pomiędzy. Przypominam sobie skromne podobizny bogów sprzed Obławy, ukrywane tu i ówdzie obrazy, gobeliny wyjmowane tylko pod osłoną nocy. Były jak pojedyncze promyki światła. A to malowidło jest jak samo słońce.

– Co to? – pyta Amari, obracając się wkoło, próbując ogarnąć wzrokiem całe sklepienie.

Lekan przyzywa nas gestem. Ciągnę Amari za sobą, pilnując, żeby się nie przewróciła. Lekan przykładą ręce do kamiennej ściany i dopiero wtedy odpowiada:

– Narodziny bogów.

W jego złotych oczach zapalają się iskry, z dłoni wypływa jasna energia i rozlewa się po freskach, ożywiając namalowane postacie.

– Nieba! – woła Amari, ściskając mój nadgarstek, gdy obrazy pod wpływem światła i magii zaczynają się ruszać.

– Na początku Niebiańska Matka stworzyła niebo i ziemię, tchnęła życie w bezkresną ciemność. – Z dłoni kobiety, w której rozpoznaję posąg z górnego piętra świątyni, wystrzeliwują snopy rześistego światła. Jej purpurowa szata leje się jedwabście, a dookoła budzą się nowe światy. – Na ziemi Niebiańska Matka stworzyła ludzi, swoje dzieci, z krwi i kości. W niebie zrodziła bogów i boginie. Każde z tych bóstw ucieleśniało inny fragment jej duszy.

Znam tę historię, opowiadała mi ją Mama, lecz nigdy przedtem nie wydawała mi się tak prawdziwa jak w tej chwili. Teraz wykracza poza sferę

mitów i legend, jest zapisem dziejów. Z szeroko otwartymi oczami i ustami patrzymy, jak ludzie i bogowie wyłaniają się jeden po drugim z Niebiańskiej Matki. Ci pierwsi lądują na brązowej ziemi, drudzy unoszą się wśród chmur.

– Niebiańska Matka kochała wszystkie swoje dzieci stworzone na własny obraz i podobieństwo. Aby nas połączyć, udzieliła bogom swoich darów i tak narodzili się pierwsi magowie. Każde bóstwo otrzymało część jej duszy, magię, którą miało podarować ludziom na ziemi. Jemōdza, obdarzona łzami z oczu Niebiańskiej Matki, stała się boginią wody.

Olśniewająco piękna ciemnoskóra bogini o intensywnie błękitnych oczach zrzuca na świat pojedynczą łzę, która rozpryskuje się, tworząc oceany, jeziora i strumienie.

– Jemōdza dała swojemu ludzkiemu rodzeństwu wodę, uczyła swoich wyznawców panowania nad tym żywiołem, a oni pilnie zgłębiali tajniki swej siostrzanej bogini, aż morze stało się ich sługą.

Narodziny Falunów, przypominam sobie nagle. W górze malowani członkowie klanu Omi kierują strumieniami wody, które tańczą pod ich dyktando.

Lekan opowiada nam kolejno o początkach każdego z bogów, o jego mocach i związanym z nim klanie magów. Słuchamy o Sàngó, który wziął z serca Niebiańskiej Matki ogień i stworzył z niego Ogniarzy. Słuchamy o Ajao, która z oddechu Niebiańskiej Matki wzięła powietrze i stworzyła Tajfunów. Gdy dochodzimy do ostatniego, dziesiątego bóstwa, Lekan zamiast przemówić, zwraca się w moją stronę z wyczekującym spojrzeniem.

– Teraz ja?

Z rękoma lepkiemi od potu zajmuję miejsce Lekana. Tę historię znam najlepiej ze wszystkich, Mama opowiadała mi ją tyle razy, że nawet Tzain nauczył się jej na pamięć. Tylko że wtedy to była legenda, fantastyczna wizja, którą przed naszymi młodymi oczami roztaczali dorośli. Dziś po raz pierwszy ta opowieść wydaje mi się czymś prawdziwym, mocno wplecionym w moją najgłębszą istotę.

– Inaczej niż jej siostry i bracia, Oja cierpliwie czekała – mówię głośno. – Nie zabrała nic Niebiańskiej Matce, lecz poprosiła ją, żeby sama coś jej dała.

Patrzę, jak moja siostrzana bogini, potężna i piękna, sunie gładko niczym huragan. Klęka przed swoją matką, jej czerwone szaty powiewają. Ten widok na chwilę odbiera mi mowę. W jej pozie wyczuwam siłę, jakby pod czarną skórą gotowała się burza.

– Za jej cierpliwość i mądrość Niebiańska Matka nagrodziła Oję władzą nad życiem – ciągnę. – Ale kiedy Oja podzieliła się swoim darem z wyznawcami, jej moc zmieniła się we władzę nad śmiercią.

Tętno mi przyspiesza na widok Żniwiarzy z klanu Ikú – z mojego klanu – demonstrujących swoje śmiercionośne talenty. Ich cienie i duchy szybują pod malowanym sklepieniem, na czele armii umarłych obracają życie w popiół.

Ten magiczny pokaz przenosi mnie na chwilę do czasów, kiedy mieszkałam w Ibadanie i patrzyłam, jak nowo wybrani starsi dowodzą swych umiejętności przed członkami klanu. Mamę też wybrano; pamiętam wrażenie, jakie zrobiły na mnie wirujące wokół niej czarne cienie śmierci. Ich taniec jednocześnie przerażał mnie i zachwycał.

W tamtej chwili było dla mnie jasne, że już nigdy nie ujrzę niczego piękniejszego. Miałam tylko nadzieję, że kiedyś do niej dołączę. Chciałam, żeby ona też była ze mnie dumna, tak jak ja byłam dumna z niej.

– Przepraszam – mówię przez ściśnięte gardło.

Lekan kiwa głową ze zrozumieniem i podejmuje opowieść:

– Oja pierwsza zorientowała się, że nie wszystkie jej dzieci potrafią udźwignąć tak wielką moc. Zaczęła być ostrożniejsza, dzieliła się swoim darem tylko z tymi, których cechowały cierpliwość i mądrość. Jej rodzeństwo wzięło z niej przykład i wkrótce liczba magów spadła. Nastąpiła nowa era, w której wszyscy magowie byli wyróżnieni białymi lokami na cześć Niebiańskiej Matki.

Rumienię się i odruchowo odgarniam proste włosy do tyłu. Nie wiem, czy jestem mądra, lecz na pewno żaden bóg nie nazwałby mnie cierpliwą...

Wzrok Lekana zatrzymuje się na ostatniej scenie odmalowanej na sklepieniu kopuły: mężczyźni i kobiety z wytatuowanymi białymi znakami klęczą rozmodleni.

– Aby chronić wolę bogów na tej ziemi, Niebiańska Matka stworzyła mój lud, sêntaro. Pod wodzą Mamaláwy pełniemy funkcję duchowych strażników, pielęgnujemy więź między duchem Niebiańskiej Matki a ziemskimi magami.

Przerywa, gdy jedna z kobiet na fresku wznosi się ponad resztę sêntaro; w jednej ręce trzyma sztylet z kości słoniowej, w drugiej świecący kamień. Podobnie jak jej bracia i siostry jest ubrana w skórzane szaty, ale na jej głowie spoczywa misternie zdobiony diadem.

– Co ona ma w ręku? – pytam.

– Kościany sztylet – odpowiada Lekan, wyjmując taki sam ze swojej szaty. – Święta relikwia wyciosana ze szkieletu pierwszego sêntaro. – Sztylet wydaje się tonąć w błękitnawej poświacie, rozacza dookoła energię zimną jak lód. Na rękoności lśnią sênbaría, te same co na rękach Lekana. – Jego właścicielka czerpie siłę z energii życiowej wszystkich poprzednich właścicieli. W prawej ręce Mamaláwa dzierży kamień słoneczny, żywy fragment duszy Niebiańskiej Matki. Ten kamień, przez to, że zawiera w sobie ducha Niebiańskiej Matki, łączy ją ze światem, chroni jej magię. Raz na sto lat Mamaláwa zanosila kamień, sztylet i pergamin do przenajświętszej świątyni, by odprawić rytuał odnowienia więzi. Upuszczając sobie krew sztyletem i wykorzystując moc zaklętą w kamieniu, pieczętowała duchową łączność bogów z krwią sêntaro. Dopóki żył nasz ród, żyła też magia.

Mamaláwa na fresku intonuje magiczną formułę, a jej słowa tańczą po sklepieniu jako malowane symbole. Kościany sztylet ocieka jej krwią. Blask kamienia słonecznego zalewa całe malowidło.

– A więc Mamaláwa nie odprawiła rytuału? – zastanawia się na głos Tzain, całkiem nieruchomy, ze wzrokiem utkwionym martwo we freskach. – To dlatego magia umarła?

Choć powiedział „magia”, usłyszałam „mama”.

To dlatego nie mogła się obronić.

To dlatego król mi ją odebrał.

Iskra w oczach Lekana gaśnie wraz z malowidłem. Ruchome obrazy w jednej chwili zmieniają się z powrotem w zwykłą farbę.

– Rzeź magów, czyli Obława, jak ją nazywają wasi ludzie, nie była dziełem przypadku. Zanim wyruszyłem na pielgrzymkę, wasz król wtargnął do świątyń Chândomblé, zarzucając nam bałwochwalstwo. Tak naprawdę tylko szukał broni, którą mógłby wykorzystać przeciwko bogom. – Lekan odwraca twarz i przez chwilę w blasku świec widzimy jedynie znaki na jego ramionach. Zdają się kurczyć, kiedy tak stoi zgarbiony i wyraźnie cierpiący. – Dowiedział się – mówi dalej – o rytuale, o związku oriszańskiej magii z krwią sêntaro. Zanim wróciłem, zdążył wyrznać mój lud i przeciąć łączność Niebiańskiej Matki z naszym światem, pozbawić go magii.

Amari zakrywa usta dłonią; po różowych policzkach ciekną jej łzy. Trudno mi pojąć, jak jeden człowiek może się dopuścić tylu okrucieństw. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym była jego córką.

Lekan zwraca się ponownie w naszą stronę i nagle uzmysławiam sobie, że nigdy nie zrozumiem jego samotności, jego bólu. Ja po Obławie miałam przynajmniej Tzaina i Babę. Jemu zostały tylko szkielety; martwe ciała i milczący bogowie.

– Masakry, których dokonał Saran, były starannie zaplanowane. Gdy na tej podłodze konali moi ludzie i umierała magia, wysłał swoich strażników, aby wymordowali waszych magów.

Zamykam oczy i odpycham od siebie krwawe obrazy zapamiętane z Obławy.

Krzyk Baby, któremu strażnik łamie rękę.

Widok Mamy próbującej zerwać z siebie czarny majacytowy łańcuch.

Mój ryk, gdy ją zabierają.

– Dlaczego nic nie zrobili?! – Tzain się unosi. – Dlaczego nie powstrzymali Sarana?

Kładę mu rękę na ramieniu i lekko je ściskam. Znam mojego brata. Wiem, że ta złość ukrywa ból.

– Zadaniem mojego ludu jest ochrona ludzkiego życia. Nie wolno nam go nikomu odbierać.

Przez długą chwilę stoimy w ciszy przerywanej tylko szlochaniem Amari.

Patrząc na ścienne malowidła i zaczynam rozumieć, że ci, którzy chcą nas stłamsić, nie cofną się przed niczym.

– Ale teraz magia wróciła, prawda? – Amari ociera wilgotne oczy. Tzain podaje jej strzęp udarty ze swojej opończy, ale ten gest wywołuje u niej tylko nowe łzy. – Pergamin podziałał na Zélie i Mamę Agbę. Przemienił też moją przyjaciółkę. Jeżeli pokażemy go wszystkim ibawitom w Oriszy... Czy to nie wystarczy?

– Mordując sêntaro, Saran przerwał starą łączność między magami a bogami. Pergamin umożliwia nawiązanie nowej łączności, ale żeby ją utrwalić i przywrócić magię na stałe, musimy odprawić święty rytuał. – Lekan z nabożeństwem wyjmuje zwój pergaminu. – Przez lata bezskutecznie poszukiwałem trzech świętych artefaktów. W końcu udało mi się odzyskać kościany sztylet, ale chwilami traciłem nadzieję, że odnajdę pozostałe. Bałem się, że Saran zdołał je zniszczyć.

– Wydaje mi się, że one są niezniszczalne – zauważa Amari. – Admirał mojego ojca miał się pozbyć pergaminu i kamienia, ale mu się nie udało.

– Nie udało mu się, ponieważ artefaktów nie da się zniszczyć ludzką ręką. Powstały dzięki magii i tylko magia może je unicestwić.

– A więc nie wszystko stracone? – odzywam się. – Nadal możemy odrodzić magię?

Lekan po raz pierwszy się uśmiecha. W jego złotych oczach dostrzegam błysk nadziei.

– Zbliża się tysięczna rocznica darów Niebiańskiej Matki dla ludzkości. To ostatnia szansa, by naprawić nasze błędy. Ostatnia szansa, by uratować magię.

– Jak? – pyta Tzain. – Co trzeba zrobić?

Lekan rozwija pergamin i przebiega wzrokiem po tajemnych znakach.

– Raz na sto lat, w solstycjum, u północnych wybrzeży morza Orinion ukazuje się święta wyspa. Mieści się na niej świątynia naszych bogów. Musimy udać się tam z pergaminem, kamieniem słonecznym i kościanym sztyletem i wypowiedzieć zapisane na pergaminie pradawne zaklęcie. Dopełniając rytuału, będziemy mogli stworzyć nowych pośredników

i odnowić łączność, zapewnić istnienie magii przez kolejnych sto lat.

– I wtedy każdy ibawita stanie się magiem? – pyta Amari.

– Jeżeli rytuał dopełni się przed solstycjum, każdy ibawita, który skończy trzynaście lat, zostanie przemieniony.

Solstycjum, powtarzam sobie w myślach, obliczając, ile mamy czasu. Letni egzamin u Mamy Agby wypada zawsze w półksiężyc, po corocznym połowie ryby tygryziej. Jeśli solstycjum się zbliża...

– Zaraz! – woła Tzain. – To za niecały miesiąc!

– Co? – Serce mi zamiera. – A jeśli nie zdążymy?

– Wówczas Orisza już nigdy nie ujrzy magii.

Czuję nagły skurcz w żołądku, jakby zepchnięto mnie w przepaść. *Tylko miesiąc? A potem koniec?*

Tzain kręci głową.

– Ale przecież magia już wraca. Dzięki temu pergaminowi. Musimy z nim tylko dotrzeć do wszystkich ibawitów...

– To się nie uda – przerywa mu Lekan. – Sam pergamin nie połączy nikogo z Niebiańską Matką. Wskrzesza jedynie połączenie z siostrzanym bóstwem. Bez rytuału magia nie przetrwa. Trzeba koniecznie odnowić łączność magów z Niebiańską Matką.

Tzain wyciąga mapę i Lekan wytycza palcem drogę do miejsca, w którym objawi się przenajświętsza świątynia. Modlę się, żeby było w naszym zasięgu, lecz mój brat robi niepokojąco wielkie oczy.

– Zaraz – mówi Amari, unosząc dłoń. – Mamy pergamin i sztylet, ale gdzie jest kamień? – Zerka z nadzieją na szatę Lekana, który jednak niczego z niej nie wyjmuje.

– Próbowałem go wytropić po tym, jak morze wyrzuciło go na brzeg w Warri. Szukałem w Ibedzi, gdy mój duch przyzwał mnie tutaj. Zapewne po to, abym spotkał was.

– Czyli nie masz kamienia? – pytam.

Lekan zaprzecza ruchem głowy. Tzain prawie wybucha.

– To jak mamy to zrobić? Sama podróż zajmie nam miesiąc!

Odpowiedź rysuje się przed nami wyraźnie jak freski na ścianach. Ibawici nigdy nie przemienią się w magów. Saran może spać spokojnie.

– Nie możesz nam jakoś pomóc? – pyta Amari.

Lekan kiwa głową.

– Mogę was wspierać. Ale tylko kobieta może być naszą Mamalawą. Nie odprawię rytuału.

– Kto jeśli nie ty? – protestuje Amari. – Jesteś ostatnim żyjącym sêntaro!

– To tak nie działa – wyjaśnia Lekan. – Sêntaro nie są jak magowie. Wasza łączność z bogami jest przypieczętowana krwią. Bez takiego połączenia z Niebiańską Matką nie uda się dopełnić rytuału.

– W takim razie kto ma to zrobić?

Wzrok Lekana spoczywa ciężko na mnie.

– Mag. Ktoś, kto ma więź z bogami.

Kiedy sens jego słów wreszcie do mnie dociera, muszę się powstrzymywać, żeby się nie rozeźmiać.

Lekan dodaje:

– Skoro Niebiańska Matka za pośrednictwem potomkini rodu Sarana oddała pergamin w twoje ręce, jej wola jest jasna.

Niebiańska Matka się myli, mam ochotę odrzec. Ja nie uratuję magów. Samej siebie nie potrafię uratować.

– Nie – odpowiadam. Żołądek ściska mi się jak wtedy, gdy Amari złapała mnie za rękę na targowisku. – Nie jestem wystarczająco silna. Nigdy nawet nie odmawiałam zaklęcia. Sam powiedziałeś, że pergamin łączy mnie tylko z Oją. Ja też nie mam połączenia z Niebiańską Matką!

– Mogę to zmienić.

– W takim razie zmień siebie! Zmień Tzaina! – Popycham brata do przodu.

Nawet Amari byłaby lepszą kandydatką ode mnie.

Jednak Lekan chwyta mnie za dłoń i prowadzi naprzód. Gdy usiłuję protestować, ucina:

– Bogowie się nie mylą.

Na moim czole zbierają się krople potu. Wspinamy się po kolejnych kamiennych schodach, każdy stopień przybliża nas do szczytu góry. Moja głowa jest kłębowiskiem myśli – i powodów, dla których to się nie uda.

Może gdybyśmy mieli kamień słoneczny...

Gdyby straż królewska nie deptała nam po piętach...

Gdyby Lekan namówił kogoś innego na ten głupi rytuał...

Strach przed porażką mnie dławi. Przypominam sobie krzywy uśmiech Baby, nadzieję w jego spojrzeniu. *Dopóki nie mamy magii, dopóty nie będą nas szanować.*

Potrzebujemy tego rytuału. To nasza jedyna szansa. Inaczej nigdy nie odzyskamy dawnej mocy.

Monarchia już zawsze będzie nas traktować jak glisty.

– Jesteśmy na miejscu.

Dotarliśmy w końcu do szczytu schodów i wychodzimy na gasnące światło dnia. Lekan prowadzi nas ku lśniącej kamiennej wieży na czubku góry, wysoko nad świątynią, do której weszliśmy na początku. Mimo kilku pękniętych płyt przy wejściu budowla przetrwała w prawie nienaruszonym stanie. Wspiera się na wyniosłych filarach wygiętych w eleganckie łuki.

– O rety! – szepczę, przesuwając palcami po znakach wyrytych na jednej z kolumn, świecących w szarawym blasku zachodzącego dnia.

– Tutaj. – Lekan wskazuje wulkaniczną wannę pełną gorącej błękitnej wody. Gdy do niej podchodzi, woda zaczyna bulgotać, choć nigdzie w pobliżu nie widać ognia.

– Co to jest?

– Twoje przebudzenie. Zamierzam odtworzyć nić łączącą twojego ducha z Niebiańską Matką.

– Potrafisz to zrobić? – pyta Amari.

Lekan kiwa twierdząco głową, na jego ustach majaczy niewyraźny uśmiech.

– Taką miałem powinność wśród mojego ludu. Uczyłem się do niej całe życie. – Łączy dłonie, spogląda mglisto gdzieś w przestrzeń. Potem nagle zwraca się w stronę Tzaina i Amari. – Musicie wyjść. I tak już odstąpiłem od wielowiekowej tradycji, pozwalając wam tu wejść. Nie mogę odprawić naszego najświętszego rytuału przy świadkach.

– Wolne żarty. – Tzain staje przede mną i pręży mięśnie. – Nie zostawię mojej siostry samej z tobą.

– Ty zostań – szepcze do niego Amari. – Ja nie mam prawa na to patrzeć...

– Nie. – Tzain zatrzymuje ją gestem. – Zostaniemy oboje. Albo my, albo rytuał.

Lekan zaciska usta.

– Dobrze, ale zwiąże was tajemnica.

Tzain macha ręką.

– Przysięgamy. Nikomu nie piśniemy ani słowa.

– Nie lekceważcie tej przysięgi – ostrzega Lekan. – Umarli potraktują ją poważnie.

Wpija surowe spojrzenie w Amari, która prawie się roztopia. Potem chwyta brzeg wulkanicznej wanny. Woda momentalnie zaczyna kipieć.

Podchodzę bliżej i robi mi się sucho w ustach. Para bucha mi w twarz. Oju, pomóż mi. Nie potrafię nawet sprzedać ryby, nie ściągając nieszczęścia na całą wioskę. I to ja mam być ostatnią nadzieją magów?

– Zgodzę się pod warunkiem, że przebudzisz pozostałych.

Lekan wzdycha zniecierpliwiony.

– Niebiańska Matka przywiodła cię tutaj...

– Proszę cię, Lekanie. Musisz. Nie mogę być jedyna.

Młaska językiem i prowadzi mnie ku wannie.

– Dobrze – ustępuje – ale muszę zacząć od ciebie.

Nieśmiało wkładam nogę do wanny. Siadam w niej powoli, zanurzam się aż po szyję. Moje ubranie unosi się na wodzie. Gorąca kąpiel przynosi ulgę obolałemu ciału, obmywa mnie z trudów całodniowej wspinaczki.

– Zaczynamy.

Lekan bierze moją prawą dłoń. Wolną ręką sięga do szaty po kościany sztylet.

– Aby uwolnić boską moc, musimy ofiarować to, co dla nas najświętsze.

– Używasz magii krwi? – Zaniepokojony Tzain robi krok w moją stronę.

– Tak – odpowiada mu Lekan – ale twojej siostrze nic nie grozi. Czuwam nad jej bezpieczeństwem.

Serce mi przyspiesza. Przypominam sobie, co magia krwi zrobiła kiedyś z Mamą. Potężna siła tych czarów rozdarła jej mięśnie. Mimo pomocy Uzdrowicieli potrzebowała całego miesiąca, żeby stanąć na nogi.

To ryzyko było ceną za uratowanie małego Tzaina przed utonięciem. Przeżył dzięki jej poświęceniu. Omal jednak nie przypląciła tego śmiercią.

– Nic ci się nie stanie – uspokaja mnie Lekan, jakby czytał w moich myślach. – To co innego niż magia krwi w rękach magów. My, sêntaro, umiemy ją okiełznać.

Kiwam głową, choć strach nadal ściska mnie za krtań.

– Może jednak boleć – dodaje Lekan. – Wybacz.

Biorę głęboki wdech. Gdy rozcina mi dłoń, zaciskam zęby z bólu, który po chwili ustępuje miejsca osłupieniu: moja krew świeci białym blaskiem.

Patrzę, jak skapuje do wody, i czuję, że coś mnie opuszcza. Czuję coś głębszego niż zwykłe skaleczenie. Czerwone krople zabarwiają błękitną wodę na biało i jeszcze mocniej ją wzburzają.

– Teraz się odpręż. – Głos Lekana mięknie i zniża się do basu.

Przymykam powieki.

– Oczyszć umysł, oddychaj głęboko. Uwolnij się od wszystkiego, co wiąże cię na ziemi.

Powstrzymuję się od kaśliwej odpowiedzi. Zbyt wiele rzeczy mnie tu wiąże. Płomienie z Ilorinu liżą moją duszę, echa krzyków Bisi dzwonią mi w uszach. Ręce księcia zaciskają mi się na szyi. Coraz mocniej.

Ale z biegiem czasu wszystkie troski zaczynają odpływać. Bezpieczeństwo

Baby, furia Inana... Ciężary jeden po drugim znikają pod wodą. Fale mnie kołyszają i nawet śmierć Mamy zdaje się ulatywać razem z parą.

– Dobrze – odzywa się kojącym tonem Lekan. – Twój duch jest już prawie czysty. Pamiętaj: cokolwiek poczujesz, cały czas jestem przy tobie. – Kładzie mi rękę na czole, a drugą na mostku, i zaczyna intonować: – Ọmọ Mama, Arábìnrin Ọyà. Sí èbùn iyebíye rẹ. Tú idán mí mó rẹ sílẹ.

Jakaś dziwna moc otacza moje ciało. Woda bulgocze jeszcze mocniej niż przedtem, robi się tak gorąca, że coraz trudniej mi się oddycha.

– Ọmọ Mama...

Córko Niebiańskiej Matki, powtarzam w myślach.

– Arábìnrin Ọyà...

Siostró Oi.

– Sí èbùn iyebíye rẹ...

Odkryj swój bezcenny dar.

– Tú idán mí mó rẹ sílẹ.

Uwolnij świętą magię.

Powietrze aż się skrzy od ładunków elektrycznych. Nigdy wcześniej nie czułam tak potężnej energii. Ani kiedy Inan wdzierał mi się do głowy, ani w tamtej chwili, gdy po raz pierwszy dotknęłam pergaminu. Lekan dalej intonuje zaklęcie, a moje żyły aż się jarzą od magicznej mocy, która przez nie przepływa.

– Ọmọ Mama, Arábìnrin Ọyà...

Im głośniej wymawia te słowa, tym silniej reaguje moje ciało. Pulsująca magia wypełnia wszystkie komórki mojego organizmu. Lekan zanurza mi głowę i czuję w gardle jakby inny rodzaj powietrza. Teraz już rozumiem sens słów Mamy Agby.

Czuję się, jakbym znów mogła oddychać.

– Ọmọ Mama...

Żyły mi pęcznieją, magia wzbiera we mnie, jakby miała wybuchnąć. Płatki czerwieni tańczą mi przed oczami, roztrzaskują się jak fale, wirują jak

huragan.

Zatracam się w ich pięknym chaosie i nagle wyłania się z niego Oja. Ogień i wiatr tańczą wokół niej jak duchy, wirują niczym czerwone jedwabie jej sukni.

– Arábìnrin Oyà...

Patrzę urzeczona, jej taniec rozpala we mnie to wszystko, z czego istnienia nie zdawałam sobie sprawy. Jednocześnie trawi mnie jak płomień i mrozi jak lód. Płynę po nieznanym wodach.

– Sí ẹ̀bùn iyebíye rẹ̀! – dobiega mnie z góry przytłumiony głos Lekana. – Tú idán míńmọ̀ rẹ̀ sílẹ̀!

Tsunami uderza z hukiem i magia zalewa każdy skrawek mojego ciała. Sączy się do każdej komórki, barwi moją krew, przepełnia umysł. W jednej chwili ukazuje mi się początek i koniec, nierozzerwalne nici wiążące każdego z nas.

Czerwień gniewu Oi wiruje wokół mnie.

Srebro oczu Niebiańskiej Matki błyska...

– Zélie!

Otwieram oczy i widzę Tzaina, który mną potrząsa.

– Wszystko w porządku? – pyta schylony nad krawędzią wanny.

Kiwam głową, ale nie znajduję w sobie żadnych słów, tylko dziwne mrowienie.

– Możesz wstać? – pyta mnie Amari.

Próbuję się podnieść, ale kręci mi się w głowie.

– Nie ruszaj się – mówi Lekan. – Twoje ciało potrzebuje odpoczynku. Magia krwi wysysa siły życiowe.

Odpoczywaj, powtarzam sobie. Ale przecież nie mamy czasu na odpoczynek. Jeśli Lekan nie myli się co do tego, gdzie jest kamień słoneczny, musimy czym prędzej ruszać w drogę. Bez kamienia nie dokończę rytuału. Każda chwila jest na wagę złota. Do solstycjum zostały zaledwie trzy kwadry.

– Musisz odczekać jedną noc – upiera się Lekan, jakby wyczuwając moje zniecierpliwienie. – Obudzenie magii to jak wzbogacenie się o nowy zmysł. Twoje ciało potrzebuje czasu, żeby się przyzwycząić.

Kiwam głową i zamknawszy oczy, opieram się plecami o zimny kamień. *Ruszmy jutro. Do Ibedzi, tam znajdziemy kamień. Potem udamy się na świętą wyspę. Odprawimy rytuał.*

Powtarzam sobie ten plan w kółko, aż robię się senna. *Ibedzi. Kamień. Wyspa. Rytuał.*

Mój umysł odpływa w czarną pustkę, lecz kiedy jestem już na granicy snu, Lekan chwyta mnie za ramiona i podnosi.

– Ktoś idzie! Prędko! Musimy uciekać.

ROZDZIAŁ 19



INAN

...ciągnie nas na drugi koniec świata...

...jakby nie mogli nam powiedzieć, co takiego ukradła...

...jeśli ten drań myśli, że uśmiecha mi się tutaj umrzeć...

– Inanie, zwolnij! – woła Keja z dołu.

Mija chwila, zanim uświadamiam sobie, że to nie jest kolejny głos w mojej głowie.

Im bliżej Chândomblé, tym stają się głośniejsze.

Nieba. Skargi strażników brzęczą mi w czaszce jak pszczoły. Chciałbym je uciszyć, ale walka z moją klątwą w tych okolicznościach jest zbyt ryzykowna: na tym stromym zboczu nawet chwila dekoncentracji może mnie kosztować życie.

Magia wszystko we mnie przewraca, jest jak niszczący od wewnątrz wirus. Nie mam jednak wyboru. Jeśli chcę dotrzeć na szczyt góry, nie mogę się osłabiać.

Muszę wpuścić mrok do środka.

Męcę się jeszcze bardziej niż wtedy, gdy duszę moc w sobie, a ona piecze mnie w piersi. Każda cudza myśl przyprawia mnie o dreszcz. Każdy przebłysk cudzych uczuć wykrzywia mi twarz.

Magia pełna jadu pełza we mnie niby tysiąc pajaków. Żąda ode mnie wciąż więcej. Klątwa chce się wedrzeć do...

Kamień pod moją stopą odrywa się od zbocza, wywołując małą lawinę.

Zawisam na rękach i uderzam tułowiem o skalną ścianę. Rozpaczliwie

szukam nogą innego oparcia.

– Inanie!

Zatroskany okrzyk z dołu tylko mnie dodatkowo rozprasza. Keja z wierzchaczami i resztą żołnierzy czekają, aż przetrę szlak.

Gdy się kołyszę, z kieszeni wypadają mi krzesiwo i lina. Oraz diadem Amari.

Nie!

Ryzykując, odrywam lewą rękę od skały i chwytam diadem w ostatniej chwili. Zaraz potem natrafiam stopą na niewielki występ – i zalewa mnie fala wspomnień.

– Amari, atakuj!

Rozkaz ojca odbijał się echem od kamiennych ścian pałacowej piwnicy. Tam, głęboko pod ziemią, jego słowa były obowiązującym prawem. Drobne ręce Amari drżały od ciężaru żelaznego miecza.

To już nie była zabawa drewnianymi mieczami, która mogła się skończyć co najwyżej siniakiem. Żelazo było ostre. Ząbkowane. Jedno trafienie i poleje się krew.

– Powiedziałem: atakuj! – Okrzyki ojca dudniły jak gromy.

Nikt w takiej sytuacji nie śmiałby mu się sprzeciwić. Lecz Amari pokręciła głową. Upuściła miecz.

Aż się wzdrygnąłem, kiedy upadł z brzękiem, ostrym i przenikliwym. Niemal wyzywającym.

Podnieś go! – miałem ochotę krzyknąć.

Gdyby mnie zaatakowała, przynajmniej mógłbym się bronić.

– Amari, atakuj!

Głos ojca brzmiał tak nisko, że mógłby skruszyć kamień.

Mimo to Amari otoczyła się ramionami i odwróciła. Po twarzy ciekły jej strugi łez. W tamtej chwili ojciec widział w niej tylko słabość. Ale teraz myślę sobie, że to mogła być siła.

Ojciec zwrócił się do mnie z twarzą pociemniałą od gniewu, migoczącą

w blasku pochodni.

– Twoja siostra wybrała siebie. Ty, jako król, musisz wybrać Oriszę.

Powietrze w piwnicy zgęstniało. Zrobiło się jakby ciaśniej. Rozkazy ojca dźwięczały mi w uszach. Kazał mi walczyć ze sobą samym.

– Atakuj, Inanie! – Oczy płonęły mu wściekle. – Walcz!

Amari wrzasnęła i zakryła uszy. Z całego serca chciałem stanąć u jej boku. Wziąć ją w obronę. Uratować. Obiecać, że już nigdy nie będziemy musieli walczyć.

– Obowiązek nade wszystko! – Krzyknął ojciec ochryple. – Pokaż mi, że nadajesz się na króla!

I wtedy klamka zapadła.

Ruszyłem do przodu z uniesionym ostrzem.

– Inanie!

Głos Kei przywołuje mnie z powrotem do rzeczywistości, wydobywa z otchłani wspomnień.

Przywieram do skalnej ściany, jedna stopa wciąż wisi w powietrzu. Stękając, wspinam się dalej, bez chwili wytchnienia, dopóki nie osiągam kolejnej półki. Pot się ze mnie leje. Pocieram kciukiem ozdobną pieczęć w diademie Amari.

Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Ani razu. Przez te wszystkie lata. Amari za bardzo mnie kochała, żeby do tego wracać. A ja za bardzo się bałem.

Żyliśmy dalej, jakby nie było między nami tej niewidzialnej przepaści. Amari nigdy potem nie musiała już schodzić do piwnicy. Ja nigdy stamtąd nie wyszedłem.

Choć mięśnie mi drżą, chowam diadem do kieszeni. Nie ma czasu do stracenia. Raz już sprawiłem zawód mojej siostrze. Nie powtórzę tego błędu.

Gdy się podnoszę, wyczuwam, że duch magiczki tętni jeszcze mocniej niż przedtem. Słony morski zapach jej duszy zagłusza korzenną woń oplątów rosnących u moich stóp. Przyglądam się ich zdeptanym łodygom.

Ślady...

Była tutaj.

Jest blisko.

Zabij ją, powtarza mi serce, gdy chwytam się skały. *Zabij ją. Zniszcz magię.*

Kiedy w końcu ją dopadnę, to wszystko nie będzie miało znaczenia.
Odzyskam swoje królestwo.

Pnę się coraz wyżej. Diadem Amari wpija mi się w bok. Wtedy nie
zdołałem jej uratować przed ojcem. Dziś uratuję ją przed nią samą.

ROZDZIAŁ 20



ZÉLIE

– Szybciej! – poganiam nas Lekan.

Uciekamy korytarzami świątyni. Tzain niesie mnie na ramionach, trzymając mnie mocno w talii.

– Kto to? – pyta Amari, choć z drżenia jej głosu można podejrzewać, że się domyśla. Jej brat już raz ją okaleczył. Dlaczego nie miałby tego zrobić i teraz?

– Mój kij... – jęczę. Mówienie przychodzi mi z największym trudem. Ale bez kija nie będę mogła walczyć. Bez kija nas nie obronię.

Próbuję zsunąć się z pleców Tzaina, lecz brat w porę mnie chwytając.

– Nie wygłupiaj się – rzuca. – Masz nogi jak z waty. Bądź cicho i trzymaj się mnie, na bogów!

Przed nami ślepy zaułek. Lekan przykładając dłoń do kamienia. Znaki wytatuowane na jego skórze zaczynają tańczyć i przeskakiwać na ścianę. Gdy z prawej ręki znika ostatni, kamienie odsuwają się, a my wchodzimy do ukrytej złotej komnaty. Na półkach od ziemi aż po sufit tłoczą się cienkie kolorowe zwoje.

– Tu się schowamy? – pyta Tzain.

Lekan znika za dużym regałem, a po chwili wraca z naręczem czarnych zwojów.

– Przyszliśmy po te zaklęcia – wyjaśnia. – Jeśli Zélie ma odegrać rolę Mamalawy, jej moc musi dojrzeć.

Nie czekając, aż Tzain zacznie protestować, Lekan wpycha pergaminy do mojej skórzanej sakwy.

– No dobrze – mówi. – Za mną!

Znów kluczymy zwawo po zakamarkach świątyni, co rusz zbiegamy po schodach. Wreszcie odsuwa się przed nami kolejna ściana i wychodzimy na zewnątrz bocznym wyjściem, prosto w lepki uścisk dżungli o zachodzie słońca.

Głowa mi pęka. Cała góra rozbrzmiewa hałaśliwym życiem. Szmer duchowej energii wypełniał mnie już przedtem, ale teraz słyszę zewsząd potępińcze krzyki i wrzaski. Cienie zamordowanych sêntaro wirują wokół mnie jakby przyciągnane niewidzialnym magnesem.

Przypominam sobie słowa Lekana. *Obudzenie magii to jak wzbogacenie się o nowy zmysł. Twoje ciało potrzebuje czasu, żeby się przyzwyczaić.*

Tylko ile to może potrwać? Magia przytłacza wszystkie inne zmysły, aż robi mi się ciemno przed oczami. Ledwie widzę, któredy uciekamy. Gdy zanurzamy się w dżunglę, doznaję przebłysku.

– Najla!

– Poczekaj – szepcze Tzain do Lekana i przystaje. – Nasza lworożka została przed świątynią.

– Nie możemy ryzykować...

– Musimy po nią wrócić! – wołam.

Tzain zakrywa mi usta dłonią. Nie obchodzi mnie, czy ścigają nas strażnicy. Nie zostawię Najli. Nie porzucę mojej najstarszej przyjaciółki.

Lekan wzdycha niecierpliwie, ale zakradamy się z powrotem w pobliże świątyni. Z mroczkami w oczach przywieram do zimnej ściany. Lekan daje nam znak, żebyśmy wyjrżeli.

Za cmentarzyskiem czaszek i ruin spostrzegam Inana; pochyla się, pomagając swojej admirałce wejść na górę. Żołnierze na wierzchaczach także wspinają się już na ostatnią półkę. Jeszcze bardziej niż przedtem chcą nas złapać, widzę to w ich rozpalonych oczach. Zamiast księcia, który drżał w swoim śnie, widzę tylko dłonie, które próbowały mnie udusić.

Trzech strażników już nadchodzi, rozkopując kamienie i popękane czaszki.

Nie zdążymy się przed nimi ukryć, są zbyt blisko.

– Sùn, ẹmí ọkàn, sùn. Sùn, ẹmí ọkàn, sùn. – Zataczając kręgi kosturem, Lekan niżej słowa zaklęcia niczym paciorki na nitkę. W powietrzu przed nami rozsnuwa się wirujący kłęb białego dymu.

Śpij, duchu, śpij, tłumaczę w myślach. Śpij, duchu, śpij...

Dym wije się nad ziemią jak wąż, spowija nogi najbliższego żołnierza i wnika w jego ciało. Strażnik przewraca się do przodu i ląduje za stertą kamieni. Jego oczy błyskają białym duchem Lekana; zaraz potem traci przytomność.

Biały wąż opuszcza jego ciało i w identyczny sposób obezwładnia kolejnego strażnika. W tej samej chwili Inan i admirałka wciągają na górę śnieżnego lampartusa.

– Lekanie – szepcze Amari z kroplami potu na czole.

W takim tempie nam się nie uda. Dopadną nas.

Lekan recytuje coraz szybciej, rusza laską, jakby mieszał tubani w żeliwnym kotle. Duch sunie w stronę ostatniego strażnika, którego już tylko parę sekund dzieli od Najli. Jej żółte oczy lśnią drapieżnie. *Nie, Najla, błagam...*

– Aaaaa!

Przeszywający wrzask żołnierza rozdziera powietrze. Stada ptaków podrywają się do lotu. Najla wyjmując swoje ogromne kły z tryskającego krwią uda strażnika.

Inan się obraca. Jego oczy pałają żądzą mordy. Na mój widok zwięzają się, jak u drapieżnika, który w końcu namierzył swoją ofiarę.

– Najla!

Moja lworożka sady susy wśród ruin i po chwili jest już przy nas. Tzain pakuje mnie na siodło, a chwilę później wszyscy gramolą się na grzbiet Najli.

Inan i admirałka dobywają miecze, ale Najla już rusza pędem w poprzek zbocza. Pryskające spod jej łap kamienie spadają w dół urwiska.

– Tam! – Lekan wskazuje gęste zarośla. – Parę kilometrów stąd jest most. Przejdziemy po nim i go przetniemy.

Tzain trzaska cugłami i Najla wyrywa do przodu na złamanie karku,

sprawnie omijając winorośle i masywne drzewa. W oddali dostrzegam kładkę, ale groźny ryk przypomina mi, że Inan depcze nam po piętach. Zerkam przez ramię. Jego potężny lampartus przedziera się przez gęstwinę, łamiąc grube konary na swej drodze. Bestia obnaża potworne zęby, głodna jak jej pan.

– Amari! – woła Inan.

Amari sztywnieje. Przywiera mocniej do moich pleców.

– Szybciej!

Najla i tak już pędzi szybciej niż kiedykolwiek, ale jakimś cudem znajduje w sobie dodatkowe siły. Jej skoki przedłużają nam życie, zwiększają bezcenny dystans między nami a pościgiem.

Wypadamy spośród zarośli i zatrzymujemy się gwałtownie przed rozchwierutany mostem. Zbutwiałe drewno trzyma się chyba tylko dzięki oplatającym kładkę uschniętym winoroślom. Cała konstrukcja porusza się na wietrze.

– Pojedynczo – nakazuje Lekan. – Wszystkich naraz nie udźwignie. Tzain, prowadź Zélie...

– Nie. – Z trudem zsuwam się na ziemię. Kolana się pode mną uginają, lecz biorę się w garść. – Najpierw Najla, jej to zajmie najdłużej.

– Zél...

– Prędko! – krzyczę. – Nie mamy czasu!

Tzain zaciska zęby i chwyta Najlę za cugle. Przeprowadza ją po skrzypiącym moście, krzywiąc się na każdy niepokojący dźwięk spod nóg. Gdy są już po drugiej stronie, popycham Amari naprzód, lecz ona nie chce puścić mojej ręki.

– Jesteś słaba – mówi. – Sama nie dasz rady.

Wciąga mnie na most. Nieroztropnie spoglądam w dół i wszystko się we mnie wywraca. Pod spróchniałym drewnem widać wznoszące się ku niebu ostre skały. Pechowiec, który by stąd spadł, niechybnie by się na nie nadział.

Zamykam oczy i ściskam wystrzępioną winorośl. Strach tak gniecie mi płuca, że ledwie oddycham.

– Patrz na mnie! – odzywa się stanowczo Amari. Choć sama drży, w jej

bursztynowych oczach widać błysk determinacji. Chwyta mnie za dłoń i ciągnie po skrzypiących deskach.

Jesteśmy w połowie mostu, gdy z gąszczu za naszymi plecami wyłania się Inan, a chwilę później admirałka.

Za późno. Nie uda się nam...

– Àgbájò ọwọ àwọn òrìsà! – Lekan uderza końcem laski o ziemię. – Yá mi ní agbára à rẹ!

Wybucha białym światłem, które otacza cielska wierzchaczy. Upuszcza laskę i podnosi ręce, a bestie unoszą się w powietrze razem z nimi.

Inan i admirałka z przerażeniem zeskakują z grzbietów swoich lampartusów. Chwilę później Lekan gwałtownie cofa ręce i oba wierzchacze spadają w przepaść.

O bogowie...

Ich potężne cielska wiją się i szarpią. Ryczą i wyciągają pazury ku niebu. Potem nagle cichną, przesyte ostrymi skałami.

Admirałka wpada w szal. Zrywa się i unosząc miecz, z gardłowym okrzykiem naciera na Lekana.

– Ty glisto...

Lecz magia Lekana zatrzymuje ją w miejscu. Inan rusza z odsieczą, ale i on grzęźnie w białym świetle – kolejna mucha złapana w czarodziejską sieć.

– Uciekajcie! – woła Lekan.

Patrzę na jego nabrzmiałe żyły. Amari ciągnie mnie naprzód, most słabnie od każdego naszego kroku.

– Biegnij sama! – rozkazuję jej. – Nie utrzyma nas obu!

– Nie mogę cię...

– Dam sobie radę. Biegnij! Inaczej obie spadniemy!

Oczy Amari się szklą, lecz nie ma chwili do stracenia. W paru susach dociera na drugą stronę i rzuca się na ziemię.

Choć nogi mi się trzęsą, brnę dalej uczepiona winorośli. *Postaraj się.* Życie Lekana zależy teraz ode mnie.

Rozlega się przeraźliwe skrzypnięcie, ale nie zwalniam. Jestem już prawie na końcu. Uda mi się...

I wtedy winorośl pęka.

Serce podbiega mi do gardła. Most wali się pode mną. Wyrzucam ręce w górę i cudem chwytam się jednej z desek. Most uderza z trzaskiem o kamienne urwisko.

– Zélie!

Tzain wygląda zza krawędzi przepaści. Trzymam się rozpaczliwie deszczułki, cała się trzęsąc. Słyszę, jak drewno z wolna pęka. Długo nie wytrzyma.

– Wdrap się!

Przez mroczyki i łązy dostrzegam, że przerwany most utworzył coś w rodzaju drabiny. Od wyciągniętych rąk Tzaina dzielą mnie trzy deski.

Trzy deski między życiem a śmiercią.

Wspinaj się! – rozkazuję sobie, ale moje ciało nie chce mnie posłuchać. *No dalej! Szybko!*

Drżącą ręką sięgam kolejnej deski i podciągam się do góry.

Jeden.

Chwytam następną deszczułkę i znów się podciągam. Trzask pękającej winorośli omal nie przyprawia mnie o zawał.

Dwa.

Jeszcze tylko jedna deska. *Dasz radę. Nie po to zaszłaś tak daleko, żeby teraz zginąć.* Wyciągam rękę.

– Nie!

Deska pęka mi w dłoni.

Chwila zmienia się w wieczność. Wściekły wiatr smaga mi plecy, pcha mnie ku śmierci. Zamykam oczy i żegnam się z życiem.

– Uch!

Jakaś potężna siła przygniata mnie i pozbawia tchu. Wiszę w chmurze białego światła. *Magia Lekana.*

Moc jego ducha niczym boska ręka unosi mnie znad przepaści wprost w ramiona Tzaina. Spoglądam na drugi brzeg i widzę, jak admirałka wyrywa się z magicznej uwięzi.

– Lekanie...

Jej miecz błyskawicznie przebija mu pierś.

Lekan wytrzeszcza oczy, rozchyła usta. Laska wypada mu z dłoni.

Krew tryska na ziemię.

– Nie! – krzyczę.

Admirałka wyszarpuje ostrze. Lekan upada, już nie jest częścią naszego świata. Jego duch, opuściwszy ciało, przenika mnie i przez chwilę widzę wszystko jego oczyma.

...biegnie przez dziedziniec świątyni z dziećmi sêntaro, jego złote oczy promienieją radością, której nie da się z niczym porównać... sztywnieje, bo Mamaláwa pokrywa jego ciało tatuażami... piękne białe znaki... ból rozdziera mu duszę, gdy przemierza zgliszcza swojego miasta... serce w nim rośnie jak nigdy przedtem, kiedy dokonuje swoje pierwsze i jedyne przebudzenia...

Wizja się kończy, ale jeszcze przez chwilę w ciemnościach mojego umysłu pobrzmiwa cichy szept.

Żyj, prosi mnie jego duch. Choćby nie wiem co, przetrwaj.

ROZDZIAŁ 21



INAN

Aż do dzisiaj magia nie miała twarzy.

Była jedynie opowieścią żebraków, szeptaniną służących. Umarła przed jedenastu laty i od tamtej pory istniała tylko pod jedną postacią: strachu w oczach ojca.

Nie oddychała, nie atakowała.

Nie zabijała moich wierzchaczy ani nie krępowała moich ruchów.

Zerkam w przepaść na ciało Luli przebite ostrzem skały. Na jej otwarte, niewidzące oczy. Na cętkowaną sierść upstrzoną plamami krwi. W dzieciństwie widziałem, jak Lula rozerwała na strzępy dwa razy większego od siebie goryliona.

Teraz okazała się bezbronna w konfrontacji z magią.

– Jeden – szepczę pod nosem, odwracając wzrok od tego ponurego widoku.
– Dwa... trzy... cztery... pięć...

Liczę, żeby się uspokoić, ale serce wali mi jeszcze mocniej. Nie ma mowy o taktyce. O kontrataku.

W obliczu magii stajemy się mrówkami.

Patrzę przez chwilę na kolumnę tych sześcionogich owadów. Pod metalowym obcasem wyczuwam coś lepkiego. Zawracam i dochodzę po szkarłatnych plamkach do zwłok maga; z jego piersi wciąż sączy się krew.

Przyglądam mu się uważnie – pierwszy raz mam przed sobą prawdziwego maga. Dopóki żył, wydawał się trzykrotnie większy, jak bestia w białej mgle. Znaki na jego ciemnej skórze świeciły, kiedy ciskał nasze wierzchacze

w przepaść. Teraz nie ma po tych symbolach żadnego śladu. Bez nich wygląda dziwnie ludzko.

Ale nawet to martwe ciało przyprawia mnie o zimny dreszcz. Moje życie przez chwilę było w jego rękach.

Ja też mogłem wylądować na tych skałach.

Odruchowo gładzę kciukiem wytarty pionek w kieszeni. *Teraz rozumiem, ojcze.*

Magia to nasz koniec.

Lecz bez niej...

Spoglądam raz jeszcze na martwego mężczyznę, na jego ręce obdarzone mocą niebios, z którą ziemia nie może się równać. Orisza nie przeżyje takiej mocy. Ale gdybym ją wykorzystał w słusznym celu...

Z gorzkim uczuciem układam nową strategię. Ich magia jest bronią; moja też może nią być. Skoro istnieją magowie, którzy potrafią jednym ruchem dłoni strącić mnie w przepaść, magia to moja jedyna szansa na odzyskanie pergaminu.

Lecz na samą myśl czuję ściskanie w gardle. Gdyby ojciec tu był...

Spoglądam na pionek. Prawie słyszę w myślach głos ojca.

Obowiązek nade wszystko.

Bez względu na cenę i skutki uboczne.

Nawet jeśli to będzie swoista zdrada, obowiązek chronienia Oriszy musi być na pierwszym miejscu. Rozwieram palce, w których trzymam pionek.

Pierwszy raz się poddaję.

Magia, którą w sobie dławilem, budzi się powoli. Narasta mrowienie pod skórą. Ucisk w piersi ustaje. Pulsowanie mocy przyprawia mnie o skurcz żołądka. Z obrzydzenia. Lecz nasi wrogowie nie wahają się używać tej magii przeciwko nam.

Jeżeli mam spełnić swoją powinność i uratować królestwo, muszę być jak oni.

Zanurzam się w tym ciepłym pulsowaniu. Pojawia się chmura świadomości

maga. Wije mi się nad głową, zwiewna i błękitna jak wcześniejsze. Gdy jej dotykam, najpierw uderza mnie esencja mężczyzny, który leży martwy u moich stóp: zapach wsi z nutą palonego węgla i drewna.

Krzywiąc usta w grymasie, zanurzam się głębiej w jego ducha, sięgam po niego, zamiast przed nim uciekać. W głowie zaczyna mi majaczyć pojedyncze wspomnienie. Spokojny dzień, okolice świątyni pełne gwaru. Biegnie po zadbanej trawie, za rękę z jakimś chłopcem.

Im bardziej uwalniam swoją magię, tym więcej obrazów i wrażeń przewija się przez mój umysł. Czuję w nozdrzach zapach czystego górskiego powietrza. W uszach dźwięczy jakaś odległa pieśń. Każdy szczegół nabiera wyrazistości. Jakby pamięć przechowywana w tej świadomości była moją własną pamięcią.

Po jakimś czasie zaczyna się krystalizować nowa wiedza. Dusza. Imię. Krótkie, proste...

Lekan...

Brzęk metalowych obcasów o skałę.

Nieba! Wystraszony duszę w sobie magię.

Zapach drewna i węgla momentalnie się rozwiewa. Pojawia się ostry ból brzucha.

Chwytam się dwoma palcami za grzbiet nosa i chwieję na nogach. Chwilę później spomiędzy krzaków wyłania się Keja.

Włosy przesiąknięte potem lepią jej się do brązowej skóry upstrzonej krwią Lekana. Szybko poprawiam sobie hełm. Znów niewiele brakowało...

– Nie ma innej przeprawy – oznajmia z westchnieniem, siadając obok mnie. – Odeszłam na kilometr. Bez tego mostu nie przedostaniemy się na sąsiednią górę.

No tak. Krótki wgląd w umysł Lekana wystarczył mi, żeby pojąć jego plan. To był inteligentny człowiek. Wybrał jedyną drogę, która dawała szansę ucieczki.

– Mówiłam mu, że to zły pomysł. – Keja zdejmuje czarny napierśnik. – Wiedziałam, że to się nie uda. – Zamyka oczy. – Teraz mnie obarczy winą za powrót magów. Już nigdy nie spojrzy na mnie tak samo.

Wiem, o którym spojrzeniu mówi. Jakby on był niebem, a ona słońcem. To spojrzenie ojciec rezerwuje tylko dla niej. Patrzy tak na nią, gdy mu się wydaje, że są na osobności.

Odsuwam się i nie wiedząc, co powiedzieć, zaczynam grzebać w bucie. Keja nigdy się przede mną nie odkrywa. Do dziś myślałem, że nie odkrywa się przed nikim.

W jej rozpaczy dostrzegam odbicie mojej własnej. Moje ustępstwo, moją porażkę. Ale to mi nie przystoi. Jako król muszę być silniejszy.

– Przestań się mazać – rzucam.

Jeszcze nie przegraliśmy wojny.

Magia zyskała nowe oblicze.

To znaczy tylko tyle, że trzeba ją zaatakować nowym ostrzem.

– Na wschód od Sokoto jest posterunek straży – mówię.

Znajdź magiczkę. Znajdź pergamin.

– Możemy wysłać twojego ogniostrębia z wiadomością o zawaleniu się mostu. Przyślą niewolników i zbudujemy nowy.

– Wspaniały pomysł – ironizuje Keja, chowając twarz w dłoniach. – Odbudujemy most, żeby glisty, kiedy już odzyskają swoje moce, mogły wrócić i nas zabić.

– Znajdziemy ich, zanim to się stanie.

Zabiję ją.

Uratuję nas.

– Tylko jak? – pyta Keja. – Samo sprowadzenie robotników i materiałów zajmie kilka dni. A odbudowanie mostu...

– Trzy dni – wchodzę jej w słowo. *Jak śmie podważać mój pomysł?* Niech sobie będzie admirałką, lecz musi wykonywać moje rozkazy. – Każemy im pracować dzień i noc. Widziałem już niewolników wznoszących pałace w kilka dni.

– Na co nam ten most, Inanie? Nawet jeśli go zbudujemy, ta glista będzie już daleko stąd.

Patrzę w milczeniu na drugą stronę przepaści. Słony morski zapach duszy dziewczyny prawie już się ulotnił, zniknął w gęstwinie dżungli. Keja ma rację. Most niewiele nam da. Do wieczora zatrze się wszelki ślad po tej ibawitce. Nigdy jej nie wytropię.

Chyba że...

Spoglądam w stronę świątyni. Skoro przez nią słyszałem w głowie te wszystkie głosy, może wyostrzy też moją magię?

– Chândomblé. – Ustawiam w myślach pionki do sêneta. – Przyszli tutaj szukać odpowiedzi. Może i ja coś znajdę.

Tak, to jest myśl. Jeśli się dowiem, co takiego wzmacnia moją klątwę, mogę to wykorzystać do wytropienia dziewczyny. Chociaż ten jeden raz.

– Inanie...

– Mam dobre przeczucie – ucinam. – Wezwij dybiarzy i zacznij odbudowę mostu. Ja poszukam śladów tej dziewczyny. Czegoś, co nam wskaże drogę.

Chowam pionek ojca do kieszeni i od razu czuję na skórze chłodne powietrze. Walka jeszcze się nie skończyła. Ta wojna dopiero się zaczyna.

– Wyślij ogniostrzębia i zbierz drużynę. Rano chcę tu widzieć tych robotników.

– Inanie, jako kapitan...

– Nie mówię jako kapitan – wtrącam. – Rozkazuję ci jako twój książę.

Keja sztywnieje.

Coś między nami pęka, lecz moje spojrzenie pozostaje nieugięte. Ojciec nie tolerowałby jej słabości.

Mnie też nie wolno.

– Dobrze. – Keja zaciska usta w cienką kreskę. – Jak sobie życzysz.

Gdy odchodzi, przed oczami staje mi twarz magiczki. Jej przeklęty głos. Srebrne oczy.

Patrzę na drugi brzeg przepaści, ku gęstej dżungli, w której zniknęła jej dusza o zapachu morskiej soli.

– Uciekaj – szepczę.

Ide po ciebie.

ROZDZIAŁ 22



AMARI

Kiedy mieszkałam w pałacu, z żadnego okna w moich komnatach nie było widoku na zewnątrz. Nowe skrzydło wybudowano tuż po moich narodzinach; ojciec zażyczył sobie, aby wszystkie okna wychodziły na dziedziniec. Za świat zewnętrzny musiały mi wystarczyć olbrzymie storczyki w ogrodach królewskich. Kiedy błagałam ojca o inny widok, odpowiadał: „W pałacu jest wszystko, czego ci trzeba. W tych murach waży się przyszłość Oriszy. I twoja przyszłość, księżniczko”.

Próbowałam sobie wziąć do serca jego słowa, czerpać z pałacowego życia satysfakcję, jaką znajdowała w nim matka. Starłam się zaprzyjaźnić z innymi olojami, z ich córkami. Szukałam rozrywki w pałacowych plotkach. Lecz w nocy zakradałam się do komnat Inana i wychodziłam na balkon z widokiem na stolicę naszego królestwa. Próbowałam sobie wyobrazić świat poza drewnianą palisadą Lagos; świat, który tak bardzo pragnęłam zobaczyć.

Kiedyś, szeptałam Bincie.

Kiedyś na pewno, odpowiadała mi z uśmiechem.

W tamtych marzeniach nie było miejsca na koszmar dżungli, na pot, moskity czy ostre kamienie. Teraz, po czterech dniach na pustyni, wiem, że Orisza potrafi być też piekłem. Na pustyni człowiek nie upoluje lisielca, nie napije się wody ani mleka kokosowego. Jedynym darem pustyni jest piasek.

Bezkresne góry piasku.

Choć owinęłam twarz chustą tak szczelnie, że ledwie oddycham, i tak mam ziarenka w ustach, w nosie, w uszach. Jeśli chodzi o uporczywość, z piachem konkurować może tylko prażące niemiłosiernie słońce, które dopełnia ten

surowy krajobraz. Im dłużej brniemy przez pustkowie, tym bardziej mnie korci, żeby chwycić za cugle i pokierować Najlę w przeciwną stronę. Ale nawet gdybyśmy zawrócili, dokąd miałabym się udać?

Ściga mnie własny brat. Ojciec pewnie zażądał mojej głowy. Aż boję się pomyśleć o kłamstwach, jakie pod moją nieobecność wymyśla matka. Może gdyby w pałacu nadal była Binta, zaryzykowałabym powrót z podkulonym ogonem. Ale jej też już nie ma.

Ten piach to wszystko, co mi pozostało.

Na wspomnienie jej twarzy smutek wzbiera we mnie huraganową falą. Wystarczy, że na chwilę pomyślę o Bincie, i już prawie jestem gdzie indziej, z dala od piekła pustyni. Gdyby była tu ze mną, uśmiechałaby się teraz, nic sobie nie robiąc z piasku między zębami. Umiałaby dostrzec piękno tego krajobrazu. Binta wszędzie umiała znaleźć piękno.

Moje myśli puszczone samopas prowadzą mnie dalej, do naszych wspólnych dni w pałacu. Któregoś ranka – byłyśmy jeszcze bardzo młode – zabrałam ją ukradkiem do komnat matki, bo chciałam jej pokazać moje ulubione klejnoty. Wlazłam na toaletkę i rozwodziłam się bez końca o wioskach, które Inan odwiedzi podczas służby wojskowej.

– To nie w porządku – skarżyłam się. – Pojedzie aż do Iko. Zobaczysz prawdziwe morze.

– Ty też się w końcu doczekasz.

Binta stała w oddaleniu, podparta pod boki. Namawiałam ją, żeby podeszła bliżej, ale twierdziła, że jej nie wolno.

– Kiedyś. – Omotałam sobie wokół głowy szmaragdowy naszyjnik matki i patrzyłam urzeczona, jak lśni w lustrze. – A ty? – spytałam. – Którą wioskę chciałabyś zobaczyć?

– Dowolną. – Spojrzenie Binty lekko się zamgliło. – Każdą. – Zagryzła wargę, a po chwili się uśmiechnęła. – Myślę, że wszędzie by mi się podobało. Nikt z mojej rodziny nigdy nie był poza Lagos.

– Dlaczego? – Zmarszczyłam nos i wstałam, wyciągając rękę po szkatułkę, w której matka trzymała swój drogocenny diadem. Brakowało mi dwóch

centymetrów, żeby jej dosięgnąć. Wychyliłam się jeszcze bardziej.

– Amari, nie!

Ale głos Binty nie zdążył mnie powstrzymać. Straciłam równowagę i zrzuciłam szkatułkę, a razem z nią wszystko inne posypało się na podłogę.

– Amari!

Głos matki odbił się echem od sklepienia u wejścia do komnaty. Nie wiem, jak zdołała się zjawić tak szybko. Popatrzyła na bałagan, którego narobiłam.

Binta, widząc, że nie mogę wydobyć z siebie głosu, wzięła mnie w obronę.

– Najmocniej przepraszam, Wasza Wysokość. Kazano mi wypolerować biżuterię Waszej Wysokości. Księżniczka Amari chciała mi tylko pomóc. Jeżeli ktoś powinien ponieść karę, to ja, nie ona.

– Ty mała nygusko! – Matka chwyciła Bintę za nadgarstek. – Księżniczka nie jest od tego, żeby cię wyręczać w twoich obowiązkach!

– Matko, to nie tak...

– Cisza! – warknęła, odciągając Bintę. – Widzę, że byliśmy dla ciebie zbyt pobłażliwi. Może bat przemówi ci do rozsądku.

– Nie! Matko!

Potknięcie Najli wrywa mnie z otchłani winy. Młoda twarz Binty znika mi sprzed oczu, bo Tzain robi, co może, byśmy nie stoczyli się z piaskowej góry. Trzymam się mocno skórzanych strzemion, Zélie pochyla się i głaszcze Najlę po sierści.

– Przykro mi, mała – uspokaja bestię. – Obiecuję, że niedługo będziemy na miejscu.

– Jesteś pewna? – Głos, który wydobywa się z mojego gardła, jest suchy jak otaczający nas zewsząd piasek. Nie wiem tylko, czy ta gula w krtani to wina pragnienia, czy wspomnień o Bincie.

Tzain obraca się i mruży oczy od słońca.

– Już niedaleko. Powinniśmy dotrzeć do Ibedzi jeszcze dziś, najpóźniej jutro.

Nawet zza przykniętych powiek jego głębokie piwne spojrzenie chwyta

mnie mocno i przyprawia o rumieńce.

– A jeśli kamienia słonecznego tam nie będzie? – zastanawia się głośno Zélie. – Może Lekan się mylił? Do solstycjum zostało już tylko trzynaście dni. Nie wiem, co zrobimy, jeśli go tu nie znajdziemy...

Nie mógł się mylić...

Na samą myśl robi mi się słabo. Determinacja, którą czułam w Chândomblé, zaczyna się chwiać. *Nieba*. Wszystko byłoby dużo prostsze, gdyby Lekan żył. Z takim przewodnikiem i obrońcą nie musielibyśmy się obawiać Inana i jego pościgu. Byłoby nam łatwiej znaleźć kamień słoneczny. Kto wie, czy nie byłibyśmy już w drodze na wyspę, by odprawić rytuał.

Jednak Lekan zginął, a my wcale się nie przybliżyliśmy do uratowania magów. Przeciwnie, mamy coraz mniej czasu. Zmierzamy ku śmierci.

– Lekan nie wprowadziłby nas w błąd. Kamień musi tu być. – Tzain wygina szyję. – A jeśli to, co widzę, nie jest mirażem, jesteśmy na miejscu.

Zélie i ja wyglądamy zza jego szerokich barków. Falujący upał odbija się od piasku, zamazując horyzont, lecz po chwili dostrzegam wśród rozedrganego powietrza popękany gliniany mur. Ku mojemu zdziwieniu okazuje się, że jesteśmy jednymi z wielu podróżnych zmierzających do pustynnego miasta ze wszystkich stron. Niektórzy, bez wątpienia szlachcice, jadą połączanymi wozami.

Ogarnia mnie dreszcz emocji. Mrużę oczy, aby zobaczyć jak najwięcej. Raz w dzieciństwie słyszałam, jak ojciec przestrzegał swoich generałów przed niebezpieczeństwami pustyni, obszaru będącego we władaniu Ziemiowców. Twierdził, że potrafią oni swoją magią przeobrazić każde ziarenko piasku w śmiertcionośną broń. Tego samego wieczoru powtórzyłam to wszystko Bincie, gdy rozczesywała mi splątane włosy.

– To nieprawda – oznajmiła. – Ziemiowcy z pustyni nikomu nie czynią krzywdy. Używają swojej magii do budowy siedzib z piasku.

Wyobraziłam sobie wtedy, jak mogłoby wyglądać piaskowe miasto, nieskrępowane prawami i materiałami naszej architektury. Jeśli Ziemiowcy naprawdę dawniej rządili pustynią, ich wspaniałe miasta musiały się

rozsypać, zniknąć wraz z nimi.

A teraz, po czterech dniach morderczej przeprawy przez pustynię, w dali migocze skromna osada Ibedzi. Pierwszy znak nadziei na tym przeklętym pustkowiu. *Niebu dzięki.*

Może jednak nie zginiemy.

Za glinianym murem naszym oczom ukazują się szafasy i lepianki. Tutejsze chaty, niskie i kwadratowe jak te w slumsach Lagos, pławią się w słońcu. W oddali majaczy największy z domów, na którym widnieje dobrze mi znana pieczęć. Rzeźbiony śnieżny lampartus z groźnie obnażonymi kłami błyszczy w słońcu.

– Posterunek straży – szepczę zeszywniała.

Choć królewska pieczęć jest wyryta w glinie, zdaje się falować jak aksamitne chorągwie w sali tronowej ojca. Po Obławie zrezygnował ze starej pieczęci ze wspaniałym lworożcem, przy którym zawsze czułam się bezpieczna. Nowym symbolem naszej władzy ogłosił śnieżnego lampartusa – najzimniejszą z bestii.

– Amari.

Zélie zsiada z Najli, szczelniej owija twarz chustą i daje mi znak, żebym zrobiła to samo.

Tzain ześlizguje się z grzbietu lworożki i oddaje nam swój bukłak.

– Rozdzielmy się. Lepiej, żeby nie widziano nas razem. Wy nabierzcie wody. Ja poszukam jakiegoś noclegu.

Zélie kiwa głową i odchodzi, ale ja znów nie mogę się ruszyć.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie Tzain.

Potwierdzam skinieniem, ale nie potrafię wyrzec ani słowa, jakby na widok królewskiej pieczęci język przysechł mi do podniebienia.

– Trzymaj się blisko Zélie.

Bo jesteś słaba, dopowiadam sobie w myślach, mimo że ciemne oczy Tzaina patrzą serdecznie. *Bo choć masz miecz, sama się nie obronisz.*

Ściska mi ramię, po czym bierze Najlę za cugle i rusza w przeciwnym

kierunku. Patrzę na jego szerokie barki i korci mnie, żeby pójść za nim, ale słyszę, że Zélie szepcze moje imię.

Wszystko będzie dobrze. Moje oczy uśmiechają się do Zélie, która jednak w ogóle tego nie widzi. Po Sokoto miałam wrażenie, że zaczyna patrzeć na mnie łaskawiej, ale cała życzliwość, jaką udało mi się zaskarbić, przepadła w chwili, gdy mój brat pojawił się koło świątyni. Od czterech dni Zélie praktycznie się do mnie nie odzywa, jakbym to ja zabiła Lekana. Unika mojego wzroku, czasem tylko przyłapuję ją na tym, że gapi się na moje plecy.

Idziemy pustymi uliczkami, na próżno rozglądając się za jedzeniem. Moje gardło domaga się chłodnej wody, żołądek – świeżego bochenka chleba, smacznej pieczeni. Ale to miejsce ma niewiele wspólnego z dzielnicą kupiecką Lagos – nie ma tu barwnych wystaw sklepowych z mnóstwem soczystych przysmaków. Na pierwszy rzut oka wioska pod względem obfitości jedzenia niewiele się różni od otaczającej ją pustyni.

– Bogowie! – przeklina Zélie pod nosem. Przystaje na moment cała roztrzęsiona. Choć słońce praży wściekle, zęby jej szcękają niczym w lodowatej kąpieli. Od czasu swojego przebudzenia trzęsie się coraz częściej, za każdym razem, gdy wyczuwa bliskość duchów zmarłych.

– Aż tyle ich tu jest? – pytam szeptem.

– To jak spacer przez cmentarz – odpowiada w przerwie między dreszczami.

– Nic dziwnego, biorąc pod uwagę ten morderczy upał.

– Czy ja wiem. – Zélie się rozgląda, poprawia sobie chustę. – Za każdym razem czuję smak krwi.

Choć leje się ze mnie pot, jej słowa przeszywają mnie chłodem. Jeśli Zélie czuje smak krwi, chyba wolę nie wiedzieć, skąd on się bierze.

– A może... – Urywam, bo na ulicy przed nami pojawiła się grupa mężczyzn. Twarze mają zakryte maskami, lecz na zakurzonych pelerynach dostrzegam królewską pieczęć Oriszy.

Strażnicy.

Chwytam się Zélie, która sięga po kij. Od żołnierzy zalatuje mocnym

trunkiem; niektórzy potykają się o własne nogi. Czuję, jak trzęsą mi się kolana.

Na szczęście strażnicy rozchodzą się wśród lepianek – znikają równie szybko, jak się pojawili.

Zélie odpycha mnie, tak że prawie ląduję w piasku. W jej oczach, inaczej niż w oczach Tzaina, nie ma cienia życzliwości. Płoną gniewem.

– Weź się w garść – rzuca do mnie.

– Ja tylko... – Mój głos brzmi słabo wbrew mojej woli. – Przepraszam. Nie spodziewałam się.

– Jeśli zamierzasz grać księżniczkę, lepiej od razu oddaj się w ręce straży. Nie jestem tu po to, żeby cię bronić, tylko żeby walczyć o magię.

– Jesteś niesprawiedliwa. – Krzyżuję ramiona na piersiach. – Ja też walczę.

– Biorąc pod uwagę, że ten los zgotował nam twój ojciec, mogłabyś się bardziej postarać.

Po tych słowach Zélie odwraca się i odchodzi w tumanie kurzu. Z twarzą w ogniu podążam za nią, ale tym razem trzymam się na odległość.

Zmierzamy w stronę głównego placu Ibedzi, płataniny uliczek z lepiankami z czerwonej gliny. Znów natykamy się na szlachciców: w jaskrawych jedwabiach, otoczeni służącymi, rzucają się w oczy z daleka. Choć nie widzę wśród nich żadnej znajomej twarzy, poprawiam chustę w obawie, że ktoś mnie rozpozna. Co oni wszyscy tu robią, tak daleko od stolicy? Więcej jest tylko niewolników i dybiarzy.

Zatrzymuję się na chwilę zdumiona ich liczbą na wąskiej uliczce. Wcześniej widywałam tylko robotników pełniących służbę w pałacu – zawsze miłych, czystych, schludnych zgodnie z oczekiwaniami matki. Myślałam, że wszyscy, tak jak Binta, wiodą proste życie w naszych bezpiecznych murach. Nigdy się nie zastanawiałam, skąd przybyli ani dokąd jeszcze mogli trafić.

– Nieba...

Widok jest nie do zniesienia. Robotników, głównie ibawitów, jest znacznie więcej niż mieszkańców. Chodzą w strzępach. Spieczona ciemna skóra, pokryta jakby wrośniętym brudem i piaskiem, łuszczy się i złazi. Wyglądają

jak żywe szkielety.

– Co tu się dzieje? – szepczę, zliczając dzieci zakute w łańcuchy. Wszyscy niewolnicy są młodzi, nawet najstarszy wydaje się młodszy ode mnie. Na próżno rozglądam się za czymś, co tłumaczyłoby ich obecność: za jakimś kamieniołomem, nowo ułożoną drogą albo budowaną fortecą. – Co oni tutaj robią?

Zélie wymienia spojrzenia z ciemną dziewczyną o długich białych włosach podobnych do jej własnych. Ma na sobie podartą białą suknię. Oczy młodej robotnicy są zapadnięte, jakby pozbawione życia.

– Wzięto ich w dyby – mamrocze Zélie. – Idą tam, dokąd im każą.

– Ale chyba nie wszędzie wyglądają tak źle?

– W Lagos widziałam ludzi, którzy wyglądali jeszcze gorzej.

Zélie rusza w stronę posterunku straży na placu. Żołądek się we mnie wywraca, lecz nie ma to nic wspólnego z głodem. To moja reakcja na bolesną prawdę.

Przez tyle lat siedziałam cicho przy stole.

Kiedy ja popijałam herbatę, ludzie ginęli.

Unikając wzroku łypiącego w naszą stronę strażnika, pochylam się nad studnią, by napełnić bukłak. Zélie robi to samo.

Trach! Miecz strażnika spada wściekle na drewniany brzeg studni.

Odskakujemy przestraszone. Ostrze utkwilo w miejscu, gdzie chwilę wcześniej spoczywała dłoń Zélie, która teraz odruchowo zaciska drżące palce na kiju schowanym za pasem.

Przesuwam wzrokiem od czubka miecza do ponurej twarzy żołnierza. Mahoniowa skóra pociemniała od słońca, lecz oczy błyszczą jasno.

– Wiem, że wy, glisty, nie umiecie czytać – rzuca w stronę Zélie – ale na litość niebieską, nauczcie się chociaż liczyć.

Trąca ostrzem sfatygowany znak. Z rowków w drewnianej tablicy osypuje się piasek. Wyblakłe litery układają się w napis: JEDEN KUBEK = JEDEN DUKAT.

– To jakiś żart? – burzy się Zélie.

– Stać nas – szepczę i sięgam do jej sakwy.

– Ale ich nie stać! – Zélie wskazuje palcem robotników.

Ci nieliczni, którzy niosą wiadra, piją wodę tak brudną, że równie dobrze mogliby jeść piasek. Jednak to nie czas na bunt. Czy Zélie tego nie rozumie?

– Najmocniej przepraszam – silę się na jak najbardziej uniżony ton. Prawie można się nabrać. Matka byłaby ze mnie dumna.

Wsadzam strażnikowi w dłoń trzy złote monety, po czym biorę bukłak Zélie, a ją samą odsuwam od studni.

– Proszę. – Podaję jej bukłak z wodą, lecz odpowiada mi tylko pełnym dezaprobaty mlaśnięciem.

Udaje się z bukłakiem do robotników i częstuje białowłosą dziewczynę.

– Pij – mówi do niej. – Szybko. Zanim dozorca zobaczy.

Młoda niewolnica nie zwleka ani chwili. Pije duszkiem, zapewne pierwszy raz od wielu dni. Po kilku tęgich łykach podaje bukłak ibawitce stojącej przed nią. Z ociąganiem wręczam dwa pozostałe bukłaki innym robotnikom.

– Masz zbyt dobre serce – szepcze dziewczyna do Zélie, zlizując ostatnie krople z ust.

– Przykro mi, że nie mogę zrobić dla was nic więcej.

– Zrobiłaś bardzo dużo.

– Dlaczego jest was aż tylu? – pytam, choć suszy mnie w gardle.

– Dybiarze przywieźli nas na arenę. – Dziewczyna wskazuje ruchem brody jakieś miejsce ledwie widoczne za glinianym murem.

W pierwszej chwili widzę tylko falujące czerwone wydmy, ale potem z rozedrganego żarem powietrza wyłania się amfiteatr.

Nieba...

Nigdy w życiu nie widziałam tak ogromnej budowli. Złożona z szeregu nadgryzionych zębem czasu filarów i łuków arena zajmuje spory kawał pustyni.

– Budujecie ją? – Unoszę brwi.

Ojciec na pewno nie wydałby zgody na budowę czegoś tak wielkiego na takim odludziu. Sucha pustynia nie sprzyja osiedlaniu większej liczby poddanych.

Dziewczyna kręci przecząco głową.

– Rywalizujemy na niej. Dybiarze obiecują umorzyć długi zwycięzców.

– Rywalizujecie? – Zélie marszczy czoło. – O co? O wolność?

– I bogactwo – włącza się do rozmowy inny niewolnik z kroplą wody na brodzie. – O tyle złota, ile zmieściłoby się w morzu.

– Nie dlatego każą nam rywalizować – przerywa mu dziewczyna. – Szlachcice i tak już są bogaci. Nie potrzebują więcej złota. Tak naprawdę chodzi o relikwię Babalúajégo.

– Babalúajégo?

– Boga zdrowia i choroby – wyjaśnia Zélie. – Według legendy każdy bóg ma jakąś relikwię. Babalúajé ma *ohun èsò aiyé*, klejnot życia.

– Czy on istnieje naprawdę? – pytam.

– To tylko mit – odpowiada Zélie. – Historia opowiadana ibawitom do snu.

– To nie mit – poprawia ją dziewczyna. – Widziałam go na własne oczy. To bardziej kamień niż klejnot, ale jest prawdziwy. Daje nieśmiertelność.

Zélie przechyla głowę.

– Ten kamień – podejmuje zniżonym głosem. – Jak on wygląda?

ROZDZIAŁ 23



ZÉLIE

O zachodzie słońca arena rozbrzmiewa pijackim gwarem szlachciców. Mimo zapadającego zmierzchu amfiteatr jaśnieje w blasku latarni przytwierdzonych do murów. Przeciskamy się przez tabuny strażników i arystokratów, którzy zajmują miejsca na kamiennych trybunach. Trzymam się Tzaina, żeby się nie przewrócić.

– Skąd ci wszyscy ludzie się tu wzięli? – mamrocze mój brat. Wpycha się między dwóch kosidan w brudnych kaftanach.

Choć Ibedzi liczy ledwie kilkuset mieszkańców, trybuny zapełniły się tysięcznym tłumem, w którym zaskakująco wielu jest kupców i szlachciców. Wszyscy wpatrują się niecierpliwie w nieckę areny, wyczekując rozpoczęcia zawodów.

– Ty drzysz – zwraca się do mnie Tzain, kiedy siadamy.

Istotnie, mam gęsią skórkę.

– Tu są setki duchów – szepczą. – Mnóstwo ludzi tutaj zginęło.

– Nie dziwi mnie to, jeśli przy budowie pracowali niewolnicy. Pewnie padali jak muchy.

Kiwam głową i biorę łyk wody, by choć na chwilę zmyć z języka uporczywy smak krwi. Nie mogę się go w żaden sposób pozbyć. Zbyt wiele otacza mnie dusz uwieczonych w piekle apâdi.

Zawsze mnie uczono, że kiedy Oriszanie umierają, ich duchy wznoszą się do alâfii. To stan niezmaconego spokoju i wyzwolenia od ziemskich cierpień, który istnieje tylko w miłości bogów. Jednym z naszych świętych obowiązków jako Żniwiarzy było kierowanie do alâfii zabłąkanych dusz, które

odwdzięczały nam się swoją siłą.

Jednak duchy obarczone grzechem lub strasznymi przeżyciami nie mogą się wznieść do alâfii; nie potrafią wzlecieć ponad ziemię. Związane swoim bólem pozostają w apâdi, gdzie wciąż od nowa przeżywają najgorsze cierpienia, jakie ich spotkały na człowieczym padole.

Jako dziecko podejrzewałam, że apâdi to mit, wygodny sposób na utrzymanie dzieci w karności. Teraz, jako przebudzona Żniwiarka, czuję męki tych duchów, ich nieustającą agonię, niekończący się ból. Toczę wzrokiem po arenie i nie mogę uwierzyć, jak wiele duchów po dziś dzień tkwi w piekle tych murów. Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Co tu się wydarzyło, na litość bogów?

– Nie powinniśmy się rozejrzeć? – szepcze Amari.

– Poczekajmy, aż rozpoczną się zawody – odpowiada Tzain. – Wtedy wszyscy będą pochłonięci widowiskiem.

Czekając, spoglądam ponad jedwabiami arystokratów na metalową podłogę areny. Dziwnie wygląda wśród piaskowych cegieł, popękanych schodów i łuków. Szukam wzrokiem śladów przelanej krwi, choćby jednej rysy od miecza lub wielkich szponów dzikich bestii, ale metal jest nieskazitelny. *Niby co to za rywalizacja...*

Rozlega się dzwonek.

Podnoszę oczy wśród radosnego poruszenia. Wszyscy nagle wstają z miejsc – Amari i ja też musimy, żeby cokolwiek widzieć. Publiczność wiwatuje głośnie, gdy po metalowych schodach na wysoką platformę zaczyna się wspinać zamaskowany mężczyzna w czarnym ubraniu. Otacza go jakaś dziwna aura, coś złocistego i budzącego szacunek.

Prowadzący zdejmuje maskę, odsłaniając uśmiechniętą, opaloną jasnobrązową twarz. Podnosi do ust metalowy różek.

– Czy jesteście gotowi?

Tłum odpowiada rykiem, od którego dzwoni mi w uszach. Gdzieś w oddali przetacza się niski pomruk, narastający z każdą sekundą, aż wreszcie...

Z obu stron areny otwierają się żelazne bramy i wlewa się do niej woda. *To*

musi być miraż, myślę, lecz woda płynie bez przerwy. Zakrywa metalową podłogę, hucząc prawie jak morze.

– Nie do wiary – szepczę przez zaciśnięte zęby, przypominając sobie robotników, te żywe szkielety obciążone skórą. Tylu ludzi umiera z pragnienia, a wodę marnuje się na coś takiego?

– Nie słyszycie was! – zagrzewa prowadzący. – Jesteście gotowi na bitwę wszech czasów?

Pijana publika zdiera sobie gardła. Otwierają się kolejne bramy i na wody areny wpływa jeden po drugim dziesięć drewnianych statków pod żaglami. Każdy ma około dziesięciu metrów długości. Członkowie załóg zajmują miejsca przy sterach i armatach.

Na każdym z mostków stoi galowo ubrany kapitan. Lecz na widok reszty załogi serce mi zamiera.

Niewolnica w białej sukni, ta, która opowiedziała nam o kamieniu, siedzi ze łzami w oczach wśród wiosłarzy. Piersz jej faluje. Ścisła wiosło jak linę ratunkową.

– Dziś dziesięciu kapitanów z całej Oriszy stoczy bój o bogactwa, jakich nie ma sam król. Kapitan i załoga, którzy zwyciężą, skąpią się w morzu chwały, w oceanie złota! – Na znak prowadzącego dwaj strażnicy wytaczają ogromny kufer pełen lśniących dukatów. Szelest chciwego zachwyty rozchodzi się po trybunach. – Zasady są proste: zwycięży ten, kto zabije wszystkich pozostałych kapitanów oraz ich załogi. W ostatnich dwóch miesiącach nikt nie wyszedł żywy z tej batalii. Czy dziś wreszcie będzie nam dane nagrodzić zwycięzcę?

Znowu wybucha entuzjastyczna wrzawa. Kapitanowie przyłączają się do niej, słuchają słów prowadzącego z błyskiem w oczach. W przeciwieństwie do bezsilnych członków załogi nie widać po nich strachu.

Myślą tylko o wygranej.

– Dziś na zwycięskiego kapitana czeka specjalna nagroda, świeże znalezisko cenniejsze od wszystkich dotychczasowych trofeów. Nie wątpię, że to właśnie na wieść o tej wspaniałej nagrodzie zjawiliście się dzisiaj tak

licznie. – Mężczyzna przechadza się po platformie, budując napięcie.

Gdy znów podnosi metalowy rozek do ust, przenika mnie dreszcz niepokoju.

– Kapitan, który zwycięży, odjedzie nie tylko ze złotem. Otrzyma też klejnot życia, który zaginął przed wiekami i dopiero teraz się odnalazł. Legendarną relikwię Babalúajęgo! Dar nieśmiertelności! – Mężczyzna wyjmując z płaszcza świecący kamień.

Spoglądam oniemiała. Kamień słoneczny olśniewa teraz jeszcze bardziej niż na ożywionym przez Lekana fresku. Jest rozmiarów kokosa, mieni się żółto, pomarańczowo i czerwono pod gładką kryształową powłoką. Oto czego potrzebujemy, aby spełnić rytuał.

Ostatnia rzecz niezbędna do odrodzenia magii.

– Ten kamień czyni nieśmiertelnym? – Amari przekrzywia głowę. – Lekan nic o tym nie wspominał.

– Owszem – przyznaję – ale może to prawda.

– Jak myślisz, kto wy...

Lecz Amari nie kończy zdania: przerywa jej ogłuszający huk pierwszego wystrzału z armaty, który wprawia w drżenie całą arenę.

Kula armatnia wylatuje z masywnej lufy i trafia w cel z morderczą precyzją, z miejsca kładąc trupem wioślarzy na sąsiednim okręcie.

– Uch! – Choć stoję w bezpiecznej odległości, wściekły ból rozdziera mi ciało i czuję w ustach smak krwi. Trafiony statek idzie na dno, a okrzyki rozochoczonej publiczności mieszają się w mojej głowie z wrzaskami zabitych. – Czuję to – mówię, zaciskając zęby, żeby sama nie krzyżeć. – Czuję śmierć każdego z nich.

To jak więzienie, z którego nie ma ucieczki.

Armatnie wystrzały wstrząsają murami, drzazgi fruwią w powietrzu, tonie kolejny okręt. Deszcz ciał i krwi spada do wody, rozbitkowie walczą o życie.

Każda kolejna śmierć uderza mnie z taką siłą jak duch Lekana w Chândomblé przenikający moje ciało i umysł. Zalewają mnie przypadkowe urywki wspomnień. Ból ofiar piętrzy się we mnie, aż robi mi się ciemno przed

oczyma. Przez chwilę widzę wśród fal dziewczynę w białej sukience tonącą w czerwieni.

Tracę rachubę czasu – nie wiem, czy ten koszmar trwa dziesięć minut, czy dziesięć dni.

Gdy rozlew krwi dobiega wreszcie końca, czuję się tak słaba, że ledwie myślę i oddycham. Z dziesięciu okrętów i kapitanów niewiele pozostało: porozrywali się nawzajem na strzępy.

– Wygląda na to, że mamy kolejną batalię bez zwycięzcy! – Dudniący głos prowadzącego zagłusza okrzyki widzów. Mężczyzna unosi klejnot do światła.

Kamień połyskuje nad morzem szkarłatu, lśni ponad zwłokami unoszącymi się wśród szczątków okrętów. Publiczność krzyczy teraz jeszcze głośniejsze. Chcą więcej krwi.

Domagają się kolejnej bitwy.

– Będziemy musieli poczekać do jutra. Może wtedy któremuś z kapitanów uda się zdobyć to cudo!

Tulę się do brata i zamykam oczy. Wygląda na to, że prędzej wszyscy zginiemy, niż przechwycimy ten kamień.

ROZDZIAŁ 24



INAN

Odległe krzyki dybiarzy mieszają się z cichym stukotem narzędzi. Nad tym wszystkim górują niecierpliwe powarkiwania Kei. Choć nie zapaliła się do mojego pomysłu, pilnie nadzoruje postępy prac. Po trzech dniach most jest na ukończeniu.

Ale choć nasza przeprawa na drugą stronę nabiera kształtu, wciąż nie udało mi się wpaść na żaden nowy trop. Świątynia jest zagadką, głęboką tajemnicą, której nie umiem rozgryźć. Nie pomaga nawet popuszczenie cugli mojej mocy. A czas płynie.

Jeśli mam odnaleźć tę dziewczynę, będę musiał otworzyć przed magią duszę na oścież.

Przeraża mnie ta myśl, bo przecież to wbrew wszystkiemu, w co wierzę. Trzeba jednak wybrać mniejsze zło. Obowiązek nade wszystko. Orisza jest najważniejsza.

Oddycham głęboko i stopniowo puszczam w sobie wszystkie cugle. Ból w piersi słabnie, a po chwili moją skórę ogarnia magiczne mrowienie.

Liczę, że poczuję znajomy morski zapach, lecz tak jak w poprzednich dniach owiewa mnie tylko woń drewna i węgla.

Gdy skręcam za róg, zapach staje się nie do zniesienia. W powietrzu wisi turkusowy obłoczek. Przecinam go dłonią, pozwalając, by świadomość Lekana wsączyła mi się do głowy.

Za kolejnym załomem rozbrzmiewa głośny śmiech. Zalany wspomnieniami sêntaro przywieram do chłodnego muru. Mijają mnie widmowe dzieci – nagie, pomalowane i piszczące z radości. Ich wesołe krzyki odbijają się echem

od kamiennych ścian.

Nie są prawdziwe, powtarzam sobie, by uspokoić rozkołatane serce. Lecz choćbym nie wiem jak kurczowo chwycił się tego kłamstwa, figlarny błysk w oku jednego z malców odsłania przede mną prawdę.

Z pochodnią w ręku idę dalej wąskimi korytarzami świątyni. Przez chwilę czuję leciutki powiew morskiej bryzy, woń soli przytłumioną zapachem węgla. Za zakrętem ukazuje się kolejna turkusowa chmura. Wbiegam w nią i zaciskam zęby, ponownie dopuszczając do siebie przebłysk świadomości Lekana. Mocny zapach drewna zagłusza wszystkie inne. Powietrze drgnęło. Słyszę cichy głos.

Czy masz imię?

Zastygam nieruchomo. Dwa kroki przede mną ukazuje się drobna postać Amari. Moja siostra patrzy na mnie złęknionym wzrokiem bursztynowych oczu. Owiewa mnie kwaśna, gryząca woń i odruchowo marszczę nos.

Każdy ma imię, dziecko.

Oj, nie chciałam...

Lekan. Olamilekan.

Na widok Amari omal nie parskam śmiechem. W przebraniu prostej dziewczyny wygląda dość absurdalnie. Mimo wszystko to wciąż ta sama Amari: mur milczenia skrywający gmatwaninę uczuć.

Wdziera mi się moje własne wspomnienie: krótkie spojrzenie, które wymieniałem z nią nad dzielącą nas przepaścią. Myślałem, że ją uratuję, a tymczasem stałem się przyczyną jej cierpienia.

Moje bogactwo... się pomnoży?

Z pamięci Lekana wyłania się magiczka w migoczącym blasku pochodni.

Pamiętasz naszą mowę?

Troszeczkę. Mama mnie uczyła, jak byłam mała.

Nareszcie. Po tylu dniach morski zapach uderza mnie z siłą podmuchu wiatru. Jednak po raz pierwszy, odkąd nasze drogi się przecięły, na jej widok nie sięgam odruchowo po miecz. W oczach Lekana wydaje się łagodna, mimo że jest w niej coś uderzającego. Blask ciemnej skóry w świetle pochodni

wydobywa na wierzch duchy w jej srebrnych oczach.

To ona, słyszę myśli Lekana. Cokolwiek by się działo, nie może zginąć.

– Ona, czyli kto? – zastanawiam się na głos. Odpowiada mi tylko cisza.

Obraz dziewczyny rozwiewa się, podobnie jak jej zapach. Szukam na nowo tego przeblysku, ale niczego nie znajduję. Znow mam przed sobą tylko powietrze. Ruszam dalej.

Słucham echa własnych kroków i czuję zmianę zachodzącą w moim organizmie. Tłamszenie klątwy mnie wyczerpywało. Każdy mój oddech był obarczony dodatkowym wysiłkiem. Teraz, choć buzująca magia ściska mnie w dołku, moje ciało cieszy się odzyskaną wolnością. Tak jakbym się wynurzył i nabrał powietrza po całych wiekach duszenia się pod wodą.

Oddycham głęboko i z nową energią maszeruję dalej w głąb świątyni. Tropię ducha Lekana, szukam odpowiedzi, chcę znow odnaleźć dziewczynę. Skręcam za róg i zapach jego duszy znowu mnie osacza. Wchodzę do wielkiej sali z kopułą. Resztki świadomości Lekana odzywają się tutaj silniej niż kiedykolwiek wcześniej. Turkusowa chmura obejmuje prawie całą przestrzeń. W jednej chwili grocie zalewa białe światło.

Choć stoję w cieniu, pamięć Lekana rozjaśnia wszystkie skalne ściany. Z rozdziawionymi ustami przyglądam się niesamowitym freskom przedstawiającym bogów. Każdy portret skrzy się kolorami.

– Co to jest? – szepczę sam do siebie z mimowolnym podziwem. Malowidła są tak sugestywne, że postacie zdają się ożywać.

Unoszę pochodnię ku bogom i boginiom, ku magom tańczącym u ich stóp. Imponujące. Zniewalające. Zadaje kłam wszystkiemu, czego mnie uczono.

Ojciec zawsze mi wpajał, że wiara w mity o bogach jest oznaką słabości. „Tacy ludzie, mawiał, opierają się na istotach, których nie widzą, podporządkowują całe swoje życie bytom bez twarzy”.

Ja od małego wierzyłem w tron. W ojca. W Oriszę. Teraz jednak patrzę na bogów i brakuje mi słów.

Podziwiam oceany i lasy, które wychodzą spod ich rąk, jakby cała Orisza była ich dziełem. Wszystko tchnie dziwną radością, intensywnym blaskiem,

którego istnienia nigdy nie podejrzewałem.

Patrząc na to malowidło, staję w obliczu prawdy. Ojciec się mylił. Bogowie istnieją. Żyją. Łączą magów niewidzialną nicią. Ale jeśli to wszystko prawda, dlaczego, na litość niebieską, jeden z nich połączył się ze mną?

Jeszcze raz analizuję każdy portret z osobna, przyglądam się różnym rodzajom magii wypływającym z boskich rąk. Zatrzymuję się na bóstwie odzianym w bogatą kobaltową szatę. Moja klątwa rozpała się na jego widok.

Bóg jest wysoki, imponujący, muskularny, z szeroką piersią przepasaną niebieską szarfą, która odcina się wyraziście od ciemnobrazowej skóry. W jego dłoniach wiję się wstęga turkusowego dymu, podobna do zwiewnych chmur, jakie towarzyszą mojej klątwie. Znow czuję pod czaszką pulsowanie energii. Pojawia się kolejna błękitna chmura i słyszę w głowie niski głos Lekana.

Orí wziął od Niebiańskiej Matki spokój i stał się bogiem umysłu, ducha i snów. Na ziemi podzielił się swoim wyjątkowym darem z wyznawcami, dzięki czemu mogli łączyć się z każdą istotą ludzką.

– Bóg umysłu, ducha i snów... – powtarzam szeptem, łącząc elementy układanki w jedną całość. Głosy. Przebłyski cudzych uczuć. Dziwny, jak ze snu krajobraz, do którego się przeniosłem. Teraz wszystko jasne.

Oto moje bóstwo.

Temu odkryciu towarzyszy przyływ złości. *Jakim prawem?* Jeszcze kilka dni temu w ogóle nie wiedziałem o istnieniu tego boga, a teraz uparł się, że będzie mnie zatruwał?

– Dlaczego? – wołam, a mój głos odbija się echem pod kopułą. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby bóg mi coś odkrzyknął, ale odpowiedzią jest cisza. – Pożałujesz tego – mamroczę pod nosem.

Sam już nie wiem, czy to jedynie oznaka mojego szaleństwa, czy może jednak bóg jest w stanie usłyszeć moje słowa wśród zgiełku świata. Niech dobrze zapamięta ten dzień. Magia, którą na mnie zesłał, posłuży do zniszczenia magii.

Obracam się ze ściśniętym żołądkiem i przyzywam swoją klątwę. Nie ma

sensu dłużej się przed nią bronić. Jeśli chcę znaleźć odpowiedzi, których szukam, pozostaje mi tylko jedno.

Osuwam się na ziemię i zamykam oczy, pozwalam światu odpłynąć, a magii wypełnić moje żyły. Żeby zabić klątwę, muszę się najpierw przed nią odsłonić.

Muszę zasnąć.

ROZDZIAŁ 25



ZÉLIE

– Czysto?

Amari zerka na korytarz prowadzący ku arenie. Nad sobą mamy skruszałe łuki, pod sobą – spękane kamienne płyty. Gdy kroki cichną, Amari daje nam znak i ruszamy biegiem. Mijamy prędko stare kolumny, modląc się, by nikt nas nie zauważył.

Parę godzin po tym, jak umarł ostatni niewolnik, a widzowie opuścili swoje miejsca, strażnicy wypompowali czerwone morze. Myślałam, że koszmarne widowisko na tym się zakończy, ale teraz po pustych trybunach niesie się stukot lasek. Wpuszczono nową grupę robotników, których zadaniem jest zmyć ślady krwi pozostałe na arenie. Trudno mi sobie wyobrazić, co oni czują. Sprzątają po dzisiejszej rzezi przed jutrzejszą, w której sami wezmą udział.

Wróć tutaj, postanawiam. Uratuję ich. Kiedy już odprawię rytuał, odrodzę magię i będę miała pewność, że Baba jest cały i zdrow. Skrzyknę Ziemiowców i pogrzebiemy tego molocha w piasku. Prowadzący zapłaci za przelaną krew ibawitów. Wszyscy szlachcice odpowiedzą za swoje zbrodnie.

Te myśli o zemście przynoszą mi ukojenie, gdy posuwamy się wzdłuż szorstkiej ściany. Zamykam oczy, aby móc się głębiej skoncentrować. Kamień słoneczny z daleka budzi aszê w mojej krwi. Gdy otwieram oczy, jaśniej nieprawo, jak świetlik znikający w mroku nocy. Ale z czasem zaczyna się jarzyć coraz silniej, aż czuję jego ciepło pod stopami.

– Pod nami – szepczę.

Kawałek dalej znajdujemy schody. Im jesteśmy bliżej zakrwawionej areny, tym bardziej trzeba uważać, żeby nikt nas nie zobaczył. Kiedy docieramy na

sam dół, strażnicy i niewolnicy są dosłownie tuż obok. Stukot lasek przykrywa odgłosy naszych kroków. Znikamy w przejściu zwieńczonym kamiennym łukiem.

– To tu.

Wskazuję wielkie żelazne drzwi. Przez szpary wylewa się jasne światło, ciepło kamienia słonecznego unosi się w powietrzu. Dotykam zardzewiałej obręczy zablokowanej ogromną kłódką.

Wyjmuję sztylet, który dał mi Tzain, i wpycham ostrze do wąskiej dziurki w kłódkę. Napieram, lecz czubek noża grzeźnie w skomplikowanym układzie ząbków.

– Uda ci się ją otworzyć? – pyta mnie Tzain.

– Staram się – mówię.

To nie jest zwyczajny zamek. Żeby sobie z nim poradzić, będę potrzebowała czegoś ostrzejszego, czegoś z haczykiem.

Podnoszę z podłogi cienki zardzewiały gwóźdź i wyginam koniec o ścianę. Zamykam oczy i koncentruję się na drobnych ząbkach mechanizmu zamka. *Bądź cierpliwa*, przypominam sobie radę Mamy Agby. *Niech dotyk stanie się twoim wzrokiem.*

Z bijącym sercem nasłuchuję kroków na korytarzu. W końcu ząbki ustępują. Jeszcze tylko jeden lekki obrót w lewo i...

Klik. Na widok otwartej kłódky doznaję takiej ulgi, że chce mi się płakać. Chwytam żelazną obręcz i ciągnę ją w lewo, lecz ani drgnie.

– Zapieczęła się.

Amari stoi na czatach, a Tzain mocuje się z obręczą. Metal piszczy i jęczy – gdyby dobiegły nas krzyki strażników, pewnie byśmy ich teraz nie usłyszeli – ale zardzewiałe koło nadal tkwi w miejscu.

– Ostrożnie! – mówię.

– Robię, co mogę.

– Postaraj się bardziej...

I wtedy obręcz odrywa się z głośnym brzękiem. Patrzymy tępo na żelazne

koło w rękach mojego brata. I co my teraz zrobimy, na bogów?

Tzain napiera barkiem na drzwi. Zadrżały pod jego ciężarem, ale nie chcą ustąpić.

– Strażnicy cię usłyszą! – szepcze Amari.

– Musimy zdobyć ten kamień! – odpowiada Tzain. – Jak inaczej mamy się tam dostać?

Każda kolejna próba Tzaina wywołuje grymas na mojej twarzy, ale trudno nie przyznać mu racji. Kamień jest tak blisko, że bijące od niego ciepło rozgrzewa mnie jak świeżo rozpalone ognisko.

Moje myśli zmieniają się w ciąg przekleństw. *Bogowie, gdybyśmy tak mieli do pomocy jeszcze jednego maga. Spajacz mógłby odkształcić metalowe drzwi. Ogniarz mógłby je stopić.*

Pół miesiąca, przypominam sobie. Zostało nam pół miesiąca.

Jeżeli chcemy zdążyć przed solstycjum, musimy zdobyć ten kamień dzisiaj.

Drzwi ustępują na milimetr. Uff. Już blisko. Czuję to. Jeszcze parę uderzeń i się otworzą. Jeszcze parę pchnięć i kamień będzie nasz.

– Hej!

Na dźwięk głosu strażnika zastygamy w bezruchu. Dudnienie kroków po kamiennej podłodze zbliża się w zatrważającym tempie.

– Tutaj! – Amari wskazuje miejsce tuż przy drzwiach do kamienia słonecznego, zastawione kulami armatnimi oraz skrzyniami prochu. Przykucamy za nimi.

Chwilę później do magazynu wpada młody ibawita, jego białe włosy błyskają w półmroku. Nie ma dokąd uciec, prowadzący i drugi strażnik już go prawie mają, lecz na widok uchylonych drzwi do kamienia słonecznego stają jak wryci.

– Ty glisto. – Usta prowadzącego wykrzywiają się pogardliwie. – Dla kogo pracujesz? Kto to zrobił?

Nie czekając, aż chłopak odpowie, mężczyzna powala go ciosem kija. Drugi strażnik także zaczyna go bić.

Wzdrygam się za skrzynią, oczy pieką mnie od łez. Chłopak już wcześniej był chłostany, widać to po ranach na jego plecach, ale te potwory nie mają litości. Zatlukają go na śmierć.

Zginie przeze mnie.

– Zélie, nie!

Ostry szept Tzaina zatrzymuje mnie tylko na ułamek sekundy. Opuszczam kryjówkę. Na widok tego biedaka robi mi się niedobrze.

Skórę ma porozdzieraną czerwonymi bruzdami. Plecy ociekają mu krwią. Widzę, jak życie powoli z niego uchodzi.

– Coś ty za jedna? – rzuca w moją stronę prowadzący, dobywając sztylet.

Widok czarnego majacytowego ostrza jeży mi włos. W sukurs prowadzącemu przychodzi jeszcze trzech strażników.

– Dzięki bogom! – Zmuszam się do śmiechu, szukając gorączkowo słów, które pozwolą mi wybrnąć z tej sytuacji. – Wszędzie cię szukałam, panie!

Mężczyzna podejrzliwie mruży oczy. Zaciska palce na lasce.

– Mnie? Tu, w podziemiach? Przy kamieniu?

Pobity chłopak wydaje z siebie jęk. Wzdrygam się nerwowo, gdy jeden ze strażników kopie go z całej siły w głowę. Ciało leży nieruchomo w kałuży krwi. Wygląda na to, że cios był zabójczy. *Ale dlaczego nie wyczuwam obecności ducha?* Gdzie są jego ostatnie wspomnienia? Ostatni ból? Gdyby chłopak trafił prosto do alafii, mogłabym niczego nie poczuć, ale jak można odejść w pokoju po takiej śmierci?

Z obrzydzeniem kieruję wzrok z powrotem na prowadzącego. Nic już nie wskóram. Chłopak nie żyje. I ja też wkrótce będę martwa, jeśli prędko czegoś nie wymyślę.

– Wiedziałam, że cię tu znajdę. – Przetykam głośno ślinę. Tylko jeden pretekst może mnie uratować. – Chcę wziąć udział w jutrzejszych zawodach.

– Chyba sobie żartujesz! – krzyczy Amari, gdy wreszcie wychodzimy na

bezpieczny piasek pustyni. – Widziałaś tę masakrę. Czowałaś ją! A teraz chcesz sama się do niej zgłosić?

– Chcę zdobyć kamień – oświadczam. – Chcę żyć!

Mimo targającej mną złości znów staje mi przed oczami skatowany chłopak.

Miał lepszą śmierć. Lepiej dać się zathuc niż rozerwać na strzepy kulą armatnią. Ale nieważne ile razy bym sobie to powtarzała, i tak wiem, że to nieprawda. Zginął pozbawiony godności, skatowany za coś, czego nie zrobił. A ja nie mogłam nawet pomóc jego duchowi w ostatniej wędrówce. Nie mogłam być Żniwiarką, której potrzebował.

– Tam się roi od strażników – bąkam cicho. – Skoro dziś nam się nie udało wykraść kamienia, jutro też się nie uda.

– Musi być jakiś sposób – włącza się Tzain. Piasek lepi się do krwi na jego stopach. – Po tym, co się stało, nie zostawią kamienia tam, gdzie był. Jeżeli dowiemy się, dokąd go przenieśli...

– Zostało trzynaście dni do solstycjum. Trzynaście dni, żeby przemierzyć Oriszę i popłynąć na świętą wyspę. Nie mamy czasu na szukanie igły w stogu siana.

– Co nam po kamieniu, skoro będziemy martwi? – pyta Amari. – Jak zamierzasz przeżyć? Z tych zawodów nikt nie wychodzi cało!

– Będziemy mieć przewagę nad resztą.

Sięgam do sakwy i wydobywam z niej czarny zwój od Lekana. „Ożywienie zmarłych” – głosi napis lśniącym białym atramentem. Zakłęcie to było jednym z pierwszych, jakie opanowywali młodzi Żniwiarze. Pozwala rzucającemu wesprzeć się mocą ducha uwięzionego w piekle apâdi w zamian za pomoc w przedostaniu się do zaświatów.

Ze wszystkich zaklęć w pergaminach Lekana znałam wcześniej tylko to jedno. Raz w miesiącu Mama udawała się z grupą Żniwiarzy na odludne szczyty Ibadanu i tam używała go, by uwolnić uwięzione dusze z naszej wioski.

– Przeglądałam ten pergamin – tłumaczę prędko. – Tu jest zakłęcie, które

często rzucała moja matka. Jeśli je opanuję, będę mogła przemienić duchy zmarłych na arenie w prawdziwych żołnierzy.

– Chyba postradałaś zmysły! – woła Amari. – Przez te wszystkie duchy ledwie mogłaś oddychać na trybunach. Mam ci przypomnieć, jak długo musiałaś potem odpoczywać? Skoro tam na górze było tak ciężko, dlaczego sądzisz, że poradzisz sobie na dole?

– Byłam przytłoczona, bo nie wiedziałam, co robić. Nie panowałam nad sytuacją. Jeśli nauczę się tego zaklęcia i okiełznam duchy, będziemy mieć armię zjaw. Na tej arenie są tysiące rozgniewanych dusz.

Amari zwraca się do Tzaina.

– Powiedz jej, że to szalony pomysł. Błagam.

Tzain krzyżuje ramiona, spogląda to na mnie, to na Amari.

– Zobacz najpierw, czy zdołasz rozgryźć to zaklęcie – mówi. – Wtedy porozmawiamy.

Chłód bezchmurnej nocy jest prawie tak dokuczliwy jak słońce prażące za dnia. Choć po wydmach wokół Ibedzi hula zimny wiatr, ze mnie leje się pot. Od paru godzin próbuję rzucić zaklęcie, lecz idzie mi coraz gorzej. Wysłałam Tzaina i Amari do chatki, którą wynajęliśmy. Przynajmniej nie muszę się teraz przed nimi wstydzić.

Podnoszę pergamin Lekana do światła księżyca, próbując zrozumieć umieszczone pod znakami tłumaczenie na joruba. Od czasu przebudzenia doskonale pamiętam stary język, jakbym uczyła się go wczoraj. Ale choćbym nie wiem ile razy recytowała słowa, moja aszê nie chce płynąć. Magia nie działa. Jestem coraz bardziej sfrustrowana.

– No dalej. – Zaciskam zęby. – Oya, bá mi sòrò!

Skoro ryzykuję wszystko w imię bogów, dlaczego nie przychodzą mi z pomocą, kiedy najbardziej ich potrzebuję?

Z drżącym westchnieniem opadam na kolana i przesuwam ręką po włosach, jeszcze nie tak dawno prostych, a teraz pofalowanych. W czasach sprzed Obławy nie musiałabym robić tego sama. Klanowa nauczycielka pokazałaby

mi, jak używać zaklęć. Ona by wiedziała, co zrobić, żeby pobudzić moją aszê.

– Oju, proszę. – Znów patrzę na pergamin, sprawdzam, czy na pewno niczego nie przeoczyłam.

Inkantacja powinna ożywić ducha zmarłego, nadać mu fizyczną postać z materiałów, które mnie otaczają. W tym wypadku – z piasku. Lecz minęło już parę godzin, a ja nie poruszyłam ani ziarenka.

Przesuwając palcem po pergaminie, zwracam uwagę na nową bliznę na dłoni. To miejsce, gdzie Lekan rozciął mi skórę kościanym nożem. Podnoszę rękę do światła. Przypominam sobie tamten biały blask mojej krwi. Ten euforyczny przypływ aszê, uniesienie, jakie potrafi wywołać tylko magia krwi.

Gdybym użyła jej teraz...

Na samą myśl serce bije mi mocniej. Zaklęcie przysłoby mi z łatwością. Bez trudu wskrzesiłabym legion duchów.

Zaraz jednak słyszę w myślach zachrypnięty głos Mamy. Przypominam sobie jej zapadłą twarz, płytki oddech. Trzech Uzdrowicieli, którzy prawie nie odchodzili od jej łóżka.

„Obiecuj mi”, szeptała, ściskając mnie za dłoń po tym, jak użyła magii krwi, aby uratować Tzaina. „Przysięgnij, że nigdy tego nie zrobisz. To by cię zabiło”.

Obiecałam. Przyrzekłam na aszê, która popłynie kiedyś w moich żyłach. Nie mogę teraz złamać obietnicy tylko dlatego, że jestem zbyt słaba i nie umiem rzucić zaklęcia.

Ale jeśli mi się nie uda, jakie mam inne wyjście? Dlaczego to jest takie trudne? Jeszcze kilka godzin temu czułam w sobie pulsowanie aszê. Teraz nie czuję nic.

Zaraz.

Patrzę na swoje dłonie i przypominam sobie młodego ibawitę, który wykrwawił się na moich oczach. Nie tylko jego ducha nie poczułam. To się zaczęło jeszcze wcześniej.

Znów czytam pergamin, szukając w słowach ukrytego znaczenia. To było tak, jakby na tej arenie moja magia ze mnie wyparowała. Nie czułam nic,

odkąd...

Minoli.

Dziewczyna w białej sukience. Duże, puste oczy.

Tyle się działo, więc nie zauważyłam, że duch dziewczyny przekazał mi swoje imię.

Inne duchy zabitych na arenie przekazywały swój ból. Swoją nienawiść. Czułam w ich wspomnieniach piekące razy strażniczych batów. Czułam w ustach słone łzy. Lecz Minoli przeniosła mnie na pola Minny, gdzie razem z braćmi i siostrami pracowała przy uprawie kukurydzy. Choć słońce piekło niemiłosiernie, a robota była ciężka, przez cały czas towarzyszyły im uśmiech i piosenka.

– Ìwọ ni ìgbòkànlé mi òrìshà, ìwọ ni mó gbójú lé.

Śpiewam na głos, wiatr niesie moje słowa. Gdy je powtarzam, w głowie zaczyna mi wtórować smętny głos.

To tam Minoli spędziła ostatnie chwile życia. Opuściła krwawą arenę i uciekła myślami na sielską wieś. Tam chciała żyć.

Tam postanowiła umrzeć.

Minoli, szepczę w głąb siebie. Èmí àwọn tí ó ti sùn, mo ké pè yín ní òní. È padà jáde nínú èyà mímọ yín. Súre fún mi pèlú èbùn iyebíye rẹ.

I nagle piasek przede mną zaczyna wirować. Cofam się, patrząc, jak wir unosi się, faluje, by po chwili opaść na ziemię.

– Minoli? – szepczę na głos, choć w głębi duszy znam już odpowiedź.

Zamykam oczy i zapach ziemi wypełnia mi nozdrza. Czuję pod palcami gładkie ziarno kukurydzy. Wspomnienia są żywe, barwne, wyraziste. Skoro mieszkają we mnie z taką siłą, ta dziewczyna też musiała we mnie zamieszkać.

Powtarzam zaklęcie z przekonaniem, wyciągając dłonie w stronę piasku.

– Minoli, przyzywam cię dziś. Objaw się w nowej postaci, obdarz mnie swoim cennym ży...

Białe znaki wyskakują z pergaminu i biegają mi po skórze. Tańczą na moich ramionach i czuję, jak w moje ciało wstępuje nowa siła. Wdziera mi

się do płuc niczym pierwszy oddech po wynurzeniu z wody. Z piaskowej zamieci wyłania się niewyraźna, trochę bezkształtna sylwetka.

– O bogowie.

Wstrzymuję oddech, gdy duch Minoli wyciąga ku mnie dłoń z piasku. Jej ziarniste palce dotykają mojego policzka i ogarnia mnie ciemność.

ROZDZIAŁ 26



INAN

Rzeńskie powietrze wypełnia mi płuca. Wróciłem. Kraina snu żyje wokół mnie. Jeszcze przed chwilą siedziałem pod wizerunkiem Oriego; teraz stoję wśród roztańczonych trzcin.

– Udało się – szepczę z niedowierzaniem.

Dotykam ręką zgarbionych łodyg. Horyzont wciąż ginie w bieli przypominającej chmury, ale coś się zmieniło. Ostatnim razem pole ciągnęło się w nieskończoność. Teraz przywiedłe trzciny otaczają mnie ciasnym kręgiem.

Przesuwam palcami po kolejnej łodydze, zaskoczony nierównym pulsowaniem dobiegającym z jej wnętrza. Instynktownie zaczynam obmyślać drogę ucieczki, plan ataku, lecz moje ciało czuje się tu dziwnie bezpieczne. To coś więcej niż tylko fizyczna ulga, że nie muszę już tłumić magii, że mogę odetchnąć. Panuje tu jakiś nienaturalny spokój, jakby ze wszystkich miejsc w Oriszy właśnie to było moim prawdziwym do...

Skup się, Inanie. Sięgam po pionek do sênetu, lecz tutaj go nie mam. Kręcę więc energicznie głową, jakby dało się z niej wytrząsnąć zdradzieckie myśli. To nie jest mój dom. To nie jest spokój. To jądro mojej klątwy. Jeśli wykonam swoją misję, to miejsce w ogóle nie będzie istniało.

Zabij ją. Zniszcz magię. Poczucie obowiązku szamocze się we mnie, oplata moją istotę. Nie mam wyboru.

Muszę się trzymać planu.

Wyobrażam sobie twarz tej dziewczyny. Nagły podmuch rozchyła trzciny. Magiczka materializuje się przede mną niczym gęstniejąca chmura, błękitny

dym formuje jej ciało od stóp do głów.

Wstrzymuję oddech i liczę sekundy. Gdy dym się rozwiewa, napinam wszystkie mięśnie.

Stoi tyłem do mnie, włosy ma inne niż ostatnio. Już nie proste, ale spływające falistą kaskadą.

Odwraca się. Delikatnie. Niemal z eteryczną gracją. Dopiero gdy jej srebrne oczy napotykalają mój wzrok, wychodzi z niej dumna buntowniczka.

– Widzę, że farbujesz włosy. Chyba powinieneś dodać jeszcze jedną warstwę. Jeśli nie chcesz być wzięty za glistę.

Cholera. Od ostatniego farbowania minęły góra trzy godziny. Odruchowo dotykam białej smugi. Dziewczyna uśmiecha się szerzej.

– Właściwie to się cieszę, że mnie przywołałeś, mały książę. Chciałam cię o coś zapytać, nie daje mi to spokoju. Oboje was wychowywał ten sam zimny drań, a mimo to Amari nie skrzywdziłaby nawet muchy. Powiedz mi, jak to się stało, że wyrosłeś na takiego potwora?

Jej ostre słowa w jednej chwili burzą spokój sennego krajobrazu.

– Głupia – cedzę przez zęby. – Jak śmiesz obrażać swojego króla!

– Jak ci się podobało w świątyni, mały książę? Jak się poczułeś na widok tych ruin? Byłeś dumny? A może chciałbyś kiedyś powtórzyć dzieło ojca?

Ponownie zalewają mnie wspomnienia Lekana. Figlarny wzrok biegnącego chłopca. Zgliszcza i gruzy świątyni nie pozostawiają wątpliwości co do losu, jaki spotkał tych ludzi.

Jakaś mała cząstka mnie modliła się, żeby to nie była wina ojca.

Wyrzuty sumienia przeszywają mnie jak miecz, który przebił pierś Lekana. Nie wolno mi jednak zapominać, ile zależy od mojej misji. *Obowiązek nade wszystko.*

Ci ludzie zginęli, żeby Orisza mogła przetrwać.

– Och, czy mi się zdaje? – Dziewczyna robi krok naprzód. – Czy dostrzegam skruchę? Czyżby królewicz troszkę się wzruszył?

Kręcę głową.

– Jak ty mało wiesz – mówię. – Jesteś zaślepiona. Mój ojciec był kiedyś po waszej stronie. Wspierał magów.

Dziewczyna prycha. Nie powinno mnie to boleć, a jednak czuję się dotknięty.

– Tacy jak ty zabili jego bliskich! – krzyczę. – Sami ściągnęli na siebie Obławę!

Cofa się, jakby uderzona w brzuch.

– A więc to moja wina, że ludzie twojego ojca wdarli się do mojego domu i zabrali moją matkę?

Wspomnienie ciemnoskórej kobiety powraca do niej z taką siłą, że przesącza się do mojego umysłu. Ta kobieta również ma pełne usta, wydatne kości policzkowe i lekko podniesione kąciaki oczu. Jedyna różnica tkwi w spojrzeniu. Tamto nie jest srebrne, lecz ciemne jak noc.

Pod wpływem tego wspomnienia coś w niej twardnieje.

Coś mrocznego.

Nienawistnego.

– Nie mogę się doczekać – szepcze do mnie złowieszczo. – Nie mogę się doczekać, aż się dowie, kim jesteś. Zobaczmy, jaki wtedy będziesz odważny. Kiedy rzuci się na ciebie z mieczem.

Lodowaty dreszcz przebiega mi po kręgosłupie. *Ona nie ma racji.*

Ojciec był skłonny przebaczyć Amari zdradę. Jeśli zniszczę magię, przebaczy i mnie.

– Niedoczekanie – oznajmiam, siląc się na stanowczy ton. – Jestem jego synem. Magia tego nie zmieni.

– Masz rację – odpowiada z kpiącym uśmiechem. – Na pewno cię oszczędzi.

Odwraca się i odchodzi między trzciny. Jej drwina zasiała we mnie zwątpienie. Wyobrażam sobie puste spojrzenie ojca i czuję, jak powietrze wokół mnie rzednie.

Obowiązek nade wszystko, słyszę jego głos. Beznamiętny. Stanowczy.

Orisza zawsze musi stać na pierwszym miejscu.

Nawet jeśli oznacza to moją śmierć...

Dziewczyna wydaje stłumiony okrzyk. Rozglądam się nerwowo po rozfalowanych trzcinach.

– Co się stało? – pytam. *Czyżbym przywołał tutaj ducha ojca?*

Nic się jednak nie ukazuje. W każdym razie żaden człowiek. Dziewczyna powoli rozpląwa się w bieli horyzontu, a trzciny wokół niej zielenieją i rosną.

Po chwili są już prawie wyższe ode mnie. Z każdym jej krokiem w stronę widnokregu rozrastają się coraz bujniej, wyciągają się ku słońcu.

– Co jest, u licha?

Trzciny zalewają horyzont niczym fala morski brzeg, odpychają białą granicę snu. Czuję w środku ciepłe mrowienie. *Moja magia...*

Nie wiem, jak to zrobiła, ale używa mojej magii.

– Stój! – wołam.

Ale dziewczyna rusza biegiem przed siebie. Krajobraz, żywy i dziki, jakby się jej słuchał. Pod jej stopami wyrastają już nie trzciny, ale białe paprocie i wyniosłe drzewa. Rosną hen, aż pod niebo, zakrywając słońce mnóstwem strzępiastych liści.

– Stój! – krzyczę, biegnąc przez ten nowy świat, który za nią powstaje. Robi mi się słabo od buzującej we mnie magii, od jej szumu w skroniach.

Dziewczyna pędzi dalej, teraz już nie po miękkiej ziemi, lecz po twardej skale. Zatrzymuje się dopiero przed wysokim urwiskiem.

– Bogowie – szepcze na widok ogromnego wodospadu, który sama stworzyła własnym dotykiem.

Woda spada ścianą spienionej bieli do jeziora tak błękitnego, że mieni się niczym szafiry matki.

Patrzę zdumiony, nadal czując w głowie rytmiczne tętnienie magii. W dole widać skalne szczeliny wypełnione szmaragdową roślinnością. Na dalekim brzegu jeziora drzewa zacierają się wśród białej mgły.

– Na nieba, jak ty to zrobiłaś? – pytam.

Ten nowy świat, muszę to przyznać, ma w sobie jakieś piękno, które przyprawia mnie o zawrót głowy, jakbym wypił całą butelkę rumu.

Ale dziewczyna w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Wyskakuje z leżących się spodni, wydaje okrzyk i skacze. Chwilę później wpada z pluskiem do wody.

Wychylam się za krawędź urwiska i patrzę, jak się wynurza, cała mokra. Po raz pierwszy widzę ją uśmiechniętą. Oczy rozświecila jej autentyczna radość. Ten widok przenosi mnie zniechcąca do przeszłości. Słyszę śmiech Amari, a potem krzyk matki.

– Amari! – Matka chwyta się ściany, żeby nie przewrócić się na śliskiej posadzce.

Amari chichocze i ucieka, resztki wody z kąpeli spływają z niej na podłogę. W pościg za nią rusza oddział piastunek, lecz mała jest dla nich za szybka. Postanowiła, że ucieknie, i nikt jej teraz nie złapie.

Nie zatrzyma się, dopóki nie osiągnie celu.

Roześmiany do łez przeskakuje nad piastunką, która się przewróciła. W biegu zrzuca z siebie koszulę, a potem spodnie. Służba obserwująca naszą ucieczkę powstrzymuje się od śmiechu, żeby nie narazić się naszej wściekłej matce.

Wreszcie oboje docieramy do pałacowego basenu i wskakujemy z wielkim pluskiem, ochlapując matkę w jej najlepszej sukni...

Nie pamiętam, kiedy ostatnio Amari śmiała się tak bardzo, że woda wychodziła jej nosem. Po tym, jak ją zraniłem, nic już nie było tak jak dawniej. Śmiech Amari był odtąd zarezerwowany dla Binty.

Lecz im dłużej przyglądam się tej pływającej dziewczynie, tym mniej myślę o siostrze. Kiedy pozbywa się koszuli, tracę oddech. Woda migocze wokół jej ciemnej skóry.

Nie patrz. Odwracam głowę, próbuję skupić wzrok na pionowych rowkach urwiska. „Kobiety rozprasają”, powtarzał mi ojciec. „Ty masz się skupić na tronie”.

Samo przebywanie w pobliżu tej dziewczyny ma posmak grzechu, grozi

naruszeniem świętego prawa, które separuje magów i kosidan. Mimo to moje oczy wędrują z powrotem ku jezioru. Nie mogę się powstrzymać.

To fortel, stwierdzam. Kolejny sposób na to, by się zakraść do twojej głowy. Lecz kiedy się wynurza, stoję jak zamurowany.

Jeżeli to fortel, to bardzo skuteczny.

– Naprawdę? – wyrzucam z siebie. Staram się nie zwracać uwagi na kragłoci jej ciała pod zmarszczoną powierzchnią wody.

Spogląda w górę i mruży oczy, jakby dopiero teraz przypomniła sobie o moim istnieniu.

– Wybacz, mały księżę. Nie mogłam się oprzeć. Ostatni raz widziałam tyle wody w dniu, w którym spaliłeś mój dom.

Przypominam sobie płaczących wieśniaków z Ilorinu. Czuję, jak odzywa się we mnie poczucie winy, lecz zgniatam je w sobie jak robaka. *Brednie*. To wszystko jej wina.

Pomogła Amari wykraść pergamin.

– Oszalałaś.

Krzyżuję ramiona na piersiach. *Nie patrz*. Patrzę.

– Gdybyś musiał płacić dukata za kubek wody, tobyś zrozumiał.

Dukata za kubek wody? Ona znów nurkuje, a ja zastanawiam się nad jej słowami. To niemożliwe, żeby gdziekolwiek w królestwie woda tyle kosztowała. Nawet w...

Ibedzi.

Robię wielkie oczy. Słyszałem o nieuczciwych strażnikach z tej osady. O ludziach, którzy zdzierają z mieszkańców za wodę, zwłaszcza gdy jej brakuje. Powstrzymuję uśmiech, który ciśnie mi się na usta. Mam ją. A ona nawet o tym nie wie.

Zamykam oczy, żeby opuścić sen, ale znów przypominam sobie uśmiech Amari.

– Moja siostra... Nic jej nie jest? – przekrzykuję huk wody.

Dziewczyna patrzy na mnie długo. Nie spodziewam się odpowiedzi, ale

widzę w jej oczach jakiś tajemniczy błysk.

– Boi się – mówi w końcu. – Ty też powinienes. Jesteś teraz glistą, królewiczu. – Oczy jej ciemnieją. – Masz się czego bać.

Gęste powietrze wdziera mi się do płuc.

Ciężkie i gorące.

Otwieram oczy i widzę nad sobą malowaną podobiznę Oriego. *Wróciłem.*

– Nareszcie.

Uśmiecham się mimo woli. Już niedługo to wszystko się skończy. Dorwę ją i ten pergamin, a groźba magii zniknie na wieki.

Strużki potu spływają mi po plecach. Mój umysł gorączkowo rozważa kolejne posunięcia. Ile czasu zostało do ukończenia mostu? Jak szybko dotrzemy do Ibedzi?

Zrywam się na równe nogi i podnoszę pochodnię. *Muszę znaleźć Keję.* Lecz kiedy się odwracam, okazuje się, że ona już tu jest.

Stoi przede mną z mieczem. Wymierzonym prosto w moją pierś.

– Keja?

Jej orzechowe oczy są szeroko otwarte. Ręka, w której trzyma miecz, delikatnie drży. Keja przenosi ciężar ciała na drugą nogę.

– Co to było?

– Co masz na myśli?

– Nie udawaj, że nie wiesz – mówi przez zęby. – Mamrotałeś coś. Twoja głowa... świeciła!

W uszach dźwięczą mi słowa dziewczyny.

Jesteś teraz glistą, królewiczu. Masz się czego bać.

– Keja, opuść miecz.

Waha się. Zerka na moje włosy. *Biała smuga...*

Pewnie znów ją widać.

– To nie tak, jak myślisz.

– Wiem, co widziałam! – Pot spływa jej z czoła i zbiera się nad wargą.

Keja robi krok w moją stronę. Jestem zmuszony cofnąć się do ściany.

– Keja, to przecież ja, Inan. Nigdy bym cię nie skrzywdził.

– Od jak dawna? – pyta szeptem. – Od jak dawna jesteś magiem? –
Wypowiada to ostatnie słowo jak przekleństwo. Jakbym był kopią Lekana,
a nie chłopakiem, którego zna od dziecka. Którego przez lata uczyła żołnierki.

– Ta dziewczyna mnie czymś zaraziła. To minie.

– Kłamiesz. – Pogardliwie wydyma usta. – Czy ty... jesteś z nią w zмовie?

– Nie! Szukałem tropów! – Robię krok naprzód. – Wiem, gdzie ona jest...

– Nie podchodź! – krzyczy.

Zamieram z rękoma w powietrzu. Patrzy na mnie jak na obcego człowieka.

Patrzy na mnie z przerażeniem w oczach.

– Jestem po twojej stronie – szepczę. – Zawsze byłem. W Ilorinie
poczułem, że dziewczyna uciekła na południe. W Sokoto wyczułem, że była
u tego kupca.

Przełykam ślinę. Tym razem to Keja robi krok do przodu.

– Nie jestem twoim wrogiem – przekonuję ją. – To jedyny sposób, żeby ich
odnaleźć!

Keja mierzy mnie wzrokiem. Jej miecz drży coraz mocniej.

– To ja, Inan. Przyszły król Oriszy. Następca tronu Sarana.

Na wzmiankę o moim ojcu Keja wreszcie się ugina. Opuszcza miecz. *Niebu
dzięki*. Opieram się o ścianę, by ulżyć drżącym kolanom.

Keja przez dobre parę minut trzyma głowę w dłoniach. W końcu podnosi
wzrok.

– To dlatego od tygodnia tak dziwnie się zachowujesz?

Kiwam twierdząco głową. Serce wciąż wali mi jak młotem.

– Chciałem ci powiedzieć, ale bałem się właśnie takiej reakcji.

– Przepraszam. – Ona także opiera się o ścianę. – Ale po tym, co mi zrobiła ta glista, musiałam się upewnić. Gdyby się okazało, że jesteś jednym z nich...
– Znow kieruje wzrok na smugę bieli w moich włosach. – Chciałam mieć pewność, że jesteś po naszej stronie.

– Zawsze będę. – Ściskam w kieszeni pionek ojca. – Nie ma we mnie wahania. Chcę zniszczyć magię. Orisza musi być bezpieczna.

Keja przygląda mi się z ledwie zauważalną czujnością.

– Gdzie teraz jest ta glista?

– W Ibedzi – odpowiadam prędko. – Jestem pewien.

– Dobrze. – Keja prostuje się i chowa miecz. – Przyszłam po ciebie, bo most jest gotowy. Skoro są w Ibedzi, wyruszę z drużyną jeszcze dziś wieczorem.

– Wyruszysz? A ja?

– Ty musisz natychmiast wrócić do pałacu. Kiedy król się dowie...

Nie mogę się doczekać, nawiedza mnie znowu głos dziewczyny. Nie mogę się doczekać, aż się dowie, kim jesteś. Zobaczmy, jaki wtedy będziesz odważny.

– Nie! – protestuję. – Beze mnie ich nie wytropisz. Potrzebujesz moich umiejętności.

– Umiejętności? Jesteś balastem, Inanie. W każdej chwili możesz przejść na stronę wroga, narazić na niebezpieczeństwo siebie i nas. A jeśli to wyjdzie na jaw? Pomyśl, jak to będzie wyglądało z perspektywy króla!

– Nie wolno ci. – Wyciągam do niej rękę. – On nie zrozumie!

Keja, poszarzała na twarzy, zerka w stronę wyjścia.

– Inanie, moim obowiązkiem...

– Masz obowiązki wobec mnie. Rozkazuję ci być posłuszną!

Keja rzuca się do ucieczki. Biegnę za nią ciemnym korytarzem, dopadam ją i przewracam na ziemię.

– Keja, proszę... Au!

Cios łokciem w mostek zapiera mi dech. Keja wyrywa mi się i zaczyna wbiegać po schodach.

– Pomocy! – Jej krzyki niosą się echem po świątyni.

– Czekaj!

Nikt nie może się dowiedzieć. Nikt.

– On jest jednym z nich! – wrzeszczy Keja. – Był od początku...

– Keja!

– Inan jest magiem! Trzeba go...

Keja zastyga nieruchomo, jakby wpadła na niewidzialny mur.

Jej głos zamiera. Ciało drży.

Wstęga turkusowej energii z mojej dłoni paraliżuje ją tak, jak to wcześniej zrobiła magia Lekana. Umysł Kei próbuje się uwolnić z tego mentalnego uchwytu, stawia opór tej sile, o którą nawet się nie podejrzałem.

Nie...

Patrzę na swoje roztrzęsione ręce. Sam już nie wiem, czyj strach pulsuje mi w żyłach.

Naprawdę jestem jednym z nich.

Jestem potworem, którego ścigam.

Nie panuję nad swoją magią. Keja szarpie się, oddycha nierówno. Z jej ust wyrywa się stłumiony okrzyk:

– Puść!

– Nie potrafię! – wołam.

Strach ściska mi gardło. Świątynia potęguje we mnie moc. Im bardziej staram się okiełznać magię, tym bardziej ona próbuje się wydostać na zewnątrz.

Keja krzyczy coraz przeraźliwiej. Oczy jej czerwienieją. Z uszu ciekną strużki krwi.

Moje myśli wirują w zawrotnym tempie. Misternie rozstawione pionki w mojej głowie rozsypują się w proch. Już nie zdołam tego naprawić.

Jeśli przedtem Keja się mnie bała, teraz czuje do mnie odrazę.

– Błagam cię! – krzyczę.

Muszę nad nią zapanować. Musi mnie posłuchać. Jestem jej przyszłym

królem...

– Uch!

Głuchy okrzyk wstrząsa ciałem Kei, białka jej oczu się wywracają.

Turkusowa mgiełka znika.

Ciało uderza o posadzkę.

– Keja! – Podbiegam do niej, przykładam rękę do jej szyi. Ledwie wyczuwalne tętno słabnie z sekundy na sekundę. – Nie! – krzyczę, jakby mój krzyk mógł ją uratować.

Krew cieknie jej z oczu, z nosa, z kącików ust.

– Przepraszam – mówię cicho, krztusząc się od płaczu. Próbuję otrzeć krew z jej twarzy, ale tylko ją rozsmarowuję. Robi mi się duszno. Łzy mgłą mi obraz przed oczami. – Przepraszam. Przepraszam. Przepraszam.

– Glista – szepcze Keja.

Potem nie mówi już nic więcej. Ciało sztywnieje.

Orzechowe oczy gasną.

Nie wiem, jak długo siedzę, obejmując jej zwłoki. Krew plami turkusowe kryształki w jej czarnych włosach, ślady mojej klątwy. Patrzą, jak lśnią, i czuję zapach wina i żelaza. Urywki świadomości Kei przenikają do mojego umysłu.

Widzę dzień, w którym poznała się z moim ojcem. Widzę, jak go obejmuje po tym, gdy magowie wymordowali mu rodzinę. Widzę potajemny pocałunek w sali tronowej, podczas gdy Ebele wykrwawia się u ich stóp.

Ten człowiek, który całuję Keję, jest mi obcy. To nie ten król, którego znam. Dla niego Keja jest czymś więcej niż słońcem. Jest całym jego sercem.

A ja pozbawiłem ją życia.

Wzdrygam się nerwowo i upuszczam jej zakrwawione ciało. Cofam się, tłumiąc w sobie magię, z całych sił spychając ją w głąb duszy, mimo obezwładniającego bólu, ostrego jak miecz, którym równie dobrze mogłem ją przebić.

Ojciec nie może się dowiedzieć.

Ta zbrodnia się nie wydarzyła.

Może pogodzi się z tym, że jestem magiem, ale tego na pewno by mi nie wybaczył.

Po tylu latach magia znów pozbawiła go ukochanej osoby.

Robię krok do tyłu. I następny. Cofam się, potem zaczynam biec, uciekam przed tym okropnym błędem. Widzę tylko jedno wyjście z tej strasznej sytuacji.

Muszę czym prędzej dotrzeć do Ibedzi.

ROZDZIAŁ 27



AMARI

Choć zawody jeszcze się nie rozpoczęły, ludzie na trybunach ryczą z podekscytowania. Kamiennymi korytarzami niosą się pijackie okrzyki widzów żądnych krwi. *Naszej krwi*. Przełykam ślinę i zaciskam dłonie w pięści, żeby się nie trzęsły.

Bądź dzielna, Amari. Bądź dzielna.

Słowa Binty dzwonią mi w uszach tak wyraźnie, że oczy pieką mnie od łez. Kiedy żyła, dźwięk jej głosu dodawał mi sił, lecz dziś ginie w okrutnym zgiełku areny.

– Będą zachwyceni – rzuca z uśmiechem prowadzący, wiodąc naszą trójkę tunelem. – Do tej pory nie zdarzyło się ani razu, żeby kapitanami były kobiety. Dzięki wam mogliśmy podnieść ceny biletów.

Zélie prycha, lecz nie widać u niej tego pazura co zazwyczaj.

– Cieszę się, że nasza krew jest warta więcej.

– Nowość zawsze jest w cenie. – Mężczyzna posyła jej sprośny uśmiech. – Warto o tym pamiętać, gdybyś kiedyś chciała sobie dorobić. Taka ładna glista jak ty miałyby duże wzięcie.

Zélie na wszelki wypadek chwyta Tzaina pod rękę, a mężczyźni rzuca tylko zabójcze spojrzenie, choć jej palce ślizgają się po ukrytym za pasem kiju.

Przyłóż mu. Korci mnie, żeby szepnąć jej to na głos.

Gdyby zbiła tego łajdaka do nieprzytomności, moglibyśmy znów spróbować wykraść kamień słoneczny. Wszystko byłoby lepsze od losu, który nas czeka po wejściu na pokład statku.

– Dość gadania. – Zélie bierze głęboki oddech i puszcza kij.

Idziemy dalej przed siebie. *Na śmierć.*

W piwnicy ze statkiem członkowie naszej załogi w ogóle nie podnoszą na nas wzroku. Robotnicy, osłabieni latami ciężkiej pracy, wydają się malutcy na tle ogromnego drewnianego kadłuba. To głównie ibawici, a najstarszy ma może rok więcej niż Tzain. Strażnik rozkuwa im łańcuchy. Chwila pozornej wolności tuż przed rzezią.

– Są do waszej dyspozycji. – Prowadzący wskazuje na nich gestem jak na bytło. – Macie trzydzieści minut na omówienie taktyki. Potem zaczynamy zawody. – To rzekłszy, odwraca się i opuszcza ciemną piwnicę.

Tzain i Zélie natychmiast wyjmują z toreb chleb i bułki i rozdają je członkom załogi. Spodziewam się, że robotnicy rzucą się na jedzenie, lecz oni tylko wpatrują się w czerstwe pieczywo, jakby widzieli je po raz pierwszy w życiu.

– Jedzcie – zachęca ich Tzain. – Ale nie za szybko, bo wam zaszkodzi.

Jeden z młodszych ibawitów chce wziąć kęs chleba, lecz powstrzymuje go wymizerowana kobieta.

– Nieba – szepczę pod nosem.

To dziecko nie może mieć więcej niż dziesięć lat.

– Co to ma być? – pyta starsza kosidanka. – Pożegnalny poczęstunek?

– Nikt z was nie umrze – zapewnia ich Tzain. – Słuchajcie moich rozkazów, a wyjdziecie z tego cało i jeszcze zapłacą wam złotem.

Jeżeli Tzain też czuje strach, nie daje tego po sobie poznać. Stoi wyprostowany, mówi pewnym głosem, budzi szacunek. Patrząc na niego, prawie jestem skłonna uwierzyć, że wszystko dobrze się skończy. *Prawie.*

– Nie damy się zwieść – odzywa się kobieta ze straszną szramą na oku. – Nawet jeśli wygramy, zabijecie nas i zabierzecie całe złoto.

– Zależy nam tylko na kamieniu – odpowiada Tzain. – Złoto nas nie interesuje. Pomóżcie nam, a obiecuję, że wszystkie monety trafią do was.

Przyglądam się tym ludziom. Jakaś mała częśćka mnie, którą przeklinam, chce, żeby się zbuntowali. Bez wioślarzy nie moglibyśmy wziąć udziału

w zawodach. Zélie i Tzain musieliby zrezygnować.

Bądź dzielna, Amari. Zamykam oczy i wzdycham głęboko. Tu, pod ziemią, głos Binty rozbrzmiewa mocniej, wyraźniej.

– Nie macie wyboru.

Wszystkie oczy zwracają się na mnie. Czuję, że się czerwienię. *Bądź dzielna.* Dam radę. To przecież nie gorsze niż ćwiczenia z krasomównstwa w pałacu.

– To straszne, co się tutaj dzieje, ale nie mamy na to żadnego wpływu. Niezależnie od tego, co sobie o nas myślicie, i tak będziecie musieli wypłynąć statkiem na arenę.

Zerkam na Tzaina. Zachęca mnie ruchem głowy. Odchrząkuję i robię dwa kroki naprzód.

– Wszyscy inni kapitanowie chcą dziś tylko wygrać – mówię głośno. – Mają gdzieś tych, którzy zginą lub zostaną ranni. A my chcemy, żebyście przeżyli. To się może udać, ale musicie nam zaufać.

Członkowie załogi rozglądają się, wszystkie spojrzenia wędrują w stronę najsilniejszego z nich: ibawity prawie tak wysokiego jak Tzain. Chłopak podchodzi bliżej; plecy ma pokryte siatką blizn.

Zapada głucha cisza, wszyscy czekają na jego decyzję. Gdy w końcu wyciąga do mnie rękę, kolana prawie się podę mną uginają.

– Co mamy zrobić?

ROZDZIAŁ 28



AMARI

– Zawodnicy na pozycje!

Głos prowadzącego dudni w korytarzach pod trybunami. Serce chce mi wyskoczyć z piersi. Pół godziny minęło jak z bicia trzaś!; Tzain omówił taktykę i wyznaczył dowódców. Przewodzi załodze niczym wytrawny generał z wieloletnim doświadczeniem wojennym. Niewolnicy z iskrą w oczach chłoną każde jego słowo.

– No dobrze – mówi. – Do dzieła.

Wzmocnieni posiłkiem i nadzieją robotnicy ruszają się energicznie. Jednak gdy wszyscy są już na pokładzie, moje stopy robią się ciężkie jak ołów. Huk zbliżającej się wody przywodzi na myśl wspomnienie wszystkich zabitych poprzedniego dnia. Czuję się tak, jakby woda już mnie wciągała...

To koniec...

Za chwilę bitwa się zacznie.

Połowa niewolników zasiada przy wiosłach. Reszta zajmuje pozycje przy działach w ustawieniu wymyślonym przez Tzaina: dwie osoby kierują lufą, dwie ładują proch. Wszyscy są już na okręcie.

Wszyscy poza mną.

Uciekając przed napływającą do piwnicy wodą, odrywam ołowiane stopy od ziemi i wchodzę na pokład. Chcę stanąć przy jednym z dział, lecz Tzain zachodzi mi drogę.

– Nie musisz tego robić.

Strach dzwoni mi w uszach z taką siłą, że nie od razu pojmuję sens jego

słów.

Nie musisz tego robić.

Nie musisz ginąć.

– Tylko trzy osoby wiedzą o rytuale. Jeżeli wszyscy wypłyniemy... – Nie kończy swojej myśli, chrząka tylko, po czym dodaje: – Nie po to dotarłem aż tutaj, żeby teraz wszystko przepadło. Cokolwiek się zdarzy, jedno z nas musi przeżyć.

Dobrze. Słowa zgody już cisną mi się na usta. Lecz mówię co innego:

– A Zélie? Jeśli ktoś powinien zostać, to chyba ona.

– Gdybyśmy mieli cień szansy na przetrwanie tego piekła bez jej pomocy, sam bym ją namawiał.

– Ale...

Urywam, bo wlewająca się woda uderza z hukiem o burtę statku. Za parę minut wypełni piwnicę aż po sufit i uczyni ją moim grobem. Jeśli mam uciekać, muszę to zrobić teraz. Za chwilę będzie za późno.

– Amari, uciekaj – naciska Tzain. – Proszę cię. Wiedząc, że jesteś bezpieczna, będziemy mogli skupić się na walce.

My. Prawie się uśmiecham. Za nami Zélie trzyma się burty, zamknęła oczy i powtarza po cichu zaklęcie. Ona też się boi, ale walczy. Nikt nie pozwala jej uciec.

Jeśli zamierzasz grać księżniczkę, lepiej od razu oddaj się w ręce straży. Nie jestem tu po to, żeby cię bronić, tylko żeby walczyć o magię.

– Mój brat mnie ściga – szepczę do Tzaina. – Ojciec też. Jeśli tu zostanę, wcale nie będę bezpieczniejsza. Ani ja, ani tajemnica pergaminu. To byłaby tylko gra na zwłokę. – Ruszam w stronę załogi przy działach. – Jestem gotowa do walki – kłamię.

Jestem gotowa umrzeć.

Bądź dzielna, Amari.

Tym razem chwytam się słów Binty, przywdziewam je niczym zbroję. Mogę być dzielna, jeśli zechcę.

Dla Binty mogę wszystko.

Tzain przez chwilę patrzy mi w oczy, wreszcie kiwa głową. Odchodzi, by zająć swoje miejsce. Statek z jękiem sunie do przodu, ku bitwie. Kiedy wypływamy z tunelu, publiczność, spragniona naszej krwi, wpada w amok. Dopiero teraz nasuwa mi się pytanie: czy ojciec wie o tych „widowiskach”? A gdyby wiedział, czy miałby coś przeciwko nim?

Chwytam się mocno burty w daremnej próbie uspokojenia nerwów. Wypływamy na środek areny. Teraz wszyscy nas widzą.

Uderza mnie silna woń soli oraz octu. Zmrużonymi oczami chłonę niezwykle widok. W pierwszych rzędach szlachcice w barwnych, falujących jedwabiach tłuką pięściami o balustrady.

Odwracam się i doznaję skurczu w piersi, napotykam bowiem wzrok wioślarza z innej łodzi, młodego ibawity o szerokich ze strachu oczach. Wyraz jego twarzy mówi wszystko.

Jedno z nas musi zginąć, żeby drugie przeżyło.

Zélie, wyłamując nerwowo palce, przechodzi na rufę. Widzę, że jest bardzo skupiona. Jej usta bezgłośnie wymawiają magiczną formułę.

Widownia rykiem wita każdy kolejny okręt. Przyglądając się przeciwnikom, dokonuję przerażającego odkrycia. Wczoraj było dziesięć statków.

Dziś jest ich trzydzieści.

ROZDZIAŁ 29



ZÉLIE

Nie...

Liczę od nowa i czekam, aż ktoś nas poinformuje, że nastąpiła pomyłka. Nie wyjdziemy żywi z batalii z dwudziestoma dziewięcioma okrętami. Nawet przy dziesięciu powodzenie naszego planu i tak wisiało na włosku.

– Tzain! – wołam do brata, nie kryjąc już strachu. – Nie dam rady! Nie pokonam ich wszystkich!

Biegająca za mną Amari tak się trzęsie, że prawie się przewraca. Inni członkowie załogi przybiegają razem z nią i zasypują Tzaina pytaniami. Nie wie, komu odpowiedzieć najpierw, toczy wkoło wzrokiem, wreszcie zaciska zęby i zamyka oczy.

– Cisza!

Jego potężny głos przebija się przez harmider i skutecznie nas ucisza. Patrzymy, jak rozgląda się po arenie, na której prowadzący rozgrzewa publiczność.

– Abi, ty weź statek po lewej. Dele, weź ten po prawej. Zawrzyjcie sojusz z tamtymi załogami. Powiedzcie im, że jeśli weźmiemy na cel okręty dalej od nas, dłużej przetrwamy.

– A co, jeśli...

– Raz-dwa! – Tzain ucina dyskusję i rodzeństwo posłusznie się rozbiega. – Wioślarze – mówi dalej – zmiana planu. Tylko połowa zostaje przy wiosłach. Statek ma być w ruchu. Nie osiągniemy dużej prędkości, ale grunt, żebyśmy nie stali w miejscu, bo wtedy będzie po nas.

Połowa niewolników powraca na swoje ławki. Tzain zwraca się do nas.

Widać, że jest w swoim żywiole, jakby grał w agböna.

– Reszta dołącza do obsługi armat. Bierzemy na cel statki z przodu. Ogień ma być ciągły. Ale strzelajcie rozważnie – mamy ograniczony zapas prochu.

– A tajna broń? – pyta Baako, najsilniejszy członek załogi.

Spokój, który przez chwilę czułam, słuchając Tzaina, momentalnie pryska. Robi mi się nagle duszno, kłujący ból przeszywa mi bok. *Broń jeszcze nie jest gotowa, mam ochotę zawołać. Jeśli postawicie wszystko na nią, zginiecie.*

Widzę to już oczyma wyobraźni: Tzain krzyczy tuż nad powierzchnią wody, ja wstrzymuję oddech, próbując wyzwolić swoją magię. Nie jestem magiczką na miarę Mamy. Co, jeśli nie będę umiała być Żniwiarką, której tak bardzo potrzebują?

– Wszystko pod kontrolą – zapewnia go Tzain. – Waszym zadaniem jest utrzymać nas przy życiu, żebyśmy zdążyli jej użyć.

– Czy jesteście gotowi... na bitwę wszeeech czasów?

Publiczność odpowiada prowadzącemu entuzjastycznym rykiem. Ich wrzaski zagłuszają nawet jego wzmocniony głos. Gdy załoga rozchodzi się na pozycje, chwytam Tzaina za ramię. Słowa ledwie przechodzą mi przez wyschnięte gardło.

– A co ja mam robić?

– To, co ustaliliśmy wcześniej. Po prostu będziesz musiała się jeszcze bardziej postarać.

– Tzain, nie dam rady...

– Popatrz na mnie. – Kładzie mi dłonie na ramionach. – Mama była najpotężniejszą Żniwiarką, jaką znałem. Jesteś jej córką. Wiem, że sobie poradzisz.

Czuję ukłucie w piersi; nie wiem, czy to strach, czy coś innego.

– Postaraj się. – Ściska mi ramiona. – Każdy duch się przyda.

– Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem...

– I nie daj się zabić! – woła do mnie, po czym ustawia się koło zbrojowni.

– Sześć... pięć... cztery... trzy...

Jazgot jest ogłuszający. Podbiegam do burty.

– Dwa...

Już nie ma odwrotu. Albo zdobędziemy kamień...

– Jeden!

...albo zginiemy.

Na dźwięk rogu wskakuję do ciepłej wody. Nasz statek się zatrzęsł.

Słyszę pierwsze wystrzały.

Drgania wędrują po wodzie i przenikają mnie do głębi. Przestrzeń wokół robi się chłodna od duchów zabitych – świeżych ofiar dzisiejszej bitwy.

A zatem do dzieła. Przypominam sobie ożywioną przeze mnie Minoli. Bliskość duchów przyprawia mnie o gęsią skórkę; do ust, mimo że ich nie otwieram, wdziera mi się smak krwi. Dusze łakną mojego dotyku, powrotu do życia. Oto moja szansa.

Jeśli naprawdę jestem Żniwiarką, muszę tego dowieść teraz.

– Ęmí àwòṅ tí ó ti sùn, mo ké pè yín ní òní...

Czekam, aż przede mną pojawią się ożywieńcy, lecz z moich dłoni wydostaje się tylko kilka bąbelków powietrza. Próbuję znowu, czerpiąc z energii zmarłych, ale choćbym nie wiem jak się starała, nic się nie dzieje.

Cholera. Zaczyna mi brakować powietrza, serce bije coraz szybciej. Nie dam rady. Nie uratuję nas...

Na górze przetacza się grzmot.

Obracam się i widzę, że sąsiedni okręt tonie. Spada deszcz zwłok i odłamków drewna. Woda wokół robi się czerwona. Zakrwawione ciało w drodze na dno mija mnie o centymetry.

Bogowie...

Strach ściska mi serce.

Gdyby ta kula poleciała inaczej, mógłby to być Tzain.

No dalej. Powietrze mi się kończy. Nie mam więcej czasu. Potrzebuję swojej magii. Teraz.

Oju, proszę. Dziwna to modlitwa, jakbym mówiła w języku, który zdążyłam

już całkiem zapomnieć. Ale po moim przebudzeniu nasza łączność powinna być silniejsza niż kiedykolwiek. Wołam ją, więc musi odpowiedzieć.

Pomóż mi. Pokieruj mną. Daj mi swoją siłę. Pomóż mi ochronić brata i uwolnić duchy uwięzione w tym miejscu.

Zamykam oczy, zbieram w sobie trzaskającą energię zmarłych. Dokładnie czytałam pergamin. Wiem, co robić.

Mogę być Żniwiarką.

– Ẹmí àwọn tí ó ti sùn...

Moje dłonie rozbłyskują lawendowym światłem. Żyły robią się gorące. Inkantacja otwiera ścieżki mojego ducha, wyzwala moją aszê. Nadpływa pierwszy duch zabitego niewolnika, otacza mnie sobą, gotów spełniać moje rozkazy. Inaczej niż w przypadku Minoli wiem tylko, jak zginął: ból przeszywa mi brzuch, jakby to mnie rozerwała armatnia kula.

Kończę zakłęcie i pierwszy ożywieniec unosi się przede mną. Mieszanina krwi, pęcherzyków powietrza i zemsty przybiera ludzką postać. Nie widzę jej twarzy za bąbelkami, ale wyczuwam, że duch jest nastawiony bojowo. Mój własny żołnierz. Pierwszy z armii zmarłych.

Uczucie triumfu na moment zagłusza we mnie całe zmęczenie. Udało się. Jestem Żniwiarką. Prawdziwą siostrą Oi.

Zaraz jednak przeszywa mnie dojmujący smutek: szkoda, że Mama nie może mnie teraz oglądać...

Ale przynajmniej mogę uczcić jej ducha.

Wszyscy polegli Żniwiarze będą ze mnie dumni.

– Ẹmí àwọn tí ó ti sùn...

Czerpiąc z resztek aszê, wypowiadam zakłęcie i tworzę kolejnego ożywienca. Wskazuję jeden z okrętów i wydaję rozkaz.

– Zniszcz go!

Ku mojemu zdziwieniu wskrzeszeńcy mkną przez wodę do celu jak strzały.

Chwilę później uderzają w kadłub i go dziurawią. Deski lecą na wszystkie strony, a woda błyskawicznie wdziera się do środka.

Udało się...

Nie wiem, czy szukać Oi w niebie, czy we własnych dłoniach. Duchy zmarłych odpowiedziały na moje wezwanie. Usłuchały mojego rozkazu!

Okręt się przewraca i zostaje pochłonięty przez fale. Moją euforię mąci jednak widok ibawitów spadających do wody.

Spoglądam ku niewinnym ofiarom. Wymachują rękoma i nogami, próbują płynąć w stronę brzegu areny. Jedna dziewczyna wpada do wody zupełnie bezwładna. Nieprzytomne ciało zaczyna opadać jak ołowiany ciężar.

– Ratujcie ją! – rozkazuję ożywieńcom, lecz moje połączenie z nimi zanika w chwili, gdy kończy mi się powietrze.

Czuję, że moi żołnierze już powoli gasną, opuszczają piekło areny i przenoszą się do spokojnych zaświatów.

Płynę ku powierzchni, a tymczasem ożywieńcy nurkują niczym diabły morskie i otaczają dziewczynę, nie pozwalając jej opaść na samo dno. Z ciepłym mrowieniem w żyłach patrzę, jak wyciągają biedaczkę na dryfujący kawałek zniszczonej burty. Dzięki nim wciąż ma szansę przeżyć.

– Ych! – Kaszłąc, wynurzam się na powierzchnię.

Gdy ożywieńcy znikają, czuję, że coś mnie opuszcza. Dziękuję bezgłośnie ich duchom.

– Widzieliście to? – grzmi prowadzący.

Na trybunach podnosi się wrzawa, wszyscy są ciekawi, co zatopiło statek.

– Zélie! – dobiega mnie z góry krzyk Tzaina. Uśmiecha się mimo całego piekła, które nas otacza.

Ostatni raz widziałam ten promienny uśmiech wiele lat temu, kiedy patrzył, jak Mama rzuca zaklęcia.

– To było dobre! – woła zachwycony. – Rób tak dalej!

Uczucie dumy wzbiera mi w piersi, rozgrzewa mnie od wewnątrz. Biorę głęboki wdech i znów się zanurzam.

Zaczynam intonować zaklęcie.

ROZDZIAŁ 30



AMARI

Chaos.

Dopiero teraz w pełni zrozumiałam, co to słowo znaczy. Wcześniej sądziłam, że chaos to pokrzykiwania matki przed obiadem. Pośpiech, z jakim ojole zajmują miejsca przy stole.

Prawdziwy chaos otacza mnie w tej chwili, przenika każdy mój oddech i uderzenie serca. Szumi pryskającą na wszystkie strony krwią, huczy wybuchami tonących okrętów.

Uciekam na rufę i zakrywam głowę. Kolejny grzmot wstrząsa naszym statkiem; znów któreś działo trafiło w kadłub. Na wodzie zostało już tylko siedemnaście okrętów i jakimś cudem nasz znajduje się wśród nich.

Wszyscy na pokładzie poruszają się z imponującą precyzją. Wioślarzom ścięgnią prężą się pod skórą, pozostali w pocie czoła sypią proch do armat.

Przydadz się! – krzyczę do siebie w duchu. Zrób coś! Cokolwiek!

Ale nie potrafię im pomóc. Ledwie mogę oddychać.

Armatnia kula rozrywa pokład kolejnego statku, a mnie znów serce podskakuje do gardła. Krzyki rannych wbijają mi się w uszy niczym odłamki szkła. Powietrze jest ciężkie od zapachu krwi. Przypominam sobie słowa Zélie. W dniu, w którym przybyliśmy do Ibedzi, poczuła smak śmierci.

Teraz ja też go czuję.

– Uwaga! – woła Tzain, wskazując na coś wśród kłębow dymu.

To nadpływa inny okręt; jego wioślarze trzymają w pogotowiu dzidy.
Nieba...

Zamierzają dokonać abordażu.

Wedrą się na pokład!

– Amari, weź wioślarzy! – krzyczy Tzain. – Pomóż mi!

Jak zwykle nieustraszony, rusza do boju, nie oglądając się na mnie, nie widząc, że strach mnie sparaliżował. Chwytam rozpaczliwie powietrze; dlaczego nagle zapomniałam, jak się oddycha?

Temu służył twój trening. Zaciskam palce na rękojeści miecza. Temu służyła twoja przelana krew.

Jednak gdy nieprzyjaciel atakuje nasz pokład, lata przymusowych lekcji zdają się na nic. Próbuję dobyć ostrze, lecz trzęsą mi się ręce. *Atakuj, Amari. Niski głos ojca rozbrzmiewa mi w uszach, wpija się w bliznę na plecach. Amari, unieś miecz. Amari, atakuj. Amari, walcz.*

– Nie potrafię...

Po tych wszystkich latach wciąż nie potrafię. Nic się nie zmieniło. Nie mogę się ruszyć. Nie mogę walczyć.

Mogę tylko stać nieruchomo.

Dlaczego tu jestem? Co ja sobie myślałam? Trzeba było zostawić ten pergamin i wrócić do swojej komnaty. Oplakiwać w jej zaciszu śmierć Binty. Dokonałam jednak wyboru, podjęłam brzemienną w skutki decyzję, która wydawała mi się wtedy jedyną słuszną. Myślałam, że pomszczę drogą przyjaciółkę.

A teraz umrę.

Chowam się skulona przy burcie, podczas gdy nasza załoga odpiera natarcie. Krew leje mi się pod nogi, okrzyki bólu wypełniają uszy.

Zamęt jest tak wielki, że prawie nic nie widzę. Dopiero poniewczasie spostrzegam, że jedno z ostrzy sunie w moją stronę.

Amari, atakuj.

Lecz moje ręce i nogi ani drgną. Klinga zbliża się ze świstem...

I wtedy Tzain z bojowym okrzykiem uderza napastnika pięścią w szczękę.

Mężczyzna upada, lecz przedtem jego miecz rozcina Tzainowi rękę.

– Tzain!

– Schowaj się! – woła, chwytając się za biceps.

– Przepraszam!

– Nie gadaj, tylko się schowaj!

Patrzę, jak się oddala, i czuję w oczach palące łzy wstydu. Wycofuję się w kąt na rufie. Nie powinnam była w ogóle wchodzić na pokład tego statku. Nie powinnam była nawet opuszczać pałacu...

Powietrze przeszywa potężny grzmot. Nasz okręt zatrzęsł się z taką siłą, że tracę równowagę i się przewracam. A więc stało się.

Trafiono nas.

Ledwie wstaję na nogi, kolejna kula armatnia rozdziera nasz pokład. Wszędzie dym i drzazgi. Dziób statku zaczyna się niebezpiecznie unosić. Z dymem w płucach ślizgam się po zakrwawionym pokładzie.

Chwytam się mocno masztu, jakby od tego zależało moje życie. Przez pokład przewalają się litry wody.

Kolejne szarpnięcie i statek zaczyna tonąć.

ROZDZIAŁ 31



ZÉLIE

– Zélie!

Wyływam na powierzchnię. Tzain trzyma się poręczy statku i zaciska zęby. Ubranie i twarz ma umazane krwią, nie wiem, czy swoją.

Po arenie pływa już tylko dziewięć innych okrętów. Dziewięć z trzydziestu. Lecz rufa naszego statku coraz głębiej się zanurza.

Toniemy.

Biorę głęboki wdech i nurkuję. Pod wodą prawie nic nie widać, wszędzie smugi czerwieni, potrzaskane drewno. Aż mi się robi niedobrze.

Starając się nie zamykać oczu, odpycham się nogami z całych sił. Brnę w dół przez wodę gęstą i ciężką od krwi.

– Èmí àwòn tí ó ti sùn...

Intonuję zaklęcie, ale resztki aszê umykają mi z palców. Jestem za słaba. Zużyłam całą magię. Ale jeśli tego nie zrobię, Tzain i Amari mogą zginąć. Nasz statek pójdzie na dno, szanse na zdobycie kamienia słonecznego prysną. Nie zdołamy odrodzić magii.

Spoglądam na bliznę na dłoni. Przez głowę przemyka mi twarz Mamy.

Przepraszam.

Nie mam wyboru.

Gryzę się w rękę. Przebijam zębami skórę i czuję w ustach metaliczny smak. Krew rozchodzi się w wodzie, świeci białym blaskiem, który otacza moją postać. Światło wędruje ze mną, pulsuje, przenika mnie na wskroś.

Aszê rozsadza mi żyły, parzy mi skórę od wewnątrz.

– Ẹmí àwọn tí ó ti sùn...

Czerwone fale migoczą mi przed oczyma.

Oja znów dla mnie tańczy.

Woda dookoła zaczyna wirować, jakby wstąpiła w nią jakaś potężna siła. To magia krwi spełnia moją wolę. Ze wzburzonej toni wyłania się cała armia nowych ożywieńców.

Ich wodne ciała bulgoczą krwią i białym światłem. Kolejnych dziesięciu nabiera kształtu i dołącza do reszty. Wchłonięta krew i szczątki okrętów stają się dla nich pancierzami. Cały oddział zwraca się w moją stronę.

Ratujcie statek!

Moi żołnierze wyskakują z wody niczym dwupłetwe rekiny, groźniejsi od wszystkich okrętów i armat razem wziętych. Choć palą mnie wnętrzości, przyjemny dreszcz magii bierze górę nad innymi emocjami.

Patrzę z satysfakcją, jak ożywieńcy zgodnie z moim rozkazem znikają w dziurach zrobionych przez kule armatnie. Chwilę później z tych dziur zaczyna wypływać woda.

Tak!

Nasz statek momentalnie się podnosi, a ożywieńcy, usunawszy z niego całą wodę, łatają dziury własnymi ciałami.

Udało się!

Lecz mój zachwyty nie trwa długo.

Choć ożywieńcy zniknęli, magia krwi wciąż mnie rozsadza.

Czuję w środku ostre pieczenie, jakby rozrywała mi organy, rozdzierała mięśnie. Ręce mi drętwieją.

Ratunku!

Próbuję wzywać pomocy, ale z moich ust wydobywają się tylko bąbelki. Groza przenika mnie do szpiku kości. Mama słusznie mnie ostrzegła.

Ta magia mnie zabije.

Płynę ku powierzchni wody, ale z każdym ruchem jest mi coraz ciężej. Tracę czucie w rękach, potem w stopach.

Magia krwi opanowuje mnie jak mściwy duch, zatyka mi usta, płuca, pory w skórze. Próbuję wypłynąć, ale ciało odmawia mi posłuszeństwa. Statek, który jeszcze przed chwilą był tak blisko, teraz się oddala.

Tzain!

Szkarłatne morze tłumi mój krzyk.

Kończy mi się powietrze.

Woda wdziera mi się do gardła.

ROZDZIAŁ 32



AMARI

Z trwogą w sercu trzymam się kurczowo burty. Nagle statek przestaje tonąć.

– Udało się jej! – Tzain uderza pięścią o drewno. – Brawo, Zél!

Mina szybko mu jednak rzednie, bo Zélie wciąż nie wypływa na powierzchnię. Tzain zdiera sobie gardło, wykrzykując jej imię.

Wychylam się przez burłę i gorączkowym wzrokiem przeczesuję wodę w poszukiwaniu plamy białych włosów pośród krwistej czerwieni. Został już tylko jeden okręt, ale Zélie nigdzie nie widać.

– Tzain, czekaj!

Lecz Tzain już skoczył za burłę. Statek został bez kapitana. Ostatni okręt zawraca w naszą stronę.

– Nasze ostatnie dwie załogi nie mają już prochu! – rozlega się głos prowadzącego. – Ale tylko jeden kapitan może przeżyć ten wieczór. Tylko zwycięzca wyjdzie z tego cało!

– Tzain! – krzyczę znad burty.

Serce wali mi jak szalone. Nasz przeciwnik się zbliża. Sama nie dam rady. Bez Tzaina nie zatopimy tego statku.

Nasi rywale szybko wiosłują, a ci spośród nich, którzy wcześniej obsługiwali działa, teraz chwytają za miecze. Członkowie naszej załogi porzucają stanowiska i pospiesznie zbroją się w dzidy i ostrza rozmieszczone tu i ówdzie na pokładzie. Inaczej niż ja nie wahają się, nie trzęsą ze strachu. Są gotowi do walki, która zakończy ten koszmar.

Na widok Tzaina wynurzającego się z wody ogarnia mnie przemożna ulga.

Trzyma jedną ręką nieprzytomną Zélie. Biorę linę i zrzucam ją na dół; Tzain przewiązuje siostrę i woła, żebyśmy ją wciągnęli.

Z pomocą trzech niewolników unoszę Zélie na pokład. Od wrogiego statku dzielą nas już tylko sekundy, ale jeśli Zélie znów przywoła ożywieńców, może wyjdziemy z tego cało.

– Wstawaj! – Potrząsam nią, lecz na próżno.

Zélie jest rozpalona. Z kącika ust cieknie jej strużka krwi.

Nieba. To się nie uda. Musimy wciągnąć Tzaina. Zaczynam szarpać węzły, którymi zabezpieczył siostrę, ale nie udaje mi się rozplątać wszystkich w porę. Wrogi okręt uderza w nas z hukiem.

Nasi przeciwnicy z bojowym rykiem wdzierają się na pokład.

Podrywam się i rozpaczliwie wymachuję mieczem – jak dziecko, które próbuje odpędzić lworożca pochodnią. Jakbym nie miała pojęcia o fechtunku, jakby lata okrutnych treningów nie pozostawiły we mnie żadnego śladu.

Amari, atakuj. Niski głos ojca znów rozbrzmiewa mi w uszach, przypomina o tamtym strasznym dniu, kiedy nie usłuchałam jego rozkazu, odmówiłam walki z Inanem. Upuściłam broń.

A potem miecz brata rozorał mi plecy.

Nasi, widząc szansę na zwycięstwo, rzucają się ochoczo do walki. Wróg nie jest w stanie im dorównać – zwinnie unikają ostrzy i zadają śmiertelne ciosy. Paru oszalałych przeciwników biegnie prosto na nas, lecz padają od celnych cięć naszej załogi. Jeden mężczyzna, z nożem wbitym w szyję, umiera pół metra ode mnie, tocząc krew z ust.

Niech to się już skończy, modlę się. Obym tylko przeżyła.

I wtedy z bitewnego zamętu wyłania się kapitan z mieczem wysuniętym przed siebie. Już się szykuje, by odeprzeć atak, lecz po chwili uzmysławiam sobie, że jemu wcale nie chodzi o mnie. Kieruje ostrze niżej, trochę w bok.

Mierzy w Zélie.

Lśniąca klinga się zbliża, czas na moment staje w miejscu. Dookoła robi się cicho.

Krew tryska.

Jestem w takim szoku, że dopiero po chwili dociera do mnie, co zrobiłam.
Kapitan upada, pociągając za sobą moje ostrze. Przebiłam go na wylot.

Arena cichnie. Dym zaczyna się rozwiewać.

Wstrzymuję oddech i nagle rozlega się głos prowadzącego:

– Wygląda na to, że mamy zwycięzcę...

ROZDZIAŁ 33



ZÉLIE

Pięćset trzydzieści osiem.

Tyle razy poczułam rozdzierający ból.

Tyle niewinnych dusz zginęło dla cudzej rozrywki. Tyle krzyków wypełnia mi uszy.

Na bezkresnym morzu krwi wśród drewnianych szczątków unoszą się setki zwłok. Czuć je w powietrzu, w każdym oddechu.

Bogowie, pomocy. Bezsilnie zaciskam oczy. Tymczasem wiwaty na trybunach nie ustają. Aplauz nie milknie. Stoimy na platformie, a publiczność raduje się, jakby ta krwawa rzeź była czymś godnym świętowania.

Tzain trzyma mnie mocno w objęciach. Odkąd zesliśmy z pokładu, nie puścił mnie ani na chwilę. Patrzy obojętnym wzrokiem, ale czuję, że dręczą go wyrzuty sumienia.

Choć wyszliśmy zwycięsko z boju, jesteśmy unurzani we krwi ofiar. Może i wygraliśmy, ale nie mamy się z czego cieszyć.

Po mojej prawej stronie Amari stoi nieruchomo, ściskając w dłoniach rękojeść bez ostrza. Od czasu zakończenia bitwy nie odezwała się ani słowem, lecz wiem od niewolników, że to właśnie ona zabiła ostatniego kapitana, ratując mi życie. Pierwszy raz spoglądam na nią i nie myślę o Saranie ani o jej bracie. Widzę dziewczynę, która wykradła pergamin.

Widzę wojowniczkę.

Dele i Baako oddalają się z kufrem pełnym lśniącego złota. Prowadzący uśmiecha się fałszywie, zmuszony robić dobrą minę do złej gry. Pewnie miał nadzieję zachować całe to złoto dla siebie.

Publiczność bije nam gromkie brawo, ale żaden z niewolników się nie cieszy. Czym są wolność i dukaty wobec piekła, które tu przeżyli, a które już zawsze będzie ich prześladować?

Zaciskam zęby i uwalniam się z objęć Tzaina.

– Nie przedłużajmy – mówię. – Miałeś swoje widowisko, a teraz oddaj nam kamień słoneczny.

Prowadzący mruży oczy, jego brązowa twarz pokrywa się głębokimi zmarszczkami.

– Widowisko nigdy się nie kończy – szepcze z dala od metalowego różka. – Zwłaszcza jeśli bierze w nim udział glista.

Nerwowy tik wykrzywia mi usta. Choć jestem wyczerpana, zaczynam się poważnie zastanawiać, ilu potrzebowałabym ożywieńców, żeby utopić tego nikczemnika w czerwonym morzu pod nami.

Jakby wyczuł moją niewypowiedzianą groźbę, bo uśmiech spelza mu z ust. Robi krok do tyłu i unosząc różek do ust, zwraca się ponownie do widzów:

– A teraz... – Jego głos niesie się po całej arenie. Ale choć nadaje mu entuzjastyczny ton, wyraz jego twarzy zdradza niesmak. – Przedstawiam wam... kamień nieśmiertelności!

Już z daleka czuję w drżących kościach ciepło kamienia słonecznego. Za kryształową powłoką żółte i rude blaski pulsują niczym lawa. To święte światło przyciąga mnie jak ćmę.

Ostatni artefakt. Przypominam sobie słowa Lekana. Mamy już wszystko, czego potrzebujemy: pergamin, kamień i sztylet. Możemy teraz udać się do świątyni, odprawić rytuał. Przywrócić magię.

– Spokojnie. – Tzain kładzie mi rękę na ramieniu. – Cokolwiek będzie się działo, jestem przy tobie.

– Ja też – dodaje cicho Amari, przerywając swoje długie milczenie.

Choć twarz ma całą w zaschniętej krwi, jej wzrok dodaje mi otuchy.

Kiwam głową i ruszam przed siebie. Wyciągam rękę po złoty kamień. Publiczność chyba po raz pierwszy zamiera w oczekiwaniu.

Szykuję się na to, co może przynieść kontakt z żywym odłamkiem duszy

Niebiańskiej Matki. Kiedy jednak dotykam gładkiej powierzchni artefaktu, natychmiast staje się dla mnie jasne, że nic nie mogło mnie na to przygotować.

Tak jak wcześniej podczas przebudzenia, wypełnia mnie moc potężniejsza od wszystkiego, co do tej pory było mi znane. Energia kamienia słonecznego ogrzewa moją krew, pobudza krążącą w moich żyłach aszê.

Blask artefaktu przelewa się przez moje palce. Na trybunach rozlegają się okrzyki zdumienia. Nawet prowadzący się cofa; dotychczas był święcie przekonany, że kamień słoneczny to tylko rekwizyt w jego spektaklu.

Energia wciąż we mnie wzbiera, dosłownie kipi. Zamykam oczy i ukazuje mi się Niebiańska Matka, wspanialsza niż wszelkie moje wyobrażenia.

Jej srebrne oczy świecą jasno na tle hebanowej twarzy otoczonej kryształami, które zwisają z diademu. Białe loki opadają wokół na podobieństwo deszczu, skręcone mocą, która od niej bije.

Jej duch przenika mnie jak błyskawica burzową chmurę. To coś więcej niż oddychanie pełną piersią.

To sama esencja życia.

– Ęmí àwọn tí ó ti sùn... – szepczę kilka pierwszych słów zaklęcia.

Euforia, którą czuję, nie da się porównać z niczym innym. Dzięki mocy kamienia słonecznego mogłabym przywołać setki ożywieńców. Mogłabym stanąć na czele niepowstrzymanej armii.

Opanowalibyśmy arenę, dopadli prowadzącego, ukarali wszystkich widzów, którzy napawali się widokiem rzezi. Lecz nie tego chce ode mnie Niebiańska Matka. Nie tego oczekują duchy zabitych.

Zmarli jeden po drugim przemykają przeze mnie z krzykiem – nie po to, by zostać ożywieńcami, ale żeby uciec. To jak czystka, której Mama dokonywała o każdej pełni Księżyca, pomagając duchom przejść do aláfii.

Dusze uwolnione od traumy odchodzą w spokoju do zaświatów, a obraz Niebiańskiej Matki w moim umyśle z wolna gaśnie. Zastępuje ją spowita w czerwone fale bogini o skórze jak noc, o pięknych ciemnobrązowych oczach.

Bogowie.

Oja jaśnieje w moich myślach jak pochodnia wśród zmierzchu. Ta wizja, pełna ulotnego wdzięku, ma niewiele wspólnego z chaosem, który ujrzałam, gdy użyłam magii krwi. Bogini stoi nieruchomo, ale cały świat zdaje się przy niej poruszać. Na jej ustach pojawia się triumfalny uśmiech...

– Uch!

Oczy mi się otwierają i natychmiast je odwracam, oślepią blaskiem kamienia w dłoniach. Choć pierwsza fala energii opadła, moc kamienia wciąż we mnie szumi, czuję ją w kościach. Jak gdyby duch Niebiańskiej Matki wypełnił moje ciało i uleczył wszystkie rany spowodowane przez magię krwi.

Z czasem oślepiające światło przygasa i Oja znika. Cofam się z kamieniem w zaciśniętej dłoni i ląduję w rękach Tzaina.

– Co to było? – pyta mnie z oczyma wielkimi ze zdumienia. – Miałem wrażenie... że cała arena się trzęsie.

Przyciskam kamień do piersi, starając się zatrzymać ulatujące obrazy, które jeszcze przed chwilą tańczyły mi przed oczami. Skrzące kryształy w diademie Niebiańskiej Matki. Migotliwa skóra Oi, ciemna i czarująca, jak u królowej nocy.

Tak się musiała czuć Mama, uświadamiam sobie i serce we mnie rośnie. To dlatego tak kochała swoją magię.

W takich chwilach czuła, że żyje.

– Nieśmiertelna! – Okrzyk z trybun przywołuje mnie do rzeczywistości. Podchwytuje go coraz więcej osób, aż w końcu cała arena w dzikim uniesieniu skanduje ten fałszywy tytuł.

– Wszystko w porządku? – pyta Amari.

– O tak, nawet bardzo – odpowiadam z uśmiechem.

Mamy kamień, pergamin i sztylet.

Może więc jeszcze nie wszystko stracone.

ROZDZIAŁ 34



AMARI

Feta trwa wiele godzin, choć nie potrafię zrozumieć, jak ci ludzie mogą świętować. Zginęło tyle niewinnych osób. Jedna z mojej ręki.

Po zejściu z areny Tzain próbuje nas odgradzać od tłumu, lecz nawet on nie jest w stanie powstrzymać naporu widzów. Towarzyszą nam w drodze przez ulice Ibedzi i wymyślają dla nas różne tytuły. Zélie zostaje okrzyknięta Nieśmiertelną, Tzain – Wodzem. Najbardziej niedorzeczny przydomek zachowują jednak dla mnie. Aż się krzywię, słysząc go po raz kolejny: Lworożka.

Mam ochotę im odkrzyknąć, że bardzo się mylą, poprawić ich, że prędzej zasłużyłam sobie na miano tchórza czy oszustki. Nie ma we mnie ani śladu dzikiej bestii. Ten przydomek jest zwyczajnym kłamstwem. Lecz pijanych widzów zupełnie to nie obchodzi. Po prostu chcą sobie pokrzyczeć.

W końcu Tzain wydostaje nas z tłumu i prowadzi do wynajętej lepianki. Na tyłach chaty po kolei zmywamy z siebie krew.

Oblewam się zimną wodą i szoruję ile sił, chcąc zetrzeć wszelki ślad tamtego koszmaru. Zabarwiona na czerwono woda przypomina mi o kapitanie, którego zabiłam. *Nieba...*

Wszędzie było tyle krwi...

Sączyła się przez jego ciasny granatowy kaftan, przesiąkała moje skórzane podeszwy, pokrywała ciemnymi plamami spodnie. W ostatnich chwilach przed śmiercią kapitan sięgnął drżącą ręką do kieszeni. Cokolwiek zamierzał z niej wyjąć, nie zdołał tego zrobić; po chwili jego ręka opadła bezwładnie.

Zamykam oczy i wpijam sobie paznokcie w dłoń. Wydycham powietrze

z drżącym westchnieniem. Nie wiem, co jest gorsze: to, że go zabiłam, czy to, że mogłabym to uczynić ponownie.

Amari, atakuj. Głos ojca, tym razem ledwie szept, znów rozbrzmiewa mi w uszach.

Odpycham to wspomnienie i zmywam z siebie ostatnie ślady krwi.

Wracam do chaty i mój wzrok pada na świecący w sakwie Zélie kamień słoneczny. Pergamin i kościany sztylet jaśnieją w jego rudożółtym blasku. Wczoraj nie mogłam uwierzyć, że jesteśmy w posiadaniu dwóch świętych artefaktów, a teraz proszę, mamy wszystkie trzy. Do solstycjum zostało dwanaście dni; to wystarczająco dużo czasu na podróż na świętą wyspę. Zélie będzie mogła odprawić rytuał. Magia wróci na dobre.

Uśmiecham się do siebie na wspomnienie kolorowych promieni, które wystrzeliły z dłoni Binty. Miecz ojca nie zdołał ich przeciąć. To piękno przetrwało i może już wkrótce będę mogła je podziwiać na co dzień.

Jeśli nam się uda, śmierć Binty nie będzie daremna. Jej światło w pewnym sensie rozejdzie się po całej Oriszy. A rana w sercu, która mi po niej została, może się kiedyś zablizni.

– Pewnie wciąż nie możesz w to uwierzyć? – pyta szeptem Tzain, stając w drzwiach.

– Trochę tak. – Uśmiecham się lekko. – Ale przede wszystkim cieszę się, że to już koniec.

– Podobno będą musieli zwinąć interes. Bez tego całego złota nie będą mieli czym przekupywać dybiarzy, którzy dostarczali im robotników.

– Niebu dzięki. – Myślę o tych wszystkich młodych ibawitach, którzy zginęli. Choć Zélie pomogła duchom odejść do zaświatów, ich śmierć nadal ciąży mi jak wielki kamień. – Baako powiedział, że spłacą tym złotem długi innych ibawitów. Jak dobrze pójdzie, wykupią z niewoli setki ludzi.

Tzain kiwa głową. Spogląda na Zélie śpiącą w rogu chaty. Wykapana i wtulona w miękką sierść Najli, tak że prawie jej nie widać, odpoczywa po imponującej demonstracji mocy kamienia słonecznego. Patrząc na nią teraz, nie czuję się nieswojo jak zazwyczaj. Gdy jeden z członków naszej załogi

powiedział jej, że to ja rozstrzygnęłam losy bitwy, spojrzała na mnie z czymś w rodzaju uśmiechu.

– Myślisz, że twój ojciec o tym wiedział?

Podnoszę głowę. Tzain ucieka wzrokiem, twarz mu tężeje.

– Nie wiem – odpowiadam cicho. – Ale gdyby wiedział, pewnie i tak nie kiwnąłby palcem.

Niezręczna cisza mąci naszą krótką chwilę odpoczynku. Tzain schyla się po bandaż, ale zastyga z grymasem bólu. Ramię musi mu się dawać we znaki.

– Pomogę ci.

Podchodzę, starając się nie patrzeć na czerwony opatrunek na jego bicepsie. Jedyna rana, której doznał w bitwie. Przeze mnie.

– Dzięki – mówi cicho, gdy mu wręczam rolkę bandażu.

Wyrzuty sumienia zjadają mnie od środka.

– Nie dziękuj mi. Gdyby nie było mnie na statku, nie zostałbyś ranny.

– A Zél by zginęła.

Patrzy mi w oczy z życzliwością, której się w ogóle nie spodziewałam. Powinien mieć do mnie żal, a tymczasem jest mi wdzięczny.

– Amari, tak sobie myślę... – Bawi się rolką bandażu, najpierw ją rozwija, potem zwija. – Kiedy będziemy w Gombe, powinnaś się zgłosić na posterunek straży. Powiedzieć, że cię porwano. Zrzucić wszystko na nas.

– Z powodu tego, co się stało na statku? – Staram się mówić jak najspokojniej, lecz do mojego głosu wkrada się jakaś piskliwość. Skąd ten pomysł? Jeszcze przed chwilą dziękował mi za moją obecność.

– Nie! – Tzain zbliża się i nieśmiało kładzie mi rękę na ramieniu. Jak na takiego olbrzyma jest zaskakująco czuły w dotyku. – Świetnie się spisałaś. Boję się myśleć, co by było, gdyby cię tam zabrakło. Ale widziałem później twoją minę... Wiem, że bardzo to przeżyłaś. Jeśli zostaniesz z nami, nie mogę ci obiecać, że nie będziesz już musiała nikogo zabijać.

Opuszczam wzrok i liczę pęknięcia w klepisku. Tzain kolejny raz daje mi możliwość ucieczki.

Chce mi oszczędzić krwi na rękach.

Przypominam sobie tamtą chwilę na statku, kiedy żałowałam, że wykradłam pergamin. Chciałam cofnąć czas. Pragnęłam tego całym sercem. A teraz Tzain otwiera przede mną tę furtkę.

To by się mogło udać...

Choć jest mi wstyd, wyobrażam sobie, co by się stało, gdybym oddała się w ręce straży. Odpowiednio spreparowaną historią z odrobiną łez pewnie zdołałabym przekonać żołnierzy, że mówię prawdę. Ojciec, widząc mnie brudną i poszarpaną, mógłby uwierzyć w porwanie przez podstępna magiczkę. Ale mimo tych wszystkich kalkulacji wiem, że moja odpowiedź może być tylko jedna. Spycham tę część siebie, która chce się poddać, w najgłębszy zakamarek duszy.

– Zostaję. Dam sobie radę. Dziś tego dowiodłam.

– To, że potrafisz walczyć, nie oznacza jeszcze, że powinnaś...

– Tzain, nie mów mi, co powinnam, a czego nie!

Jego słowa ukłuły mnie jak igła. Przypominają o dniach spędzonych w murach pałacu.

Amari, siedź prosto!

Nie jedz tego.

Wystarczy już tego deseru...

Nie.

Nigdy więcej takiego życia. Życia, które przypłaciłam utratą najdroższej przyjaciółki. Nie po to stamtąd uciekłam, żeby teraz wrócić.

– Jestem księżniczką. Nie dawaj mi forów. Winę za to cierpienie ponosi mój ojciec. I to ja muszę naprawić jego błędy.

Tzain unosi dłonie.

– W porządku.

Przekrzywiam głowę.

– Naprawdę?

– Amari, ja chcę, żebyś była z nami. Zależało mi tylko, żeby to była twoja

decyzja. Tylko twoja. Wykradając ten pergamin, nie mogłaś wiedzieć, jakie to będzie miało skutki...

– A...

Powstrzymuję uśmiech. *Chcę, żebyś była z nami.* Czuję, jak uszy mi czerwienieją. Tzain wcale nie chce się mnie pozbyć.

– Dziękuję – mówię cicho i siadam. – Ja też chcę być z wami. Mimo twojego chrapania.

Tzain się uśmiecha i twarde rysy jego twarzy nagle miękną.

– Ty też wcale nie jesteś cicha, księżniczko. Chrapiesz tak głośno, że już dawno powinienem cię nazwać lworożką.

– Ha. – Mrużę oczy i sięgam po bukłaki, modląc się, by nie dojrzał rumieńców na moich policzkach. – Będę o tym pamiętać następnym razem, kiedy nie uda ci się schylić po bandaż.

Tzain wesoło szczyrzy zęby. Wychodzę z lepianki z uśmiechem, który prawie odrywa mnie od ziemi. Rześkie wieczorne powietrze, nasycone zapachem ogogoro i wina palmowego, wita mnie jak starą przyjaciółkę.

Jakaś kobieta w kapturze uśmiecha się promiennie na mój widok.

– Lworożka!

Dookoła ludzie zaczynają wiwatować. Znów robię się czerwona, lecz tym razem nie mam już poczucia, że ten przydomek jest całkiem chybiony. Macham nieśmiało do tych ludzi, po czym chowam się w cieniu.

Może się myliłam.

Może jednak mam w sobie pazur.

ROZDZIAŁ 35



INAN

Powietrze na pustyni jest martwe.

Każdy wdech sprawia ból.

Teraz, gdy nie ma ze mną Kei, jestem skazany na towarzystwo magii, która ją zabiła.

Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo rozmowa z Keją przyspiesza podróż. Gdy jadę samotnie na skradzionym panteroźcu, minuty wloką się jak godziny. Dzień zlewa się z nocą. Ubywa mi jedzenia i wody.

Chwytam wiszący przy siodle bukłak i wytrząsam z niego ostatnie krople. Jeśli Orí naprawdę patrzy na mnie z góry, pewnie się teraz śmieje.

Magowie zaatakowali.

Keja nie żyje.

Podążam za pergaminem.

I.

Wiadomość, którą wysłałem przez żołnierzy, powinna wkrótce dotrzeć do pałacu.

Znając ojca, natychmiast wyśle oddziały straży, powie dowódcom, żeby nie wracali bez głowy sprawcy. Gdyby wiedział, czyja to głowa...

Poczucie winy szarpie mi wnętrze jak magia, przed którą się bronię. Ojciec nigdy nie zrozumie, że już teraz odbywam najcięższą karę.

Nieba.

Dzwoni mi w uszach. Spycham magię jak najgłębiej, aż do szpiku kości, dalej niż sądziłem, że to możliwe. Teraz to już nie tylko ból w piersi czy kłopoty z oddychaniem, lecz nieustanne drżenie rąk. Przypominam sobie ogień pogardy w oczach Kei. Jad, z jakim wypowiedziała swoje ostatnie słowo.

Glista.

Słyszę je bez przerwy. Nie mogę uciec od tego piekła. Tym jednym strasznym słowem Keja być może przekreśliła mnie jako spadkobiercę tronu.

Ta obelga rzuca cień na wszystko, co do tej pory robiłem. Stawia pod znakiem zapytania moją przyszłość, do której sama Keja mnie przygotowywała.

Do licha! Zamykam oczy, odpychając od siebie wspomnienie tamtego dnia sprzed lat. To Keja przyszła do mnie po tym, jak zraniłem Amari. Siedziałem skulony w kącie swojej komnaty i ścisnąłem w dłoniach zakrwawione ostrze.

Rzuciłem wtedy miecz na podłogę, a Keja podniosła go i oddała mi.

„Jesteś silny, Inanie” – powiedziała z uśmiechem. „Nie bój się tej siły. Będziesz jej w życiu potrzebował. Będziesz jej potrzebował jako król”.

– Siła – powtarzam sobie na głos. Właśnie teraz jej potrzebuję. Użyłem magii po to, by chronić moje królestwo. Kto jak kto, ale Keja powinna to była zrozumieć.

Smagany po twarzy piachem, mijam gliniane mury Ibedzi. Staram się nie myśleć dłużej o Kei. Zginęła i nic tego nie zmieni.

A groźna magia wciąż może się odrodzić.

Zabij ją. Spodziewałem się zastać osadę pogrążoną we śnie, tymczasem na uliczkach Ibedzi widać jeszcze ślady hucznej zabawy. Pomniejsi szlachcice i mieszkańcy, co jeden to bardziej pijany, pociągają tęgie łyki z kubków i od czasu do czasu wykrzykują dziwne nazwy, coś jakby imiona legendarnych postaci: „Lworożka”, „Wódz”, „Nieśmiertelna”. Nikt nie zwraca uwagi na brudnego żołnierza, nie zatrzymuje wzroku na zaschniętej krwi pokrywającej moją skórę. Nikomu nie przysłoby do głowy, że jestem synem króla.

Pociągnięciem cugli zatrzymuję panterozca przed wieśniakiem, który

wydaje się w miarę trzeźwy. Sięgam po wygnieciony portret dziewczyny.

I wtedy uderza mnie w nozdrza woń morza.

Uderza mnie, choć zepchnąłem klątwę w najdalszy zakątek duszy. Wyraźna jak bryza. Spada na mnie jak wytęskniony deszcz. Nagle wszystko staje się jasne.

Ona tu jest.

Szarpnięciem cugli kieruję bestię w stronę zapachu.

Zabij ją. Zniszcz magię.

Muszę odzyskać swoje dawne życie.

Zatrzymuję się w uliczce biegnącej wzdłuż szeregu ziemianek. Morska woń staje się przemożna. Dziewczyna gdzieś tu jest. Chowa się w jednej z tych chatynek.

Ze ściśniętym gardłem zsiadam z panterozca i dobywam miecz. Ostrze lśni w blasku księżyca.

Otwieram kopniakiem pierwsze z brzegu drzwi.

– Co wy robicie? – woła jakaś kobieta.

Choć mój umysł spowija dym, widzę, że to nie ona.

To nie magiczka.

To nie jej szukam.

Oddycham głęboko i ruszam dalej. Pozwalam się prowadzić morskiej woni. To tutaj. Ta lepianka. Znalazłem ją.

Otwieram kopniakiem gliniane drzwi, wpadam do środka, szczerząc zaciśnięte zęby. Unoszę miecz...

Lecz w środku nikogo nie ma.

Pod ścianami leżą pozwijane prześcieradła i stare ubrania. Wszystko uwalane krwią. Ale chata jest pusta. Zostało w niej tylko trochę sierści lworoźca i zapach tamtej dziewczyny, nie do pomylenia z żadnym innym.

– Hej! – krzyczy jakiś mężczyzna z ulicy.

Nie odwracam się.

Była tutaj. W tej wiosce. W tej chacie.

A teraz jej nie ma.

– Co ty sobie wyob...

Ktoś chwyta mnie za ramię. Natychmiast ściskam go za gardło.

Gdy zaczyna się dusić, przytykam miecz do jego piersi.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem, o kogo pytacie – skomle tamten.

Przesuwam czubkiem ostrza i na ciele mężczyzny pojawia się cienka czerwona kreska. Jego łzy srebrzą się w blasku księżyca.

Glista, szepce do mnie dziewczyna głosem Kei. Nigdy nie będziesz królem. Nawet nie potrafisz mnie złapać.

Zaciskam mocniej dłoń na gardle mężczyzny.

– Gdzie ona jest?

ROZDZIAŁ 36



ZÉLIE

Po sześciu dniach podróży przez koszmarną pustynię widok bujnych lasów doliny rzeki Gombe przynosi nam ulgę. Nareszcie jakieś życie. Drzewa na tutejszych wzgórzach są tak szerokie, że jeden pień mógłby pomieścić całą chatę. Liście tych olbrzymów ociekają księżycowym światłem, gdy zmierzamy w stronę krętej rzeki. Jej szum, podobny do huku odległych morskich fal, ma w sobie coś z muzyki.

– Jaki miły dźwięk – mruczy Amari.

– Prawie jak w domu – odpowiadam.

Zamykam oczy, wsłuchuję się w ten szmer i czuję ten sam spokój co wczesnym rankiem na połowie z Babą. Otwarte morze wydawało mi się wtedy czymś w rodzaju osobnego świata. Tylko tam czułam się naprawdę bezpieczna. Nawet strażnicy nie mogli nam zagrozić.

Odprężam się i zanurzam we wspomnieniach. Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam taki spokój. Kiedy szukaliśmy rozrzuconych artefaktów, a Inan deptał nam po piętach, każda sekunda była ukradziona, w najlepszym razie pożyczona. Nie sądziłam, że uda nam się zdobyć przedmioty potrzebne do odprawienia rytuału; śmierć wydawała się o wiele bardziej prawdopodobna. A tu proszę, mamy wszystko w garści: pergamin, kamień słoneczny, kościany sztylet. Na sześć dni przed solstycjum wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że nasza misja może się powieść.

– Myślicie, że kiedyś będzie się o tym opowiadać? – pyta Amari. – O naszej wyprawie?

– Mam nadzieję – prycha Tzain. – Myślę, że po tym wszystkim, co

przeszliśmy, zasługujemy co najmniej na własne święto.

– Ciekawe, jak by nazwano tę opowieść? – Amari w zamyśleniu zagryza wargę. – „O trzech takich, co przywrócili magię”? „Legenda o zbawcach magii i świętych artefaktów”?

Marszczę nos.

– To nie brzmi dobrze – stwierdzam, opierając się o kudłaty grzbiet Najli. – Taki tytuł raczej nie wytrzymałby próby czasu.

– To może coś prostszego? – zastanawia się głośno Tzain. – „Księżniczka i rybak”?

– To brzmi jak historia miłosna.

Przewracam oczami. Uśmiech w głosie Amari nie uszedł mojej uwadze. Tzain pewnie też się teraz uśmiecha.

– Skoro już chcemy z tego zrobić historię miłosną – drocę się – to lepiej nazwać ją „Księżniczka i gracz w agböna”. Tak będzie bliżej prawdy.

Amari obraca głowę, policzki jej się czerwienia.

– Nie chodziło mi o to... Chciałam tylko... – zaczyna, lecz nie jest w stanie wykrztusić nic więcej.

Tzain rzuca mi surowe spojrzenie, ale nie widać w nim prawdziwej złości. Tak łatwo zamknąć im usta. Sama nie wiem, czy to urocze, czy irytujące.

Docieramy nad brzeg rzeki Gombe.

– Bogowie, jaka ona wielka! – Zjeżdżam Najli z ogona.

Wzdłuż błotnistej brzegu ciągną się duże gładkie kamienie. Otoczone masywnymi pniami szerokie koryto wije się przez środek lasu. Klękam w błocie i nabieram garść wody. Przypominam sobie, jak piekło mnie w gardle podczas wędrówki przez pustynię. Dotyk zimnej wody sprawia mi taką przyjemność, że mam ochotę zanurzyć w niej całą twarz.

– Zél, nie teraz – mówi Tzain. – Woda jeszcze będzie. Długa droga przed nami.

– Wiem, tylko łyczek. Najli przyda się chwila odpoczynku.

Głaszczę lworożkę po rogu, czochram się o jej szyję, a potem śmieję się,

gdy Najla czochra się o mnie. Nawet ona miała dość pustyni. Odkąd krajobraz się zmienił, wstąpiły w nią nowe siły.

– Dobrze, ale robimy to dla Najli. – Tzain ustępuje. – Nie dla ciebie.

Zeskakuje na dół i kuca przy wodzie, ostrożnie napełniając swój bukłak. Usta unoszą mi się w uśmiechu. Nie mogę zmarnować takiej okazji.

– O bogowie! – Wskazuję palcem. – Co to?

– Co?

Wpadam prosto na Tzaina. Przewraca się z krzykiem – i pluskiem. Po chwili wynurza się przemoknięty do nitki, szczękając zębami. Patrzy mi w oczy. Na jego twarzy zakwita szelmowski uśmiech.

– Nie żyjesz.

– Najpierw musisz mnie złapać!

Ale refleks mnie zawodzi; nie zaczęłam jeszcze uciekać, a Tzain już chwytą mnie za nogę i wciąga do lodowatej wody. Zimno kłuje mnie jak drewniane igły Mamy Agby.

– Bogowie! – wyrzucam z siebie.

– I co, warto było? – pyta Tzain ze śmiechem.

– Pierwszy raz od bardzo dawna udało mi się ciebie przechytryć, więc myślę, że tak.

Amari, chichocząc, zeskakuje z grzbietu Najli. Kręci głową.

– Jesteście niemożliwi.

Tzain uśmiecha się łobuzersko.

– Jesteśmy jedną drużyną, nieprawdaż? Powinnaś się dopasować.

– O nie. Nie ma mowy.

Amari zaczyna się cofać, lecz jest bez szans. Tzain wynurza się z wody niczym oriszański rzeczny pyton. Dopada ją już po kilku metrach. Z uśmiechem słucham jej radosnych pisków, a potem wymówek, które wymyśla, gdy Tzain niesie ją przerzuconą przez bark.

– Nie umiem pływać.

– Tu jest płytko.

– Jestem księżniczką.

– To księżniczki się nie kąpią?

– Mam pergamin! – Wyjmuje zwój zza pasa, przypominając Tzainowi o jego własnym pomysłe, by nie trzymali wszystkich artefaktów w jednym miejscu.

Tzain nosi przy sobie kościany sztylet, Amari – pergamin, a ja sprawuję pieczę nad kamieniem słonecznym.

– Słuszna uwaga. – Tzain wyrywa jej zwój i odkłada na siodło. – A teraz, Wasza Wysokość, zapraszam na królewską kąpiel.

– Tzain, nie!

Głośny krzyk Amari płoszy ptaki z pobliskich drzew. Księżniczka z pluskiem wpada do wody i zaczyna rozpaczliwie wymachiwać rękoma, mimo że woda sięga tylko do pasa. Tzain i ja wybuchamy śmiechem.

– To nie jest śmieszne – oznajmia Amari, trzęsąc się i mimowolnie uśmiechając. – Pożałujesz tego.

Tzain kłania jej się w pas.

– Spróbuj.

Na mojej twarzy rozkwita uśmiech inny niż do tej pory; choć siedzę na brzegu lodowatej rzeki, robi mi się od niego ciepło. Dawno już nie widziałam brata w nastroju do zabawy. Amari stara się, jak może, by go zanurzyć, ale jest od niego co najmniej o połowę lżejsza. Tzain bawi się z nią, krzyczy z bólu na niby, daje jej nadzieję na wygraną...

Nagle rzeka znika.

Drzewa.

Najla.

Tzain.

Wszystko wokół się kręci, a mnie porywa znajoma siła.

Gdy chwilę później świat przestaje wirować, czuję łaskotanie pod stopami. Płuca wypełnia mi rześkie powietrze.

Dociera do mnie, że jestem we śnie księcia – i w tej samej sekundzie

wracam na jawę.

Wciągam gwałtownie powietrze i chwytam się za pierś. Znow stoję w lodowatej wodzie. Pobyt we śnie trwał tylko mgnienie, ale odczułam go mocniej niż kiedykolwiek. I nagle – zimny dreszcz olśnienia. Inan jest nie tylko w moich snach.

Zbliża się.

– Musimy jechać.

Tzain i Amari śmieją się tak głośno, że w ogóle nie słyszą, co do nich mówię. Tzain znow ją podniósł i grozi, że ją wrzuci.

– Przestańcie! – Kopię w nich wodą. – Musimy jechać! Nie jesteśmy tu bezpieczni.

– O czym ty mówisz? – chichocze Amari.

– O Inanie. Jest bli...

Głos zamiera mi w gardle na dźwięk odległego dudnienia.

Wszyscy troje spoglądamy w tamtą stronę. Hałas jest miarowy i narasta.

W pierwszej chwili nie potrafię go rozszyfrować, lecz po kilku sekundach rozpoznaję uderzenia ciężkich łap o ziemię. Moje najgorsze podejrzenia potwierdzają się, kiedy zza zakrętu rzeki wyłania się Inan.

Pędzi ku nam na panterozcu.

Brniemy w stronę brzegu. Jestem w takim szoku, że ruszam się wolniej, niż powinnam. Woda, która jeszcze przed chwilą sprawiała nam tyle radości, teraz jest przeszkodą; silny nurt utrudnia Amari i Tzainowi wyjście na brzeg. *Ale z nas idioci*. Jak mogliśmy być tak niemądrzy? Inan dopadł nas akurat w chwili, kiedy pozwoliliśmy sobie na odprężenie.

Ale jak w ogóle pokonał zepsuty most w Chândomblé? Skąd wiedział, dokąd się udać? Niechby nawet zdołał jakoś ustalić, że jesteśmy w Ibedzi. Przecież opuściliśmy to piekło sześć dni temu!

Podbiegam do Najli i dosiadam jej pierwsza. Ściskam mocno cugle. Tzain i Amari prędko wspinają się za mnie. Możemy już ruszać, najpierw jednak oglądam się za siebie...

Chwileczkę.

Gdzie są jego żołnierze? Admiralka, która zabiła Lekana? Po tym, jak przeżył atak sêntaro, Inan z pewnością nie odważyłby się zaatakować bez wsparcia.

Jednak wbrew tej logice zza drzew nie wyłania się ani jeden strażnik. Książę jest sam jak palec.

Mogę go pokonać.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyczy Tzain, widząc, że wypuszczam cugle z rąk.

– Poradzę sobie z nim.

– Zélie, nie!

Ale już podjęłam decyzję.

Zrzucam sakwę na ziemię i zeskakuję z grzbietu Najli. Ląduję na kuckach. Inan wstrzymuje swoją bestię i zsiada. Zbliża się z wyciągniętym mieczem. Jego panterożec, warknąwszy krótko, oddala się długimi susami, lecz Inan w ogóle się tym nie przejmuje. Mundur księcia znaczą ślady krwi, w bursztynowych oczach płonie determinacja. Wygląda chudziej niż ostatnio. Zmęczenie bije od niego jak żar. W spojrzeniu migoczą błyski szaleństwa.

Tłumienie swej mocy kosztowało go wiele.

– Poczekaj! – słyszę drżący głos Amari.

Siostra Inana ześlizguje się z siodła, mimo że Tzain próbował ją powstrzymać. Ląduje zwinnie i bezszelestnie. Mija mnie ostrożnym krokiem.

Krew odpłynęła jej z twarzy i znowu widzę strach, który towarzyszył jej przez całe życie. Oto dziewczyna, która parę tygodni temu capnęła mnie na targowisku. Księżniczka ze szramą na plecach.

Lecz po chwili dostrzegam zmianę w jej posturze, jakąś stanowczość, jak wtedy na statku. Gdy staje naprzeciwko brata, przerażenie w jej oczach ustępuje miejsca zatroskaniu.

– Co się stało?

Inan kieruje miecz w jej stronę. Tzain zeskakuje z siodła, lecz chwytam go za ramię.

– Pozwól jej spróbować.

– Zejdź mi z drogi – odzywa się Inan tonem rozkazu, ale ręka mu drży.

Amari, oświetlona księżycowym blaskiem odbitym od klingi brata, przez chwilę milczy.

– Tu nie ma ojca – przemawia wreszcie. – Nie zrobisz mi krzywdy.

– Nie wiesz tego.

– Może ty nie wiesz. – Amari przetyka ślinę. – Ja wiem.

Inan milczy przez dłuższą chwilę. Stoi nieruchomo. Zbyt nieruchomo. Chmury suną po niebie, księżyc oświetla dzielący ich skrawek lasu. Amari robi krok do przodu. Potem drugi, większy. Gdy dotyka policzka brata, w jego bursztynowych oczach pojawiają się łzy.

– Nie rozumiesz – odzywa się Inan łamiącym się głosem. – To ją zabiło. Zabije nas wszystkich.

Amari nie pyta, kogo Inan ma na myśli. Kieruje miecz brata ku ziemi, jakby uspokajała dzikie zwierzę.

Dopiero teraz widzę, jak bardzo się różnią: jej twarz jest okrągła, jego – kanciasta. Choć mają identyczne bursztynowe oczy i miedzianą karnację, na tym kończą się podobieństwa.

– To słowa ojca, Inanie. To jego wnioski. Nie twoje. Mamy swój rozum i swoją wolę. Dokonujemy własnych wyborów.

– Ale on ma rację. Jeśli nie powstrzymamy magii, Orisza będzie zgubiona.

Znów kieruje wzrok w moją stronę. Zaciskam palce na metalowym kiju. „Tylko spróbuj”, mam ochotę warknąć. Nie zamierzam dłużej przed nim uciekać.

Amari delikatnie ujmuje go za głowę i zwraca ją z powrotem ku sobie.

– To nie ojciec jest przyszłością Oriszy, braciszku. My nią jesteśmy. Stoimy po właściwej stronie. Ty też możesz po niej stanąć.

Inan patrzy na siostrę i przez chwilę nie wiem, kim właściwie jest. Bezlitosnym kapitanem straży? Małym księciem? Wystraszonym i stłamszonym magiem? W jego spojrzeniu przebija tęsknota, pragnienie

zaprzestania walki. Kiedy jednak unosi brodę, znów dostrzegam w nim mordercę.

– Amari! – wołam.

Inan odpycha ją i rusza na mnie z wyciągniętym mieczem. Dobywam kij i staję między nim a Tzainem. Amari zrobiła, co mogła.

Teraz moja kolej.

Ostrze Inana uderza z brzękiem o mój kij. Szukam okazji do kontrataku, lecz ten prawdziwy Inan, który właśnie się obudził, nie daje mi ani chwili wytchnienia. Choć jest zmęczony, atakuje zaciekle. Nienawidzi mnie, również dlatego, że wiem o nim więcej, niżby chciał. Lecz we mnie także narasta gniew, z każdym odparowanym ciosem jestem coraz bardziej wściekła. Ten potwór spalił moją wioskę i doprowadził do śmierci Lekana. Jest przyczyną wszystkich naszych problemów.

A teraz mam szansę go zgładzić.

– Widzę, że skorzystałeś z mojej rady! – wołam i robię salto, by uniknąć kolejnego cięcia. – Białej plamy prawie nie widać. Ile warstw farby musiałeś nałożyć, królewiczu?

Biorę zamach kijem, mierząc prosto w czaszkę Inana. Nie chcę go zranić – chcę go zabić. Mam dość walki.

Mam dość uciekania przed nim.

Uchyła się przed ciosem i natychmiast wyprowadza atak. Robię unik i kontruje. Nasze bronie zderzają się z głośnym szczękiem, tak mocno, że aż trzęsą mi się ręce.

– Nie wygrasz – rzucam. – Nawet jeśli mnie zabijesz, nadal będziesz tym, kim jesteś.

– Nieważne – odpowiada, cofając się, by móc wziąć kolejny zamach. – Magia umrze razem z tobą.

Naciera na mnie z uniesionym ostrzem.

ROZDZIAŁ 37



AMARI

Choć trenowałam z nim przez tyle lat, patrząc teraz, jak walczy, mam wrażenie, że oglądam obcego człowieka. Inan jest wolniejszy niż zwykle, lecz atakuje z ogromną zaciekłością, której nie potrafię sobie w żaden sposób wytłumaczyć. Wymieniają cios za cios wśród nieustannego brzęku miecza o kij. Walka przenosi się coraz głębiej w las. Tzain i ja podążamy za nią.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie Tzain.

Chciałabym móc powiedzieć, że tak, ale gdy patrzę na Inana, serce mi się kraje. Tak niewiele brakowało, by dokonał właściwego wyboru.

– Oni się pozabijają – szepczę i aż się wzdrygam od kolejnej serii wściekłych ciosów.

– Nie. – Tzain kręci głową. – Zél go zabije.

Przyglądam się Zélie. Jak zwykle walczy bardzo zwinnie, łącząc siłę z precyzją ruchów. Tym razem jednak chodzi jej o coś więcej niż unieszkodliwienie przeciwnika – chce rozprawić się z moim bratem raz na zawsze.

– Musimy ich rozdzielić! – Biegnę przed siebie, ignorując protesty Tzaina.

Inan i Zél biją się na zboczu opadającym ku zadrzewionej dolinie. Pędzę za nimi, lecz im bardziej się zbliżam, tym bardziej nie wiem, jak postąpić. Czy powinnam sama dobyć miecz, czy może rzucić się między nich całkiem bezbronna? A jeśli nie zatrzymają się ani na moment? Sądząc po tym, jak zajadle się nawzajem atakują, wcale bym się nie dziwiła.

Lecz nagle czuję na sobie ciężar czyjś spojrzeń. Po latach spędzonych w pałacu wyczuwam to bezbłędnie.

Zatrzymuję się i rozglądam. *Może Inan wezwał pomoc?* Nie zwykł walczyć w pojedynkę. Jeśli żołnierze są blisko, jesteśmy w większych tarapatach, niż sądziłam.

Ale nie widzę nigdzie pieczęci Oriszy, tylko tuman liści. Sięgam po miecz i w tej samej chwili słyszę głośny świst...

Najla ląduje nieopodal. Jej potężne cielsko jest zaplątane w ogromną sieć. Wściekły ryk z wolna przechodzi w bezsilne skomlenie. Chwilę później z lasu wyłania się pięciu żołnierzy. Chwytają sieć i wloką Najlę między drzewa.

– Najla! – Tzain rzuca się za nimi, trzymając w ręku swój nóż myśliwski. Sadzi długimi susami z ostrzem gotowym do ciosu. – Uch!

Przewraca się na ziemię niczym kłoda. Nogi i ręce ma spętane bolasami. Nóż myśliwski upada na ziemię, a chwilę później również na Tzaina spada sieć. Miota się w niej jak dziki kot.

– Nie!

Biegnę z wyciągniętym mieczem i bijącym sercem. Bez trudu unikam nadlatujących bolasów, lecz gdy wraca pięciu żołnierzy, którzy porwali Najlę, nie wiem, w którą stronę się zwrócić. Zamaskowani ludzie w ciemnych ubraniach zlewają się z cieniami drzew. Od czasu do czasu migają mi ich oczy. *To nie żołnierze...*

Ale jeśli to nie strażnicy Inana, kim są? Dlaczego nas zaatakowali?

Zamachuję się mieczem na pierwszego, który do mnie podchodzi, po czym uchylam się przed ciosem jego towarzysza.

– Tzain! – krzyczę, widząc, że jest zaciągany w głąb lasu przez kolejne postacie, które wyłoniły się z ciemności.

Szamocze się w sieci, dopóki jeden z przeciwników nie ogłusza go ciosem w głowę.

– Tzain! – Zamierzam się na kolejnego napastnika, lecz moje cięcie jest minimalnie spóźnione.

Zamaskowany mężczyzna wyrywa mi broń z ręki. Drugi zatyka mi usta i nos wilgotną szmatką.

Ostry zapach wypala mi nozdrza. Dookoła robi się ciemno.

ROZDZIAŁ 38



ZÉLIE

Krzyki Amari niosą się echem przez las.

Inan i ja zastygamy nieruchomo. Odwracamy głowy i widzimy, że kilka metrów dalej Amari szarpie się z mężczyzną w masce.

Napastnik zakrywa jej usta czarną rękawiczką. Jej wzrok staje się szklisty, a po chwili oczy wywracają się białkami ku niebu.

– Amari! – Inan biegnie do niej, a ja za nim.

Ale las opustoszał. Nie widzę Najli.

Nie widzę Tzaina.

– Tzain?

Opieram się o drzewo i wodzę wzrokiem wśród ciemniejących pni. W oddali spostrzegam tuman kurzu i jakieś ciało zaplątane w sieć. Duże i silne. Z bezwładnie opadającą ręką. *O nie...*

– Tzain!

Biegnę co tchu.

Nie sądziłam, że umiem tak szybko.

Jakbym znowu miała sześć lat i biegła na ratunek Mamie.

Odpycham to wspomnienie i pędzę ile sił, wykrzykując imię brata w ciemność. To się nie może powtórzyć.

Nie mogę stracić Tzaina.

– Tzain!

Zdzieram sobie gardło krzykiem. Nogi trzęsą mi się w biegu. Muszę go uratować...Wyprzedzam Inana, który biegnie za Amari.

– Nie!

Sznurek owija mi się wokół kostek i upadam bez tchu. Opada na mnie sieć.

– Aa! – krzyczę i wierzgam, gdy mężczyźni w maskach ciągną mnie w las.

Mają już Tzaina. Mają Amari.

A teraz schwytali mnie.

Kamyki i gałęzie ranią mi skórę, wypuszczam kij z ręki. Próbuje sięgnąć po sztylet Tzaina, lecz wymyka mi się spod palców. Dostaję piaskiem po oczach i przez chwilę niewiele widzę. Wszystko na nic. To koniec.

I wtedy sznur, który ciągnie moją sieć, pęka.

Zatrzymuję się, a dwaj zamaskowani mężczyźni, którzy mnie wlekli, lecą do przodu siłą bezwładności. Inan, który pojawił się znikąd, atakuje ich, nie czekając, aż się pozbierają.

Jednemu mężczyźnie udaje się uciec; znika gdzieś wśród korzeni ogromnego drzewa. Drugi miał mniej szczęścia: osuwa się nieprzytomny na ziemię po tym, jak Inan uderzył go ręką miecza w skroń.

Księżę zwraca się ku mnie. Poprawia miecz w dłoni.

Jego oczy zioną wściekłością.

Próbuje się uwolnić. Choć trzęsą mi się palce, gołymi rękami rozrywam sieć. Inan się zbliża, pieczęć Oriszy lśni w księżycowym blasku, przypominając mi o wszystkich cierpieniach, jakich doznałam od monarchii. O butach strażników. O plamach krwi na piasku. O czarnym łańcuchu na szyi Mamy.

Przypominam sobie, jak kopali Tzaina.

I jak rzucili mnie na ziemię.

Każde kolejne wspomnienie coraz mocniej ściska mi pierś, zgniata żebra. Gdy Inan kuca przy mnie i kolanami przyszpila mi ręce do ziemi, tracę oddech.

I tak to się skończy...

Widzę nad sobą błysk jego miecza.

...tak samo, jak się zaczęło.

ROZDZIAŁ 39



INAN

Jestem tak blisko.

Ta jedna myśl zaprzęta mnie zupełnie, gdy zbliżam się do dziewczyny. Leży bezbronna, zaplątana w sieć. Bez kija. Bez magii.

Zabijając ją, spełnię swój święty obowiązek. Uchronię całe królestwo Oriszy przed jej niebezpiecznym szaleństwem. Zmażę wszystkie grzechy popełnione w trakcie tej wyprawy. Jedyna żywa istota, która wie o mojej klątwie, zamilknie na wieki.

Przygważdżam ją mocno do ziemi. Unoszę miecz, a drugą rękę opieram na jej mostku, mierząc ostrzem prosto w serce.

Lecz gdy dotykam dłonią jej klatki piersiowej, magia budzi się we mnie z rykiem. Niepowstrzymana siła. Potężniejsza niż kiedykolwiek wcześniej.

– Uch! – wrywa mi się z gardła. Cały świat znika za gorącą błękitną chmurą. Próbuję się z niej wydostać, ale nie mogę.

Moja klątwa mi nie pozwala.

Czerwone niebo.

Przeraźliwe wrzaski.

Strumienie krwi.

Całe życie tej dziewczyny w jednej chwili przemyka mi przed oczami. Jej rozpacz rozdziera mi serce.

Nie sądziłem, że można tak bardzo cierpieć.

Pod bosymi stopami czuję zimną skałę, po której magiczka wspina się podczas przeprawy przez zaśnieżone góry Ibadanu. Otacza mnie ciepły zapach

potrawki z ryżem. Wstrzymuję oddech, gdy strażnicy wdzierają się do jej domu. Strażnicy Oriszy.

Moi strażnicy.

Na sam ich widok czuję ściskanie w gardle. Jakby dusił mnie gorylion.

Migają mi przed oczami tysiące chwil, tysiące zbrodni w majestacie Oriszy, z błyszczącym lampartusem w tle.

Pięść w żelaznej rękawicy uderza jej ojca w twarz.

Zakrwawiony łańcuch oplata szyję matki.

Widzę to wszystko. Świat urządzony przez mojego ojca.

Ból, który musiała znosić.

Mamo!

Zwierzęcy krzyk Zélie nie przypomina ludzkiego głosu.

Tzain przykrywa ją w kącie chaty, osłania desperacko przed cierpieniami tego świata.

Obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie. Zlewają się w jedną chwilę bez końca.

Zélie szuka matki.

Podbiega do drzewa – i zamiera.

Nieba.

Groza tej sceny wrzyna mi się w mózg. Magiczka wisi na gałęzi spętana majacytowym łańcuchem, podobna do makabrycznej ozdoby.

Tak, by wszyscy ją widzieli.

Ku przestrodze ocalałym ibawitom.

W Oriszy rządzonej przez ojca wszyscy magowie muszą skończyć tak samo.

Z najwyższym wysiłkiem opędzam się od wspomnień Zélie. Jej smutek porywa mnie jak wściekły nurt.

Potem nagle wracam na ziemię.

Mój miecz wisi nad jej piersią.

Przekłete nieba.

Ręka mi drży. Jeśli mam ją zabić, to jest ten moment. Ale coś mnie paraliżuje.

Tym czymś jest obraz dziewczyny skrzywdzonej i złamanej.

Jakbym dopiero teraz ujrzał ją po raz pierwszy: nie magiczkę, ale ludzką istotę, która się w niej kryje. Pełną strachu zrodzonego z cierpienia. Z tragedii, której winny jest mój ojciec.

Ojciec...

Bolesna prawda parzy mi gardło jak gorzki trunek.

We wspomnieniach Zélie nie widzę złych ludzi, przed którymi ojciec zawsze mnie ostrzegał. Widzę rodziny, które okaleczył.

Obowiązek nade wszystko. Jego kredo znów dźwięczy mi w uszach.

Mój ojciec.

Jej król.

Sprawca tego całego cierpienia.

Z dzikim okrzykiem opuszczam ostrze. Dziewczyna się wzdryga.

Oplatający ją sznur upada w piach.

Otwiera oczy i zaczyna się czołgać do tyłu. Spodziewa się ciosu mieczem. Ale nie zrobię jej krzywdy.

Nie będę kolejną osobą z królewską pieczęcią Oriszy, która ją skrzywdzi.

Zdumiona moim bezruchem otwiera usta. Niezadane pytanie tańczy jej na wargach. Potem jednak spostrzega leżącego na ziemi mężczyznę w masce i jej oczy robią się wielkie jak spodki.

– Tzain!

Zrywa się na równe nogi, omal się przy tym nie przewracając. Imię jej brata odbija się echem wśród mroku.

Gdy odpowiada jej tylko cisza, osuwa się na kolana. A ja – wbrew sobie – klękam przy niej.

W końcu znam prawdę.

Nie wiem tylko, co mam z nią zrobić.

ROZDZIAŁ 40



ZÉLIE

Leżę na ziemi nie wiem jak długo.

Dziesięć minut.

Dziesięć dni.

Czuję w kościach ziąb jak nigdy przedtem.

Dojmujące zimno samotności.

Nic nie rozumiem. Kim byli ci zamaskowani ludzie? Czego chcieli? Nie mieliśmy szans na ucieczkę.

Nie trzeba było się zatrzymywać...

Ta bolesna prawda smakuje piołunem. Nawet najszybsi spośród nich nie dotrzymaliby kroku rozpędzonej Najli. Daliśmy się zaskoczyć, bo niepotrzebnie zsiadliśmy z jej grzbietu. Nie posłuchałam brata i teraz on i Amari płacą za mój błąd.

Za moje błędy zawsze płaci Tzain.

Kiedy pobiegłam za strażnikami, którzy zabrali Mameę, odciągnął mnie, ale wcześniej mu się od nich dostało. Kiedy uratowałam Amari w Lagos, porzucił dla mnie dom, swoją drużynę, przeszłość. A teraz postanowiłam stanąć do walki z Inanem i znów Tzain ucierpiał zamiast mnie. Znów zapłacił cenę, którą powinnam była zapłacić sama.

Wstawaj, słyszę głos w myślach, ostrzejszy niż kiedykolwiek przedtem. Musisz odbić Tzaina i Amari. Odszukaj ich.

Nie wiem, kim są ci zamaskowani ludzie, ale popełnili fatalny błąd, który będzie ich ostatnim.

Choć ciało mam jak z ołowiu, podnoszę się i podchodzę do miejsca, w którym leżą Inan i człowiek w masce.

Inan jest oparty o pień drzewa. Twarz ma ściągniętą bólem i wciąż trzyma się za pierś. Na mój widok chwyta rękojeść miecza, lecz nie wygląda, jakby szykował się do ataku.

Ogień, który w sobie wykrzesał podczas walki ze mną, zgasł. Został po nim tylko popiół szarych worków pod oczami. Sam Inan wydaje się teraz mniejszy, kości sterczą mu pod bladą skórą.

Walczy ze sobą... Ta myśl spada na mnie jak zimny podmuch. Inan tłumi w sobie magię.

Znów się osłabia.

Ale dlaczego? Przyglądam się z rosnącą konsternacją. Czemu pomógł mi się wydostać z sieci? Dlaczego już nie próbuje mnie zabić?

Nieważne dlaczego, odzywa się we mnie surowy głos. Mniejsza o jego powody. Żyję i tylko to się liczy.

Każda chwila mojej bezczynności może kosztować życie mojego brata.

Odwracam się od Inana i trącam stopą chłopaka w masce. Korci mnie, żeby mu ją zedrzeć, ale może będzie mi łatwiej, jeśli pozostanie człowiekiem bez twarzy. Kiedy wcześniej włókł mnie przez las, wydawał mi się olbrzymem. Teraz leży bez czucia, słaby i bezbronny.

– Dokąd ich zabraliście? – pytam.

Chłopak ocknął się, ale milczy.

Błąd.

Duży błąd.

Podnoszę z ziemi kij, biorę zamach i miażdżę mu kości w dłoni. Inan aż podrywa głowę na dźwięk przeraźliwego wycia.

– Odpowiadaj! Dokąd ich zabraliście?

– Ja nie... Aaa!

Krzyczy coraz głośniejsz, ale wciąż za cicho. Chcę słyszeć jego ból. Widzieć krew.

Upuszczam kij i sięgam po sztylet.

Sztylet Tzaina...

Zdjęta nagłym żalem przypominam sobie, jak mi go dał, zanim weszłam do Lagos.

„Na wszelki wypadek”, powiedział.

Na wszelki wypadek, bo nigdy nie wiadomo, w co nas wpakuję.

Oczy pieką mnie od łez.

– Mów! – krzyczę. – Gdzie jest dziewczyna? Gdzie mój brat? Gdzie macie obóz?

Pierwszy cios – w ramię – jest zamierzony: chcę mu rozwiązać usta. Lecz na widok jego krwi coś we mnie wstępuje, jakaś dzikość, nad którą nie umiem zapanować.

Tnę go drugi, trzeci, czwarty raz. Najczarniejsza cząstka mojej złości wydostaje się na wolność, zagłusza cały mój ból.

– Gdzie oni są? – Wbijam mu ostrze w dłoń. Oczyma wyobraźni widzę ciemność, w której najpierw znika Mama, a chwilę później spętany Tzain. – Odpowiedz! – Znów unoszę sztylet. – Dokąd go zabrali? Gdzie jest mój brat?!

– Hej!

Głos dobiega z góry, ale prawie go nie słyszę. Odebrano mi magię. Odebrano mi matkę. Tzaina mi nie odbiorą.

– Zabiję cię – grożę chłopakowi. Zawieszam ostrze nad jego sercem. – Zabiję...

– Zélie, nie!

ROZDZIAŁ 41



INAN

Dosłownie w ostatniej chwili chwytam ją za nadgarstki.

Sztywnieje pod moim dotykiem. Podnoszę ją i stawiam na nogach.

Dotyk jej skóry pobudza moją magię i znów czuję, jak zbierają się nade mną jej wspomnienia. Bestia kolejny raz podnosi łeb. Zaciskam zęby i stawiam opór. Kto wie, co by się stało, gdybym znowu zatracił się w jej umyśle.

– Puść! – warczy. W jej głosie słyhać tę samą wściekłość co przedtem.

Jakby nie zdawała sobie sprawy, że widziałem całe jej życie.

Że teraz ją znam.

Nie mogę się powstrzymać, chłonę wzrokiem ją całą: każdy szczegół, każdą krągłość ciała. Znamię w kształcie półksiężyca na szyi. Białe plamki w srebrnych sadzawkach oczu.

– Puść! – powtarza jeszcze gniewnie.

Próbuje uderzyć mnie kolanem w krocze; odskakuję w porę.

– Poczekaj. – Staram się jej przemówić do rozsądku, lecz wygląda na to, że teraz to na mnie wyładowuje swoją wściekłość. Zaciska palce na rękojęści sztyletu. Odchyła się jak do ciosu.

– Hej... – Zél. Słowo pojawia się w mojej głowie, ot tak. Wypowiedziane szorstkim głosem jej brata.

Tzain mówi na nią Zél.

– Zél, przestań!

Dziwnie się czuję, zwracając się do niej w ten sposób, ale przynosi to

skutek. Zélie zamiera. Marszczy boleśnie brwi. Tak jak wtedy, kiedy strażnicy wywlekali z domu jej matkę.

– Uspokój się. – Rozluźniam uścisk. Mały gest zaufania. – Zabijesz jedyną osobę, która może nas do nich zaprowadzić.

Zélie wpatruje się we mnie. Łzy na ciemnych rzęsach skapują na policzki. Nadchodzi kolejna fala bolesnych wspomnień. Muszę się przygotować, żeby mnie nie zmiotła.

– Nas? – pyta.

W jej ustach to słowo brzmi jeszcze dziwniej. Nie powinno być żadnego „my”. Nie powinniśmy mieć ze sobą nic wspólnego.

Zabij ją. Zniszcz magię.

Dawniej wszystko było takie proste. I tego chciałby ojciec.

On już kiedyś zniszczył magię.

Ale obraz magiczki, która zawisała na gałęzi, wciąż nie daje mi spokoju.

Ta i wiele innych zbrodni królestwa Oriszy.

Patrząc na Zélie, wreszcie znajduję odpowiedź na pytanie, którego bałem się zadać. Nie mogę być jak mój ojciec.

Nie będę takim królem.

Puszczam jej nadgarstki, ale tak naprawdę wypuszczam z rąk coś więcej. Metody ojca. Jego wizję Oriszy. To wszystko, co było dla mnie ważne, a od czego pragnę się teraz odciąć.

Zawsze byłem winien lojalność mojemu królestwu, ale Orisza nie może być taka jak do tej pory. Trzeba ją zmienić.

Musi stać się krajem, w którym książę i magiczka będą mogli żyć w zgodzie. Krajem, w którym słowo „my” pomieści nawet dwie tak różne osoby jak Zélie i ja.

Przemiana Oriszy – oto mój prawdziwy obowiązek wobec królestwa i jego mieszkańców.

– Nas – powtarzam dobitnie. – Potrzebujemy się nawzajem. Zabrali też moją siostrę.

Przygląda mi się badawczo. Widzę w jej oczach nadzieję. I strach przed tą nadzieją.

– Dziesięć minut temu groziłeś jej mieczem – zauważa. – Chodzi ci tylko o pergamin.

– A widzisz gdzieś pergamin?

Zélie rozgląda się, szuka wzrokiem sakwy rzuconej na ziemię tuż przed walką, ale choć w końcu ją odnajduje, minę ma niewesołą. Zabrali jej brata. Jej wierzchacza. Jej towarzyszkę. I zabrali zwój, którego oboje potrzebujemy.

– Nieważne, czy chodzi mi o siostrę, czy o pergamin. Oni wzięli jedno i drugie. W tej chwili mamy wspólny interes.

– Nie jesteś mi potrzebny. – Zélie mruży oczy. – Znajdę ich bez twojej pomocy.

Ale widzę, że strach oblewa ją niczym pot.

Strach, że zostanie sama.

– Gdyby nie ja, leżałabyś zaplątana w sieć. Gdyby nie ja, jedyny człowiek, który może ci powiedzieć, gdzie oni są, byłby martwy. Naprawdę myślisz, że poradzisz sobie z nimi w pojedynkę?

Czekam, aż przyzna mi rację, lecz tylko łypie na mnie ponuro.

– Potraktuję to milczenie jako „nie”.

Zélie spogląda na sztylet w dłoni.

– Jeśli dasz mi choć jeden powód, żebym cię zabiła...

– I myślisz, że mogłoby ci się udać? To urocze.

Mierzymy się wzrokiem, jakbyśmy nadal walczyli, niewidzialny kij kontra niewidzialny miecz. W końcu Zélie daje za wygraną i podchodzi do zakrwawionego chłopaka.

– No dobrze, mały książę – zwraca się do mnie. – Co dalej?

Krew się we mnie gotuje na to określenie, ale tylko zaciskam zęby. Nowa Orisza musi się od czegoś zacząć.

– Podnieś go.

– Po co?

– Zrób to, na litość niebieską!

Unosi zadziornie brew, ale pochyla się i dźwiga biedaka. Chłopak mruga niemrawo, pojękuje. Gdy podchodzę bliżej, powietrze między nami robi się nieprzyjemnie gorące.

Omiotam wzrokiem nieszczęśnika w masce. *Obie ręce złamane. Rany trudno zliczyć.* Wisi jej w rękach jak szmaciana lalka. Będzie dobrze, jak się nie wykrwawi.

– Posłuchaj mnie. – Chwytam go za brodę i zmuszam do spojrzenia mi w oczy. – Jeśli chcesz żyć, lepiej zacznij mówić. Gdzie są nasi?

ROZDZIAŁ 42



AMARI

Budzi mnie ostry, pulsujący ból głowy. Zaraz potem dołącza do niego wszechobecne pieczenie od licznych skaleczeń i zadrapań.

Powoli otwieram oczy, ale wciąż widzę tylko ciemność; założono mi na głowę worek. Gdy biorę zbyt głęboki wdech, szorstki materiał przywiera mi do nosa.

O co w tym wszystkim chodzi?

Próbuję wstać, ale nie mogę, bo ręce mam przywiązane do jakiejś kolumny. *Nie, to nie kolumna.* Przesuwam dłoń po chropawej powierzchni. *Drzewo...*

A więc nadal jesteśmy w lesie.

– Tzain? – Próbuję zawołać, lecz knebel mi nie pozwala. Nie wiem, kim są ci ludzie, ale dmuchają na zimne.

Nasłuchuję odgłosów, które powiedziałyby mi coś więcej o tym miejscu – szmeru wody, szelestu moich pojmanyh towarzyszy. Nic jednak nie słyszę. Pozostaje mi przeszukiwanie własnej pamięci.

Choć i tak nic nie widzę, zamykam oczy i wspominam tamten zaskakujący atak: Tzaina i Najlę spowitych sieciami, no i ten cierpki odór, który pozbawił mnie przytomności. Zamaskowani wojownicy, szybcy i bezszelestni, wtapiający się w cień. To wszystko ich sprawka.

Powyłapywali nas.

Ale po co? Czego od nas chcą? Gdyby zamierzali nas obrabować, mogliby to zrobić na miejscu. Gdyby chcieli nas uśmiercić, byłabym już martwa. Nie, najwyraźniej przyświecał im jakiś większy cel. Potrzebuję czasu, żeby to

rozgryźć. I obmyślić plan ucieczki...

– Nie śpi.

Kobiecy głos. W bezruchu napinam wszystkie mięśnie. Słyszę kroki, jakiś szelest. Dolatuje mnie słaby zapach szaławii.

– Mam iść po Zu?

Kobieta mówi z przeciągłym akcentem, który słyszałam tylko u szlachciców ze wschodu. Przypominam sobie mapę Oriszy w sali wojennej. Nie licząc Ibedzi, jedyną większą wschodnią wioską reprezentowaną na królewskim dworze jest Warri.

– Zu może poczekać – odpowiada jej męski głos, równie śpiewny. Kiedy jego właściciel się zbliża, uderza mnie fala ciepła.

– Kwame, nie!

Ktoś zrywa ze mnie worek mocnym szarpnięciem. Głowa pęka mi z bólu od jasnego światła lamp. Widzę wszystko niewyraźnie.

Po chwili ukazuje mi się twarz ibawity o brązowych oczach, podejrzliwie zmrużonych. Wyraźnie zarysowaną szczękę pokrywa gęsta broda. W prawym uchu spostrzegam niewielki srebrny kolczyk. Mimo groźnej miny chłopak nie może mieć dużo więcej lat niż Tzain.

Za nim stoi inna ibawitka, piękna, ciemna, o kocim spojrzeniu. Długie białe włosy spływają jej po plecach i na skrzyżowane ramiona. Otacza nas płócienny namiot zbudowany wokół pni dwóch olbrzymich drzew.

– Kwame, maski.

– Nie potrzebujemy ich – odpowiada chłopak.

Czuję na twarzy jego ciepły oddech.

– Teraz to ona musi się bać nas. Nie odwrotnie.

Za chłopakiem siedzi ktoś przywiązany do wielkiego korzenia, z głową w jutowym worku. *Tzain*. Oddycham z ulgą, rozpoznając jego postać, ale to uczucie nie trwa długo. Na worku Tzaina widnieje krwawa plama, duża i ciemna. Skórę ma pokaleczoną i posiniaczoną; widać, że sporo wycierpiał w drodze do tego miejsca.

– Chcesz z nim porozmawiać? – zwraca się do mnie Kwame. – Najpierw powiedz, skąd masz ten pergamin.

Na widok zwoju mróz ścina mi krew w żyłach. *Nieba. Co jeszcze zabrał?*

– Tęsknisz za swoim nożem? – Kwame jakby czytał w moich myślach. Wyjmuje zza pasa kościany sztylet. – Nie mogłem zostawić twojemu chłopakowi tak niebezpiecznej broni.

Rozcina mi knebel. Nic sobie nie robi z tego, że niechcący zadrasnął mnie w policzek.

– Masz tylko jedną szansę – oznajmia przez zaciśnięte zęby. – Nie próbuj kłamać.

– Z królewskiego pałacu – odpowiadam prędko. – Chcemy przywrócić magię. Zostałam wybrana do tej misji przez bogów.

– Pójdę po Zu... – odzywa się dziewczyna.

– Folake, poczekaj – usadza ją ostro Kwame. – Nie możemy do niej pójść bez Dżajlina, dopóki się czegoś nie dowiemy. – Odwraca się z powrotem do mnie i znów mruży oczy. – Kosidanka i szlachcianka wyrusza na wyprawę, żeby przywrócić magię, i nie towarzyszy jej żaden mag?

– Jest z nami...

Gryzę się w język. Staram się wyczytać z tego pytania jak najwięcej informacji. Zupełnie jak za dawnych czasów przy obiadach w pałacu, kiedy starałam się dojrzeć prawdę wyzierającą zza uśmiechów i kłamstw. Ten ibawita myśli, że jesteśmy we dwoje. To znaczy, że Zélie i Inan zdołali uciec. *Może są już bezpieczni...*

– Skończyły ci się kłamstwa? – pyta Kwame. – Świetnie. Teraz powiedz prawdę. Jak nas znalazłaś? Ilu was jest? Na co szlachciance taki pergamin?

Taki pergamin?

Wbijam paznokcie w ziemię. *Oczywiście.* Dlaczego od razu się nie zorientowałam? Kwame nawet nie mrugnął, kiedy powiedziałam, że chcę za pomocą pergaminu przywrócić magię. Jest ibawitą, mimo to dotknięcie pergaminu nie podziałało na niego w żaden sposób.

Dlatego, że nie dotyka go po raz pierwszy...

Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby właśnie o ten pergamin chodziło jemu i jego zamaskowanym towarzyszom.

– Posłuchajcie...

– Nie – przerywa mi, po czym podchodzi do Tzaina i zrywa mu worek z głowy.

Tzain jest na wpół przytomny, głowa mu się kołysze. Z przerażeniem patrzę, jak Kwame przystawia mu kościany sztylet do gardła.

– Mów prawdę.

– Mówię! – wołam piskliwie, szarpiąc więzy.

– Musimy wezwać Zu. – Folake cofa się w stronę wyjścia z namiotu, jak gdyby zwiększając dystans, zmniejszała swoją odpowiedzialność za to, co się dzieje.

– Musimy znać prawdę! – unosi się Kwame. – Ona kłamie. Nie udawaj, że tego nie widzisz!

– Nie rób mu krzywdy – proszę błagalnym tonem.

– Dałem ci szansę. – Kwame zaciska usta. – Możesz mieć żal tylko do siebie. Nie chcę znów stracić rodziny...

– Co tu się dzieje?

Do namiotu wchodzi młoda dziewczyna. Pięści ma zaciśnięte, zielona koszula odcina się jasno od skóry w kolorze łupiny kokosa. Białe włosy kłębią się wokół głowy niczym chmura. Nie wygląda na więcej niż trzynaście lat, lecz mimo to Kwame i Folake stają przed nią na baczność.

– Zu, chciałam po ciebie iść – tłumaczy się prędko Folake.

– Próbowałam najpierw coś z nich wyciągnąć – dodaje Kwame. – Moi zwiadowcy wypatrzyli ich nad rzeką. Mieli ze sobą pergamin.

Ciemne oczy Zu robią się okrągłe. Bierze zwój od Kwamego, przebiega wzrokiem po wytartym atramencie. Sposób, w jaki wodzi palcem po tajemnych znakach, rozwiewa wszelkie moje wątpliwości.

– Wy już widzieliście ten pergamin – mówię.

Dziewczyna podnosi wzrok, zerka na moją pokaleczoną skórę, na płytkie

rozcięcie na czole Tzaina. Stara się nie okazywać żadnych emocji, ale kąciki jej ust wykrzywają się w dezaprobatę.

– Trzeba było mnie zbudzić.

– Nie było czasu – wyjaśnia Kwame. – Gdybyśmy zwlekali, mogliby się wymknąć.

– Było ich więcej?

– Jeszcze dwójka – odpowiada Folake. – Tamci uciekli. A Dżajlin...

– Co z nim?

Folake i Kwame wymieniają skruszone spojrzenia.

– Jeszcze nie wrócił. Możliwe, że jest w ich rękach.

Twarz Zu zasnuwa się cieniem. Pergamin w jej dłoni się marszczy.

– Nie odbiliście go?

– Nie było czasu...

– Nie wam o tym decydować! Nikogo nie porzucamy. To nasz święty obowiązek!

Kwame zwiesza głowę. Przesłupuje z nogi na nogę, krzyżuje ramiona.

– Szło o pergamin, Zu. Jeśli pojawi się więcej strażników, będziemy go potrzebować. Uznałem, że pergamin jest najważniejszy.

– Nie jesteśmy strażnikami – wtrącam się. – Nie mamy nic wspólnego z wojskiem.

Zu spogląda na mnie przelotnie, po czym zbliża się do Kwamego.

– Naraziłeś nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Mam nadzieję, że przynajmniej dobrze się bawiłeś, udając króla.

Choć mówi to surowym tonem, jej słowa są zaprawione goryczą. Gdy tak ściąga cienkie brwi, wygląda jeszcze młodziej.

– Zbierzcie pozostałych u mnie w namiocie – rozkazuje Kwamemu, a następnie wskazuje na Tzaina. – Fola, obmyj mu głowę i załóż opatrunek. Ostatnie, czego mi trzeba, to żeby nabawił się zakażenia.

– A co z nią? – Folake kiwa głową w moją stronę. – Co mamy zrobić?

– Nic. – Zu przygląda mi się przez chwilę nieprzeniknionym wzrokiem. –

Ona zostanie tutaj.

ROZDZIAŁ 43



INAN

Dookoła cisza.

Wisi w powietrzu gęsta i ciężka.

Mąci ją tylko dźwięk naszych kroków, naszej mozolnej wspinaczki na najwyższe wzgórze w całym lesie. Nie mogę się nadziwić, że ci zamaskowani napastnicy, wlokący obciążone sieci, nie zostawili więcej śladów na leśnej ściółce. Wszystkie ścieżki, które znajduję, po chwili się urywają.

– Tędy. – Zélie idzie przodem, bacznie się rozglądając.

Zgodnie z radą chłopaka, którego przesłuchaliśmy, szukam na drzewach symbolu jego ludu: znaku X z dwoma półksiężycami zwróconymi w przeciwne strony. Twierdził, że tylko w ten sposób trafimy do ich obozu.

– O, jest następny.

Zélie wskazuje palcem w lewo i skręca. Wspina się żwawo, tak że nie mogę za nią nadążyć. Przewieszony przez ramię nieprzytomny wojownik mocno mnie spowalnia. Każdy oddech kosztuje mnie sporo wysiłku. Prawie zapomniałem, jak trudno się oddycha, gdy trzeba dusić w sobie magię.

Podczas walki z Zélie musiałem wypuścić klątwę z uwięzi. Nie miałem innego wyjścia. Chciałem być w pełni sił. Teraz tłumię swoją moc z najwyższym trudem. A mimo to czuję, że bolesne wspomnienia Zélie wciąż wiszą nade mną jak ciemna chmura, przed którą nie mogę uciec...

Noga mi się obsuwa. Stękam i zapieram się stopą, by nie zjechać w dół zbocza. Moja klątwa już czekała na to potknięcie.

Wydostaje się na zewnątrz niczym lampartus uwolniony z klatki.

Zamykam oczy, broniąc się przed potężną falą świadomości Zélie. Najpierw przenika mnie zimnem, potem wypełnia ciepłem. Zapach morza, czyste wieczorne niebo odbite w czarnej wodzie. Spacer z Tzainem na pływającym targ. Długie godziny z Babą w łodzi z drewna kokosowego.

Czasem jej wspomnienia, jej uczucia, rozniecają we mnie jakąś iskrę. Ale tylko na moment.

Potem iskra gaśnie i znów tonę w czarnych odmetach jej cierpienia.

Nieba. Tłumię to wszystko, bronię się przed nią i przed tym wirusem. Od razu robi mi się lżej, ale za cenę kłującego bólu w piersi. Jest w tej dziewczynie coś, co przemawia do mojej klątwy, wzbudza ją przy każdej okazji. Jakby jej duch otaczał mnie ze wszystkich stron, podobny do wzburzonego morza.

– Nie możesz szybciej? – woła Zélie z góry. Weszła już prawie na sam szczyt.

– Chcesz go sama ponieść? – pytam. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby wykrwawiał się na twoich barkach.

– Może gdybyś nie tłumił w sobie magii, dałbyś radę z dodatkowym ciężarem.

Może gdyby twój umysł nie zalewał mnie strasznymi wspomnieniami, byłoby mi łatwiej się przed nią bronić.

Ale nie mówię jej tego. Zresztą nie wszystkie jej wspomnienia są straszne. Spod obrazów cierpienia przebija potężna miłość do rodziny, czego sam nigdy nie doświadczyłem. Wracam pamięcią do treningów szermierczych z Amari, do tych wszystkich wieczorów, kiedy kuliłem się ze strachu przed gniewem ojca. Gdyby Zélie miała mój dar, co by we mnie ujrzała?

To pytanie nurtuje mnie na ostatnim odcinku przed szczytem. Dotarłszy w końcu na górę, odkładam jeńca. Wiatr smaga mnie po twarzy i mam wielką ochotę zdjąć hełm.

Zerkam na Zélie. I tak już poznała mój sekret. Pierwszy raz nie muszę się ukrywać z tą przeklętą białą plamą.

Podchodząc na skraj urwiska, odpinam hełm i delektuję się rześkim

wiatrem we włosach. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mogłem bez obaw zdjąć to żelastwo.

W dole rozciągają się skąpane w cieniach i blasku księżycza zalesione wzgórza doliny rzeki Gombe. Pełno tam ogromnych drzew, ale mnie rzuca się w oczy przede wszystkim jeden zagajnik, w którym drzewa nie są rozmieszczone przypadkowo, lecz tworzą olbrzymi krąg. Nawet z tej odległości, gdy się wyteży wzrok, można dostrzec na niektórych liściach znak X.

– Mówił prawdę – stwierdza Zélie z nutką zaskoczenia w głosie.

– Postaraliśmy się, żeby nie miał wyboru.

Zélie wzrusza ramionami.

– Mimo wszystko mógł skłamać.

Wzdłuż kręgu drzew wzniesiono mur z gliny, kamieni oraz patyków. Prymitywny, ale wysoki na ładnych kilka metrów.

Przed murem stoi dwóch wartowników uzbrojonych w miecze. Pilnują czegoś w rodzaju bramy. Podobnie jak nasz jeniec są ubrani na czarno, a na twarzach mają maski.

– Nadal nie rozumiem, co to za ludzie – mamrocze Zélie.

Mnie też to zastanawia. Na razie poza lokalizacją obozu zdołaliśmy jedynie ustalić, że im także zależy na pergaminie.

– Może gdybyś go nie skatowała, dowiedzielibyśmy się czegoś jeszcze.

Zélie prycha.

– To raczej dzięki temu w ogóle znaleźliśmy to miejsce.

Rusza w dół leśnego zbocza.

– A ty dokąd? – pytam.

– Idę uratować swojego brata i twoją siostrę.

– Czekaaj. – Chwytam ją za ramię. – Nie możemy tak po prostu sobie tam wejść.

– Poradzę sobie z dwoma wartownikami.

– Przecież ich jest dużo więcej. – Wskazuję palcem.

Zélie przez chwilę wypatruje sobie oczy. Część żołnierzy stoi nieruchomo wtopiona w cień.

– Tylko na zewnątrz widzę co najmniej trzydziestu. Nie licząc łuczników na drzewach. – Wskazuję stopę kołyszącą się wśród gałęzi – jedyny ruchomy element w całej scenerii.

– W takim razie zaatakujemy o świcie – postanawia Zélie. – Kiedy będzie ich dobrze widać.

– To, że wyjdzie słońce, nie sprawi, że będzie ich mniej. Musimy założyć, że wszyscy są równie dobrze wyszkoleni jak ci, którzy porwali Amari i Tzaina.

Twarz Zélie się marszczy. Tak, ja też to słyszę. Imię jej brata w moich ustach brzmi co najmniej dziwnie.

Odwraca się, jej białe kędziory świecą w blasku księżyca. Jeszcze nie tak dawno miała całkiem proste włosy; teraz wiją się mocno i płaczą na wietrze.

Przypominają mi o jednym z jej wspomnień z wczesnego dzieciństwa, kiedy kręciły się jeszcze mocniej. Mama śmiała się, próbując uczesać je w kok; musiała przywoływać magiczne cienie, żeby trzymały wiercącą się Zélie.

– To co robimy? – Wyrzywa mnie z zamyślenia.

Odsuwam od siebie obrazy z jej dzieciństwa i raz jeszcze spoglądam w stronę muru.

– Gombe jest dzień drogi stąd. Gdybym wyruszył teraz, do rana wrócę ze strażnikami.

– Kpisz sobie? – Zélie robi krok w tył. – Chcesz tu ściągnąć żołnierzy króla?

– Bez posiłków nie dostaniemy się do tego obozu. Jaki mamy wybór?

– Zapomnij.

Wskazuję na jeńca.

– Ten chłopak jest ibawitą. Co, jeśli tam w środku jest ich więcej? Mają pergamin. Nie wiemy, czego się po nich spodziewać.

– No tak. Pergamin. Oczywiście. Jak mogłam pomyśleć, że chodzi o życie mojego brata i twojej siostry...

– Zélie...

– Wymyśl jakiś inny plan. Jeśli tam są ibawici, a ty wezwiesz na pomoc straż, nie odbijemy Tzaina ani Amari. Tamci od razu ich zabiją.

– Nieprawda...

– Jeśli sprowadzisz tu strażników, możesz być pewien, że zdradzę im twój sekret. – Zélie krzyżuje ramiona. – Ciebie też ukatrupią.

Zimny strach ściska mi żołądek. Przed oczyma znów staje mi Keja. Błysk jej ostrza. Spojrzenie pełne nienawiści.

Ogarnięty dziwnym smutkiem sięgam do kieszeni i zaciskam palce na pionku ojca. Na końcu języka mam już ripostę, lecz tylko zaciskam usta. Bardzo bym chciał, żeby Zélie nie miała racji.

– W takim razie co proponujesz? – naciskam. – Nie wiem, jak inaczej chcesz się tam wedrzeć.

Zélie odwraca się w stronę obozu i obejmuje się ramionami. Choć powietrze jest duszne i cały się pocę, ona drży.

– Znajdę sposób – oznajmia w końcu. – Wejdziemy tam. Potem każde z nas pójdzie swoją drogą.

Choć nie mówi tego na głos, wiem, że myśli o pergaminie. O zacieklej walce, która się o niego rozpęta, kiedy już będziemy w środku.

– Zdradzisz mi swój plan?

– Nie twoja sprawa.

– Właśnie że moja. W końcu powierzam ci swoje życie.

Rzuca mi krótkie spojrzenie. Ostre. Podejrzliwe. Potem opiera dłonie na ziemi. Zaczyna recytować.

– Ẹmí àwọn tí ó ti sùn...

Ziemia ugina się pod jej wolą. Jęczy, kruszy się, pęka. Spod jej rąk wyrasta golem. Ludzka postać ożywiona jej magią.

– Nieba – szepczę do siebie.

Kto ją tego nauczył? Lecz Zélie nie zamierza się przede mną tłumaczyć. Odwraca twarz w stronę obozu. Po chwili jednak się odzywa:

– Takie istoty nazywamy ożywieńcami. Słuchają moich rozkazów.

– Ilu możesz stworzyć?

– Co najmniej ośmiu, może więcej.

Kręcę głową.

– To nie wystarczy.

– Są bardzo silni.

– Tych wojowników jest zbyt wielu. Nie damy im rady w dziesiątkę...

– Dobrze. – Zélie obraca się na pięcie. – Zaatakujmy jutro wieczorem. Do tego czasu postaram się stworzyć więcej ożywieńców.

Już chce odejść, ale przystaje.

– Aha, jedna rada, królewiczu. Jeśli chcesz się długo cieszyć życiem, lepiej mi go nie powierzaj.

ROZDZIAŁ 44



ZÉLIE

Krople potu przesiąkają przez moją krótką koszulę i kapią na skały. Mięśnie drżą mi z wysiłku; odmówiłam już sto inkantacji, lecz Inan nie odpuszcza. Podnosi się po stoczony przed chwilą walce i strzepuje piach z nagiego torsu. Nic sobie nie robiąc ze stłuczenia na policzku, staje przede mną wyprostowany.

– Jeszcze raz.

– Daj mi odsapnąć, do licha – mówię.

– Nie mamy czasu. Jeśli to cię przerasta, musimy wymyślić coś innego.

– Uda się – rzucam przez zęby. – Jakiego jeszcze dowodu potrzebujesz? Będą silni. Nie musimy mieć nie wiadomo ilu...

– Zélie, tam na dole jest ich pół setki, jak nie więcej. To uzbrojeni i wyszkoleni wojownicy. Jeśli myślisz, że wystarczy nam ośmiu ożywieńców...

– Ty jakoś nie dajesz im rady! – Wskazuję palcem siniec pod jego okiem, plamę krwi na prawym rękawie. – Ledwie potrafisz się obronić przed jednym! Dlaczego zakładasz, że tamci sobie z nimi poradzą?

– Bo jest ich pięćdziesięciu! – krzyczy Inan. – A ja nawet nie jestem w pełni sił.

– Udowodnij mi, że się mylę, mały książę – odpowiadam i zaciskam pięści. Mam ochotę przelać jeszcze więcej królewskiej krwi. – Pokaż mi, jaka jestem słaba. Jaki ty jesteś mocny!

– Zélie...

– Dość! – warczę i przyciskam ręce do ziemi.

Moje duchowe ścieżki pierwszy raz otwierają się bez pomocy zaklęcia; aszê przepływa mi przez dłonie i formuje ożywieńców. Budzą się z pomrukiem, powstają na mój milczący rozkaz. Inan robi wielkie oczy. Patrzy z niedowierzaniem, jak dziesiątka ożywieńców rusza w jego stronę.

Zaraz jednak oczy zwązają mu się w szparki. Żyły na szyi nabrzmiewają krwią. Napina swoje potężne mięśnie. Jego magia owiewa mnie jak ciepły wiatr.

Jednym cięciem przepoławia dwóch ożywieńców; natychmiast rozpadają się w proch. Jego ciosy są błyskawiczne, jednocześnie atakuje i robi uniki. *Cholera*. Zagryzam nerwowo policzek. Inan jest szybszy niż przeciętny strażnik.

Groźniejszy niż typowy ksiączę.

– Ẹmí àwọn tí ó ti sùn... – W pośpiechu powołuję do życia trzech kolejnych żołnierzy, lecz po kilku sekundach zacieklej walki Inan znowu zostaje sam na placu boju.

Twarz ocieka mu potem, wyschnięta ziemia skrzypi pod stopami.

Pokonał dwunastu.

– Zadowolona? – Choć ciężko dyszy, dawno nie miał w sobie tyle życia. Jego mięśnie lśnią od potu. Teraz już nie wygląda jak szkielet obleczony skórą. Z czerwonymi rumieńcami na twarzy wbija miecz w szczelinę w ziemi. – Skoro ja w pojedynkę rozprawiłem się z dwunastoma, jak sądzisz, ile czasu zajmie to tamtej pięćdziesiątce?

Wpieram dłonie w skraj urwiska. Stworzę ożywieńca nie do pokonania. Ziemia drży, ale wyczerpałam już swoją moc, brakuje mi aszê, by tchnąć życie w nowych żołnierzy. Musiałabym użyć magii krwi.

Nie wiem, czy Inan dostrzegł desperację w moich oczach, czy wyczuł ją za pomocą własnej magii, w każdym razie chwyta się palcami za grzbiet nosa i wydaje z siebie krótkie ni to westchnienie, ni to stęknienie.

– Zélie...

– Nie – przerywam mu.

Oglądam się na swoją sakwę. Ukryty w niej kamień słoneczny wabi mnie

dyskretnie.

Gdybym z niego skorzystała, mogłabym wyczarować mnóstwo żołnierzy. Ale Inan nie wie o kamieniu. A skoro tym ludziom w maskach zależało na pergaminie, na pewno będą też chcieli odebrać mi kamień. Czuję narastającą frustrację, ale wiem, że postępuję słusznie. Mam szansę odzyskać pergamin i kościany sztylet, lecz gdyby kamień słoneczny wpadł w ręce niewłaściwego maga, mogłabym go już nigdy nie zobaczyć.

Chyba że użyję magii krwi...

Spoglądam na swoje ręce. Rana po ugryzieniu wokół kciuka już się zabliznia. Ofiara krwi z pewnością rozwiązałaby nasz problem, lecz po tym, co się wydarzyło na arenie w Ibedzi, wołałabym już nigdy więcej nie korzystać z tego rodzaju magii.

Pytające spojrzenie Inana utwierdza mnie w przekonaniu, że nie wolno pójść drogą na skróty.

– Potrzebuję więcej czasu.

– Sęk w tym, że go nie mamy. – Inan rozgarnia sobie włosy. Biała plama wydaje się większa niż wcześniej. – A to, co do tej pory zobaczyłem, nie wróży najlepiej. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, Zélie. Jeśli to zadanie jest ponad twoje siły, musimy wezwać na pomoc straż królewską. – Bierze głęboki wdech i ciepło jego magii stygnie. Krew odpływa mu z policzków. Razem z tłumioną mocą gaśnie jego energia.

Jakby ktoś wysysał z niego życie.

– Może problem nie jest we mnie – odzywam się łamiącym głosem i zamykam oczy. Nienawidzę go za to, że czuję się przy nim słaba. I za to, że on sam się osłabia. – Gdybyś ty użył magii, nie potrzebowalibyśmy strażników.

– Nie mogę.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Moja magia nie nadaje się do celów ofensywnych.

– Jesteś pewien? – naciskam, bo mam w pamięci opowieści Mamy i wspomnienia Lekana o Konektorach. – Nigdy nikogo nie oszołomiłeś? Nie

zaatakowałaś mocą umysłu?

Jakaś tajemnica przebiega po jego twarzy. Inan ściska w dłoni rękojeść miecza i odwraca wzrok. Powietrze wokół nas robi się jeszcze chłodniejsze.

– Na bogów, Inan. Weź się w garść. Skoro twoja magia może uratować Amari, dlaczego nie robisz wszystkiego, co w twojej mocy? – Postępuję krok w jego stronę i uderzam w łagodniejszy ton: – Zachowam twój głupi sekret dla siebie. Jeśli użyjemy twojej magii w...

– Nie!

Odskakuję jak oparzona.

– Powiedziałem: nie. – Inan przetyka ślinę. – Nie mogę. Nigdy więcej. Wiem, że nie ufasz strażnikom, ale jestem ich księciem. Obiecuję, że będą mnie słuchać...

Odwracam się na pięcie i podchodzę do urwiska. Gdy Inan woła mnie po imieniu, zaciskam zęby. Najchętniej przyłożyłabym mu z całej siły kijem. Nie uratuję brata. Nie odzyskam sztyletu ani pergaminu. Kręcę głową z niedowierzaniem. Czuję, jak wzbiera we mnie wybuchowa mieszanka uczuć.

– Zélie...

– Powiedz mi coś, królewiczu. Co boli bardziej? Używanie twojej magii czy duszenie jej w sobie?

Inan się odchyła.

– Nie rozumiałabyś.

– Och, rozumiem doskonale. – Podchodzę bliżej, staję z nim twarzą w twarz, tak że widzę zarost na jego policzkach. – Pozwoliłbyś siostrze umrzeć, a całej Oriszy spłonąć, byle tylko utrzymać swoją magię w tajemnicy.

– Właśnie utrzymując ją w tajemnicy, chronię Oriszę! – Powietrze znów nagrzewa się od jego energii. – Magia jest źródłem wszystkich naszych problemów. Źródłem cierpienia mieszkańców Oriszy!

– Źródłem cierpienia mieszkańców Oriszy jest twój ojciec! – Głos trzęsie mi się ze złości. – Tyran i tchórz. Oto kim jest!

– Mój ojciec jest twoim królem. – Inan zbliża swoją twarz do mojej. –

Królem, który usiłuje chronić swój lud. Rozprawił się z magią, żeby jego poddani byli bezpieczni.

– Ten potwór zniszczył magię tylko po to, żeby wymordować tysiące niewinnych ludzi. Zniszczył ją, żeby nie mogli się przed nim bronić!

Inan milczy. Na jego twarzy majaczy wyraz skruchy. Powietrze wokół nas jest coraz cieplejsze.

– Zrobił to, co uznał za słuszne – mówi powoli. – Jeśli mam do niego o coś żal, to nie o zniszczenie magii, tylko o prześladowania, które nastąpiły potem.

Chwytam się za włosy. Jego niewiedza jest porażająca. Jak może bronić swojego ojca? Jak może nie widzieć prawdy?

– Nasza niemoc i prześladowania są nierozzerwalnie związane – tłumaczę. – Bez magii jesteśmy glistami. Bez magii jesteśmy traktowani jak śmieci!

– Magia nie jest odpowiedzią. Ona tylko zaognia sytuację. Możesz nie ufać mojemu ojcu, ale gdybyś zaufała mnie i moim żołnierzom...

– Mam zaufać żołnierzom?! – wydieram się na całe gardło. Nie zdziwiłabym się, gdyby usłyszeli mnie wszyscy wojownicy poukrywani w tym cholernym lesie. – Tym samym żołnierzom, którzy dusili moją matkę łańcuchem i skatowali mi ojca? Tym, którzy obmacują mnie pod byle pretekstem i tylko czekają, aż trafię do niewoli, a oni będą mogli zrobić ze mną wszystko?

Inan robi okrągłe oczy, ale nie ustępuje.

– Ci, których znam, to dobrzy ludzie. Pilnują porządku w Lagos...

– Bogowie... – Oddalam się. Nie mogę tego słuchać. Byłam głupia, sądząc, że możemy ze sobą współpracować.

– Hej! – woła Inan. – Mówię do ciebie.

– Dla mnie ta rozmowa jest skończona, mały książę. Ty chyba nigdy niczego nie zrozumiesz.

– Mógłbym powiedzieć to samo! – Biegnie za mną ociężałym krokiem. – Nie trzeba magii, żeby wszystko naprawić.

– Daj mi spokój.

– Gdybyś przynajmniej spróbowała zrozumieć mój punkt widzenia...

– Idź sobie.

– Nie musisz się bać...

– Ja się boję bez przerwy!

Nie wiem, co mnie bardziej zaskoczyło – siła w moim głosie czy sama treść.

Boję się.

Bez przerwy.

Dawno ukryłam tę prawdę przed sobą. Odsuwałam ją, bo mnie paraliżowała. Tak jak teraz.

Nie mogę oddychać.

Nie mogę wydobyć głosu.

Nagle osuwam się na ziemię i zakrywam usta, tłumiąc szloch. Nieważne, jaka będę silna, ile będę w stanie zdziałać magią. Na tym świecie zawsze będą mną gardzić.

Zawsze będę żyła w strachu.

– Zélie...

– Nie – wykrztuszam. – Nic nie mów. Myślisz, że wiesz, jak to jest, ale nie masz pojęcia. Nigdy nie zrozumiesz.

– Pomóż mi zrozumieć. – Inan klęka przy mnie, choć zachowuje bezpieczną odległość. – Proszę. Chcę zrozumieć.

– Nie możesz. Ten świat został urządzony pod ciebie. Jesteś na samej górze. Nikt nigdy nie zwymyślał cię na ulicy, nie wdarł się do twojego domu. Nie wywłókł z niego twojej matki i nie powiesił jej na oczach całej wioski.

Prawda wyszła na jaw i już tego nie zmienię. Szloch wstrząsa moją pierś. Ręce mi drżą.

Boję się.

Ta prawda przeszywa jak najostrzejszy nóż.

Cokolwiek zrobię, zawsze będę się bała.

ROZDZIAŁ 45



INAN

Ból Zélie spada na mnie jak deszcz.

Przenika mi skórę.

Moja pierś wzbiera jej szlochem. Jej cierpienie rozsadza mi serce.

A temu wszystkiemu towarzyszy strach, jakiego nie znałem. Strach, który miażdży mi duszę.

Tłamsi wszelką chęć życia.

Niemożliwe, żeby jej świat był taki...

Niemożliwe, żeby ojciec zbudował coś takiego. Ale im dłużej z nią współodczuwam, tym bardziej staje się dla mnie jasne, że ten strach nigdy jej nie opuszcza.

– Twoi strażnicy niczego nie naprawią. Życie pod ich tyranią będzie tak samo straszne i beznadziejne. Naszym jedynym ratunkiem jest siła. – Po tych słowach szloch Zélie cichnie. Jakby przypomniała sobie głębszą prawdę. Sposób na uwolnienie się od bólu. – Twoi ludzie, twoi strażnicy to zwykli mordercy, gwałciciele i złodzieje. Od pospolitych bandytów różnią się tylko mundurem. – Staje na nogach i ociera łzy. – Możesz się okłamywać, królewiczu, ale nie udawaj przede mną niewiniątka. Nigdy nie zapomnę twojemu ojcu krzywdy, którą nam wyrządził. Nie zagadasz mojego cierpienia swoją ignorancją. – To rzekłszy, odchodzi. Jej ciche kroki po chwili zupełnie milkną.

Dopiero teraz dociera do mnie, jak bardzo się myliłem.

Nieważne, czy jestem, czy nie jestem w jej głowie.

Nigdy w pełni nie zrozumieć jej cierpienia.

ROZDZIAŁ 46



AMARI

W pałacu była komnata, w której ojciec znikał. Codziennie o tej samej porze, wczesnym popołudniem.

Wstawał z tronu i przemierzał główny hol z admirałem Ebelem i generałem Keją u boku.

Przed Obławą pchana ciekawością chodziłam za nimi. Dzień w dzień patrzyłam, jak schodzą po zimnych marmurowych schodach. Aż pewnego razu postanowiłam pójść dalej.

Miałam tak krótkie nogi, że schodząc po stopniach, musiałam przytrzymywać się alabastrowej balustrady. Wyobrażałam sobie komnatę pełną puddingu z fasoli oraz cytrynowych placków – albo z mnóstwem błyszczących zabawek. Lecz na dole nie powitał mnie słodki aromat cytrusów w cukrze. Zamiast śmiechów i odgłosów zabawy usłyszałam krzyki.

Piekielne wrzaski małego chłopca.

Powietrze przeszył głośny trzask – to pięść Kei wylądowała na twarzy służącego. Keja nosiła na palcach ostre pierścienie, które przy uderzeniu raniły do krwi.

Na widok zakrwawionego chłopca chyba zaczęłam krzyczeć. Musiałam krzyczeć, bo wszyscy zwrócili się w moją stronę. Nie znałam imienia tego służącego. Wiedziałam tylko, że ścielił moje łóżko.

Ojciec podniósł mnie, posadził na swoim biodrze i wyniósł jakby nigdy nic.

– Loch to nie miejsce dla królowy – powiedział mi tamtego dnia.

Pamiętam, że na schodach doleciał nas jeszcze kolejny trzask.

Teraz, gdy zachodzi słońce i długi dzień przechodzi w noc, wracam myślami do tamtych słów ojca. Ciekawe, co by powiedział, gdyby mnie tu zobaczył. Może własnoręcznie by mnie powiesił?

Napieram obolałymi barkami na więzy, próbuję się z nich wyszamotać, mimo że sznur wrzyna mi się w nadgarstki. Przez cały dzień przesuwalam nim po chropawym kawałku kory i nieco się już strzępi, ale trochę to jeszcze potrwa, zanim uda mi się go rozerwać.

Pot zbiera mi się nad wargą.

– Nieba – wzdycham. Po raz dziesiąty rozglądam się po namiocie w poszukiwaniu czegoś ostrzejszego, ale poza Tzainem nie ma tu nic prócz ziemi.

Tylko raz udało mi się dojrzeć kawałek zewnętrznego świata: kiedy Folake weszła z garnkiem wody. W prześwicie między połami namiotu zobaczyłam wtedy wściekłego Kwamego. W dłoni wciąż trzymał kościany sztylet.

Przebiega mnie dreszcz. Zamykam oczy i biorę głęboki wdech. Obraz noża przystawionego do szyi Tzaina nadal mnie prześladowuje. Gdyby nie jego cicho świszczący oddech, nie miałabym nawet pewności, czy żyje. Folake oczyściła i zabandażowała mu ranę, ale przez cały ten czas ani razu się nie poruszył.

Muszę go stąd wydostać, zanim wróca. Muszę coś wymyślić, żeby go uratować – jego, sztylet i pergamin. Upłynęła już cała doba. Do solstycjum pozostało zaledwie pięć dni.

Gdy poła namiotu znów się podnosi, zastygam w bezruchu. To Zu. Dziś ma na sobie czarny kaftan z wszytymi zielonymi i żółtymi paciorkami. Bardziej przypomina dziecko, którym zresztą jest, niż młodą wojowniczkę z wczoraj.

– Kim jesteś? – pytam. – Czego chcesz?

Nawet nie spogląda w moją stronę, tylko kuca obok Tzaina.

Serce zaczyna mi bić szybciej.

– Błagam. On jest niewinny. Nie rób mu krzywdy.

Zu zamyka oczy i kładzie drobne dłonie na obandażowanej głowie Tzaina. Wstrzymuję oddech, gdy z jej ręki zaczyna się wydobywać pomarańczowa poświata. Z początku słaba, jaśnieje coraz bardziej z każdą sekundą,

roztaczając w namiocie przyjemne ciepło. Poświata rośnie i po chwili obejmuje już całą głowę Tzaina.

Magia...

Czuję ten sam podziw, co w tamtej chwili, gdy światło trysnęło z rąk Binty. Magia Zu też jest piękna, nie ma nic wspólnego ze strasznymi opowieściami ojca. Ale jak ona to robi? Jak to możliwe, że tak szybko rozwinęła w sobie taką moc? W chwili Obławy musiała być niemowlęciem. Gdzie się nauczyła tego zaklęcia?

– Co mu robisz?

Zu nie odpowiada. Zaciska zęby w grymasie. Skroń ma zroszoną potem. Ręka delikatnie jej drży. Skóra Tzaina jaśnieje, a widoczne na niej skaleczenia znikają jedno po drugim. Bez śladu nikną również czarne i fioletowe siniaki. Znowu jest tamtym przystojnym młodzieńcem, który walczył u mojego boku.

Słyszę cichutkie stęknienie – pierwszy dźwięk wydany przez Tzaina, odkąd tu jesteśmy – i ogarnia mnie fala ulgi. Nadal jest nieprzytomny, ale zaczyna się ruszać.

– Niebu dzięki. Jesteś Uzdrowicielką? – pytam.

Zu spogląda, lecz jakby mnie nie widziała. Skupia się na moich zadrapaniach. Jak gdyby szukała czegoś jeszcze, co mogłaby uleczyć. Jakby potrzeba uzdrawiania wyływała nie tylko z jej magii, ale przede wszystkim z serca.

– Proszę – próbuję raz jeszcze. – Nie jesteśmy waszymi wrogami.

– To dlaczego macie nasz pergamin?

Nasz? Zastanawiam się nad tym słowem. To nie może być przypadek, że oni wszyscy – Zu, Kwame, Folake – są magami. Poza tym namiotem z pewnością jest ich więcej.

– Nie przyszliśmy tu sami. Dziewczyna, której Kwame nie schwytał, to magiczka Żniwiarka obdarzona wielką mocą. Byliśmy w Chândomblé. Sêntaro wyjawiał nam tajemnicę pergaminu...

– Kłamiesz. – Zu krzyżuje ramiona. – Kosidanka nie dostąpiłaby zaszczytu

spotkania z sêntaro. Kim naprawdę jesteś? Gdzie reszta twojego wojska?

– Mówię prawdę. – Opuszczam ramiona. – Opowiedziałam już wszystko Kwamemu. Nie wiem, co mam zrobić, żebyście mi uwierzyli.

Zu wzdycha i sięga do kaftana po pergamin. Kiedy go rozwija, opada z niej surowa maska. W jej oczach odmalowuje się smutek.

– Ostatni raz widziałam ten zwój, kiedy chowałam się pod łodzią. Musiałam patrzeć, jak królewska straż morduje moją siostrę.

Nieba...

Zu mówi z tym samym wschodnim zaśpiewem. Pewnie była w Warri, gdy Keja zdobyła pergamin. Keja myślała, że udało jej się zabić wszystkich nowych magów, ale widocznie Zu, Kwame i Folake zdołali jakoś uciec.

– Tak mi przykro – odzywam się szeptem. – Trudno mi sobie wyobrazić koszmar, przez który przeszłaś.

Zu milczy przez dłuższą chwilę. Przygnieciona jakimś niewidzialnym ciężarem, wydaje się nagle znacznie starsza niż w rzeczywistości.

– Byłam bardzo mała, kiedy doszło do Obławy. Nawet nie pamiętam, jak wyglądali moi rodzice. Pamiętam tylko, że się bałam. – Zu pochyla się i wyrywa z ziemi kępkę trawy. – Zawsze się zastanawiałam, jak by to było żyć z takim strasznym wspomnieniem. Ale teraz już wiem.

Przed oczyma staje mi twarz Binty, jej promienny uśmiech, olśniewający blask. Przez chwilę widzę to wszystko w złotych barwach.

Potem wspomnienie zachodzi czerwienią jej krwi.

– Jesteś szlachcianką. – Zu wstaje i podchodzi do mnie z iskrą w oku. Pociąga nosem. – Czuć to na odległość. Nie damy się zniszczyć twojej monarchii.

Kręcę głową.

– Jestem po waszej stronie. Mogę tego dowieść, jeśli mnie rozwiązesz. Ten pergamin nie tylko budzi magię w tych, którzy go dotkną. Za jego pomocą można odprawić rytuał, który odrodzi magię w całej Oriszy.

– Rozumiem, dlaczego Kwame jest ostrożny. – Zu robi krok do tyłu. – Uważa was za szpiegów. Myślę, że może mieć rację. Twoja historia wygląda

na dobrze przemyślaną.

W tej samej chwili do namiotu wchodzi Kwame.

– Zu, proszę...

Zu gniecie w dłoni brzeg kaftana.

Kwame przesuwa palcami po ostrzu kościanego sztyletu. Oczy chłopaka błyskają wrogo.

– Już czas?

Zu zaciska powieki i kiwa twierdząco głową. Podbródek jej drży.

– Przykro mi – szepcze. – Ale musimy się bronić.

– Wyjdź – zwraca się do niej Kwame. – Nie musisz tego oglądać.

Zu ociera łzy i zerknąwszy na mnie po raz ostatni, opuszcza namiot. Kwame staje przede mną.

– Mam nadzieję, że jesteś gotowa wyznać prawdę.

ROZDZIAŁ 47



INAN

– Zélie?

Wołam ją, choć nie łudzę się, że mi odpowie. Po tym, jak uciekła, trochę się boję, że nigdy jej nie odnajdę.

Słońce zachodzi za dalekimi wzgórzami. Wszędzie dookoła rozpełzają się cienie. Zdyszany opieram się o drzewo.

– Zélie, błagam – próbuję znowu. Chwilę później przeszywa mnie ostry ból. Od czasu kłótni magia we mnie kipi. Samo oddychanie przyprawia mnie o spazm w klatce piersiowej. – Zélie, przepraszam.

Lecz moje przeprosiny, rozbrzmiewające echem wśród lasu, nawet mnie wydają się puste. Sam nie wiem, za co ją przepraszam. Za to, że nie potrafiłem jej zrozumieć, czy za bycie synem mojego ojca? Żadne przeprosiny nie mogą zadośćuczynić za jego zbrodnie.

– Nowa Orisza – mamrocę sam do siebie. Słowa te wypowiedziane na głos brzmią jeszcze bardziej nedorzecznie. Jak mam wszystko naprawić, skoro jestem nieodłączną częścią problemu?

Nieba.

Powiedzieć, że Zélie namieszała mi w głowie, to nie powiedzieć nic. W jej obecności wszystko, czego mnie uczono, rozsypuje się jak domek z kart. Zapada noc, a my wciąż nie mamy planu. Bez jej ożywieńców nie odbijemy rodzeństwa, nie odzyskamy pergaminu...

Czuję ostre ukłucie w dołku. Wsparty o pień, zginam się wpół. Magia wyrywa się ze mnie jak dziki lampartus.

Mamo!

Zamykam oczy. Mój umysł rozbrzmiewa krzykami Zélie. Rozdzierającym płaczem niewinnego dziecka. Traumą, której w ogóle nie powinna była doświadczyć.

Wszyscy magowie musieli zginąć, żeby magia zniknęła na dobre. Raz posmakowawszy tej mocy, nigdy nie przestaliby walczyć o jej odzyskanie.

Twarz ojca. Jego beznamiętny głos. Puste spojrzenie.

Wtedy mu wierzyłem. Mimo strachu podziwiałem jego niezachwianą siłę.

– Głośniej się nie da?

Otwieram oczy; z jakiegoś powodu w obecności Zélie moja magia się uspokaja.

– Tak się wydzierasz, że dziwne, że jeszcze po ciebie nie przyszli.

Im bliżej Zélie podchodzi, tym bardziej uśmierza moją magię. Jej duch spowija mnie jak chłodna morska bryza. Osuwam się powoli na ziemię.

– Nic na to nie poradzę – odpowiadam szeptem przez zaciśnięte zęby. – To boli.

– Nie bolałoby, gdybyś nie stawiał oporu. Twoja magia atakuje dlatego, że ją zwalczasz.

Minę ma surową, lecz w jej tonie niespodziewanie przebija nutka współczucia. Wychodzi z cienia i opiera się o drzewo. Srebrne oczy ma zaczerwienione od płaczu.

Nagle uświadamiam sobie, że przeżywanie koszmarów z jej przeszłości to i tak najniższy możliwy wymiar kary. Ja cierpię tylko chwilami; ona – przez całe życie.

– To co, jednak powalczymy razem? – pytam.

Zélie krzyżuje ramiona.

– Nie mam wyboru. Tzain i Amari są nadal uwięzieni. Sama ich nie uwolnię.

– A co z ożywieńcami?

Zélie wyciąga z sakwy świecą kule. Natychmiast odzywają we mnie słowa Kei. Ten kryształowy przedmiot pulsujący na czerwono

i pomarańczowo – to musi być kamień słoneczny.

– Skoro zainteresował ich pergamin, to też powinno.

– Miałas go przez cały czas?

– Nie chciałam ryzykować jego utraty. Pomoże mi stworzyć armię ożywieńców.

Kiwam głową. Jej plan wreszcie zaczyna mieć sens. Powinno się udać. Tylko co potem?

Twoi ludzie, twoi strażnicy to zwykli mordercy, gwałciciele i złodzieje. Od pospolitych bandytów różnią się tylko mundurem.

Te słowa wciąż dźwięczą mi w uszach. Głośniejsze niż brzęk jej kija o mój miecz.

Po tym wszystkim, co się wydarzyło, nie możemy się cofnąć. Jedno z nas będzie musiało ustąpić.

– Pytałaś mnie, co boli bardziej – zmuszam się do wyznania – używanie magii czy duszenie jej w sobie. Nie potrafię odpowiedzieć. – Ściskam wytarty pionek do sênetu, skupiając się na jego piekącym dotyku. – Jednego i drugiego nienawidzę. – Oczy mnie szczypią. Odchrząkuję, staram się powstrzymać łzy. Gdyby ojciec mnie teraz ujrzał, szybko poczułbym jego pięść. – Nienawidzę swojej magii – wyznaję ściszym głosem. – Nie znoszę tego, jak mnie zatruwa. Ale najgorsze ze wszystkiego jest to, że przez nią nienawidzę sam siebie. – Brakuje mi odwagi, by podnieść głowę i spojrzeć Zélie w oczy. Kiedy to robię, moja hańba doskwiera mi jeszcze mocniej.

Oczy Zélie znów zachodzą łzami. Nie wiem, jaką strunę w niej poruszyłem. Jej dusza o zapachu morskiej soli jakby się kurczyła. A ja pierwszy raz chciałbym, żeby przy mnie została.

– Twoja magia nie jest trucizną – odzywa się drżącym głosem. – To ty sam się zatruwasz. Walczysz z nią, próbujesz ją stłamsić. Nosisz przy sobie tę żalostną zabawkę. – Podchodzi, wrywa mi z ręki pionek do sênetu i podsuwa pod nos. – To majacyt, kretynie. Dziwne, że palce ci jeszcze nie odpadły.

Gapię się na wytarty pionek; spod warstwy złota i rdzy przeziera jego pierwotny kolor. Zawsze sądziłem, że to czarna farba. Czyżby naprawdę

wykonano go z majacytu?

Biorę go od niej, chwytam ostrożnie. Skupiam się na tym delikatnym szczypaniu. Dotąd myślałem, że po prostu za mocno go ściskam.

No tak. Oczywiście. O ironio.

Mam ochotę się roześmiać. Cofam się pamięcią do chwili, kiedy go dostałem. Do dnia, w którym ojciec mi go „podał”.

Przed Obławą graliśmy w sêneta co tydzień. Ojciec na godzinę stawał się kimś więcej niż królem. Każdy ruch był lekcją, nauką, która miała mi się przydać, gdy wstąpię na tron.

Ale po Obławie nie miał już czasu na grę. Nie miał czasu dla mnie. Raz nieopatrznie przyszedłem z planszą do sali tronowej. Ojciec rzucił mi pionkami w twarz.

– Zostaw! – krzyknął, gdy się schyliłem, by je pozbierać. – Od sprzątnięcia są służący. Nie królowie.

Tamten pionek był jedynym, który udało mi się ocalić.

Teraz patrzę na wytarty metal i ogarnia mnie wstyd.

Jedyna rzecz, którą od niego dostałem.

– Należał do mojego ojca – wyjaśniam cicho.

Tajna broń wzięta od innych, którzy tak jak on gardzili magią. Stworzona po to, by zniszczyć takich jak ja.

– Trzymasz się go kurczowo jak małe dziecko swojego kocyka – stwierdza Zélie z ciężkim westchnieniem. – Walczysz dla człowieka, który zawsze będzie cię nienawidził za to, kim jesteś.

Jej srebrne spojrzenie, tak jak białe włosy, lśni w blasku księżyca. Żadne oczy nigdy nie patrzyły na mnie z taką przenikliwością. Gapię się tępo.

Gapię się, a powinienem coś powiedzieć.

Upuszczam pionek na ziemię i kopię z całej siły. Muszę oddzielić przeszłość grubą kreską. Byłem baranem. Baranem, a nie królem, jakiego potrzebuje Orisza.

Obowiązek nade wszystko.

Kredo ojca rozsypuje się w proch razem z wszystkimi jego kłamstwami. Magia może być groźna, lecz monarchia, zwalczając ją, dopuściła się znacznie gorszych grzechów.

– Wiem, że teraz nie możesz mi zaufać, ale daj mi szansę zapracować na twoje zaufanie. Razem wędrujemy się do tego obozu. Uratuję twojego brata.

Zélie zagryza wargę.

– A co będzie, gdy znajdziemy pergamin?

Waham się. Surowe oblicze ojca znów przemyka mi przez głowę. *Jeśli nie powstrzymamy magii, cała Orisza będzie w ogniu.*

Na razie jednak widziałem tylko ogień podłożony przez niego. I przeze mnie. Służyłem mu wiernie przez całe życie. Nie mogę dłużej trwać w kłamstwach.

– Będziesz mogła go sobie wziąć – odpowiadam. – Cokolwiek zamierzacie z Amari... nie stanę wam na przeszkodzie.

Wyciągam dłoń. Zélie patrzy na nią. Nie wiem, czy moje zapewnienia jej wystarczą. W końcu jednak podaje mi rękę. Jej dotyk napełnia mnie dziwnym ciepłem.

Skóra jej dłoni jest zaskakująco twarda, pewnie od treningów z kijem. Nie patrzymy sobie w oczy; oboje spoglądamy w ciemne niebo.

– To co? Do dzieła? – pyta Zélie.

Przytakuję ruchem głowy.

– Pokażę ci, jakim potrafię być królem.

ROZDZIAŁ 48



ZÉLIE

Błagam, niech to zadziała.

Modłę się z bijącym sercem. Przemykając wśród cieni, zakradamy się na obrzeża obozu. Choć wcześniej plan wydawał mi się doskonały, teraz myślę przede wszystkim o tym, co może pójść nie tak. A jeśli Tzain i Amari są zupełnie gdzie indziej? Albo jeśli przyjdzie nam się zmierzyć z magiem? I co z Inanem?

Zerkam na niego z lękiem. Zgodnie z planem za chwilę przekażę mu kamień słoneczny. Możliwe, że postradałam rozum. Ale jeśli chcę zwyciężyć, nie mam wyjścia.

Inan próbuje zliczyć wartowników pilnujących bramy. Zamiast swojej zbroi włożył czarny strój naszego jeńca.

Wciąż mam co do księcia mieszane uczucia. Jego nieuzasadniona nienawiść przeniosła mnie do czasów po Obławie, kiedy sama nienawidziłam magii. Obwinałam Mamę.

Przeklinałam bogów, że takimi nas stworzyli.

Ze ściśniętym gardłem usiłuję zapomnieć o tamtym bólu. Okruch tamtego kłamstwa nadal we mnie tkwi, podjudza mnie przeciwko sobie samej, namawia, żebym wyrwała sobie białe włosy.

Niewiele brakowało, a dałabym się pożreć tej nienawiści do siebie utkanej z kłamstw Sarana. Lecz po tym, jak odebrał mi Mamę, nie mogłam pozwolić, aby wydarł mi również prawdę.

W miesiącach po Obławie powtarzałam sobie wszystko, czego nauczyła mnie Mama, aż weszło mi to w krew. Nie obchodziło mnie, co mówią inni;

moja magia była piękna. Nawet pozbawiona mocy czułam się obdarowana przez bogów.

Dopiero łyzy Inana przypomniały mi o tamtym trującym kłamstwie, którym się nas karmi. Saran wiedział, co robi.

Inan już sobą gardzi.

– Dobra – szepcze. – Zaczynamy.

Wiele wysiłku kosztuje mnie rozwarcie palców i podanie mu skórzanej sakwy.

– Tylko się nie przeforsowuj – przypomina. – I pamiętaj, żeby zostawić kilku ożywieńców w odwodzie.

Przewracam oczami.

– Przecież wiem. Rób swoje.

Choć wcale mi się to nie podoba, patrząc, jak Inan wychodzi z cienia, czuję ucisk w żołądku. Przypominam sobie szorstki dotyk jego ręki. Dziwnie krzepiący.

Dwaj wartownicy strzegący wejścia unoszą miecze. Wśród tych ukrywających się w cieniu także następuje lekkie poruszenie. W górze rozlegają się dźwięki naciąganych cięciw.

Inan z pewnością to wszystko słyszy, a mimo to kroczy śmiało naprzód. Zatrzymuje się dopiero po kilkuset metrach, mniej więcej w połowie drogi do bramy.

– Przychodzę dobić z wami targu – oznajmia. – Mam coś dla was.

Rzuca sakwę na ziemię i wydobywa z niej kamień słoneczny. Nawet z daleka słyszę jego nagłe westchnienie. Powinam była go uprzedzić.

Dreszcz przebiega mu po rękach aż do głowy, dłonie zaczynają pulsować błękitnym światłem. Ciekawe, czy ukazał mu się Ori.

Wobec takiego widoku wojownicy nie mogą pozostać obojętni. Paru wyłania się z cienia i zaczyna krążyć wokół Inana z bronią uniesioną do ciosu.

– Na kolana! – rzuca zamaskowana kobieta. Na jej znak z ukrycia wychodzi jeszcze więcej wojowników.

Bogowie. Już teraz jest ich więcej, niż przypuszczaliśmy. Czterdziestu... pięćdziesięciu... sześćdziesięciu? Ilu jeszcze siedzi na drzewach i mierzy do niego z łuków?

– Najpierw przyprowadźcie więźniów.

– A ty daj się związać.

Drewniana brama otwiera się ze skrzypieniem. Inan przygląda się przywódczyni wojowników, po czym robi krok do tyłu.

– Przykro mi, ale nie mogę przystać na ten warunek.

Wyskakuję z krzaków i pędzę ile sił w nogach. Inan bierze zamach i rzuca kamień słoneczny jak piłkę do agböna. Kamień frunie z ogromną prędkością. Muszę podskoczyć, żeby go dosięgnąć. Przyciskam go do piersi, wywijam kozła w powietrzu, po czym ląduję twardo na ziemi.

– Uch! – wyrywa mi się z gardła.

Kamień słoneczny zalewa mnie falą upojnej energii. Razem z nią rozlewa mi się pod skórą uczucie gorąca. W moich żyłach krąży rozgrzana aszê.

Znów mam przed oczami Oję, w czerwonych jedwabiach jaśniejących na tle czarnej skóry. Wiatr kręci jej spódnicą, rozwiewa jej włosy, wprawia w taniec paciorki wokół twarzy.

Z wyciągniętej ręki bogini emanuje białe światło. Choć nie czuję własnego ciała, ja również wyciągam do niej dłoni. Nasze palce przez mgnienie stykają się ze sobą...

Świat budzi się z hukiem.

– Brać ją!

Zza pleców dobiega mnie ledwie słyszalny krzyk. Magia huczy mi we krwi, przyzywa duchy z całej okolicy. Zlatują się ze wszystkich stron, ich szmer narasta jak tsunami, zagłusza głosy żywych.

Dusze lgną do mnie jak fale przyływu.

– Èmí àwọn tí ó ti sùn...

Uderzam otwartą dłonią w ziemię. Ta rozstępuje się z jękiem, a ze szczeliny wyłania się armia zmarłych.

Wstają wśród zamieci piasku, patyków i kamieni, a srebrny blask moich
czarów hartuje im ciała. Rozpętałam burzę.

– Do ataku!

ROZDZIAŁ 49



AMARI

Suchy trzask rozdziera ciszę.

Gdy pięść Kwamego łąduje na szczęce Tzaina, podskakuje jak oparzona.

Posiniaczona głowa Tzaina opada na bok.

– Przestań! – krzyczę ze łzami na policzkach.

Krew ze świeżej rany zalewa Tzainowi oko. Po co Zu w ogóle go uzdrawiała?

Kwame błyskawicznie się obraca i chwyta mnie za podbródek.

– Kto jeszcze wie, że tu jesteście? Gdzie reszta żołnierzy?

Mimo swej brutalności głos ma napięty, rozpaczliwy. Jakby cierpiał nie mniej niż ja.

– Nie ma żadnych żołnierzy – odpowiadam. – Poszukajcie magiczki, która była z nami. Ona potwierdzi wszystko, co wam powiedziałam!

Kwame zamyka oczy i oddycha głęboko. Zastyga w zupełnym bezruchu, aż przechodzą mnie ciarki.

– Ci, którzy przyjechali do Warri, wyglądali jak ty. – Sięga po kościany nóż. – Mówili jak ty.

– Kwame, błagam...

Lecz chłopak jednym szybkim ruchem wbija ostrze w nogę Tzaina. Nie wiem, kto wrzeszczy głośniejsz, Tzain czy ja.

– Na mnie się wyżyj! – Rzucam się, szarpnię więzy, choć nie przynosi to żadnego rezultatu. Tak bardzo bym chciała, żeby to na mnie się mścił.

Binta wdziera się do moich myśli jak taran. Ona też cierpiała za mnie.

Kwame znów dźga Tzaina nożem w udo, a ja znów krzyczę. Łzy zamazują mi wzrok. Kwame drżącą ręką wydobywa ostrze i zbliża je do piersi Tzaina. Dłoń trzęsie mu się coraz mocniej.

– To twoja ostatnia szansa.

– Nie jesteśmy waszymi wrogami! – powtarzam. – Ci strażnicy zabili też naszych bliskich!

– Łżesz – odpowiada Kwame łamiącym się głosem. Odchyła sztylet do ciosu. – Twoi bliscy i strażnicy to ci sami ludzie...

Do namiotu wpada Folake i prawie rzuca się na Kwamego.

– Zostaliśmy zaatakowani!

Kwame się podrywa.

– Przez jej żołnierzy?

– Nie wiem. Ale chyba jest z nimi mag!

Chłopak oddaje jej kościany sztylet i wybiega.

– Kwame...

– Zostań tutaj – rzuca przez ramię.

Folake odwraca się do nas. Patrzy na moje łzy, na zakrwawioną nogę Tzaina. Zakrywa usta przerażona, upuszcza sztylet i wybiega śladem Kwamego.

– Tzain? – odzywam się.

Zaciska zęby i wpiera się plecami w pień drzewa. Plamy krwi na jego nogawce rosną w oczach. Mruga, choć powieki ma tak spuchnięte, że ledwie się podnoszą.

– Nic ci nie jest?

Łzy, które napływają mi teraz do oczu, pieką jak żadne przedtem. Choć sam jest pobity i poraniony, Tzain martwi się o mnie.

– Musimy się stąd wydostać.

Ze zdwojoną energią szarpie sznur, którym spętano mi ręce. Słyszę trzask. Postrzępione więzy zaczynają puszczać. Sznur wpija mi się w ciało, ale gorszy jest ból, który rwie mi serce.

Przypominam sobie czasy, kiedy mieszkałam w pałacu. Wtedy pętały mnie łańcuchy ze złota. Dlaczego nie próbowałam ich zrzucić, tak jak to robię teraz?

Gdybym się bardziej postarała, Bincie nie spadłby włos z głowy.

Zacinam zęby, wpieram pięty w klepisko. Potem przyciskam stopę do pnia i odpycham się z całej siły.

– Amari. – Tzain mówi coraz słabszym głosem. Stracił wiele krwi.

Kora kaleczy mi podeszwę stopy, ale napieram jeszcze mocniej.

Amari, atakuj.

Słowa ojca dzwonią mi w głowie, ale nie takiej siły teraz potrzebuję.

Bądź dzielna, Amari. Słyszę w myślach kojący głos Binty.

Bądź jak Iworożka.

– Uch! – jęczę z bólu. Prawie ryczę.

Na zewnątrz rozlega się głos Folake. Poły namiotu się rozchylają...

Sznur pęka. Lecę do przodu i upadam na twarz. Folake rzuca się po kościany sztylet. Wstaję prędko i doskakuję do niej.

– Aa! – woła, gdy nacieram całym ciężarem i przewracam ją na ziemię.

Podnosi sztylet, ale w tej samej chwili uderzam ją w szyję. Gdy zaczyna się krztusić, wbijam jej łokieć w brzuch.

Kościany sztylet wypada jej z ręki. Zaciskam palce na żółtawej rękojęści. Przenika mnie chłód, dziwna, gwałtowna energia.

Amari, atakuj.

Znów mam przed sobą twarz ojca. Srogą. Bezlitosną.

Właśnie przed tym cię ostrzegałem. Musimy walczyć, inaczej glisty nas zniszczą.

Ale patrząc na Folake, widzę zarazem ból w oczach Kwame, widzę strach przygniatający drobną Zu. Widzę ogrom nieszczęścia, za które odpowiada mój ojciec. Widzę niezliczone ofiary, które pozbawił życia.

Nie mogę być jak on.

Magowie nie są moimi wrogami.

Upuszczam sztylet i uderzam Folake pięścią w brodę. Głowa jej odskakuje, oczy się przewracają. Straciła przytomność.

Zrywam się na równe nogi, podnoszę sztylet i przecinam nim pęta Tzaina. Od razu je podnoszę i zawiązuję mu na udzie.

– Biegnij. – Ponagla mnie słabym gestem. – Nie ma czasu.

– Cśś.

Jego skóra jest zimna i lepka. Gdy zaciskam sznur, krwawienie słabnie. Ale to może nie wystarczyć. Tzain ledwie patrzy na oczy.

Wystawiam głowę z namiotu: na zewnątrz jest zamieszanie, mnóstwo ludzi bez masek, każdy biegnie w inną stronę. Ten chaos nam sprzyja. Choć nie widzę, gdzie kończy się obóz, możemy przynajmniej podążyć za tłumem.

– Dobrze. – Ułamuję gałąź i chowam się z nią do namiotu. Wkładam ją Tzainowi do ręki, żeby miał się czym podpierać. Zarzucam sobie jego ramię na szyję i zwieram trzęsące się pode mną kolana.

– Amari, nie. – Tzain krzywi się z bólu, jego oddech jest szybki i płytki.

– Cicho – ucinam. – Nie zostawię cię tutaj.

Wspierając się na mnie i pomagając sobie kijem, Tzain stawia pierwszy krok na zdrowej nodze. Przy wejściu zatrzymujemy się na moment – to nasza ostatnia chwila wytchnienia.

– Nie umrzemy tutaj – oznajmiam.

Nie pozwolę nam umrzeć.

ROZDZIAŁ 50



INAN

Przede mną rozciąga się labirynt.

Labirynt masek i golemów.

Przedzieram się w biegu przez ten chaos, unikając ostrzy, przeskakując korzenie, zdążając w kierunku bramy.

Ze środka wybiega coraz więcej zamaskowanych wojowników, rozglądają się gorączkowo, próbują się zorientować w sytuacji. Ożywieńcy Zélie wyrosli spod ziemi niczym góry. Wszędzie ich pełno, roją się jak plaga, przed którą nie ma ucieczki.

To działa. Mimowolnie się uśmiecham. Taka bitwa to dla mnie coś zupełnie nowego. Jak chaotyczna partia sêneta rodem z najdziwniejszego snu.

Kątem oka widzę wojowników padających pod naporem golemów. Gliniani żołnierze obejmują napastników i przygniatają ich do ziemi.

Pierwszy raz jestem podekscytowany na widok magii. Nie wydaje mi się już klątwą, lecz darem. Jeden z zamaskowanych wojowników rusza na mnie, lecz nie muszę nawet sięgać po miecz, gdyż na jego drodze natychmiast staje ożywieńiec i powala go na ziemię.

Gdy nad nimi przeskakuję, golem podnosi głowę. Choć zdaje się nie mieć oczu, czuję na sobie jego spojrzenie i przechodzą mnie ciarki.

Brama jest już blisko.

– Uch!

Jęk rozlega się gdzieś daleko, lecz mam wrażenie, jakby rozbrzmiewał w mojej głowie.

Owiewa mnie zapach morza.

Odwracam się i widzę, że Zélie ma ramię przebite strzałą.

– Zélie!

Kolejna strzała trafia ją w bok. Impet uderzenia zwała Zélie z nóg. Wokół niej wyrastają nowi ożywieńcy, aby przyjąć strzały na siebie.

– Biegnij! – krzyczy w moją stronę, wypatrzywszy mnie wśród bitewnego zamętu. W jednej ręce ściska kamień słoneczny, drugą tamuje sobie krew.

Nogi mam jak z ołowiu, ale nie mogę jej nie posłuchać. Od wejścia do obozu dzieli mnie już tylko kilka metrów. Za murem jest pergamin, jej brat i moja siostra.

Ruszam dalej i po chwili wbiegam przez bramę do środka. Coś jednak każe mi przystanąć i obejrzeć się za siebie...

Ibawita, z którym się minąłem, ma krew na twarzy i rękach. Z jakiegoś powodu przywodzi mi na myśl Tzaina.

Ale najbardziej niepokoi mnie unoszący się za nim przemożny zapach dymu i popiołu. W pierwszej sekundzie nie wiem, skąd we mnie ten podskórny niepokój. Dopiero po chwili spostrzegam, że w dłoniach ibawity tłą się płomień.

Ogniarz...

Staję jak wryty i znów odżywa we mnie strach, który ojciec wpajał mi od małego. To właśnie ten rodzaj magów spalił żywcem jego pierwszą rodzinę. To właśnie te potwory zmusiły go do wkroczenia na wojenną ścieżkę.

Ręce maga buchają czerwonymi obłokami ognia. Płomień jaśnieją wśród nocy, trzaskają i huczą. Lecz w moich uszach ten huk zmienia się w opętańcze wrzaski rodziny ojca. W daremne błagania o litość.

Spomiędzy drzew nadlatuje kolejny deszcz strzał. Wobec takiego naporu Zélie przechodzi do odwrotu. Nie podoła łucznikom i Ogniarzowi naraz.

Kamień słoneczny wysuwa jej się z garści.

Nie!

Świat wiruje, czas na moment staje w miejscu. Ogniarz rzuca się po kulę.

Taki pewnie miał plan od samego początku.

Zélie wyciąga się jak struna, ogień w dłoniach maga rozświetla jej twarz wykrzywioną grymasem. Zabrakło jej kilku centymetrów.

Ledwie Ogniarz musnął kamień opuszkami palców, całe jego ciało eksploduje płomieniami.

Ogień wystrzela mu z gardła, z rąk, ze stóp.

Wielkie nieba.

Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Płomienie trawia wszystko dookoła. Powietrze nagrzewa się niemiłosiernie. Ziemia pod stopami Ogniarza żarzy się czerwono i rozpływa jak stal w kuźni.

Nogi same niosą mnie do przodu. Mijam w pędzie ogromne drzewa i zastygłych w bezruchu wojowników. Nie mam planu. Nawet pomysłu na atak. Lecz mimo to biegnę.

Ogniarz unosi płonące dłonie, jakby im się przyglądał. Sprawia wrażenie zagubionego, jakby sam nie wiedział, co zrobić z taką mocą.

Zaraz jednak zaciska pięści, a jego twarz ciemnieje. Odnalazł w sobie nową siłę, odkrył zapomnianą prawdę. Ma teraz moc.

I zamierza jej użyć.

– Zélie! – wołam.

Zbliża się do niej. Gromada ożywieńców rzuca się na niego, lecz bez trudu się przez nich przedziera, znacząc swój szlak bryłami nadpalonej gliny.

Zélie próbuje się podnieść, ale jest zbyt ciężko ranna. Cofa się rozpaczliwie, a Ogniarz unosi rękę.

– Nie!

Rzucam się między niego a Zélie, a przez mój organizm przelewa się fala grozy i adrenaliny.

W dłoni Ogniarza kręci się ognista kometa. Powietrze drży od jej żaru.

Czuję, jak wzbiera we mnie magia. Płyne wartko ku palcom. Przypominam sobie, jak użyłem swojej mocy, aby zapanować nad umysłem Kei. Unoszę ręce do walki...

– Stój!

Ogniarz zastyga w bezruchu.

Zdezorientowany podążam za jego wzrokiem ku młodej dziewczynie, która nadchodzi od strony obozu.

Blask księżyca oświetla jej zatroskane czoło i wydobywa całą biel gęstych włosów. Dziewczyna staje przed nami, a jej wzrok pada na plamę bieli w mojej czuprynie.

– To nasi.

Ognista kometa w dłoni Ogniarza gaśnie.

ROZDZIAŁ 51



ZÉLIE

Próbował mnie obronić.

Ten zaskakujący fakt wybija się na pierwszy plan, przesłaniając wszelkie pytania i wątpliwości. Drzę z przejęcia, gdy Inan odbiera kamień słoneczny i kładzie go na mojej dłoni. Gdy unosi mnie w swoich ramionach i mocno przytula.

Potem śladem dziewczyny z koroną białych włosów zanosi mnie do obozu. Gdy wchodzimy przez bramę, wojownicy zdejmują maski, odsłaniając białe kędziory. Prawie wszyscy za tym murem są ibawitami.

O co tu chodzi?

Zamroczone bólem usiłuję wszystko sobie poukładać: Ogniarz, niezliczeni ibawici, młoda dziewczyna, która zdaje się im przewodzić... Lecz gdy moim oczom wreszcie ukazuje się ich obóz, wszystkie moje domysły diabli biorą.

Pośrodku wśród ogromnych drzew zbiega się kilka dolin. Rozległą nieckę wypełniają jaskrawe namioty i wozy. Z oddali zalatuje słodka woń smażonych rajskich bananów, która jakimś cudem zagłusza nawet metaliczny zapach mojej krwi. Z tłumu ibawitów – ostatni raz widziałam tyłu naraz chyba jako dziecko – dobiegają szmery rozmów w języku joruba.

Mijamy gromadkę składającą kwiaty wokół wysokiej fioletowej wazy, zapewne w hołdzie dla Niebiańskiej Matki.

– Kim są ci wszyscy ludzie? – pyta Inan młodą dziewczynę imieniem Zu. – Co wy tu robicie?

– Cierpliwości, proszę. Obiecuję, że odpowiem na wasze pytania i zobaczycie wkrótce swoich przyjaciół, ale potrzebuję chwili.

Zu szepcze coś do stojącej obok ibawitki, dziewczyny we wzorzystej zielonej sukience i takim samym zawoju na białych włosach.

– Nie było ich w namiocie – odpowiada tamta zniżonym głosem.

– W takim razie znajdźcie ich. Nie wyszli przez bramę, więc na pewno gdzieś tu są. Powiedzcie im, że ich przyjaciele są z nami. Wiemy, że mówili prawdę.

Nadstawiam uszu, by wyłoić jak najwięcej z ich rozmowy, lecz przeszywa mnie nagły ból. Wzdrygam się, a Inan przyciska mnie mocniej do siebie. Bicie jego serca, głębokie i miarowe, pulsuje mi w uszach. Instyktownie zanurzam się w tym dźwięku. I znów mam w głowie mętlik.

– Ten Ogniarz mógł cię zabić – szepczę.

Mnie oparzył, a przecież nawet go nie dotknęłam. Czerwony placek na ramieniu wciąż mnie piecze.

Cofam się do tamtej chwili, gdy każdy mój gorący oddech wydawał mi się ostatnim. Pierwszy raz magia była moim wrogiem, a nie sprzymierzeńcem.

I prawie zginęłam.

– Co ci strzeliło do głowy? – pytam.

– Byłaś w niebezpieczeństwie – odpowiada. – A ja nie.

Dotyka palcem skaleczenia na moim podbródku, a mnie przenika do głębi dziwny dreszcz. Żadna odpowiedź nie chce mi przejść przez gardło. Nie wiem, jak zareagować na jego słowa.

Inan wciąż promienieje blaskiem kamienia. Jego magia jeszcze się nie schowała, miedziana skóra lśni zdrowiem, kości zamiast upiornie sterczeć rysują się dumnie w świetle lampy.

– Tu będzie dobrze. – Zu wprowadza nas do namiotu z kilkoma prostymi łózkami. – Połóż ją tutaj. – Wskazuje na jedno z nich.

Inan kładzie mnie ostrożnie. Moja głowa ląduje na szorstkiej bawełnie. Walczę z falą mdłości.

– Potrzebujemy alkoholu i bandaży – stwierdza Inan.

Zu kręci głową.

– Ja się nią zajmę.

Kładzie ręce na moim zranionym boku. Wstrząsam się od piekącego bólu, który przenika mi wewnątrz. Zu intonuje zaklęcie.

– Babalúayé, dúró tì mí bayi bayi. Fún mi ní agbára, kí nle fún àwọn tókù ní agbára...

Z trudem unoszę głowę i patrzę, jak spod jej rąk sączy się pomarańczowe światło. Ból z wolna przechodzi w ciepłą drętwotę. Pieczenie w brzuchu słabnie, ustępuje miejsca delikatnemu ćmieniu.

Światło z jej rąk przenika w głąb mojego ciała, rozlewa się po wszystkich rozdartych mięśniach i ścięgnach. Oddycham głęboko.

Magia Zu leczy mnie z ran.

– Jak się czujesz?

Podnoszę wzrok. Całkiem zapomniałam, że ściskam dłoń Inana. Puszczam ją zawstydzona i przesuwam palcami po miejscu, gdzie ugodziła mnie strzała. Po skórze nadal spływa krew, lecz rana zniknęła bez śladu.

Znów nasuwa mi się mnóstwo pytań; teraz nie muszą się już przebijać przez zasłonę bólu. W ciągu ostatniej godziny widziałam na własne oczy więcej rodzajów magii niż przez ostatnie dziesięć lat.

– Powiedz nam – zagaduję Zu. Rudawy odcień jej brązowej skóry wygląda dziwnie znajomo, jak u rybaków, którzy co dwa miesiące przyplływali do Ilorinu, by prehandlować swoje trocie za nasze upieczone ryby tygrysie. – O co tu chodzi? Co to za miejsce? Gdzie są kościany sztylet i pergamin? Mój brat i jego siostra? Mówiłaś, że są tutaj... – Przerywam, bo poły namiotu się odsuwają i do środka wchodzi ciężko Amari, podtrzymując na wpół żywego Tzaina. Zrywam się na równe nogi, żeby jej pomóc. Mój brat ledwie stoi. – Coście mu zrobili? – krzyczę.

Amari sięga po kościany sztylet i grozi nim Zu.

– Ulecz go!

Dziewczyna cofa się z uniesionymi rękoma.

– Połóżcie go. – Bierze głęboki wdech. – Teraz odpowiem na wasze pytania.

Siedzimy w sztywnej ciszy i patrzymy, jak Zulajcha leczy Tzainowi nogę i głowę. Kwame i Folake stoją za nią prawie na baczność, cali napięci.

Gdy Kwame się porusza, sięgam odruchowo do sakwy, żeby poczuć ciepło kamienia. To silniejsze ode mnie. Wciąż mam przed oczyma jego twarz otoczoną płomieniami.

Opieram się o Najlę. Zu kazała swoim ludziom wypuścić ją z klatki. Dyskretnie chowam sakwę z kamieniem słonecznym za jej łapą. Lecz kiedy Zu, wyczerpana rzucanym zaklęciem, zaczyna się trząść, mam ochotę wyjąć kamień i użyć go jej.

Patrząc na Zu, cofam się do czasu, kiedy miałam pięć lat i biegałam za Mamą z bandażami i ciepłą wodą w dzbanach. Mama pomagała wioskowej Uzdrowicielce, gdy ta nie dawała sobie sama rady z najciężej chorymi. Siadały jedna przy drugiej i Uzdrowicielka leczyła dotykiem, a Mama podtrzymywała pacjenta przy życiu. *Najlepsi spośród Żniwiarzy nie są jedynie szafarzami śmierci, moja Zél. Pomagamy też ludziom przeżyć.*

Patrzę na drobne ręce Zu i przypominam sobie dłonie matki. Zu mimo młodego wieku bardzo umiejętnie używa swej magii. Przestaje nas to dziwić, kiedy dowiadujemy się, że jako pierwsza dotknęła pergaminu.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co mam – przyznaje głosem matowym z wycieńczenia.

Folake podaje jej wodę w drewnianym kubku. Zu dziękuje skinieniem głowy i upija łyk.

– Gdy do Warri przybyli żołnierze Sarana, nie byliśmy gotowi. Ledwie udało nam się uciec. No i straciliśmy pergamin.

Inan i Amari patrzą po sobie, jakby rozmawiali o czymś bez słów. Poczucie winy, które przez cały dzień odbijało się na twarzy Inana, teraz gości również w oczach jego siostry.

– Po tym, co się stało w Warri, potrzebowaliśmy bezpiecznego schronienia przed strażnikami. Zaczęło się od kilku namiotów, ale potem rozesłaliśmy zaszyfrowane wiadomości do ibawitów z różnych stron Oriszy i obóz

stopniowo się powiększał.

Inan pochyła się niecierpliwie do przodu.

– Zbudowaliście tę osadę w mniej niż miesiąc?

Zu wzrusza ramionami.

– Wiem, że to się wydaje nieprawdopodobne, ale tak było. Jak gdyby bogowie szeptali ibawitom, dokąd mają iść. Zanim się obejrzałam, obóz sam się zbudował. – Na twarzy Zu migocze blady uśmiech, który jednak gaśnie, gdy odwraca głowę ku Amari i Tzainowi. Przetyka głośno ślinę i wbija wzrok w ziemię, przesuwając dłońmi po ramionach. – To, co was tu spotkało... To, do czego dopuściłam... – poprawia się. – Strasznie mi przykro z tego powodu. Daję słowo, że czułam się z tym okropnie. Ale kiedy nasi zwiadowcy zobaczyli szlachciankę z pergaminem, nie mogliśmy ryzykować. – Zaciska powieki, lecz nie jest w stanie powstrzymać strużki łez. – Nie mogliśmy pozwolić, żeby powtórzyła się historia z Warri.

Mnie też szczypią oczy. Twarz Kwamego ściąga się od bólu. Chcę nim gardzić za to, co zrobił Tzainowi, ale nie potrafię. Wcale nie jestem od niego lepsza. Raczej gorsza. Gdyby Inan mnie nie powstrzymał, zadźgałabym tamtego ibawitę, byle coś z niego wyciągnąć. Leżałby teraz martwy z twarzą w błocie, a nie na łóżku, z opatrzonymi ranami, oczekując na uzdrowienie przez Zu.

– Przepraszam – mamrocze Kwame. – Obiecałem tym ludziom, że uczynię wszystko, żeby mogli się czuć bezpieczni.

Znów staje mi przed oczami obraz płomieni okalających jego twarz, ale tym razem nie są już tak przerażające. Jego magia napędziła mi ogromnego strachu, lecz walczył w obronie swoich. Naszych. Nawet bogowie nie mogą mieć do niego żalu. A co dopiero ja!

Zu ociera łzy z policzków. Wygląda teraz dużo młodziej – tak jak powinna, gdyby nie to, że musiała szybciej dojrzeć. Niewiele myśląc, przytulam ją do siebie.

– Tak mi przykro – szlocha mi w ramię.

Głaszczę ją po plecach.

– Już dobrze. Staralaś się chronić swoich ludzi. Spełniłaś swój obowiązek.

Spoglądam w stronę Amari i Tzaina, którzy potakują głowami. Nie możemy mieć do niej pretensji. Na jej miejscu postąpilibyśmy tak samo.

– Proszę. – Zulajcha wyciąga pergamin z kieszeni czarnej koszuli i wręcza mi go. – Mówcie, czego wam trzeba, postaramy się pomóc. Wszyscy mnie tutaj słuchają, bo jako pierwsza dotknęłam pergaminu, ale jeśli to prawda, co powiedziała Amari, że jesteś wybranką bogów, oddajemy się pod twoje rozkazy.

Jej słowa budzą we mnie obawę. Nie będę umiała pokierować tymi ludźmi. Ledwie umiem kierować sobą.

– Dziękuję – odpowiadam – ale myślę, że świetnie sobie radzisz. Chronić ich dalej. My musimy dostać się do Zarii i wynająć statek. Do solstycjum zostało już tylko pięć dni.

– Mam rodzinę w Zarii – odzywa się Folake. – To handlarze. Ludzie godni zaufania. Weźcie mnie ze sobą, wystaram się o statek dla was.

Zulajcha chwyta mnie za rękę. Iskierki nadziei błyskają jej w oczach.

– Ja też pojedę. Tutaj nie brakuje magów, którzy mogą bronić obozu, a wam na pewno przyda się Uzdrowicielka.

– Jeśli się zgodzicie... – Kwame odchrząkuje i spogląda w oczy Tzainowi i Amari. – Chciałbym do was dołączyć. Trochę ognia nigdy nie zawadzi.

Tzain mierzy go chłodnym wzrokiem, rozmasowując ranne udo. Zu zatrzymała krwawienie, ale zabrakło jej sił, by całkiem uśmierzyć ból.

– Chronić moją siostrę albo następnym razem to ty dostaniesz nożem.

– Umowa stoi. – Kwame wyciąga dłoń, a Tzain ją ściska.

W ciszy, jaka przez chwilę wypełnia namiot, nie ma już napięcia.

– Trzeba to uczcić! – Na twarzy Zu rozkwita uśmiech tak szeroki, tak jasny i niewinny, że wygląda jak dziecko, którym zbyt wcześnie przestała być. Jej zaraźliwa radość udziela się nawet Tzainowi. – Już przedtem chciałam urządzić zabawę, żeby wszyscy w obozie mogli się lepiej poznać. Wiem, że to nietypowa pora, ale myślę, że powinniśmy jutro urządzić Àdżòjò.

– Àdżòjò? – Nachylam się bliżej, nie wierząc własnym uszom.

W dzieciństwie niczego tak nie wyczekiwałam jak święta Niebiańskiej Matki i narodzin bogów. Baba zawsze kupował Mamie i mnie identyczne kaftany, jedwabne z paciorkami i długą trenem, który ciągnął się aż do ziemi. Na ostatnie Àdżòjò przed Obławą Mama oszczędzała przez cały rok, żeby móc mi kupić pozłacane pierścienie, które wplatało się we włosy.

– Byłoby cudownie – mówi Zu coraz bardziej podekscytowanym głosem. – Moglibyśmy złożyć namioty i zrobić procesję. Znaleźć miejsce na święte opowieści. Zbudować podium i pozwolić wszystkim magom dotknąć pergaminu. Niech odzyskają swoje moce!

Doznaję lekkiego ukłucia niepokoju, podszytego wspomnieniem ognia w rękach Kwamego. Jeszcze wczoraj byłabym zachwycona możliwością przemienienia wszystkich tych ibawitów w magów. Teraz jednak się waham. Więcej magii to również więcej niepowołanych rąk, w które może wpaść kamień słoneczny. *Chociaż jeśli będę nad wszystkim czuwać... Skoro wszyscy ci ibawici słuchają już rozkazów Zu...*

– Co o tym sądzisz? – pyta Zu.

Spoglądam to na nią, to na uśmiechniętego Kwamego.

– Świetny pomysł – stwierdzam. – To będzie niezapomniane Àdżòjò.

– A co z rytuałem? – wtrąca się Amari.

– Jeśli wyruszymy zaraz po święcie, zdążymy bez problemu. Pięć dni to dużo czasu, tym bardziej że Folake załatwi nam statek.

Zu dosłownie promienieje ze szczęścia. Ścisła mi rękę, a ja czuję, jak rozlewa się po mnie ciepło. To coś więcej niż kolejny sojusznik. To początek nowej wspólnoty.

– A więc postanowione! – Zu chwyta też za rękę Amari i prawie podskakuje. – Przynajmniej tyle możemy. Nie przychodzi mi do głowy żaden lepszy pomysł na uczczenie waszej czwórki.

– Trójki – poprawia ją Tzain. Jego szorstki ton przycina mój kielkujący entuzjazm. Ruchem głowy wskazuje Inana. – On nie jest jednym z nas.

Patrzę ze ściśniętym sercem, jak Inan i Tzain mierzą się nawzajem wzrokiem. Wiedziałam, że ten moment kiedyś nastąpi. Miałam tylko nadzieję,

że uda się go trochę odwlec.

Zu, wyczuwając napięcie, kiwa sztywno głową.

– Zostawimy was, żebyście mogli sobie wszystko wyjaśnić. Przed nami wiele pracy, jeśli mamy zdążyć na jutro.

Wstaje, a Kwame i Folake biorą z niej przykład. Wszyscy troje wychodzą, a my trwamy w ciszy. Spuszczam wzrok na pergamin, który trzymam w dłoniach. Co teraz? Jaki mamy plan – i co to w ogóle znaczy „my”?

– Wiem, że trudno ci będzie to przełknąć – odzywa się Inan – ale odkąd ty i Amari zostaliście porwani, wszystko się zmieniło. Rozumiem, że proszę o wiele, ale skoro twoja siostra nabrała do mnie zaufania...

Tzain wbija we mnie spojrzenie jak kij. Jego twarz mówi wszystko: „Powiedz, że to nieprawda”.

– Tzain, gdyby nie Inan, mnie też by złapali...

Odbił mnie, bo sam chciał mnie zabić. Chciał własnoręcznie zatopić miecz w moim sercu.

Przesuwam palcami po kiju. Nie mogę tego zepsuć. Muszę przemówić Tzainowi do rozsądku. Biorę głęboki oddech i zaczynam od nowa.

– Nie od razu mu zaufałam. Ale walczył ramię w ramię ze mną. Kiedy groziło mi niebezpieczeństwo, zasłonił mnie własnym ciałem. – Mój głos jakby się kurczył. Nie mając odwagi podnieść oczu, wpatruję się w swoje dłonie. – Widział i czuł rzeczy, których nie potrafiłabym nikomu wyjaśnić słowami.

Tzain krzyżuje ramiona.

– Mam w to uwierzyć?

– Tak, bo... – Zerkam na Inana. – On jest magiem.

– Co? – Amari wlepia w Inana okrągłe ze zdumienia oczy. Widziałam, że już wcześniej spostrzegła białą smugę w jego włosach, ale dopiero teraz ją olśniło. – Jak to możliwe?

– Nie wiem – odpowiada Inan. – To się stało jeszcze w Lagos.

– Zanim spaliłeś naszą wioskę? – wybucha Tzain.

Inan zaciska zęby.

– Wtedy jeszcze nie wiedziałem...

– Ale kiedy zabiłeś Lekana, już wiedziałeś.

– Zaatakował nas. Broniliśmy się...

– A gdy wczoraj próbowałeś zabić moją siostrę? Wtedy też byłeś magiem?

– Tzain chce się podnieść, ale chwyta się z grymasem za ranne udo.

– Daj, pomogę ci – mówię, ale odtrąca moją wyciągniętą rękę.

– Błagam, Zél, powiedz mi, że nie jesteś taka głupia. – W oczach Tzaina płonie ból niemający nic wspólnego z raną. – Nie możesz mu wierzyć. Niech sobie nawet będzie magiem. Liczy się to, że nie jest po naszej stronie.

– Tzain...

– Próbował cię zabić!

– Wiem, że nie masz powodów mi ufać – włącza się Inan. – Ale ja naprawdę nie chcę dłużej toczyć wojny. Wszyscy pragniemy tego samego.

Tzain prycha lekceważąco.

– Ciekawego czego.

– Lepszej Oriszy. Kraju, w którym magowie, tacy jak twoja siostra, nie muszą żyć w ciągłym strachu. Chcę naprawić to królestwo. – Bursztynowe oczy Inana spoglądają prosto w moje. – Chcę tego dokonać razem z wami.

Odwracam głowę z obawy, że moja twarz mnie zdradzi. Patrzą na Tzaina, czy słowa Inana choć trochę go zmiękczyły. Lecz Tzain aż się trzęsie od zaciskania pięści.

– Tzain...

– Nie ma mowy. – Wstaje z grymasem bólu i choć widać, że noga daje mu się we znaki, rusza do wyjścia. – Zawsze musisz wszystko zepsuć. Nawet teraz.

ROZDZIAŁ 52



AMARI

– Inan, poczekaj!

Przeciskam się przez ibawitów stłoczonych na pasie trawy między dwoma długimi rzędami namiotów. Zaciekawione spojrzenia ciężą mi, ale nie są w stanie odwrócić mojej uwagi od pytań, które błakają się po głowie. Gdy Tzain wyszedł, najpierw Zélie wybiegła za nim, na próżno starając się go udobruchać, a potem jej śladem ruszył mój brat, a ja zostałam w namiocie sama.

Teraz Inan, słysząc moje wołanie, zatrzymuje się, ale nie odwraca. Oczami podąża za Zélie. Dopiero gdy ta znika w tłumie, patrzy w moją stronę. Nie wiem, o co zapytać go najpierw.

Czuję się tak, jakbyśmy znowu byli w pałacu – tak bliscy sobie i jednocześnie tak różni.

– Zulajcha powinna ci to wyleczyć. – Chwyta mnie za nadgarstki i przygląda się purpurowym obtarciom i zaschniętej krwi w miejscach, gdzie poranił mnie sznur.

Wcześniej, prowadząc rannego Tzaina, w ogóle nie myślałam o bólu, teraz jednak towarzyszy mi bez przerwy, a każdy chłodny podmuch tylko wzmacnia pieczenie.

– Jak odpocznie. – Cofam dłonie i krzyżuję ramiona. – Teraz jest zbyt wyczerpana, poza tym musi się jeszcze zająć Dżajlinem. Nie chcę, żeby ryzykowała własne zdrowie.

– Ona mi przypomina ciebie. – Inan się uśmiecha, ale tylko ustami, nie oczyma. – Ty też miałaś takie szalone spojrzenie, kiedy wpadłaś na jakiś

pomysł i byłaś pewna, że dopniesz swego.

Wiem, o jakim spojrzeniu mówi; on też miał swoją minę na takie okazje. Uśmiechał się wtedy szeroko, aż nos mu się kurczył, a oczy prawie zamykały. Właśnie z taką miną wyciągał mnie w nocy z łóżka i zakradał się do królewskich stajni albo do kuchni, żeby wsadzić głowę do beczki z cukrem. Kiedy jeszcze wszystko było prostsze. Zanim ojciec i Orisza wbili między nas klin.

– Miałem ci to dać. – Inan sięga do kieszeni.

Spodziewam się listu, w którym ojciec grozi mi śmiercią. Na widok mojego starego diademów aż wstrzymuję oddech.

– Ale jak? – pytam łamiącym się ze wzruszenia głosem.

Choć diadem jest wyszczerbiony, zaśniedział i brudny od krwi, robi mi się ciepło w sercu, kiedy go dotykam. Czuję się tak, jakbym odzyskała kawałek Binty.

– Noszę go przy sobie od Sokoto. Pomyślałem, że chciałabyś go mieć.

Przyciskam diadem do piersi i spoglądam na brata z bezbrzeżną wdzięcznością, która jednak tylko jeszcze bardziej wszystko komplikuje.

– Naprawdę jesteś magiem? – wyrywa mi się z ust, kiedy przyglądam się białej plamie w jego włosach.

Przy całej mojej radości z odzyskania diademów nadal czegoś tu nie rozumiem. Jaką Inan posiada moc? Dlaczego on, a nie ja? Jeżeli to bogowie decydują, kto otrzyma dar, czemu ich wybór padł na niego?

Inan kiwa twierdząco głową i dotyka włosów.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć. To się stało w Lagos, kiedy dotknąłem pergaminu.

– Ojciec wie?

– A czy jestem martwy? – Inan sili się na lekki ton, ale pobrzmiwa w nim odcień bólu.

Znów staje mi przed oczyma ostrze, którym ojciec przeszył Bintę. Nietrudno mi sobie wyobrazić, jak zatapia ten sam miecz w piersi Inana.

– Jak mogłeś? – Jedyne pytanie, które naprawdę się liczy, wreszcie wypływa na powierzchnię. Wszystkie razy, kiedy broniłam Inana przed Zélie, odbijają mi się teraz czkawką. Myślałam, że znam swojego brata. Teraz wcale nie jestem tego pewna. – Rozumiem, że było ci trudno, kiedy znajdowałeś się pod wpływem ojca, ale tutaj go nie ma – naciskam. – Jak mam ci ufać, skoro przez cały ten czas walczyłeś sam ze sobą?

Inan zwiesza głowę i drapie się po karku.

– Masz rację – odpowiada. – Ale odzyskam twoje zaufanie. Przymierzam.

W innym świecie to zapewnienie by mi wystarczyło, ale śmierć Binty wciąż spędza mi sen z powiek. Bez przerwy sobie wyrzucam, że nie wydostałam jej w porę z pałacu. Gdybym wykazała się większą czujnością, moja przyjaciółka żyłaby nadal. Byłam ślepa.

Tulę do piersi jej diadem.

– Ci ludzie są dla mnie bardzo ważni. Kocham cię, Inanie, ale nie pozwolę ci skrzywdzić magów, tak jak skrzywdziłeś mnie.

Inan kiwa głową.

– Wiem. I przysięgam na tron, że nie mam takiego zamiaru. Zélie uświadomiła mi, jak bardzo się co do nich myliłem. Zrozumiałem swoje błędy.

Kiedy mówi o Zélie, głos mu delikatnieje, jakby wspominał coś miłego. Odwraca głowę i rozgląda się za nią, a mnie rodzą się w głowie nowe pytania, lecz na razie odsuwam je na bok. Nie mam pojęcia, w jaki sposób odmieniła mojego brata, ale teraz liczy się tylko to, że jej się udało.

– Dla własnego dobra postaraj się ich więcej nie popełniać.

Twarz Inana przybiera nieodgadniony wyraz. Mierzy mnie wzrokiem z góry na dół.

– Czy to groźba?

– Obietnica. Jeśli zacznę podejrzewać, że coś knujesz, czeka cię spotkanie z moim mieczem.

Nie byłby to pierwszy raz, kiedy skrzyżowaliśmy ostrza. Na pewno jednak nie skończy się tak jak ostatnio.

– Udowodnię ci, wam wszystkim, że można mi ufać – oświadcza Inan. –
Stanął po właściwej stronie. Ja też chcę po niej być.

– Dobrze.

Biorę jego obietnicę za dobrą monetę i robię krok do przodu, żeby go
uściskać.

Lecz kiedy mnie obejmuje, nie mogę przestać myśleć o tym, że jego palce
prawie dotykają blizny na moich plecach.

ROZDZIAŁ 53



ZÉLIE

Nazajutrz rano Zu wpada do mojego namiotu. Chwyta mnie za ramię i mną potrząsa.

– Mam ci tyle do pokazania. Zélie, wstawaj. Już prawie południe.

Podnoszę się bez entuzjazmu i drapię po głowie, na której przez noc przybyło loków.

– Tylko się pospiesz. – Zu wpycha mi do rąk czerwoną koszulę bez rękawów. – Wszyscy już czekają.

Kiedy wychodzi, uśmiecham się do Tzaina, który jednak wciąż leży odwrócony plecami. Choć wiem, że nie śpi, nie wydaje żadnych dźwięków. Powraca niezręczne milczenie, w którym zasypialiśmy wieczorem, pełne ciężkich westchnień i zdawkowych słów. Nie byłam w stanie go udobruchać żadnymi przeprosinami.

– Idziesz ze mną? – pytam cicho. – Powinieneś trochę rozruszać nogę.

Cisza. Jakbym mówiła do ściany.

– Tzain...

Obraca się i wyciąga szyję.

– Zostaję. Nie mam ochoty spacerować ze w s z y s t k i m i.

Domyślam się, że pije do słów Zu. W pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi mu o Kwamego i Folake, ale Inan pewnie też tam jest. Spotkanie z nim raczej nie poprawiłoby Tzainowi humoru.

– Dobra. – Wsuwam na siebie koszulę i wiążę włosy wzorzystą niebiesko-czerwoną chustą. – Niedługo wrócę. Postaram się przynieść ci coś do

jedzenia.

– Dzięki.

Chwytam się tej odpowiedzi, powtarzam ją sobie w głowie. Ta namiastka wdzięczności pozwala mieć nadzieję, że wszystko się między nami jakoś ułoży.

– Zél. – Tzain spogląda przez ramię i nasze spojrzenia się spotykają. – Bądź ostrożna. Nie zostawaj z nim sama.

Kiwam głową i wychodzę z namiotu. Ostrzeżenie Tzaina ciąży mi jak kamień, ale tylko przez chwilę. Na widok obozu mój krok odzyskuje sprężystość.

Obszerna dolina tonie w słonecznym blasku; każdy skrawek bujnej zieleni tętni życiem. Młodzi ibawici krzątają się w labiryncie szałasów, namiotów i wozów. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie lśnią białe włosy i jaskrawe desenie koszul i kaftanów. Jak gdyby obietnica Niebiańskiej Matki po latach w końcu ziszczała się na moich oczach.

– Bogowie.

Obracam się, chłonąc te wszystkie widoki. Jeszcze nigdy nie widziałam tylu ibawitów naraz, i to tak... szczęśliwych. Śmieją się, pokazują bez skrępowania swoje białe włosy: zaplecione w warkocze, zbite w dredy, luźno rozpuszczone. W ich ruchach, krokach, sylwetkach dostrzegam swobodę, jakiej nie zwykłam oglądać...

– Uwaga!

Podrywam ręce do góry, uśmiechając się do gromadki dzieci, które mijają mnie w biegu. Najstarsze osoby w zasięgu mojego wzroku mają nie więcej niż dwadzieścia parę lat. To właśnie ich widok dziwi mnie najbardziej: nigdy w życiu nie widziałam tylu dorosłych ibawitów na wolności, z dala od więzień i dybów.

– Nareszcie! – Zu bierze mnie pod rękę z uśmiechem, który ledwie mieści jej się na twarzy.

Przy pomalowanym na żółto wozie czekają Inan z siostrą. Amari uśmiecha się na mój widok, ale wyraźnie smutnieje, gdy dociera do niej, że przyszłam

bez Tzaina.

– Chciał odpocząć – uprzedzam pytanie. *I nie musisz oglądać twojego brata.*

Inan patrzy w moją stronę. W kobaltowym kaftanie i wzorzystych dopasowanych spodniach wygląda inaczej niż w surowym mundurze z groźnym metalowym pancerzem. Łagodniej. Milej. Biała plama we włosach błyszczy w słońcu, wreszcie niezakryta hełmem ani farbą. Nasze spojrzenia lgną ku sobie, lecz po sekundzie Zu wkracza między nas i bierze nas za rękę.

– Nieźle nam idzie, ale mamy jeszcze dużo pracy, jeśli chcemy zdążyć ze wszystkim do wieczora. – Usta jej się nie zamykają, ledwie kończy jedno zdanie, natychmiast przypomina sobie coś nowego. – Tutaj będą dawne opowieści. – Wskazuje podium wzniesione na zielonym pagórku między dwoma namiotami. – Będzie je opowiadać ibawitka z Dzimety. Musicie ją poznać, jest czarująca. Wydaje nam się, że będzie Falunką. Och, a to! Tutaj będzie można dotknąć pergaminu. Nie mogę się doczekać, to będzie niesamowite!

Zulajcha sunie przez tłum w magnetycznej aurze królowej. Ibawici zatrzymują się na jej widok, pokazują nas palcami, bo idziemy za rękę. Zwykle nie lubię czuć na sobie cudzego wzroku, lecz dziś sprawia mi to przyjemność. To nie są spojrzenia strażników ani kosidan, którzy woleliby, żebym zniknęła. W oczach ibawitów dostrzegam nieznaną mi dotąd szacunek.

– A teraz najlepsze. – Zu wskazuje gestem dużą polaną przystrojoną kolorowymi lampami oraz płachtami. – Tutaj będzie procesja otwarcia. Zélie, musisz wziąć w niej udział!

– Och, to nie jest dobry pomysł. – Potrząsam energicznie głową, lecz śmieję się, gdy Zu łapie mnie za nadgarstek i zaczyna podskakiwać.

Jej radość jest zaraźliwa; nawet Inan się uśmiecha.

– Idealnie się nadajesz! – Robi wielkie oczy. – Nie mamy jeszcze ani jednego Żniwiarza, a ty będziesz świetnie wyglądać w stroju Oi. Długa czerwona spódnica i złota góra... Inan! Powiedz, że będzie wyglądać zjawiskowo.

Inan unosi brwi, zaczyna coś jąkać pod nosem, strzela oczami to na mnie, to

na Zu, jakby czekał, aż któraś z nas go wybawi.

Kręcę głową i macham ręką.

– Zu, jestem pewna, że kogoś znajdziesz.

– Tak chyba będzie lepiej – dodaje Inan, odzyskawszy głos. Przemyka po mnie wzrokiem, po czym odwraca oczy. – Ale owszem, sędzę, że Zélie wyglądałaby pięknie.

Robi mi się gorąco na twarzy, szczególnie pod badawczym spojrzeniem Amari. Odwracam głowę, próbując skupić uwagę na czymś innym, ignorując motyle w brzuchu, ale znów przypomina mi się, jak Inan wniósł mnie na rękach do obozu.

– Zu, a co to? – Wskazuję na czarny wóz i długą kolejkę ibawitów.

– Tam Folake maluje klanowe baadzi. – Zu rozbłyskują oczy. – Musicie sobie zrobić!

– Baadzi? – Amari marszczy twarz, nie rozumiejąc.

Zu pokazuje namalowany znak na własnej szyi. Łapie Amari i Inana za rękę i ciągnie ich do przodu.

– Są cudowne. Chodźcie, pokażę wam!

Zanurzają się w tłum. Zastanawiam się, czy nie przyspieszyć kroku, ale nie mam ochoty za nimi pędzić. Jest coś przyjemnego w powolnym przechadzaniu się po tym obozie. Za każdym razem, gdy mijam ibawitę, próbuję zgadywać, jaki rodzaj magii jest mu pisany. Otaczają mnie zapewne przyszli Tajfunowie i Jasnowidze. Kto wie, może nawet patrzę na jakiegoś przyszłego Żniwiarza...

Wpada na mnie nieznajomy, ubrany na czerwono-czarno, i prędko chwytą mnie w tali, żebym nie upadła.

– Przepraszam. – Uśmiecha się. – Moje niesforne nogi zawsze idą za głosem serca.

– Nic nie... – Głos zamiera mi w gardle.

Chłopak, którego mam przed sobą, nie przypomina wyglądem nikogo spośród znanych mi mieszkańców Oriszy. Skórę ma jak papier ścierny, o piaskowym odcieniu. Oczy nie są okrągłe, jak u Oriszan, lecz skośne, stalowoszare.

– Roën – przedstawia się i znów uśmiecha. – Miło mi. Mam nadzieję, że wybaczysz mi niezdarność. – Mówi z akcentem, jego „r” jest gardłowe. Musi być cudzoziemskim kupcem.

W końcu.

Omiotam go spojrzeniem. Tzain opowiadał mi o cudzoziemcach, których zdarzało mu się czasem spotykać, gdy jeździł po Oriszy ze swoją drużyną agböna. Nigdy jednak, aż do teraz, nie widziałam żadnego na własne oczy. Słyszałam opowieści o niezwykłych handlarzach, o wędrowcach odwiedzających największe miasta Oriszy. Miałam nadzieję, że któryś z nich zawita kiedyś do Ilorinu, lecz widocznie nasze brzegi były dla nich zbyt daleko.

Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nieznajomy wciąż trzyma rękę na moich plecach. Rumienię się i odsuwam. Nie powinnam tak mu się przyglądać, choć sądząc po jego uśmiešku, jestem skłonna przypuszczać, że mu się to podoba.

– Do następnego razu. – Puszczą do mnie oko i oddala się, nie odrywając ode mnie wzroku.

Nie zdążył jednak przejść nawet dwóch metrów, gdy spod ziemi wyrasta Inan i chwyta go za ramię.

Z twarzy Roëna znika uśmiech.

– Nie wiem, czego chcesz, bracie, ale dobrze się zastanów, bo możesz łatwo stracić rękę.

– Ty też. Za kradzież – odpowiada twardo Inan. – Oddawaj.

Nieznajomy o szarych oczach zerka w moją stronę; wzrusza ramionami, po czym wyciąga z szerokich spodni złożony kij. Wytrzeszczam oczy i natychmiast sięgam za pas, lecz moja ręka napotyka pustkę.

– Jak to zrobiłeś? – Wyrywam mu swoją broń.

Mama Agba uczyła nas, jak wyczuć dotyk złodzieja. Powinnam była się zorientować.

– Kiedy na siebie wpadliśmy.

– To po co mnie jeszcze zagadywałeś? – dziwię się. – Zamiast od razu sobie

pójść?

– Nie mogłem się oprzeć. – Roën uśmiecha się jak lisielec, szczerząc trochę zbyt jasno błyszczące zęby. – Od tyłu widziałem tylko ładny kij. Nie spodziewałem się, że jego właścicielka też jest piękna.

Marszczę złowrogo brwi, lecz cudzoziemiec w odpowiedzi uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Jako rzekłem – kłania się lekko – do następnego razu.

Odprawdam go wzrokiem i widzę, jak podchodzi do stojącego w oddali Kwamego. Witają się jak starzy znajomi i zaczynają rozmawiać.

Kwame zerka w moją stronę, po czym obaj znikają w jednym z namiotów. Pytanie, dlaczego Kwame spotyka się z kimś takim, nie daje mi spokoju.

– Dzięki – zwracam się do Inana, gładząc palcami znaki wyryte na powierzchni kija.

To jedyna rzecz, jaka mi została z Ilorinu. Ostatnia pamiątka po tamtym życiu. Myślę o Mamie Agbie. Chciałabym móc znów zobaczyć ją i Babę.

– Gdybym wiedział, że do uśpienia twojej uwagi wystarczy przymilny uśmiech, już dawno bym spróbował.

Zadzieram brodę.

– To nie tak. Po prostu nigdy przedtem nie widziałam cudzoziemca.

– Ach, a więc tylko o to chodziło? – Inan uśmiecha się delikatnie, lecz rozbajająco.

Odkąd go poznałam, widziałam na jego twarzy bardzo różne emocje, w tym ból i wściekłość, ale nie przypominam sobie ani jednego uśmiechu z prawdziwego zdarzenia. Teraz w policzkach robią mu się dołki, a wokół bursztynowych oczu marszczy się skóra.

– Co? – pyta.

– Nic. – Kieruję wzrok z powrotem na swój kij.

Aż trudno uwierzyć, że ten uśmiechnięty chłopak w kaftanie to wciąż ten sam królewicz...

– Uch!

Jego uśmiech przekształca się w grymas. Inan zaciska zęby i chwyta się za bok.

– Co się stało? – Kładę mu rękę na plecach. – Mam zawołać Zu?

Wydmuchuje powietrze i kręci przecząco głową.

– To nie jest coś, co mogłaby uleczyć.

Przekrzywiam głowę i dopiero po chwili dociera do mnie, co miał na myśli. Tak się skupiałam na tym kobaltowym kaftanie, że w ogóle nie zauważyłam, że powietrze wokół niego jest zimne. Serce na moment mi zamiera.

– Tłumisz magię. Nie musisz tego robić. Nikt nie wie, kim jesteś.

– Nie w tym rzecz. – Inan napina się cały i prostuje plecy. – Tu jest za dużo ludzi. Muszę nad tym zapanować. Nie chcę, żeby komuś stała się krzywda.

Znów dostrzegam w nim wewnętrznie rozdartego księcia, który zaatakował mnie z mieczem w ręku. Wiem, że był przestraszony, ale czy naprawdę aż tak się bał samego siebie?

– Mogę ci pomóc. Przynajmniej trochę. Gdybyś nauczył się lepiej kontrolować swoją moc, nie cierpiałbyś tak bardzo.

Inan szarpie i tak już całkiem luźny kołnierz kaftana.

– Mogłabyś?

– Pewnie. – Biorę go za rękę i prowadzę z dala od tłumu. – Chodź. Wiem, dokąd pójdziemy.

Rzeka Gombe wypełnia powietrze szmerem. Wydawało mi się, że zmiana otoczenia uspokoi Inana, lecz teraz, gdy tu siedzimy, uświadamiam sobie, że sama potrzebuję uspokojenia. Zdenerwowanie, które poczułam, gdy Zu zaproponowała mi przywództwo, wraca ze zdwojoną siłą. Nie wiem, jak pomóc Inanowi. Sama dopiero uczę się magii Żniwiarzy.

Biorę głęboki wdech i udaję, że wiem, co robię.

– Porozmawiaj o tym ze mną. Jakie to uczucie? Kiedy twoja magia najbardziej ci doskwiera?

Inan przetyka ślinę, jego palce zaciskają się wokół wyimaginowanego przedmiotu.

– Nie wiem. To dla mnie jedna wielka zagadka.

– Masz. – Podaję mu wyjętą z kieszeni brązową monetę. – Nie mogę patrzeć, jak przebierasz palcami.

– Co to?

– Coś, czym możesz się bawić, nie robiąc sobie krzywdy. Ściśnij, to może się uspokoisz.

Inan znów się uśmiecha, tym razem w pełni, aż po same oczy. Przesuwa kciukiem po wyrytym na monecie gepardonie, który oznacza, że wybito ją w Oriszy.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek miałem w ręku monetę z brązu.

Przewracam oczami.

– Bądź tak dobry i zachowuj takie wyznania dla siebie. Inaczej długo z tobą nie wytrzymam.

– Wybacz. – Inan waży monetę w dłoni. – I dziękuję.

– Odwdzięcz mi się współpracą. Kiedy ostatnio naprawdę uwolniłeś swoją magię?

Inan w zamyśleniu przekłada monetę między palcami.

– W tej świątyni.

– W Chândomblé?

Kiwa twierdząco głową.

– Ona wzmagała moje moce. Szukając cię, znalazłem wielkie malowidło przedstawiające Oriego i... sam nie wiem. Pierwszy raz poczułem, że jest coś, nad czym mam kontrolę.

Jego sen. Przypominam sobie ostatni raz, kiedy tam byliśmy. Co wtedy mówiłam? Czy powiedziałam o jedno słowo za dużo?

– Jak to działa? – pytam. – Czasem mam wrażenie, jakbyś czytał mnie jak otwartą książkę.

– To raczej układanka niż książka – poprawia mnie. – Zwykle trudno mi się w niej połapać, ale kiedy twoje myśli i uczucia są bardzo intensywne, ja też je odczuwam.

– Masz tak ze wszystkimi?

Zaprzecza ruchem głowy.

– Nie do tego stopnia. Z innymi to jest tak, jakby padał na mnie deszcz. A ty jesteś jak tsunami.

Zastygam pod wrażeniem jego słów. Próbuję sobie wyobrazić, jak by to było. Ten strach. Ten ból. Wspomnienie dnia, kiedy przyszli po Mamę.

– To musi być straszne – mówię szeptem.

– Nie zawsze. – Patrzy na mnie tak, jakby zaglądał mi prosto do serca, w głąb mojej najskrytszej istoty. – Czasem to jest niesamowite. Albo nawet piękne.

Serce we mnie rośnie. Kosmyk skręconych włosów spada mi na twarz. Inan odgarnia go za ucho. Muśnięcie jego palców przyprawia mnie o gęsią skórę na karku.

Chrząkam i odwracam wzrok. Krew huczy mi w skroniach. Nie wiem, co się ze mną dzieje, wiem tylko, że nie mogę sobie na to pozwolić.

– Twoja magia jest silna. – Kieruję rozmowę z powrotem na właściwy tor. – Możesz mi wierzyć lub nie, ale masz naturalny dar. Robisz instynktownie rzeczy, do których większość magów potrzebowałaby potężnych zaklęć.

– Jak mogę to kontrolować? – pyta. – Co muszę zrobić?

– Zamknij oczy. Powtarzaj za mną. Nie znam zaklęć Konektorów, ale wiem, jak prosić bogów o pomoc.

Inan zamyka oczy i ściska monetę w dłoni.

– To proste: Orí, bá mi sòrò.

– Pa mi sorro?

– Bá mi sòrò – poprawiam z uśmiechem jego wymowę. Joruba w jego ustach brzmi tak nieporadnie, że aż uroczo. – Powtarzaj. Wyobraź sobie Oríego. Otwórz się i poproś go, żeby ci pomógł. Na tym polega bycie magiem. Mając za sobą bogów, nigdy nie jesteś sam.

Inan spuszcza wzrok.

– Oni naprawdę zawsze tu są?

– Zawsze – potwierdzam. Przypominam sobie te wszystkie lata, kiedy byłam od nich odwrócona. – Bogowie są zawsze z nami. Nawet gdy o nich nie pamiętamy, zawsze mają jakiś plan.

Inan zamyka monetę w dłoni. Twarz ma zamyśloną.

– Dobrze – odzywa się w końcu. – Chcę spróbować.

– Orí, bá mi sòrò.

– Orí, bá mi sòrò – intonuje cicho, obracając w palcach monetę z brązu.

Początkowo nic się nie dzieje, ale z czasem powietrze dookoła zaczyna się nagrzewać. Delikatna niebieska poświata obleka mu dłonie, a potem zbliża się do mnie.

Zamykam oczy, świat wiruje i odpływa. Znów, tak jak przed paroma dniami, uderza mnie fala gorąca. Chwilę później trafiam ponownie do snu.

Trzciny łaskoczą mi stopy, lecz tym razem nie czuję strachu.

ROZDZIAŁ 54



INAN

Powietrze we śnie rozbrzmiewa melodyjnym szmerem.

Jednocześnie cichym i wyrazistym.

Podążam oczami za błyskiem nagiej skóry Zélie w jeziorze.

Sunie po migoczących falach jak czarny łabędź, z twarzą odprężoną. Nigdy przedtem nie widziałem na niej takiego wyrazu. Jakby na krótką chwilę zdjęto z jej barków ciężar całego świata.

Zanurza się na kilka sekund, po czym wypływa na powierzchnię i wystawia ciemną twarz ku promieniom słońca. Rzęsy na jej zamkniętych powiekach zdają się nie mieć końca. Kręcone włosy srebrzą się na tle skóry. Kiedy odwraca się w moją stronę, oddech zamiera mi w piersi. Przez chwilę nie mogę zaczerpnąć powietrza, jakbym zapomniał, jak to się robi.

Wszystkie myśli pierzchają mi z głowy.

Kiedyś myślałem, że jej twarz jest twarzą potwora.

– Trochę nieswojo się czuję, kiedy tylko stoisz i patrzysz.

Moje usta rozszerzają się w uśmiechu.

– Czy mam to potraktować jako zaproszenie?

Uśmiecha się. Pięknie się uśmiecha. Słonecznie. Gdy się odwraca, natychmiast zacznę tęsknić za tym słońcem, za jego ciepłem przenikającym aż do kości. Zdejmuję koszulę i skaczę do wody.

Zélie otrząsa się z fali, która ją zalewa po moim skoku. Prąd wciąga mnie z niespodziewaną siłą. Odpycham się mocno nogami i po chwili wynurzam.

Odpywam od ryczącego wodospadu, a Zélie wpatruje się w las za naszymi

plecami. Nie widzę jego końca. Las sięga dalej niż biała granica, która otaczała jezioro ostatnim razem.

– Pierwszy raz w wodzie? – woła Zélie.

– Skąd wiedziałaś?

– Poznałam po twojej minie. Głupio wyglądasz, kiedy jesteś czymś zaskoczony.

Kolejny raz się do niej uśmiecham.

– Ty chyba lubisz mnie obrażać, co?

– Prawie tak bardzo jak okładać cię kijem.

Teraz to ona uśmiecha się szeroko. A ja razem z nią. Zélie podskakuje i kładzie się na plecach. Unosi się na nich wśród trzciny i lilii.

– Gdybym miała twoją magię, spędzałabym tutaj całe dni.

Kiwam głową, choć trudno mi sobie wyobrazić to miejsce bez niej. Cały mój skromny wkład to zwiędłe trzciny. Dopiero w obecności Zélie ten świat ożywa.

– Chyba dobrze się czujesz w wodzie – zauważam. – Aż dziwne, że nie jesteś Falunką.

– Może w następnym życiu. – Muska ręką taflę jeziora i patrzy, jak woda prześlizguje się między palcami. – Nie wiem dlaczego. Lubiłam jeziora w Ibadanie, ale nie mogły się równać z oceanem.

Jej wspomnienia są jak iskry, które wznecają we mnie pożar. Przez chwilę widzę jej młodymi oczyma bezkresne fale; czuję jej trwogę i zachwyt.

– Mieszkałaś w Ibadanie? – Podpływam bliżej, chłonę kolejne obrazy.

Choć nigdy w życiu nie odwiedziłem tej wioski na północy, wspomnienia Zélie są tak wyraziste, że czuję się, jakbym tam był. Podziwiam zapierający dech widok z wysokiego szczytu, wciągam w płuca rześkie górskie powietrze. Jej wspomnienia z Ibadanu są wyjątkowo ciepłe. Ciepłe matczyną miłością.

– Przed Obławą – odpowiada mi tak cicho, że ledwie ją słyszę. Znów przeżywa tamte chwile, a ja przeżywam je razem z nią. – Potem... – Kręci głową. – Nie mogliśmy tam zostać. Za dużo wspomnień.

Poczucie winy przesyconej swądem spalonych ciał szarpie mi serce. Przypominam sobie, jak z królewskiego pałacu przyglądałem się pożarom, jak na moich oczach ginęli niewinni ludzie. Spychałem to wspomnienie w głąb siebie, tak jak magię. Nie chciałem pamiętać tamtego dnia. Teraz wszystko do mnie wraca: tamten ból, łzy, śmierć.

– Nie zamierzaliśmy zostać w Ilorinie na dłużej – mówi Zélie bardziej do siebie niż do mnie. – Ale zobaczyłam morze – dodaje z uśmiechem. – Baba powiedział, że nie musimy wyjeżdżać.

We śnie rozpacz Zélie uderza mnie z siłą nie do zniesienia. W Ilorinie znalazła szczęście. A ja puściłem to szczęście z dymem.

– Przepraszam – wyrzucam z siebie, lecz wypowiedziawszy to słowo, nienawidzę siebie jeszcze bardziej. Takie jest niewspółmierne. Słabe w obliczu jej cierpienia. – Wiem, że nie mogę tego naprawić. Nie mogę cofnąć swoich błędów, ale... mogę odbudować Ilorin. To będzie pierwsze, co zrobię, kiedy to wszystko się skończy.

Zélie śmieje się cicho. Szorstko. Bez radości.

– Jak będziesz wygadywał takie naiwne rzeczy, przekonasz mnie tylko, że Tzain ma rację.

– Co masz na myśli? – pytam. – W czym Tzain ma rację?

– Twierdzi, że kiedy to się skończy, jedno z nas będzie martwe. On się boi, żebym to nie była ja.

ROZDZIAŁ 55



ZÉLIE

Nie wiem, co ja tu robię.

Nie wiem, czemu zwabiłam Inana do wody.

Nie wiem, dlaczego za każdym razem, kiedy do mnie podpływa, czuję łaskotanie w żołądku.

To nie będzie trwało wiecznie, przypominam sobie. To w ogóle nie dzieje się naprawdę. Kiedy wszystko się już skończy, Inan nie będzie nosił kaftanów. Nie będzie mnie zapraszał do swojego snu.

Próbuję przywołać obraz tamtego bezlitosnego wojownika, młodego księcia, który chciał mnie przeszyć mieczem. Lecz widzę tylko miecz, który uwolnił mnie z sieci. Widzę kogoś, kto osłonił mnie przed ogniem Kwamego.

On ma dobre serce. Słowa Amari sprzed wielu dni znów dźwięczą mi w uszach. Sądziłam, że Amari nie chce lub nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy. Ale może się myliłam?

– Zélie, nigdy bym cię nie skrzywdził. – Wykrzywia twarz i potrząsa głową.
– Nie po tym wszystkim, co zobaczyłem.

Podnosi na mnie oczy i dociera do mnie prawda. Nie mogę uwierzyć, że nie wpadłam na to wcześniej. Ta litość i skrucha, które w sobie nosił... *Bogowie.*

Musiał widzieć wszystko.

– Myślałem, że mój ojciec nie miał wyboru. Powtarzano mi, że wszystko, co zrobił, miało uchronić Oriszę przed niebezpieczeństwem. Ale kiedy zobaczyłem twoje wspomnienia... – Głos mu się łamie. – Żadne dziecko nie powinno przechodzić przez coś takiego.

Odwracam się ku falom na jeziorze, bo nie wiem, co mu odpowiedzieć. Ani jak się czuć. Widział wszystko najgorsze, co w sobie skrywam. Rzeczy, którymi nie zamierzałam się z nikim dzielić. Nie sądziłam, że byłoby to możliwe.

– Mój ojciec nie miał racji. – Inan mówi tak cicho, że wodospad prawie go zagłusza. – Może powinienem był wcześniej zdać sobie z tego sprawę... Teraz pozostaje mi już tylko spróbować naprawić wyrządzone przez niego krzywdy.

Nie wierz mu, ostrzegam samą siebie. On żyje we śnie, w świecie fantazji. Lecz każda jego obietnica tchnie nadzieję w moje serce; nadzieję, że choć jedna z nich się spełni. Gdy Inan podnosi wzrok, dostrzegam w jego oczach iskrę optymizmu, która zawsze rozjaśnia spojrzenie Amari. On to mówi serio.

Naprawdę chce zmienić Oriszę.

Skoro Niebiańska Matka za pośrednictwem potomkini rodu Sarana oddała pergamin w twoje ręce, jej wola jest jasna. Pomna słów Lekana patrzę na Inana, nie mogę oderwać wzroku od jego wydatnej szczęki, od zarostu na policzkach. Czyżby on także miał się okazać narzędziem w rękach bogów? Czy właśnie dlatego tu jesteśmy? Z jakiego innego powodu obdarzyliby go magią?

Inan pod pływa bliżej. Serce bije mi coraz szybciej. Powinnam odpłynąć. Ale tkwię w miejscu, jak wryta w dno.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek jeszcze zginął – szepcze. – Nie zniosę już krwi na rękach mojej rodziny.

Okragłe kłamstwa. Nic więcej. Ale skoro tak, to dlaczego nie mogę odpłynąć?

Bogowie, czy on w ogóle ma coś na sobie? Przebiegam spojrzeniem po jego szerokiej klatce piersiowej, kształtnych mięśniach. Zanim mój wzrok zawędruje za głęboko, podrywam oczy. Co ja wyprawiam, na miłość Niebiańskiej Matki?

Wciąż walcząc ze sobą, przepływam przez wodospad i opieram się plecami o skałę. Co za głupota. Dlaczego pozwoliłam się tu ściągnąć?

Łudzę się, że ściana wody zatrzyma Inana, lecz po chwili dołącza do mnie

pod huczącym wodospadem.

Uciekaj. Każę moim nogom się odpychać, lecz Inan chwyta mnie w sidła swojego łagodnego uśmiechu.

– Chcesz zostać sama?

Tak.

Oto co powinnam odpowiedzieć. Ale im bliżej pod pływa, tym bardziej część mnie pragnie, żeby tu został. W końcu się zatrzymuje. Czeka.

Czy chcę zostać sama?

Choć serce wyrywa mi się z piersi, znam odpowiedź.

– Nie.

Uśmiech znika mu z twarzy, spojrzenie mięknie. Pierwszy raz patrzy na mnie w ten sposób. Zwykle w odpowiedzi na coś takiego najchętniej wydrapałabym oczy, ale pod jego wzrokiem mam ochotę na więcej.

– Czy mogę... – Urywa w pół zdania z rumieńcem na policzkach. Nie potrafi wyrazić swojego pragnienia słowami.

Lecz słowa nie są potrzebne. Nie gdy ja pragnę tego samego.

Potakuję ruchem głowy. Inan unosi drżącą rękę i dotyka mojej twarzy. Zamykam oczy oszołomiona tym zwyczajnym dotykiem. Fala gorąca rozlewa mi się w dół ciała. Palce Inana suną dalej, zanurzają się w moich włosach, muskają mi skórę głowy.

Bogowie...

Gdyby zobaczył to strażnik, zabiłby mnie na miejscu. Inan, choć jest księciem, mógłby trafić do więzienia.

Lecz jego ręka, na przekór prawom naszego świata, przyciąga mnie zapraszająco. Nachylam się bliżej, zbyt blisko królewicza.

Jego usta dotykają moich...

– Zélie!

Szarpnięcie przywraca mnie do rzeczywistości.

Otwieram oczy i widzę, jak Tzain odciąga Inana. Podnosi go za kołnierz

kaftana i rzuca na ziemię.

– Tzain, przestań! – Zrywam się na równe nogi, próbując ich rozdzielić.

– Trzymaj się z dala od mojej siostry!

– Lepiej już pójdę. – Inan spogląda na mnie krótko, po czym wycofuje się między drzewa. Ścisną w rękę brązową monetę. – Będę w obozie.

– Co ci odbiło? – krzyczę, gdy Inan już nas nie słyszy.

– Co mnie odbiło?! – grzmi Tzain. – Zél, na bogów, co ty tu robisz? Bałem się, że coś ci się stanie!

– Próbowałam tylko mu pomóc. On nie potrafi kontrolować swojej magii. Przez to cierpi...

– Na bogów, to nasz wróg. Jeśli cierpi, tym lepiej dla nas!

– Tzain, wiem, że trudno w to uwierzyć, ale on chce naprawić Oriszę. Chce, żeby wszyscy magowie mogli czuć się w niej bezpiecznie.

Tzain kręci głową.

– Robi ci pranie mózgu? Czy to jego czary? Wiele można o tobie powiedzieć, Zél, ale na pewno nie jesteś aż tak naiwna.

Odwracam wzrok.

– Nic nie rozumiesz. Bo nie musisz. Jesteś kosidaninem, którego wszyscy uwielbiają. A ja boję się każdego nowego dnia.

Tzain robi krok w tył, jakbym go uderzyła.

– Myślisz, że nie wiem, co to znaczy budzić się codziennie rano ze strachem, że ten dzień będzie moim ostatnim?

– W takim razie daj Inanowi szansę! Amari jest tylko księżniczką. To nie ona będzie pierwsza w kolejce do władzy, kiedy magia się odrodzi. Jeśli zjednamy sobie następcę tronu, będziemy mieli przyszłego króla Oriszy po naszej stronie.

– Czy ty w ogóle słyszysz, co ty bredzisz? – Tzain rwie sobie włosy z głowy.

– On ma cię gdzieś, Zél. Chce ci się tylko dobrać do majątek!

Policzki mnie palą. Żal miesza się ze wstydem. To nie jest Tzain. To nie jest brat, którego kocham.

– Mówimy o synu człowieka, który zamordował Mameę, na litość bogów!
Jak bardzo trzeba być zdesperowaną?

– A ty wzdychasz do Amari! – wydzieram się. – Myślisz, że jesteś ode mnie lepszy?

– Ona nie jest morderczynią! Nie spaliła naszej wioski!

Powietrze wokół mnie wypełnia się szmerem. Słucham tyrady Tzaina z walącym sercem. Jego słowa głęboko mnie ranią.

– Co by powiedział Baba?

– Nie mieszaj w to Baby...

– Albo Mama?

– Zamknij się! – krzyczę.

Powietrze już nie szmerze, ale huczy. Choć staram się dać odpór najczarniejszej złości, czuję, jak we mnie wzbiera.

– Bogowie, gdyby się dowiedziała, że umarła po to, żebyś mogła zostać ladacznicą księcia...

Moja magia, nieukierunkowana zaklęciem, eksploduje w niekontrolowany sposób. Cień jak włócznia wylatuje z mojego ramienia i mknie do celu z dziką furią zmarłych.

Wszystko dzieje się w mgnieniu oka. Cofam się o krok. Tzain krzyczy.

Chwyta się za ramię.

Spod palców cieknie mu krew.

Patrzę na swoje roztrzęsione dłonie, na snujące się wokół nich czarne smugi śmierci. Po chwili znikają bez śladu.

Ale tego, co zrobiły, nie da się cofnąć.

– Tzain... – Kręcę głową, z oczu leją mi się łzy. – Nie chciałam. Przysięgam. Nie miałam zamiaru!

Tzain patrzy na mnie, jakby mnie nie poznawał. Jakbym zdradziła jego i całą naszą rodzinę.

– Tzain...

Omija mnie z twarzą zaciętą w bólu i nieprzejednaniu.

Tłumiąc szloch, upadam na kolana.

ROZDZIAŁ 56



ZÉLIE

Pozostaję na obrzeżach osady do zachodu słońca. Tu, w lesie, nie muszę się nikomu tłumaczyć. Nie muszę się tłumaczyć sobie.

Wreszcie, nie mogąc dłużej usiedzieć po ciemku, wracam do namiotu, zrywając po drodze Zu i modląc się, by nie wpaść na Tzaina. Jednak Amari na mój widok podbiega z jedwabnym kaftanem.

– Gdzie ty byłaś? – Chwyta mnie za dłoń i ciągnie do swojego namiotu; tam praktycznie rozbiera mnie do naga i naciąga na mnie strój. – Zaraz zaczynamy świętowanie, a jeszcze nawet nie zrobiłam ci włosów!

– Amari, proszę...

– Nie próbuj ze mną dyskutować. – Daje mi klapsa w rękę i zmusza do siedzenia w bezruchu. – Ludzie na ciebie patrzą, Zélie. Musisz wyglądać godnie.

Tzain nic jej nie powiedział...

To jedyne wytłumaczenie. Amari nakłada mi karmin na usta i podkreśla oczy węglem drzewnym, jakby była moją starszą siostrą, a potem każe zrobić sobie to samo. Gdyby знаła prawdę, bałaby się mnie.

– Ale się zrobiły kręcone – mówi, spinając mi loki.

– To chyba przez magię. Moja Mama też miała takie włosy.

– Do twarzy ci w nich. Jeszcze nie skończyłam, a już wyglądasz obłądnie.

Rumienię się. Spoglądam na jedwabny kaftan, w który mnie wpakowała. Fioletowy deseń zdobią żółte i niebieskie zawijasy. Szata lśni jasno na tle mojej ciemnej skóry. Wycięcie na szyję obszyto paciorkami. Wolałabym,

żeby Amari odniosła ubranie właścicielce. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam na sobie taki strój. Z odsłoniętymi nogami czuję się naga.

– Nie podoba ci się? – pyta Amari.

– Nieważne. – Wzdycham. – Mniejsza o to, co mam na sobie. Niech ten wieczór się już skończy.

– Coś się stało? – Bada mnie ostrożnie wzrokiem. – Rano nie mogłaś się doczekać. A teraz słyszę od Zu, że nie chcesz się podzielić pergaminem.

Zaciskam usta w kreskę i gniotę brzeg kaftana. Zasmucona mina Zu wpędziła mnie w inny rodzaj wstydu. Ci wszyscy ludzie widzą we mnie swoją nową przywódczynię, a ja nie potrafię nawet zapanować nad własną magią.

I nie tylko magią...

Wspomnienie konfrontacji z Kwamem wybucha we mnie jak płomień, aż czuję gorący podmuch na skórze. Wmówiłam sobie, że nie mam się czego bać, ale teraz przepełnia mnie strach. Co by się stało, gdyby Zu nie zdołała go powstrzymać? Albo gdyby nie zjawiała się na czas? Mogłoby mnie tu w ogóle nie być.

– To nie jest dobry moment – odzywam się w końcu. – Do solstycjum zostały już tylko cztery dni...

– Tym bardziej powinniśmy jak najszybciej przywrócić tym ibawitom ich moce, prawda? – Amari coraz mocniej szarpie mnie za włosy. – Proszę, Zélie, porozmawiaj ze mną. Chcę zrozumieć.

Obejmuję kolana i zamykam oczy, prawie się uśmiechając w reakcji na jej słowa. Jeszcze nie tak dawno wzdrygała się nerwowo na sam widok magii. Teraz to ona chce o nią walczyć, a ja mam pietra.

Odpycham od siebie wspomnienie twarzy Tzaina, jego spojrzenie zimne jak lód. Widziałam strach w jego oczach. Gdy Kwame dotknął kamienia słonecznego i wybuchnął płomieniami, patrzyłam na niego tak samo.

– Chodzi o Inana? – naciska Amari. – Boisz się, że nas zdradzi?

– Nie, to nie on jest problemem.

W każdym razie nie tym problemem, który Amari ma na myśli.

Amari milknie, wypuszcza moje włosy z rąk i klęka przy mnie.

Z wyprostowanymi plecami i wysoko uniesioną głową, w pożyczonym złotym stroju wygląda jak prawdziwa księżniczka.

– Co się wydarzyło, kiedy byliście sami?

Serce podskakuje mi w piersi, ale odpowiadam z kamienną twarzą:

– Już ci mówiłam. Postanowiliśmy, że razem was odbijemy.

– Zélie, błagam, musisz być ze mną szczerą. Kocham swojego brata, owszem. Ale teraz go nie poznaję. Ukazał mi się z całkiem innej strony.

– Czyli z jakiej?

– Sprzeciwia się naszemu ojcu. Chce walczyć po stronie magów. Zaszła w nim jakaś zmiana i wiem, że to ma związek z tobą.

Patrzy na mnie przenikliwym wzrokiem. Czuję, że rumienię się po uszy. Myślę o jego śnie, o tamtej chwili, kiedy nasze usta prawie się zetknęły.

– Przejrzał na oczy – oznajmiam ze wzruszeniem ramion. – Zrozumiał, że to, co zrobił wasz ojciec i co robią jego żołnierze, jest złe. Chciałby to jakoś naprawić.

Amari krzyżuje ramiona i unosi brew.

– Ty chyba masz mnie za ślepa lub głupią. A wiesz, że nie jestem ślepa.

– Nie wiem, o czym ty mówisz...

– Zélie, on się na ciebie gapi! Uśmiecha się jak... nieba, nie umiem tego nawet opisać. Nigdy do nikogo się tak nie uśmiechał.

Spuszczam wzrok, lecz Amari chwyta mnie za brodę i zmusza, żebym spojrzała jej w oczy.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa, Zél. Bardziej, niż ci się wydaje. Ale znam swojego brata.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Amari przez chwilę milczy. Spina mi kolejny lok.

– Albo zamierza nas zdradzić, albo coś innego wisi w powietrzu.

Wyrywam jej się i wbijam wzrok w podłogę. Poczucie winy przenika mnie na wskroś.

– Gadasz jak Tzain.

– Tzain się martwi i ma powody. Mogę go przekonać, ale najpierw muszę wiedzieć, czy powinnam.

Nie powinnaś.

Odpowiedź nasuwa się sama. Nie mogę jednak zapomnieć, jak Inan niósł mnie na rękach do obozu. Zamykam oczy i oddycham głęboko.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio czułam się tak bezpieczna w czyichś objęciach.

– Kiedy mówiłaś mi, że Inan ma dobre serce, myślałam, że się oszukujesz. Teraz nie wiem, czy sama siebie nie oszukuję, ale... zobaczyłam w nim to serce. Uratował mnie przed wojownikami Zu, robił, co w jego mocy, żeby odbić Tzaina i ciebie. I choć mógł wykraść pergamin i uciec, został, żeby mnie ratować przed Kwamem. – Urywam, szukając w sobie słów, na które Amari czeka, tych, które boję się wypowiedzieć na głos. – On ma dobre serce. I chyba wreszcie zaczyna go słuchać.

Amari kręci młynka palcami. Przyciska dłonie do piersi.

– Amari...

Obejmuje mnie znienacka i mocno przytula. Sztywniej zaskoczona. Nie wiedząc, jak się zachować, nieśmiało odwzajemniam uścisk.

– Wiem, że to ci się wyda idiotyczne, ale... – Amari cofa się i ociera łzy z oczu, zanim pociekną jej po twarzy. – Inan zawsze był rozdarty między dobrem a złem. Bardzo chcę wierzyć, że potrafi wybrać dobro.

Kiwam głową. Myślę o wszystkich rzeczach, za którymi tęsknię. Jestem zła na siebie, że tyle razy o nim dzisiaj myślałam: o ustach, o uśmiechu. Choćbym nie wiem jak się przed tym broniła, tęsknota wciąż powraca. Pragnę znów poczuć jego dotyk...

W oczach Amari nadal zbierają się łzy. Ocieram je rękawem kaftana.

– Przestań! – rozkazuję. – Popsujesz sobie makijaż.

Amari prychna.

– Nie wiem, czy jest co psuć.

– Mówiłam, że nie potrafię!

– Jak to możliwe, że umiesz walczyć metalowym kijem, a kiedy trzymasz kawałek węgla, trzęsie ci się ręka?

Niespodziewanie dla mnie zaczynamy się obie chichrać. Zaraz jednak cichniemy, gdyż do namiotu wpada Tzain. Zatrzymuje się na mój widok.

Z początku patrzy na mnie jak na obcą osobę, lecz po chwili lód w jego sercu topnieje.

– Co się stało? – pyta Amari.

Tzainowi drży broda. Opuszcza wzrok.

– Ona... Zél wygląda jak Mama.

Jego słowa jednocześnie rozdzierają mi serce i przepelniają je ciepłem. Tzain rzadko wspomina Mamę. Czasem odnoszę wrażenie, że całkiem o niej zapomniał. Teraz jednak, patrząc mu w oczy, rozumiem, że ma tak samo jak ja: nosi matkę w sobie jak powietrze, czuje jej obecność w każdym oddechu.

– Tzain...

– Zaczyna się procesja. Pospiesz się – rzuca do Amari i wychodzi, a mnie serce się kraje.

Amari kładzie swoją rękę na mojej.

– Porozmawiam z nim.

– Nie. – Kręcę głową. – Tylko się na ciebie wścieknie.

Poza tym cokolwiek mu powiesz, i tak będę winna.

Wstaję, poprawiam rękawy kaftana, wygładzam nieistniejące zagniecenie. Popełniłam w życiu mnóstwo błędów, żałuję wielu rzeczy. Ale to... dałabym wszystko, żeby móc to cofnąć.

Ruszam do wyjścia z ciężkim sercem, ale robię dobrą minę. Amari zatrzymuje mnie jednak.

– Nie wytłumaczyłaś mi jeszcze, dlaczego nie chcesz podzielić się pergaminem z innymi. – Przygląda mi się bacznie. – Tu jest mnóstwo ibawitów, którzy chcieliby stać się magami. Dlaczego mielibyśmy im tego odmówić?

Słowa Amari są jak siarczysty policzek od Mamy Agby. Jak miecz, który

przeszył Lekana. Oni się poświęcili, żeby dać mi szansę, a ja boję się z niej skorzystać.

Jeszcze dziś rano myślałam, że podzielę się pergaminem, a wtedy wokół zapanują radość i piękno. Że będzie jak przed Obławą. Magowie będą się rządzić sami.

Teraz jednak w każdym uśmiechniętym ibawicie widzę cierpienia, jakie może spowodować. Wyobrażam sobie Ziemiowców usuwających ludziom grunt spod nóg; Żniwiarzy, którzy sieją dookoła śmierć, bo nie panują nad swoją mocą. Tak nagły powrót magii byłby zbyt ryzykowny. Potrzebny jest plan. Jasne zasady. Ktoś musi nad tym czuwać.

A skoro już teraz mnie to przerasta, jakim cudem dopełnię rytuału?

– Amari, to jest skomplikowane. A co, jeśli ktoś straci nad sobą kontrolę? Albo ktoś niepowołany dotknie kamienia słonecznego? Możemy przebudzić Kancera, a wtedy wszyscy umrzemy!

– O czym tym mówisz? – Amari chwyta mnie za ramiona. – Zélie, skąd ci się to wzięło?

Kręcę głową.

– Nie rozumiesz. Nie widziałaś, jaką moc posiadał Kwame. Gdyby Zu go nie powstrzymała... Gdyby taka moc trafiła do dybiarzy albo kogoś takiego jak twój ojciec... – Na samo wspomnienie tamtych płomieni robi mi się sucho w gardle. – Wyobraź sobie, ilu niewinnych ludzi mógłby spalić! – Tama puściła; wyrzucam z siebie wszystkie obawy i zgryzoty dręczące mnie przez cały dzień. – A Tzain... – Słowa grzęzną mi w gardle. Skoro ja nie jestem w stanie zapanować nad własną magią, czego mam się spodziewać po całkiem nieopierzonych magach? – Długo sądziłam, że potrzebujemy magii, żeby przetrwać, ale teraz... sama już nie wiem, co myśleć. Nie mamy planu, nie zdołamy ustanowić i egzekwować reguł. Jeśli tak po prostu przywrócimy magię, ucierpią niewinni ludzie.

Amari długo milczy. Oczy jej łagodnieją, w końcu ciągnie mnie za rękę.

– Amari...

– Chodź.

Wychodzimy z namiotu i na moment staję jak wryta.

Dolina tętni młodzieńczą energią, tonie w czerwonym blasku lamp. W powietrzu unosi się aromat pysznych placków z mięsem i słodkich bananów, przenikają nas dźwięki muzyki i rytmiczne dudnienie bębnów. Wszyscy dookoła tańczą, panuje atmosfera oczekiwania.

Pośrodku tego radosnego zamieszania dostrzegam Inana. Obłądnie przystojny, stoi w granatowej sukni i takich samych spodniach. Na mój widok rozdziawia usta. Serce trzepocze mi się w piersi. Rozpaczliwie odwracam wzrok. Inan się zbliża, lecz Amari wciąga mnie w tłum.

– Prędeż! – woła do niego. – Nie możemy się spóźnić!

Mkniemy przez falującą chmurę ludzi. Choć część mojej duszy ma ochotę się rozplakać, wyciągam szyję i napawam się widokiem tej żywiołowej zabawy.

Dzieci Oriszy tańczą, jakby świat miał się zaraz skończyć; każdym krokiem chwalą bogów. Z ust i serc płyną jorubańskie pieśni o wolności. Łowią uchem słowa mojego języka, który od lat słyszałam tylko we własnej głowie. Powietrze aż skrzy się od zbiorowego entuzjazmu.

Jakby świat po długiej przerwie znów odetchnął.

– Wspaniale wyglądasz! – Zu z uśmiechem na twarzy podziwia mój strój. – Wszyscy chłopcy będą chcieli z tobą zatańczyć. Ale chyba jesteś zajęta.

Podążam oczami za jej palcem i widzę Inana; śledzi mnie wzrokiem jak polujący lworożec. Mam ochotę odwzajemnić to spojrzenie, delektować się rozkosznym uczuciem, które mnie zalewa, gdy tak na mnie spogląda. Zmuszam się jednak do odwrócenia głowy.

Nie mogę jeszcze bardziej zranić Tzaina.

– Mama! Òrìsà Mama! Òrìsà Mama, àwá un dúpè pé egbó igbe wá...

Im bliżej środka, tym głośniejsze rozbrzmiewają śpiewy. Na chwilę przenoszę się z powrotem w góry Ibadanu, gdzie Mama usypiała mnie tą pieśnią. Jej głos brzmiał cicho, lecz bogato, niczym aksamit albo jedwab. Słucham z rozrzewnieniem drobnej dziewczyny o potężnym głosie, która przewodzi reszcie.

– Mama, Mama, Mama...

Wśród niebiańskiej pieśni na środek występuje młoda ibawitka o jasnobrązowej skórze i krótkich białych włosach. W bogatej niebieskiej szacie przypomina Jemōdżę z fresku Lekana, boginię, która wzięła łyżę Niebiańskiej Matki. Dziewczyna z dzbanem wody na głowie kręci się w rytmie muzyki. W kulminacyjnym punkcie pieśni wyrzuca wodę do góry i rozkłada szeroko ramiona, wystawiając je na spadający deszcz.

Tłum wiwatuje, a miejsce dziewczyny pośrodku kręgu zajmuje Folake. Roztańczone paciorki na jej żółtym kaftanie mieniają się w blasku rzucanym przez lampy. Wszystkich wkoło czaruje uśmiechem, a najdłużej Kwamego. Gdy emocje sięgają zenitu, z jej dłoni wystrzeliwiają snopy złotego światła.

– Mama, Mama, Mama...

Do kręgu wchodzi jeden po drugim kolejni ibawici przebrani za dzieci Niebiańskiej Matki. Choć nie potrafią używać magii, wywołują gromki aplauz. Jako ostatnia wychodzi dziewczyna w moim wieku. Jest ubrana w powłóczyście czerwone jedwabie, a na jej skroniach błyszczy stroik naszywany paciorkami. *Oja...* Moje siostrzane bóstwo.

Dziewczyna nie olśniewa blaskiem jak bogini z moich wizji, lecz nie można jej odmówić magicznej aury. Podobnie jak Folake ma długie białe loki, które kręcą się w tańcu, wirują w harmonii z czerwonym jedwabiem szaty. W rękę trzyma irukere, nieodłączny atrybut Oi, pejcz z włosia lworożca. Wywija nim w powietrzu, a śpiew ibawitów narasta.

– Jesteś częścią tego świata, Zélie. – Amari splata swoje palce z moimi. – Nie pozwól nikomu odebrać wam tej magii.

ROZDZIAŁ 57



AMARI

Procesja dobiegła końca, lecz tańce i śpiewy trwają do późna w noc. Przeżuwam kolejny kęs ciasta fasolowego i przyglądam się zabawie. Przechodzący ibawita częstuje mnie kokosanką z dużego półmiska. Jej słodki smak prawie doprowadza mnie do łez.

– No wreszcie.

Oddech Tzaina łaskocze mnie w ucho i przyprawia o miłe ciarki. W końcu zdołał się opędzić od niezliczonych dziewczyn, które przez cały wieczór strzelają do niego oczami.

– Słucham? – odzywam się, przełykając w pośpiechu resztę ciastka.

– Wszędzie cię szukam. Trudno cię znaleźć.

Ocieram okruszki z ust, by zatrzeć ślady swojego łakomstwa. Zjadłam już tyle, że mój dobrze dopasowany kaftan zaczyna się robić przyciasny w biodrach.

– To, że co chwila musisz się przedzierać przez wianuszek dziewczyn, na pewno nie pomaga.

– Wybacz, księżniczko – odpowiada ze śmiechem. – Ale zrozum, że nie tak łatwo jest podejść i zagadać do najładniejszej dziewczyny na imprezie.

Uśmiecha się dobrodusznie, jak tamtego wieczoru, kiedy wrzucił mnie do rzeki, a potem śmiał się, gdy próbowałam wziąć rewanż. Zobaczyłam go wtedy w innym świetle; później tyle się wydarzyło, że nie wiedziałam, kiedy znów ujrzę tamto jego oblicze.

– Co się stało?

– Nic, tylko się zamyśliłam. – Wzruszam ramionami i spoglądam ku morzu tańczących ibawitów. – Martwiłam się o ciebie. Jesteś wielkoduszny, ale znoszenie tortur w namiocie musiało być trudne.

Uśmiecha się.

– Mhm. Na pewno są przyjemniejsze rzeczy, które można robić w namiocie.

Mogę tylko zgadywać, jak rażący jest w tej chwili kontrast między moim złotym strojem a zaczerwienioną twarzą.

– To była chyba moja pierwsza noc sam na sam z chłopakiem.

Tzain parska cicho.

– Czy właśnie tak ją sobie wyobrażałaś?

– Bo ja wiem... – Kładę palec na ustach. – Jakoś nigdy nie myślałam o sznurach i tym podobnych.

Ku mojemu zaskoczeniu Tzain wybucha serdecznym śmiechem. Nigdy przedtem nie śmiał się przy mnie tak głośno. Ten dźwięk napędza mnie dumą. Ostatnią osobą, którą udało mi się tak rozbawić, była chyba Binta. Już mam coś dodać, gdy dobiega nas jakiś chichot.

Obracam głowę i kilka namiotów dalej spostrzegam Zélie. Tańczy na obrzeżach tłumu, w jednej ręce trzyma butelkę wina palmowego, drugą obraca w tańcu małego chłopca. Uśmiecham się, lecz twarz Tzaina pokrywa się cieniem smutku, który widziałam u niego wcześniej w namiocie. Ten smutek znika jednak, gdy w polu widzenia pojawia się Inan. Mój brat wpatruje się w Zélie jak w jedyną czerwoną różę pośród białego ogrodu.

– Widzisz to? – Chwytam Tzaina za rękę i prowadzę go w kierunku kręgu rozentuzjasmowanych ibawitów. Jego palce zaciskają się delikatnie na moich i znów czuję motyle w brzuchu.

Tzain szerokimi ramionami toruje mi drogę w tłumie jak pasterz idący przez stado owiec. Po chwili docieramy na skraj kręgu, w którym tańczy energicznie dziewczyna w kolorowym stroju. Paciorki sukni lśnią w blasku księżyca, podkreślając każdy ruch bioder. Wszystkie krągłości jej ciała kręcą się w takt muzyki, elektryzując widzów.

Tzain popycha mnie lekko do przodu. Chwytam się jego ramienia.

– Co ty wyprawiasz?

– Chcę wreszcie zobaczyć, jak tańczysz – śmieje się.

– Wypiłeś za dużo ogogoro – odpowiadam wesoło.

– A ze mną pójdiesz?

– Nie ma mowy.

– Słowo?

– Tzain, powiedziałałam...

Wybiega na środek. Tancerka spogląda zdziwiona, widzowie robią krok w tył. Przez długą chwilę stoi nieruchomo, z udawaną powagą toczy wzrokiem po ludziach. Dopiero na dźwięk rogów puszcza się zniecka w tany. Miota się wkoło, jakby ktoś mu nasypał mrówek do spodni.

Duszę się ze śmiechu i podpieram o stojącą obok ibawitkę, żeby się nie przewrócić. Każdy jego ruch wywołuje falę aplauzu, a tłum widzów szybko się podwaja.

Gdy Tzain potrząsa ramionami i pada na ziemię, tancerka zaczyna wirować wokół niego. Skóra mi cierpnie, gdy patrzę, jak uwodzicielsko kołysze biodrami. Posyła Tzainowi zalotne spojrzenia, od których robi mi się niedobrze. Ale czy mogę się dziwić? Trudno pozostać obojętną na jego serdeczny uśmiech, potężną sylwetkę...

Twarde dłonie chwytają mnie za nadgarstki. Twarde i duże.

– Tzain, nie!

Ale jego figlarny uśmiech wygrywa z moim strachem. Chwilę później stoję już pośrodku kręgu. Sparaliżowana dziesiątkami utkwionych we mnie oczu. Chcę uciekać, lecz Tzain trzyma mnie mocno. Zaczyna mną kręcić.

– Tzain! – piszczę, lecz przerażenie szybko przeradza się w niepowstrzymany śmiech.

Moje dwie lewe stopy jakimś cudem poruszają się w takt muzyki. Tłum na chwilę znika i widzę tylko Tzaina – jego uśmiech i pogodne brązowe oczy.

Mogłabym tak bez końca śmiać się i obracać w jego bezpiecznych

objęciach.

ROZDZIAŁ 58



INAN

Zélie zawsze była piękna, lecz nigdy tak piękna jak teraz.

W lśniącej fioletowej szacie tańczy z młodym chłopcem, wirująca bogini wśród tłumu. Morska woń jej duszy zagłusza nieprzebrane zapachy świątecznych potraw. Uderza we mnie z całą mocą.

Czuję się, jakby wciągało mnie morze.

Patrząc na nią, łatwo zapomnieć o magach. Ojcu. Monarchii. W tej chwili potrafię myśleć wyłącznie o Zél. Jej uśmiech rozjaśnia świat niczym pełny księżyc w bezgwiezdną noc.

Gdy już nie może się dłużej kręcić, ściska chłopca i całuje go w czoło. Dzieciak piszczy wesoło i ucieka. Lecz na jego miejsce zaraz przychodzi trzech młodych mężczyzn.

– Przepraszam...

– Cześć, jestem Dekka...

– Ślicznie wyglądasz...

Uśmiecham się, widząc, jak próbują oczarować Zélie. Mówią jeden przez drugiego. Nie przerywam im, tylko obejmuję Zélie czule za bok.

– Zatańczysz? – pytam.

Obraca się oburzona i dopiero widząc, że to ja, uśmiecha się z radością. I tęsknotą. Z ledwie dostrzegalną obawą. Przez głowę przemyka jej twarz brata. Przygarniam ją bliżej.

– Wezmę cię gdzieś, gdzie nie będzie nas widział.

Fala gorąca przepływa z jej ciała do mojego. Ściskam ją mocniej.

– Potraktuję to jako zgodę.

Trzymając Zélie za rękę, prowadzę ją z dala od tłumu i spojrzeń zalotników. Kierujemy się w stronę lasu na skraju obozu. Chłodne powietrze przyjemnie orzeźwia. Niesie zapach ognisk, wilgotnej kory i mokrych liści.

– Na pewno nie chcesz porozmawiać z Tzainem?

– Na pewno.

– A co z... oj!

Zélie potyka się i upada. Z ust wyrywa jej się dziewczęcy chichot. Gdy, samemu powstrzymując śmiech, pomagam jej wstać, owiewa mnie słodka woń palmowego wina.

– Nieba, Zélie, jesteś pijana?

– Chciałabym. Nie wiem, kto robił to wino, ale raczej się na tym nie znał. – Chwyta mnie za rękę, a drugą opiera się o drzewo. – To chyba od tego kręcenia się z Salimem.

– Przyniosę ci wody.

Już chcę odejść, lecz Zélie łapie mnie za ramię.

– Zostań. – Jej palce zsuwają się ku moim dłoniom.

Pod jej dotykiem przenika mnie fala ciepła.

– Na pewno?

Kiwa głową i znów chichocze. Jej melodyjny śmiech przyciąga mnie jak magnes.

– Prosiłeś o taniec. – W jej srebrnych oczach błyskają figlarne iskry. – Chcę zatańczyć.

Podchodzę bliżej i znów czuję od niej delikatny zapach wina palmowego. Ujmuję ją za nadgarstek. Zélie zamyka oczy i bierze wdech. Wpija się palcami w korę drzewa.

W jednej chwili każda komórka mojego ciała wypełnia się pożądaniem. Nigdy w życiu nie czułem czegoś tak gwałtownego. Ostatkiem woli powstrzymuję się, żeby jej nie pocałować; żeby nie przycisnąć jej do drzewa, nie przesunąć dłonią po jej zmysłowych kształtach.

Gdy otwiera oczy, nachylam się i muskam wargami jej ucho.

– Jeżeli mamy zatańczyć, musisz się zacząć ruszać, moja mała Zél.

Zélie sztywnieje.

– Nie mów tak na mnie.

– Ty możesz mnie nazywać małym księciem, a ja nie mogę ciebie małą Zél?

Opuszcza ręce i odwraca twarz.

– Mama tak na mnie mówiła.

Nieba.

Puszczam ją. Mam ochotę walnąć głową w pień.

– Zél, przepraszam. Ja nie...

– Wiem.

Patrzy w ziemię. Jej figlarny nastrój tonie w morzu smutku. Po chwili jednak ogarnia ją przemożny strach.

– Wszystko w porządku? – pytam.

Przywiera do mnie znienacka, wtula głowę w moją pierś. Jej strach wnika we mnie. Owija mi się wokół gardła. Zzera ją jak tamtego dnia w lesie. Tylko że teraz nie przeraża jej monarchia, lecz cienie śmierci ukryte w jej własnych dłoniach.

Otoczam ją ramionami i ściskam. Ileż bym dał, żeby uwolnić ją od tego strachu. Stoimy tak przez długą chwilę, zatopieni w objęciach.

– Pachniesz morzem.

Zélie podnosi wzrok.

– Twój duch – uściślam. – Od początku tak pachnie.

Przygląda mi się z nieodgadnionym wyrazem. Nie próbuję jakoś usilnie go rozszyfrować. Wystarczy mi, że mogę utonąć w jej oczach. Istnieć tylko w jej srebrnym spojrzeniu.

Odgarniam jej luźny kosmyk za ucho. Znow wtula się we mnie twarzą.

– Straciłam dzisiaj panowanie nad sobą – mówi łamiącym się głosem. – Zraniłam Tzaina.

Otwieram swój umysł trochę szerzej, a wspomnienie Zélie wlewa się do niego jak rozpędzona morska fala.

Czuję to wszystko w sobie, zjadliwe słowa Tzaina, taniec wściekłych cieni. Wyrzuty sumienia, wstyd i nienawiść do siebie.

Przytulam ją mocniej, a gdy Zélie odwzajemnia uścisk, ogarnia mnie fala ciepła.

– Ja też kiedyś straciłem panowanie.

– Komuś stała się krzywda?

– Ktoś zginął – mówię cicho. – Ktoś, kogo kochałem.

Cofa się i patrzy na mnie ze łzami w oczach.

– I dlatego tak się boisz swojej magii?

Kiwam twierdząco głową. Wina za śmierć Kei przeszywa mnie bólem, jakby ktoś obrócił mi nóż w ranie.

Zélie znów kładzie głowę na mojej piersi i wzdycha ciężko.

– Nie wiem, co zrobić.

– Z czym?

– Z magią.

Otwieram szeroko oczy. Sądziłem, że akurat w tej sprawie Zélie nie będzie miała wątpliwości.

– Właśnie tego chciałam. – Wskazuje gestem roztańczony obóz. – O to walczyłam. Ale kiedy myślę o tym, co się stało... – Urywa porażona obrazem krwawiącego ramienia Tzaina. – To dobrzy ludzie. Mają czyste serca. Ale co się stanie, jeśli przywrócę magię i ktoś niepowołany spróbuje przejąć nad nią kontrolę?

Znam ten strach aż zbyt dobrze, tym razem jednak odczuwam go słabiej. Nawet kiedy myślę o płomieniach Kwamego, pierwsze, co przychodzi mi do głowy, to jak szybko zgasły, kiedy Zulajcha wydała mu rozkaz.

Zélie otwiera usta, by coś jeszcze powiedzieć, ale słowa więzną jej w gardle. Przyglądam się jej pełnym wargom. Trochę za długo. Zagryza je i wzdycha:

– To takie niesprawiedliwe.

Patrzę jej w oczy i aż nie mogę uwierzyć, że to się dzieje na jawie. Ile razy marzyłem o tym, żeby ją objąć? I żeby ona objęła mnie?

– Ty możesz sobie myszkować w mojej głowie, a ja nigdy nie wiem, co się dzieje w twojej.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– Oczywiście, że chcę wiedzieć! Masz pojęcie, jakie to uczucie, kiedy nie ma się żadnej kon...

Przypieram ją do pnia. Przywieram ustami do jej szyi. Wzdycha cicho, gdy moje dłonie wędrują w górę jej pleców.

– Oto co się dzieje w mojej głowie – szepczę, muskając ustami jej skórę. – O tym bez przerwy myślę.

– Inan – szepcze Zélie bez tchu. Wpija mi palce w plecy, przyciąga do siebie.

Pragnę tego całym sobą. Pragnę jej. Teraz i zawsze.

I nagle wszystko staje się jasne. Wszystko nabiera sensu.

Nie musimy obawiać się magii.

Potrzebujemy tylko siebie nawzajem.

ROZDZIAŁ 59



ZÉLIE

Nie wolno ci.

Nie wolno.

Nie wolno.

Choćbym nie wiem ile razy powtarzała sobie ten zakaz, moje pragnienie wyrywa mi się jak wierzchacz, który poniósł.

Tzain nas zabije, jak się dowie. Ale mimo tej trzeźwiącej myśli wpijam palce w plecy Inana. Przyciskam go do siebie. Czuję twarde kontury jego ciała. Chcę poczuć jeszcze więcej. Chcę poczuć j e g o.

– Wróć ze mną do Lagos.

Otwieram oczy. Nie wiem, czy się nie przestyszałam.

– Co?

– Jeśli chcesz być wolna, wróć ze mną do Lagos.

To jak skok do zimnego jeziora w Ibadanie. Szok termiczny wyrywa mnie z sielskiej fantazji – ze świata, w którym Inan jest tylko chłopcem w ładnym kaftanie; magiem, a nie księciem.

– Obiecałeś, że nie będziesz mi stawał na drodze...

– I dotrzymam słowa – przerywa mi natychmiast. – Ale tu nie o to chodzi, Zélie.

Moje serce obrasta murem. Wiem, że on to wyczuwa. Cofa się, przenosi dłonie z moich pleców na policzki.

– Kiedy magia się odrodzi, arystokracja zrobi wszystko, żeby cię powstrzymać. Będą kolejne Obławy. Ta wojna się nie skończy, dopóki nie

wymrze całe pokolenie Oriszan.

Odwracam wzrok, lecz w głębi duszy wiem, że to prawda. Właśnie dlatego nie mogę się uwolnić od strachu, nie potrafię w pełni się cieszyć. Zu stworzyła tu mały raj, lecz kiedy magia powróci, sen pryśnie. Magia nie zapewni nam pokoju.

Pozwoli nam tylko na nowo podjąć walkę.

– A co by to miało dać, że pojedę z tobą do Lagos? – pytam. – Twój ojciec wyznaczył nagrodę za schwytanie mnie!

Inan kręci głową.

– Mój ojciec się boi. Obrął złą drogę, ale jego strach nie jest całkiem bezpodstawny. Monarchia postrzega magów głównie przez pryzmat zniszczenia, do jakiego są zdolni. Ludzie na królewskim dworze nigdy nie widzieli czegoś takiego. – Inan wskazuje gestem obóz. Z uśmiechniętej twarzy dosłownie bije blask nadziei. – Zulaicha zbudowała to w miesiąc. W Lagos już teraz jest więcej ibawitów niż gdziekolwiek indziej w Oriszy. Wyobraź sobie, czego moglibyśmy dokonać przy wsparciu monarchii.

– Inan... – Zaczynam się wzbraniać, lecz on odgarnia mi kosmyk za ucho i głaszcze mnie kciukiem po szyi.

– Gdyby mój ojciec to zobaczył... Gdyby zobaczył ciebie...

Jego dotyk sprawia, że wszystko we mnie drży, a niepokój cichnie. Nachylam głowę, spragniona jeszcze większej bliskości.

– Zobacz to, co ty mi pokazałaś – mówi dalej Inan. – Że dzisiejsi magowie nie są tymi, z którymi walczył. Jeśli zbudujemy taką kolonię w Lagos, przekona się, że nie ma się czego bać.

– Ta osada istnieje tylko dlatego, że nikt o niej nie wie. Twój ojciec nie pozwoliłby magom gromadzić się w jednym miejscu. Chyba że mówimy o magach skutych łańcuchami.

– Nie będzie miał innego wyjścia. – Inan ściska mnie mocniej, w jego oczach pierwszy raz dostrzegam iskrę buntu. – Kiedy magia powróci, nie będzie mógł jej wam odebrać. Nawet jeśli nie od razu się ze mną zgodzi, z czasem zrozumie. Wreszcie mamy szansę zjednoczyć nasz kraj. Amari i ja

staniemy na czele tych zmian. Ale potrzebujemy twojej pomocy.

Budzi się we mnie płomyk nadziei, który powinnam prędko zgasić. Wizja Inana zaczyna mi się krystalizować w głowie: budynki wznoszone przez Ziemiowców, lekcje Mamy Agby dla nas wszystkich. Baba nie musiałby się już przejmować podatkami. Tzain mógłby przez resztę życia grać w ag...

Lecz nie kończę tej myśli, gdyż poczucie winy uderza mnie jak obuchem. Krew na rękawie brata studzi mój zapal.

– To by się nie udało – szepczę. – Magia dalej byłaby zbyt niebezpieczna. Ucierpieliby niewinni ludzie.

Inan się odsuwa.

– Kilka dni temu powiedziałbym to samo. Ale dziś rano udowodniłaś mi, że się mylę. Uzmysłowiłem sobie, że mogę nauczyć się panować nad swoją magią. Gdybyśmy uczyli tego magów w specjalnych koloniach, po przeszkoleniu mogliby wracać do Oriszy. – Oczy mu się zapalają, mówi coraz szybciej, połykając głoski. – Zélie, wyobraź sobie, jak mogłaby wyglądać Orisza. Uzdrowiciele tacy jak Zu lecziliby choroby. Ziemiowcy wspólnie ze Spajaczami sprawiliby, że praca niewolników stałaby się niepotrzebna. Nieba, pomyśl, jaką mielibyśmy armię, gdyby walczyli w niej twoi ożywieńcy.

Przywiera czołem do mojego. Gdy jest tak blisko, nie umiem myśleć trzeźwo.

– To będzie nowa Orisza – mówi już spokojniej. – Nasza Orisza. Żadnych bitew. Żadnych wojen. Tylko pokój i harmonia.

Harmonia...

Zapomniałam już o istnieniu tego słowa. Harmonii doświadczam tylko w jego śnie. Tylko w jego ramionach.

Przez chwilę puszczam wodze fantazji i wyobrażam sobie koniec naszej walki. Nie za sprawą mieczy i rewolucji, ale właśnie dzięki nastaniu zgody i harmonii.

Dzięki Inanowi.

– Mówisz poważnie?

– Więcej niż poważnie, Zél. Chcę dotrzymać wszystkich obietnic, ale nie

zrobię tego sam. Ty też niewiele zdziałasz samą magią. Ale razem... – Na jego ustach rozkwita rozkoszny uśmiech. – Razem będziemy nie do zatrzymania. Jedyne taki duet w historii Oriszy.

Patrzę mu przez ramię na bawiących się ibawitów i dostrzegam chłopczyka, z którym tańczyłam. Salim kręci tyle piruetów, że w końcu przewraca się na trawę.

Inan odejmuje mi dłoń od policzka i wplata ją w moje palce; gdy mnie przytula, jego ciepło okrywa mnie jak koc.

– Wiem, że to jest nam przeznaczone. – Zniża głos do szeptu. – Myślę, że jesteście sobie przeznaczeni.

Kręci mi się w głowie. Sama już nie wiem, czy od jego słów, czy od alkoholu. Tak czy inaczej, wiem, że ma rację. Tylko w ten sposób możemy zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. Tylko taka decyzja może położyć kres tej wojnie.

– Dobrze.

Inan bada mnie wzrokiem pełnym nadziei.

– Naprawdę?

Kiwam głową.

– Będziemy musieli jeszcze przekonać Tzaina i Amari, ale jeśli mówisz poważnie...

– Zél, nigdy nie mówiłem poważnie.

– Moja rodzina będzie musiała przenieść się do Lagos razem ze mną.

– Oczywiście, że tak.

– I odbudujesz Ilorin...

– To będzie pierwsze zadanie dla Ziemiowców i Falunów!

Nie czekając na kolejne obiekcje z mojej strony, Inan obejmuje mnie i zaczyna się ze mną obracać. Uśmiecha się szeroko i ja też się uśmiecham. Gdy mnie odstawia, jeszcze przez chwilę kręci mi się w głowie.

– Chyba nie powinniśmy decydować o przyszłości Oriszy, wygłupiając się w środku lasu.

Przyznaje mi cicho rację, kładzie ręce na moich biodrach i przesuwa je coraz wyżej, aż do twarzy.

– Tego też chyba nie powinniśmy robić.

– Inan...

Chcę powiedzieć, że nie możemy, że świeżo naostrzona siekiera Tzaina leży kilka namiotów stąd, lecz Inan nie daje mi szansy. Przywiera ustami do moich i wszystko znika. Jego pocałunek jest zarazem czuły i zdecydowany, wdziera się we mnie delikatnie. A jego usta są... miękkie.

Nie sądziłam, że usta mogą być tak miękkie.

Zapalają wszystkie komórki w moim ciele, przyprowadzają mnie o gorący dreszcz. Gdy w końcu je odrywa, serce bije mi tak szybko, jakbym właśnie skończyła walczyć. Inan bez pośpiechu otwiera oczy, a po jego twarzy rozlewa się rozkoszny uśmiech.

– Przepraszam. – Dotyka kciukiem mojej wargi. – Chcesz wracać?

Tak.

Wiem, co powinnam zrobić. Ale teraz, gdy skosztowałam jego ust, puszczają we mnie wszystkie hamulce.

Inan robi okrągłe oczy, kiedy chwytam go za głowę i przyciągam z powrotem.

Jutro będę rozważna.

Dziś muszę go mieć.

ROZDZIAŁ 60



AMARI

Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak się śmiałam. Tzain kręci mną i kręci. Pochyla się, by znów mnie podnieść, lecz nagle zamiera w bezruchu. Szeroki uśmiech spływa z jego twarzy razem z potem. Podążam za jego wzrokiem i spostrzegam w oddali Inana, który trzyma w dłoniach twarz Zélie – i ją całuje.

Nieba!

Zachłystuję się z wrażenia. Czułam, że między nimi coś się tli, ale nie sądziłam, że tak prędko wybuchnie. A to, jak Inan ją całuje, to, jak ją przyciska do siebie, rodzi w mojej głowie kolejne pytania.

Odwracam się z rumieńcem na policzkach; to zbyt intymne, żeby się temu przyglądać. Jednak Tzain najwyraźniej nie ma z tym problemu. Przeciwnie, z każdą sekundą wpatruje się w nich coraz intensywniej. Widzę, jak napinają mu się wszystkie mięśnie, a wyprane z wszelkiej wesołości spojrzenie twardnieje.

– Tzain...

Omija mnie ze wściekłością w oczach.

– Tzain!

Zachowuje się, jakby w ogóle mnie nie widział, jakby liczyło się dla niego tylko jedno: udusić mojego brata.

I wtedy Zélie chwyta Inana i sama przyciąga jego usta do swoich.

Tzain zatrzymuje się w pół kroku. Zachwiał się jak od ciosu. Potem nagle coś w nim pęka, jak patyk w zaciśniętej pięści.

Mija mnie i zanurza się w tłum ibawitów. Ledwie dotrzymuję mu kroku. Tzain wpada do swojego namiotu, obchodzi Najlę i sakwę Zélie, po czym chwyta za swoją siekierę.

– Tzain, nie! – krzyczę, lecz jakby w ogóle nie słyszał.

Pakuje ją do plecaka, następnie płaszcz, jedzenie... wszystkie swoje rzeczy?

– Co ty robisz?

Nie zwraca na mnie uwagi. Wpycha swoje ubrania z taką złością, jakby to one pocałowały jego siostrę. Wyciągam do niego rękę, ale wyslizguje mi się spod niej.

– Tzain...

– Co? – krzyczy, aż podskakuję przestraszona. Wzdycha głęboko. – Przepraszam. Po prostu nie mogę dłużej. To koniec.

– Koniec? Co masz na myśli?

Tzain narzuca plecak i ciasno ściąga paski.

– Nic tu po mnie. Możesz iść ze mną, jeśli chcesz.

– Co takiego?

Nie odpowiada, tylko wychodzi w rześką noc, zostawiając mnie samą.

– Tzain!

Biegnę za nim, ale nie reaguje na moje wołania. Przewala się przez obóz jak burza, roztrącając wszystko na swej drodze. Po chwili zanurza się w dzikiej trawie i szumie rzeki Gombe. Udaje mi się go dopędzić dopiero w następnej dolinie.

– Tzain, proszę cię!

Zatrzymuje się w końcu, ale nogi ma niespokojne, jakby w każdej chwili mogły ponieść go dalej.

– Możesz trochę zwolnić? – błagam. – Daj sobie na wstrzymanie, co? Wiem, że nie znosisz Inana, ale...

– Mam gdzieś Inana. Niech wszyscy robią, co im się podoba, i dadzą mi święty spokój.

Serce we mnie zamiera na dźwięk tych lodowatych słów. Podchodzę bliżej

na drżących nogach.

– Jesteś zły. Rozumiem to, ale...

– Zły? – Tzain mruży oczy. – Amari, jestem zmęczony. Mam dość walki o przeżycie, dość płacenia za cudze błędy. Stawania na głowie, żeby nie spotkało jej nic złego, skoro ona tego nie docenia! – Kuli się.

Po raz pierwszy, odkąd go poznałam, wydaje mi się mały. Serce mi się kraje, gdy widzę go w takim stanie.

– Wciąż się łudzę, że kiedyś dorośnie, ale dlaczego właściwie miałyby dorosnąć, skoro zawsze może liczyć na moją pomoc? Po co ma się zmieniać, skoro może poczekać, aż posprzątam za nią cały bałagan, którego narobiła?

Podchodzę bliżej i chwytam go za dłonie, splatam swoje palce z jego.

– Wiem, że trudno ci zrozumieć to, co ich łączy... ale daję ci słowo, że mój brat w głębi duszy jest dobry. Zélie go nienawdziła. Skoro teraz stał się dla niej kimś ważnym, to musi coś znaczyć.

– To znaczy to samo, co zawsze. – Tzain mi się wyślizguje. – Zélie robi coś głupiego i prędzej czy później będzie tego gorzko żałować. Ja nie mam ochoty stać i patrzeć, kiedy to się stanie – dodaje łamiącym się głosem. – W ogóle niepotrzebnie się w to wpakowałem.

Tzain znów odchodzi, a we mnie coś pęka. To nie jest ten chłopak, którego znam. Ten, którego...

Pokochałam?

To słowo samo przyszło mi na myśl, ale szybko je odrzucam. Moje uczucie do Tzaina nie jest tak silne, tak intensywne jak miłość. Nie może takie być. A mimo to...

– Nigdy się od niej nie odwracasz! – wołam za nim. – Nigdy. Nawet gdy tracisz przez nią wszystko. Nawet wtedy jesteś gotów jej pomóc.

Jak Binta. Figlarny uśmiech przyjaciółki staje mi na chwilę przed oczyma, rozjaśniając zimną noc. Tzain kocha tak jak ona: mocno i bezwarunkowo – nawet kiedy nie powinien.

– Dlaczego właśnie teraz? – ciągnę. – Po tym wszystkim, co się wydarzyło?

Tzain odwraca się gwałtownie.

– Bo twój brat zniszczył nam dom! – krzyczy, aż na szyi występuje mu żyła.
– Ludzie się potopili. Zginęły dzieci. W imię czego? Ten potwór od tygodni próbuje nas zabić, a teraz ona chce mu wybaczyć? – Tzain urywa, jego pięści na przemian zwierają się i rozwierają. – Mogę ją ochronić przed wieloma niebezpieczeństwami, ale jeśli będzie tak głupia, tak lekkomyślna... przypłaci to życiem. Nie chcę przy tym być. – To rzekłszy, odwraca się, poprawia sobie plecak i odchodzi w mrok.

– Poczekaj! – wołam, lecz tym razem nie zwalnia.

Z każdym jego krokiem moje serce bije mocniej. On naprawdę nie żartuje. Naprawdę odchodzi.

– Tzain, proszę cię...

Dźwięk rogu rozdziera noc.

Oboje zamieramy. Po chwili odzywają się kolejne, zagłuszając obozowe bębny.

Odwracam się i serce mi staje. W oddali na licznych zbrojach połyskuje znienawidzona przeze mnie królewska pieczęć. Oczy śnieżnych lampartusów zdają się błyskać w ciemnościach.

Żołnierze ojca.

ROZDZIAŁ 61



ZÉLIE

Gdy ręce Inana zsuwają się na moje uda, biorę gwałtowny wdech. Moje ciało eksploduje pod jego dotykiem, tak że nie mogę się skupić nawet na pocałunku. Ale choć usta mi głupieją, Inan nie waha się ani chwili. Jego elektryzujące pocałunki przenoszą się niżej, na szyję. Zapierają mi dech w piersi.

– Inan...

Czerwienię się, ale nie próbuję ukrywać, jak na mnie działa jego palący dotyk. On i tak wie. Skoro moje emocje zalewają go jak tsunami, również moje pragnienia nie są dla niego żadną tajemnicą. Wie, że gdy jego ręce błędzą, moje ciało jest w siódmym niebie...

Inan dotyka czołem mojego czoła i obejmuje mnie w pasie.

– Wierz mi, Zél, że to, co ja robię tobie, jest niczym w porównaniu z tym, co ty robisz mnie.

Serce trzepocze mi w piersi. Inan znów mnie przyciąga i zamykam oczy. Nachyla się, by mnie pocałować...

Lecz nagle rozlega się donośny odgłos rogu. Zaraz potem dolatuje nas huk.

– Co to było? – pytam.

Kolejny huk. Odskakujemy od siebie.

– Co się dzieje?

– Zél, chodź...

Wyrywam mu się i biegnę na skraj polany, na której odbywa się zabawa. Muzyka ucichła, wszyscy nasłuchują. W tłumie wybucha cicha histeria,

wzbiera fala gorączkowych pytań. W końcu jednak źródło hałasu samo się ukazuje.

Legion królewskich strażników wdziera się do obozu przez rozwaloną bramę i wchodzi na wzniesienie z widokiem na dolinę. Czerwone płomienie pochodni rozjaśniają czarne niebo.

Niektórzy żołnierze naciągają strzały, inni obnażają ostrza mieczy. Najstraszniejsi wstrzymują sforę dzikich panterozców: drapieżne bestie groźnie warczą, gryzą kielzna i toczą ślinę.

Inan mnie dogania. Na widok wojska przystaje, krew odplywa mu z twarzy. Łapie mnie za rękę i wplata swoje palce między moje.

Dowódca straży wychodzi przed szereg. Od swoich podkomendnych odróżnia się złotymi żłobieniami w zbroi. Unosi tubę do ust, żebyśmy dobrze go słyszeli.

– To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie! – grzmi wśród ciszy. – Jeśli nie zrobicie, co wam każę, użyjemy siły. Oddajcie pergamin i dziewczynę, a nikomu nie stanie się krzywda.

Zdezorientowani ibawici zaczynają szeptać między sobą, strach rozchodzi się po tłumie jak wirus. Kilka osób próbuje uciekać. Słyszą płacz dziecka.

– Zél, nie możemy tu zostać – powtarza Inan, znów chwytając mnie za ramię.

Ale nie czuję nóg. Nie potrafię nawet wydobyć z siebie głosu.

– Daję wam ostatnią szansę! – krzyczy dowódca. – Oddajcie nam to, po co przyszliśmy, albo sami sobie weźmiemy!

Przez chwilę nie ma żadnej reakcji.

Potem w tłumie następuje jakieś poruszenie.

Ludzie zaczynają się rozstępować. Robią komuś przejście. Drobnej postaci z grzywą białych włosów.

– Zu – szepczę. Muszę się powstrzymać, żeby nie podbiec do niej i nie wepchnąć jej z powrotem w tłum.

Kroczy dumnie, z uniesionym czołem, dojrzała nad swój wiek. Szmaragdowy kaftan powiewa na wietrze, migocze na tle brązowej skóry.

Choć ma zaledwie trzynaście lat, żołnierze króla szykują się do walki. Łucznicy napinają cięciwy, jeźdźcy poprawiają cugle w dłoniach.

– Nie wiem, o jakiej dziewczynie mówicie – zaczyna Zu, a wiatr niesie jej głos. – I mogę was zapewnić, że nie mamy pergaminu. To pokojowe święto. Zebraliśmy się tutaj, by czcić naszą tradycję.

W ogłuszającej ciszy, która zapada po tych słowach, zaczynają mi się trząść ręce.

– Proszę... – Zu robi krok naprzód.

– Stój! – odpowiada dowódca, wyciągając miecz.

– Przeszukajcie nasz obóz, jeśli musicie – mówi Zu. – Ale proszę, odłóżcie broń. – Unosi ręce w geście kapitulacji. – Nie chcę, żeby komuś stała się...

Wszystko dzieje się bardzo szybko. Zbyt szybko.

W jednej sekundzie Zu stoi.

W następnej strzała przeszywa jej brzuch.

– Zu! – krzyczę.

Ale mój głos nie przypomina mojego głosu.

W ogóle go nie słyszę. Nic nie czuję.

Patrzę bez tchu, jak Zu spogląda w dół i chwyta drzewce małymi dłońmi.

Młoda dziewczyna o uśmiechu, który nie mieści się na jej twarzy, szarpie strzałę, przebita nienawiścią Oriszy.

Męcząc się i trzęsąc, robi krok do przodu. Nie do tyłu, pod naszą ochronę.

Do przodu, żeby nas chronić.

Nie...

Łzy mącą mi wzrok, spływają po twarzy. Dziecko. Uzdrowicielka.

Ostatnie chwile jej życia – skażone cieniem nienawiści.

Krew rozchodzi się po jedwabnym kaftanie. Szmaragd ciemnieje na czerwono.

Nogi się pod nią uginają i upada.

– Zu! – Biegnę, choć wiem, że nie można jej uratować.

I wtedy świat dookoła mnie wybucha.

Rozpoczyna się natarcie. Fruną strzały, błyskają miecze.

– Zél, chodź! – Inan chwytając mnie za ramię i odciąga.

Lecz w tej samej chwili w mojej głowie pojawia się jedna myśl.
O bogowie.

Tzain.

Nie oglądając się na Inana, ruszam ponownie w stronę doliny. Pędzę ile sił, potykając się. Noc rozbrzmiewa okrzykami trwogi. Ibawici rozbiegają się we wszystkich kierunkach.

Na próżno staramy się uciec przed gradem strzał. Ibawici jeden po drugim padają na ziemię. Lecz po chwili nawet zagrożenie ze strony łuczników schodzi na dalszy plan. Strażnicy wypuszczają panterożce, a żądne krwi bestie ochoczo zatapiają kły w ciałach ibawitów. Żołnierze z mieczami także nie mają litości, tną wszystkich na swej drodze.

– Tzain! – Mój głos dołącza do chóru okrzyków.

Nie mogę pozwolić, by mój brat podzielił los Mamy. Byśmy zostali z Babą sami.

Lecz im dalej biegnę, tym więcej piętury się ciał, tym więcej duchów znika w ziemi razem z krwią. Gdzieś w tłumie odzywa się przenikliwy krzyk Salima.

– Salim! – wołam i ruszam w stronę uroczego chłopca, z którym jeszcze niedawno kręciłam się w tańcu.

Równocześnie podjeżdża do niego strażnik na wściekłym panterożcu. Salim unosi ręce do góry.

Nie ma magii. Nie ma nic. Jest całkiem bezbronny.

Lecz strażnika to nie obchodzi.

Miecz opada ze świstem.

– Nie!

Gdy ostrze rozdziera drobne ciało chłopca, wszystko się we mnie przewraca.

Umarł, nim zdążył upaść na ziemię.

Spojrzenie martwych oczu ścina mi krew. Przenika mrozem do szpiku kości.

Nie wygramy z nimi. Nie przetrwamy. Od początku byliśmy bez sza...

Nagle doznaję potężnego uczucia, które przenika mnie do głębi mojej istoty, pobudza magię w moich żyłach i wyciska mi powietrze z płuc.

Kwame trąca mnie i biegnie dalej, w sam środek bitwy. W rękę ściska sztylet.

Po chwili rozcina sobie nim dłoni.

Magia krwi.

Ogarnia mnie groza.

Czas jakby zwolnił, wydłużając ostatnie sekundy życia Kwamego. Świecące białym światłem krople jego krwi odbijają się od ziemi.

Momentalnie otacza go żółtawy blask, jakby w jego ciemną skórę wstąpił sam bóg.

Światło dosięga czubka głowy, przypieczętowując los Kwamego.

Jego ciało wybucha ogromnym płomieniem.

Kawałki żaru spadają wkoło jak deszcz. Ogień spowija całą jego postać, strzela z rąk i nóg, zięje z ust. Wzbija się wysoko, rozświetlając pole bitwy. Strażnicy stają jak wryci – a Kwame rusza do ataku.

Wyrzucając pięści do przodu, posyła tam strumienie ognia, który trawi wszystko na swej drodze, zabija strażników, niszczy obóz.

Swąd palonego mięsa miesza się w powietrzu z zapachem krwi.

Śmierć przychodzi tak szybko, że królewscy żołnierze nie mają nawet czasu krzyknąć.

– Argh! – Śmiertelne wycie Kwamego wzbija się ponad cały bitewny zgiełk. Dzika i nieprzejeđnana magia krwi rozdziera mu wnętrznosci.

Żaden mag nie zdołałby o własnych siłach wyczarować takiego ognia. Kwame płonie mocą bogów, lecz ta moc spala go żywcem.

Jego ciemna twarz robi się intensywnie czerwona, napęczniałe żyły wychodzą na wierzch. Pokryta pęcherzami skóra zaczyna obłazić, odsłaniając

pręgi mięśni oraz białe kości. Kwame tego nie wytrzyma.

Magia krwi zjada go żywcem, lecz chłopak walczy do samego końca.

– Kwame! – Folake woła przeraźliwie z oddali.

Jakiś potężnie zbudowany ibawita odciąga ją, nie pozwalając, by skoczyła w szalejący ogień.

Z gardła Kwamego bucha wir płomieni. Strażnicy cofają się coraz dalej. Choć zostały mu już tylko sekundy życia, powstrzymuje napór żołnierzy. Ibawici korzystają z okazji, rozpierzchają się na wszystkie strony, przedzierają się przez płonący mur, zostawiając ponure zgliszcza za sobą.

Uciekają przed bezsensowną przemocą straży.

Dzięki Kwamemu, dzięki jego magii, przeżyją.

Patrząc na pożogę, mam wrażenie, jakby cały świat zatrzymał się w miejscu. Krzyki i wrzaski głuchną. Nie ma śladu po naszym święcie. Przed oczami przesuwają mi się obietnice Inana o wspólnej Oriszy. Umowa, z której – mimo najlepszych chęci – nie będzie mu dane się wywiązać.

Nigdy nie będziemy się cieszyć pokojem.

Wracają do mnie słowa Baby.

Dopóki nie mamy magii, dopóty nie będą nas szanować. Muszą poczuć, że nie mogą atakować nas bezkarnie. Jeżeli będą palić nasze domy, my im odplacimy tym samym.

Kwame wydaje ostatni krzyk i wybucha niczym umierająca gwiazda. Ogień eksploduje na wszystkie strony, a w miejscu, w którym stał Kwame, zostaje tylko popiół.

Serce mi pęka. Nie mogę uwierzyć, że wątpiłam w prawdę słów Baby. Oni nigdy nie pozwolą nam żyć normalnie.

Zawsze będziemy się bać.

Naszą jedyną nadzieją jest walka.

Walka i zwycięstwo.

A do zwycięstwa potrzebujemy magii.

Potrzebuję pergaminu.

– Zélie!

Podrywam głowę. Nie wiem, jak długo stałam nieruchomo. Wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, jakby świat ugiął się pod ciężarem ofiary Kwamego, pod moim bólem i poczuciem winy.

Z daleka na grzbiecie Najli nadjeżdżają Tzain i Amari. Tzain kieruje wierzchacza w moją stronę. Amari tuli przy sobie moją sakwę.

Lecz wołając mnie po imieniu, Tzain niechcący zwraca uwagę strażników.

– Dziewczyna! – krzyczą do siebie. – Dziewczyna! Tam jest!

Chwilę później chwytają mnie za ramiona.

Za barki.

Za gardło.

ROZDZIAŁ 62



AMARI

Wschód słońca w dolinie witam szlochem. Promienie oświetlają spaloną polanę, na której odbywała się procesja, czarne zgliszcza w miejscu, które jeszcze niedawno tętniło radością.

Patrzę na osmoloną ziemię, na której tańczyłam z Tzainem, przypominam sobie, jak mną kręcił, słyszę jego śmiech.

Została tylko krew. Martwe ciała. Popiół.

Zamykam oczy i zakrywam twarz ręką, jakbym mogła się w ten sposób uwolnić od straszego widoku. Choć jest cicho, w uszach wciąż dźwięczą mi krzyki ibawitów. A zaraz potem – okrzyki żołnierzy, szczęk mieczy, którymi mordowano niewinnych ludzi. Nie mogę patrzeć na to pobojuwisko, ale Tzain toczy po nim wzrokiem, szukając wśród zabitych twarzy Zélie.

– Nie widzę jej.

Mówi prawie szeptem, jak gdyby się bał, że jeśli odezwie się głośniejszym głosem, wszystko w nim eksploduje: gniew, ból, rozpacz utraty kolejnej bliskiej osoby.

Moje myśli kierują się w stronę Inana: jego obietnic, a być może kłamstw. Choć nie potrafię się zmusić do poszukiwań, wiem, że mojego brata nie ma wśród rozrzuconych na polanie trupów.

Czuję to głęboko w sobie.

Nie chcę myśleć, że to wszystko jego sprawka, lecz sama już nie wiem, co sądzić. Jeśli nas nie zdradził, jakim cudem strażnicy znaleźli obóz? I gdzie mój brat się podział?

Zza pleców dobiega mnie ciche skomlenie Najli. Głaszczę ją po pysku, tak

jak to wiele razy robiła Zélie. Trąca mnie czule nosem, a ja czuję, jak rośnie mi gula w gardle.

– Chyba ją zabrali – mówię jak najdelikatniej. – Domyślam się, że taki rozkaz wydałby mój ojciec. Jest zbyt ważna, by mogli ją zabić.

Chcę w ten sposób dodać Tzainowi otuchy, lecz jego twarz pozostaje nieporuszona. Spogląda na ciała zabitych, oddycha krótko.

– Obiecałem... – mówi łamiącym się głosem. – Kiedy Mama umarła, obiecałem, że się nią zaopiekuję. Że będę jej pilnował.

– I dotrzymałeś obietnicy.

Ale Tzain jest pogrążony we własnym świecie i moje słowa tam nie docierają.

– A Baba... – Zaciska pięści, żeby opanować drzenie. – Powiedziałem mu... Powiedziałem, że...

Kładę mu rękę na plecach, lecz natychmiast się odsuwa. Mam wrażenie, że wylewają się z niego wszystkie łzy, które przez lata tłumił. Osuwa się na ziemię i tak mocno przyciska pięści do głowy, że martwię się, czy nie zrobi sobie krzywdy.

– Nie możesz się poddawać. – Kucam przy nim i ocieram mu łzy. Zawsze był silny wbrew przeciwnościom. Ale ten cios jest zbyt bolesny. – Nadal mamy pergamin, kamień i sztylet. Dopóki mój ojciec ich nie zdobędzie, Zélie nie spadnie włos z głowy. Możemy ją uratować i popłynąć do świątyni. Jeszcze nie wszystko stracone.

– Nie piśnie ani słowa – szepcze Tzain. – Nie powie im niczego, co naraziłoby nas na niebezpieczeństwo. Będą ją torturować. – Ścisną ziemię w dłoni. – Jest już właściwie martwa.

– Nie znam drugiej tak silnej osoby jak Zélie. Zniesie wszystko. Zobaczysz, że wyjdzie z tego cało.

Ale Tzain kręci głową nieprzekonany.

– Umrze – stwierdza i zamyka oczy. – Zostanę całkiem sam.

Najla piszczy żałośnie i trąca Tzaina pyskiem, próbuje zlizać mu łzy z policzków. Nie mogę znieść tego widoku; coś we mnie pęka, ostatnia rzecz,

która była cała. Czuję się jak wtedy, kiedy patrzyłam na Bintę – wypuszczała z rąk magiczne światło, a ojciec przeszywał ją mieczem. Ile rodzin ojciec okaleczył w ten sposób? Ilu ludzi z jego powodu oplakiwało bliskich? Ile razy jeszcze mu na to pozwolę?

Wstaję i spoglądam z pagórka na miasto Gombe, na odległą smużkę dymu u podnóża masywu Olasimbo. W pamięci staje mi mapa z sali wojennej i krzyżyki, którymi zaznaczono na niej bazy wojskowe. Odtwarzam w głowie plan tej okolicy i równocześnie układam nowy plan działania. Nie dopuszczę, żeby Tzain stracił siostrę na zawsze.

– Nie pozwolę ojcu wygrać.

– Musimy ruszać.

– Amari...

– Teraz.

Tzain podnosi głowę z ziemi. Chwytam go za rękę i wycieram brud z mokrych policzków.

– Koło Gombe jest twierdza straży. Na pewno ją tam zawieźli. Spróbujemy ją odbić.

– I położyć kres tyranii ojca.

Tzain patrzy na mnie wzrokiem pełnym bólu, tłumiąc w sobie odżywiającą iskierkę nadziei.

– Jak chcesz się dostać do środka?

Odwracam się w kierunku Gombe, odcinającego się niewyraźnie na tle ciemnego nieba.

– Mam plan.

– Czy jest wykonalny?

Kiwam twierdząco głową – i tym razem nie boję się nadchodzącej walki. Raz już byłam lworożką.

Dla Tzaina i Zélie mogę stać się nią znowu.

ROZDZIAŁ 63



ZÉLIE

Majacytowe kajdany parzą mnie w kostki i nadgarstki. Wiszę nad podłogą celi na czarnych łańcuchach, które uniemożliwiają mi rzucenie zaklęcia. Pot się ze mnie leje. Z otworu wentylacyjnego wydobywa się kolejny ciepły podmuch. Muszą to robić umyślnie.

W gorącym pomieszczeniu jeszcze trudniej będzie znosić ból.

Nie możesz zginąć. Słowa Lekana dręczą mnie w obliczu nadchodzącej śmierci.

Mówiłam mu, że to pomyłka. Jemu i wszystkim. Błagałam ich, żeby powierzyli to odpowiedzialne zadanie komuś innemu. I proszę, oto jak wykorzystałam swoją szansę. Podczas gdy król szykował się do rzezi, ja śmiałam się, tańczyłam i całowałam.

Słyszę brzęk podkutych butów. Zbliżają się do moich drzwi. Gdyby cela miała kraty, byłoby mi łatwiej. Mogłabym się chociaż przygotować. Ale zamknięto mnie w żelaznym sześcianie. Tylko dwie pochodnie rozświetlają ciemność.

Nie wiem, co zamierzają ze mną zrobić, ale najwyraźniej chcą to ukryć nawet przed wartownikami.

Przełykam ślinę, jakby to mogło przynieść ulgę wyschniętemu gardłu. *Wytrzymasz, powtarzam sobie. Wytrzymałaś tyle razy.* Może lanie, jakie dostawałam od Mamy Agby, nie było karą, lecz przygotowaniem? Biła mnie tak często, że nabrałam wprawdy, nauczyłam się rozluźniać, tak by bolało jak najmniej. Czyżby przewidziała mój koniec?

Cholera. Kiedy myślę o wszystkich ludziach, którzy przeze mnie zginęli,

wstyd wyciska mi łzy z oczu. Mała Bisi. Lekan. Zulajcha.

Ich ofiara zda się na nic.

To moja wina. Należało od razu wyruszyć w dalszą drogę. To my ściągnęliśmy armię do tego obozu. Inaczej pewnie wciąż by żyli. Zu nie musiała ginąć...

Moje myśli zwalniają.

W głowie miga mi wściekła twarz Tzaina. To zbyt straszne, ale... czy Inan mógł nas zdradzić?

Nie.

Spycham w głąb siebie strach palący jak żółć. Inan nie mógł tego zrobić. Nie po tym wszystkim. Miał przecież tyle okazji, żeby mnie zdradzić. Mógłby uciec z pergaminem, nie narażając niewinnych osób.

Zamiast Tzaina pojawia się Amari, jej bursztynowe oczy wzbierają litością.

Albo zamierza nas zdradzić, albo coś innego wisi w powietrzu.

Przez chmurę ich niechęci przebija się uśmiech Inana, tamto łagodne spojrzenie sprzed pierwszego pocałunku. Zaraz jednak ciemnieje i owija mi się wokół szyi jak ręka...

– Nie! – Zamykam oczy i przypominam sobie, jak leżałam w jego ramionach.

Uratował mnie. Dwa razy. I próbował po raz trzeci. Nie, to na pewno nie on.

Szczęk klucza.

Pierwszy zamek otwarty. Szykując się na ból, pocieszam się jak mogę w tych ostatnich chwilach. Przynajmniej Tzain żyje. On i Amari nie dali się złapać. Uciekli na grzbiecie Najli i pewnie są już bardzo daleko. Muszę o tym pamiętać. To jedno się udało. A Baba...

Oczy mi się szklą na wspomnienie jego krzywego uśmiechu, który tak bardzo chciałam jeszcze zobaczyć. Kiedy się dowie, co się stało, już nigdy się nie uśmiechnie.

Zamykam oczy; łzy ciekną mi po twarzy, pieką jak rany po małych

nożykach. Mam nadzieję, że umarł.

Że ten ból będzie mu oszczędzony.

Słysząc szcęk drugiego klucza i drzwi otwierają się z jękiem. Napreżam wszystkie mięśnie.

Lecz gdy w progu staje Inan, całkiem się rozsypuję.

Patrzę roztrzęsiona, jak księżę wchodzi do celi w asyście dwóch żołnierzy. Przez parę dni oglądałam go tylko w stonowanych kaftanach i pożyczonych koszulach, dlatego zapomniałam, jak zimno wygląda w mundurze strażnika.

Nie...

Szukam w nim śladu chłopaka, który tyle mi obiecywał. Chłopaka, dla którego prawie zrezygnowałam ze wszystkiego.

Ale jego oczy patrzą chłodno. Tzain miał rację.

– Ty kłamco! – Mój krzyk odbija się echem od ścian celi.

Ale słowa to za mało. Nie ranią tak, jak bym chciała. Niewiele myśląc, zaciskam palce na łańcuchach tak mocno, że rozdzierają mi skórę. Potrzebuję tego bólu, żeby mieć się na czym skupić, inaczej nie powstrzymam łez.

– Wyjdźcie! – rozkazuje Inan swoim podkomendnym. Patrzy na mnie, jakbym była nikim. Na pewno nie jak na dziewczynę, którą przed kilkoma godzinami trzymał w objęciach.

– Wasza Wysokość, ona jest niebezpieczna. Nie możemy...

– To rozkaz, nie sugestia.

Strażnicy wymieniają spojrzenia, po czym niechętnie opuszczają celę. Oczywiście, że nie sprzeciwią się rozkazowi swojego królewicza.

No tak. Kręcę głową. Nietrudno się domyślić, dlaczego Inan chce ze mną rozmawiać na osobności. Białą smugę, która jeszcze niedawno odcinała się tak jasno od reszty jego włosów, znów pokrywa warstwa czarnej farby. Nikt nie może się dowiedzieć prawdy.

Czy on to planował od samego początku?

Thumię w sobie wszystkie uczucia, bo chcę zachować kamienną twarz. Nie może zobaczyć, że cierpię. Że mnie zranił.

Drzwi się zamykają i zostajemy sami. W milczeniu słuchamy niknących kroków. Dopiero gdy całkiem cichną, jego surowa maska pęka, odsłaniając twarz chłopca, którego znam.

Inan robi krok w moją stronę, bursztynowe oczy z przerażeniem zatrzymują się na wielkiej plamie krwi na mojej sukni. Ciepłe powietrze wdziera mi się do płuc – nie pamiętam, kiedy wstrzymałam oddech. Ani kiedy zaczęłam tak bardzo potrzebować tego chłopaka.

Kręcę głową.

– To nie moja krew – szepczę. *Jeszcze nie.* – Co się stało? Jak nas znaleźli?

– Przed świętem ibawici pojechali do Gombe po zapasy. Paru strażników nabrało podejrzeń i zaczęło ich śledzić.

Bogowie. Zagryzam wargę i powstrzymuję kolejną falę łez. Zginęli z powodu święta, którego w ogóle nie powinniśmy urządzać.

– Zél, mamy mało czasu – mówi prędko z napięciem w głosie. – Nie mogłem przyjść do ciebie wcześniej. Zbiera się tu cała armia. Ktoś może niedługo przyjść, a wtedy... – Odwraca się do drzwi, jakby coś usłyszał. – Zél, musisz mi powiedzieć, jak zniszczyć pergamin.

– Co? – Na pewno się przesłyszałam. Naprawdę myśli, że to coś rozwiąże? Po tym wszystkim?

– Jeśli mi powiesz, jak go zniszczyć, będę mógł cię chronić. Dopóki grozi nam powrót magii, ojciec będzie chciał cię zabić.

Bogowie.

On nie rozumie, że już przegraliśmy. Pergamin nic nie znaczy bez kogoś, kto potrafi go odczytać. Ale ja mu tego nie powiem.

Jeśli się dowiedzą, wymordują nas wszystkich, mężczyzn, kobiety i dzieci. Nie spoczną, dopóki nie zetrą nas z powierzchni ziemi.

– Oni są bezwzględni, Zél. – Drżący głos Inana przywołuje mnie do rzeczywistości. – Zginiesz, jeśli nie wyjawisz tej tajemnicy.

– W takim razie zginę.

Inan się krzywi.

– Wyciągną to z ciebie żelazem!

Strach ściska mi krtań. Ale tyle sama się domyśliłam.

– Najwyżej się wykrwawię.

– Zél, błagam. – Podchodzi bliżej, kładzie mi dłonie na posiniaczonej twarzy. – Wiem, że mieliśmy inne plany, ale musisz zrozumieć, że wszystko się zmieniło...

– Oczywiście, że się zmieniło! – wybucham. – Ludzie twojego ojca zabili Zu! I Salima! Wszystkie te dzieci. – Potrząsam głową. – Nawet nie mogły się bronić. A strażnicy je wymordowali.

Grymas bólu rozdziera mu twarz. Jego żołnierze. Jego ludzie. Znow okazali się naszą zgubą.

– Zélie, wiem – odpowiada łamiącym się głosem. – Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę jej ciało.

Odwracam wzrok, tłumiąc nowe łzy. Promienny uśmiech Zu, jej światło i niewyczerpana radość zalewają mój umysł. Powinniśmy być teraz w połowie drogi do Zarii. Ona i Kwame nadal by żyli.

– Źle się stało – szepcze Inan. – Zulaicha zasługiwała, by dać jej szansę. Ale żołnierze myśleli, że chcesz za pomocą pergaminu stworzyć armię magów. A po tym, co zrobił Kwame... – Głos więźnie mu w gardle. Smutek, który przepelniał go jeszcze przed chwilą, ustępuje przed strachem. – Kwame w kilka sekund załatwił trzy plutony. Spalił ich żywcem. Puścił z dymem obóz. Gdyby się nie wypalił, pewnie bylibyśmy martwi.

Cofam głowę z odrazą. O czym on mówi, na bogów?

– Kwame poświęcił życie w naszej obronie!

– Ale wyobraź sobie, jak to wyglądało z perspektywy strażników – tłumaczy prędko Inan. – Wiem, że miał szlachetne zamiary, ale posunął się za daleko. Od lat straszono nas istnieniem takiej magii. To, co zrobił Kwame, przerosło najgorsze opowieści ojca!

Mrugam z niedowierzaniem. Gdzie się podział ten przyszły król, który chciał ratować magów? Książę rzucający się między mnie a płomień? Nie znam tego wystraszonego chłopaka, który próbuje usprawiedliwiać wszystko,

na co tak pomstował. Albo znam go zbyt dobrze.

Może to jest właśnie prawdziwy on: złamany mały książę.

– Żeby było jasne: uważam, że ten atak był barbarzyński. Trzeba będzie się tym zająć. Ale teraz musimy działać. Żołnierze boją się, że ktoś taki jak Kwame znów zaatakuje.

– I dobrze. – Ściskam łańcuchy w dłoniach, żeby ukryć drzenie rąk. – Niech się boją.

Niech wiedzą, jak smakuje taki strach.

Inan zacina zęby.

– Zélie, proszę cię. Nie popełniaj błędu. Możemy jeszcze zjednoczyć nasze ludy. Pomóż mi, a znajdę sposób, żebyś mogła wrócić ze mną do Lagos. Uratujemy Oriszę bez magii, musi być jakaś bezpieczniejsza metoda...

– Czy ty się dobrze czujesz? – Mój krzyk rozbrzmiewa echem w celi. – Nie ma już czego ratować! Po tym, co zrobili, nie ma już nic!

Inan patrzy na mnie szklącymi się oczyma.

– Myślisz, że mi się to podoba? Po tym, jak planowaliśmy razem inną Oriszę? – W jego spojrzeniu dostrzegam odbicie własnego smutku. Śmierć naszych marzeń. Przyszłość, która nie nadejdzie. – Myślałem, że może być inaczej. Chciałem, żeby było inaczej. Ale po tym, co zobaczyliśmy, nie mamy wyboru. Nie możemy dać ludziom takiej mocy.

– Zawsze jest wybór – rzucam z jadem. – Twoi strażnicy wybrali tak, a nie inaczej. Jeśli przedtem bali się magii, teraz tym bardziej powinni się bać.

– Zélie, nie skazuj się na pewną śmierć. Nie zabili cię jeszcze tylko dlatego, że ich przekonałem, że możesz nam pomóc z pergaminem. Ale jeśli nam nie powiesz, jak go zniszczyć...

Kolejny dźwięk na korytarzu. Inan robi krok do tyłu i w tej samej chwili drzwi się otwierają.

– Czy pozwoliłem wejść... – Głos mu zamiera. Krew odpływa z twarzy. – Ojczy?

Król, nawet bez korony, jest nie do pomylenia z nikim innym.

Wpada do celi jak burza i mam wrażenie, że od razu robi się ciemniej. Gdy drzwi się za nim zamykają, uderza mnie fala emocji. Spoglądam w bezduszne oczy mężczyzny, który zabił Mamę, i na moment zapominam, jak się oddycha.

Bogowie, pomocy.

Nie wiem, czy to jawa, czy koszmar. Rozsadza mnie wściekłość, ale skóra cierpnie mi ze strachu. Od czasu Obławy nieraz wyobrażałam sobie tę chwilę, zastanawiałam się, jak by to było stanąć z nim twarzą w twarz. Tyle razy obmyślałam jego zabójstwo, że mogłabym wypełnić opasły tom swoimi drobiazgowymi fantazjami.

Król Saran kładzie rękę na ramieniu syna. Inan wstrząsa się, jakby oczekiwał ciosu. Mimo wszystko budzi we mnie teraz współczucie. Z oczu wyziera mu przerażenie. Widziałam go złamanego, ale tego oblicza nie znałam.

– Strażnicy powiedzieli mi, że miała związki z buntownikami.

Inan prostuje plecy i zaciska szczęki.

– Tak, panie. Właśnie ją przesłuchuję. Jeśli zostawisz nas jeszcze na chwilę, wydobędę z niej odpowiedzi na wszystkie nasze pytania.

Mówi to z takim spokojem, że sama prawie daję mu wiarę. Próbuje mnie uratować przed swoim ojcem. Widocznie wie, że inaczej czeka mnie śmierć.

Ta myśl przyprawia mnie o dreszcz, zaraz jednak doznaję iście nieziemskiego spokoju. Trudno nie czuć strachu w obecności Sarana, lecz moje pragnienie zemsty jest jeszcze silniejsze.

Ten jeden człowiek – ten łajdak – uosabia całe królestwo. Razem z nim spogląda mi w oczy cały ten okrutny i nienawistny kraj. Strażnicy, którzy przed laty wdarli się do naszego domu w Ibadanie, byli tylko narzędziem w jego rękach.

Oto jądro całego zła.

– A co z Keją? – pyta Saran zniżonym głosem. – To ona ją zabiła?

Inan spogląda na mnie szeroko otwartymi oczyma i natychmiast pojmuje swój błąd, którego nie sposób już naprawić. Król Oriszy podchodzi do mnie.

Choć w celi jest gorąco, obecność Sarana mrozi mi krew w żyłach. Kiedy zbliża się z majacytowym mieczem, uczucie pieczenia przybiera na sile. Z bliska widzę blizny na jego brązowej skórze, siwe włosy, którymi podeszły wiek upstrzył mu brodę.

Czekam, aż obrzuci mnie obelgami, lecz w jego chłodnym i obojętnym spojrzeniu jest coś jeszcze gorszego. Jakby patrzył na bestię wywleczoną z bagien.

– Mój syn twierdzi, że wiesz, jak zginęła moja admirał.

Inan ma oczy jak spodki. Przypominam sobie jego słowa wypowiedziane w świąteczny wieczór.

Ktoś zginął. Ktoś, kogo kochałem.

Tym kimś była Keja.

– Zadałem ci pytanie – napiera Saran. – Co się z nią stało?

Zabił ją twój syn mag.

Inan wzdryga się za plecami ojca, jakby porażony moją myślą. Powinnam wykrzyknąć jego tajemnicę całemu światu, wydać ją tu i teraz. Jednak w strachu Inana jest coś takiego, co każe mi o niej milczeć.

Odwracam wzrok od tego potwora, który wydał wyrok na Mamę. Jeśli Inan naprawdę jest po naszej stronie, może po mojej śmierci stanie się ostatnią nadzieją ibawitów...

Saran łapie mnie za brodę i zmusza, bym na niego spojrzała. Wzdrygam się pod tym dotykiem. Dotychczas spokojne oczy króla wybuchają gniewem.

– Odpowiedz mi dla własnego dobra, dziecko.

Może istotnie powinnam?

Gdyby Saran dowiedział się teraz prawdy, spróbowałby własnoręcznie zabić Inana, który musiałby się przed nim bronić. Zabiłby ojca, zajął tron, uwolnił Oriszę od nienawiści.

– Coś knujemy? – pyta Saran. – Szykujemy zaklęcie? – Zaciska palce tak mocno, że jego paznokcie ranią mnie do krwi. – Tylko spróbuj, a osobiście pozbawię cię rąk.

– O-ojczy. – Choć głos Inana brzmi niepewnie, księżę robi krok naprzód.

Saran ogląda się na niego. W jego oczach nadal płonie gniew. Coś jednak do niego dotarło. Odpycha moją twarz i krzywiąc usta, wyciera dłoń w szatę.

– Powinienem chyba mieć pretensje do siebie – stwierdza zamyślonym tonem. – Ucz się, Inanie. Kiedy byłem w twoim wieku, wydawało mi się, że dzieci magów nie trzeba zabijać. Że nie muszę przelewać ich krwi. – Saran szarpie mój łańcuch, zmuszając mnie, bym spojrzała mu w oczy. – Po Obławie trzeba było zapomnieć o magii. Mieliście się bać. Mieliście być posłuszni. Teraz już wiem, że wasze plemię jest niereformowalne. Nie potraficie żyć bez tej zarazy, którą jest skażona wasza krew.

– Żeby nam odebrać magię, nie musiałeś nas zabijać. Wdeptywać w ziemię!

Potrząsam łańcuchem jak wściekły lworożec. Saran odskakuje. Czuję, jak wzbiera we mnie magia, jak karmi się moim gniewem. Gniewem zrodzonym z krzywdy.

Walczę z piekącym coraz mocniej majacytem, robię, co mogę, by wyzwolić swoją moc na przekór czarnym łańcuchom. Skóra zaczyna mi się dymić, lecz staram się na próżno.

Saran mruży oczy, ale ja nie mogę milczeć. Nie gdy krew we mnie kipi, a mięśnie aż się trzęsą.

Mój strach nie zagłuszy prawdy.

– Zmiażdżyłeś nas, by zbudować swoje królestwo na naszych kościach i naszej krwi. Twoim największym błędem nie było to, że nas oszczędziłeś, ale to, że postanowiłeś nas złamać!

Inan robi krok naprzód. Twarz ma napiętą, oczy przeskakują to na mnie, to na ojca. Furia w spojrzeniu Sarana rozbłyska jeszcze silniej. Król wybucha długim, niskim śmiechem.

– To ciekawe, że wy zawsze zaczynacie od końca. Jak gdyby mój ojciec nie walczył o wasze prawa. Jak gdybyście nie spalili mojej rodziny żywcem.

– Nie wolno zniewalać wszystkich za bunt nielicznych.

Saran wyszczerza zęby.

– Królowi wszystko wolno.

– Twoja głupota cię zgubi – rzucam Saranowi w twarz. – Nigdy się nie poddamy. Z magią czy bez, odzyskamy, co nasze!

Usta Sarana krzywią się w pogardliwym uśmiechu.

– Odważne słowa jak na glistę, która zaraz umrze.

Jak na glistę.

Oto czym dla niego jestem.

Jak Mama.

Jak wszyscy bracia i siostry wymordowani z jego rozkazu.

– Lepiej zabij mnie od razu – szepczę. – Bo artefaktów i tak nie dostaniesz.

Saran uśmiecha się powoli i złowieszczo jak dziki kot.

– Och, dziecko – śmieje się. – Nie byłbym tego taki pewien.

ROZDZIAŁ 64



INAN

Piwniczna cela zrobiła się jakby ciaśniejsza. Tkwię w niej jak w potrzasku. Wiele mnie kosztuje, żeby ustać na nogach, nie ugiąć się pod spojrzeniem ojca. Ale choć ja z trudem oddycham, Zélie, jak zwykle dumna i zapalczywa, stawia mu czoło.

Nie dba o życie.

Nie boi się śmierci.

Przestań! – mam ochotę krzyknąć do niej. *Zamilknij!*

Widzę, jak z każdym słowem w ojcu rośnie chęć złamania jej.

Puka pięścią w drzwi. Otwierają się i do środka wchodzi garnizonowy lekarz w asyście trzech żołnierzy. Wszyscy mają wzrok utkwiony w podłodze.

– Co się dzieje? – Mój głos brzmi matowo. Ciężko mi się mówi, gdy znów muszę tłumić w sobie magię. Kolejny podmuch rozgrzanego powietrza owiewa mi twarz mokrą od potu.

Lekarz podnosi na mnie wzrok.

– Czy Wasza Wysokość...

– To ja wam rozkazuję – przerywa mu ojciec. – Nie on.

Lekarz rusza przed siebie i wyciąga z kieszeni ostry nóż. Wzdrygam się, gdy bez ostrzeżenia nacina Zélie szyję.

– Co wy robicie?! – wydieram się.

Zélie zaciska zęby z bólu.

– Przestańcie! – krzyczę przerażony. *Nie teraz. Nie tutaj.*

Robię krok do przodu, lecz ojciec chwyta mnie za ramię z taką siłą, że omal

się nie przewracam. Patrzę ze zgrozą, jak lekarz wycina na szyi Zélie płytki znak X. Potem drżącą ręką wbija grubą igłę w odsłoniętą żyłę.

Zélie próbuje odsunąć głowę, lecz jeden z żołnierzy ją unieruchamia. Lekarz sięga po fiolkę czarnego płynu i szykuje się do podania serum przez igłę.

– Ojczy, czy to rozsądne? – mówię. – Ona dużo wie. Artefaktów jest więcej. Może nam pomóc je odnaleźć. To jedyna osoba, która rozumie ten zwój...

– Dość! – Palce ojca wpijają mi się boleśnie w ramię.

Moje słowa go złością. Nie ma sensu jeszcze bardziej go prowokować i narażać Zélie na większy ból.

Lekarz ogląda się na mnie, jakby szukał pretekstu, by przerwać to, co robi. Lecz widząc, że ojciec wali pięścią w ścianę, pospiesznie wlewa serum do wąskiego otworu igły, prosto w żyłę.

Ciałem Zélie wstrząsa gwałtowny spazm. Oddech jej przyspiesza. Źrenice się rozszerzają.

Robi mi się duszno, krew huczy w skroniach.

A przecież to nic w porównaniu z tym, przez co przechodzi teraz ona.

– Nie martw się – mówi ojciec, biorąc mój smutek za rozczarowanie. – Tak czy inaczej wszystko z niej wydobędziemy.

Drżące mięśnie Zélie podzwaniają łańcuchami. Przywieram do ściany na roztrzęsionych nogach. Staram się jednak mówić spokojnie. Tylko mój spokój może ją uratować.

– Co jej podałeś?

– Coś na pobudzenie – odpowiada z uśmiechem ojciec. – Nie chcemy, żeby przedwcześnie straciła przytomność.

Jeden z żołnierzy wyciąga sztylet. Drugi rozdziera Zélie suknię, odsłaniając gładką skórę pleców. Ten ze sztyletem zanurza ostrze w płomieniu pochodni. Stal nagrzewa się do czerwoności.

Ojciec robi krok naprzód. Spazmy Zélie są coraz gwałtowniejsze; musi ją teraz trzymać nie jeden, a dwóch żołnierzy.

– Podziwiam twoją wytrwałość, dziecko. To imponujące, jak wiele udało ci się zdziałać. Ale jako król mam obowiązek ci przypomnieć, kim jesteś.

Nóż rozcina jej skórę. Ból jest tak palący, że dociera również do mnie.

– Aaargh! – Jej wrzask mrozi krew w żyłach. Przenika mnie na wskroś.

– Nie! – rzucam się przed siebie i odpycham jednego z trzymających ją żołnierzy. Drugiego trafiam kopniakiem w brzuch, a tego, który rozcina jej plecy, uderzam pięścią.

– Skrępować go!

Natychmiast dopada mnie dwóch strażników. Wykręcają mi ręce. Robi mi się białło przed oczami. Zapach palonego ciała uderza mnie w nozdrza.

– Wiedziałem, że wymiękniesz. – Rozczarowanie ojca przebija się jakoś przez wrzaski Zélie. – Wyprowadźcie go. Już!

Bardziej ten rozkaz czuję, niż go słyszę. Wyrywam się do przodu, lecz ciągną mnie do tyłu. Zélie krzyczy coraz głośniej.

Coraz dalej.

Płacz i krzyk odbijają się od metalowych ścian. Na jej plecach dostrzegam literę G.

Po chwili jej oddech przyspiesza i widzę, jak żołnierz zaczyna wypalać L.

– Nie!

Ładuję na korytarzu, a drzwi zamykają się z hukiem.

Zaczynam w nie walić tak mocno, że pęka mi skóra na kłykciach i ręce zalewają się krwią. Lecz drzwi pozostają zamknięte. Ze środka wciąż dobiegają krzyki.

Pomyśl! Walę głową w drzwi, krew huczy mi w uszach. Nie dam rady tam wejść.

Muszę ją uwolnić.

Biegnę korytarzem, lecz rosnąca odległość ani trochę nie uśmierza mojego cierpienia. W polu widzenia migają mi zatroskane twarze.

Poruszające się usta.

Ludzie szepczą.

Nie słyszę, co mówią. Nie słyszę niczego prócz wrzasków Zélie. Niosą się za mną korytarzem, a jeszcze głośniej rozbrzmiewają w mojej głowie.

Wpadam do najbliższej umywalni i zamykam za sobą drzwi na zasuwę.

Wiem, że są już przy literze I – prawie ją czuję na własnych plecach.

– Uch!

Roztrzęsionymi rękoma chwytam się brzegu porcelanowej umywalki. Wszystko ze mnie wychodzi. Żółć piecze w gardle.

Świat zaczyna się kręcić, wirować. Bronię się przed omdleniem. Muszę to przetrzymać.

Muszę uratować Zélie...

Gwałtownie wciągam powietrze.

Chłód uderza mnie w twarz jak cegła. Woń mokrej trawy wypełnia mi płuca. Przywiędłe trzciny łaskoczą w stopy.

Sen.

Z wrażenia opadam na kolana.

Ale muszę się spieszyć. Muszę ją uratować. Ściągnąć tutaj.

Zamykam oczy i wyobrażam sobie jej twarz. Przenikliwe spojrzenie srebrnych oczu. Jaką kolejną literę zdążyli jej wypalić na plecach? W sercu? W duszy?

Po paru sekundach zjawia się Zélie. Zdyszana. Na wpół naga.

Trzyma się kurczowo ziemi.

Spogląda pustym wzrokiem na swoje drżące palce, jakby nie wiedziała, gdzie jest.

Ani kim jest.

– Zélie?

Coś tu nie gra. Dopiero po chwili uświadamiam sobie co. Jej duch nie przyplęwa jak morska fala.

Nie czuję zapachu soli.

– Zél?

Świat wokół nas chyba się skurczył, jego mgliste białe granice są teraz bliżej. Zélie siedzi całkiem nieruchomo – jakby w ogóle mnie nie słyszała.

Wyciągam rękę. Gdy dotykam jej skóry, krzyczy i cofa się w popłochu.

– Zél...

W jej oczach błyska coś dzikiego. Trzęsie się jeszcze bardziej.

Gdy do niej podchodzę, ucieka. Jest rozbita. Pęknięta.

Zatrzymuję się i unoszę ręce do góry. Serce mi się kraje, gdy ją taką widzę. Gdzie się podział jej bojowy duch? Gdzie się podziela ta dzielna dziewczyna, która nie zlekła się mojego ojca? Nie został po niej nawet ślad.

Jedynie pusta skorupa.

– Jesteś bezpieczna – szepczę. – Nikt cię tutaj nie skrzywdzi.

Ale do jej oczu napływają łzy.

– Nic nie czuję – mówi z płaczem.

– Czego nie czujesz?

Zbliżam się do niej, ale potrząsa głową i odpycha się nogami.

– Zniknęła. Zniknęła – powtarza wciąż to jedno słowo. – Zniknęła.

Kuli się wśród trzciny, wije z bólu, od którego nie ma ucieczki.

Obowiązek nade wszystko.

Wbijam palce w ziemię.

Głos ojca dźwięczy mi w uszach. *Orisza jest najważniejsza.*

Przed oczami staje mi Kwame wraz z płomieniami trawiącymi wszystko na jego drodze. Moim obowiązkiem jest temu zapobiec.

Mam obowiązek strzec Oriszy przed niebezpieczeństwem.

Lecz tamto credo brzmi pusto; wycina we mnie dziurę jak nóż, którym rozorano plecy Zélie.

Nawet obowiązek nie może mnie zmusić do zabicia dziewczyny, którą kocham.

ROZDZIAŁ 65



AMARI

To się uda.

Nieba, to musi się udać.

Trzymam się kurczowo tej wątlej nadziei, przemykając razem z Tzainem wśród zardzewiałych budowli Gombe pod osłoną cienia i mroku.

Jesteśmy w mieście żelaza; tutejsze odlewnie pracują do późnego wieczora. Metalowe konstrukcje, wzniesione przez Spajaczy przed Obławą, wyginają się w nieprawdopodobne kształty.

Inaczej niż Lagos, gdzie poszczególne dzielnice odpowiadają podziałowi klasowemu, Gombe składa się z czterech dużych kwartałów, które dzielą miasto na część mieszkalną i przemysłową. Za zakurzonymi oknami fabryk ibawici w pocie czoła wykuwają towary, które nazajutrz rozjadą się po całej Oriszy.

– Czekaj. – Tzain zatrzymuje mnie, dostrzegając patrol uzbrojonych strażników. – Dobra – szepcze, gdy droga znów jest wolna, lecz w jego głosie nie słyhać dawnej determinacji.

To się uda, powtarzam sobie w myślach. Niedługo wszystko się skończy, a Zélie będzie cała i zdrowa. Gdybym tak jeszcze potrafiła przekonać do tego Tzaina.

Wkrótce zagracone, ciasno upchane zakłady ustępują miejsca wyniosłym żelaznym kopułom śródmieścia. Na odgłos dzwonków zewsząd wylewają się robotnicy, cali pokryci brudem i śladami oparzeń. Idziemy za tłumem ku dźwiękom bębnów i muzyki. Zamiast gryzącego dymu pojawia się zapach mocnych trunków i niebawem ukazuje nam się skupisko barów pod małymi

kopulastymi dachami w kolorze rdzy.

– Myślisz, że go tu znajdziemy? – pytam, kiedy zbliżamy się do wyjątkowo lichego przybytku, względnie cichego na tle pozostałych.

– Od tego miejsca bym zaczął. Kiedy w zeszłym roku byłem w Gombe na Igrzyskach Oriszy, Kenjon i jego drużyna zabierali mnie tutaj co wieczór.

– Znakomicie. – Siłę się na krzepiący uśmiech.

– Zobaczymy – odpowiada Tzain z nutą sceptycyzmu. – Nawet jeśli go znajdziemy, wątpię, by zechciał nam pomóc.

– Jest ibawitą. Nie będzie miał wyboru.

– Ibawici rzadko kiedy mają wybór. – Tzain puka do metalowych drzwi. – Ale kiedy już go mają, zwykle kierują się własnym bezpieczeństwem.

Nie mam czasu na odpowiedź, bo w drzwiach otwiera się wizjer.

– Hasło? – odzywa się szorstki głos.

– Lo-ışz.

– To stare hasło.

– Hm. – Tzain milczy przez chwilę, jakby miał nadzieję, że właściwe słowo samo pojawi mu się w głowie. – Innego nie znam – przyznaje w końcu.

– Zmienia się co kwadrę.

Odsuwam Tzaina i wspinam się na palce.

– Nie jesteśmy stąd, panie. Proszę, pomóż nam.

Mężczyzna mruży oczy, a po chwili spluwa w otwór. Odskakuję ze wstrętem.

– Nikt nie wchodzi bez hasła – rzuca z pogardą. – A już na pewno nie szlachcianka.

– Panie, błagam...

Tzain mnie odsuwa.

– Czy możecie powiedzieć Kenjonowi, że przyjechał Tzain Adebola z Ilorinu?

Wizjer się zamyka. Patrę z rozgoryczeniem na metalowe drzwi. Jeśli nie dostaniemy się do środka, Zélie będzie zgubiona.

– Można tam wejść jakoś inaczej?

– Nie – odpowiada z jękiem Tzain. – Wiedziałem, że to się nie uda. Tylko marnujemy czas. Zélie pewnie już nie żyje... – Głos mu się załamuje. Zamyka oczy.

Rozwieram jego zaciśnięte pięści i kładę mu dłonie na policzkach.

– Tzain, zaufaj mi. Nie zawiodę cię. Jeśli Kenjona nie ma, znajdziemy kogoś innego...

– Bogowie. – Drzwi się otworzyły i staję w nich rosły ibawita. Jego ciemne ramiona pokrywają misterne tatuaże. – Chyba wiszę Chaniemu złotą monetę. – Wokół białego koka na jego głowie piętrzą się długie kędziory. Gdy obejmuje Tzaina, udaje mu się jakimś cudem przesłonić całą jego masywną sylwetkę. – Chłopie, co ty tu robisz? Wasza drużyna ma dostać od nas bęcki dopiero za dwa tygodnie.

Tzain zdobywa się na śmiech.

– Martwię się o twój zespół. Podobno skręciłeś kolano?

Kenjon podnosi nogawkę, odsłaniając metalową szynę.

– Lekarz mówi, że będę gotowy do gry w eliminacjach. Zresztą nie boję się ciebie. Poradziłbym sobie z tobą nawet we śnie. – Przenosi wzrok na mnie i przygląda mi się niespiesznie, jakby sprawiało mu to przyjemność. – No nie, błagam, nie mów, że taka ślicznotka jak ty przyjechała tu tylko po to, żeby zobaczyć, jak Tzain przegrywa.

Tzain daje Kenjonowi kuksańca, tamten śmieje się i obejmuje go za szyję. Niewiarygodne, że nie wyczuwa tajonej przez Tzaina rozpaczy.

Zwraca się do ochroniarza:

– Bez obaw, Di. Ręczę za niego.

Właściciel szorstkiego głosu wygląda zza drzwi. Choć nie dałabym mu więcej niż dwadzieścia parę lat, twarz ma pokrytą bliznami. Wskazuje mnie ruchem brody.

– A dziewczyna?

Tzain łapie mnie za rękę.

– Nikomu nic nie powie – obiecuje.

Di waha się, lecz po chwili usuwa nam się z drogi, choć do końca odprawia mnie podejrzliwym wzrokiem.

Gdy wchodzimy do ciemnego baru, moja skóra drży w rytmie dudniących bębnow. Wnętrze jest pełne, klientela młoda; nikt tu nie wygląda na dużo starszego niż Kenjon czy Tzain.

Ludzkie postacie oświetlone migotliwym blaskiem świateł na przemian wyłaniają się z cienia i znikają w nim. Na ścianach w mętym świetle dostrzegam plamy rdzy i złuszczonej farby.

W jednym z kątów dwaj mężczyźni wybijają łagodny rytm na stożkowatych bębnach, a trzeci uderza w drewniane klawisze balafonu. Grają z wprawą, wypełniając żelazne ściany żywym brzmieniem.

– Co to za miejsce? – szepczę Tzainowi do ucha.

Nigdy wcześniej nie byłem w żadnym barze, ale szybko staje się dla mnie jasne, dlaczego tutaj przy wejściu trzeba podać hasło. Prawie wszyscy klienci mają białe włosy. W tym morzu ibawitów dostrzegam zaledwie paru kosidan, którzy jednak nie przyszli sami. Tu i ówdzie jakaś para trzyma się za ręce, wymienia pocałunki, obejmuje nogami.

– Nazywają się todzu – wyjaśnia Tzain. – Zaczęły powstawać parę lat temu. Istnieją w większości miast. To jedno z nielicznych miejsc, w których ibawici mogą się bez obaw spotykać.

Wrogość ochroniarza przy drzwiach w jednej chwili nabiera sensu. Mogę się tylko domyślać, co by zrobili z tym miejscem strażnicy, gdyby je odkryli.

– Od lat gram z tymi chłopakami – szepcze Tzain, kiedy Kenjon prowadzi nas do stolika w głębi sali. – Są lojalni, ale nieufni. Pozwól, że ja będę mówił. Muszę ich najpierw trochę uspokoić.

– Nie mamy czasu – zauważam. – Potrzebujemy ich do walki...

– Nie będzie żadnej walki, jeśli nie zdołam ich do niej namówić. – Tzain lekko mnie szturcha. – Wiem, że nam się spieszy, ale musimy dać sobie trochę czasu...

– Tzain!

Gdy docieramy do stolika, czterech siedzących przy nim ibawitów – stanowiących, jak się domyślam, resztę drużyny Kenjona – wita nas entuzjastycznie. Wszyscy są ogromni, co jeden to większy. Nawet bliźniaczki, które Tzain nazywa Imani i Chani, niewiele ustępują mu wzrostem.

Pojawienie się Tzaina wywołuje uśmiechy i radość. Wszyscy wstają, klepią go serdecznie po plecach, przekomarzają się, nawiązując do zbliżającego się turnieju. Słowa przestrogi Tzaina wciąż dzwonią mi w uszach, ale... jego przyjaciele są tak pochłonięci agbönem, że w ogóle do nich nie dociera, co się dzieje ze światem Tzaina – że właśnie rozpada się na drobne kawałki.

– Potrzebujemy waszej pomocy – przebijam się w końcu przez harmider.

W jednej chwili wszyscy milkną, jakby dopiero teraz mnie zauważyli.

Kenjon upija łyk pomarańczowego napoju i zwraca się do Tzaina:

– Mówcie. Czego wam trzeba?

Tzain zaczyna im objaśniać nasze trudne położenie. Słuchają z przejęciem o ataku na ibawicką osadę. Opowiada wszystko: od pojawienia się pergaminu aż do tajemnego rytuału i porwania Zélie.

– Do solstycjum zostało już tylko dwa dni – uzupełniam. – Jeśli chcemy zdążyć, musimy się pospieszyć.

– Cholera – wzdycha Ife. Jego ogolona głowa odbija blask świecy. – Przykro mi, ale jeśli ona jest tutaj, żadna siła jej nie wydostanie.

– Musi być jakiś sposób! – Tzain wskazuje na barczystego ibawitę o przyszyżonej brodzie. Ma na imię Femi. – Twój ojciec nie mógłby nam pomóc? Chyba nadal przekupuje strażników?

Femiemu ciemnieje twarz. Wstaje bez słowa, tak gwałtownie, że omal nie wywraca przy tym stołu.

Chani zniża głos.

– Parę miesięcy temu przyszli po jego ojca. Zaczęło się od jakiegoś nieporozumienia podatkowego, ale...

– Trzy dni później znaleziono jego ciało – kończy Imani.

Nieba. Patrzę za Femim, który zanurza się w tłumie. Kolejna ofiara władzy ojca. Kolejny powód, dla którego musimy działać jak najszybciej.

Na twarzy Tzaina odbija się przygnębienie. Sięga po czyjś metalowy kubek i ściska go z całej siły, aż metal wgniata się do środka.

– Jeszcze nie wszystko stracone – odzywam się. – Nawet jeśli nie da się przekupić strażników, możemy ją odbić z ich rąk.

Kenjon śmieje się ponuro i pociąga kolejny łyk napoju.

– Jesteśmy duzi, ale nie głupi.

– A co ja powiedziałam głupiego? – pytam. – Bardziej niż wasze mięśnie liczy się wasza magia.

Na to słowo wszyscy zastygają nieruchomo, jakbym ich dotkliwie obraziła. Patrzą po sobie, tylko Kenjon wbija we mnie ostre spojrzenie.

– Nie mamy magii.

– Jeszcze nie. – Wyciągam z plecaka zwój. – Ale możemy wam pomóc ją odzyskać. Ta twierdza nie została zbudowana z myślą o ataku magów.

Czekam, aż któreś z nich się zainteresuje, lecz wszyscy gapią się na pergamin jak na ładunek wybuchowy. Kenjon wstaje od stołu.

– Chyba już pora na was.

Imani i Chani momentalnie się podnoszą i chwytają mnie za ramiona.

– Hej! – woła Tzain, przytrzymywany przez Ifego i Kenjona.

– Puszczajcie!

W barze robi się cicho, nikt nie chce przegapić widowiska. Szarpię się i krzyczę, lecz dziewczyny są nieugięte, pchają mnie wściekle w stronę wyjścia, jakby od tego zależało ich życie. I dopiero po chwili, słuchając wysiłonego oddechu Imani, czując, jak jej siostra coraz mocniej zaciska palce na moim ramieniu, doznaję przebłysku.

One nie są wściekłe.

One się boją.

Wyrywam im się ruchem, którego kilka miesięcy temu nauczył mnie Inan. Chwytam za rękojeść miecza i błyskawicznie wysuwam ostrze.

– Nie chcę wam zrobić krzywdy – mówię cicho. – Chcę tylko, żebyście odzyskali magię.

– Kim ty jesteś, do cholery? – pyta Imani.

Tzain w końcu uwalnia się z uścisku Kenjona i Ifego. Przepycha się przez gapiów i bliźniaczki i staje u mojego boku.

– Ona jest ze mną – zwraca się do Imani. – To wszystko, co musisz wiedzieć.

– Spokojnie. – Wychodzę z jego cienia, pozbawiam się jego ochrony.

Wszystkie oczy w sali przeszywają mnie na wylot, ale tym razem się nie boję. Wyobrażam sobie matkę, jak stoi przed olojami; jednym uniesieniem brwi potrafi narzucić wszystkim swoją wolę. Muszę znaleźć w sobie podobną siłę.

– Jestem księżniczka Amari, córka króla Sarana i... – Choć nigdy nie wypowiedziałam tego na głos, teraz dociera do mnie, że nie mam wyboru. Nie mogę pozwolić, by linia sukcesji stanęła mi na drodze. – I przyszła królowa Oriszy.

Tzain ściąga brwi w zdziwieniu, lecz prędko się z niego otrząsa, by uciszyć gwar wywołany moją deklaracją. W końcu mu się to udaje.

– Jedenaście lat temu mój ojciec odebrał wam magię – ciągnę. – Teraz stoimy przed niepowtarzalną szansą, by ją odrodzić. Nie możemy tego zmarnować.

Rozglądam się po lokalu z obawą, że lada chwila ktoś zaprotestuje albo znów spróbuje mnie wyrzucić. Kilku ibawitów wychodzi, ale większość zostaje i czeka na dalszy ciąg.

Rozwijam pergamin i unoszę go, tak by wszyscy zobaczyli prastare pismo. Jeden z ibawitów nachyla się, dotyka go i natychmiast odskakuje z okrzykiem, wystraszony podmuchem powietrza z własnych dłoni. Ta przypadkowa demonstracja jest mi bardzo na rękę.

– Istnieje pewien uświęcony rytuał, który przywróci wam łączność z bogami. Ale jeśli mnie i moim przyjaciółom nie uda się go odprawić przed solstycjum setnego roku, które przypada za dwa dni, magia zniknie na wieki. *A ulice znów spłyną krwią waszego ludu. Mój ojciec ugodzi was w samo serce. Zabije was, tak jak zabił moją przyjaciółkę.* – Toczę wzrokiem po sali,

zagładając w oczy każdemu z obecnych. – Stawka jest większa niż wasza magia. Tu chodzi o wasze przetrwanie.

Znów słysząc pomruki, wreszcie ktoś woła:

– Co mamy zrobić?

Postępuję krok do przodu, chowam ostrze do pochwy i unoszę głowę wysoko.

– W twierdzy koło Gombe uwięziono pewną dziewczynę. Ona jest kluczem do naszego zwycięstwa. Potrzebuję waszej magii, żeby ją wydostać na wolność. Ratując ją, uratujecie siebie.

W sali zapada cisza. Przez długą chwilę nikt nie rusza się z miejsca. W końcu Kenjon odchyła się i krzyżuje ramiona. Nie mogę dojrzeć wyrazu jego twarzy.

– Nawet gdybyśmy chcieli pomóc, magia, którą da nam pergamin, nie będzie wystarczająco silna.

– O to się nie martwcie. – Sięgam do skórzanej sakwy Zélie i wyciągam z niej kamień słoneczny. – Wystarczy, że się zgodzicie.

ROZDZIAŁ 66



INAN

Krzyki Zélie jeszcze długo rozbrzmiewają mi w głowie.

Przenikliwe.

Rozdzierające.

Choć jej rozbita świadomość spoczywa w moim śnie, nie straciłem fizycznej łączności z jej ciałem. Jej ból wciąż mnie parzy. Chwilami tak bardzo, że nawet oddychanie staje się bolesne. Pukając do drzwi ojca, staram się ukryć to cierpienie pod maską spokoju.

Z magią czy bez magii, muszę ją uratować. Już raz ją zawiodłem. Jeśli pozwolę jej tu zginąć, nigdy sobie tego nie wybaczę.

– Wejść.

Popycham drzwi i tłumię w sobie magię. Wchodzę do kwatery dowódcy garnizonu, którą ojciec zajął dla siebie. Stoi w aksamitnym szlafroku i przygląda się wyblakłej mapie. Ani śladu pogardy. Nawet cienia wstrętu.

Wypalić słowo „glista” na czyichś plecach to dla niego zwykła rzecz. Ot, dzień jak co dzień.

– Chciałeś mnie widzieć.

Ojciec milczy przez dłuższą chwilę. Unosi mapę do światła. Dolinę ibawitów oznaczono na niej czerwonym krzyżykiem.

Znów uderzają mnie wspomnienia: śmierć Zulajchy, krzyki Zélie. Dla niego ich tragedia nic nie znaczy. Są magiczkami, a więc są nikim.

Lubi powtarzać „obowiązek nade wszystko”, ale w jego Oriszy nie ma dla magów miejsca. Nigdy nie było.

Chce się pozbyć nie tylko magii.

Chce się pozbyć ich wszystkich.

– Przyniosłeś mi wstyd – odzywa się wreszcie. – Nie takiego zachowania oczekuję od ciebie na przesłuchaniu.

– Nie nazwałbym tego przesłuchaniem.

Ojciec odkłada mapę.

– Co proszę?

Nic.

Takiej odpowiedzi się ode mnie spodziewa.

Lecz moim umysłem wstrząsa szloch Zélie.

Tortura jest torturą i nie zamierzam udawać, że tego nie wiem.

– Ja się nie dowiedziałem niczego ciekawego, ojczcie. A ty? Jedyne wiecie, jaką stamtąd wyniosłem, to to, że potrafisz doprowadzić dziewczynę do wrzasku.

O dziwo, ojciec się uśmiecha. Lecz jego uśmiech jest groźniejszy niż wściekłość.

– Okrzepłeś w podróży. – Kiwa głową. – To dobrze. Ale nie trać energii na obronę tej...

Glisty.

Nie muszę czekać, aż to słowo padnie, żeby wiedzieć, że je wypowie. Oni wszyscy są dla niego glistami.

I ja też byłbym.

Przesuwam się minimalnie, by dojrzeć swoje odbicie w lustrze. Białą plamę w moich włosach zakrywa warstwa czarnej farby, lecz nieba raczą wiedzieć, na jak długo wystarczy.

– Nie jesteśmy pierwszymi, którzy mierzą się z tym problemem. Brotańczycy i Porltogoni zostali zniszczeni, bo zabrakło im determinacji w zwalczaniu magii. Czy naprawdę chciałbyś, bym oszczędził tę glistę i pozwolił, aby Oriszę spotkał podobny los?

– Tego nie powiedziałem, ale...

– Taka glista jest jak dziki wierzchacz – ciągnie ojciec. – Nie wystarczy jej po prostu przesłuchać. Trzeba ją złamać, pokazać, kto tu rządzi. – Znów spogląda na pergaminową mapę i zaznacza krzyżykiem Ilorin. – Przekonałbyś się o tym, gdybyś wytrzymał do końca. Glista wszystko mi wyśpiewała.

Kropelka potu spływa mi po plecach. Zaciskam pięści.

– Wszystko?

Ojciec kiwa głową.

– Pergamin można zniszczyć jedynie za pomocą magii. Domyślałem się tego po tym, jak nie udało się to admirałowi Ebelemu, a teraz mam pewność. I właśnie dlatego będziemy jeszcze potrzebować tej dziewczyny. Musimy tylko odzyskać pergamin.

Serce podskakuje mi do gardła. Muszę na chwilę zamknąć oczy, żeby opanować emocje.

– A więc nie zabijesz jej?

– Na razie nie. – Ojciec przesuwając palcem po krzyżyku oznaczającym dolinę ibawitów. Czerwony atrament rozmazuje się jak krew. – Może to i lepiej – dodaje z westchnieniem. – Zabiła Keję. Szybka śmierć byłaby dla niej wybawieniem.

Cały sztywnieję.

Zaczynam mrugać. Zbyt szybko.

– C-co? Tak powiedziała?

Próbuję wykrztusić coś jeszcze, ale wszystkie słowa grzęzną mi w gardle. Nienawistne spojrzenie Kei miga mi przed oczami. *Glista*.

– Przyznała się, że była w świątyni – oznajmia ojciec, jak gdyby odpowiedź nasuwała się sama. – Tam znaleziono Keję.

Podnosi brudny od krwi turkusowy kryształek. Gdy wystawia go do światła, czuję ściśnięcie w żołądku.

– Co to? – pytam, choć wiem.

Ojciec wykrzywia usta.

– Jakiś osad. Glista zostawiła to we włosach Kei.

Zaciska palce i resztkę mojej magii rozsypuje się w proch, a mnie uderza zapach żelaza i wina.

Zapach duszy Kei.

– Kiedy znajdziesz siostrę, skończysz z nią – mówi ojciec bardziej do siebie niż do mnie. – Poświęciłbym dla waszego bezpieczeństwa życie wielu osób, ale nie mogę jej wybaczyć tego, że przyczyniła się do śmierci Kei.

Opieram dłoń na rękojeści miecza i zmuszam się do przytaknięcia. Czuję się prawie tak, jakby już teraz wycinano mi nożem na plecach napis ZDRAJCA.

– Przykro mi. Wiem... – *Że była twoim słońcem.* – Wiem, jak wiele dla ciebie znaczyła.

Ojciec, pogrążony w sobie, obraca pierścień.

– Nie chciała jechać. Bała się, że to się może tak skończyć.

– Myślę, że bardziej niż śmierci bała się, że cię rozczaruje.

Jak my wszyscy. Teraz i zawsze.

A ja najbardziej.

– Co z nią zrobisz?

– Z kim?

– Z Zélie.

Ojciec spogląda na mnie spod zmarszczonych brwi.

Zapomniał, że ona ma imię.

– Lekarz się nią zajmuje. Pergamin ma jej brat. Jutro spróbujemy go odzyskać. A później ona go zniszczy.

– A potem? – naciskam.

– Potem umrze. – Ojciec zwraca się z powrotem ku mapie i wytycza palcem trasę. – Obwieziemy jej ciało po całej Oriszy ku przestrodze. A jeśli gdziekolwiek choć zatli się bunt, wybijemy wszystkich co do nogi. Od razu.

– A jeśli istnieje inny sposób? – odzywam się. Patrzę na miasta zaznaczone na mapie. – A gdybyśmy wysłuchali ich skarg? Wykorzystali dziewczynę jako ambasadorkę? Są ludzie... których ona kocha. Moglibyśmy wpłynąć na nią

poprzez nich. Mielibyśmy magiczkę, którą kontrolujemy. – Z każdym słowem czuję się coraz bardziej jak zdrajca, lecz widząc, że ojciec mi nie przerywa, mówię dalej. Nie mam wyboru. Muszę ją uratować za wszelką cenę. – Wiele zobaczyłem w trakcie tej wyprawy, ojczu. Teraz lepiej rozumiem ibawitów. Gdybyśmy poprawili ich sytuację, zdusilibyśmy bunt w zarodku.

– Mój ojciec też tak sądził.

Wciągam powietrze.

Ojciec nigdy nie mówi o swojej rodzinie.

Cała moja wiedza o niej opiera się na pałacowych plotkach.

– Chciał ich uwolnić od ucisku i zbudować lepsze królestwo. Ja też myślałem, że to możliwe, dopóki go nie zabili. Jego i wszystkich moich bliskich. – Ojciec kładzie mi zimną rękę na karku. – Wierz mi, nie ma innej drogi. Sam widziałeś, co tamten Ogniarz zrobił z własnym obozem.

Kiwam głową, choć wolałbym tego nie pamiętać. Trudno się z ojcem nie zgodzić, gdy ma się przed oczami ludzi palonych żywcem w ułamku sekundy, tak że nawet nie zdążyli krzyknąć.

Palce ojca wpijają mi się mocniej w skórę.

– Rozważ moje słowa i wyciągnij wnioski już teraz. Nim będzie za późno.
– To rzekłszy, obejmuje mnie.

Dziwne to uczucie, aż przechodzi mnie dreszcz niepokoju. Ostatni raz to zrobił, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Po tym, jak zraniłem Amari.

Człowiek, który potrafi zranic własną siostrę, może być wielkim królem.

Wtedy przez chwilę nawet poczułem dumę.

Byłem szczęśliwy, choć moja siostra krwawiła.

– Nie wierzyłem w ciebie. – Ojciec się cofa. – Nie sądziłem, że ci się uda. Ale uchroniłeś Oriszę przed niebezpieczeństwem. Będziesz wielkim królem.

Nie wiem, co powiedzieć, więc tylko kiwam głową. Ojciec wraca do swoich map. Ze mną już skończył. Wychodzę bez słowa.

No, poczuj coś, rozkazuję sobie. Ojciec dał mi wszystko, czego pragnąłem. Wreszcie uwierzył, że będę wielkim królem.

Lecz na korytarzu nogi się pode mną uginają. Osuwam się na podłogę.
Wszystko to nic niewarte, dopóki Zélie siedzi w celi spętana łańcuchami.

ROZDZIAŁ 67



INAN

Czekam, aż ojciec zapadnie w drzemkę.

Aż strażnicy zejdą z posterunku.

Siedzę w cieniu i patrzę. Wreszcie żelazne drzwi otwierają się z jękiem i lekarz opuszcza celę.

Twarz ma bladą ze zmęczenia, ubranie brudne od krwi. Jego widok umacnia mnie w moich zamiarach.

Znajdź ją. Uratuj.

Przecinam korytarz i wsuwam klucz do zamka. Otwierając drzwi, nastawiam się na straszny widok.

Ale nic nie mogło mnie przygotować na to, co widzę.

Zélie wisi bezwładnie, prawie martwo, jej podarta suknia jest przesiąknięta krwią. Coś we mnie pęka.

I pomyśleć, że ojciec uważa magów za zwierzęta.

Miotany wstydem i gniewem wybieram odpowiedni klucz. Tym razem nie chodzi o magię. Tym razem chodzi przede wszystkim o Zélie.

Rozpinam jej kajdany na kostkach i nadgarstkach, chwytam ją w ramiona i zakrywam jej usta. Gdy się budzi, tłumię jej okrzyk.

Ból Zélie przenika mnie na wskroś. Szwy założone przez lekarza już puszczają. Z ran sączy się krew.

– Nic nie czuję – mamrocze z ustami przyciśniętymi do mojej skóry.

Kładę ręce na bandażach, którymi obwiązano jej plecy.

– Poczujesz – uspokajam ją.

Co właściwie Zélie ma na myśli?

Jej umysł jest ścianą, na której raz po raz odgrywa się na nowo jej kaźń.

Ani śladu oceanu, jej ducha, zapachu morza. Widzę tylko cierpienie. Tkwi zamknięta w klatce bólu.

– Nie rób tego – mówi, gdy wspinamy się po pustych schodach. Jej paznokcie wpijają mi się w ramię. – I tak się zaraz wykrwawię. Zostaw mnie.

– Znajdziemy Uzdrowiciela.

Za rogiem rozlega się dźwięk strażniczych butów. Chowam się w pustym pomieszczeniu i czekam, aż przejdą. Zélie wstrząsa się i powstrzymuje krzyk. Przyciskam ją jeszcze mocniej.

Droga wolna. Wchodzimy po kolejnych schodach. Z każdym krokiem serce wali mi jak młotem.

– Zabiją cię – szepcze Zélie. – Ojciec cię zabije.

Udaję, że tego nie słyszę.

Nie mogę o tym teraz myśleć. Liczy się tylko jedno. Muszę ją wydos...

Najpierw dolatują nas krzyki.

Potem nadchodzi podmuch gorąca.

Gdzieś w górze potężny wybuch rozrywa mur twierdzy. Padamy na ziemię.

ROZDZIAŁ 68



AMARI

Cienista twierdza góruje nad Gombe niczym żelazny pałac. Każdy róg jest obsadzony żołnierzami, każdy metr ziemi bacznie obserwowany. Z sercem w gardle czekam, aż strażnicy patrolujący południowy mur odejdą. Będziemy mieli tylko pół minuty. Modlę się do bogów, aby to wystarczyło.

– Dasz radę? – szepczę do Femiego, odsuwając się od wybujałych krzewów kenkiliby, za którymi się kryjemy.

Odkąd dotknął kamienia słonecznego, Femi nie wie, co zrobić z rękami, splata je nerwowo, drapie się po brodzie i po krzywym nosie.

Kiwa twierdząco głową.

– Jestem gotowy. Trudno to wyjaśnić, ale czuję to.

– Dobrze. – Spoglądam z powrotem w kierunku patrolu. – Jak tylko znikną, ruszamy.

Gdy strażnicy skracają za róg, Femi i ja puszczamy się biegiem po wystrzyżonej trawie. Tzain, Kenjon i Imani podążają za nami, trzymając się cienia, by nie spostrzegł ich ktoś z góry. Choć wielu ibawitów z tożdu zadeklarowało chęć pomocy, jedynie Kenjon i członkowie jego drużyny odważyli się dotknąć pergaminu i wzbudzić swoją magię. Miałam nadzieję, że ich wsparcie wystarczy do zdobycia twierdzy, lecz nawet spośród tej piątki nie wszyscy nadają się do walki.

Chani okazała się Uzdrawicielką, a Ife obudził w sobie moc Poskramiacza. Uznaliśmy, że nie mogą wejść do twierdzy, gdyż byliby w niej bezbronni. Na szczęście Kenjon okazał się Ogniarzem, Femi Spajaczem, a Imani Kancerką. Nie jest to armia, na jaką liczyłam, ale może dzięki mocy kamienia

słonecznego okaże się wystarczająca.

– Piętnaście sekund – szepczę zdyszana, gdy docieramy do południowego muru.

Femi kładzie dłonie na chłodnym żelazie, wodzi po rowkach i płytkach z gracją oświeconego Spajacza. Próbuje coś wymacać, ale strasznie długo to trwa.

– Dziesięć sekund.

Femi zamyka oczy i przywiera cały do metalowej ściany.

– Pięć sekund!

Wtem powietrze gęstnieje. Dłoń Femiego zaczyna jaśnieć zielonym światłem. Metalowa ściana rozstępuje się jak woda.

Wbiegamy prędko do środka, starając się robić przy tym jak najmniej hałasu. Femi wślizguje się ostatni. Zaraz potem na zewnątrz rozlegają się ciężkie kroki. Udaje mu się zamknąć szparę na chwilę przed nadejściem patrolu.

Niebu dzięki.

Oddycham głęboko, napawając się pierwszym drobnym zwycięstwem. Weszliśmy do twierdzy.

Ale prawdziwa bitwa dopiero przed nami.

Nasze niespokojne twarze odbijają się w klingach wypolerowanych mieczy na ścianach. *To musi być zbrojownia...* Jeśli twierdza jest zbudowana na wzór tej w Lagos, znajdujemy się najpewniej w pobliżu kwatery dowódcy na górnym poziomie. A to znaczy, że cele więzienne muszą być niżej...

Gałka obraca się w drzwiach. Daję reszcie znak ręką, żeby się schowali. Drzwi do zbrojowni otwierają się z przeciągłym jękiem. Słyszę zbliżające się kroki strażnika, dostrzegam jego odbicie w połyskujących mieczach.

Śledzę go bacznie wzrokiem, liczę jego kroki. Jest blisko. Jeszcze chwila i...

– Teraz! – szepczę.

Tzain i Kenjon rzucają się na przeciwnika i przewracają go na ziemię. Kneblują go szmatką, a tymczasem ja prędko zamykam drzwi, żeby hałas nie

niósł się korytarzem. Gdy wracam, okrzyki żołnierza są już wytłumione przez knebel. Kucam przy nim, wysuwam ostrze i przytykam zimny metal do jego szyi.

– Spróbuj krzyknąć, a podetnę ci gardło.

Sama jestem zaskoczona jadem w moich słowach. Dotychczas słyszałam go tylko w głosie ojca. Ale ważne, że działa. Żołnierz ciężko przełyka ślinę.

Zrywam knebel.

– Magiczka. Gdzie ją trzymacie?

– C-co?

Tzain wyciąga siekiere i zawiesza ją groźnie nad głową strażnika.

– Cela jest w podziemiach! Trzeba zejść na sam dół. Ostatnia po prawej.

Femi pozbawia go przytomności tęgim kopniakiem w czoło. Strażnik upada ciężko na posadzkę, a my biegniemy ku drzwiom.

– Co teraz? – pyta mnie Tzain.

– Czekamy.

– Jak długo?

Zerkam na małą klepsydrę u szyi Kenjona. Przesypało się już ćwierć ziarenek. *Gdzie ta druga fala?*

– Powinni już atakować...

Ledwie wypowiadam te słowa, daleki grzmot wprawia w drżenie żelazo pod naszymi stopami. Wybuch wstrząsa całą twierdzą. Wpieramy się w ściany, osłaniamy głowy przed spadającymi mieczami. Na zewnątrz rozlegają się kolejne eksplozje, słychać okrzyki wartowników. Uchylam drzwi i patrzę przez szparę na przemykających żołnierzy. Biegną do walki z nieprzyjacielem, którego – mam nadzieję – nie znajdą.

Ibawici, którzy nie chcieli obudzić swoich mocy, zgodzili się walczyć na odległość. Używając alkoholu z baru, zrobiliśmy prawie pięćdziesiąt prostych bomb zapalających. Inni w tym czasie przygotowali proce do ich wystrzeliwania. Miało to umożliwić ibawitom atak z daleka i szybką ucieczkę na wierzchaczach, a nam – dzięki odwróceniu uwagi strażników – ucieczkę

z twierdzy.

Czekamy, aż dudniące kroki ucichną, po czym opuszczamy zbrojownię i kierujemy się w stronę schodów pośrodku twierdzy. Zbiegamy na dół w szaleńczym pędzie. Jeszcze kilka pięter i uwolnimy Zélie. Natychmiast wyruszymy dalej. W dwa dni dotrzemy na świętą wyspę i odprawimy rytuał.

Lecz w pewnej chwili drogę zastępuje nam grupka strażników. Unoszą miecze do ciosu. Nie mam wyjścia, muszę krzyknąć.

– Do ataku!

Pierwszy naciera Kenjon. Zionące od niego ciepło przeszywa mnie strachem. Pięść jarzy mu się czerwono; wyrzuca ją przed siebie, miotając ogień, który popycha trzech przeciwników na ścianę.

Femi używa swej magii do stopienia ostrzy strażników. Stają jak wryci. Wtedy do akcji wkracza Imani, nasza Kancerka, władająca bodaj najstraszniejszą bronią. Jej ciemnozielona energia spowija żołnierzy niczym jadowita chmura. Dotknięci chorobą, natychmiast zółkną na twarzach, osuwają się na podłogę.

Choć przybywa nowych strażników, rozpętane moce magów, teraz już całkiem instynktowne, wzmocnione dodatkowo siłą kamienia słonecznego, sieją spustoszenie.

– Chodźmy – mówię.

Korzystając z ogólnego zamieszania, Tzain przemyka się pod ścianą. Podążam za nim i we dwoje zbiegamy niżej na ratunek Zélie. Nikt nas teraz nie powstrzyma. Żaden żołnierz nam nie przeszkodzi. Z taką siłą zdołamy pokonać i armię. Możemy nawet stawić czoło...

Ojciec?

Król Saran, osłaniany przez strażników, biegnie korytarzem. Ogarnia wzrokiem bitewny zamęt, a po chwili jego brązowe oczy znajdują moje; wypatrzył mnie w gąszczu jak myśliwy zwierzyne. Wyraz osłupienia pojawia się na chwilę na jego twarzy i zaraz znika, ustępując miejsca nagłemu zrozumieniu – oraz furii.

– Amari!

Jego spojrzenie mrozi mi krew. Tym razem jednak trzymam w ręku miecz. Tym razem nie boję się atakować.

Bądź dzielna, Amari.

Głos Binty dźwięczy mi w uszach. Kałuża jej krwi staje mi przed oczyma. Mogę ją pomścić. Tu i teraz. Mogę zgładzić ojca. Podczas gdy magowie zajmą się strażnikami, mój miecz pozbawi króla głowy. To będzie kara za wszystkie rzezie, których się dopuścił, za wszystkie jego niewinne ofiary...

– Amari?

Tzain odwraca na chwilę moją uwagę, a ojciec znika za żelaznymi drzwiami na końcu korytarza. *Drzwiami, które Femi mógłby z łatwością stopić...*

– Co robisz?

Spoglądam na Tzaina, lecz nie otwieram ust. Nie pora na wyjaśnienia. Jeszcze przyjdzie czas na ojca.

Teraz muszę skupić się na ratowaniu Zélie.

ROZDZIAŁ 69



INAN

Kolejny huk. Przytulam Zélie do piersi. Twierdza drży w posadach, wszędzie wdziera się czarny dym. Wrzaski odbijają się echem od żelaznych ścian, przenikają przez osmolone drzwi.

Wbiegam do jednej z komnat i wyglądam przez zakratowane okno; choć mury fortecy stoją w ogniu, wroga nie widać. Słysząc za to krzyki płonących żołnierzy. Panterozce rozbiegają się w popłochu.

Chaos i pożoga.

Mimo woli przypominam sobie piekło rozpętane przez Kwamego. Kolejny atak magów. Oni triumfują, moi żołnierze giną.

– Nie!

Odbiegam od okna i wyglądam zza żelaznych drzwi. Z niższych pięter dobiegają potępięcze wrzaski. Ogień i zaraza szaleją, kładąc pokotem zastępy strażników.

Ci, którzy nacierają, giną w płomieniach Ogniarza. Ci, którzy próbują strzelać z łuków, padają ofiarą Spajacza: brodaty mag zawraca strzały i przebija nimi zbroje strzelających.

Ale najgorsza jest piegowata dziewczyna. Kancerka. Posłanka śmierci. Z jej dłoni buchają zielone kłęby zarazy. Wystarczy jeden wdech i żołnierze dostają spazmów.

Rzeź.

Tak, rzeź, nie bitwa.

Choć magów jest zaledwie troje, żołnierze są wobec nich bezsilni.

Wcześniej, w obozie, przynajmniej zaatakowali jako pierwsi. Tamten ich przedwczesny strach wydaje się teraz w pełni uzasadniony.

Ojciec miał rację...

Nie sposób temu zaprzeczyć. Oto ile są warte mrzonki o pokoju. Jeśli magia się odrodzi, moje królestwo zapłonie jak ta twierdza.

– Inan... – jęczy Zélie.

Czuję na dłoniach jej ciepłą krew. Dziewczyna będąca kluczem do przyszłości Orisy wykrwawia się w moich ramionach.

Brzemie obowiązku spowalnia mój krok, lecz nie mogę teraz słuchać niczego. Zélie musi przeżyć. Gdy już będzie bezpieczna, znajdę sposób na powstrzymanie magii.

Biegnę z nią pustym korytarzem wśród odgłosów toczącej się walki. Wchodzę po kolejnych schodach. Słyszę kolejny wybuch.

Twierdza się trzęsie, a ja się potykam. Upadamy razem, trzymam Zélie mocno, lecz tym razem z jej gardła wydobywa się okrzyk.

Przywieram do ściany i w tej samej chwili schodami wstrząsa kolejna eksplozja. Jak tak dalej pójdzie, Zélie wykrwawi się, zanim opuści mury twierdzy.

Mysł.

Zamykam oczy, przyciskam jej głowę do swojej szyi. Odtwarzam w pamięci układ twierdzy. Szukam drogi ucieczki. Nie zdołamy się przedrzeć przez strażników, magów i bomby. Ale wcale nie musimy... Oni przyszli po nią.

Żeby jej pomóc, trzeba pomóc im.

Cela! Podnoszę się. Tam będą jej szukać. Zélie krzyczy, kiedy zbiegamy po schodach. Jej krzyk miesza się z krzykami rannych i zabitych.

– Już blisko – szepczę na ostatniej prostej. – Wytrzymaj. Idą po ciebie. Wrócimy do celi. Zaraz Tzain cię...

Amari?

W pierwszej chwili nie poznaję siostry. Ta Amari, którą znam, boi się

własnego miecza.

A dziewczyna, którą teraz widzę, ma spojrzenie morderczyni.

Amari biegnie w naszą stronę, Tzain o krok za nią. Gdy na jej drodze staje uzbrojony strażnik, Amari szybkim cięciem rani go w udo. Tzain poprawia nokautującym ciosem w głowę.

– Amari! – wołam.

Staną. Na widok Zélie w moich ramionach rozdziawia usta. Podbiegają do nas z Tzainem. I wtedy dostrzegają krew.

Amari zakrywa usta dłonią, lecz jej przerażenie i tak jest niczym w porównaniu z przerażeniem Tzaina. Z jego ust wydobywa się głuchy odgłos – ni to jęk, ni to skowyt. Kurczy się w sobie. Jak na olbrzyma wydaje się teraz dziwnie mały.

Zélie odkleja głowę od mojej szyi.

– Tzain?

Jej brat upuszcza siekiere i podbiega. Podaję mu Zélie i widzę, że opatrunki na jej plecach nasiąkły krwią.

– Zél? – szepcze Tzain.

Rany Zélie wycierają spod luźnych bandaży. Powinienem był ich uprzedzić.

Ale czy można było ich przygotować na krwawy napis GLISTA wycięty na jej plecach?

Serce pęka mi na tysiąc kawałków. Mogę się tylko domyślać, co teraz czuje Tzain. Trzyma ją mocno. Trochę zbyt mocno. Ale to nie czas na zwracanie mu uwagi.

– Pospieszcie się – mówię. – Ojciec jest w twierdzy. Pojawią się nowi strażnicy. Coraz trudniej będzie wam uciec.

– Idziesz z nami?

Nadzieja w głosie Amari przeszywa mnie jak szklany odłamek. Na myśl o rozstaniu z Zélie robi mi się ciężko na sercu. Ale to nie moja walka. Nie mogę być po ich stronie.

Zélie spogląda na mnie; jej wilgotne oczy są pełne strachu. Kładę jej rękę

na czole. Parzy mnie.

– Znajdę cię – szepczę.

– Ale twój ojciec...

Kolejny wybuch. Korytarz wypełnia się dymem. Mury drżą.

– Biegnijcie! – krzyczę. – Uciekajcie, póki możecie!

Tzain z Zélie na rękach rusza przez dym i zgiełk. Amari się waha.

– Nie zostawię cię samego.

– Uciekaj – nalegam. – Ojciec nie wie, co zrobiłem. Postaram się was chronić.

To kłamstwo ją uspokaja. Amari kiwa głową i biegnie za Tzainem z mieczem w ręku. Opieram się ciężko o ścianę i patrzę, jak znikają na schodach, powstrzymując się, żeby nie podążyć za nimi. Wygrali bitwę. Spełnili swój obowiązek.

Moja walka o uratowanie Oriszy dopiero się zaczyna.

ROZDZIAŁ 70



ZÉLIE

Ucieczka z fortecy to jedna wielka rozmazana plama bólu i szaleństwa.

Przez cały czas ból rozrywa mi plecy; rany pieką żywym ogniem. Mam ciemno przed oczami, ale wiem, że wydostaliśmy się na zewnątrz, gdy gorąca duchota fortecy ustępuje miejsca chłodnej nocy. Podmuchy wiatru smagają mnie po rozciętej skórze, kiedy Najla unosi nas w bezpieczne miejsce.

Ci wszyscy ludzie...

Ci wszyscy magowie przyszli mi na ratunek. Co zrobią, gdy dowiedzą się prawdy? Gdy zrozumieją, że jestem okaleczona i bezużyteczna?

Staram się, jak mogę, by wśród ciemności poczuć przyływ magii. Ale żadna fala ciepła nie rozchodzi się po moich żyłach, nie wzbiera w sercu. Czuję tylko palący nóż strażnika. Widzę tylko czarne oczy Sarana.

Tracę przytomność, zanim moje obawy się urzeczywistnią. Gdy się budzę, twarde ręce podnoszą mnie z siodła.

Tzain...

Nigdy nie zapomnę tej rozpaczki na jego twarzy w tamtej chwili, kiedy mnie zobaczył. Przedtem tylko raz widziałam to spojrzenie: tuż po Obławie, gdy ujrział spętane łańcuchami ciało Mamy. Po tym wszystkim, co dla mnie uczynił, nie mogę znów stać się przyczyną jego rozpaczki.

– Trzymaj się, Zél – szepcze do mnie. – Już niedaleko. – Kładzie mnie na brzuchu i odsłania zmasakrowane plecy.

Na widok moich ran rozlega się zbiorowe westchnienie. Jakiś chłopiec zaczyna płakać.

– Przynajmniej spróbuj – odzywa się dziewczęcy głos.

– Ale... do tej pory leczyłam tylko skaleczenia i siniaki. A to...

Dotyk czyjejs ręki przeszywa mnie takim bólem, że cała się wstrząsam.

– Nie mogę...

– Do diabła, Chani – niecierpliwi się Tzain. – Zrób coś, zanim się wykrwawi!

– Spokojnie – odzywa się Amari. – Masz. Dotknij kamienia.

Znów się wzdrygam, czując na sobie dotyk, lecz tym razem ręce kobiety mnie ogrzewają, ciepłe jak sadzawki, które powstają wokół Ilorinu w czasie odpływu. Ciepło rozlewa się po moim ciele i uśmierza ból. Wreszcie mogę odetchnąć.

Moje ciało wyczuwa okazję do snu – i natychmiast się jej chwyta.

Czuję miękkość pod stopami i od razu wiem, gdzie jestem. Trzciny muskają mi skórę, nieopodal huczy wodospad. Kiedy indziej ten huk by mnie wabił.

Ale dziś napawa lękiem. Brzmi ostro, jak moje krzyki.

– Zélie?

Spostrzegam Inana, patrzy na mnie oczyma okrągłymi ze zmartwienia. Robi krok w moją stronę, lecz się zatrzymuje, jakby bał się, że jeśli podejdzie bliżej, rozsypię się na kawałki.

Chciałabym.

Osunąć się na ziemię i rozpłakać.

Ale jeszcze bardziej chcę ukryć przed Inanem, że jego ojciec mnie okaleczył.

Inan ma łzy w oczach. Spuszcza wzrok. Biorę z niego przykład, a moje palce u nóg chowają się w piasek.

– Przepraszam – mówi nie wiem już który raz. – Wiem, że powinnaś teraz odpoczywać, ale musiałem zobaczyć, czy z tobą wszystko...

– W porządku? – kończę za niego, choć rozumiem, dlaczego nie przeszło mu to przez gardło. Po tym, co mi się przydarzyło, nie wiem, czy

kiedykolwiek wszystko będzie ze mną w porządku.

– Znalazłaś Uzdrowiciela? – pyta.

Wzruszam ramionami. Tak, jestem uleczona. Tu, w jego śnie, moje plecy nie są naznaczone ludzką nienawiścią. Mogę udawać, że w moich żyłach wciąż płynie magia. Mówienie, czucie, oddychanie przychodzi mi z łatwością.

– Ja...

I nagle widzę przed sobą twarz, której spojrzenie przeszywa mnie bólem, jak rany na plecach.

Odkąd poznałam Inana, widziałam w jego bursztynowych oczach niejedno. Nienawiść. Strach. Skruczę. Dosłownie wszystko.

Ale nie to.

Nie litość.

Nie. Ogarnia mnie wściekłość. Nie pozwolę, by Saran odebrał mi również to. Chcę widzieć oczy, które patrzyły na mnie, jakbym była jedyną dziewczyną w całej Oriszy. Oczy, które mówiły, że razem możemy zmienić świat. A nie oczy, które widzą, że jestem pęknięta.

I że już nigdy nie będę cała.

– Zél...

Urywa, gdy przyciągam jego twarz do swojej. Dotyk Inana może mnie uwolnić od bólu. Jego pocałunek może sprawić, że będę znów tamtą dziewczyną, z którą kręcił się wśród drzew.

Dziewczyną, której nie wycięto na plecach słowa GLISTA.

Cofam się. Inan wciąż ma zamknięte oczy, tak jak po naszym pierwszym pocałunku. Teraz jednak twarz wykrzywia mu grymas.

Jakby ten pocałunek sprawił mu ból.

Choć nasze usta się zetknęły, czuję się inaczej. Inan nie głaszcze mnie po włosach, nie pieści kciukiem mojej wargi. Jego dłonie wiszą w powietrzu, jakby bały się poruszyć, jakby bały się coś poczuć.

– Możesz mnie dotknąć – mówię szeptem, ledwie opanowując drżenie głosu.

Inan marszczy czoło.

– Zél, nie chcesz tego.

Znów przyciągam jego usta do moich. Wciąga powietrze, rozluźnia mięśnie. Gdy nasze wargi się rozdzielają, przyciskam czoło do jego nosa.

– Nie wiesz, czego chcę.

Otwiera oczy i tym razem dostrzegam w nich przebłysk tamtego spojrzenia, za którym tęsknię. Widzę chłopaka, który chce mnie zabrać do swojego namiotu. Spojrzenie, które pozwala mi się łądzić, że wszystko będzie dobrze.

Dotyka palcami moich ust. Zamykam oczy, wystawiam jego wstrzemięźliwość na próbę. Wierzchem dłoni muska mnie po brodzie i...

Saran łapie mnie za brodę i zmusza, bym na niego spojrzała. Wzdrygam się pod jego dotykiem. Dotychczas spokojne oczy króla wybuchają gniewem.

Odpowiedz mi dla własnego dobra, dziecko.

– Zél?

Wpijam palce w kark Inana, żeby opanować drzenie rąk. Żeby nie krzyczeć.

– Zél, co się dzieje?

Do jego tonu znowu wkrada się troska, jak pająk przemykający wśród traw. Spojrzenie, którego tak bardzo mi teraz trzeba, znika.

Tak.

Jak.

Ja.

– Zél...

Całuję go z impetem, który przewycięża jego wahanie, pogardę, wstyd. Wtulam się w niego ze łzami na policzkach, rozpaczliwie pragnąc, by wszystko znów było tak jak wtedy. Przygarnia mnie mocno, próbuje być czuły, ale jego uścisk jest sztywny. Jakby wiedział, że jeśli mnie puści, to będzie koniec. Wiadomo, co nas czeka po drugiej stronie.

Dotyka moich pleców, chwyta mnie za uda. Cichy okrzyk więźnie mi w gardle. Każdy pocałunek zabiera mnie w inne miejsce, każda pieśczoła

odrywa od bólu i cierpienia.

Jego dłonie wędrują w górę moich pleców. Na milczącą prośbę obejmuje go nogami w pasie. Opuszcza mnie na posłanie z trzciny, kładzie ostrożnym, lecz płynnym ruchem.

– Zél... – szepcze.

To się dzieje zbyt szybko, ale nie możemy zwolnić. Bo kiedy sen pryśnie, wszystko się skończy. Uderzy mnie rzeczywistość, zimna, okrutna i niełaskawa.

Już nigdy nie będę mogła spojrzeć mu w twarz, nie widząc w niej twarzy Sarana.

I dlatego całujemy się, mocno spleceni, aż wszystko inne znika. Cały ból, wszystkie rany. Przez chwilę istnieję tylko w jego ramionach, żyję w cichej przystani jego czułych objęć.

Inan cofa się, w jego bursztynowych oczach miłość miesza się z cierpieniem. Ale odbija się w nich coś jeszcze. Coś twardszego. Może pożegnanie.

I wtedy uświadamiam sobie, że chcę to zrobić.

Potrzebuję tego.

– Nie przestawaj – mówię.

Inanowi na moment zamiera oddech. Choć pije mnie wzrokiem jak gąbka, wciąż wyczuwam w nim wahanie.

– Jesteś pewna?

Przyciągam go do siebie i uciszam powolnym pocałunkiem.

– Chcę tego. Potrzebuję cię.

Potem zamykam oczy. Inan przysuwa mnie bliżej, zagłusza mój ból swoją pieśczęcią. Przynajmniej na tych parę chwil.

ROZDZIAŁ 71



ZÉLIE

Najpierw budzi się moje ciało. Choć pieczenie trochę zelżało, plecy wciąż pulsują bólem. Wstając, krzywię się i zaciskam zęby. *Gdzie jestem? Co się dzieje?*

Patrzę na wzniesiony wokół mojego łóżka płócienny namiot. Umysł mam zasnuty mgłą, przez którą przebija się tylko wspomnienie pieszczot Inana. Na samą myśl serce trzepocze mi w piersi. Przez chwilę mam wrażenie, jakbym nadal była w jego ramionach, nadal czuła miękkość jego ust, silny uścisk rąk. Lecz jego słowa i łzy wydają się już bardzo odległe, jakby to wszystko wydarzyło się w innym życiu. Tamte trzciny, które łaskotały mnie w plecy, trzciny, których już nigdy nie zobaczę...

Jako król mam obowiązek ci przypomnieć, kim jesteś.

Zaciskam ręce na szorstkim prześcieradle. Przetacza się przeze mnie fala bólu. Tłumię w sobie jęk. Ktoś wchodzi.

– Nie śpisz!

To wysoka, piegowata magiczka o jasnobrązowej skórze, z mnóstwem białych warkoczyków na głowie. W pierwszej chwili cofam się przed jej dotykiem, lecz gdy przez moją bawełnianą tunikę przenika ciepło, oddycham z ulgą.

– Chani – przedstawia się. – Cieszę się, że odzyskałaś przytomność.

Jeszcze raz obrzucam ją spojrzeniem. Pamiętam jak przez mgłę, że widziałam kiedyś dwie podobne do niej dziewczyny na meczu agböna.

– Masz siostrę? – pytam.

Kiwa twierdząco głową.

– Bliźniaczkę. Identyczną, tylko brzydszą.

Próbuję wykrzesać uśmiech, ale nie mam siły.

– Czy bardzo ze mną źle?

Mój głos nie brzmi jak mój. Jest cichy. Pusty. Jak wyschnięta studnia.

– Och... na pewno z czasem...

Zamykam oczy, przygotowując się na bolesną prawdę.

– Udało mi się zszyć rany, ale... przypuszczam, że blizny zostaną.

Jako król mam obowiązek ci przypomnieć, kim jesteś.

I znów mam przed sobą oczy Sarana.

Zimne.

Bezduzne.

– Ale ja się dopiero uczę – dodaje prędko Chani. – Lepszy Uzdrawiciel na pewno sobie z nimi poradzi.

Kiwam głową, lecz wiem, że to bez znaczenia. Może i pozbędę się tego napisu, ale już nigdy nie pozbędę się tego bólu. Rozcieram odbarwiony i złuszczony nadgarstek, wgnieciony w miejscu, gdzie majacytowe kajdany wpijały się w skórę.

Kolejne ślady, które nigdy się nie zagoją.

Znów ktoś wchodzi. Odwracam głowę. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie oglądał.

– Zél?

Głos Tzaina brzmi krucho. Nie jak głos mojego brata. Słysząc w nim strach i wstyd.

Obracam się w jego stronę. Tzain cofa się w kąt namiotu. Zsuwam nogi z łóżka. Dla Tzaina zdołam okiełznać lęk. Powstrzymać łzy.

– Cześć – mówi.

Podchodzę do niego i choć plecy mnie szczypią przy najmniejszym ruchu, obejmuję go. Przytula mnie mocno, a ja nie protestuję mimo bólu; chcę mu pokazać, że nic mi nie jest.

– Porzuciłem cię – mówi wątłym głosem. – Wtedy, w czasie święta,

zezłościłem się i poszedłem. Nie myślałem... Nie wiedziałem...

Cofam głowę i przywołuję uśmiech na usta.

– Te rany tylko wyglądały tak strasznie.

– Ale twoje plecy...

– To nic poważnego. Kiedy Chani skończy, nie zostanie po nich żaden ślad.

Tzain zerka na Uzdrowicielkę, która na szczęście odpowiada uśmiechem. Brat znów mi się przygląda, bardzo chcąc uwierzyć w moje kłamstwo.

– Obiecałem Babie – szepcze. – Obiecałem Mamie...

– I dotrzymałeś słowa. Nie możesz mieć do siebie żadnych pretensji. Ja nie mam.

Zaciska szczękę, ale znów mnie przytula. Gdy rozluźnia mięśnie, oddycham głęboko.

– Wstałaś!

Mija chwila, zanim rozpoznaję Amari bez warkocza. Jej czarne włosy spływają teraz swobodnie w dół pleców. Kołyszą się na boki, gdy wchodzi do namiotu z kamieniem słonecznym w ręku, skąpana w jego cudownym blasku. We mnie jednak nic się nie porusza.

Serce omal mi nie pęka. *Co się stało?*

Kiedy ostatnim razem dotknęłam kamienia, wszystkie komórki mojego ciała żarzyły się gniewem Oi. Czułam się jak bogini. Teraz prawie nie ma we mnie życia.

Nie chcę myśleć o Saranie, lecz mój umysł znów powraca do lochów twierdzy.

Czy to możliwe, że ten łajdak wyciął ze mnie całą magię?

– Jak się czujesz?

Głos Amari wyrывa mnie z zamyślenia. Jej bursztynowe oczy patrzą bystro. Siadam na łóżku, by zyskać więcej czasu.

– Dobrze.

– Zélie... – Amari próbuje złowić moje spojrzenie, ale unikam jej wzroku. Ona nie jest jak Inan ani Tzain. Jej nie oszukam.

Chani wychodzi z namiotu, odsłaniając zachód słońca nad górami. Czerwona tarcza osuwa się między ostre szczyty na pomarańczowym horyzoncie.

– Jaki jest dzień? – przypomina mi się. – Jak długo tu leżałam?

Amari i Tzain wymieniają spojrzenia. Czuję, jak żołądek mi się przewraca. *To dlatego nie czuję magii...*

– Przegapiliśmy solstycjum?

Tzain opuszcza wzrok, Amari zagryza wargę.

– Jest jutro – odpowiada cicho.

Serce podskakuje mi do gardła. Chowam twarz w dłoniach. Jak dostaniemy się na wyspę? Jak mam odprawić rytuał? Mimo że nie czuję chłodu zmarłych, zaczynam szeptać w myślach zaklęcie. *Èmí àwọ̀n tí ó ti sùn, mo ké pè yín ní òní...*

Żołnierz gwałtownym ruchem kończy literę L. Z ust wylewa mi się żółć. Krzyczę na całe gardło. Lecz ból nie ustaje ani na moment...

Dłonie mnie pieką. Opuszczam wzrok i widzę, że wbiłam sobie w nie paznokcie. Rozwieram pięści i prędko wycieram krew, modląc się, by nikt nie zauważył.

Znów próbuję zaklęcia, lecz z piachu nie powstaje żaden duch. Straciłam swoją moc.

A co gorsza, nie wiem, jak ją odzyskać.

Ta myśl otwiera we mnie ziejącą dziurę, którą ostatni raz czułam w Ibadanie tuż po Obławie, patrząc, jak Baba zgina się pod ciężarem naszej tragedii. Zrozumiałam wtedy, że nic już nie będzie takie samo. Wracam pamięcią do wieczoru w Ibedzi, gdy po raz pierwszy rzuciłam zaklęcie. Przypominam sobie chwilę, gdy dotknęłam kamienia słonecznego i poczułam przypływ mocy, jakbym dotknęła ręki Oi. Ból, który mnie przeszywa, jest ostrzejszy niż sztylet, którym okaleczono mi plecy.

Jakbym straciła Mamę po raz drugi.

Amari siada w rogu łóżka. Odkłada kamień słoneczny. Tak bardzo bym chciała, żeby jego złote fale znów do mnie przemówiły.

– Co robimy?

Skoro wciąż jesteśmy pod masywem Olasimbo, od Zarii dzielą nas co najmniej trzy dni drogi. Nawet z pomocą magii, którą przecież utraciłam, nie dotarlibyśmy na czas do miasta, nie mówiąc już o samej wyspie.

Tzain patrzy na mnie, jak gdybym go spoliczkowała.

– Uciekajmy. Znajdźmy Babę i wynieśmy się z Oriszy.

Amari kiwa potakująco głową.

– Tzain ma rację. Nie chcę się wycofywać, ale mój ojciec na pewno wie, że przeżyłaś. Skoro nie mamy szans dostać się na wyspę, musimy przynajmniej znaleźć bezpieczne schronienie i się przegrupować. Poszukać innego sposobu na przeciwstawienie się...

– Co wy bredzicie?

Obracam głowę. Do namiotu wkracza chłopak prawie tak duży jak Tzain. Po chwili rozpoznaję białe loki zawodnika, z którym mój brat mierzył się kiedyś na boisku.

– Kenjon?

Spogląda w moją stronę bez cienia nostalgii.

– Miło, że wreszcie postanowiłaś się obudzić.

– Miło, że nadal jesteś dupkiem.

Łypie na mnie ponuro, po czym zwraca się do Amari:

– Powiedziałaś, że ona przywróci magię. A teraz chcecie uciec?

– Skończył nam się czas – odpowiada Tzain podniesionym głosem. – Droga do Zarii zajęłaby trzy dni...

– Albo pół dnia, jeśli pójdziemy przez Dżimetę.

– Nieba, ty znowu swoje...

– Ludzie oddali życie, żeby ją uratować! – krzyczy Kenjon. – A wy teraz chcecie zwać, bo strach was obleciał?

Amari wbija w niego wzrok, który mógłby skruszyć kamień.

– Nie masz prawa nazywać nas tchórzami! Gdybyś tylko wiedział, ile razy narażaliśmy życie!

– Ty mała...

– On ma rację – odzywam się w nagłym przystępie desperacji. Po tym wszystkim, co się stało, nie mogę znów stracić magii. – Została nam jedna doba. Jeśli dotrzemy do Dżimety i znajdziemy łódź... – *Jeśli odzyskam magię... jeśli zdołam się skomunikować z bogami...*

– Zél, nie. – Tzain schyla się do mojej wysokości, tak jak wtedy, gdy rozmawia z Babą. Ponieważ Baba jest delikatny. Kruchy. I ja teraz też taka jestem. – Wyprawa do Dżimety jest zbyt ryzykowna. Prędzej tam zginiemy, niż znajdziemy pomoc. A ty musisz odpoczywać.

– Musi ruszyć dupę.

Tzain w mgnieniu oka dopada Kenjona.

– Przestańcie! – Amari wpycha się między nich. – To nie czas na kłótnie. Skoro nie możemy się przedrzeć, musimy uciekać.

Zaczynają się nawzajem przekrzykiwać, ja tymczasem wpatruję się w kamień słoneczny. Jest na wyciągnięcie dłoni. Gdybym go tylko dotknęła...

Proszę cię, Oju, modlę się w duchu. Nie pozwól, żeby to był koniec.

Biorę głęboki oddech, szykuję się na spotkanie z duszą Niebiańskiej Matki, z ognistym duchem Oi. Moje palce ocierają się o gładką powierzchnię kamienia...

I nic się nie dzieje.

Kamień jest chłodny.

Nadzieja we mnie zamiera.

Jest gorzej niż przed moim przebudzeniem, zanim jeszcze dotknęłam pergaminu. Jakby cała moja magia ze mnie wyciekła i została w lochach twierdzy.

Przypominam sobie słowa Lekana. *Tylko mag połączony z Niebiańską Matką może dopełnić świętego rytuału.* Bez niego żaden inny mag nie zdoła nawiązać z nią łączności.

Beze mnie rytuał nie może się odbyć.

– Zélie?

Podnoszę wzrok. Wszyscy na mnie patrzą, jakby oczekując ostatecznej decyzji.

To koniec. Powinnam im powiedzieć.

Ale choć otwieram usta, nie mogę znaleźć odpowiednich słów. Po wszystkich naszych poświęceniach i sukcesach mielibyśmy się teraz poddać?

– Ruszajmy w drogę – mówię słabo, żałując, że nie jestem w stanie powiedzieć tego dobitniej. Musi się udać. Nie pozwolę, żeby to się tak zakończyło.

Niebiańska Matka mnie wybrała. Posłużyła się mną. Oderwała od wszystkiego, co było dla mnie ważne. Nie może mnie teraz porzucić.

Nie może mnie zostawić z samymi bliźniami na pamiątkę.

– Zél...

– Wycięli mi na plecach słowo „glista” – mówię przez zęby. – Ruszajmy. Zrobię wszystko, żeby nie zwyciężyli.

ROZDZIAŁ 72



ZÉLIE

Po kilku godzinach przeprawy przez las otaczający góry Olasimbo na horyzoncie pojawia się Dżimeta. Twarda i ostra jak jej osławieni mieszkańcy, wystawia swoje klify ku morzu Lokodża. Fale roztrzaskujące się o ich podnóże są niczym znajoma pieśń. Choć wałą i huczą jak grzmoty, już sama bliskość wody mnie uspokaja.

– Pamiętasz, jak chciałaś tu zamieszkać? – pyta mnie Tzain.

Kiwam głową z czymś w rodzaju uśmiechu. Miło jest poczuć przez chwilę coś innego – pomyśleć o czymś bez związku z naszym karkołomnym planem.

Po Obławie nalegałam, żebyśmy się przenieśli do Dżimety. Wydawało mi się, że tylko w tej enklawie bezprawia będziemy bezpieczni. Choć nasłuchiwałam się historii o tamtejszych najemnikach i rzezimieszkach, w mojej dziecięcej wyobraźni nic nie mogło przyćmić uroku życia w mieście, w którym nie ma strażników. Przynajmniej ludzie próbujący nas zabić nie nosiliby oriszańskie pieczęci.

Mijając powciskane w klif chałupy, zastanawiam się, jak wyglądałoby teraz nasze życie. Drewniane drzwi i okna sterczą ze skalnej ściany, jakby z niej wyrosły. Skąpane w blasku księżyca miasto bandytów sprawia wrażenie spokojnego. Gdyby nie czający się na każdym rogu najemnicy, byłabym nawet gotowa uznać je za piękne.

Zachowuję kamienną twarz, kiedy przechodzimy obok grupki zamaskowanych mężczyzn. Ciekawe, czym się trudnią. Z tego, co mi opowiadano, można tu znaleźć pełen wachlarz przestępców, od pospolitych złodziejasków po płatnych skrytobójców. Plotka głosi, że jedynym sposobem

na wydostanie się z dybów jest zatrudnienie najemnika, który odbija ludzi z niewoli. Tylko tutejsi są na tyle silni i chytry, by rzucić wyzwanie wojsku i przeżyć.

Najla warczy cicho na widok następnej grupki zamaskowanych kobiet i mężczyzn, ibawitów i kosidan, Oriszan i cudzoziemców. Obrzucają wzrokiem jej grzywę, zapewne próbując ją wycenić. Gdy jeden z nieznanym robi krok w naszą stronę, posyłam mu groźne spojrzenie.

Tylko spróbuj, mówią moje oczy. Współczuję biedakowi, który postanowi dziś ze mną zadrzeć.

– To tutaj? – pytam, gdy zatrzymujemy się przed wielką pieczarą u podnóża klifu. Wnętrze tonie w ciemnościach.

Kenjon kiwa twierdząco głową.

– Mówią o nim Srebrnooki Lisielec. Podobno gołymi rękoma załatwił generała z Gombe.

– A czy ma łódź?

– Najszybszą. Z napędem wiatrowym, z tego, co pamiętam.

– Dobra. – Zaciskam palce na cuglach Najli. – Chodźmy.

– Czekaj. – Kenjon zatrzymuje nas gestem. – Nie można tak po prostu wtargnąć z własną bandą do siedziby klanu. Tylko jedno z nas może wejść.

Nastaje moment wahania. *Cholera*. Nie jestem na to gotowa.

Tzain sięga po swoją siekiere.

– Ja pójdę.

– Dlaczego? – pyta Kenjon. – Cały plan kręci się wokół Zélie. To raczej ona powinna iść.

– Oszalałeś? Nie puszczę jej tam samej.

– Przecież nie jest bezbronna. Ze swoją magią zdoła więcej niż którykolwiek z nas.

– On ma rację. – Amari kładzie Tzainowi rękę na ramieniu. – Może kiedy zobaczą jej magię, będą bardziej skłonni do pomocy.

Powinnam teraz przytaknąć. Powiedzieć, że się nie boję. Co to dla mnie –

namówić bandę wojowników do współpracy. Od czego mam swoją magię?

Żołądek się we mnie przewraca, poczucie winy zjada mnie od środka. Czułabym się znacznie lepiej, gdyby choć jedna osoba wiedziała, że nie ma co na mnie liczyć.

Los naszej magii leży wyłącznie w rękach bogów.

– Nie. – Tzain kręci głową. – To zbyt niebezpieczne.

– Dam radę. – Oddaję bratu cugle.

Musi się udać. Cokolwiek by się działo, nie wolno mi tracić wiary w plan Niebiańskiej Matki.

– Zél...

– On ma rację. Spośród nas wszystkich to ja mam największą szansę ich przekonać.

Tzain robi krok do przodu.

– Nie puszczę cię samej.

– Tzain, potrzebujemy tych wojowników. Potrzebujemy ich łodzi. A nie mamy nic do zaoferowania w zamian. Jeśli chcemy dotrzeć do świątyni, lepiej uszanujmy ich reguły.

Wręczam Amari sakwę z trzema artefaktami. Zostawiam sobie tylko kij. Dotykam wyrytych na nim znaków i biorę głęboki wdech. Modlę się milcząco do Oi.

– Nie martwcie się. Jeśli będę potrzebowała pomocy, usłyszycie mój krzyk.

Wchodzę do jaskini. W powietrzu wisi chłodna wilgoć. Zbliżam się do ściany i wiodę dłonią po gładkich wypukłościach, biorąc skałę za przewodnika. Ostrożnie stawiam kroki. Dobrze jest wreszcie trochę się poruszać, a nie tylko czytać w kółko ten przeklęty pergamin z opisem rytuału, którego może nawet nie będzie mi dane odprawić.

U sufitu pieczary dostrzegam olbrzymie niebieskie kryształy, podobne do stalaktytów, zwieszające się tak nisko, że niektóre prawie dotykają ziemi. Sącające się z ich wnętrza nikłe światło rozjaśnia skupiska dwuogonich nietopierzców, które zdają się śledzić moje ruchy. Ich piski, z początku rozbrzmiewające w zupełnej ciszy, z czasem zaczynają ginąć w gwarze

rozmów mężczyzn i kobiet zebranych przy ognisku.

Przystaję i rozglądam się po ich zdumiewająco obszernej siedzibie. Ziemia opada tutaj w kotlinę pokrytą mchem, z którego najemnicy zrobili sobie poduszki. Promienie światła ze szczelin w suficie rozjaśniają wyciosane stopnie prowadzące jeszcze dalej w głąb klifu.

Robię kolejnych kilka kroków do przodu i nagle rozmowy cichną.

Bogowie, miejcie mnie w swej opiece.

Zanurzam się w tłum. Dziesiątki ubranych na czarno najmitów, siedzących na mniejszych i większych głazach, łypią na mnie z wrogością. Jedni sięgają po broń, drudzy przybierają bojowe pozy. Część patrzy na mnie, jakby chciała mnie zabić, reszta – jakby chciała mnie pożreć.

Ignoruję zaczepne spojrzenia, szukając szarych oczu w morzu brązu i bursztynu. Ich właściciel pojawia się z przodu jaskini – jako jedyny nie jest zamaskowany. Tak jak reszta ma na sobie czarne ubranie, tylko szyję zdobi mu ciemnoczerwona chusta.

– To ty? – szepczę z niedowierzaniem. Nawet nie próbuję ukryć zdumienia.

Piaskowa karnacja, uderzające stalowoszare oczy. *Kieszonkowiec...* Złodziej z osady magów. Choć od naszego pierwszego spotkania wcale nie minęło wiele czasu, mam wrażenie, jakby to była wieczność.

Roën zaciąga się powoli papierosem, a jego skośne oczy taksują mnie z góry na dół. Siada i opiera się o kamienną strukturę przypominającą tron. Lisielczy uśmiech wypełza mu na twarz.

– Mówiłem, że jeszcze się spotkamy. – Znów się zaciąga i niespiesznie wydycha dym. – Szkoda tylko, że w nieodpowiednich okolicznościach. Chyba że przychodzisz dołączyć do mnie i moich ludzi.

– To są twoi ludzie?

Roën na oko jest zaledwie parę lat starszy od Tzaina. Choć ma budowę wojownika, ludzie, którymi dowodzi, są od niego dwa razy więksi.

– Bawi cię to? – Jego cienkie usta unoszą się w krzywym uśmiechu. Pochyla się do przodu na kamiennym tronie. – A wiesz, co mnie bawi? Mała nieuzbrojona magiczka w mojej jaskini.

– Kto powiedział, że jestem nieuzbrojona?

– Nie wyglądasz mi na kogoś, kto umie władać mieczem. Oczywiście jeśli właśnie po to przyszłaś, z przyjemnością udzielę ci paru lekcji.

Jego rubaszny ton wywołuje śmiech kamratów. Czuję, jak krew napływa mi do policzków. Jestem dla niego łowną zwierzyną. Jeszcze jedną ofiarą, którą można z łatwością okraść.

Omiotam jaskinię wzrokiem, przyglądam się najemnikom. Jeśli nasz plan ma się powieść, muszę zdobyć szacunek tego człowieka.

– To bardzo uprzejme z twojej strony – odpowiadam bez mrugnięcia okiem. – Ale to ja zamierzałam służyć ci swoją wiedzą.

Roën wybucha serdecznym śmiechem, który odbija się od ścian pieczary.

– Mów dalej.

– Potrzebuję ciebie i twoich ludzi do misji, która może zmienić Oriszę.

Najmici znów parskają wesoło, lecz ich herszt tym razem się nie śmieje. Pochyla się głębiej.

– Na północ od Dżimety leży święta wyspa – ciągnę. – O całą noc drogi statkiem. Muszę się tam dostać przed jutrzejszym wschodem słońca.

Roën odchyła się na kamienne oparcie.

– Jediną wyspą na morzu Lokodża jest Kaduna.

– Wyspa, o której mówię, pojawia się tylko raz na sto lat.

Znów rozlegają się drwiące śmiechy, lecz Roën ucina je gestem.

– Co jest na tej wyspie, tajemnicza magiczko?

– Klucz do przywrócenia magii na dobre. Wszystkim magom w Oriszy.

Kolejna salwa śmiechu i drwin. Najemnicy krzyczą do mnie, żebym wracała do domu. Przysadzisty mężczyzna występuje naprzód. Pod jego czarnym ubraniem prężą się muskuły.

– Dość tych łgarstw – odzywa się niskim głosem. – Marnujesz nasz czas. Roën, wygoń ją stąd albo ja to... – Kładzie mi rękę na plecach i znów ból przeszywa mi rany.

Na chwilę przenoszę się z powrotem do celi w podziemiach twierdzy...

Szarpię zardzewiałymi kajdanami, które kaleczą mi nadgarstki. Mój krzyk odbija się echem od metalowych ścian.

A Saran przez cały czas spokojnie przygląda się mojej udreće.

– Aaa!

Przerzucam mężczyznę przez ramię – ląduje z hukiem na skalnej podłodze. Dźgam go kijem w mostek, jednak nie napieram zbyt mocno, żeby mu niczego nie złamać. Krzyczy głośno, ale nie jest w stanie zagłuszyć wrzasków, które nadal rozbrzmiewają w mojej głowie.

Cała jaskinia wstrzymała oddech. Pochyliam się nad biedakiem i kładę mu koniec kija na gardle.

– Spróbuj mnie jeszcze raz dotknąć – rzucam przez wyszczerzone zęby – a pożałujesz.

Gdy go puszczam, wzdryga się nerwowo i prędko się odsuwa. Teraz nikt już się nie śmieje.

Mój kij do nich przemówił.

Szare oczy Roëna patrzą z jeszcze większym rozbawieniem niż do tej pory. Gasi papierosa i podchodzi do mnie na długość jednego palca. Spowija mnie zapach dymu, słodki jak mleko z miodem.

– Nie ty pierwsza się na to porywasz, słonko. Kwame też chciał przywrócić magię. Z tego, co wiem, nie poszło mu zbyt dobrze.

Dźwięk imienia Kwamego przyprawia mnie o bolesny skurcz w sercu. Przypominam sobie, jak on i Roën rozmawiali o czymś w obozie ibawitów. Pewnie już wtedy się przygotowywał. Od początku przeczuwał, że będzie musiał stanąć do walki.

– Teraz to co innego. Znam sposób na przywrócenie mocy wszystkim magom za jednym zamachem.

– O jakiej zapłacie mówimy?

– Nie mam złota – odpowiadam. – Ale zyskasz przychyłność bogów.

Roën prycha.

– Da się to jakoś policzyć?

Jemu trzeba czegoś więcej. Łamię sobie głowę, szukając lepszego kłamstwa.

– Bogowie skrzyżowali nasze ścieżki. Dwa razy. To nie przypadek, że spotykamy się znowu. Wybrali cię, bo chcą, żebyś im pomógł.

Chytry uśmieszek po raz pierwszy znika z jego twarzy. Minę ma teraz poważną, z jego spojrzenia, pozbawionego figlarnych błysków, nie sposób cokolwiek wyczytać.

– Mnie by to może wystarczyło, słonko, ale moi ludzie oczekują czegoś więcej niż boskiego wstawiennictwa.

– W takim razie niech wiedzą, że jeśli nam się uda, zostaniesz sługą przyszłej królowej Oriszy. – Słowa te same znalazły ujście, nie zdążyłam się nawet zastanowić, ile w nich prawdy. Tzain wspomniał, że Amari chce się ubiegać o tron, lecz tyle się potem działo, że nie miałam kiedy o tym pomyśleć.

Teraz chwytam się tej wizji jak tonący brzytwy. Jeśli Roën i jego ludzie odmówią nam pomocy, nie dotrzemy na wyspę.

– Królewscy najemnicy – rozmyśla na głos. – To całkiem niezłe brzmi, co?

– Owszem. – Kiwam głową. – Powiedziałabym nawet, że pobrzękuje złotem.

Kąciki jego ust podnoszą się w chytrym uśmiechu. Raz jeszcze mierzy mnie wzrokiem.

Wreszcie wyciąga rękę. Kiedy ją ściskam, muszę walczyć ze sobą, żeby się szeroko nie uśmiechnąć.

– To kiedy ruszamy? – pytam. – Musimy dotrzeć na wyspę przed świtem.

– Wyruszymy natychmiast. Ale nasza łódź jest mała – dodaje z uśmiechem.
– Będziesz musiała siedzieć obok mnie.

ROZDZIAŁ 73



ZÉLIE

Płyniemy łodzią Roëna po morzu Lokodża w ciszy pełnej wiatru. Inaczej niż wielkie okręty z areny w Ibedzi, jego statek jest mały i zgrabny, tylko parę metrów dłuższy od Najli. Zamiast żagli ma turbiny wiatrowe z metalu. Pchają nas przez wzburzoną wodę, obracając się i szumiąc.

Zapieram się o Tzaina i Amari, gdy kolejna duża fala uderza o stalowy kadłub. Morze Lokodża, w przeciwieństwie do morza Warri, nad którym leży Ilorin, jest fosforyzujące; pod wodą plankton świeci niebiesko, przez co morze skrzy się jak rozgwieżdżone niebo. Łatwiej byłoby podziwiać ten widok, gdyby w łodzi nie było tak ciasno. Siedzimy wciśnięci między drużynę Kenjona a najemników Roëna, ramię w ramię z ludźmi, którym nie możemy do końca ufać.

Zapomnij o nich, mówię sobie i spoglądam ku oceanowi, wystawiając twarz na znajomą słońną mgiełkę. Gdy zamykam oczy, prawie mogę sobie wyobrazić, że wróciłam do Ilorinu i znów łowię ryby z Babą. Cofam się do czasów, gdy moim największym zmartwieniem był egzamin końcowy u Mamy Agby.

Patrzę na swoje dłonie i myślę o wszystkim, co się wydarzyło od tamtego czasu. Sądziłam, że tuż przed solstycjum znów coś poczuję, ale w moich żyłach nadal nie płynie ani odrobina magii.

Oju, proszę. Modlę się z dłońmi zaciśniętymi w pięści. *Niebiańska Matko. Wszyscy bogowie. Ufam wam.*

Obym się nie przeliczyła.

– Wszystko w porządku? – szepcze Amari. Jej głos jest łagodny, ale bursztynowe oczy patrzą przenikliwie.

Kiwam twierdząco głową.

– Tylko mi zimno.

Amari marszczy brwi, ale nie wnika. Splata swoje palce z moimi i spogląda z powrotem ku morzu. Jej dotyk jest czuły. Wyrzumiąły. Jakby znała prawdę.

– Szefie, mamy towarzystwo.

Obracam głowę i dostrzegam na horyzoncie sylwety wielkich trzymasztowych okrętów wojennych. Jest ich tak wiele, że trudno zliczyć. Drewniane bestie prują wodę, z daleka widać wzmocnione metalem otwory armatnie. Choć spowija je morska mgła, księżycowy blask oświetla pieczęć Oriszy. Strach ściska mi płuca. Zamykam oczy, odpychając od siebie ten obraz.

Gorące powietrze potęguje ból, gdy nóż rozpruwa mi plecy. Krzyczę i krzyczę, ale ciemność nie nadchodzi. Czuję krew na języku...

– Zél?

Twarz Amari wyłania się z czerni nocy. Ściskam dłoń dziewczyny tak mocno, że aż strzelają jej kości. Otwieram usta, żeby ją przeprosić, ale nie mogę wydobyć z siebie ani słowa. W krtani wzbiera mi szloch.

Amari obejmuje mnie ramieniem i zwraca się do Roëna:

– Możemy im uciec?

Roën wyjmuje z kieszeni rozkładaną lunetę i unosi ją do oka.

– Ten to nie problem, gorzej z flotyllą, która płynie za nim.

Podaje mi lunetę, lecz Amari prędko ją przechwytuje. Widzę, jak cała sztywnieje, gdy przez nią spogląda.

– Nieba – wyrywa jej się. – Okręty ojca.

Znów ukazują mi się na moment zimne oczy Sarana. Odwracam się i chwytając za drewnianą burzę, spoglądam w morze.

Jako król mam obowiązek ci przypomnieć, kim jesteś.

– Ile? – wyrzucam z siebie, choć tak naprawdę nie o to chcę zapytać.

Ilu jego żołnierzy jest na tych statkach?

Ilu tylko czeka, by znów mnie okaleczyć?

– Co najmniej dwanaście – odpowiada Amari.

– Zmieńmy kurs – proponuje Tzain.

– Bzdura. – W szarych oczach Roëna znów pojawia się psotny błysk. –
Przejmijmy najbliższy okręt.

– Nie – sprzeciwia się Amari. – To nas wyda.

– Musimy coś zrobić. A wygląda na to, że płyną tam, gdzie my. Proponuję,
żebyśmy dostali się na wyspę ich okrętem.

Patrzę na te ogromne statki wśród niespokojnych fal. Gdzie jest Inan? Jeśli
któryś z tych okrętów płynie Saran, czy Inan mu towarzyszy?

Aż się boję wypowiedzieć tę myśl na głos. Zanoszę do nieba kolejną
bezgłośną modlitwę. Jeśli choć jeden bóg mi sprzyja, nigdy więcej nie będę
musiała stanąć przed Inanem.

– Zróbmy to – mówię. Dziesiątki oczu zwracają się w moją stronę, lecz ani
na chwilę nie odrywam wzroku od morza. – Skoro wszyscy płyną w kierunku
wyspy, musimy ich przechytrzyć.

– Otóż to – przytakuje mi Roën. – Käto, bierzemy kurs na najbliższy okręt.

Łódź przyspiesza, a moje serce razem z nią. Wali z taką siłą, jakby chciało
się wyrwać z piersi. Jak mam stawić czoło Saranowi? Na co się przydam bez
magii?

Drżącymi rękoma chwytam kij i rozkładam go szarpnięciem.

– Co robisz?

Podnoszę wzrok i widzę przed sobą Roëna.

– Musimy przejąć okręt.

– Słonko, to tak nie działa. Wynajęłaś nas do tej roboty. Pozwól, że sami ją
wykonamy.

Amari i ja wymieniamy się spojrzeniami, po czym jeszcze raz spoglądamy
w stronę wielgachnego statku.

– Naprawdę myślisz, że poradzicie sobie bez naszej pomocy?

– Samo przejęcie okrętu to nie problem. Pytanie, ile nam to zajmie czasu.

Daje znak dwóm swoim ludziom, a ci wyjmują kuszę z liną zakończoną hakiem. Roën unosi pięść, zapewne po to, by dać sygnał do ataku, lecz nie robi tego, tylko zwraca się do mnie.

– Jakie są twoje granice?

– Słucham?

– Co nam wolno, a czego nie? Osobiście preferuję szybkie podrzynanie gardeł, ale na morzu wchodzi też w grę topienie.

Łatwość, z jaką mówi o pozbawianiu ludzi życia, przyprawia mnie o ciarki. To spokój człowieka, który nie boi się niczego. Spokój, który widziałam w oczach Sarana. Nie potrafię teraz wyczuwać duchów zmarłych, ale boję się pomyśleć, ile ich krąży wokół Roëna.

– Żadnych ofiar – odpowiadam ku własnemu zaskoczeniu. Nie mam jednak wątpliwości, że to słuszna decyzja. I tak przelano już dość krwi. Bez względu na to, czy nasza misja zakończy się zwycięstwem, czy klęską, ci żołnierze nie muszą ginąć.

– Psujesz całą zabawę! – rzuca jękliwie Roën, po czym zwraca się do swoich ludzi: – Słyszeliście ją. Unieszkodliwiamy delikwentów, ale mają się z tego wylizać.

Paru najmitów przeklina pod nosem, a mnie drży serce. Jak często śmierć jest ich pierwszą odpowiedzią na każdy problem? Nie mam czasu, by zadać to pytanie na głos, bo Roën prostuje dwa palce w uniesionej pięści.

Kusza wyrzuca pocisk i przebija nim drewniany kadłub okrętu.

Największy człowiek Roëna przewiązuje liną swoje potężne cielsko.

Käto wstaje od steru i kieruje się w stronę naprężonego sznura.

– Przepraszam – mruczy po oriszańsku, przeciskając się obok mnie.

Choć maska zakrywa większość jego twarzy, dostrzegam podobieństwo między nim a Roënem w kolorze skóry i kształcie oczu. Jednak Käto, w przeciwieństwie do swojego herszta szydercy, sprawia jak dotąd wrażenie człowieka poważnego i serdecznego.

Podchodzi do naciągniętej liny i szarpie nią, by sprawdzić, czy dobrze trzyma. Potem wskakuje i oplata ją nogami. Patrzą z niedowierzaniem, jak

sunie po niej z prędkością lisielca. W parę sekund znika za burtą i wtapia się w czerń okrętu.

Dolatuje nas jedno, a potem drugie ciche stęknienie. Chwilę później Kăto znów się pojawia i daje nam znak. Gdy wszyscy jego ludzie przedostają się na okręt, Roën przywołuje mnie gestem.

– Graj ze mną w otwarte karty, tajemnicza magiczko. Co mi dadzą bogowie w zamian za ten statek? Będę mógł sobie zażyczyć konkretnej nagrody czy oni już wiedzą, co to będzie?

– To tak nie działa...

Lecz Roën mówi dalej:

– A może muszę im zaimponować? – Nasuwa maskę. – Co powiesz na to, żebym oczyścił ten pokład w pięć minut?

– Najpierw musisz przestać gadać.

Oczy zwięzają mu się w otworach maski. Nie wątpię, że skrywa pod nią lisielczy uśmiech. Puszczą do mnie oko i wspina się na pokład. Zostajemy w łodzi z jednym najemnikiem, na którym jest zawiązana lina.

Cmokam językiem.

– To jakiś żart – mówię.

Pięć minut na takiego kolosa? Sam pokład pomieściłby pewnie całą armię. Będzie dobrze, jeśli w ogóle uda im się go przejąć.

Siedzimy wśród nocy, wzdrygając się na dolatujące z góry nikłe okrzyki i jęki, które jednak po jakimś czasie milkną.

Tzain mamrocze:

– Naprawdę myślicie, że w kilkunastu opanują cały o... – Przerywa na widok cienia ześlizgującego się po linie.

Roën ląduje na łodzi z głuchym odgłosem i zdejmuje maskę, odsłaniając chytry uśmiezek.

– Udało się? – pytam.

– Niestety nie – odpowiada z westchnieniem i pokazuje mi maleńką klepsydrę. – Sześć minut. Siedem w zaokrągleniu. Ale gdybyś pozwoliła nam

zabijać, spokojnie zmieścilibyśmy się w pięciu!

Tzain krzyżuje ramiona.

– Nie wierzę.

– Sam się przekonaj, bracie. Drabina!

Ignorując ból pleców, chwytam drabinę przerzuconą przez burtę okrętu i wspinam się po niej na górę. *Pewnie sobie żartuje.* Znów gierki, znów kłamstwa.

Lecz wdrapawszy się na pokład, nie wierzę własnym oczom: kilkudziesięciu królewskich strażników, rozebranych z mundurów, leży związanych sznurem od stóp do głów.

Widząc, że nie ma wśród nich Inana ani Sarana, wypuszczam powietrze, które bezwiednie wstrzymywałam. Z nimi raczej nie poszłoby ludziom Roëna równie łatwo.

– To nie wszyscy. Część jest pod pokładem – szepcze mi do ucha Roën.

Tym razem nawet ja się uśmiecham. Zaraz szybko przewracam oczami, lecz herszt najemników dostrzegł cień uznania i cały promienieje. Skromnie wzrusza ramionami i strzepuje z nich niewidzialny kurz.

– No cóż, czego innego się spodziewać po wybrańcu bogów? – Po chwili poważnieje, przybiera minę kapitana, który bierze się do roboty. – Dajcie tych ludzi na dół. Sprawdźcie, czy nie ma tam narzędzi, których mogliby użyć do ucieczki. Rehema, utrzymaj okręt na kursie. Käto, popłyniesz łodzią za nami. W tym tempie powinniśmy dotrzeć na wyspę o brzasku.

ROZDZIAŁ 74



INAN

Minęły dwa dni.

Dwa dni bez niej.

Pod jej nieobecność morskie powietrze jest cięższe.

Każdy powiew szepcze jej imię.

Patrząc za burtę okrętu, wszędzie widzę Zélie. Odbija się we wszystkim jak w lustrze. Jej uśmiech prześwieca przez księżyc, jej duch wędruje z wiatrem. Bez niej cały świat jest wspomnieniem.

Księgą bezpowrotnie utraconego.

Zamykam oczy i przypominam sobie nasze ostatnie wspólne chwile wśród trzcin. Nie wiedziałem, że można tak idealnie pasować do czyichś ramion.

W tamtym momencie – przez jedną doskonałą chwilę – magia była piękna. Nie była przekleństwem, lecz darem.

Zawsze nim jest w obecności Zélie.

Ściskam w dłoni brązową monetę, którą od niej dostałem, ściskam ją mocno, jakby to był kawałek jej serca. Trochę mnie korci, żeby ją rzucić do wody, ale nie potrafię się zdobyć na to ostateczne rozstanie.

Nie miałbym nic przeciwko temu, by na zawsze pozostać w tamtym śnie. Zrezygnowałbym ze wszystkiego. Nie wahałbym się ani chwili.

Ale się zbudziłem.

A kiedy otworzyłem oczy, wiedziałem, że nie ma już powrotu do tego, co było.

– Rozglądasz się?

Podskakuję. Ojciec staje u mojego boku. Jego oczy wydają się czarne jak noc.

I tak samo jak noc zimne.

Odwracam głowę, żeby ukryć przed nim tęsknotę, którą noszę na dnie duszy. Ojciec może i nie jest Konektorem, ale jeśli wyczuje we mnie wahanie, spotka mnie natychmiastowa kara.

– Myślałem, że śpisz – wyduszam.

– Nigdy. – Kręci głową. – Nie przed bitwą. Ty też nie powinieneś.

Oczywiście. Każda chwila jest szansą. Okazją do kontrataku. Łatwiej by mi się to wszystko planowało, gdybym miał pewność, że postępuję słusznie.

Ściskam brązową monetę jeszcze mocniej, aż krawędzie wpijają mi się w dłoń. Raz już zawiodłem Zélie. Nie wiem, czy zdołam ją zdradzić po raz drugi.

Podnoszę oczy ku niebu, jakby w nadziei, że ujrzę wśród chmur oblicze Oriego. *Bogowie są zawsze z nami. Nawet gdy o nich nie pamiętamy, zawsze mają jakiś plan.*

„Czy to jest wasz plan?” – mam ochotę wykrzyknąć. Nasze obietnice, nasza Orisza – ten wymarzony przez nas świat, choć odległy, wciąż jest w naszym zasięgu. Czy popełniam wielki błąd? Czy mogę jeszcze zawrócić z tej drogi?

– Masz wątpliwości – mówi ojciec.

Nie pyta, tylko stwierdza fakt. Wyczuwa moją słabość niczym lejący się ze mnie pot.

– Przykro mi – mamroczę, szykując się na cios jego pięści. Lecz ojciec tylko poklepuje mnie po plecach i spogląda ku morzu.

– Ja też kiedyś je miałem. Zanim zostałem królem. Byłem wtedy tylko księciem i mogłem się kierować swoją naiwnością.

Stoję nieruchomo, bojąc się, że najmniejszy mój ruch zburzy ten nastrój wspomnień, na które zbiera się ojcu bardzo rzadko. Że stracę z oczu człowieka, którym mógł się stać.

– W kraju odbył się plebiscyt w sprawie włączenia przywódców dziesięciu klanów magów w poczet naszej dworskiej arystokracji. Ojcu marzyło się

zjednoczenie kosidan i magów, zbudowanie nowej Oriszy, jakiej historia nie znała.

Mimo woli podnoszę wzrok i spoglądam na ojca oczyma wielkimi jak spodki. To byłoby wiekopomne osiągnięcie. Położyłoby nowe podwaliny pod przyszłość naszego królestwa.

– I jak to przyjęto?

– Fatalnie. – Ojciec śmieje się cicho. – Wszyscy poza twoim dziadkiem byli przeciw temu. Lecz on, będąc królem, nie potrzebował niczyjej zgody. Mógł to zadekretować.

– Na czym polegały twoje wątpliwości?

Ojciec zaciska usta w kreskę.

– Moja pierwsza żona – odpowiada w końcu. – Alika. Miała zbyt dobre serce. Chciała, żebym stanął na czele tej zmiany.

Alika...

Wyobrażam sobie twarz pasującą do tego imienia. Sądząc po słowach ojca, była to serdeczna kobieta i takie też musiało być jej spojrzenie.

– Dla niej poparłem ojca. Przedłożyłem miłość nad obowiązek. Wiedziałem, że magowie są niebezpieczni, ale wmówiłem sobie, że jeśli okazemy dobrą wolę, uda nam się zjednoczyć. Sądziłem, że magowie tego chcą. Lecz im od początku chodziło jedynie o podbój naszego królestwa.

Ojciec milknie, lecz dopowiadam sobie resztę z jego milczenia. Historię króla, który zginął, próbując pomóc magom. Żony, której ojciec już nigdy nie weźmie w ramiona.

Wracają straszne obrazy z twierdzy w Gombe: szkielety strażników pokryte stopionym metalem; pożółkłe ciała zniszczone straszliwą chorobą. Widoki wołające o pomstę. A to wszystko z winy magii.

Po ucieczce Zélie trupy ścieliły się jeden na drugim, tak że nie było widać podłogi.

– Wahasz się, bo na tym polega bycie królem – mówi ojciec. – Masz serce i masz obowiązek. Jedno musi ucierpieć kosztem drugiego.

Ojciec wyciąga z pochwy czarne majacytowe ostrze i wskazuje palcem

inskrypcję na czubku. Nigdy wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi.

Obowiązek nade wszystko.

Królestwo nad króla.

– Po śmierci Alikiego kazałem wykuć ten miecz i wyryć te słowa, żeby zawsze przypominały mi o moim błędzie. Wybrałem serce i dlatego utraciłem jedyną prawdziwą miłość mojego życia.

Ojciec podaje mi swój miecz. Ten niewiarygodny gest przyprawia mnie o skurcz w żołądku. Odkąd pamiętam, nigdy się z tym ostrzem nie rozstawał.

– Szlachetnie jest poświęcić serce dla królestwa, synu. Oto co znaczy być królem.

Patrzę na miecz; inskrypcja lśni w blasku księżyca. To motto tak wiele upraszcza. Robi miejsce dla mojego bólu. Żołnierz. Wielki król. Czy nie o tym zawsze marzyłem?

Obowiązek nade wszystko.

Orisza nad Zélie.

Choć majacytowa rękojeść mnie parzy, zaciskam na niej palce.

– Ojcze, wiem, jak odzyskać ten zwój.

ROZDZIAŁ 75



ZÉLIE

Kładąc się w kajucie kapitańskiej, spodziewam się, że sen przyjdzie szybko. Moje oczy mocno się go domagają, całe ciało jeszcze bardziej. Nie wiem, czy kiedykolwiek spałam na miększym pościu niż te bawełniane prześcieradła i jedwabiste skóry z panterożca. Zamykam oczy i czekam, aż sen wciągnie mnie w swą czeluść, lecz gdy zaczynam odpływać, trafiam z powrotem do niewoli.

Jako król mam obowiązek ci przypomnieć, kim jesteś.

Jako król muszę...

– Aaa!

Moje prześcieradło jest całe mokre od potu, jakby kapitańskie łóżko wpadło do morza. Choć nie śpię, mam poczucie, że metalowe ściany kajuty zwierają się coraz ciaśniej.

Zrywam się z pościu i biegnę do wyjścia. Na pokładzie otrzeźwia mnie chłodny podmuch. Księżyc wisi tak nisko, że prawie muska wodę. Stoję w jego bladym świetle i wdycham morskie powietrze.

Oddychaj, mówię sobie w duchu. Bogowie, tęsknię za czasami, kiedy zamykając oczy, martwiłam się tylko, że trafię do snu Inana. Choć koszmar, którego doświadczyłam, jest daleko za mną, wciąż czuję na plecach tamten ostry nóż.

– Podziwiasz księżyc?

Obracam się i widzę Roëna; stoi oparty o ster, jego wyszczerzone zęby lśnią nawet w mroku nocy.

– Nie chciał dzisiaj wstać – dodaje – ale przekonałem go, że dla ciebie

warto.

– Czy dla ciebie wszystko zawsze musi być żartem? – Mój głos brzmi ostrzej, niż chciałam, lecz Roën tylko uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Nie wszystko. – Wzrusza ramionami. – Ale na wesoło życie jest znośniejsze. – Obraca się lekko i księżycowy blask rozjaśnia plamy krwi na jego ubraniu, odbija się biało od bandażu na dłoni. – To był długi dzień. – Porusza zakrwawionymi palcami. – Musiałem jakoś przekonać tych żołnierzy, żeby powiedzieli, co wiedzą o tej całej magicznej wyspie.

Widok nie całkiem zaschniętej krwi przyprawia mnie o mdłości. Ciężko przetykam ślinę. *Zignoruj go.* Odwracam się znów ku morzu, chłonę jego spokój.

Wolę nie myśleć o tym, co Roën zrobił z tymi ludźmi. Dość już się napatrzyłam na krew. Zostanę tutaj, wśród rozkołysanych fal. Tu mogę myśleć o pływaniu. O Babie. O wolności...

– Te szramy – głos Roëna wdiera się w moje myśli – są nowe?

Spoglądam na niego jak na pszczołę, która prosi się, żeby ją zatłuc.

– Nic ci do tego.

– Może jednak mógłbym ci doradzić. – Roën podwija rękaw do łokcia i cały mój jad nagle ze mnie wyparowuje. Jego nadgarstek i przedramię pokrywają niezliczone blizny. – Dwadzieścia trzy – odpowiada na pytanie, które nie padło. – I tak, pamiętam każdą z nich. Każda oznacza jednego członka mojej załogi zabitego na moich oczach. – Dotyka jednej z blizn i rysy mu twardnieją na wspomnienie tamtej chwili.

Moje własne rany szczypią mnie od samego patrzenia.

– Królewscy strażnicy?

– Nie. Ci łaskawcy byli moimi krajanami z za morza.

Patrzę na horyzont i wyobrażam sobie, że nasz okręt obiera inny kurs, z dala od rytuału, od magii, od Sarana. Wyobrażam sobie krainę, w której nie było Obławy.

– Jak się nazywa twoja ojczyzna?

– Sutōrī. – Roën spogląda mglisto w przestrzeń. – Spodobałaby ci się.

– Jeśli pełno tam krwawych porachunków i takich łotrów jak ty, wolałabym jej nie odwiedzać.

Roën znowu się uśmiecha. To miły uśmiech. Ciepleszy, niż można by się po nim spodziewać. Ale teraz już wiem, że z takim samym uśmiechem Roën mógłby opowiadać żart albo podrzynać komuś gardło.

– Powiedz mi prawdę – mówi, podchodząc bliżej, zaglądając mi prosto w oczy. – Z mojego skromnego doświadczenia wynika, że potrzeba czasu na wyleczenie się z ran i koszmarów. A twoje rany są niepokojąco świeże.

– Co próbujesz powiedzieć?

Roën kładzie mi rękę na ramieniu – tak blisko moich ran, że odruchowo się cofam.

– Jeżeli nie dasz rady, muszę to wiedzieć. Pozwól mi skończyć – dodaje, widząc, że otwieram usta. – Nie bierz tego do siebie. Ja po tym, co mi zrobili, przez wiele tygodni nie mogłem mówić. A co dopiero walczyć.

Jakby siedział mi w głowie, jakby się domyślał, że moja magia zniknęła. *Nie dam rady*, krzyczę w duchu. *Jeśli czeka na nas armia, płyniemy na śmierć.*

Ale żadne z tych słów nie przechodzi mi przez gardło. Wracają tam, skąd przyszły. Muszę zaufać bogom. Muszę wierzyć, że skoro przywiekli mnie tak daleko, nie odwrócą się ode mnie.

– A więc? – naciska Roën.

– Ci, którzy mnie okaleczyli, są na tych okrętach.

– Nie narażę swoich ludzi tylko po to, żebyś mogła się zemścić.

– Choćbym nawet obdarła Sarana żywcem ze skóry, to i tak byłoby za mało.

– Strząsam z siebie jego dłoń. – Tu nie chodzi o niego. O mnie zresztą też nie. Jeśli go jutro nie powstrzymam, zniszczy mój lud, tak jak zniszczył mnie.

Po raz pierwszy od czasu tortur czuję w sobie coś z tamtego ognia, który dawniej głośno we mnie huczał, zagłuszając strach. Ale teraz to tylko wąty płomyk, który gaśnie od pierwszego podmuchu wiatru.

– Dobrze. Jeśli rano się tam dostaniemy, lepiej bądź silna. Moi ludzie to najlepsi z najlepszych, ale będziemy mieli przeciwko sobie całą flotyllę. Nie schrzań tego, dobrze?

– Dlaczego właściwie tak ci zależy?

Roën chwyta się za serce, udając, że go zraniłam.

– Jestem zawodowcem, słońko. Nie lubię, gdy moi klienci są rozczarowani. Zwłaszcza jeśli zostałem wybrany przez bogów.

Kręcę głową.

– Nie wybrali cię. To przecież nie twoi bogowie.

– Jesteś pewna? – Roën opiera się o burtę, a jego uśmiech staje się groźny.

– W Dżimecie jest ponad pięćdziesiąt klanów najemników, słońko. Pół setki jaskiń, do których mogliście trafić. To, że bogowie nie wparowali przez sufit do mojej siedziby, nie znaczy, że nie zostałem przez nich wybrany.

Szukam w jego oczach psotnych iskier, ale ich nie znajduję.

– Tylko tego potrzebujesz, by stawić czoło armii? Wiary w boską interwencję?

– To nie jest kwestia wiary, słońko. To gwarancja bezpieczeństwa. Nie znam się na bogach, a doświadczenie nauczyło mnie, że człowiek, zwłaszcza w moim fachu, powinien się zajmować rzeczami, na których się zna. – Zwraca się ku niebu i krzyczy: – Ale wolę zapłatę w złocie!

O dziwo, parszam śmiechem. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś będę się tak śmiała.

– Nie liczyłabym na to złoto.

– Zobaczymy. – Roën ujmuje mój podbródek w dwa palce. – Skoro przysłali do mnie taką tajemniczą magiczkę, kto wie, co jeszcze mi ześlą. – Oddała się, lecz po chwili przystaje i woła: – Powinnaś z kimś porozmawiać! Żarty niewiele pomagają, ale rozmowa owszem. – Na jego twarz powraca uśmiech lisielca, szare oczy rozbłyskują szelmowsko. – Gdybyś była zainteresowana, znajdziesz mnie w kajucie za ścianą. Ponoć umiem słuchać. – Mruga do mnie porozumiewawczo, na co ja przewracam oczami.

Ten człowiek nie potrafi być poważny dłużej niż pięć sekund.

Zwracam się z powrotem ku morzu, lecz im dłużej patrzę w księżyc, tym bardziej do mnie dociera, że Roën ma rację. Nie chcę być sama. Nie w tę noc, która może się okazać moją ostatnią. Ślepa wiara w bogów zaprowadziła mnie

daleko, ale jeśli chcę się rano dostać na wyspę, potrzebuję czegoś więcej.

Przezwyciężając wahanie, ruszam wąskim okrętowym korytarzem. Mijam drzwi Tzaina i własnej kajuty. Potrzebuję towarzystwa.

Muszę komuś powiedzieć.

Staję z bijącym sercem przed właściwymi drzwiami i delikatnie pukam.

– Cześć – mówię, gdy się otwierają.

– Cześć. – Amari się uśmiecha.

ROZDZIAŁ 76



AMARI

Głowa Zélie znów mi ucieka. Patrząc na to, jak się wierci i wije pod moim dotykiem, można by pomyśleć, że nie rozczesuję jej włosów, tylko dźgam ją nożem.

– Przepraszam – mówię po raz dziesiąty.

– Ktoś musi to zrobić.

– Gdybyś czesała się przynajmniej raz na kilka dni...

– Amari, jeśli kiedyś zobaczysz mnie czeszącą się, natychmiast wezwij Uzdrowiciela.

Mój śmiech rozbrzmiewa echem w metalowych ścianach. Rozdzielam jej włosy na trzy pasma. Choć nie dają się łatwo czesać, to jednak biorąc się do ostatniego warkocza, czuję ukłucie zazdrości. Dawniej gładkie jak jedwab, a dziś szorstkie i gęste, białe włosy Zélie otaczają jej piękną twarz niczym grzywa lworożca. Czy wie, jakim wzrokiem łypią na nią Roën i jego ludzie, gdy nie patrzy?

– Moje włosy tak wyglądały przed zniknięciem magii – mówi Zélie bardziej do siebie niż do mnie. – Mama, żeby je rozczesać, musiała tworzyć ożywieńców, którzy mnie przytrzymywali.

Znów się śmieję. Wyobrażam sobie kamienne zjawy goniące ją z tak błahaego powodu.

– Myślę, że moja matka byłaby zachwycona. Żadna ilość niań nie potrafiła mnie upilnować, żebym nie biegała na golasa po całym pałacu.

Zélie się uśmiecha.

– Dlaczego biegałaś nago?

– Nie wiem – odpowiadam z chichotem. – Kiedy byłam mała, bez ubrania czułam się dużo lepiej.

Gdy warkocz dociera do karku, Zélie zaciska zęby. Swobodna atmosfera między nami pryska – tak jak to się już wielokrotnie zdarzało. Jakbym widziała rosnący wokół niej mur: cegły niewypowiedzianych słów połączone zaprawą bolesnych wspomnień. Puszczam warkocz i opieram brodę na czubku jej głowy.

– Cokolwiek cię gryzie, możesz mi powiedzieć.

Zélie opuszcza głowę. Kładzie ręce na udach i przyciąga kolana do siebie. Ściskam jej ramię i kończę zaplatać ostatni warkocz.

– Kiedyś myślałam, że jesteś słaba.

Milczę zaskoczona. Zapewne była to jedna z milszych rzeczy, jakie myślała wtedy na mój temat.

– Z powodu mojego ojca?

Zélie przytakuje ponuro.

– Za każdym razem, kiedy o nim myślałaś, kurczyłaś się w sobie. Nie rozumiałam, jak można tak dobrze władać mieczem i jednocześnie mieć w sobie tyle strachu.

Wodzę palcami po jej warkoczach.

– A teraz?

Zélie zamyka oczy, napina mięśnie. Ale kiedy ją obejmuję, czuję, że tama zaczyna pękać. Gdy napór emocji staje się nie do zniesienia, tłumiony szloch w końcu wypływa na zewnątrz.

– Nie mogę przestać o nim myśleć. – Ściska mi rękę, a jej ciepłe łzy lądują na moim ramieniu. – Wystarczy, że zamknę oczy, i już wiąże mi łańcuch na szyi.

Tulę ją, pozwalam się wyplakać w moich objęciach, wyrzucić wszystko, co starała się ukryć. Słucham jej płaczu ze ściśniętym gardłem: to przecież moja rodzina jest przyczyną jej cierpienia. Myślę o Bincie – o tym, że nieraz pewnie potrzebowała tego samego. Ja zawsze mogłam liczyć na jej wsparcie, ale

nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym się jej odwzajemnić.

– Przepraszam – szepczę. – Za wszystko, co zrobił mój ojciec. Za Inana, że go nie powstrzymał. Że tak późno spróbowaliśmy naprawić wyrządzone przez niego krzywdy.

Zélie wtula się we mnie, chłonie moje słowa.

Przepraszam, Binto, zwracam się w myślach do jej ducha. Przepraszam, że nie zrobiłam więcej.

– Pierwszego wieczoru po naszej ucieczce, w tamtym lesie, za nic nie mogłam zasnąć – mówię cicho. – Byłam ledwie żywa, ale za każdym razem, gdy zamykałam oczy, widziałam czarny miecz ojca zawieszony nade mną. – Ocieram jej łzy i odsuwam się nieco, by spojrzeć w jej srebrne oczy. – Myślałam, że jeśli mnie znajdzie, rozpadnę się na kawałki, ale wiesz, co się stało, kiedy zobaczyłam go w twierdzy?

Zélie kręci przecząco głową. Przypominam sobie tamtą chwilę i od razu skacze mi tętno. Pamiętam bijącą od niego wściekłość, przede wszystkim jednak – ciężar miecza w mojej dłoni.

– Chwycałam za broń. Prawie za nim pobiegłam!

Zélie się uśmiecha, jej rysy miękną i przez chwilę dostrzegam w nich twarz Binty.

– Niczego innego bym się nie spodziewała po Lworożce – mówi z przekąsem.

– Pamiętam dzień, w którym Lworożka usłyszała, że ma się wziąć w garść i nie zgrywać przestraszonej księżniczki.

Zélie śmieje się przez łzy.

– Akurat. Założę się, że byłam dużo bardziej wredna.

– Skoro koniecznie chcesz wiedzieć, owszem, zanim to powiedziałaś, popchnęłaś mnie na ziemię.

– Więc teraz moja kolej? – pyta Zélie. – Na bycie popchniętą?

Kręcę głową.

– Potrzebowałam wtedy to usłyszeć. Potrzebowałam ciebie. Po śmierci

Binty byłaś pierwszą osobą, która chciała widzieć we mnie kogoś więcej niż głupią księżniczkę. Wiem, że możesz sobie z tego nie zdawać sprawy, ale już wtedy wierzyłaś, że mogę się stać Lworożką. Jeszcze zanim tak mnie nazwano. – Ocieram resztki jej łez i dotykam ręką jej policzka. Nie zdołałam pomóc Bincie, lecz teraz, będąc z Zélie, czuję, że dziura w moim sercu się zasklepia. Binta kazałaby mi być dzielną. I oto jestem. – Wiem, że cierpiałaś i nadal cierpisz, ale wierz mi, że to nie będzie trwało w nieskończoność – mówię. – Skoro uratowałaś mnie, siebie też uratujesz.

Zélie się uśmiecha, ale tylko przez moment. Potem zamyka oczy i zaciska pięści, jak wtedy, gdy ćwiczysz zaklęcie.

– Co się stało? – pytam.

– Nie mogę... – Spuszcza wzrok na rękę. – Nie potrafię już czarować.

Serce zamiera mi w piersi. Chwytam ją mocno za ramiona.

– O czym ty mówisz?

– Straciłam swoją moc. – Zélie z bolesnym wyrazem twarzy łapie się za warkocze. – Już nie jestem Żniwiarką. Niczym nie jestem.

Ciężar, który dźwiga na barkach, zaraz ją zgniecie. Pragnę ją pocieszyć, lecz po usłyszeniu tej wiadomości sama mam ręce jak z ołowiu.

– Kiedy to się stało?

Zélie zamyka oczy i wzrusza ramionami.

– W lochu. Jakby tamtym nożem wykroili ze mnie całą magię. Od tamtej pory nic nie czuję.

– A co z rytuałem?

– Nie wiem. – Wzdycha głęboko, drżąc. – Nie dam rady go odprawić. Ani ja, ani nikt inny.

Czuję się tak, jakby ziemia usunęła mi się spod stóp. Jakbym spadała w otchłań. Lekan powiedział, że tylko mag połączony z Niebiańską Matką może odprawić rytuał. A ponieważ nie ma już sêntaro, który mógłby przebudzić innych, Zélie jest naszą jedyną nadzieją.

– Może wystarczy, że dotkniesz kamienia słone...

– Już próbowałam.

– I co?

– Nic. W ogóle nie był ciepły.

Zagryzam wargę i marszczę brwi, starając się wymyślić jakieś inne rozwiązanie. Skoro kamień jej nie pomógł, raczej nie ma co liczyć na pergamin.

– A czy to samo nie przydarzyło ci się w Ibedzi? – pytam. – Po bitwie na arenie? Mówiłaś wtedy, że magia ci się zablokowała.

– Zablokowała, ale nie zniknęła. Wtedy coś jednak czułam. A teraz nie czuję nic.

Ogarnia mnie fala beznadziei, tak potężna, że słabną mi nogi. *Powinniśmy zawrócić.* Obudzić któregoś z ludzi Roëna i kazać mu zmienić kurs.

Lecz przez te wszystkie myśli prześwieca twarz Binty, przyćmiewając mój strach i gniew ojca. Cofam się do tamtego dnia miesiąc temu, gdy stałam w komnacie Kei z pergaminem w ręku. Wtedy byliśmy teoretycznie na straconej pozycji. Nic nie zapowiadało, że nam się uda. Lecz nie ulegliśmy przeciwnościom. Pokazałyśmy siłę i wytrwałość.

– Dasz radę – szepczę, a kiedy mówię to na głos, wierzę w to jeszcze bardziej. – Bogowie cię wybrali. Oni się nie mylą.

– Amari...

– Odkąd cię poznałam, bez przerwy dokonujesz rzeczy niemożliwych. Rzuciłaś wyzwanie światu, żeby ratować swoją rodzinę. Wiem, że magów też możesz uratować.

Zélie próbuje odwrócić wzrok, ale chwytam ją i zmuszam do patrzenia mi w oczy. Gdyby tylko zobaczyła tę osobę, którą ja teraz widzę – heroskę, która w niej zwycięża.

– Taka jesteś pewna? – pyta mnie.

– Niczego w życiu nie byłam bardziej pewna. Poza tym spójrz tylko na siebie: kto ma w sobie magię, jeśli nie ty?

Podnoszę lusterko i pokazuję jej sześć grubych warkoczy, które sięgają prawie do pasa. W ciągu ostatniego miesiąca jej włosy tak się skręciły, że

zdążyłam zapomnieć, jakie są długie.

Zélie ich dotyka.

– Wyglądam na silną...

Uśmiecham się i odkładam lusterko.

– Ktoś, kto przywraca światu magię, musi wyglądać jak wojownik.

Zélie ściska mi dłoń. Jest w tym uścisku jakiś smutek.

– Dziękuję ci, Amari. Za wszystko.

Opieram się czołem o jej czoło i przez chwilę siedzimy w przyjacielskim milczeniu, przekazując sobie miłość dotykiem. *Księżniczka i wojowniczką*, myślę. Kiedy będą opowiadać naszą historię, tak ją nazwą.

– Zostaniesz? – Odsuwam się, by móc jej spojrzeć w twarz. – Nie chcę być sama.

Uśmiecha się.

– Oczywiście. Coś mi mówi, że chyba zasnę w tym łóżku.

Przesuwam się, robiąc jej miejsce. Zélie wślizguje się pod narzutę ze skóry panterozca. Gdy sięgam do lampki, żeby ją zgasić, Zélie chwyta mnie za nadgarstek.

– Naprawdę sądzisz, że się uda?

Po mojej twarzy przemyka cień, lecz natychmiast przywołuję uśmiech na usta.

– Na pewno trzeba spróbować.

ROZDZIAŁ 77



ZÉLIE

Przed wschodem słońca niebo na horyzoncie różowieje i pomarańczowieje. Delikatne chmury suną po nim ze spokojem, jakby nie wiedziały, co może przynieść wstający dzień. Jestem bardzo zadowolona z marynarskiej zbroi, a przede wszystkim z hełmu, który zasłania twarz. Wkładam go i upycham warkocze do środka. Po chwili zjawia się Roën ze swoim szelmowskim uśmiechem.

– Szkoda, że nie udało nam się wczoraj porozmawiać – oznajmia z udawanym dąsem. – Jeżeli powodem były twoje włosy, to musisz wiedzieć, że umiem też doskonale zaplatać warkocze.

Marszczę brwi. Choć nie mam ochoty tego przyznawać nawet przed sobą, jest mu do twarzy w mundurze. Nosi zbroję z przekonującą nonszalancją; gdybym nie wiedziała, skąd ją ma, pomyślałabym, że należy do niego.

– Cieszę się, że nie tracisz dobrego humoru nawet w obliczu rychłej śmierci.

Roën uśmiecha się jeszcze szerzej.

– Dobrze wyglądasz – szepcze, zaciskając pasek od hełmu. – Jakbyś była gotowa.

Oстрым gwizdem przywołuje załogę. Wszyscy zbierają się wokół nas. Amari i Tzain przeciskają się do przodu, a za nimi Kenjon i czterech zawodników z jego drużyny. Tzain skinieniem głowy daje mi znać, że jest dobrej myśli. Z przymusem odwzajemniam ten gest.

– W nocy przesłuchałem kilku żołnierzy Sarana – oznajmia Roën, przekrzykując wiatr. – Okazuje się, że obsadził strażnikami brzeg wyspy

i samą świątynię. Nie ma szans, żebyśmy przemknęli niezauważeni, ale jeśli nie będziemy zwracać na siebie uwagi, raczej nie wzbudzimy podejrzeń. Spodziewają się Zélie z armią magów. Dzięki temu, że jesteśmy w ich zbrojach, zachowamy element zaskoczenia.

– A kiedy już dostaniemy się do świątyni? – pyta Amari. – Jeśli ojciec zwietry kłopoty, rozkaże swoim ludziom strzelać. Musimy jakoś odwrócić uwagę żołnierzy, inaczej zaatakują, gdy zobaczą nas z artefaktami.

– Kiedy będziemy już blisko świątyni, upozorujemy atak gdzie indziej, żeby odciągnąć strażników. To powinno dać Zélie wystarczająco dużo czasu na odprawienie rytuału. – Roën zwraca się w moją stronę i gestem oddaje mi głos.

Robię krok wstecz, ale Amari wypycha mnie do przodu, na środek. Przetykam głośno ślinę i splatam dłonie za plecami.

– Ważne, byśmy trzymali się planu – oznajmiam, siląc się na stanowczy ton. – Jeśli nie będziemy zwracać na siebie niepotrzebnej uwagi, powinniśmy bez problemów dotrzeć do świątyni.

A wtedy przekonacie się, że jestem do niczego. Że bogowie znowu mnie opuścili. Wtedy zaatakują nas żołnierze Sarana.

Wtedy wszyscy zginiemy.

Znów przetykam ślinę. Otrząsam się z dręczących mnie wątpliwości. *Musi się udać. Taki jest plan Niebiańskiej Matki.* Lecz natarczywe spojrzenia i niespokojne szepty uświadamiają mi, że ci ludzie chcą usłyszeć ode mnie coś więcej. Trzeba ich zagrzać do walki. Sęk w tym, że mnie też.

– Bogowie... – mamrocze Tzain.

Podpływamy do niewielkiej flotylli zakotwiczonej w pobliżu miejsca, w którym spodziewamy się wyspy. I rzeczywiście, gdy słońce wygląda zza widnokręgu, zaczyna się przed nami rysować jej bryła. Z początku jest przezroczysta, niczym fatamorgana, lecz w miarę jak słońce wspina się coraz wyżej, wyspa gęstnieje w zbitą masę mgły i martwych drzew.

Fala ciepła wzbiera mi w piersi jak wtedy, gdy Mama Agba po raz pierwszy od wielu lat rzuciła zaklęcie. W tamtej chwili rozpierała mnie nadzieja. Po

tylu latach przestałam czuć się samotna.

Magia jest wśród nas. Żyje. Choć teraz jej nie czuję, muszę wierzyć, że znów się pojawi.

Bawię się tą myślą, udaję, że magia tętni w moich żyłach, silniejsza niż kiedykolwiek. Dziś parzyłaby mnie ogniem mojej furii.

– Wiem, że się boicie.

Wszyscy znów patrzą w moją stronę.

– Ja też się boję. Ale wiem, że powody, dla których walczyacie, są potężniejsze od waszego strachu, skoro was tu przywiodły. Wszyscy zaznaliście krzywdy od strażników, od monarchii, która przyrzekała nas chronić. Dziś bierzemy odwet w imieniu nas wszystkich! Dziś wyrównamy rachunki!

Rozlegają się okrzyki poparcia; przyłączają się do nich nawet najemnicy. Ich entuzjazm podnosi mnie na duchu. Słowa przychodzą teraz same.

– Mogą sobie mieć i tysiąc zbrojnych ludzi, ale żaden z nich nie jest wspierany przez bogów. My po naszej stronie mamy magię. Pamiętajcie o tym i bądźcie silni.

– A jeśli wszystko pójdzie w diabli? – pyta Roën, gdy rwetes cichnie.

– Walczcie – odpowiadam. – Dajcie z siebie maksimum.

ROZDZIAŁ 78



ZÉLIE

Patrząc na bezkresne morze żołnierzy patrolujących brzeg wyspy i robi mi się sucho w gardle. Można by pomyśleć, że ściągnięto tutaj wszystkich strażników z całej Oriszy.

Za nimi wznosi się las poczerniałych drzew, spowity mgłą i wstęgami dymu. Powietrze nad lasem aż drży od emanującej z niego duchowej energii.

Ostatni z wojowników w żołnierskim przebraniu schodzi z szalupy na ląd i Roën prowadzi nas w kierunku świątyni.

– Ruszajcie się – mówi. – Nie mamy całego dnia.

Ledwie postawiłam stopę na wschodnim brzegu, od razu wyczuwam oddziaływanie tutejszej energii. Choć magia tym razem nie szumi w kościach, tajemna moc bije od ziemi, promieniuje ze spalonych drzew. Okrągłe oczy Roëna zdradzają, że on też jest tego świadom.

Wchodzimy między bogów.

Od samej tej myśli coś zaczyna we mnie huczeć – nie magia, lecz coś większego. Idąc przez wyspę, prawie czuję tchnienie Oi w coraz chłodniejszym powietrzu. Skoro są tutaj, ze mną, może miałam rację, że im zaufałam. Może jednak nie jesteśmy bez szans.

Ale najpierw musimy przedostać się przez straż.

Serce łomocze mi o żebra, gdy mijamy kolejne kordony. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że widzą nasze twarze ukryte pod hełmami, lecz najwyraźniej pieczęć Oriszy skutecznie chroni przed ich spojrzeniem. Roën idzie na czele różnym krokiem dowódcy, którego zbroję przywdział. Nawet prawdziwi oficerowie dają się nabrać na jego piaskową cerę i pewny chód –

i ustępują mu z drogi.

Jeszcze tylko kawalek, myślę. Za każdym razem, gdy któryś ze strażników zatrzymuje na nas wzrok, cała się spinam. Każdy krok w stronę lasu zdaje się wiecznością. Tzain niesie kościany sztylet, Amari ściska w rękę skórzaną torbę, w której trzyma kamień słoneczny i pergamin. Ja nie zdejmuję dłoni z kija. Lecz nawet ostatni strażnicy ledwie zerkają w naszym kierunku. Koncentrują się na morzu, tam wypatrują armii magów, której się nie doczekają.

– Bogowie – szepczę do siebie, gdy żołnierze już nie mogą nas usłyszeć. Mój kruchy spokój ustępuje zdenerwowaniu. Biorę głęboki wdech.

– Udało się. – Amari, blada pod hełmem, chwyta mnie za ramię.

Pierwszą bitwę mamy za sobą.

Teraz rozpoczyna się kolejna.

Wszedłszy do lasu, zanurzamy się w zimnej mgle, która po paru kilometrach gęstnieje do tego stopnia, że prawie nie przepuszcza promieni słońca.

– Dziwne – szepcze mi do ucha Amari, wyciągając ręce przed siebie, by nie wpaść na drzewo. – Myślisz, że to normalne?

– Nie wiem.

Coś mi mówi, że ta mgła jest darem od bogów.

Są po naszej stronie...

Chcą naszego zwycięstwa.

Przypominam sobie słowa mojego przemówienia – i modłę się, by okazały się prawdą. Niemożliwe, by bogowie opuścili mnie teraz, na tej wyspie. Ale choć zbliżamy się do świątyni, nadal nie czuję w żyłach gorącego pulsowania. Wkrótce nawet mgła mi nie pomoże.

Prawda wyjdzie na jaw.

Bryła świątyni majaczy już przed nami.

– Skąd wiedziałas? – pytam szeptem, wracając pamięcią do tamtego brzemiennego w skutki dnia w Lagos. – Wtedy na targowisku. Dlaczego

zwróciłaś się o pomoc właśnie do mnie?

Bursztynowe spojrzenie Amari jaśnieje wśród białej mgły.

– Z powodu Binty – odpowiada cicho. – Miała srebrne oczy. Takie jak twoje.

Te słowa coś we mnie odblokowują. Są jak dowód na działanie wyższej siły. Przeznaczenie wiodło nas tutaj na tysiąc małych sposobów. Cokolwiek się dziś wydarzy, postępujemy zgodnie z wolą bogów. Tylko jaki mają plan, skoro w moich żyłach wciąż nie chce płynąć magia?

Otwieram usta, by odpowiedzieć, gdy nagle duchowa energia wokół nas robi się jeszcze gęstsza, stawia opór przy każdym kroku.

– Czujecie? – szepcze Tzain.

– Trudno nie poczuć.

– Co tam? – pyta z przodu Roën.

– To musi być...

Świątynia.

Żadne słowa nie są w stanie oddać majestatu tej budowli. Ogromna piramida, cała z półprzejrystego złota, wznosi się ku niebu. Podobnie jak w Chândomblé, wolę bogów wyrażają skomplikowane znaki, które świecą, rozjaśniając mrok dokoła. Nadszedł czas najważniejszej bitwy.

– Rehema, weź swój oddział na południowy brzeg – rozkazuje Roën. – Rozpętajcie tam piekiełko, a potem dajcie nura we mgłę. Asza będzie na was czekać.

Rehema kiwa głową i nasuwa hełm, tak że widać tylko jasnobrązowe oczy. Żegna się z hersztem przybiciem pięści, po czym rusza we mgłę, biorąc ze sobą dwóch mężczyzn i dwie kobiety.

– Co robimy? – pytam.

– Czekamy – odpowiada Roën. – Niech odwrócą uwagę armii, odciągną strażników od świątyni.

Oczekiwanie dłuży się niemiłosiernie, minuty przechodzą w godziny. Każda upływająca sekunda jest dla mnie sekundą szamotania się z własnym

sumieniem. Co, jeśli zostaną pojmani? Albo zginą? Ta misja kosztowała już życie zbyt wielu osób.

Nie chcę mieć więcej krwi na rękach.

W oddali czernieje słup dymu. Oddział Rehemy rozpoczął pozorowany atak. Dym przedziera się przez mgłę i wzbija wysoko pod niebo. Kilka sekund później ciszę przeszywa dźwięk rogu.

Strażnicy wylegają z wnętrza świątyni i kierują się w stronę południowego brzegu. Widząc, ilu ich jest, uświadamiam sobie, że budowla musi być jeszcze większa, niż sądziłam.

Gdy pierwsza fala żołnierzy znika w lesie, Roën daje nam znak i zaczyna brnąć przez gęste powietrze. Wspinamy się po złotych schodach najszybciej, jak to możliwe. Zatrzymujemy się dopiero za progiem świątyni.

Każdy skrawek misternie zdobionych ścian jest pokryty barwnymi klejnotami. Topazy i szafiry na złotym tle układają się w olśniewający wizerunek Jemodży; z każdego palca bogini tryskają strumienie błyszczących diamentów. W górze szmaragdy Ògúna jaśnieją w hołdzie jego władzy nad ziemią. Przez kryształowe sufity dostrzegam kolejne piętra – w sumie dziesięć poziomów, każdy poświęcony innemu bogu.

Gdy Amari zbliża się do położonych w centralnym punkcie schodów na dół, kamień słoneczny zaczyna jej świecić w dłoni.

– Hej, patrzcie...

Mamy to. Zaciskam spocone pięści.

To musi być gdzieś tam.

– Gotowa? – pyta Amari.

Nie. Mam to wypisane na twarzy. Mimo to pod wpływem Amari robie pierwszy krok w dół zimnych i wąskich schodów.

Przypominam sobie naszą wizytę w Chândomblé. Tutaj również drogę wśród kamiennych ścian oświetla nam blask pochodni. To podobieństwo cofa mnie do czasów, kiedy jeszcze mieliśmy szanse na zwycięstwo.

Kiedy jeszcze miałam magię.

Dotykam ściany i modlę się w duchu do bogów. *Proszę... pomóżcie mi, jeśli*

możecie. Potrzebuję waszej pomocy. Im niżej schodzimy, tym większy panuje ziąb, a mimo to plecy ociekają mi potem. Proszę, Niebiańska Matko, modlę się znowu. Jeśli możesz mnie uleczyć, nie zwlekaj.

Czekam na mgnienie jej srebrnych oczu, na jej elektryzujący dotyk. Przerywam jednak modlitwę na widok wspaniałego sanktuarium.

Przed nami stoi w szpalerze jedenaście niebotycznych posągów ze złota. Wystrzelają do góry niczym szczyty Olasimbo. Ktokolwiek wyrzeźbił bogów i boginie w drogocennym kruszcu, zrobił to z wielką dbałością o szczegóły: od zmarszczek na skórze Niebiańskiej Matki aż po wyraźnie zaznaczone kosmyki jej kręconych włosów.

Wszystkie bóstwa spoglądają na lśniąca w dole kamienną gwiazdę o dziesięciu ramionach. Na końcu tych ramion stoją kanciaste kolumny z wrytymi na czterech bokach magicznymi symbolami.

Pośrodku znajduje się pojedyncza złota kolumna. W jej szczycie jest wydrążenie wielkości kamienia słonecznego.

– Bogowie – szepcze Kenjon.

Lepiej bym tego nie ujęła.

Czuję się, jakbyśmy wstąpili do nieba.

Z każdym krokiem staję się mocniejsza, jakby wzrok bogów roztaczał nade mną tarczę.

– Dasz radę. – Amari wręcza mi pergamin i kamień słoneczny. Bierze od Tzaina kościany sztylet i wsuwa mi go za pas.

Kiwam głową i odbieram od niej święte przedmioty. *Dasz radę, powtarzam sobie. Musisz tylko spróbować.*

Robię krok naprzód. Jesteśmy u celu naszej wyprawy. Lecz nagle dostrzegam w oddali jakiś ruch.

– Zasadzka! – wołam i rozkładam kij.

Za posągów i kolumn wyłaniają się niezliczone cienie. Wszyscy gorączkowo dobywamy broń, rozglądamy się, wyczekując ataku. Wreszcie dostrzegam Sarana, z uśmiechem zadowolenia. A zaraz potem Inana, z pomalowaną twarzą i majacytowym mieczem w ręku.

Uczucie zdrady przeszywa mnie na wylot jak lodowaty sopel.

Obiecał.

Przyrzekał, że nie stanie mi na drodze.

Ale nie mam czasu się załamywać, gdyż moim oczom ukazuje się jeszcze gorszy widok. Tak zatrwająjący, że przez chwilę w to nie wierzę.

Serce zamiera mi w piersi.

– Baba?

ROZDZIAŁ 79



ZÉLIE

Miał być bezpieczny.

Trzymam się tej myśli, nie przyjmując prawdy do wiadomości. Wśród strażników szukam wzrokiem Mamy Agby, musi gdzieś tu być. Skoro Baba jest w rękach żołnierzy, gdzie jest ona? Co z nią zrobili? Po tym wszystkim nie mogła zginąć. Niemożliwe, żeby to naprawdę był Baba.

A jednak widzę, jak drży w żelaznym uścisku Inana. Obdarty, zakneblowany, z krwią na twarzy. Zapłacił własnym cierpieniem za moje błędy. A teraz mi go zabiorą.

Tak jak zabrali Mamę.

Bursztynowe spojrzenie Inana unaocznia mi jego zdradę, lecz... to nie jest Inan, którego znam. Ten jest obcym człowiekiem. Żołnierzem. Skorupą małego księcia.

– Okoliczności mówią chyba same za siebie, ale ponieważ twój lud nie grzeszy inteligencją, służę wyjaśnieniem. Oddaj artefakty, a będziesz mogła zabrać ojca.

Sam dźwięk głosu Sarana na nowo zaciska mi kajdany.

Jako król mam obowiązek ci przypomnieć, kim jesteś.

Stoi w bogatej fioletowej szacie, z wyzywającym grymasem twarzy. Lecz przy patrzących na niego z wysoka posągach bogów zdaje się mały.

– Damy sobie z nimi radę – szepcze Kenjon zza moich pleców. – My mamy magię. Oni tylko strażników.

– Nie możemy ryzykować – odzywa się drżącym głosem Tzain.

Baba delikatnie kręci głową. Nie chce, byśmy go ratowali.

Nie.

Robię krok naprzód, lecz Kenjon chwyta mnie za ramię i obraca.

– Nie wolno ci się poddać!

– Puść mnie...

– Nie myśl wyłącznie o sobie! Bez rytuału wszyscy ibawici umrą...

– Już jesteśmy martwi! – krzyczę. Mój głos odbija się echem, ujawnia prawdę, której nie zmienię.

Bogowie, błagam! Zwracam się do nich z ostatnią prośbą, lecz i tym razem nic się nie dzieje.

Znów mnie porzucili.

– Straciłam swoją magię. Myślałam, że wróci, ale nie wróciła... – Milknę i wbijam wzrok w posadzkę, tłumiąc wstyd. Gniew. Ból.

Czyżby bogowie pojawili się na nowo w moim życiu tylko po to, żeby mnie złamać?

Wbrew wszystkiemu podejmuję kolejną próbę, szukam w sobie resztek aszê. Na próżno.

Skreślili mnie.

Nie dam sobie odebrać wszystkiego.

– Przykro mi – odpowiadam głucho. – Ale skoro nie mogę odprawić rytuału, zamierzam przynajmniej ocalić ojca.

Kenjon mnie puszcza. Powiedzieć, że członkowie naszej wyprawy patrzą na mnie z wyrzutem, to powiedzieć za mało. Tylko w oczach Amari dostrzegam współczucie. Nawet Roën wydaje się zaskoczony obrotem wydarzeń.

Ruszam przed siebie z kamieniem słonecznym i zwojem przyciśniętymi do piersi. Kościany sztylet przy każdym kroku wciska mi się w ciało, prawie kalecząc skórę. Gdy jestem w połowie drogi, Kenjon krzyczy za mną:

– Uratowaliśmy cię!

Jego wołanie odbija się od ścian.

– Ludzie za to umarli! Umarli za ciebie!

Jego słowa wrzynają mi się w duszę. Przypominają o wszystkich, których nie zdołałam ocalić. Bisi. Lekan. Zulaicha. Może nawet Mama Agba.

Wszyscy nie żyją.

Bo wierzyli we mnie.

Uwierzyli w to, że możemy zwyciężyć.

Gdy się zbliżam do Inana, Baba coraz energiczniej kręci głową. Nie mogę ulec jego namowie.

Ja wcale nie chcę, żeby oni wygrali, Babo.

Ale nie mogę pozwolić, żebyś zginął.

Widząc, że Inan rusza do przodu i delikatnie popycha Babę, ściskam mocniej kamień i pergamin. W bursztynowych oczach widzę przeprosiny. Już nigdy nie zaufam tym oczom.

„Dlaczego?” – mam ochotę krzyknąć, ale głos więźnie mi w krtani. Znów czuję tamten pocałunek – na ustach, na szyi. Patrzę na dłonie, którymi trzyma Babę za ramiona – dłonie, które powinnam była zmiażdżyć. Przysięgałam, że prędzej umrę, niż ulegnę strażnikowi, a tymczasem kapitanowi straży pozwoliłam na wszystko.

Wiem, że to jest nam przeznaczone. Myślę, że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Jego kłamstewka dzwonią mi w uszach i wyciskają łzy z oczu.

Razem będziemy nie do zatrzymania. Jedyne taki duet w historii Oriszy.

Gdyby nie Inan, moja wioska by nie spłonęła. Lekan wciąż by żył. A ja teraz ratowałabym swój lud, zamiast pieczętować jego los.

Oczy mnie palą, serce rwie się na strzępy. To gorsze niż sztylet Sarana. Wbrew rozsądkowi otworzyłam się przed nim.

Wpuściłam go do środka.

Baba ostatni raz kręci głową. Ostatnia szansa, by uciec. Ale jest już za późno. To koniec.

Wyrywam Babę z rąk Inana, jednocześnie upuszczając pergamin i kamień słoneczny. Omal nie sięgam po kościany sztylet, lecz w ostatniej chwili przypominam sobie, że Inan ani razu go nie widział. W zamian rzucam więc

zardzewiały nóż Tzaina. Prawdziwy sztylet pozostaje za moim pasem. Przynajmniej tę jedną rzecz zachowam. Odbiorą mi wszystko poza tym artefaktem.

– Zélie...

Nie czekając, aż Inan zacznie mnie zwodzić kłamstwami, wyjmuję Babie knebel z ust i odchodzimy. Moje kroki dudnią echem w kamiennej sali. Czuję na sobie nienawistne spojrzenia, lecz skupiam wzrok na ogromnych posągach.

– Dlaczego? – wzdycha Baba. Głos ma słaby, lecz surowy. – Przecież byłaś tak blisko.

– Wcale nie – odpowiadam przez łzy. – Ani przez chwilę nie byłam blisko.

Próbowałaś, pocieszam się. Zrobiłaś, co mogłaś, a nawet więcej.

To nie miałam być ja. Bogowie źle wybrali.

Przynajmniej to już koniec. Przynajmniej żyjesz. Odpłyniecie stąd łodzią, poszukacie nowego...

– Nie!

Zastygam. Okrzyk Inana rozbrzmiewa ogłuszającym echem wśród kamieni. Baba popycha mnie na podłogę, powietrze rozcina świst.

Próbuję osłonić Babę, ale nie zdążam.

Strzała przebija mu pierś.

Krew plami posadzkę.

ROZDZIAŁ 80



ZÉLIE

Gdy przyszli po Mamę, nie mogłam oddychać. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś będę mogła. Myślałam, że jej życie jest połączone z moim niewidzialną nicią. Że jeśli ona umrze, ja umrę razem z nią.

Chowałam się jak tchórz, kiedy katowali Babę, zasłaniałam się Tzainem, jego siłą. Gdy jednak okręcili Mamie szyję łańcuchem, coś we mnie pękło. Strach przed strażnikami był niczym w porównaniu ze strachem, że odbiorą mi Mamę.

Biegłam za nią przez chaos Ibadanu, wśród kurzu i krwi. Biegłam do końca – i wszystko widziałam.

Wszystko.

Powiesili ją na drzewie pośrodku naszej górskiej wioski niczym makabryczną ozdobę. Ją i wszystkich pozostałych magów, tak by nikt już nie zagroził monarchii.

Tamtego dnia poprzysięgłam sobie, że ten koszmar nigdy się nie powtórzy; nie pozwolę odebrać sobie nikogo więcej. A teraz leżę struchlala i patrzę na strużkę krwi płynącą z ust Baby. Przysięgałam.

I nie zdążyłam.

– Babo?

Nic.

Żadnej reakcji.

Ciemnobrązowe oczy są puste. Niewidzące.

– Babo – szepczę. – Babo!

Jego krew cieknie po moich palcach. Robi mi się czarno przed oczami i gorąco w środku. W ciemnościach widzę wszystko – widzę jego.

Biegnie z młodszym bratem ulicami Kalabraru, kopiąc piłkę do agböna przez kałuże błota. Na twarzy ma dziecinny uśmiech, którego nigdy u Baby nie widziałam, szeroki uśmiech kogoś, kto nie wie o cierpieniach tego świata. Mocnym kopniakiem posyła piłkę daleko – i widzi przed sobą twarz młodej Mamy. Jest olśniewająco piękna. Promienna. Zapiera mu dech.

Potem jest magia ich pierwszego pocałunku, zachwyty przy narodzinach syna. Chwilę później widzę, jak kołysze do snu maleńką córeczkę, jak gładzi moje białe włosy.

Wyczuwam w jego krwi moment, gdy ocknął się po Obławie, i tamten rozdzierający ból, który nigdy nie minął.

Czuję w tej krwi wszystko.

Czuję Babę.

Jego duch przesywa mnie na wskroś. Wszystko brzmi teraz głośniejsze, kolory są żywsze. Dusza Baby wnika we mnie głębiej niż jakakolwiek magia. To nie zaklęcia krążą w moich żyłach.

To jego krew.

To on.

Najwyższe poświęcenie.

Najpotężniejsza magia krwi, jaką można sobie wyobrazić.

– Zabić ją!

Dwaj strażnicy stojący najbliżej ruszają na mnie z uniesionymi mieczami. W ich oczach błyska żądza mordy.

To ostatnia pomyłka w ich życiu.

Duch Baby wylatuje ze mnie w postaci dwóch ostrych, wijących się cieni. To cienie panujące nad życiem i śmiercią. Momentalnie przebijają żołnierskie pancerze, nadziewają strażników jak na rożen. Krew pryska wkoło, z dziurawych piersi sączy się ciemna materia.

Mężczyźni dławią się, wydają ostatnie tchnienia. Z wybałuszonymi oczami

rozsypują się w proch.

Więcej.

Więcej śmierci. Więcej krwi.

Najczarniejsza cząstka mojego gniewu wreszcie posiadała moc, której zawsze łaknęła. Wreszcie może pomścić Mamę. I Babę. Tymi cieniami pozabijam ich wszystkich.

Wszystkich co do jednego.

Nie, słyszę w myślach głos Baby, mocny i dobitny. Zemsta nic nie da. Wciąż możesz nas ocalić.

– Jak?

Spoglądam w stronę Roëna i Kenjona: ich ludzie ruszają do walki. *Zemsta nic nie da*, powtarzam sobie. *Zemsta jest bezwartościowa...*

I wtedy spostrzegam jedyną osobę, która ucieka. Unikając ostrzy najemników, Inan zgarnia z podłogi kamień słoneczny.

Dopóki nie mamy magii, dopóty nie będą nas szanować, grzmi duch Baby. Muszą poczuć, że nie mogą atakować nas bezkarnie. Jeżeli będą palić nasze domy...

Odplącę im tym samym.

ROZDZIAŁ 81



INAN

Co się stało z dziewczyną, z którą obejmowałem się w moim śnie?

Jej miejsce zajął potwór.

Potwór o śmiercionośnych kłach.

Dwa czarne cienie wystrzeliwują z rąk Zélie niczym spragnione krwi jadowite węże. Oto jej zemsta. Przebijają pierwszych dwóch strażników. I wtedy coś przeskakuje w srebrnych oczach Zélie.

Jej wzrok zatrzymuje się na mnie. Kamień słoneczny świeci mi w rękę. Ledwie mam czas dobyć miecz, by odeprzeć atak.

Pierwszy cień, ostry jak szabla, zderza się z moją klingą. Udaje mi się go zatrzymać, lecz kolejny atak nadchodzi szybko. Zbyt szybko, bym zdołał go zablokować...

– Książę!

Jeden ze strażników rzuca mi się na ratunek. Oddaje swoje życie za mnie. Przeszyty cieniem na wylot krzyczy głucho, po czym obraca się w popiół.

Nieba!

Wycofuję się czym prędzej w głąb bitewnego zamętu. Cienie Zélie już szykują następny atak. Ścigają mnie. Ona mnie ściga. Jej dusza o zapachu morskiej soli kipi jak ocean wśród burzy.

Nawet z pomocą kamienia nie zdołałem jej powstrzymać. Ani ja, ani nikt inny. Już po mnie.

Wyrok na mnie zapadł w chwili, gdy jej ojciec padł martwy.

Nieba. Muszę powstrzymywać łzy, tak mocno odczuwam w sobie jej

rozpacz. Smutek tak wielki, że mógłby poruszyć ziemię. Baba miał przeżyć. I on, i ona mieli wyjść z tego cało. Zamierzałem dotrzymać danego jej słowa. Uczynić Oriszę lepszym miejscem...

Skup się, Inanie. Biorę długi, głęboki oddech i liczę do dziesięciu. Nie wolno mi się poddać. Magia wciąż stanowi zagrożenie. Tylko ja mogę je zażegnać.

Biegnę w kierunku posągu Oriego. Po drodze rozważam wszystkie scenariusze. Jeśli Zél odprawi rytuał, koniec z nami. Cała Orisza zapłonie. Nie mogę do tego dopuścić. Mój plan się nie zmienia: muszę odbić kamień i pergamin.

Zniszczyć magię.

Z całej siły rzucam kamieniem o ziemię. *Na litość niebieską, rozbij się.* Lecz kamień toczy się niedrażnięty. Już prędzej uda mi się zniszczyć zwój.

Wyciągam go z kieszeni i nurkuję w wir bitwy. Zélie rzuca się w pogoń za kamieniem. Czuję, że pozostało mi już tylko kilka sekund życia. I wtedy przypominam sobie słowa ojca. *Pergamin można zniszczyć jedynie za pomocą magii.*

Magii...

Co z moją magią?

Gubię z oczu Zélie, skupiam całą moc umysłu na zwoju. Pomarszczony pergamin obleka się turkusową poświatą. Nozdrza wypełnia mi zapach mięty i szałwii, a razem z nim wdziera się we mnie dziwne wspomnienie.

Hałas wokół cichnie. Doznaję przebłysku świadomości sêntaro: kobiety w różnym wieku, z wytatuowanymi białymi wzorami na skórze, śpiewają coś w niezrozumiałym dla mnie języku.

Trwa to ledwie moment, lecz nie mam złudzeń.

Moja magia na nic się tu nie zda.

Pergamin jest nietknięty.

– Pomocy!

Odwracam się i widzę, jak cienie Zélie przeszywają kolejnych żołnierzy. Resztę robi czarna materia pożerająca ich ciała.

Umierający, zanim upadną, rozsypują się w proch.

Nagle wszystko staje się jasne.

Może gdybym był Ogniarzem, mógłbym spalić pergamin, ale jako Konektor niewiele wskóram. Zwój nie ma duszy, nad którą mógłbym zapanować, ani ciała, które mógłbym unieruchomić. Moja magia go nie zniszczy.

Co innego magia Zélie.

Pierwszy raz widzę, jak używa swej mocy w taki sposób. Jej magia niszczy wszystko na swojej drodze, przewala się przez świątynię ze wściekłym rykiem niby tajfun. Czarne strzały mkną jak włócznie, dziurawią pancerze, rozdzierają ciała. Każdy, kto ma pecha się z nimi zetknąć, po chwili obraca się w popiół.

Jeśli dobrze to rozegram, to samo stanie się z pergaminem.

Biorę głęboki oddech. Zapewne mój ostatni. Śmiercionośne groty Zélie przechodzą na wylot przez czterech żołnierzy. Rozerwane ciała po chwili są już tylko kupkami prochu.

Ruszam ku niej.

– To wszystko twoja wina! – krzyczę.

Zélie się zatrzymuje. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę nienawidził siebie bardziej niż w tej chwili. Ale muszę sprawić jej ten ból. Tu nie chodzi wyłącznie o nas.

Stawka od początku była znacznie większa.

– Twój ojciec nie musiał umrzeć! – krzyczę. Wiem, że to granica, której nie powinienem przekraczać. Ale muszę ją rozwścieczyć. Potrzebuję zabójczego uderzenia.

– Milcz! – Oczy jej błyskają. Widzę w nich smutek, nienawiść i gniew.

Jej rozpacz przepętnia mnie wstydem. Mimo to idę za ciosem.

– Nie musiałaś tu przychodzić. Zabrałbym go z powrotem do Lagos!

Cienie wirują wokół niej, podobne do trąby powietrznej.

Jest już blisko.

Moje życie zaraz dobiegnie końca.

– Gdybyś mi zaufała, gdybyś mnie posłuchała, on by nadal żył. – Przełykam ślinę. – I Mama Agba...

Cienie ruszają na mnie z nieprawdopodobną prędkością. Instynktownie przyciskam zwój do piersi. Zélie w ostatniej chwili pojmuje swój błąd – dociera do niej, że dała się zwabić w pułapkę.

Krzyczy i cofa rękę, ale jest za późno.

Cienie przesywają pergamin.

– Nie! – Okrzyk Zélie niesie się echem wśród kamiennych posągów.

Spopielony pergamin rozpada się na drobne kawałki. Cienie gasną i znikają.

Udało ci się...

Nie od razu to do mnie dociera. Koniec. Wygrałem.

Orisza w końcu jest bezpieczna.

Magia już się nie odrodzi.

– Synu!

Nadbiega ojciec. Jego twarz rozświecła uśmiech, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Już mam odpowiedzieć takim samym uśmiechem, gdy za plecami króla spostrzegam strażnika z uniesionym ostrzem. *Bunt?*

Nie.

To jeden z najemników.

– Ojczy! – wołam, lecz już wiem, że nie zdołam ostrzec go w porę.

Bez namysłu sięgam po resztę mocy, która we mnie została po dotknięciu kamienia słonecznego. Z mojej dłoni tryska błękitna energia.

Tak jak wcześniej w Chândomblé, moja magia przenika głowę najmity, skutecznie go paraliżując. To wystarcza, by jeden ze strażników podbiegł do napastnika i ugodził go mieczem w serce. Ojciec jest uratowany.

Lecz na widok mojej magii jego rysy tężeją.

– To nie tak, jak myślisz... – zaczynam.

Ojciec wzdryga się, odsuwa jak przed potworem, któremu nie można ufać. Wykrzywia usta w odrazie. Wszystko się we mnie kurczy.

– To nic takiego – mówię szybko, połykając głoski. – Byłem zarażony, ale to już przeszłość. Udało mi się. Zniszczyłem magię.

Ojciec przewraca stopą martwego najemnika i wygarnia z jego włosów turkusowe kryształki. Patrzy na nie z grymasem. Łączy fakty w głowie. Takie same kryształki miał w twierdzy.

Te, które znaleziono na ciele Kei.

Oczy mu rozbłyskują. Łapie za rękojeść miecza.

– Ojczy...

Wbija we mnie ostrze.

Oczy ma czerwone z wściekłości. Chwytam jego miecz, ale nie mam siły go wyrwać.

– Ojczy, przepraszam...

Wyciąga ostrze, a ja z wrzaskiem opadam na kolana, trzymając się za krwawiącą ranę.

Ciepła krew przecieka mi przez palce.

Ojciec podnosi miecz, żeby mnie dobić. W jego oczach nie ma śladu miłości. Ani cienia dumy, która błyszczała w nich jeszcze przed chwilą.

Widzę za to strach i pogardę, które widziałem w ostatnim spojrzeniu Kei. Patrzy na mnie jak na kogoś obcego.

Nie. Poświęciłem przecież wszystko, by pozostać jego synem.

– Ojczy, błagam – mówię świszczącym głosem. Mam mroczki przed oczami – przez chwilę zalewa mnie cały ból Zélie. Zrujnowana przyszłość magów. Śmierć jej ojca. Rozpacz Zél miesza się z moją, przypominając mi, jak wiele sam straciłem.

Zbyt wiele oddałem, by tak to się skończyło. Tyle wyrządziłem krzywd w jego imieniu.

Wyciągam do niego drżącą i zakrwawioną dłoń.

Niemożliwe, żeby to wszystko poszło na marne.

Niemożliwe, żeby to miało taki finał.

Lecz ojciec nie pozwala mi się dotknąć. Miażdży mi palce obcasem

podkutego buta. Jego ciemne oczy się zwięzają.

– Nie jesteś moim synem.

ROZDZIAŁ 82



AMARI

Tuzin żołnierzy wychodzi mi naprzeciw, lecz mój miecz nie ma dla nich litości. Tzain walczy u mojego boku, ze łzami na policzkach wyrąbuje sobie drogę siekierą. To jego ból pcha mnie do walki – jego, Binty i wszystkich nieszczęśników, którzy zginęli, bo tak chciał mój ojciec. Cały ten rozlew krwi kładzie się cieniem na każdym moim oddechu.

Przedzieram się przez strażników.

Pierwszego zwalam z nóg potężnym cięciem.

Drugi pada z rozprutym ścięgnem.

Trzeci – z rozciętym udem.

Atakuj, Amari. Prę do przodu, nie patrząc na pieczęcie Oriszy na zbrojach strażników ani na ich cierpiące twarze. Przysięgali chronić Oriszę i koronę, lecz sprzeniewierzyli się tej świętej powinności. Chcą mnie zabić.

Jeden zamachuje się na mnie. Robię unik, a rozpędzone ostrze trafia w innego żołnierza. Już mam ugodzić kolejnego napastnika, gdy...

– Nie!

Krzyk Zélie dochodzi z głębi świątyni. Obracam się w chwili, w której mój miecz dosięga kolejnej ofiary. Zélie pada na kolana, trzęsie się, pomiędzy palców sypie jej się popiół. Ruszam w tamtą stronę, żeby jej pomóc, lecz stoję, widząc, że ojciec unosi miecz, a potem wbija go w brzuch jednemu z własnych żołnierzy. Chłopak osuwa się na kolana i hełm spada mu z głowy. To nie żołnierz.

Inan.

Krew mi zastyga. Patrzę, jak z ust mojego brata wycieka czerwona strużka.

To tak, jakby mnie samą przebito mieczem. Jakby to moja krew lała się na kamienną posadzkę. Brat, który nosił mnie na barana po korytarzach pałacu. Brat, który przemycał mi z kuchni ciasteczka z miodem, gdy matka pozbawiała mnie deseru.

Brat, z którym musiałam walczyć, bo tak chciał ojciec.

Brat, który okaleczył mi plecy.

Niemożliwe. Mrugam, jakby to było tylko przywidzenie. *Nie on...*

Nie syn, który poświęcił wszystko, by spełnić oczekiwania ojca.

Lecz oto ojciec znów unosi miecz, jakby zamierzał skrócić Inana o głowę. Chce mi go zabrać.

Tak jak zabrał Bintę.

– Ojcze, błagam. – Inan, ciężko dysząc, wyciąga do niego rękę.

Lecz ojciec depcze ją i miażdży obcasem.

– Nie jesteś moim synem.

– Ojcze!

Mój głos wcale nie przypomina mojego. Biegnę co tchu. Ojciec na mój widok wpada w furję.

– Przeklęty jestem – wyrzuca z siebie – mając za dzieci zdrajców śmierdzących moją krwią!

– To twoja krew jest przekleństwem – odparowuję. – Ale dziś to się skończy.

ROZDZIAŁ 83



AMARI

Pierwsze dzieci ojca były przez niego kochane, lecz słabe. Gdy na świat przyszliśmy Inan i ja, postanowił dopilnować, żebyśmy tacy nie byli.

Przez lata zmuszał nas do walki pod swoim czujnym okiem. Nie odpuszczał nawet, gdy płakaliśmy. Każde starcie traktował jako szansę na to, by naprawić własne błędy, przywrócić do życia swoją pierwszą rodzinę. Chciał nas tak zahartować, by niestraszny był nam żaden miecz, żaden mag. Walczyliśmy o jego uznanie, toczyliśmy bój o jego miłość, bój, z którego nikt nie mógł wyjść zwycięsko.

Podnosiliśmy na siebie broń, bo żadne z nas nie miało odwagi podnieść jej na ojca.

Teraz, unosząc ostrze w stronę jego wściekłych oczu, widzę matkę i Tzaina. Widzę moją drogą Bintę. Myślę o wszystkich, którzy próbowali stawić opór, o każdej niewinnej ofierze zgładzonej przez jego miecz.

– Uczyłeś mnie, jak walczyć z potworami – syczę, zbliżając się do niego. – Szkoda, że tak późno zrozumiałam, kto tu jest prawdziwym potworem.

Atakuję go znienacka. Nie mogę sobie pozwolić na żadne wahanie; inaczej los tego pojedynku będzie przesądzony.

Ojciec paruje mój cios, ale przedzieram się, a moje ostrze mija jego szyję o centymetry. Natychmiast nacieram znowu. *Atakuj, Amari.*

Biorę szybki zamach i tnę go w udo. Zatacza się do tyłu z grymasem bólu i zaskoczenia. Nie jestem już tą małą dziewczynką co kiedyś. Jestem księżniczką. Królową.

Lworożką.

Napieram znowu, parując pchnięcie wymierzone w moje serce. Ojciec przestał mnie lekceważyć i teraz walczy zaciekle, bez pardonu.

Brzęk naszych mieczy wznosi się ponad ogólnym hałasem. Po schodach zbiega coraz więcej strażników. Ludzie Roëna, uporawszy się z przeciwnikami pośrodku sanktuarium, odpierają nową falę ataków. Z bitewnego chaosu wyłania się Tzain.

– Amari...

– Nie! – wołam do niego, kontrując uderzenie ojca. Tzain nie może mi pomóc, nie w tym pojedynku, do którego przygotowywałam się całe życie. To rzecz między mną a królem. Tylko jedno z nas przeżyje.

Ojciec się potyka. Oto moja szansa, okazja, by przerwać ten niekończący się taniec.

Teraz!

Z tętnieniem krwi w skroniach rzucam się do przodu i unoszę ostrze. Czas wreszcie uwolnić Oriszę od najgorszego z potworów. Od sprawcy jej cierpień.

Lecz w ostatniej chwili ogarnia mnie wahanie i podrywam klingę do góry. Nasze miecze znów się krzyżują.

Nieba.

Nie mogę tak tego zakończyć. Gdyby tak się stało, nie byłabym lepsza od niego.

Orisza nie przetrwa, jeśli przejmę jego metody. Ojca trzeba obalić, lecz nie wolno mi utopić miecza w jego sercu...

Ojciec zniemacka cofa ostrze. Tracę równowagę i lecę do przodu.

Zanim mam czas się obrócić, miecz ojca rozpruwa mi plecy.

– Amari!

Krzyk Tzaina dobiega jakby z bardzo daleka.

Wpadam na jedną ze świętych kolumn. Skóra parzy mnie żywym ogniem, tak jak w dzieciństwie, gdy zranił mnie Inan.

Ojciec rusza do ataku. Żyły pęcznią mu na szyi, nie waha się ani przez chwilę. Chce mnie dobić.

Nieważne, że jestem jego córką, krew z krwi, kość z kości. Podjął decyzję.
Ja też muszę być stanowcza.

Odskakuję na bok. Rozpędzona klinga ojca uderza o kolumnę, szczerbiąc kamień. Nie czekam ani chwili – wyrzucam miecz przed siebie.

Oczy ojca wychodzą z orbit.

Gorąca krew ścieka po klindze na moje dłonie. Ojciec rzeździ, toczy szkarłatną pianę.

Choć ręka mi drży, wbijam miecz jeszcze głębiej. Łzy mgłą mi wzrok.

– Nie martw się – szepczę, gdy ojciec chwyta ostatni dech. – Będę dużo lepszą królową.

ROZDZIAŁ 84



ZÉLIE

– Błagam.

Skupiam całą swoją energię na zetlonych szczątkach pergaminu. To się nie może tak skończyć. Byliśmy już tak blisko.

Energia Baby przepływa mi przez ręce i znów przybiera postać wirujących cieni. Ale kupka popiołu nie chce stać się niczym więcej. To koniec...

Przegraliśmy.

Groza tej prawdy uderza mnie tak mocno, że przez chwilę nie mogę złapać tchu.

Najważniejszy artefakt – zniszczony. Przeze mnie.

– Nie, nie, nie!

Zamykam oczy i próbuję przypomnieć sobie słowa inkantacji. Czytałam ten pergamin dziesiątki razy. Jak to się zaczynało?

– Ìya àwọn òrun, àwa ọmọ kẹ̀pẹ̀ ọ̀ lónì...

Nie. Kręcę głową i przetrząsam pamięć w poszukiwaniu właściwych słów. To było inaczej: àwa ọmọ ò re kẹ̀pẹ̀ ọ̀ lóni. A potem...

O bogowie.

Co było dalej?

Gdzieś wysoko rozlega się głośny trzask, jakby grzmot burzy. Cała świątynia drży. Wszyscy zamierają w bezruchu. Po chwili ze sklepienia sypią się żwir i kamienie.

Posąg Jemędzy rozbłyska u dołu olśniewającym światłem, które wędruje coraz to wyżej po rzeźbionych fałdach szaty. Kiedy dociera do twarzy, oczy

zaczynają świecić na błękitno, a ich łagodny blask zalewa całe wnętrze świątyni.

Następna budzi się do życia statua Ògúna, któremu oczy jarzą się zielono. Spojrzenie Sàngó jest ognistoczerwone; Oszumare – intensywnie żółte.

– Łańcuch... – szepczę, podążając wzrokiem aż do Niebiańskiej Matki. – O bogowie...

Solstycjum.

To teraz!

Gorączkowo rozgarniam popiół w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu. Na pergaminie zapisano prastary rytuał. Czy duchy sêntaro, którzy to zrobili, nie powinny tu być?

Ale czekając na chłodny powiew zmarłych dusz, uzmysławiam sobie, jak wielu zabitych leży rozrzuconych na świątynnej posadzce. Nie czułam, jak umierają, nie czułam nic.

Tylko Babę.

Magię w mojej krwi.

– Połączenie... – Nagła myśl przenika mnie mrozem.

Z Babą łączy mnie krew. Zaklęcie z pergaminu miało odnowić naszą łączność z Niebiańską Matką za pomocą magii, ale może to nie jedyny sposób na nawiązanie z nią kontaktu?

Mój umysł pracuje jak szalony. Czy dałoby się połączyć z przodkami przy użyciu krwi? Czy moglibyśmy w ten sposób sięgnąć wstecz i poprzez nasze duchy ustanowić nowe połączenie z Niebiańską Matką i jej darami?

Amari mija mnie w biegu i odpiera żołnierza z dala od kręgu. Plecy ma we krwi, a mimo to walczy zaciekle jak dzika bestia. Choć do świątyni wdziera się już cała armia, Roën i jego ludzie nie składają broni.

Walczą do końca.

Skoro oni się nie poddają, mnie też nie wolno.

Z walącym sercem zrywam się na równe nogi. Podnoszę wzrok na kolejny rozświetlony posąg zalewający świątynię błękitnym blaskiem. Już tylko paru

ciemnych bogów stoi przed Niebiańską Matką.

Podnoszę kamień słoneczny. Parzy mnie. Zamiast Niebiańskiej Matki widzę krew. Widzę kość.

Widzę Mamę.

Z tym obrazem przed oczyma wsuwam kamień do wgłębienia w złotej kolumnie pośrodku sali. Skoro krew Mamy płynie w moich żyłach, dlaczego nie miałoby tam być również krwi innych moich przodków?

Wyjmuję zza pasa prawdziwy kościany sztylet i rozcinam sobie najpierw jedną, a potem drugą dłoń. Zaciskam krwawiące ręce na kamieniu słonecznym, składając najwyższą ofiarę z krwi łączącej mnie z przodkami.

– Pomocy! – wołam głośno, przyzywając ich na ratunek. – Proszę! Pomóżcie mi!

Moc przodków – zarówno magów, jak i kosidan – przepływa przeze mnie z siłą wybuchającego wulkanu. Ich duchy mieszają się z moim, z duchami Mamy i Baby. Razem wdzieramy się do kamienia.

– Jeszcze! – krzyczę do nich, wzywam wszystkie duchy złączone naszą krwią.

Cofam się coraz dalej w przeszłość, aż to tych, którzy jako pierwsi otrzymali dary Niebiańskiej Matki. Przybywają jeden po drugim; moje ciało ledwie to wytrzymuje, ból rozdziera mi skórę. Ale potrzebuję tego.

Potrzebuję ich.

Głosy zmarłych dźwięczą coraz głośniej, łączą się w jeden wielki chór ożywionych. Czekam, aż usłyszę słowa, które widniały na zniszczonym pergaminie, lecz zamiast nich intonują jakieś inne zaklęcie, którego nie widziałam na oczy. Ich dziwne echo huczy mi w głowie, w sercu, w duszy, aż wreszcie wydostaje się na zewnątrz, choć nie wiem, co to za inkantacja.

– Àwa ni ọmọ rẹ nínú ẹ̀jẹ̀ àti egungun!

Moje duchowe ścieżki eksplodują. Tłumię krzyk, żeby móc wypowiedzieć wszystkie słowa. Kamień skwierczy mi w dłoni, światło wędruje do piersi Niebiańskiej Matki, do ręki, w której trzyma róg. Już prawie koniec.

Ostatnie chwile solstycjum.

– A ti dé! Ìkan ni wá! Dà wá pò Mama! Kí ìtánná wa tàn pèlú èbùn àìníye re lèèkan síi!

Gardło mi się zaciska, tak że ledwie mogę oddychać, a tym bardziej mówić. Mimo to ostatkiem sił kończę zaklęcie.

– Jé kí agbára idán wa tàn kárí! – wołam, gdy światło wspina się na obojczyk Niebiańskiej Matki.

Głosy w mojej głowie śpiewają tak głośno, że wszyscy pewnie je słyszą. One też chcą odprawić rytuał do końca. Dzięki ich krwi mogę tego dokonać.

Dzięki ich krwi jestem nie do zatrzymania.

– Tan ìmólè ayé lèèkan síi!

W chwili gdy kończę wypowiadać zaklęcie, światło dosięga oczu Niebiańskiej Matki i eksploduje białym blaskiem. Kamień słoneczny kruszy mi się w dłoni. Jego żółty blask rozlewa się po wnętrzu świątyni. Nie wiem, co się dzieje. Nie wiem, co zrobiłam. Wiem tylko, że jasność przenika wszystkie włókna mojego ciała – i że wszystko wokół mnie promienieje.

Oglądam stworzenie świata, narodziny człowieka i bogów. Fale ich magii zalewają świątynię, mienia się tęczami jaskrawych kolorów.

Magia przenika serca, każdą duszę i każdą istotę. Łączy nasze ludzkie skorupy niewidzialnymi nićmi.

Moc pali mi skórę. To rozkosz i męka w jednym, ból nierozzerwalnie spleciony z przyjemnością.

Gdy mijają, dostrzegam prawdę – widoczną jak na dłoni, choć wcześniej niedostępną.

Wszyscy jesteśmy dziećmi krwi i kości.

Narzędziami cnoty i zemsty.

Ta prawda obejmuje mnie i kołysze, jestem jak dziecko w ramionach matki. Spowita jej miłością pogrążam się w odmętach śmierci.

ROZDZIAŁ 85



ZÉLIE

Zawsze wyobrażałam sobie śmierć jako zimowy wiatr, tymczasem zewsząd otacza mnie gorąco – jak ocean w Ilorinie.

To dar, myślę w spokojnych ciemnościach alâfii. Nagroda za moją ofiarę.

Czy może być większa nagroda niż koniec niekończącej się walki?

– Mama, Òrìsà Mama, Òrìsà Mama, àwá ún dúpè pé egbò igbe wa...

Głosy szumią mi pod skórą, dźwięczą wśród mroku. Obłoki srebrnego światła rozdzierają ciemność, pławię się w cudnych dźwiękach hymnu. Moją uwagę zwraca opadające światło w kształcie płatka śniegu, którego śpiew wybija się ponad inne głosy, przewodząc im w pieśni.

– Mama, Mama, Mama...

Głos tego światła jest gładki jak jedwab, miękki jak aksamit. Spowija mnie i prowadzi ku ciepłu. I choć nie czuję własnego ciała, płynę przez ciemność w jego kierunku.

Już kiedyś słyszałam ten dźwięk.

Znam ten głos. Tę miłość.

Pieśń przybiera na sile, światło jaśnieje coraz mocniej. Rozwija się z płatka śniegu, nabiera kształtu na moich oczach.

Najpierw pojawiają się stopy. Jej skóra, czarna jak nocne niebo, lśni w jedwabnej czerwonej szacie, bogatej i powłóczystej. Nadgarstki, szyja, kostki ociekają złotą biżuterią, która podkreśla błyszczący diadem na czole.

Kłaniam jej się nisko wśród dźwięków pieśni, nie mogąc uwierzyć, że leżę u stóp Oi. Gdy jednak bogini zdejmuje diadem z gęstych białych włosów,

zamieram ze wzrokiem utkwionym w brązowych oczach.

Ostatnim razem, kiedy je widziałam, były puste, bez śladu osoby, którą kochałam. Teraz są roztańczone, a na rzęsach migoczą łzy.

– Mama?

To niemożliwe.

Mama wprawdzie miała twarz jak słońce, ale była człowiekiem. Była częścią mnie.

Kiedy jednak duch dotyka mojej twarzy, miłość, którą dobrze znam, ogarnia moje ciało. Z pięknych brązowych oczu płyną łzy.

– Witaj, moja mała Zél.

Oczy szczypią mnie od gorących łez. Zapadam się w jej duchowe objęcia. Ciepło Mamy przenika mnie całą, wypełnia każde pęknięcie. Przez chwilę czuję wszystkie swoje wyplakane łzy i wszystkie modlitwy. Widzę wszystkie razy, kiedy leżałam w naszej chacie i podnosiłam wzrok w nadziei, że ujrzę Mamę.

– Myślałam, że umarłaś – szepczę łamiącym się głosem.

– Jesteś siostrą Oi, skarbie. Wiesz, że nasze duchy nie umierają. – Odsuwa mnie delikatnie i ociera mi łzy miękką szatą. – Przez cały czas byłam z tobą. Towarzyszyłam ci bez przerwy.

Trzymam ją mocno, bojąc się, że jej duch w każdej chwili może mi się wymknąć z rąk. Gdybym wiedziała, że czeka na mnie w śmierci, już dawno wybiegłabym mu na spotkanie. Mam teraz wszystko, czego pragnęłam, spokój, który utraciłam, kiedy ją zabito. Wreszcie jestem znów bezpieczna.

Znów jestem w domu.

Mama głaszcze mnie po warkoczach i całuje w czoło.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo jesteśmy z ciebie dumni.

– Jesteśmy?

Uśmiecha się.

– Baba jest tu ze mną.

– Jak on się ma?

– Dobrze, skarbie. Znalazł spokój.

Na próżno mrugam, by powstrzymać łzy. Mało kto tak jak on zasłużył na spokój. Czy wiedział, że jego duch znajdzie się u boku swej ukochanej?

Mama, Mama, Mama... Śpiew jest coraz głośniejszy. Mama znów mnie przytula, napawam się jej zapachem. Wciąż pachnie mieszanką rozgrzanych przypraw i sosów, w których gotowała dzolof.

– To, czego dokonałaś w świątyni, było niesamowite. Duchy pierwszy raz widziały coś takiego.

Kręcę głową.

– Nie rozpoznałam tego zaklęcia. Nie wiem, co zrobiłam.

Mama ujmuję moją twarz w dłonie i znów całuje mnie w czoło.

– Wkrótce się dowiesz, moja potężna Zél. A ja przez cały czas będę u twojego boku. Choćbyś nie wiem jak się czuła, choćby ci się zdawało, że jesteś całkiem sama...

– Tzain – przypominam sobie. Najpierw Mama, potem Baba, teraz ja? – Nie możemy go zostawić – szepczę spanikowana. – Jak go tu sprowadzimy?

Mama, Òrìsà Mama, Òrìsà Mama... Śpiew staje się naprawdę głośny, prawie ogłuszający. Mama przyciska mnie mocniej do siebie. Jej gładkie czoło pokrywa się zmarszczkami.

– Jeszcze nie teraz, skarbie. On jeszcze ma czas.

– Ale Mamo...

– I ty też.

Hałaśliwe głosy coraz mniej przypominają śpiew, a coraz bardziej wrzask. Słowa Mamy przyprawiają mnie o ciarki.

– Mamo, nie... proszę!

– Zél...

Przywieram do niej wystraszona, ze ściśniętym gardłem.

– Chcę być tutaj. Chcę zostać z wami!

Nie mogę wrócić do tamtego świata. Nie zniosę tego bólu.

– Zél, Orisza wciąż cię potrzebuje.

– Nie obchodzi mnie to. Ja potrzebuję was!

Światło Mamy przygasa, niebiański chór cichnie. Ciemność wokół nas zaczyna jaśnieć, tonąc w fali blasku.

– Mamo, nie zostawiaj mnie... Proszę, Mamo!

Jej ciemne oczy błyszczą się od łez, które lądują ciepło na mojej twarzy.

– To nie koniec, mała Zél. To dopiero początek.

EPILOG



Gdy otwieram oczy, natychmiast mam ochotę je zamknąć. Zamiast purpurowego nieba chcę zobaczyć moją matkę. Chcę, by spowił mnie ciepły kir śmierci.

Coś mną delikatnie kołysze. Szybko rozpoznaję to bujanie. Poznałabym je wszędzie. To morskie fale.

Ledwie sobie to uzmysławiam, ból i pieczenie wdzierają się w każdy skrawek mojego ciała. Żywy ból, jaki towarzyszy życiu.

Z moich ust wyrywa się jęk. Natychmiast rozlega się dudnienie kroków.

– Ona żyje!

Moje pole widzenia wypełnia się mnóstwem twarzy: nadzieją Amari, ulgą Tzaina. Na koniec zostaje sam Roën i jego uśmiezek.

– Kenjon? – pytam słabym głosem. – Käto? Rehema...

– Żyją – uspokaja mnie. – Czekają na statku.

Z jego pomocą siadam, opierając się o zimne drewno szalupy, na której dopłynęliśmy do brzegu wyspy. Słońce opada za horyzont, okrywając nas cieniem nocy.

Obraz świątyni błyska mi przed oczami. Zbieram się w sobie, by zadać pytanie, którego się boję. Spoglądam w ciemnobrązowe oczy Tzaina; jeśli przegraliśmy, wolę to usłyszeć z jego ust.

– Udało się? Czy magia wróciła?

Tzain zastyga nieruchomo. Jego milczenie wbija mi nóż w serce. A więc wszystko na nic. Śmierć Inana. Śmierć Baby.

– Nie udało się? – wykrztuszam.

Wtedy Amari zaprzecza ruchem głowy i unosi zakrwawioną rękę. Błękitne światło tańczy wokół jej dłoni. W czarnych włosach jak błyskawica odcina się

białe pasmo.

Przez chwilę nie wiem, co to wszystko znaczy.

Potem przechodzi po mnie mróz.

OD AUTORKI

Wylałam wiele łez przed napisaniem tej książki. Wiele łez w trakcie pracy nad nią. I choć trafiła już do Waszych rąk, wiem, że uronię jeszcze niejedną.

Jazda na olbrzymich lworożcach i odprawianie magicznych rytuałów przynależą do świata fantazji, ale zawarty w tej powieści ból, strach i smutek są prawdziwe.

Pisząc *Dzieci krwi i kości*, co rusz dowiadywałam się z telewizji o nieuzbrojonych czarnoskórych – mężczyznach, kobietach i dzieciach – którzy zginęli od policyjnych kul. Czułam strach, złość i niemoc, ale dzięki tej książce nabrałam poczucia, że mogę coś zrobić.

Powiedziałam sobie, że jeśli lektura mojej powieści zmieni choć jedną osobę, będzie to mój mały wkład w rozwiązanie problemu, który na co dzień mnie przerasta.

I oto trzymacie tę książkę w rękach.

Dziękuję Wam z całego serca.

Jeżeli opowiedziana w niej historia jakoś na Was podziałała, proszę o jedno: aby nie skończyła się na tych stronach.

Jeśli płakaliście z powodu Zulajchy i Salima, zapłaczcie nad losem niewinnych dzieci: Jordana Edwardsa, Tamira Rice'a i Aiyany Stanley-Jones, które miały odpowiednio piętnaście, dwanaście i siedem lat, gdy policyjne kule pozbawiły je życia.

Jeśli pękało Wam serce, kiedy czytaliście o śmierci matki Zélie, niech pęka również na myśl o tych wszystkich, którzy wprawdzie sami nie padli ofiarą brutalności policji, ale musieli patrzeć, jak giną ich bliscy. O ludziach takich jak Diamond Reynolds i jej czteroletnia córeczka, które na własne oczy widziały, jak policjant zabija ich męża i ojca, Philando Castile'a. Sprawca – Jeronimo Yanez – został uniewinniony.

To tylko kilka nazwisk z długiej i tragicznej listy czarnoskórych ofiar.

Matki odebrane córkom, ojcowie odebrani synom, rodzice, którzy spędzą resztę życia w nieutulonym żalu.

To tylko jeden z wielu problemów trapiących nasz świat.

Nieraz może nam się wydawać, że te problemy nas przerastają, lecz niech ta książka będzie dowodem na to, że nigdy nie jesteśmy całkiem bezsilni.

Jak mówi Zélie w trakcie rytuału: „Abogbo wa ni ọmọ rẹẹ nínú ẹjẹ àti egungun”.

Wszyscy jesteśmy dziećmi krwi i kości.

I tak jak Zélie i Amari mamy moc zmieniania świata i zwalczania zła.

Zbyt długo byliśmy na kolanach.

Czas powstać.

PODZIĘKOWANIA

Miałam szczęście zetknąć się i pracować z absolutnie wspaniałymi ludźmi. Wierzę, że to za sprawą Boga spotkałam ich na swej drodze. Dziękuję Ci, Boże, za wszystko, co zrobiłeś, i za wszystkie Twoje dary.

Mamo i Tato, dziękuję, że poświęciliście wszystko, co znaliście i kochaliście, aby otworzyć przed nami nieograniczone możliwości. Jestem Wam dozgonnie wdzięczna za wsparcie, którego mi udzieliliście, gdy porwałam się na to marzenie. Tato, nauczyłeś mnie, że nie wolno spoczywać na laurach, zachęcałeś, żebym zawsze dawała z siebie wszystko. Kocham cię i wiem, że Babcia przygląda się nam z góry. Mamo, myślę, że moi bohaterowie tracą matki w młodym wieku, ponieważ ty straciłaś swoją i to zawsze była moja największa obawa. Dziękuję Ci za miłość i za wspieranie mnie na tyle różnych sposobów, że nie jestem w stanie ich tu wymienić. Dziękuję też moim ciociom i wujkom, którzy pomogli mi z tłumaczeniami z języka joruba!

Tobi Lou, gdybyś w dzieciństwie nie był tak niesamowity, pewnie nie znalazłabym w sobie motywacji, by wznieść się na wyżyny swoich możliwości. Dziękuję, że z taką determinacją podążałeś za marzeniami. Pokazałeś mi, że mogę zrobić to samo. Toni, przez pierwsze piętnaście lat życia byłaś moim śmiertelnym wrogiem, a 25 listopada 2017 roku potraktowałaś mnie okropnie. (Mówiłam ci, że będziesz tego żałować!) Mimo wszystko kocham cię bardzo i jestem z ciebie dumna. Wiem, że będziesz najsympatyczniejszą ze wszystkich Adeyemi.

Jacksonie, mój chłopaku i pierwszy czytelniku... Wierzyłeś we mnie i w moją powieść od samego początku, a nawet jeszcze wcześniej. Dziękuję, że jesteś moim fanem i kibicem numer jeden i że dopingowałeś mnie, kiedy bałam się uwierzyć w siebie. Marc, Deb i Clay, dziękuję Wam za ciepłe przyjęcie i ciepłe tosty z serem. Kocham Was! Clay, jestem dumna, że mam takiego braciszka.

DJ Michelle „Meesh” Estrello, jesteś niesamowitą osobą i niesamowitą artystką. Dziękuję za piękne ilustracje do tej książki!

Brendo Drake, dziękuję za bezinteresowne poświęcenie, z jakim pomagasz pisarzom spełniać ich marzenia. Ashley Hearn, gdybyś nie włożyła w tę książkę tyle serca i mądrości, nie zdołałabym tak dobrze opowiedzieć tej historii. Kocham Cię i jestem zaszczycona, że mogłam się od Ciebie uczyć!

Hillary Jacobson i Alexandro Machinist, określenie „wymarzone agentki” nie oddaje Wam sprawiedliwości, bo nawet w najśmielszych snach nie marzyłam o takim wsparciu! Jesteście mądre i nieustępliwe, współpraca z Wami to wielki dar. Dzięki Wam niemożliwe stało się możliwe.

Josie Freedman, jesteś absolutnie wspaniałą agentką filmową. Dzięki Tobie w krótkim czasie przebyłam drogę od snucia marzeń o filmie do rozmów na jego temat z najfajniejszymi ludźmi z Hollywood! Hano Murrell, Alice Dill, Mairi Friesen-Escandell, Roxane Edouard, dziękuję Wam z całego serca za to, że nadałyście mojej historii globalny wydźwięk.

Jonie Yaged i Jean Feiwel, dziękuję, że uwierzyliście we mnie i w ten cykl. Wydawnictwo Macmillan okazało się wspaniałym domem. Bardzo się cieszę, że było mi dane wydać tę książkę u Was.

NAJDROŻSZY CHRISTIANIE TRIMMERZE! Jesteś moją Mamą Agbą: nieustraszoną, elegancko ubraną mężczyzną o czarodziejskich mocach, który dzieli się ze mną herbatą, metalowym kijem i swoją mądrością, gdy najbardziej tego potrzebuję. Dziękuję, że tak bardzo wspierałeś mnie i moją książkę!

NAJDROŻSZA KRÓLOWO I CESARZOWO TIFFANY LIAO! Jesteś moją Amari. Nie bałaś się ubrudzić sobie rąk i uratować mnie przed kapitanem na arenie. Zaplatałaś mi warkocze w łodzi i powtarzałaś, że we mnie wierzysz, kiedy ja w siebie nie wierzyłam. Tiffy, jesteś nieoceniona. To wielkie szczęście móc pracować z tak niesamowitą i mądrą kobietą. Rich Deas, każda Twoja kreska i litera w tej książce jest doskonała. Dziękuję Ci za olśniewającą okładkę.

Ludzie z działu marketingu i promocji wydawnictwa Macmillan: **JESTEŚCIE NIESAMOWICI!** Dziękuję za cały Wasz trud włożony

w promowanie tej książki. Molly Ellis, najbardziej lubię dni, w których mogę z Tobą wymienić dwadzieścia maili. Jestem szczęściarą, że Cię mam. Kathryn Little, jesteś rewelacyjną kierowniczką, współpraca z Tobą była czystą przyjemnością od początku do końca. Mary Van Akin, za każdym razem, kiedy piszę Twoje nazwisko, przypominam sobie: „JESTEŚ RENEGATKA” i śmieję się na głos. Nikt w całej branży nie potrafi zrobić takiego szumu wokół książki. Mariel Dawson, jesteś boginią. Wszystko, co zrobiłaś dla tej książki, było tak piękne i wspaniałe jak ty sama. Ashley Woodfolk, jesteś wspaniałą pisarką, specjalistką od marketingu i przyjaciółką. Kocham Cię i nieustająco życzę wszystkiego najlepszego Twojemu *The Beauty That Remains!* Allison Verost, ta niezwykła kampania nie byłaby możliwa bez Twojego wsparcia. Dziękuję też całej reszcie mojego wspaniałego zespołu, w którego skład weszli Brittany Pearlman, Teresa Ferraiolo, Lucy Del Priore, Katie Halata, Morgan Dubin, Robert Brown i Jeremy Ross.

Dziękuję działowi sprzedaży wydawnictwa Macmillan, w szczególności Jennifer Gonzalez, Jessice Brigman, Jennifer Edwards, Claire Taylor, Markowi Von Bargenowi, Jennifer Golding, Sofrinie Hinton, Jaimemu Arizie i AJ-owi Murphy’emu. Tomowi Nau i reszcie działu produkcji za ciężką pracę i pilnowanie terminów. Melindzie Ackell, Valerie Shea i korektorom – za Wasz trud. Patrickowi Collinsowi, który zadbał o to, by książka w środku była równie piękna, jak na zewnątrz. Laurze Wilson, Brisie Robinson i Boranie Greku z Macmillan Audio. Oraz wszystkim osobom z tego wspaniałego budynku, które zrobiły coś dla tej książki: dziękuję Wam z całego serca.

Ekipo filmowa: żadne słowa nie są w stanie wyrazić mojej radości z tego, że jesteście zaangażowani w produkcję tego filmu. Dziękuję Wam za pasję i entuzjazm, z jakim podeszliście do tej opowieści. Patriku Medleyu i Clare Reeth, jesteście wspaniałymi ludźmi o wspaniałych uśmiechach. Dziękuję, że pokochaliście moją książkę i pomogliście znaleźć dla niej dom. Elizabeth Gabler, Gillian Bohrer i Jiao Chen, dziękuję, że przygarnęliście moją książkę do wytwórni, w której powstało tyle moich ukochanych filmów. Wspaniałe było Was poznać i już nie mogę się doczekać dalszego ciągu. Karen Rosenfelt, dziękuję, że wspierasz ten film swoim talentem. Wycku Godfreyu, dziękuję

za Twój entuzjazm! Marty Bowen, Johnie Fischerze i Temple Hill Productions, dziękuję za wszystkie wspaniałe filmy, które oglądałam jeszcze jako nastolatka, i za dodanie *Dzieci krwi i kości* do tej imponującej listy. Davidzie Magee, Luke'u Duretcie, dziękuję Wam za wspaniały scenariusz.

Barry Haldemanie, Joelu Schoffie, Neilu Ericksonie, dziękuję, że tak ciężko pracowaliście, żeby mnie przeprowadzić przez ten szalony proces!

Romino Garber, jesteś jasnym punktem w kosmosie i słońcem w moim życiu! Dziękuję Ci za niezawodną przyjaźń i wsparcie. Marisso Lee, jesteś niewiarygodnie utalentowana, przy Tobie stałam się lepszą pisarką i lepszym człowiekiem. Dziękuję, że jesteś źródłem miłości i radości w moim życiu! Kristen Ciccarelli, jestem Ci dozgonnie wdzięczna za wielokrotną pomoc przy tekście i nie tylko. Bez Ciebie moje życie, książka i serce nie byłyby takie same. Kester „Kit” Grant, moja pisarska żono! Jesteś piękna w każdym znaczeniu tego słowa. Nie mogę się doczekać, aż *A Court of Miracles* ujrzy światło dzienne. Hillary's Angelz, dziękuję Wam za nieustające wsparcie, serdeczność i dużo śmiechu!

Sheo Standefer, jesteś najbardziej empatyczną osobą, jaką znam, a Twój talent nie zna granic. Adalyn Taylor Grace, LOLOLOLOMG! Zawsze będziesz moją współpracowniczką, pozwalasz sobie przysyłać fotki BTS i różnych przypadkowych facetów, na tym polega prawdziwa przyjaźń! Dziękuję, że zawsze mogłam na Ciebie liczyć.

Danielu José Olderze, Sabaa Tahirze, Michaelu Dante DiMartino, Bryanie Konietzko, dziękuję Wam za historie, które zainspirowały mnie do napisania tej powieści. Dhonielle Clayton, Zoraido Cordova i DJO, dziękuję za pomoc, dzięki której mogę z dumą pokazać *Dzieci krwi i kości* światu. Angie Thomas, Leigh Bardugo, Nicu Stone, Renée Ahdieh, Marie Lu, Jasonie Reynoldsie, dziękuję za wsparcie, rady i inspiracje na różnych etapach mojej podróży. Jestem dumna, że tworzę w czasach, w których swoje opowieści przedstawiają światu tacy fantastyczni autorzy jak Wy.


Morgan Sherlock i Allie Stratis, nie wiem, czym sobie zasłużyłam na takie cudowne przyjaciółki, ale cieszę się, że byliście w moim życiu, kiedy dorastałam, i że jesteście w nim nadal. Kocham Was, jestem dumna, że

wyrosłyście na tak wspaniałe kobiety, i nigdy, przenigdy Wam nie wybaczę, że pozwoliłyście mi nosić grzywkę. Shannon Janico, zawsze byłaś niesamowitą przyjaciółką, a teraz jesteś cudowną kobietą. Kocham Cię, a Twoi uczniowie to prawdziwi szczęściarze. Mandi Nyambi, nie znam drugiej tak inteligentnej, pracowitej i pełnej pasji kobiety jak Ty. Dziękuję, że jesteś dla mnie jak siostra. Kocham Cię i jestem z Ciebie dumna. Podbijaj dalej świat! Yasmeen Audi, Elise Baranouski, Juliet Bailin, zawsze mnie wspierałyście i dopingowałyście w mojej pogoni za marzeniami. Kocham Was, jestem szczęśliwa, że Was mam, i dumna z wszystkiego, co zrobiłyście – i co zrobicie. Elise, gdyby ktoś wątpił w naszą bliskość, możesz mu to pokazać.

Przyjaciele z TITLE Boxing i Cody Montarbo, dziękuję, że nie pozwoliliście mi zwariować! Lin-Manuelu Miranda, przyjmij podziękowania za inspirujące dzieło sztuki, które towarzyszyło mi niejednej nocy. Wspaniali Czarni Ludzie, dziękuję Wam za inspirację i motywację. Najważniejsze osoby w tej kategorii to Michelle i Barack Obama, Chance the Rapper, Viola Davis, Kerry Washington, Shonda Rhimes, Lupita Nyong'o, Ava DuVernay, Zulaikha Patel, Kheris Rogers, Patrisse Cullors, Alicia Garza i Opal Tometi.

Moim nauczycielom dziękuję za to, że pomogli mi odkryć, kim jestem i co chcę powiedzieć. Szczególnie pozdrawiam pana Friebela, panią Colianni, pana McClouda, pana Woodsa, pana Wilbura, Joeya McMullena, Marię Tartar, Christine Phillips Mattson, Amy Hempel i Johna Stauffera.

I wreszcie: dziękuję moim czytelnikom. Bez Was nic by się nie wydarzyło. Dziękuję, że udaliście się ze mną w podróż po Oriszy. Nie mogę się doczekać dalszego ciągu tej wspólnej przygody.



ZABILI MI MATKĘ.
ZABRALI NAM MAGIĘ.
PRÓBOWALI NAS ZNISZCZYĆ.
TERAZ WSTAJEMY Z KOLAN!

DZIECI KRWI I KOŚCI

1 tom cyklu DZIEDZICTWO ORISZY

Zachwycająca powieść inspirowana afrykańską mitologią



*Fantastyczny świat pełen niezwykłych opowieści
i bezpardonowej walki o władzę.
Na taką książkę czekałam.*

Marie Lu, autorka megabestsellerów dla młodzieży



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5906-9

EAN 9788327159069

U.WD.FAN035.1.01.01

